

AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW

NORA ROBERTS

jako
J. D. Robb

Złota śmierć

Eve Dallas – ostra
jak brzytwa, seksowna
jak sam diabeł.

STEPHEN KING

Powieści J.D. Robb
to przyjemność, której
nie wolno sobie odmówić.

HARLAN COBEN



Świat Książki

NORA
ROBERTS

ZŁOTA ŚMIERĆ

Z angielskiego przełożyła
Hanna Kulczycka-Tonderska


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału: *Golden in Death*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*
Redaktor prowadzący: *Iwona Denkiewicz*
Redakcja: *Ewdokia Cydejko*
Korekta: *Jadwiga Piller, Ewa Grabowska*

Copyright © 2020 by Nora Roberts
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Hanna Kulczycka-Tonderska, 2023

ISBN 978-83-828-9018-1
Warszawa 2023

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. +48 22 733 2519
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Cytaty](#)

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Epilog](#)

*Czas zdejmie kiedyś obludy pokrywę
I nasze winy odsłoni prawdziwe.*

William Szekspir, *Król Lear*, akt I, scena I,
tłum. Stanisław Barańczak

*Wychowanie ukształca umysły narodu.
Drzewo tak rośnie później, jak je nagniesz z młodu.*

Alexander Pope tłum. Ludwik Kamiński

Doktor Kent Abner rozpoczął wielce zadowolony, na pełnym luzie dzień, w którym miała przyjść jego śmierć.

Ucałował na pożegnanie swego męża Martina, kiedy ten wychodził do pracy – jak czynił to od trzydziestu siedmiu lat – a potem, wciągnął w szlafroku, rozsiadł się wygodnie z kolejną filiżanką kawy i zaczął rozwiązywać krzyżówkę w komputerze – jak to miał w zwyczaju od niepamiętnych czasów w dni wolne od obowiązków zawodowych. W tle leciała muzyka z opery Mozarta *Czarodziejski flet*; nastawił ją w domowym zestawie stereo.

Kwiecień roku dwa tysiące sześćdziesiątego pierwszego był bardzo ciepły, łagodne jak balsam powietrze przesycały wonie rozwijających się błyskawicznie kwiatów, toteż w planach doktora znalazło się bieganie po parku Hudson River, następnie wizyta na siłowni, wyciskanie ciężarów i szybki prysznic, a na koniec lekka przekąska w pobliskiej knajpce.

W drodze do domu planował zakupić bukiet świeżych kwiatów i pokręcić się chwilę po markacie w poszukiwaniu oliwek, które tak lubił Martin, i może jeszcze jakiegoś zestawu serów. Później chciał wstąpić do pobliskiej piekarni po bagietkę i co tam mu się jeszcze na miejscu spodoba.

Kiedy Martin wróci do domu, otworzą butelkę wina, usiądą razem i pogadają, pojedając tartinki z serem. Pozostawi mu wybór, czy zjeść obiad w domu, czy wyjść gdzieś na miasto. Miał nadzieję na romantyczne zakończenie wieczoru, o ile oczywiście Martin nie będzie zbyt zmęczony.

Zwykle żartowali sobie, że Kent jako pediatra prowadził uroczę niemowlęta i czarujące dzieciaczki, podczas gdy Martin jako dyrektor dwunastoklasowej prywatnej szkoły musiał lawirować pomiędzy czarującymi dzieciakami a naburmuszonymi nastolatkami o szalejących hormonach.

Mimo to obaj świetnie dajemy sobie radę – myślał Kent, wypełniając puste pola hasła dwadzieścia jeden pionowo.

TOKSYNA

Przez następną godzinę zabawiał się układaniem puzzli, po czym wyszorował kuchnię, słuchając wciąż muzyki, wypełniającej dźwiękami wnętrze ich domu w dzielnicy West Village.

Przebrał się w końcu w strój do biegania, a po chwili zastanowienia wrzucił jeszcze na siebie cienką bluzę z kapturem. Spakował torbę na siłownię, postanawiając z góry, że nim zacznie trenować biegi, zostawi ją w szafce w przebieralni.

Kiedy zasunął ekler, rozległ się dzwonek u drzwi. Nie spieszył się z otwarciem. Nucąc pod nosem, wyniósł torbę do salonu i cisnął ją na koralową sofę, którą wybrali z Martinem pół roku temu, kiedy wzięli się do przearanżowania wnętrza.

Zanim otworzył drzwi, zerknął wpieryw na wyświetlacz wideofonu. Zobaczył stojącą przed wejściem znajomą dziewczynę z firmy kurierskiej, która zwykle dostarczała im przesyłki. Tym razem również trzymała niewielką paczuszkę.

Odblokował zamki i otworzył drzwi.

– Dzień dobry! – rzekł.

– Dobry, doktorze Abner – odparła. – Mam dla pana paczkę.

– Właśnie widzę. Złapałaś mnie w ostatniej chwili. – Wziął pakunek i obdarzył dziewczynę uśmiechem. Za jego plecami przez otwarte drzwi wylewała się na Bedford Street aria zemsty Królowej Nocy z drugiego aktu *Czarodziejskiego fletu*. – Co za piękny dzień!

– Pewnie, że piękny. Dobrego dnia, panie Abner! – dodała, już schodząc w dół po schodach prowadzących na chodnik.

– Tobie też.

Kent zamknął drzwi i poszedł do kuchni, przyglądając się z uwagą przesyłce. Ponieważ była zaadresowana do niego, otworzył szufladę i wyjął specjalny nóż do otwierania paczek. Rzucił jeszcze okiem na etykietkę z adresem nadawcy. Widniał tam adres ze śródmieścia oraz nazwa sklepu „Wszystko, co lśni”, która nic mu nie mówiła.

Czy to prezent? – przeszło mu przez głowę, gdy rozcinał oklejone taśmą pudło.

W środku, również starannie opakowane, znajdowało się drugie pudełeczko, a właściwie prosta, gładka szkatułka z materiału imitującego ciemne drewno, zamknięta na mały zameczek. Dołączono do niego kluczyk na cienkim łańcuszku. Niewiele myśląc, włożył kluczyk do dziurki i otworzył zapadkę.

W środku szkatułki, na grubej czarnej wyściółce, spoczywał niewielki pojemnik – raczej na pewno bezwartościowy – w kształcie złotego jaja, szczelnie zamkniętego na haczyk.

– Wszystko, co łśni – mruknął pod nosem Kent, otwierając zamknięcie.

Obie połówki jaja były jak gdyby sklejone ze sobą i z początku nie chciały się otworzyć. Musiał użyć nieco więcej siły.

Ku swemu zdumieniu Kent niczego w środku nie zobaczył. Ani nie ujrzał wydobywających się ze środka oparów, ani nie poczuł ich zapachu, natychmiast jednak odczuł efekty ich oddziaływania: jego gardło zacisnęło się nagle w supeł, płuca jakby się zapchały. Czy zaczęły palić go żywym ogniem, a dobrze wytrenowane mięśnie zdrząły.

Sekundę później jajko wypadło mu z ręki, ruszył na oślep w stronę okna. Powietrza! Potrzebował na gwałt powietrza. Potknął się, upadł, próbował się jeszcze doczołgać. Wszystko na nic. Cały jego system pokarmowy eksplodował, zwracając lekkie śniadanie zjedzone z Martinem. Walcząc z rozdzierającym bólem, usiłował przepelznąć jeszcze kawałek w stronę okna.

Skonał w konwulsjach, gdy królowa Mozarta wzięła wysokie F.

*

Było wiosenne, jasne popołudnie, kiedy porucznik Eve Dallas stanęła nad ciałem doktora Kenta Abnera. Promienie stojącego nisko słońca wpadały przez okna, których nie zdążył otworzyć. Oświetlały kałuże płynów ustrojowych i kawałki potłuczonego plastiku.

Denat leżał twarzą do góry – mimo to po stłuczeniach na czole i skroni Eve od razu rozpoznała, że najpierw padł bezwładnie do przodu. Miał zaczerwienione, podpuchnięte oczy o zamglonym spojrzeniu, które nadała mu śmierć. Patrzył teraz martwo wprost na Eve.

Ona z kolei widziała rozmazane po podłodze butami, dłońmi i kolanami wydalone z jego ciała płyny ustrojowe. Ślady stóp, obwiedzione krwią, zółcią i wymiocinami, znaczyły całą podłogę kuchni.

W takim stanie scena zbrodni jest gównie warta – pomyślała Eve.

– Posterunkowy Ponce! – krzyknęła na policjanta, który pierwszy przybył na miejsce zbrodni. – Proszę o relację z przebiegu zdarzeń.

– Ofiara to doktor Kent Abner, lekarz znaczy się. Miał akurat dzień wolny. Mieszkał tutaj wraz z mężem. Jego mąż, też doktor, tyle że nauk humanistycznych, Martin Rufty, wrócił do domu po pracy, a jest zatrudniony jako dyrektor w szkole imienia Thesy A. Gold. Gold to złoto, więc od nazwiska założycielki mówią na szkołę Złota Akademia. No więc Rufty wrócił do domu ze Złotej około szesnastej. Zobaczył ciało. Wszedł wprost w te wszystkie wydzieliny, pani porucznik, odwrócił około i, prawdę mówiąc, nim wezwał karetkę pogotowia, próbował go jeszcze reanimować. – Mundurowy, człek o krzepkiej budowie, pokręcił głową, patrząc na scenę zbrodni. – Później wszyscy weszli do środka i zdeptali ślady, nim wezwali w końcu policję. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby zabezpieczyć to, co zastaliśmy. Ofiara nie żyła od kilku godzin. Ratownicy medyczni orzekli, że ciało było zimne i sztywne. No i że wyglądała na zatrucie chemiczne.

– Gdzie jest teraz współmałżonek?

– Zabraliśmy go na górę. Jest z nim mój partner. Facet się strasznie rozsypał.

– Okej. Proszę pozostać do dyspozycji – rzekła Eve i zwróciła się do swojej partnerki: – Peabody! Ja zajmę się ciałem. Ty odszukaj nagrania z kamery monitoringu i rzuc na nie okiem.

– Tak jest! – Peabody ostrożnie stawiała kroki w swoich różowych kowbojkach.

Eve kucnęła obok zwłok i otworzyła podręczną walizeczkę oględzinową. Kiedy zabezpieczyła ręce gumą w spreju, włączyła dyktafon, a następnie wyjęła Identipada w celu weryfikacji tożsamości ofiary.

– Denat zidentyfikowany jako Kent Abner, zamieszkały pod tymże adresem. Wiek: sześćdziesiąt siedem lat. Stłuczenia i otarcia na czole, lewej skroni, a także na lewym kolanie. Ich stan wskazuje na ścisły związek z upadkiem. Na opuszkach kciuków obu rąk rany wyglądające na oparzenia. Wystąpiło stężenie pośmiertne ciała. Oczy ofiary są zaczerwienione, opuchnięte. – Ostrożnie otworzyła usta mężczyzny. – Spuchnięty jest również język. Wygląda, jakby był oblepiony... pozostałościami piany, śliny i wymiocin. Z nozdrzy wypłynęła zaschnięta obecnie mieszanina krwi i śluzu. – Wyjęła przyrządy pomiarowe. – Czas zgonu: dziewięć czterdzieści trzy. Peabody! Przewiń nagranie do dzisiejszego poranka. Sprawdź, o której wyszedł jego współmałżonek i czy ktokolwiek jeszcze potem przychodził.

– Owszem. Mam tu mężczyznę w tweedowej marynarce – zaczęła Peabody – gość pod sześćdziesiątkę, około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, na oko osiemdziesiąt kilogramów. W ręce neseser. Kie-

ruje się wprost do drzwi. Wchodzi do środka kilka minut po szesnastej. Ma kartę dostępu, wprowadza kod. Wpuszcza do środka zespół ratowników medycznych o godzinie szesnastej dziesięć. Dwóch mundurowych przybywa o szesnastej szesnaście. – Policjantka z krótkimi ciemnymi włosami, ściągniętymi jak zwykle w krótką, podskakującą kitkę, rzuciła okiem w stronę drzwi. – Przejrzę raz jeszcze wstecz – dodała.

Eve znów przystąpiła do oględzin ciała.

– Brak ran świadczących o napaści czynnej lub otrzymanych w samoobronie. Głowa i kolano: możliwe uderzenie, ale obrażenia wyglądają raczej na związane z upadkiem. Denat był dobrze zbudowanym mężczyzną, prawdopodobnie fizycznie sprawnym i silnym. Niewątpliwie walczyłyby w swojej obronie, gdyby miał taką możliwość. Może zjadł coś lub wypił?...

– Ten sam mężczyzna, zapewne współmałżonek, wychodzi z domu o siódmej dwadzieścia z rana. Wcześniej nie ma żadnego ruchu. Aha! Jest jeszcze coś... Kobieta w uniformie firmy kurierskiej Global Post & Packages. Dzwoni do drzwi o dziewiątej trzydzieści sześć. Otwiera jej nasz nieboszczyk. Zachowuje się przyjaźnie, jakby się dobrze znali. Odbiera paczkę, kobieta odchodzi.

Eve wstała i podeszła do kuchennego blatu.

– Standardowe kartonowe pudełko do pakowania przesyłek? – podjęła po chwili. – Sześcian o ściance długości piętnastu centymetrów?

– Tak, dokładnie takie – potwierdziła Peabody. – Przewijam dalej. Nie ma nic pomiędzy dostarczeniem przesyłki a powrotem małżonka. – Wróciła do kuchni.

– Tutaj leży nóż do rozcinania paczek. Mężczyzna zmarł siedem minut po otrzymaniu przesyłki. Przynosi ją tutaj i od razu otwiera – dedukowała Eve. – Wyjmuje z niej tę szkatułkę z taniej imitacji drewna z małym zameczkiem i dołączonym kluczykiem. Otwiera. Na podłodze leżą rozbite kawałki jakiegoś kruchoego materiału: prawdopodobnie kolejny pojemnik z zewnątrz malowany na złoty, błyszczący kolor, biały od środka. Może to twardy plastik. Ten pojemnik coś krył. Mężczyzna otwiera go i... Szlag! – Nagle cofnęła się o kilka kroków. – Wezwij natychmiast służby neutralizujące i zabezpieczające substancje niebezpieczne.

– A niech to cholera! – zawtórowała Peabody.

– Małżonek żyje, nic się też nie stało zespołowi ratowników medycznych ani policjantom, którzy przybyli na miejsce zdarzenia. Cokolwiek to było, musiało ulec całkowitemu rozproszeniu. Mimo to wezwij ich i poinformuj, że mamy do czynienia z nieznaną substancją toksyczną.

Eve ponownie podeszła do kuchennego blatu i przebiegła wzrokiem dane nadawcy, umieszczone na pudełku.

– „Wszystko, co łśni”. – Sprawdziła w internecie. – Nie ma takiego sklepu. Adres też jest fałszywy.

– Jednostka jest już w drodze – zameldowała Peabody. – Radzą nam, żebyśmy się stąd czym prędzej ewakuowały.

– Jest już na to za późno. Siedem minut, Peabody. Odejmij ze dwie, aby tu dojść, wyciągnąć nóż do rozcięcia pudełka i wszystko pootwierać. Kiedy się zabrał do rozbrojenia paczki siedem godzin temu, właściwie już nie żył. – Zastanowiła się, co dalej. – Wyślij mundurowego Carmichaela oraz funkcjonariuszkę Shelby do firmy wysyłkowej Global Post & Packages, dowiedz się, w którym miejscu wrzucono paczkę do wysłania, kto ją wrzucił, czy mają tam monitoring i kamery z zapisem obrazu. Później skontaktuj się z kosmiczną i poinformuj ich, że mamy nieboszczyka do zbadania na cito.

– Dallas! Dotykałaś go!...

– Zabezpieczonymi dłońmi – odbiła piłeczkę Eve. – Dotykał go i jego małżonek, i ratownicy medyczni. Cokolwiek go zabiło, nie jest już aktywne. Wykonało swoją robotę.

Znieruchomiała na moment niczym posąg, wysoka, o wysportowanej, szczupłej sylwetce, z krótką grzywą kędzierzawych włosów, przenikliwym spojrzeniem piwnych oczu, w brudnej skórzanej kurtce i brązowych ciężkich butach.

Podstawowe zasady bezpieczeństwa – napomniała się w myślach.

– Najpierw oczyszczę i zdezynfekuję ręce, stosując się do wymagań regulaminu – rzekła. – Kiedy to zrobię, porozmawiamy z małżonkiem. Trzeba pozbierać wszystkie ubrania, zabezpieczyć je w workach i zawieźć do przebadania; te, które mąż miał na sobie, kiedy dotykał denata. Skieruj to do laboratorium substancji niebezpiecznych – poleciła partnerce, po czym schwyła swoją walizeczkę oględzinową i ruszyła w poszukiwaniu toalety z umywalką lub łazienki. – Skontaktuj się wpierw z firmą kurierską – rzuciła przez ramię. – Musimy porozmawiać z kobietą, która dostarczyła przesyłkę.

Może być już na to za późno... – myślała, szorując dłonie specjalnym pilingiem w eleganckiej toalecie o rdzawoczerwonych ścianach.

Zgodnie z kodeksem małżeńskim – który sama opracowała i spisała na własny użytek, a którego przestrzegania bardzo pilnowała – powinna teraz poinformować o wszystkim własnego małżonka.

Roarke wprawdzie odnosił się z pełnym zrozumieniem do jej absurdalnych godzin pracy, ale do ustaleń własnoręcznie spisanego kodeksu należało się stosować.

Peabody podeszła do drzwi.

– Carmichael i Shelby są już w drodze do firmy kurierskiej. Mam też nazwisko osoby, która dostarczyła tę konkretnie przesyłkę. To Lydia Merchant. Zakończyła pracę o zwykłej porze, udało mi się dobrać wszystkie jej dane kontaktowe.

– Sprawdź ją od razu. Byłyby dość dziwne, gdyby chciała otruć klienta, sama dostarczając mu paczkę, jednak głupota ludzka nie zna granic.

Eve poczekała jeszcze na ekipę toksykologów, ze stoickim spokojem zniosła badanie skanerem, aby upewnić się, że jej ciało nie wchłonęło żadnych substancji trujących, i zaczęła słabo protestować, dopiero kiedy laborant-technik uparł się pobrać jej krew i wykonać na miejscu badanie na obecność toksyn. Zgodziła się jednak, zdając sobie sprawę z tego, że lepiej dmuchać na zimne. Chciała to mieć już za sobą i ruszyć dalej z robotą.

Po skontrolowaniu krwi i uzyskaniu wyniku negatywnego powędrowały z Peabody na górę przeprowadzić rozmowę z małżonkiem. Po drodze młodsza policjantka odszukała informacje o Lydii Merchant.

– Dziewczyna ma dwadzieścia siedem lat – zaczęła. – Zatrudniona od sześciu lat w GP & P. Czysta karta zatrudnienia, brak jej nazwiska w rejestrach kryminalnych.

– Mimo to i tak z nią porozmawiamy – odrzekła Eve.

Ubrania Rufty'ego zostały już spakowane do plastikowych worków i zabezpieczone. Mężczyzna znajdował się w kącie wypoczynkowej sypialni, całej tonącej w rdzawych czerwieniach i starym złocie. Siedział na miękkiej dwuosobowej sofce, widocznie cierpiąc, wciąż w szoku. Przebrał się w szare dresowe spodnie i granatowy podkoszulek ze złotymi literami T.A.G. na piersi.

Miał wypielęgnowaną brązową kokią brodkę z blond pasemkami, dopasowaną w kolorze do kudłatej czupryny. Był wysokim, postawnym mężczyzną o pociągłej twarzy i ciemnobrązowych oczach, w tej chwili pełnych łez.

Na serdecznym palcu lewej ręki nosił obrączkę z białego złota – identyczną jak denat. Obie dłonie spłótł tak mocno, jakby go to miało uchronić przed rozsypaniem się w kawałki.

Eve dała znak mundurowemu, który siedział obok.

– Zaczynjcie z partnerem przepytywać sąsiadów – poleciła. – Chcę się dowiedzieć, czy ktoś coś zauważył. Jeśli dotykaliście ciała lub czegokolwiek innego, musicie się poddać badaniu toksykologicznemu w celu neutralizacji potencjalnych trucizn.

– Tak jest, pani porucznik! – Odchodząc, spojrzął przez ramię na Rufty'ego. – On chce zadzwonić po swoje dzieci, lecz jak na razie udało mi się go od tego odwieść. Na pewno dotykał ciała.

– Do tego też dojdziemy. Na razie proszę zabrać na dół torby z ubraniami i oddać je technikom. Niech ktoś od nich przyjdzie tu na górę i przeskanuje męża ofiary.

Podeszła do Rufty'ego i usiadła naprzeciw niego w głębokim czerwonym fotelu.

– Panie Rufty – zaczęła spokojnie – jestem porucznik Dallas, a to moja partnerka, detektyw Peabody. Nasze kondolencje.

– Ja... Muszę porozmawiać z dziećmi. Nasze dzieci... Muszę...

– Wkrótce będzie mógł pan to zrobić. Zdamy sobie sprawę, że to trudny dla pana czas, musimy jednak zadać kilka pytań.

– Ja... Wróciłem do domu i już od drzwi zawołałem coś w stylu: „Jezu! Kent! Co za dzień! Musimy koniecznie to oblać!”. – To rzekłszy, zakrył swą pociągłą twarz dłońmi o długich palcach. – Poszedłem od razu do kuchni i... i... Kent... Kent... Leżał na podłodze. On był... próbowałem... nie mogłem... on był...

Peabody pochyliła się ku niemu, ujęła jego dłoń i przykryła swoją.

– Bardzo nam przykro, doktorze Rufty. Nie mógł pan nic zrobić.

– Jednakże... – Odrzucił się do niej, jego twarz wyrażała rozpaczliwą prośbę: pomóż mi! wyłumacz! zrób coś, żeby to powstrzymać!

Przynajmniej tak to widziała Eve.

– Nie rozumiem... – ciągnął. – Był okazem zdrowia. Zawsze mnie namawiał do ćwiczeń, do zdrowego odżywiania. Był taki silny, taki wysportowany. Nie rozumiem... Zamierzał pobiegać dziś przed południem. Zawsze chodził pobiegać, ilekroć miał wolne od pracy. Biegał nawet w przerwie na lunch, o ile pozwalał mu na to grafik przyjąć pacjentów. Miał zamiar dokończyć krzyżówkę, a potem pobiegać.

– Panie Rufty! – Odczekała, aż rozbiegane piwne oczy na nowo się na niej skoncentrowały. – Czy oczekiwaliście nadejścia paczki w dniu dzisiejszym? Lub jakiegokolwiek przesyłki?

– J-ja pojęcia nie mam. Nie mogę zebrać myśli.

– Czy kiedykolwiek zamawialiście coś z outletu o nazwie „Wszystko, co lśni”?

– Nie sądzę.
– Czy przesyłki dostarczała wam firma kurierska Global Post & Packages?
– Tak. Owszem, dostarczała je nam Lydia, ale ja... – Przyłożył dłoń do skroni. – Nie sądzę, żebyśmy tym razem coś zamawiali. Nie przypominam sobie.

– W porządku! Proszę na mnie spojrzeć, panie Rufty! Czy zna pan kogoś, kto chciał skrzywdzić pańskiego męża?

– Co takiego?! – Mężczyzna drgnął. Na jego twarzy odmalował się szok. – Skrzywdzić Kenta? Nigdy! W życiu! Nie, na pewno nie. Wszyscy go uwielbiali. Wszyscy! Nic nie rozumiem.

Eve z całkowitym spokojem wysłuchiwała jego krzyku. Rozpaczy wyartykułowanej wysokim, łamiącym się głosem.

– Może ktoś z jego biura? Z przychodni, gdzie prowadził praktykę? Z waszego sąsiedztwa?

– Nie, nie! Kent prowadzi wspaniałą przychodnię. Leczy niemowlęta i małe dzieci. Doskonale mu się tam wiedzie. Pracuje tak ciężko dla swoich małych pacjentów. Może pani spytać każdego – dodał, a jego głos znów wskoczył na wysokie tony. – Może pani spytać kogokolwiek, wszystkich, którzy tam pracują. Wszyscy bez wyjątku uwielbiali Kenta!

– W porządku. Byliście bardzo długo małżeństwem. Czy mieliście jakieś problemy?

– Nie i jeszcze raz nie. Kochaliśmy się. Mamy wspólne dzieci. Mamy wnuki. Muszę się skontaktować z naszymi dziećmi.

Kiedy zaczęła lkać, Peabody podeszła i usiadła tuż obok niego.

– Wiem, że to trudne – powiedziała. – Czy Kent wspominał może o kimkolwiek, kto mógłby go niepokoić? Czy kiedykolwiek wspominał o kimś lub o jakimś przypadku, który by wzbudził u niego jakiegokolwiek obawy?

– Nie. Nic, o czym bym pamiętał. Nie, nie. Nie rozumiem. Co się właściwie stało? Co się stało? Czy ktoś skrzywdził Kenta?

– Panie Rufty! – Eve nie miała innego wyjścia, jak powiedzieć mu to prosto z mostu. – Sądźmy, że doktor Abner dostał dziś z rana przesyłkę zawierającą jakieś toksyczne związki, które spowodowały jego śmierć.

Łzy dalej płynęły z oczu mężczyzny, lecz jego ciało stężało. Wyprostował się jak struna.

– Co? Co takiego?! Czy chcecie przez to powiedzieć, że ktoś zabił Kenta? Ktoś przysłał coś na nasz adres, do naszego domu? Przysłał coś, co go zabiło?!

Eve wstała, słysząc pukanie do drzwi, i wpuściła do środka technika ekipy likwidującej ślady zbrodni, ubranego w białe kombinezony.

– Musimy zachować środki ostrożności. Skoro dotykał pan ciała ofiary, poprosimy o poddanie się przeskanowaniu. Będziemy też zmuszeni prosić o zgodę na pobranie krwi w celu jej przebadania. Możliwe, że paczka, którą otworzył denat, zawierała jakieś toksyczne substancje.

– Nie ma takiej możliwości! – Mężczyzna natychmiast odrzucił wszelkie sugestie. – Nikt nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nikt, kto znał Kenta, nie uczyniłby niczego takiego.

– Mimo wszystko musimy zachować ostrożność – powtórzyła Eve, patrząc Rufty'emu w oczy. – Zamierzamy uczynić wszystko, co w naszej mocy, ażeby wykryć, co się stało pańskiemu mężowi.

– Kochał go pan – wtrąciła Peabody łagodnym tonem. – Na pewno pan chce, żebyśmy wykryli sprawcę.

– Tak. Róbcie to, co macie do zrobienia. A potem, proszę, pozwólcie mi zawiadomić dzieci. Muszę porozmawiać z naszymi dziećmi.

Eve odczekała, aż Rufty zostanie przeskanowany, przebadany oraz poddany powierzchniowej neutralizacji. Cokolwiek zabiło Kenta Abnera, uległo rozkładowi, zanim ktokolwiek zbadał jego ciało.

– Teraz może pan zadzwonić do dzieci – poinformowała Eve Rufty'ego. – Czy jest jakieś miejsce, do którego mógłby się pan przenieść na kilka dni? Lepiej by było, gdyby pan nie został tutaj.

– Mógłbym pomieszkać u naszej córki. Utrzymywaliśmy bliższe kontakty. Syn mieszka w Connecticut, ale Tori wraz z rodziną ma mieszkanie kilka przecznic od nas. Mogę się u niej zatrzymać.

– Zorganizujemy panu transport i przewieziemy tam, kiedy będzie pan gotów.

Rufty zamknął oczy, a kiedy je otworzył, po łzach nie było już śladu. W jego spojrzeniu tliła się determinacja.

– Muszę się dowiedzieć, co się stało mojemu mężowi. Ojcu moich dzieci. Mężczyźnie, którego kochałem przez czterdzieści lat. Jeśli ktoś istotnie dopuścił się takiego czynu, jeśli ktoś go skrzywdził, muszę wiedzieć, kto to zrobił. I dlaczego.

– Odnalezienie odpowiedzi na te pytania to nasza praca, panie Rufty. Jeśli cokolwiek się panu przypomni, cokolwiek – podkreśliła Eve – proszę się ze mną skontaktować.

– Kent był takim dobrym człowiekiem! Kochającym wszystkich. Nigdy w życiu by nikogo nie skrzywdził. Wszyscy go lubili. Uwielbiali go.

Ktoś go jednak nie lubił – pomyślała Eve.

– Wierzę mu – odezwała się Peabody, kiedy opuszczały miejsce zbrodni. – Faceta to nieszczęście dosłownie zwałilo z nóg. Nie kłamał, kiedy mówił, że nie zna nikogo, kto mógłby wziąć na Abnerze odwet.

– Zgadzam się, tylko że współmałżonek nie zawsze o wszystkim wie. Musimy podrażnić w życiu Abnera, w jego pracy, zwyczajach, hobby. Może wypłyną jakieś pozamałżeńskie związki?

Peabody pokiwała głową, podziwiając jednocześnie dom z brązowego piaskowca z małym przedogrodkiem. Uwagę przyciągały zwłaszcza rozkwitłe niedawno tulipany.

– Wiesz, byłoby o wiele gorzej, gdyby się okazało, że to był totalny przypadek. Pech. Zły los. Fatum.

– E tam! Dajże spokój z tym swoim „o wiele gorzej”. Paczkę zaadresowano do konkretnej osoby, więc musimy szukać konkretów. Tymczasem zamieńmy słówko z dziewczyną z firmy kurierskiej.

Peabody wstukała jej adres do nawigacji w desce rozdzielczej samochodu.

– Nic ci nie jest, dobrze się czujesz? – chciała się jeszcze upewnić.

– Nic mi nie jest – odrzekła Eve. – Przecież nasza ekipa medyków-wampirów wysała ze mnie całą krew i zneutralizowała wszelkie toksyny.

– Taa... Poczuję się zdecydowanie lepiej, kiedy zidentyfikują te toksyny. – Peabody wyjrzała przez okno ze ściągniętymi brwiami. – Denat leżał tam od kilku godzin. Dobrze chociaż, że cokolwiek to było, uległo rozkładowi, wszyscy pozostali żyją. Źle, że nieboszczyk leżał tam tyle godzin.

– Mhm... Pomyśl tylko: paczkę dostarczono z samego rana. A zatem ktoś dokładnie wiedział, że nikt się nie zjawi w mieszkaniu aż do późnego popołudnia. To mi wygląda na zabójstwo konkretnej, wybranej osoby. Zauważ, że zginął tylko Abner. – Eve, precysjonując się między sznurami aut, wybrała na swoim naręcznym zegarku wielofunkcyjnym numer funkcjonariuszki Shelby. – Cześć! No i co tam słychać? Co ci się udało ustalić?

– Firma przesłała trasę przesyłki aż po paczkomat w West Houston, pani porucznik. Nadawca załogował się do automatycznej, samoobsługowej wrzutni, działającej po godzinach pracy dyspozytorni, punktualnie o dwudziestą drugą.

– Są jakieś nagrania z kamer ochrony?

– No właśnie, w tym sęk, pani porucznik. Bo kamera miała awarię od dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt osiem do dwudziestej trzeciej zero dwa.

– Awaria, powiadasz? Tylko idiota nazwałby to przypadkowym zbiegiem okoliczności.

– Tak jest, pani porucznik! Funkcjonariusz Carmichael, który idiotą nie jest, od razu wezwał ekipę speców od technik operacyjnych w celu sprawdzenia kamer ochrony i nagrań z tej dyspozytorni. Jeśli jednak zabójca okaże się idiotą... Za wysyłkę paczki zapłacono smartfonom. Miała zostać dostarczona z samego rana następnego dnia. Rzeczona płatność ściągnięto z konta niejakej Brendiny A. Coffman, lat osiemdziesiąt jeden, zamieszkałej przy ulicy Bleecker numer trzydzieści osiem, mieszkania jeden A.

– Od razu złożymy jej wizytę. Dobra robota, Shelby!

Peabody nie zdążyła się wczepić dłonią w uchwyty bezpieczeństwa przy drzwiach, kiedy Eve z piskiem opon skręciła na najbliższym skrzyżowaniu, zmieniając kierunek jazdy.

– Zdobądź nakaz prokuratorski! – rzuciła do niej Eve. – Musimy zerknąć na historię karty kredytowej Coffman.

– Brendina Coffman – odczytała głośno Peabody z ekranu swego podręcznego komputera, gdy Eve lawiowała wśród rzeki samochodów, pędząc do ulicy Bleecker. – Pozostaje w związku małżeńskim z Roscoe Coffmanem od pięćdziesięciu ośmiu lat. Od trzydziestu jeden mieszkają wspólnie pod obecnym adresem. Emerytowana księgowa, zatrudniona w firmie Loames & Gardner przez... o rety! przez pięćdziesiąt dziewięć lat! Zadnych zatargów z prawem przez ostatnie pół wieku. Drobne zajścia, kiedy miała dwadzieścia kilka lat: dwukrotne zakłócenie porządku publicznego. Dochowali się trójki dzieci, w kolejności: płci męskiej, płci żeńskiej i jeszcze jedno płci męskiej. Wiek odpowiednio: pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt trzy oraz czterdzieści osiem. Sześcioro wnucząt w wieku od lat dziesięciu do dwudziestu jeden.

– Zaczynaj sprawdzać wszystkich po kolei – zarządziła Eve. – Tego na pewno nie zrobił pierwszy lepszy kretyn – mruknęła pod nosem. – Aż takimi szczęściami nie jesteśmy. Na wszelki wypadek sprawdź ich wszystkich – powtórzyła.

– Okej. No cóż... Najstarszym potomkiem Coffmanów jest rabbin Miles Coffman, żonaty z Rebekką Greene Coffman od dwudziestu jeden lat. Wyświetla mi się przy nim synagoga Szalom. Ona jest nauczycielką w hebrajskiej szkole przy tej synagodze. Mają trójkę dzieci w wieku lat dwudziestu,

osiemnastu oraz szesnastu, odpowiednio: płci żeńskiej, męskiej i męskiej. Nic nie figuruje w aktach policyjnych o dzieciach, nie odnotowano też kryminalnych aktów w przypadku rodziców.

Nie widząc wolnych miejsc parkingowych, Eve zaparkowała na drugiego, wywołując lekkie zdenerwowanie u innych kierowców jadących ulicą Bleeker. Zignorowała to jednak i włączyła koguta na dachu.

– Do boju! – rzekła Eve i wysiadła. Stojąc już na chodniku, zaczęła się uważnie przyglądać solidnej, starej szeregówce. Trzykondygnacyjna, o wyblakłej elewacji z cegły. Żadnego graffiti, czyste szyby w oknach. Niektóre otwarte dla wpuśczenia do środka chłodnego wiosennego powietrza.

– Marion Coffman Black, zameżna od dwudziestu trzech... nie... od dwudziestu czterech lat... z Francisem Xaviorem Blackiem. Obchodzą właśnie rocznicę ślubu. Ona jest zatrudniona od dwudziestu lat jako księgowa w tej samej firmie, w której pracowała matka. Znalazłam dwa drobne incydenty naruszające prawo. Kiedy miała lat dwadzieścia z okładem, brała udział w nielegalnych protestach. Od tamtego czasu nic więcej się nie zdarzyło. Syn, lat dwadzieścia jeden, student na Uniwersytecie Notre Dame. Córka lat dziewiętnaście, również uczy się w Notre Dame.

– Zatrzymaj się na tym, proszę – rzuciła Eve, kiedy się zbliżyły do szarych drzwi segmentu jeden A.

Przywoity system monitoringu – pomyślała – aczkolwiek nic specjalnego. Nacisnęła dzwonek.

Kobieta, która im otworzyła, wyglądała nadzwyczaj dobrze jak na swoje osiemdziesiąt jeden lat. Włosy ufarbowane na atramentowoczarno, wytapirowane i polakierowane, tworzą kulę, której nie naruszyłby największy nawet huragan – przemknęło Eve przez głowę. Usta umalowała na czerwien ulicznego znaku stopu. Policzki miała uróżowane, oczy mocno podkreślone czarną kredką, powieki wycieniowane, a rzęsy grubo pociągnięte tuszem.

Ubrana była w koktajlową suknię w kolorze ultramaryny ze stójką przy szyi i z długimi rękawami. Obrzuciła Eve i Peabody zdziwionym spojrzeniem orzechowych oczu.

– Niczego nie kupujemy – powiedziała.

– A my niczego nie sprzedajemy – odrzekła Eve i zaprezentowała swą policyjną odznakę.

Twarz Brendiny zbladła jak prześcieradło.

– Joshua! – zawołała piskliwie.

– Nie, psze pani! – pospieszyła z wyjaśnieniem Peabody. – Tu nie chodzi o pani syna. – Po czym zwróciła się do swej partnerki: – Syn pani Coffman, Joshua, również jest policjantem. – A następnie ponownie odwróciła się do pani Coffman. – Nie chodzi nam o pani syna.

– Okej, okej! W takim razie w czym rzecz?

– Może mogłybyśmy wejść na momentek... – zaczęła Eve.

– Właśnie wychodzimy – weszła jej w słowo kobieta. – O ile Roscoe wreszcie skończy się pindrzyć.

– Nie zabierzemy wam wiele czasu.

Niezadowolona Brendina skinęła głową i odsunęła się na bok, żeby wpuścić obie śledcze do schludnego salonu. Tak wypucowanego, że drobinki kurzu muszą czmychać w popłochu na jego widok – pomyślała Eve. Staromodne meble miały zapewne tyle lat, co ich małżeństwo, lecz lśniły jak lustro. Sofę zdobiło kilka eleganckich poduch.

Pod ścianą stało niewielkie pianino z mnóstwem rodzinnych zdjęć w ramkach. W powietrzu unosiła się mocna woń cytryny.

– Czy to pani robota te koronki igłowe? – jęknęła z zachwytem Peabody, miłośniczka rękodzieła. – Są przepiękne!

– Ach! Wkręciła mnie w to moja synowa i teraz nie mogę już przestać. O co właściwie chodzi?

– Pani Coffman, czy wczoraj wieczorem wysyłała pani ekspresową paczkę do Kenta Abnera z dyspozycją dostarczenia dzisiejszego ranka? – Eve przeszła do konkretów.

– Dlaczego miałabym to zrobić? Nie znam żadnego Kenta Abnera.

– Pani karta kredytowa została obciążona kosztami wysyłki.

– Jakim cudem, skoro niczego nie wysyłałam?

– Może zechciałyby pani to sprawdzić, a my poczekamy.

– No dobrze, dobrze. Roscoe! Na litość boską! Znowu się spóźniliśmy! – krzyknęła w stronę drzwi. –

Co za facet! Zawsze muszę godzinami na niego czekać. Przez tego guzdrałę nigdzie nie zdążamy na czas. Wybieramy się na przyjęcie z okazji dwudziestej czwartej rocznicy ślubu naszej córki – wyjaśniła, podchodząc do schludnie utrzymanego biureczka, na którym stał mały laptop. – Wyszła za mąż za katolika. Nigdy by mi nawet przez myśl nie przeszło, że mogłaby to zrobić, ale Frank okazał się dobrym człowiekiem i dobrym ojcem, a poza tym zapewnił jej dobre, dostatnie życie. Tak więc my... Ach! Niech to wszyscy diabli!

A jednak! – pomyślała Eve, kiedy Brendina znów się do nich odwróciła.

– Faktycznie! Moja karta została obciążona kosztami takiej przesyłki! To z pewnością jakiś błąd. Mam tu wyszczególnione obciążenie rachunku o godzinie dwudziestej drugiej w dniu wczorajszym. Wczoraj o tej porze leżałam w łóżku, oglądając w telewizji jakiś program, a raczej usiłowałam go obejrzeć. Roscoe chrapał w najlepsze, rżąc jak stary parowóz. Zawsze zapisuję wszystkie wydatki, więc wiem, ile mam na koncie i ile mogę wydać. Byłam księgową dłużej, niż wy obie żyjecie na tym świecie.

– Nie wątpimy w to, pani Coffman.

Tymczasem wkurzona Brendina zaczynała się dopiero rozkręcać.

– Ach! Ci z tej firmy kurierskiej GP & P jeszcze mnie popamiętaj! Możecie mi wierzyć! – Dłonie zaciśnięte w pięści oparła na biodrach. Jej oczy ciskały błyskawice na Eve, jakby to ona była winna całemu zajściu. – Lepiej, żeby to wszystko wyjaśnili. Chciałabym się naprawdę dowiedzieć, jak ktoś zdołał wyciągnąć moje dane, bo tak to właśnie wygląda. Komuś z tego GP & P widocznie omsknął się palec na klawiaturze – pomstowała.

– Wierzmy, że spotkała się pani z podobną sytuacją pierwszy raz – orzekła Eve.

– Zaraz pozmieniam wszystkie kody dostępu. Wszystkie, zapewniam was. Chciałabym, żeby spojrzął na to mój syn. Jest ostatecznie funkcjonariuszem policji.

– Tak jest, droga pani! Mogłaby pani poprosić syna, żeby się skontaktował z nami w komendzie głównej policji? Na razie jednak... czy zechciałaby nam pani zdradzić, kto miał dostęp do pani konta?

Brendina najpierw dźgnęła palcem wskazującym w powietrze, a potem postukała się w pierś.

– Ja! A któż by inny? Naturalnie i Roscoe ma dostęp, ale on założył swoje konto, a mój login i hasło posiada tylko na wypadek, gdyby zdarzyła się jakaś awaria. Z tego samego powodu ja mam jego login i hasło. Roscoe, przyjdźże tu, na litość boską!

– Przestań się drzeć, kobieto, do jasnej anielski! Przecież już idę! Idę już, Brendi!

Kiedy się wreszcie pojawił, Eve przyszła na myśl słowo elegancik. Ubrany w bładniebieski garnitur w białe prążki, białą koszulę oraz jasnoczerwoną muszkę z poszetką w tym samym kolorze, wyglądał sztywnie. Srebrnosiwe włosy szczała do tyłu i wybłyszczył tak, że lśniły jak księżyc w lustrze wody. Siwe wąsy strzygł i pielęgnował zaiste perfekcyjnie.

Jego oczy miały kolor garnituru.

– Nie powiedziałaś mi, że mamy towarzystwo. – Uśmiechnął się wesoło do Eve i Peabody.

– To nie towarzystwo, lecz policja.

– Koleżanki z pracy Joshui?

– Nie, proszę pana – odezwała się Eve. – Jesteśmy tu w sprawie paczki, którą dostarczono dzisiaj-szego ranka. Opłata za tę czynność została ściągnięta z konta pańskiej żony.

– Co przesłałaś, Brendi?

– Nic! Ktoś się podszył pode mnie i włamał na moje konto!

Popatrzył na nią z sympatią, aczkolwiek zaskoczony.

– Jak udało im się tego dokonać?

– Pojęcia nie mam. A powinnam mieć?

– Pani Coffman – wróciła się Eve – czy ma pani gdzieś przy sobie swój telefon?

– Oczywiście, że mam. Właśnie przekładałam rzeczy z jednej torebki do drugiej, kiedy zadzwoniłyście.

To rzekłszy, pomaszerowała w stronę drzwi, za którymi – jak się domyśliła Eve – kryła się sypialnia. Wkrótce wróciła z niej szybkim krokiem, taszcząc olbrzymią torbę na ramię w żywym fioletowym kolorze oraz równie wielką, połyskliwą, czerwoną torebkę wieczorową – o barwie dopasowanej do muchy męża, jak skonstatowała Eve.

– Akurat wyjmowałam z niej to, co mi się przyda na wieczór. – Po czym, jakby na dowód, zagłębiła rękę w czeluściach przepastnej torby.

Brendina, do tej pory jedynie poirytowana, nagle zrobiła przerażoną minę. Skierowała się szybkim krokiem do stolika kawowego i wyrzuciła na jego blat zawartość torby.

Eve przyszło na myśl, że jeśli kobieta dawała radę, ciągnąc za sobą ten wór bez dna, to i teraz przeżyje stratę.

– Zniknął! O mój Boże! – zdenerwowała się. – Nie ma mojego telefonu!

– Gdzież on może być, Brendi? – zainteresował się mąż.

– Na litość boską, Roscoe! Odczepże się!

– Tylko się nie denerwuj, kochanie. Pomogę ci go szukać – zafoiarował się małżonek.

Kobieta natychmiast złagodniała.

– Nie ma takiej potrzeby, kochanie. Zniknął. Ktoś musiał widocznie ukraść go z mojej torebki.

– Kiedy po raz ostatni używała pani telefonu? – spytała Eve.

– Na pewno wczoraj. Wszystkie razem pojechałyśmy na zakupy. To znaczy moje dziewczyny i ja: moje synowe i córka. Marion chciała kupić nowe buty na dziś wieczór, musiała też odebrać zegarek wielofunkcyjny, ten, który zamówiła dla Franka w prezencie. Oddała go do wygrawerowania dedykacji. No i... Mój Boże! Byłyśmy nieomal wszędzie. Zjadłyśmy późny lunch. Użyłam telefonu, żeby zadzwonić do siostry w celu poinformowania jej o zmianie godziny rezerwacji w restauracji na wpół do trzeciej, bo to wszystko zajęło nam sporo czasu. Była z nami umówiona, a zawsze ją szlag trafia, kiedy musi gdzieś czekać.

– Gdzie pani przebywała w czasie wykonywania tego połączenia?

– Ach!... – Kobieta przyłożyła dłoń do czoła. – W okolicy skrzyżowania ulic Chambers i Broadway. Jestem tego prawie pewna. Właśnie wyszłyśmy od jubilera, który się tam mieści.

– Przypomina sobie pani może, czy korzystała później z telefonu?

– Wiem, że już go nie używałam. Poszłyśmy jeszcze coś kupić, a potem spotkałyśmy się z siostrą i zjadłyśmy razem lunch. Siedziałyśmy dość długo w restauracji. Kiedy wychodziłyśmy, Marion się uparła, żebyśmy z Rachel, czyli moją siostrą, wróciły do siebie taksówką. Zamówiła ją nawet i opłaciła z góry kurs. Nie dała sobie wybić tego z głowy. Wróciłam do domu, ucięłam sobie drzemkę. To był męczący dzień. Później zjedliśmy z mężem kolację na ciepło, pooglądaliśmy telewizję. A dziś nigdzie jeszcze nie wychodziłam. Musiałam trochę posprzątać w domu, zajęłam się też przygotowaniami do dzisiejszego wieczoru. Mam w telefonie ustawione dokonywanie płatności tylko z jednego konta. Płacę nim za zakupy i robię opłaty za mieszkanie, jednakże...

– Już dobrze, Brendi! – Roscoe objął żonę ramieniem. – Pomogę ci. Czas najwyższy, żebyś kupiła nowy.

– Ech! – Wtuliła się w niego z wdzięcznością, głośno westchnąwszy. – Pozwól mi korzystać ze swojego, Roscoe, a w końcu jakoś to wszystko ogarnę. Teraz już na pewno się spóźnimy.

– Peabody, daj państwu nasze wizytówki. – Eve znów popatrzyła na Coffmanów. – Możecie poprosić waszego syna, żeby się z nami skontaktował?

– Oczywiście. Dziękujemy za wszystko! Będę musiała jakoś sobie z tym poradzić. Porozmawiajcie z Joshua. Jest w końcu funkcjonariuszem policji.

Peabody wsiała do samochodu i zapięła pasy bezpieczeństwa.

– Może zabójca wypatrywał łatwej ofiary? – zastanawiała się na głos. – Starsza kobieta, zagadywana przez kilka młodszych, kompletnie nimi zaabsorbowana. Może podążał za nimi jakiś czas? Zatłoczony sklep, niby przypadkowe zderzenie i wywołanie telefonu z torby.

– Całkiem prawdopodobny rozwój wydarzeń – zgodziła się z nią Eve. – Zobaczył starszą kobietę i pewnie wykoncytował sobie, że nie będzie ciągle sięgać po telefon, a jeśli już, to pomyśli, że gdzieś go zawieruszyła po drodze i nie będzie od razu zmieniać wszystkich loginów i haseł do swoich kont w banku. Może jeszcze teraz tego nie zrobiła, a on potrzebował ledwie kilku godzin. Użył go, po czym wyrzucił i zajął się innymi sprawami – ciągnęła Eve, przedzierając się przez korki uliczne. – To zapewne nie ma nic wspólnego z resztą jej rodziny i nie ma tu nic do rzeczy, że należy do niej i policjant, i rabin. Nie czyni to z nich bynajmniej ludzi wyjątkowych, gdyby jednak ktoś z ich rodziny zrobił coś podobnego, byłoby to czymś totalnie nieprzemysłanym i głupim.

– Masz zamiar wtajemniczyć sierżanta Coffmana?

– Może i tak. Jeśli się okaże, że są tu jakieś powiązania, mógłby się przyjrzeć sprawie i pod tym kątem. Porozmawiamy też z tą kurierką. Ona również nie wygląda mi na powiązaną z morderstwem, chyba że ktoś żywi do niej urazę i chciał ją wpędzić w kłopoty.

– To również byłoby głupie.

– Oczywiście, ale i tak z nią porozmawiamy. Pracuje od lat w tej okolicy. Może zna kogoś w sąsiedztwie, kto nie przepada za Kentem Abnerem?

Lydia Merchant mieszkała w czteropiętrowym bloku, zbudowanym jakiś czas po wojnach miejskich. Na parterze mieścił się spożywczy, z którego dochodził zagadkowy zapach tacos. Ani jedno okno nie było otwarte, aby wpuścić do środka woń wiosennego wieczoru. W większości zamontowano kraty antywłamaniowe.

Pomimo pięciu kondygnacji do pokonania, rzut oka na pomalowane na zielono drzwi do windy – z przylepioną kartką AWARIA oraz z ziejącym złością dopiskiem pod spodem: ZNOWU! – zachęcił Eve do pchnięcia drzwi wiodących na klatkę schodową.

Peabody westchnęła ciężko pod nosem, mamrocząc coś w stylu: „Luźne gatki jak nic!”, i zaczęła się wspinać po stopniach za szefową. Zewsząd dolatywały najróżniejsze zapachy: a to jakiegoś chińskiego dania na wynos, a to czyjś niematego ciała, a to taniej wody kolońskiej, a co najdziwniejsze – woni przywodzącej na myśl świeżo zerwane róże.

Kiedy się znalazły na ostatniej kondygnacji, Eve przyjrzała się w pierw uważnie drzwiom mieszkania Lydii. Solidne, wyposażone w trzy porządne zamki, alarm z powiadomieniem na policję, sprawiły wrażenie zapory nie do zdobycia. Nie postawiła na skomplikowaną elektronikę.

Taniej – pomyślała Eve – a efekt podobny.

Nacisnęła przycisk dzwonnka u drzwi.

Chwilę później w głośniku domofonu rozległ się pytający, zdecydowany głos:

– Kto tam?

– Policja.

– No tak, jasne. A ja jestem królowa Śnieżka.

– Nowojorska policja. NYPSPD – powtórzyła Eve i podstawiła pod oko judasza swoją odznakę.

– Dobrze, ale najpierw zadzwonię, żeby to sprawdzić, a dopiero potem otworzę.

– Porucznik Dallas Eve oraz detektyw Peabody Delia z komendy głównej nowojorskiej policji.

– Taaa... jasne...

Nic się nie działo. Eve stała i stała pod drzwiami. W końcu usłyszała jakiś pisk z wnętrza, a potem coraz głośniejsze kobiece głosy, aż wreszcie zasuwały w zamkach szcęknięty i zaczęły się z wolna ruszać. Na koniec ich uszu dobiegł dźwięk przesuwanej sztaby antywłamaniowej i drzwi się otworzyły.

Na progu stały dwie dziewczyny w tym samym mniej więcej wieku, wpatrując się oniemiałe w przybyłe policjantki śledcze. Jedna z nich była wysoka, białociasta, o włosach blond, druga średniego wzrostu, drobnej budowy – brunetka rasy mieszanej.

Obie miały duże niebieskie oczy.

– Jeee-zuuuuuu! – zapięły z zachwytu nieomal równocześnie. – Wygląda pani jak Marlo Durn z filmu – wyjaśniła blondynka. – Albo raczej Marlo wyglądała dokładnie jak pani. Oglądałyśmy już dwa razy!

– To wspaniale – skwitowała Eve.

Powinnam przywyknąć do takich reakcji – pomyślała.

Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczai.

– Czy było u nas jakieś włamanie i kogoś zamordowano? – spytała Lydia, brunetka. – Ciągle ktoś się włamuje do tej rudery albo przynajmniej próbuje.

– Nie. My w sprawie paczki, którą dostarczyła pani dziś rano, pani Merchant.

– Doprawdy? – Wielkie niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe. – A o którą dokładnie chodzi?

– Możemy wejść? – wtrąciła Peabody, dodając przymiłny uśmiech.

– Och! Oczywiście, że tak. Jest pani nawet ładniejsza od aktorki z tego filmu – oznajmiła blondynka.

– Wiem, że została zabita i w ogóle, ale... taka jest prawda – dokończyła niezręcznie.

Róże, których zapach snuł się po całej klatce schodowej, stały na wąskim barku oddzielającym pokój dzienny, zawalony meblami i najróżniejszymi drobiazgami, od mikroskopijnej kuchni. Obok wazonu stała napoczęta butelka wina.

– Może usiądziecie? Zapraszam! – rzekła Lydia. – Zamierzałyśmy napić się wina. Wolno wam pić wino na służbie? Właśnie świętujemy.

– Nie, nie wolno – odparła Eve – ale dzięki.

– Obie dostałyśmy podwyżki. – Blondynka, widocznie na lekkim rauszu, przysiadła na poręczu fotela. – Ja dostałam w zeszłym tygodniu, a Lydii przyznano oficjalnie podwyżkę dzisiaj. Wyprowadzamy się z tej szurczej nory!

– Nasze gratulacje. Pani Merchant... – zaczęła Eve.

– Wystarczy Lydia. Będzie okej. To naprawdę przedziwne, że obie znalazłyście się tutaj, w tej naszej dziurze. Dostarczam wiele paczek. Pracuję w firmie kurierskiej GP & P, ale to pewnie już wiecie.

– Dostarczyłaś dziś rano paczkę Kentowi Abnerowi. Kojarzysz go?

– Doktorowi Abnerowi. Tak. Jasne, że go kojarszę. Dostarczam paczki jemu i doktorowi Rufty'emu. Stanowią przemiłą parę. Zawsze mi dają napiwki przed Bożym Narodzeniem. Nie każdy tak się zachowuje. Czy coś było nie tak z przesyłką? Wręczyłam ją doktorowi Abnerowi do rąk własnych.

– Czy dostałaś tę przesyłkę w sposób inny niż zwykle?

– Nie. Centrum dystrybucji jest w pełni zautomatyzowane. Pracują tam głównie droidy. Ładują moją furgonetkę zgodnie z grafikami. Pierwszeństwo mają paczki z nocnej wrzutni, które mają być dostarczone z samego rana, oraz przesyłki specjalne, a następnie reszta. To była... To musiała być, bo przecie działało się to dziś z rana, więc to była na pewno przesyłka z nocnej wrzutni. Nie bardzo rozumiem, w czym rzecz.

– Mamy podstawy, by sądzić, że paczka zawierała niezidentyfikowaną jeszcze substancję toksyczną. Spojrzenie Lydii na moment przygasało, a po chwili mignął w nim niepokój.

– Macie na myśli truciznę lub coś podobnego? Akt terrorystyczny czy coś w tym rodzaju?

– Tym razem nie mamy powodu przypuszczać, by miał to być atak terrorystyczny – wyjaśniła Eve, choć sama nie miała jeszcze co do tego pewności.

– A skąd wiecie, że w paczce było coś toksycznego? Czyżby doktor Abner się zatruił?

– Doktor Abner nie żyje. Zmarł wkrótce po odebraniu i otwarciu przesyłki.

– Nie żyje?! Doktor Abner nie żyje?! – Jej wielkie, niebieskie oczy w okamgnieniu wypełniły się łzami. – Ale... O mój Boże! O mój Boże! Teela!

Jej siostra natychmiast ześliznęła się z poręczy fotela i usiadła obok Lydii, po czym objęła ją ramionami.

– Lydia dotykała tej paczki. Czy ona... – Wystraszyła się nie na żarty.

– Mamy podstawy przypuszczać, iż substancja uwolniła się podczas otwierania paczki.

– Nic mi nie jest. Ale doktor Abner? To taki miły starszy pan! Razem z doktorem Ruftym tworzyli fantastyczną parę. Od razu widać, kiedy ludzie tworzą udany związek. Bardzo ich lubiłam. O niczym nie wiedziałam. Przysięgam, że nie miałam pojęcia, że jest coś nie tak z tą paczką. Nigdy bym jej...

– Nikt cię o nic nie oskarża – uspokoiła ją Peabody. – Masz może wiedzę o kimś z ich sąsiedztwa? A może słyszałaś coś w pracy albo gdziekolwiek o kimś, kto mógł szczególnie nie lubić doktora Abnera?

– Nie. Owszem, znam niektórych ich sąsiadów, bo to mój rejon. Ale nikt nigdy nie powiedziałby o nim złego słowa. Czasami, kiedy kogoś nie ma w domu i brak jest skrzynki na większe przesyłki, zostawiam paczki u sąsiadów. Firma musi oczywiście mieć na to pisemną zgodę obu stron. Niektórzy wolą, żeby paczkę odebrał sąsiad. Nasi doktorzy odbierali czasem paczki tych z naprzeciwka, a tamci

z kolei wyświadczały im tę przysługę. To bardzo sympatyczna uliczka z przyjaznymi mieszkańcami. Dzisiaj jednak dostarczałam tam tylko tę jedną paczkę: dla doktora Abnera. – Nagle jakby coś sobie przypomniała, bo zrobiła przerażoną minę: – O mój Boże! Czy z panem Ruftym wszystko w porządku? Wydaje mi się, że nie było go wtedy w domu. Przypominam sobie, że Abner miał na sobie strój do biegania. Czasami widywałam go biegnącego, kiedy objeżdżałam klientów. Z kolei, gdy mieszałam popołudniową zmianę, zdarzało mi się zobaczyć pana Rufty'ego wracającego do domu po pracy.

– Pana Rufty'ego wówczas nie było – zapewniła ją Eve.

– Nie wiem, co robić. Czy powinnam teraz coś zrobić? – pytała zdenerwowana.

– Jeśli cokolwiek ci przyjdzie do głowy, skontaktuj się ze mną lub z detektywem Peabody – rzekła Eve.

Kiedy obie policjantki wyszły już na zewnątrz, Eve zaczęła się w drodze do auta głośno zastanawiać nad tym, jakie kroki należałoby teraz przedsięwziąć.

– Klinika ofiary mieści się niedaleko stąd – powiedziała. – Pojedziesz do domu, a po drodze skontaktujes się z menedżerką biura lub kimkolwiek innym, kto tym wszystkim zarządza.

– Menedżerką biura jest tam niejaka Seldine Abbakar. Już sprawdziłam na ich stronie.

– Dobrze. W takim razie skontaktuj się z nią i umów spotkanie z całym personelem obsługi biurowej na jutro z samego rana, najwcześniej, jak będą mogli. Prześlij mi wiadomość z informacją, o której godzinie się odbędzie. Spotkamy się na miejscu. Bądź w stałym kontakcie z McNabem, tak aby był gotów w każdej chwili się tam zjawić. Będziemy musieli przejrzeć komputery i inne elektroniczne nośniki.

– Ale karty pacjentów są...

– ...dlatego właśnie w drodze do domu zamierzam popracować nad nakazem. Cholera! Oni mogą nie chcieć nam udostępnić danych pacjentów. Jeśli to zrobił jakiś wściekły pacjent, personel kliniki Abnera będzie miał możliwość sprawdzić, kto by to mógł być. Współmałżonek zapewne też będzie żywił jakieś podejrzenia co do sprawcy.

– Jego pacjentami są, czy raczej były, niemowlęta i dzieci do lat szesnastu.

– Wierz mi, Peabody, miałam okazję widzieć niejednego rozsierzonego dzieciaka – odbiła piłeczkę Eve. – A co do nastolatków, szkoda sobie strzepić języka, opowiadając o tym, do czego są zdolne. Poza tym mają rodziców albo co najmniej jednego... Zresztą nieważne. Umów to spotkanie i koniec. Ja zajmę się w domu mapą zbrodni. Zacznę robić wpisy.

– Jak zwykle ja mam łatwiejsze zadanie.

– Tym razem. Jeśli uda ci się ustawić spotkanie około godziny ósmej, możemy się spotkać w kostnicy o siódmej i stamtąd pojechać razem.

– Ale fajny sposób na rozpoczęcie dnia – to rzekłszy, Peabody otworzyła drzwi i zaczęła wysiadać.

– Przygotuj ich na rozmowę z nami! – Następnie, ignorując pomstujących na nią kierowców, Eve wśliznęła się za kierownicę samochodu. Wyłączyła policyjnego koguta i wjechała tuż przed maskę auta faceta, który zdążył jej jeszcze pokazać środkowy palec.

Zaprogramowała kawę we wbudowanym w deskę rozdzielczą AutoChefie i wybrała numer zastępczyni prokuratora generalnego Nowego Jorku, Cher Reo.

– Tylko nie to! – jęknęła, słysząc ją, Reo. – Właśnie wracam taksówką do domu. Utknęłam w głupim korku. Marzę o drinku i chwili spokoju.

– Będziesz miała i jedno, i drugie, jak tylko mi załatwisz nakaz. Ja również jadę do domu i mam ten sam problem co ty.

Prokurator westchnęła ciężko i pokręciła głową. Na ekranie zafalowały jej jasne puszyste włosy.

– Wysiadam w takim razie i pójdę na piechotę – powiedziała. – Proszę się zatrzymać! – zwróciła się do kierowcy.

W telefonie Eve obraz twarzy Reo zamienił się w niebieski ekran pauzy w połączeniu. Pani prokurator zapewne płaci za przejazd – pomyślała. Kiedy obraz powrócił, podskakiwał w rytm jej szybkich kroków.

– Dzwonisz w sprawie śledztwa z tą wciąż niezidentyfikowaną substancją, prawda? – spytała.

– Lepiej, żeby ją jak najszybciej zidentyfikowali... – mruknęła do siebie Eve. – Tak, dokładnie – dodała już głośniej. – Ofiara morderstwa to lekarz. Lekarz pediatra. Jutrzejszy dzień zaczynam od przesłuchania personelu jego kliniki. Muszę przejrzeć ich komputery.

– Jak mam to załatwić z marszu? Albo nawet na jutrzejszy poranek? – obruszyła się Reo. – Przecież tam jest zastrzeżona dokumentacja medyczna.

– Dokumentacja medyczna nie jest mi potrzebna. Załatw nakaz na korespondencję prywatną. Muszę wiedzieć, czy został jakiś ślad po mejlach z pogrozkami albo czy im przysyłano jakieś teksty budzące niepokój. Może ktoś z personelu skrewił?

– To akurat dam radę załatwić. Słyszałam, że miałaś styczeńność z trucizną? Nie wyglądasz na kogoś, kto by został poddany działaniu śmiertelnej toksyny.

– Cokolwiek to było, nim tam dotarliśmy, obróciło się w niebyt tak samo jak Abner.

– No cóż, to jedyny pozytywny aspekt całej sytuacji. Oddzwonię, jak tylko będę miała nakaz w rękę.

– Będę dozgonnie wdzięczna.

– Wciąż mi wisisz drinka za poprzedni.

– Pamiętam. Później – rzuciła Eve, po czym wyłączyła się i popijając kawę, sunęła dalej ślalomem przez korek ciągnący się w stronę centrum.

Wreszcie, pokonując trasę powoli metr po metrze, zdała sobie w pewnym momencie sprawę, że niespełna tydzień temu siedziała na tarasie we Włoszech, popijając wino pod rozgwieżdżonym niebem po całym dniu leniuchowania na słońcu.

Jadała *pasta italiana*, spała do późna, kochała się z mężem.

No i nikogo nie zamordowano w najbliższej okolicy – a przynajmniej nic o tym nie wiedziała.

Od czasu, kiedy poznała Roarke'a, jej życie – życie z nim – dalekie było od nudy i zwyczajności. Może i wkradła się w nie rutyna, na pewno jednak nie rutyna dnia codziennego, znana większości małżeństw.

O dziwo! wszystko u nich funkcjonowało. Naprawdę nieźle funkcjonowało – myślała. – A jednym z powodów tak dobrego działania mojego związku jest to, że wiem, iż zawsze mam gdzie wrócić: do domu, i że w tym domu zawsze będzie ON.

Będzie na nią patrzył tak, jak patrzył zawsze, za każdym razem, i prawdopodobnie będzie patrzeć do końca życia – a jej serce przyspieszy wówczas swój rytm, zmusi do zjedzenia czegoś, nawet jeśli nie będzie chciała – co ją rozdrażni, ale i będzie bezcenne.

Zawsze wysłucha. Nie będzie zrzedzić, że znovu się spóźniła. Nie będzie sadzić tekstów wpędzających ją w poczucie winy. Wysłucha, zaoferuje swą pomoc, a w dodatku – przy tym wszystkim – zapewni spokój myślom i wytchnienie duszy, czego się nie spodziewała zyskać nigdy w życiu.

Więc kiedy przejechała w końcu przez bramę ich posiadłości, poczuła, jak spływa na nią fala spokoju. Powrócił do domu... Dom, który zaprojektował i wybudował Roarke, okazało się prezentował pod nocnym niebem: rozłożysty, piął się w górę stromym dachem i strzelistymi, wymyślnie zdobionymi wieżyczkami. Tyle okien i wszystkie rozświetlone, witające ją już z daleka, rozjaśniające ciemność.

Kiedy podjechała pod wejście i wysiadła z samochodu, odczuła jednak ciężar spoczywający na jej barkach. Wciąż miała pracę do wykonania, lecz mogła się nią zająć we własnym domu.

Wróciła późno, bardzo późno, więc nie spodziewała się zastać przy wejściu Summerseta.

Kamerdyner stał tam jednak, wysoki i kościsty, odziany na czarno, z trupio bladym obliczem. Utkwił w niej spojrzenie ciemnych oczu.

Sięgnęła myślami do swego składzika obelg, lecz przemówił, nim zdołała wybrać coś stosownego na tę okazję.

– On bardzo się martwi – powiedział. – Oczywiście za nic tego nie okaże, ale już słyszał, że została wystawiona na działanie substancji toksycznych.

– Mówiłam mu już, że nic mi nie jest. Czuję się dobrze.

Kiedy Summerset w dalszym ciągu stał, przyglądając się jej w milczeniu, zaczęła się obawiać, iż byłyby medyk z okresu wojen miejskich zamierza dokonać własnej oceny jej zdrowia. Niedoczekanie!

– Czy zidentyfikowali tę substancję? – spytał w końcu.

– Nie wiem. Chcę się tego dowiedzieć, kiedy tylko się znajdę na górze. Ja czuję się dobrze – powtórzyła.

Nieco już poirytowana, ściągnęła kurtkę i przewiesiła ją przez ozdobny słupek przy poręczy schodów.

– Powiedz to koniecznie jemu – rzucił za nią.

Chciała odburknąć, że już to przecież zrobiła, ale nie miało to najmniejszego sensu. Zatrzymała się w pół drogi.

– A czy wróciłabym do domu, gdyby istniała jakakolwiek możliwość, choćby najłżejsza, przywleczena ze sobą czegokolwiek, co mogłoby go zainfekować? Jak uważasz, Summerset?

– Na pewno nie. I dlatego właśnie – a jest już po dwudziestej pierwszej – on tak się martwi – wyjaśnił kamerdyner ze stoickim spokojem.

Szlag by to trafił i nagła cholera! To chyba jasne, że on się martwi!

– Musiałam... A niech to diabli! Gdzie on jest? – spytała.

– W twoim gabinecie, oczywiście. Wie, że wróciłaś do domu. Włączył powiadomienia.

Wbiegła szybko na górę.

Stosując się przecież do kodeksu – pomyślała, lecz czuła, że w pewien sposób zawiodła.

Roarke siedział na kanapie w jej gabinecie. W kominku pełgał ogień, na jego kolanach leżało tłuste kocisko. W jednej ręce trzymał książkę, w drugiej – kieliszek wina.

No i wszystko się zgadzało: spoglądał na nią właśnie tak – lecz tym razem dostrzegła jeszcze, że widocznie mu ulżyło.

– Jest wreszcie nasza zguba... – zaczął z tym cudownym irlandzkim zaśpiewem.

– Przepraszam! – rzekła, a kiedy odłożył książkę i wstał, podeszła, objęła go i mocno się przytuliła. – Przepraszam!... – szepnęła.

– Za spóźnienie? – Wtulona weń, usłyszała w jego głosie zdziwienie. – Dajże spokój! Przecież to nieodłączny element twojej pracy, prawda, pani porucznik?

– Przepraszam za niepewnienie cię w stu procentach, że wszystko ze mną w porządku. To znaczy, że nie zapewniłam, że nic mi nie jest, żebyś się nie martwił – zapłatała się.

– Ach! – Musnął ustami czubek jej głowy i odsunął ją nieco od siebie. – To również jeden z nieodłącznych elementów twojej pracy. Część leżąca po mojej stronie. Zawsze się będę o ciebie martwił, najdroższa Eve. Teraz jednakże... – Przesunął kciukiem wzdłuż wgłębienia w jej brodzie, a potem pochylił się ku niej i ucałował długo i czule. – Teraz jednakże wróciłaś do domu, więc usiądź na chwilę z kotem. Galahad też miewa lęki. Przyniosę ci lampkę wina.

Żadnego strofowania, żadnego wpędzania w poczucie winy, jedynie wino i czule powitanie. I tłusty kocur. Usiądzie więc na chwilę, wniósł bowiem do jej życia nie tylko podróże do Włoch, nie tylko najprawdziwszą kawę i doskonały seks. – Teraz również mnóstwo innych cudownych rzeczy.

Wniósł między innymi i to: równowagę.

Zdążyła pogłaskać kota i podrapać go po brzuszku, kiedy postanowił przekręcić się i przetoczyć na drugi bok.

Wzięła kieliszek do ręki.

– Zbadali mnie i przeprowadzili neutralizację toksyn od razu na miejscu zbrodni – zaczęła.

– Dokładnie to samo powiedziałaś mi przez telefon. – Jego głębokie, niesamowicie niebieskie oczy przyglądały się badawczo jej twarzy. Dopiero potem unióśł dłoń Eve i ucałował ją. – Czy zidentyfikowali truciznę?

– Muszę to sprawdzić. Godzinę temu, kiedy ostatni raz dzwoniłam do laboratorium, niczego jeszcze nie mieli. Ciało zostało odnalezione dopiero po szesnastej, kiedy jego małżonek wrócił z pracy. Zaczęli nad tym pracować jakąś godzinę temu. Muszą się ściśle trzymać wytycznych i takie tam.

– Nic nie jadłaś przez cały dzień.

– Byliśmy bardzo zajęci.

– Wyobrażam sobie. Posilmy się teraz i opowiedz mi o tym wszystkim.

– Posilmy się? – zdziwiła się. – Czyżbyś jeszcze nie jadł obiadu?

– Nie, nie jadłem. – Ścisnął jej dłoń. – Za bardzo się denerwowałem.

– Chwila. – Położyła drugą rękę na jego dłoniach. – Niniejszym obiecuję ci solennie, że nigdy nie skłamię ani nie będę koloryzować wypadków, jeśli coś się wydarzy, jeśli znajdę się w tarapatkach albo będzie ze mną naprawdę źle. Przysięgam być z tobą szczerą.

– W porządku.

Przyjrzała się uważnie jego niesamowitemu obliczu.

– Ty i tak będziesz się martwił – doszła do wniosku.

– Tak, oczywiście, że będę się martwił, mimo to doceniam obietnicę i dziękuję za nią. Teraz kolej na mnie. Przysięgam tu i teraz, że dla twojego dobra, za każdym razem, kiedy wrócisz do domu, do mnie, będzie czekać na ciebie pizza pepperoni.

– Naprawdę? – Twarz Eve rozjaśniła się w mimowolnym uśmiechu.

– Tak głęboka jest moja miłość do ciebie. Nie będę się też upierał, żebyś wciąła na przystawkę zdrowe sałatki warzywne.

– Jeśli mnie o to poprosisz tu i teraz, zjem wszystko warzywa. Z miłości do ciebie.

– Możesz je zjadać ułożone bezpośrednio na pizzy.

– Byłbyś w stanie zrujnować pizzę idealną? – Rzuciła mu przerażone spojrzenie.

– Co też ja sobie wyobrażałem! – jęknął, wstał i poszedł do kuchni.

Siedziała jeszcze chwilę w fotelu, dopieszczając kota, a potem wzięła oba kieliszki oraz niedopitą butelkę wina i zaniósła je do stołu. Wyglądała chwilę na zewnątrz przez przeszklone drzwi balkonowe. W jej nozdrza uderzył zapach pizzy. Dla pustego żołądka był jak spełnienie najszybszych marzeń.

– Zdamy sobie sprawę, że jeśli miałabym codziennie jeść pizzę, w końcu miałabym dosyć – zauważyła rozsądnie – lecz pewnie zajęłoby to parę dziesięcioleci – dodała, siadając razem z mężem przy stole i chwytając łączywie jeden kawałek. – Już wkrótce zrobi się wystarczająco ciepło, żeby otwierać

te drzwi podczas posiłków. Będzie bardzo przyjemnie – rozmarzyła się i w tej samej chwili cicho zabrzączał jej telefon. – Przepraszam. Tak, Reo?

– Nakaz zaraz do ciebie dotrze w zaszyfowanym pliku. Tym razem bez dokumentacji medycznej. Czy to pizza? Cholera! Teraz jeszcze zachciało mi się pizzy.

– To sobie zrób. Dzięki za szybkie ogarnięcie tematu.

Odłożyła telefon.

– Ofiara była lekarzem, jak słyszałem? – zagaił Roarke.

– Pediatrę. Żonaty od prawie czterdziestu lat. Znalazł go mąż, dyrektor prywatnej szkoły. Mieli dzieci i wnuki. – Wzięła do ręki kieliszek. – Zadeptał mi i zrujnował obraz miejsca zbrodni. Próbował reanimować denata, leżącego tam bez życia od rana, a bynajmniej nie zmarł w zbyt apetycznym stanie, lecz mąż, nim wezwał karetkę pogotowia, i tak próbował przywrócić mu funkcje życiowe.

– Winisz go za to?

– Nie, skądże. – Podniosła wzrok i spojrzała mu w twarz, wyrzeźbioną przez mądre anioły podczas jakiegoś niebiańskiego dnia, w te jego tajemnicze, przenikliwe niebieskie oczy. – Może winiłabym go jeszcze kilka lat temu, ale nie teraz. Kochali się. To widać w każdym zakątku ich domu, w rozpacz tego, który pozostał. – Umilkła na moment. – Trzeba mieć do tego dystans. Na widok takich sytuacji pęka ci serce, lecz musisz umieć spojrzeć na to na trzeźwo, nie angażując się.

– W jaki sposób ją dostarczono? Tę toksyczną substancję?

– Przez firmę kurierską Global Post & Packages. Przesyłka ekspresowa z nocnej wrzutni do doręczenia z samego rana następnego dnia.

– W paczce? Hm... Dość odważne posunięcie, rzekłbym. Macie tego, kto dostarczył przesyłkę?

– To dziewczyna. Nie ma z tym nic wspólnego. Jest czysta, a przy tym bardzo ich lubiła, zresztą z wzajemnością. Lubili ich też sąsiedzi. Wpadliśmy do niej z wizytą. Był szok, niedowierzanie, lekkie przerażenie, trochę żalu. Z przeprowadzonego śledztwa wynika jedynie, że denat był miłym człowiekiem, dobrym sąsiadem, dbał o tężyznę fizyczną: biegał, chodził na siłownię. Jego strój wskazywał na to, że w chwili dostarczenia paczki właśnie miał iść pobiegać, zabrał ją więc do kuchni i tam otworzył.

– W środku musiało być jakiś hermetyczny pojemnik. Nawet ktoś niezwykle odważny nie ryzykowałby przesłania niezabezpieczonej substancji toksycznej w zwykłym kartonowym pudełku.

Pochłonęła z apetytem pierwszy kawałek.

– Wygląda mi to nawet na dwa pojemniki, jeden w drugim. Na blacie w kuchni stała otwarta tania szkatułka z imitacji drewna, wyłożona w środku miękką wyściółką, więc biorąc pod uwagę drogie materiały, użyte do wykończenia mieszkania, musiała zostać przysłana w pudełku firmy kurierskiej. Na podłodze przy blacie walały się potłuczone kawałki czegoś, co mogło być mniejszym pojemnikiem. Wyglądało na cienki, kruchy, twardy plastik, równie tani jak szkatułka, połączany z zewnątrz, biały od środka. Cokolwiek go zabiło, musiało być zamknięte wewnątrz tego mniejszego pojemnika. Otworzył go, a wtedy wy dostało się i rozproszyło w powietrzu, a może wchłonął coś przez skórę, kiedy tego dotknął. Miał oparzenia na opuszkach kciuków – przypomniała sobie, a potem wzruszyła ramionami. – Jeszcze tego nie wiem.

– Jutro spotkasz się z Morrisem, jak również ze swoimi kolegami z laboratorium.

– Taa... – Skoro pizza leżała tuż przed nią, sięgnęła po drugi kawałek. – Wezwaliśmy speców od neutralizowania niebezpiecznych substancji, lecz nie znaleźli w powietrzu ani śladu czegokolwiek toksycznego. Minęło w końcu kilka godzin. Ani na mężu ofiary, ani na mnie również niczego nie znaleźli, a oboje dotykaliśmy ciała. Było tego wystarczająco dużo, żeby zabić w ciągu kilku minut Abnera, i rozplęgnę się w powietrzu, nim ktokolwiek wszedł do ich domu.

– Przesyłkę zaadresowano bezpośrednio do denata, jak rozumiem?

– Tak. Adres nadawcy był fałszywy. Paczkę wysłano z wrzutni nocnej. Ten, kto to zrobił, zakłócił w tym czasie pracę kamery monitoringu, więc albo dysponował jakimś gotowym urządzeniem elektronicznym do tego celu, albo miał stosowne umiejętności do ich samodzielnego wykonania.

– Kamera przy budce z paczkomatem? – Roarke zaśmiał się krótko. – Kochanie, z tym poradziłby sobie nawet dziesięćolatek. Interesowałoby mnie bardziej, w jaki sposób zawartość przeszła przez skaner i paczka nie została odrzucona.

– Właśnie teraz nad tym pracują. Pojemnik w pojemniku w pojemniku. – Znowu wzruszyła ramionami. – No i najprawdopodobniej niewielka ilość tej substancji, cokolwiek to było. Tylko tyle, by zabić jedną osobę.

Obejrzała się za siebie, gdyż w drzwiach stanął Summerset. Nachmurzyła się odruchowo. Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi, przelykając kolejny kęs pizzy.

– Nie wzywaliśmy chyba nikogo z kostnicy, a może? – mruknęła pod nosem.

– Wybaczcie mi. – Kamerdyner wznosił wysoko w górę swój dystyngowany nos. – Pani doktor Dimatto wraz z panem Monroe są na dole. Chcieliby rozmawiać z panią porucznik.

– Poproś ich do nas na górę – rzekł Roarke, nim Eve zdążyła wstać. – Pani porucznik właśnie je kolację. Przyniosę jeszcze dwa kieliszki – dodał, gdy służący zniknął za drzwiami.

Ach, no tak. Pani doktor Dimatto – pomyślała Eve – oraz pan doktor Abner.

Czy Louise знаła ofiarę zabójstwa? Marne szanse, skoro w mieście jest niezliczona liczba lekarzy. Jednakże Louise i Charles mieszkali parę kroków od miejsca zabójstwa.

– Zapewne się znali – powiedziała na głos.

– Kto? – Roarke postawił na stole jeszcze dwa kieliszki do wina.

– Louise i ofiara morderstwa – wyjaśniła. – Dłatego tu do nas przyszli. Jak ja, do diabła, to zniosę?

Stwierdziła, że zaraz będzie miała okazję to sprawdzić, bo w progu drzwi stanęli właśnie Louise – wiotka blondynka – oraz Charles – wysoki, przystojny, ciemnowłosy.

Niezwykle mocno zaangażowana w swą pracę pani doktor oraz były licencjonowany pan do towarzystwa tworzyli zadziwiający zgrany duet – kolejny, który zdawał się idealnie funkcjonować.

– Bardzo was przepraszam za najście. – Louise zaczęła od usprawiedliwiania się. – Przyniesiemy bez uprzedzenia, w dodatku w porze kolacji, ale...

– Dajcie spokój. To tylko pizza, a w posilaniu się pizzą nic nie może przeszkodzić. Skąd znasz Kenta Abnera? – spytała Eve.

– Skąd wiedziałaś... – Kobieta przymknęła oczy. – Wstąpił ot tak po prostu do mojej kliniki w tym tygodniu, kiedy ją otworzyłam. Pracował jako wolontariusz dwadzieścia godzin. Tak ot, bez niczego. Daję słowo! Takim był człowiekiem! Takim właśnie lekarzem! – Głos jej zadrżał, w oczach pojawiły się łzy. – Przepraszam! Ciężko mi z tym. Musiałam do was przyjść. Musiałam to z siebie wyrzucić.

– Usiądź! – Roarke wstał i podsunął jej swoje krzesło. – Siadaj z nami, napij się wina. Zdołasz coś przełknąć?

– On lubi karmić innych – wyjaśniła Eve, również przełykając ukradkiem łzy i mając nadzieję, że najgorsze za nią i więcej się już nie popłacze.

– Nie, dzięki! Nie mam ochoty na nic do jedzenia. Poproszę o wino.

Roarke przywołał gestem Charlesa i poszli obaj po krzesła dla siebie. Kiedy wrócili i usiedli razem z paniami, Roarke napełnił kieliszki.

– Nie rozsypię się – obiecała Louise. – A przynajmniej nie za bardzo.

– Dobrze. Opowiedz mi w takim razie, co wiesz o doktorze Abnerze. Kontakty osobiste, zawodowe, cokolwiek innego.

Louise skinęła głową, a potem zerknęła błagalnie na męża.

– To może ja zacznę – rzekł Charles.

– Zaprzyjaźniliśmy się – zaczął Charles. – Byliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Poznałem ich przez Louise, kiedy Kent zaczął przyjmować pacjentów w jej klinice charytatywnie, bez wynagrodzenia. Zapraszali nas często, żebyśmy wpadli na drinka, a my... no cóż... z miejsca ich polubiliśmy.

– Nie pamiętam, żebyśmy widzieli ich na waszym weselu – wytknęła mu Eve.

– Byli wówczas w Afryce – wyjaśnił. – Martin wziął miesiąc urlopu naukowego, bo Kent chciał na kilka tygodni dołączyć do grupy lekarzy tam pracujących. Mieli pełne wrażeń wakacje, by tak rzec. Zbiegły się one w czasie z terminem naszego ślubu. Potem wyprawili dla nas niewielką imprezkę sąsiedzką, kiedy wróciliśmy z podróży po miesiácu miodowym.

– Byli cudownymi facetami – dodała Louise. – Stanowili niezwykłą parę. Obaj bezgranicznie się poświęcali swej pracy, aczkolwiek nie zaniedbywali przy tym innych uroków życia. Lubili różne rozrywki, kochali swoją rodzinę, lubili teatr, sztukę. Kent zawsze się czepiał Martina i naciskał, by ten bardziej dbał o formę fizyczną i zaczął uprawiać jakiś sport. Tłumaczył mu, że nie można poprzestać na ćwiczeniu jedynie swojego umysłu. Martin zaś żartował sobie z Kenta, że ten nie miał pojęcia o żadnej konkretnej dyscyplinie sportu. Kent wszakże nic sobie z tego nie robił. Byłam niejedną raz świadkiem, jak się przekomarzali półżartem w tych kwestiach, lecz nigdy na serio. Stanowili doprawdy słodką parę, Dallas. Każde małżeństwo po nieomal czterdziestu latach pożycia chciałoby być postrzegane w ten sposób.

Słyszając te słowa, Charles wyciągnął rękę ku żonie i przykrył jej dłoń swoją.

– Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Wciąż zadajemy sobie pytanie, jaka była przyczyna tego, co się stało. Kto za tym stoi? Nic nam nie przychodzi do głowy. Jesteś pewna, że to, co się zdarzyło, nie zdarzyło się przypadkiem lub nie było jakąś tragiczną pomyłką? – zwrócił się z pytaniem do Eve.

– Tego akurat jestem dość pewna – odrzekła pani porucznik. W tym właśnie sęk, pomyślała. – Pracowałam w klinice regularnie, więc w komputerach bez wątpienia pozostały jakieś dane.

Louise natychmiast zmieniła się w doktor Dimatto.

– Jednakże dane i dokumentacja medyczna pacjentów... – zaczęła bez ogródek.

– Bła, bła, bła... – Eve tylko machnęła ręką. – Jeśli zajdzie taka potrzeba, i tak do niej dotrę. Teraz jednak mam prośbę, żebyś jako szefowa kliniki sama zajrzała do komputera i zerknęła na korespondencję z pacjentami. Bez wątpienia szybko się zorientujesz, jeśli coś będzie nie tak. Oprócz dokumentacji medycznej jest też korespondencja mejlowa, kalendarium z notatkami, wymiana wiadomości pomiędzy personelem.

– Proszę bardzo. Możesz też przesłuchać wszystkich, którzy pracują na etacie lub są wolontariuszami w klinice. Od razu ci powiem, że nikomu z nich przez myśl by nie przeszło występować przeciw Kentowi. Był lekarzem powszechnie cenionym, szanowanym i lubianym.

– Okej. A może był ktoś, kto lubił go za bardzo?

– No nie wiem... Och! – Louise upiła łyk wina, ściągawszy brwi. – Nie, to niemożliwe. Mamy rodziców, którzy proszą o niego, życzą sobie, aby to on badał ich dzieci, specjalnie wyczekują na godzinę jego przyjęcia, pomijając oczywiście sytuacje awaryjne. Nigdy jednak nie dostrzegłam tego rodzaju zachowań. Jakieś drobne żarty, owszem, jak na przykład Hella, jedna z pielęgniarek-wolontariuszek: dwukrotnie rozwiedziona i wciąż strasznie cięta na facetów. Usłyszałam kiedyś, jak mówiła do Kenta, że nie ma szczęścia do mężczyzn, czego przykładem jest właśnie on: nie dość, że gej, to jeszcze w związku małżeńskim. Wzdychała, dlaczego nie może znaleźć kogoś takiego jak on: zwyczajnego, wolnego faceta, podobnego do niego.

– Co na to odrzekł? – zainteresowała się Eve.

– Że będzie się rozglądał za kimś podobnym, mając ją na uwadze. Wiesz, Dallas, że przynosił czasem do kliniki bukiety kwiatów? Według niego kwiaty poprawiały nastrój i nam, i pacjentom. Zdarzało mu się też przynieść pudełko ciastek prosto z cukierni. Był taktowny i szczodry. Jest mi niedobrze, kiedy pomyślę, co mu się stało.

– Nie kontaktowaliśmy się z Martinem – wtrącił Charles – bo nie chcemy być natrętni, zastanawialiśmy się jednak nad tym, czyby może nie zadzwonić jutro do ich syna lub córki po to, by podpytać, czy

nie potrzebują jakiejś pomocy... Wiecie, jak to jest... – Charles zawiesił głos. – Czy mogłabyś nam powiedzieć, Dallas, co się właściwie stało? Masz jakąś sensowną hipotezę?

Eve omiotła spojrzeniem twarzy Louise. Oczywiście teraz suche, lecz widać było, że w każdej chwili mogła się znowu rozpląkać. Pomyślała, że lepiej powtórzy im to, co zapewne słyszeli w poranych wiadomościach, i może dorzuci jeszcze coś na uspokojenie.

– Mogę wam zdradzić, że paczka zawierająca substancję niebezpieczną była zaadresowana do doktora Kenta Abnera. Osoba, która ją dostarczyła, tylko wykonywała swoją pracę, i nie należy do grona podejrzanych. Podziela waszą opinię o denacie. Lubiła go, lubiła ich obu. Morderca chciał zrzucić na nią całą winę. Przez chwilę nawet ją podejrzewałam – przyznała się Eve. – Będziemy wiedzieć więcej, jak zidentyfikujemy tę substancję, i dowiemy się, jak dostała się do jego organizmu. Z odtworzonego czasu zdarzeń wynika, że zadziałała śmiertelnie dosłownie w ciągu kilku pierwszych minut po otwarciu pojemnika.

– Ale czy na pewno? – dopytywała się Louise.

– Na sto procent.

– Nie jestem ekspertką w tej dziedzinie, lecz wiem coś na temat trucizn, toksyn i ich oddziaływania na ludzki organizm. Gdybym знаła objawy, które u niego wystąpiły...

– Tym zajmuje się Morris – uciąła Eve.

Doktor Dimatto jednakże, jak prawdziwa profesjonalistka, nie dała się tak łatwo zbyć.

– A nie wiesz przypadkiem, czy trucizna dostała się do jego ciała przez dotyk, czy wchłonął ją przez układ pokarmowy? A może dostała się do jego płuc wraz z wdychanym powietrzem?

– To oceni Morris oraz ekipa z laboratorium.

– Zadziałała szybko, nieomal natychmiast... – mruknęła pod nosem Louise. – Czyli nie wchłonął jej przez układ pokarmowy.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Eve.

– Wymagający mężczyzna, nieco znikowany na punkcie swojego zdrowia... Kent z pewnością nie należał do ludzi, którzy ot tak wrzuciliby do ust coś nieznanego, co przyszło do nich pocztą. Hmm... Może jeśliś znał nadawcę lub oczekiwał...

– ...nazwisko oraz adres nadawcy były fałszywe – wtrąciła Eve.

– A więc nie znał tego, kto wysłał paczkę, ani też jej nie oczekiwał. Według mnie nie mógłby zjeść ani wypić czegoś, co przysłało pocztą, bez uprzedniego sprawdzenia, co to takiego. Mówiłaś, że śmierć nastąpiła w ciągu kilku minut.

– Około siedmiu minut od dostarczenia do chwili zgonu.

– Boże! – jęknęła, lecz zaraz się opanowała. – A więc przez skórę, zwłaszcza jeśli miał na niej jakieś nacięcia lub perforacje. Lub też przez płuca. – Zmrużyła szare oczy, ściągnęła brwi i pokręciła wolno głową. – A Martin jest cały i zdrowy? Nic mu nie jest? W wiadomościach mówili, że to on znalazł ciało.

– Nie ma żadnych objawów. My również.

– A więc toksyna rozplynęła się w powietrzu, została w całości wchłonięta przez ofiarę lub całkowicie straciła moc.

– Jak oni stali finansowo?

– Martin i Kent? Powiedziałabym, że mieli niezwykle komfortową sytuację.

– A praktyka lekarska Kenta? Odniosła sukces? Była lukratywna?

– Jezu! W świecie glin muszą panować totalne ciemności – westchnęła ciężko Louise. – Musisz też wziąć pod uwagę to, że ktoś mógł chcieć zabić Kenta dla pieniędzy. Na pewno nie mógł to być Martin, który, jak sądzę, osiągnąłby największe korzyści. Nie mogły tego zrobić także jego dzieci. Lissa, czyli Melissa Rendi, pracowała razem z nim, jako że ten rodzaj działalności wymaga zaangażowania dwóch lekarzy. Wywarła na mnie wrażenie dobrego lekarza i z tego, co wiem, nie dostawała wynagrodzenia w gotówce.

– Spotykaliśmy się również z kręgiem ich znajomych, Dallas – kontynuował Charles. – Wprawdzie znamy się z nimi raczej dość powierzchownie, to jednak według mnie nie ma wśród nich nikogo, kto mógłby chcieć skrzywdzić Kenta. Mówiłaś, iż paczka była zaadresowana na jego nazwisko, lecz czy mimo wszystko nie mógł to być przypadek? Jak na przykład... Boże! No na przykład nazwisko wybrane na chybił trafił?

– Mógł – zgodziła się Eve, choć bynajmniej tak nie myślała.

– Czy moglibyśmy coś zrobić? W czymś pomóc? Mogłabym popracować razem z Morrisem, jeśli tylko...

– Nie ja o tym decyduję – odrzekła Eve. – A poza tym to kiepski pomysł.

– Jestem lekarzem. Prowadzę badania naukowe. Mogę wydać obiektywną opinię – upierała się Louise.

– Był twoim przyjacielem i poświęcał swój prywatny, wolny czas dla twojej kliniki. Lepiej będzie, jeśli na razie pozostaniesz nieco z boku. Trzymaj się z dala od śledztwa. Udziel ci tych informacji, którymi wolno mi będzie z tobą się podzielić, jak tylko się czegoś dowiem – dodała Eve. – Tyle mogę dla ciebie zrobić.

– Mężczyzna doświadczył straty – oznajmił Roarke. – Z tego, co tutaj usłyszałem, ogromnej, głębokiej straty. W tym trudnym dla siebie czasie zapewne oczekuje wsparcia przyjaciół.

– Ma wsparcie rodziny – mruknęła Louise.

– Jedyne krew i zawarte w niej DNA odróżnia rodzinę od dobrych przyjaciół, od prawdziwych przyjaciół, nieprawdaż? – spytał Roarke.

Oczy Louise znów zaszkliły się łzami.

– Tak. Dziękuję ci! Tak. Skontaktujemy się z nim jutro z samego rana. Jestem przekonana, że i tak powiedziałaś nam więcej, niż pierwotnie zamierzałaś – zwróciła się do Eve. – To nie wyjdzie poza ściany tego pomieszczenia – obiecała. – Jestem ci za to niezmiernie wdzięczna. Sama wiesz, jakie mam skomplikowane relacje z moją własną rodziną. Kent... no cóż... Martin również... Obaj byli dla mnie jak ojcowie zastępczy. Roarke ma rację. To tylko DNA.

Kiedy wyszli, Eve usiadła znów przy stole.

– Wyglądała na mniej roztrzęsioną, kiedy wychodziła. Pomogło jej to, co powiedziałaś.

– Wszystko jej pomogło. Wprawdzie to tragedia dla naszych przyjaciół, którzy tak dobrze znali zamordowanego, lecz i dla ciebie pomocne jest to, że znasz ich od dawna i możesz im w pełni zaufać.

– Mnie to nie boli tak jak ich.

– Zostawmy to. Niech moja pani porucznik powie mi lepiej, w czym ja mogę jej pomóc.

Uśmiechnęła się do niego.

– Myślałam o tym, kiedy jechałam samochodem do domu. Nie o tym, co mógłbyś zrobić, lecz o tym, że zaofერujesz mi swą pomoc. O tym, że każesz mi coś zjeść, że najprawdopodobniej poczęstujesz kieliszkiem wina. Wysłuchasz mnie, a potem zaofერujesz pomoc. – Przekrzywiła głowę w bok. – Nie uważasz, że jesteśmy słodką parką?

– To chyba zależy od stopnia emitowanej słodyczy, nie sądzisz?

– W takim razie emitujemy ją chyba w najodpowiedniejszym stopniu jak na nas, he? Mam czasem wrażenie, że nieźle nam się udaje. Muszę się teraz zająć mapą zbrodni. Jeśli masz chęć, mógłbyś poprzebrać w finansach ofiary, małżonka, firmy. Pewnie nie posunie to niczego do przodu, ale powinniśmy to odhaczyć.

– Grzebanie w finansach innych? O niebiosa! Ekstra jak dla mnie.

Eve zrobiła wszystko, co było w ludzkiej mocy zrobić w tej chwili. Raporty z laboratorium, od ekipy techników i ekipy medycznej jeszcze nie nadeszły. Peabody dała znać, że spotkanie z personelem kliniki zostało umówione na siódmą trzydzieści, miała więc zaplanowany początek jutrzejszego dnia.

Przesłuchanie, kostnica, laboratorium – wszystko to, zanim dotrze do komendy głównej policji. Miała nadzieję, że uzyska odpowiedzi choć na część pytań, że wyklaruje się jej jakaś ścieżka postępowania.

Kto bierze na cel powszechnie lubianego mężczyznę, cenionego lekarza, kochającego i kochanego męża i ojca? Kto wystawia go na szybką, straszną śmierć w męczarniach?

Znajdzie odpowiedź na to pytanie, choćby miało ją to wiele kosztować.

Na razie jednak, ponieważ zrobiła już wszystko, co mogła zrobić przed zapadnięciem nocy, zdecydowała, że oboje z mężem zasługują na jeszcze jedną słodką nagrodę.

Skierowała się do położonego tuż obok gabinetu męża. Siedział w swoim centrum dowodzenia, przyglądając się uważnie czemuś, co mogło być zapisane w języku greckim (zdaniem Eve, mógł to ocenić któryś z jej speców od technik operacyjnych).

– Skończyłaś na dzisiaj, prawda? – Oderwał wzrok od monitora komputera. – Nie znalazłem niczego, co mogłoby pomóc w śledztwie, więc nie chciałem przeszkadzać.

– Co takiego, co nie mogłoby pomóc w śledztwie, znalazłeś?

– Urządzili się dość komfortowo, przyznają. A nawet bardzo komfortowo, jak mówili Louise i Charles. Klinika zamordowanego funkcjonuje bez zarzutu, a jego mąż otrzymuje całkiem niezłą pensjękę oraz spore dodatki. Mądrze inwestowali w nieruchomości. Wygląda na to, że zamierzali przejść na emeryturę za mniej więcej dziesięć lat. Lubili podróżować. I często gdzieś wyjeżdżali, ale nie żyli ponad stan. Część swoich przychodów wydatkowali na cele charytatywne, a muszę powiedzieć, że wybierali je mądrze. Byli przy tym niezwykle szczodrzy – zamilkł na chwilę. – Obaj nie mieli żadnych ukrytych rachunków. Żadnych długów hazardowych ani dziwnych zakupów. Zażyczyli też fundusze powiernicze dla swoich dzieci i wnuków, wykonali kilka hojnych, lecz niebudzących podejrzeń zapisów dla ludzi, którzy pracowali dla nich lub od dłuższego czasu z nimi współpracowali. Dla Louise i Charlesa również

zapisali konkretne dzieło sztuki. Inne cenne rzeczy, takie jak zestaw spinek do mankietów, antyczny komplet przyborów do golienia czy tym podobne drobiazgi, zapisali ludziom, którzy, jak się domyślam, są ich bliskimi przyjaciółmi i docenią te pamiątki.

Eve wsparła się o futrynę drzwi.

– Nie prosiłam cię, żebyś sprawdzał, jakie zapisy zawarł w testamencie – ofuknęła męża.

– Ach! Skoro już zacząłem, chciałem to zrobić porządnie. Sądzę, że polubiłbym doktora Abnera.

– Nie ty jeden. Wybieram się do łóżka, a ty?

– Ja zawsze razem z tobą, pani porucznik. Nie robię nic konkretnego. Nic związanego ze śledztwem.

– Nie wygląda to na cokolwiek związanego z ludzkimi sprawami – burknęła, gdy wyłączał komputer.

– I tak, i nie. – Wstał. – Dotyczy kolonii na Marsie.

– Ach, na Marsie. – Pokręciła tylko głową, gdy opuszczali jego gabinet. – Naprawdę starasz się opanaować cały wszechświat, co?

– A nie byłoby fajnie, gdybyśmy mogli spędzić weekend na Marsie?

– Nie w tym życiu ani też w żadnym innym. Jak dla mnie Włochy wystarczą. Było tam fantastycznie. Objął żonę ramieniem.

– Tak, masz rację – odrzekł. – Było wybornie.

– A ten twój hotel? Prezentuje się doprawdy świetnie. I ten nobliwy wygląd, jakby nic się w nim nie zmieniło od wieków, a wewnątrz wszystko jest na najwyższym poziomie.

– Taki jest plan. – Kiwnął głową, a kiedy weszli do sypialni, dodał: – Wciąż jest za chłodno, żeby nie włączać kominka. – Podszedł i ustawił lekkie grzanie.

Na łóżku dostrzegli wyciągniętego w poprzek kocura, jakby chciał w ten sposób zademonstrować, że to on jest jego prawowitym właścicielem.

Niedługo stamtąd zwieje, zdegustowany – przeszło Eve przez myśl. Usiadła i zdjęła buty.

– Pamiętasz, jak obiecywałam w samolocie do Włoch, że jeszcze się do ciebie dobiore?

– Mam bardzo dobrą pamięć.

– Fakt. Masz.

Wstała, rozpięła szelki z bronią i zsunęła je z ramion.

– Sądzę, że nadszedł na to czas – zawyrokowała ze swobodą.

Zastygł w pół ruchu zdejmowania koszuli.

– O?... – Uśmiechnęła się, nagle rozanielony. – Teraz?

– A teraz – odparła weselo. – Pomimo pasuknej śmierci, a może właśnie ze względu na nią, zdałam sobie dziś sprawę, że należy doceniać to, co się ma, kiedy się to ma. Co więcej, powinno się to wykorzystywać. – Złapała go jedną ręką za pasek spodni i przyciągnęła do siebie. – Więc tak właśnie zrobie. – Przywarła ustami do jego ust, pogłębiła pocałunek i dodała szybkie, leciutkie przygryzienie wargi na koniec. Uśmiechnęła się. – Jako policjantka śledcza, która rozpoznaje dowody zbrodni, nie muszę pytać o zgodę.

Po czym wykonała zwinny piruet, podstawiając mu nogę, tak by stracił równowagę i w ułamku sekundy miała go pod sobą, leżącego na łóżku na plecach.

Kot, zgodnie z jej przypuszczeniami, zeskoczył obrażony na podłogę i odmaszerował.

– Niezły rzut – pochwalił ją.

Uklękła nad nim okrakiem i schyliła się, zbliżając swoją twarz do jego.

– Mam więcej w zanadru – szepnęła i znowu wpiła się w jego usta, by mu to udowodnić.

Zapragnęła żaru, rozpalającego tempa, szybkiego i beztraskiego zapomnienia w ogarniającej ich namietności. Płonęła. Na twarzy mężczyzny tymczasem malowała się obawa, jak poradzi sobie z tym dusza kobiety po tak koszmarnym dniu.

Ona jednak tylko w ten sposób mogła mu przekazać to, czego nie potrafiła czasem ubrać w słowa: że jej miłość nie ma granic, że jest szaleńcza, mocna, bezwzględna, że zawsze, ale to zawsze będzie walczył o nią, o niego, o nich.

Tylko swoim ciałem mogła dać obojgu wytchnienie od tego, cokolwiek przyniesie im dzień jutrzejszy, czegokolwiek od nich zażąda.

Rzuciła się w wir namietności, nie zaczynając delikatnie i z wolna, lecz ostro jak strzała uwolniona z łuku. Rozgrzana i pragnąca. A kiedy jego dłonie – mądre i doświadczone – chciały ją objąć, zatrzymała je w miejscu, schwyciwszy swoimi w mocny uścisk. Zdobywała go jedynie swoimi ustami.

Jego usta, jego szyję, jego pierś. Rejestrowała coraz szybsze, coraz mocniejsze bicie jego serca, gdy rozkoszowała się jego ciepłą skórą, wyczuwając pod dotykiem warg drżenie mocnych mięśni.

– Czekał! – zarządziła, uwalniając jego ręce, świadoma własnej siły. – Czekał! – powtórzyła, rozpięła do końca guziki jego koszuli i zdjęła ją z niego.

Znów złapała w mocny uścisk nadgarstki męża i zaczęła muskać jego skórę wargami.

Totalnie go rozwalila. Nieustępliwa, zwinna, niszczyła jego samokontrolę warstwa po warstwie. Nie czuje się z tym źle – przeleciało mu przez myśl. Szaleńczo jej pragnął. Czuł, jak spala go płomień pożądania.

Ten żar... Boże! Ten żar był nie do zniesienia! Był przecudowny!

Usiłował ze wszystkich sił powściągnąć emocje. Mógłby przysiąc, że cały świat fiknął kozła i odwrócił się do góry nogami. Doprowadziła go na skraj rozkoszy, pozostawiła tam drżącego z pożądania i ponownie podjęła wędrowkę ustami ku górnym partiom jego ciała.

Wreszcie na samym końcu, kiedy znów doszedł do granic wytrzymałości, wypowiedział jej imię. Jak modlitwę, błaganie, żądanie – wszystko naraz.

Widział jej oczy, tylko jej oczy, brązowe jak oczy lwicy, gorejące jej wewnętrzną siłą.

– Wstrzymaj się! – zażądała.

Prychnął, jakby usłyszał coś niewyobrażalnego.

– Nie! – brzmiała jego odpowiedź.

Przekreślił się razem z nią i wziął ją pod siebie, przygważdżając do łóżka. Uwolnił jednym ruchem obie ręce.

Teraz on był górą, jak ona poprzednio. Teraz to on niszczył jej samokontrolę warstwa po warstwie, jak ona poprzednio. Teraz to on delektował się smakiem jej skóry, chłonął jej szczupłe, gibkie ciało, smakował je, brał. Kiedy osiągnęła szczyt, z jej gardła wyrwał się krzyk, krzyk, który go na nowo rozpalil i popchnął do ponownego jej pobudzenia, do wyprowadzenia ciała Eve z chwilowego bezwładu ku totalnemu, desperackiemu pożądaniu.

Zdawało się, że cały świat wiruje wokół nich, w płucach brakowało powietrza, zatarły się obrazy... aż wreszcie przywarli do siebie, skonani, półżywi, gotowi na wszystko.

Kiedy ich spojżenia na moment się spotkały, wszedł w nią. Szybko, bez żadnych czułości, z gwałtownością, której oboje łaknęli w tej chwili. Oboje razem doprowadzili się na skraj palącego pragnienia i wczepili się w nie, by jak najdłużej trwać w tej szaleńczej przyjemności.

I w końcu świat eksplodował.

Leżeli obok siebie bez tchu, jakby udało się im uniknąć samozniszczenia, w oczekiwaniu, aż znów będą mogli rozsądnie, logicznie myśleć.

– Wypowiedziałeś... – złapała oddech – takie słowa... – Musiała zamilknąć, by chwilę odpocząć i wciągnąć powietrze do znekanych płuc. Następnie zacytowała z pamięci coś w obcym języku, który z grubsza przypominał irlandzki. – Co to znaczy? – spytała.

Poprzekręcany irlandzki – pomyślał Roarke, lecz poskładał dźwięki w zdanie.

– Naprawdę to powiedziałem? – zdziwił się.

– Mhm. Tuż przed tą chwilą, kiedy niewiele brakowało, a oboje wyzionęlibyśmy ducha.

– Więc było to zgodne z prawdą. *Is mise mo chiall*. Jesteś moim szaleństwem.

Zastanowiła się chwilę nad tym.

– Według mnie to dobrze, rzecz jasna w odpowiednich okolicznościach.

Odwrócił się ku żonie i musnął wargami jej włosy.

– Dzięki tobie, Eve, odkrywam sam siebie na nowo na miliony sposobów.

– Musiałam... sama nie wiem... spalić w ogniu namiętności wspomnienie minionego dnia.

– Potwierdzam, że odnieśliśmy całkowity sukces na tym polu. – Przybliżył się do niej i przyciągnął do siebie, więc wtuliła się w niego. – A teraz śpij.

– O tak... – Zamknęła oczy, czując zapach jego skóry, i zaczęła odpływać. – Włączasz światła w całym domu w oczekiwaniu na mój późny powrót.

– Aby pomóc ci odnaleźć drogę.

– To miłe... – szepnęła, odpływając w sen.

Kocur wyciągnął słuszny wniosek, że jego ulubione miejsce na łóżku nie jest już zagrożone, wskoczył więc na górę i umościł się w dole pleców Eve.

Tak – pomyślał Roarke – to jest bardzo miłe.

*

Obudziła się wczesnym rankiem sama. Próbowwała jeszcze się zdrzemnąć, lecz w końcu zrezygnowała. Zbyt wiele jest dzisiaj do zrobienia – napomniała się i wyskoczyła z łóżka, żeby nastawić kawę.

Już pierwszy łyk zyciodajnego płynu dodał jej energii. Wypiła do dna i poszła pod prysznic.

Kawa, gorące bicze wodne, a potem kilka obrotów w suszarce do ciała i poczuła się znów jak człowiek, gotowa stawić czoło nadchodzącemu dniu. Szlafrok wiszący na haczyku drzwi – z cienkiej, miękkiej,

kiej bawełny w kolorze brzoskwini – musiał być chyba całkiem nowy. Kiedy zarzuciła go na siebie, doznała wrażenia znalezienia się w puszystej chmurce.

Facet zawsze idealnie trafiał w jej upodobania!

A oto i on, już po skończonym spotkaniu biznesowym, które odbył jeszcze przed świtem. Siedział na kanapie w doskonale dopasowanym garniturze o barwie bezkسیężycowej nocy i koszuli w odcieniu niebieskiego, zbliżonym do magicznego błękitu jego oczu. Krawat wpasowywał się w całość tonacją zdołających go bladobłękitnych, cieniutkich prążków.

Obok niego siedział kot, z zadowoleniem przyjmując drapanie go po łebku. Roarke popijał kawę i przeglądał poranne raporty z giełdy, przewijając je na ekranie komputera.

– Chciałem cię nawet obudzić, ale usłyszałem, że już się krzątasz.

– Sporo się dzieje. – Na stole stał dzbanek z kawą, którą dla nich przygotował, więc naląła sobie pełny kubek. – Będę musiała trochę ponaciskać Dickheada, aby to mnie pierwszej zdradził wyniki badań.

Dick Berenski, szef laboratorium analitycznego, posiadał niesamowite umiejętności, a przy tym zawsze dawał się czymś przekupić Eve.

– Co to będzie tym razem? – zaczął się zastanawiać na głos Roarke, gdy jego żona przeszła obok niego w drodze do garderoby. – Szkocka single malt? Miejscówki w łoży stadionu?

– Tylko stosowny nacisk – odrzekła z czeluści garderoby. – Żadnego przekupstwa. Jeśli cokolwiek napomknie na ten temat, będę musiała sama się zaarrestować za napaść.

– W razie czego wpłacę za ciebie kaucję.

Stojąc przed półkami, rozmyślała o czekających ją przesłuchaniach, kostnicy, laboratorium i o wszystkim, co może z tego wyniknąć. Zbyt wiele ubrań... Zbyt wiele możliwości wyboru...

Dlaczego wszystkie ubrania nie są czarne lub w ostateczności brązowe?

– Gdybym to ja wybierał się na przesłuchanie zmartwionych pracowników i rodziny w żałobie – usłyszała głos Roarke'a dochodzący z sypialni – wybrałbym coś w ciemnych tonacjach, lecz nie pełną czerń – dodał, kiedy Eve już miała sięgnąć po czarne spodnie. – Czerni zostawiłbym dla tych w żałobie.

Brąz – pomyślała. – Brąz jest ciemny. Podeszła do wieszaka z brązowymi spodniami, lecz znów się zawahała. Włącz myślenie, do cholery!

Szary. Może grafitowy? Jest zbliżony do czerni, ale jednak nie czarny.

Miała dość zwracania sobie tym głowy.

Zajął jej to więcej czasu, niż powinno. Ubrała się całkowicie w garderobie, żeby przypadkiem Roarke nie kazał jej zmienić jakiegos elementu stroju na coś innego.

Coś bez wątpienia bardziej pasującego.

Kiedy wyszła, ubrana w szare spodnie i nieco ciemniejsze w tonacji, lecz również szare buty oraz cienki granatowy sweter, trzymając pod pachą szarą marynarkę (z granatowymi guzikami, granatowymi skórzanymi mankietami i takimiz wykończeniami kieszeni), Roarke już podał śniadanie na podgrzewanych tacach.

– Doskonale wszystko dobrałaś – pochwalił ją. – Ciemny, dystyngowany strój. Modnie, z autorytetem. Dobra robota.

– Goń się! – Zarzuciła marynarkę na oparcie krzesła, po czym nałożyła i zapięła szelki taktyczne z bronią. – Zajął mi to dwa razy więcej czasu niż dobranie czarnego stroju. A ty masz na sobie czarny garnitur – wytknęła mu.

– Dokładniej indygo, ale blisko czerni. Pasuje on, że tak powiem, do mojego dzisiejszego rozkładu dnia.

– Którą planetę dzisiaj kupujesz?

– Na razie jeszcze nie Marsa – odrzekł z uśmiechem. – Mam kilka spraw dotyczących kolonii. Priorytetem jest dla mnie dzisiejsze pierwsze spotkanie z nowymi pracownikami ośrodka An Didean dla trudnej młodzieży, odbędzie się ono z rana, ale w nieco późniejszych godzinach. Potem wezmę udział w kolejnym spotkaniu, tym razem z częścią personelu ośrodka Dochas dla maltretowanych kobiet. Chcielibyśmy, żeby ze sobą współpracowali, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Obróciła spojrzenie na męża.

– Do An Didean moglibyście na przykład przekierowywać małoletnich, z którymi do Dochas przybyły się schronić matki – podsunęła.

– Mam nadzieję, że tak właśnie będzie to działać.

Usiadła obok niego.

– To naprawdę fajna sprawa. Czynisz w ten sposób dobro. Kiedy byliśmy we Włoszech, mówiłeś, że wszystko idzie zgodnie z harmonogramem.

– Tak właśnie jest. – Zdjął kopuły podgrzewaczy.

Żadnej owsianki – ucieszyła się Eve, miała jednak przecucie, że w małej miseczce pod owocami i chrupiącym czymś kryją się nie lody, lecz jogurt. Omlęt z bekonem wszystko jej wynagrodzi.

– Jak daje sobie radę Rochelle?

– Doskonale, choć ciężko przeżywa żalobę po bracie. – Dotknął lekko dłoni Eve. – Dzięki tobie ona i jej rodzina zamknęli ten trudny rozdział. Wczoraj udało mi się ją złapać w przelocie i chwilę porozmawiać. Przyznała się, że myśli pomału o nim, kiedy jest w szkole, myśli, jak bardzo zmieniłoby się jego życie. Wyobraża sobie, jak bardzo byłby z niej dumny teraz, kiedy stanowi część naszego zespołu.

– Wciąż jest z Crackiem?

– Tak, owszem. – Rozbawiła go tonacja jej głosu, świadcząca może nie o braku akceptacji dla tego związku, tylko raczej wyrażająca zaskoczenie. Uniósł pytająco jedną brew. – Masz z tym jakiś problem? – Nie, nie mam. Zaczynam się do tego pomału przyzwyczajać. – Zaczęła od jogurtu, żeby mieć go z głowy. Odstawiła na bok pustą miseczkę.

Właściwie nie był wcale taki ohydny.

– A skoro już jesteśmy w temacie An Didean, mówiłem ci chyba, że Jake wraz z członkami swojego zespołu będą wpadali od czasu do czasu, aby w ramach wolontariatu uczyć muzyki i pisania piosenek?

– Gwiazdor rocka Nadine jest w porządku.

– Tak, to równy gość, a nasza Nadine nie dość, że wzięła na staż pod swoje skrzydła naszą nieoczoną Quillę, to jeszcze będzie wpadać od czasu do czasu podyskutować o dziennikarstwie, pisaniu scenariuszy oraz pisarstwie w ogóle.

Może być w tym dobra – pomyślała Eve. – Nadine zna swoją robotę od podszewki.

– Dążysz do tego, by upchnąć wśród personelu jak najwięcej gwiazd – zauważyła.

Jogurt nie był wcale taki ohydny, za to omlęt – boski.

– Czemu nie? Mnie się podoba taka koncepcja. Będą do nas wpadać gościnnie szefowie kuchni, artyści, naukowcy, biznesmeni...

– Masz zamiar zapraszać gwiazdy?

– Od czasu do czasu. Wokalistów, projektantów.

– Mavis i Leonarda – podsunęła.

– Ich też. Inżynierów, architektów, programistów, lekarzy. Nawet prawników.

Prychnęła, słysząc ostatnią propozycję.

Uśmiechnął się, upił łyk kawy.

– Chcemy, by nasi podopieczni nie tylko mieli dobrą opiekę, znaleźli tu schronienie, byli dobrze odżywiani i czuli się u nas bezpiecznie, lecz chcemy też zapewnić im urozmaicony program nauczania. Część owego programu oraz przedsięwziętych działań wymaga trzymania się prawa. Wszelkich jego reguł. A kto, jak nie porucznik Dallas, wygłosi najlepiej wykład na temat pracy policji?

– Pff! Roarke! Daj spokój! Gadasz od rzeczy! – Wbiła widelec w kawałek podsmażonego bekonu. – Nie mam za grosz zdolności dydaktycznych.

Przekrzywił głowę, palcem wskazującym zatrzymał w pół drogi skradającego się do stołu Galahada, wielbiciela bekonu, a potem spytał krótko:

– A detektyw Peabody Delia?

– Nie uczyłam jej. Ona już pracowała w policji. I nie była nastoletnim dzieciakiem.

Niczym niezrażony, gładko jak po maśle, Roarke wyłożył jej swoją opinię.

– Niektóre z tych dzieciaków będą miały kłopoty, niektóre będą pochodzić z dysfunkcyjnych domów, jak brat Rochelle, zanim odmieńli swoje zbyt krótkie życie na lepsze. Większość zapewne będzie miała za sobą trudne dzieciństwo, jak ty i ja. Kto im lepiej wyjaśni, kim jest policjant, jaki powinien być, jaki może być, niż profesjonalistka biorąca czynny udział w ochronie obywateli i wierząca w sens swojej służby? Przy okazji niedająca sobie w kaszę dmuchać?

Facet nawet w negocjacjach z samym Bogiem wyszedłby na swoje – pomyślała.

– Przestań mi schlebiać. Nie dam się w to wciągnąć – oświadczyła.

– Przemysł to sobie. – Poklepał ją przyjaźnie po udzie.

Nie miała ochoty o tym myśleć, zajęła się więc jedzeniem i zmiotła śniadanie z talerza do ostatniego okruszka.

– Muszę lecieć do pracy – rzekła.

Wstała, wzięła swoją odznakę, kajdanki, nóż kieszonkowy, telefon, policyjny komunikator i trochę gotówki, a potem włożyła marynarkę.

Roarke także się podniósł, rzucił Galahadowi ostrzegawcze spojrzenie, po czym podszedł do Eve i wziął ją w ramiona.

Zakłopotana objęła go również.

– Odbieram to tak, jakbyś się o mnie martwił – westchnęła. – Nie zaczynaj dnia martwieniem się o mnie.

– To nie to. Ty sama zatroszczysz się najlepiej o moją panią porucznik. To tylko... łapanie chwili, tego, co coś w życiu znaczy. – Uniósł jej brodę do góry i pocałował raz i drugi. – Do zobaczenia wieczorem! – dodał i klepnął ją w pośladek. Drzemiące w niej niejasne obawy ponownie się rozwiały. – I nie czepiaj się zbyt mocno Dickheada.

– To już będzie zależało wyłącznie od niego. – Ruszyła ku wyjściu, lecz zatrzymała się w drzwiach. – Gdyby udało mi się wrócić do domu przed tobą, co czasem się zdarza, włączę wszystkie światła w domu.

Zareagował na to promiennym uśmiechem, którego obraz Eve zachowała, schodząc po schodach i potem, kiedy wychodziła na zewnątrz i wsiadała do samochodu.

Wyjechała przez bramę i płynnie włączyła się do wczesnoporannego ruchu. Było jeszcze zbyt wcześnie – brakowało z pół godziny, jak oceniła – by włączono drażniące reklamy dźwiękowe. Ale nie za wcześnie na maksibusy, pierwszego ulicznego sprzedawcę, u którego można było kupić kawę i coś, co przypominało bajgle, czy też na kursujące po stałych trasach aerotramwaje z sennymi pasażerami, przecinające z hukiem niebo nad miastem.

Najwidoczniej nie za późno też na dwie licencjonowane ulicznice, które zdecydowały się na kawę z ulicznego kramu na kółkach oraz to coś, co przypominało bajgle, aby zapełnić żołądek po pracowitej nocy.

Za następnym skrzyżowaniem zobaczyła kobietę w złotej wieczorowej sukni i krótkiej srebrnej narzutce na ramionach, idącą skrajem chodnika w niebotycznie wysokich szpilkach.

Możliwe, że to licencjonowana dama do towarzystwa – pomyślała Eve – na pewno reprezentująca wyższy poziom niż widziane przed chwilą dwie mewki. Bez wątplenia miała za sobą równie męczącą noc.

Kawałek dalej jej wzrok przyciągnął wyprowadzacz psów z całym stadkiem dziwacznych psiaków z kolorowymi kokardkami na głowach, następnie mężczyzna uprawiający jogging w jaskrawopomarańczowej koszulce, zmierzający ku niewidzialnej linii mety, jakiś bezdomny, drzemiący przy wejściu do budynku, kobieta przed już otwartym marketem, zajęta ustawianiem kwiatów na sprzedaż na stelażu przy wejściu. Gdzieś w oknie drugiego piętra mignęła dziewczyna w obcisłym trykocie w panterkę kręcąca piruety.

Jeśli nie kochasz Nowego Jorku – pomyślała – to miasto nie jest miejscem dla ciebie.

A ponieważ ona kochała, ponieważ było jej miejscem na ziemi, ponieważ była policjantką z Wydziału Zabójstw, która niezachwianie wierzyła w skuteczność policyjnej ochrony i chciała służyć swemu miastu, zwróciła swe myśli ku dokonanemu wczoraj morderstwu.

Pomyślała, że mogłaby zacząć od przespacerowania się trasą, którą codziennie przebywał Abner od domu do kliniki, by sprawdzić, co też mógł napotykać na swej drodze. Spróbowała upolować miejsce parkingowe w pobliżu jego miejsca zamieszkania. Mimo że była to spokojna boczna uliczka, trochę się z tym pomęczyła, ale mogła sobie na to pozwolić, miała bowiem sporo czasu do pierwszego spotkania. Zaparkowała przy chodniku, przeszła z powrotem cały kwartał zabudowy i jeszcze kawałek, by wreszcie stanąć przed zabezpieczonymi drzwiami domu, gdzie doszło do zabójstwa. Sprawdziła godzinę i zaczęła od tego miejsca.

Żaden z małżonków nie posiadał samochodu – myślała Eve. – Zapewne podczas wyjątkowo niesprzyjającej aury musieli wzywać taksówkę lub korzystać z usług osobowego transportu miejskiego, by dostać się do swoich miejsc pracy, choć i klinika, i szkoła położone były kilka kwartałów stąd.

Jednakże uzyskane do tej pory informacje wskazywały wyraźnie, iż Abner chadzał do pracy na piechotę, czasem zrywając się z łóżka na tyle wcześnie, by jeszcze przed pracą pobiegać lub wstąpić do swojego klubu fitness na siłownię.

Na poranne przebieżki – myślała – oczywiście tylko wtedy, kiedy pogoda była sprzyjająca, zwykle wybierał park Hudson River. Sprawdzię również tamtą okolicę. Być może uda się odnaleźć innych biegaczy, którzy go znali albo ucinali z nim czasem pogawędkę.

Najczęściej jednak w te dni, kiedy udawał się do pracy, wybierał trasę wśród ślicznych domków z elewacjami z cegły lub brązowego piaskowca, pomiędzy którymi rozsiane były ekskluzywne butikie, restauracje, kawiarenki. Kiedy znalazła się obok piekarni z cukiernią, przystanęła. Dostrzegła wewnątrz formującą się już kolejkę.

Warto się tu zatrzymać w drodze powrotnej – zdecydowała. – Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Abner tu właśnie zaopatrywał się w pieczywo i ciastka, które, zgodnie ze słowami Louise, przynosił niekiedy do kliniki.

Najprawdopodobniej miał też ulubioną kwaciarnię – pomyślała. – Świeże kwiaty w domu, kwiaty w klinice.

To tylko jedno z wielu miejsc, w których mógł go widywać przyszły morderca, a może wciągać go nawet w pogawędkę.

Musiał znać jego rozkład dnia – rozmyślała, skręciwszy za rogiem. Musiał wiedzieć lub mieć ku temu solidne podstawy, że Abner będzie w domu i odbierze paczkę, co więcej – że będzie w domu sam – bo po co w innym wypadku płacić tyle za dostarczenie jej następnego dnia z samego rana?

Nie chodzi już nawet o sam fakt opłacenia kuriera – rozmyślała – lecz o to, dlaczego dla mordercy takie znaczenie miał czas, w którym ofiara otworzy przesyłkę?

Przystanąła przed następną kamienicą z okładziną z brązowego piaskowca. Mieściły się w niej biura. Na jednej z tabliczek przy wejściu odnalazła złote litery na brązowym tle układające się w słowa:

Dr Kent Abner Pediatra

Do wejścia prowadziło kilka stopni z połyskującą w słońcu ciemnobrązową balustradą. Po obu stronach białych drzwi stały białe donice z kompozycjami złożonymi z drobnych żółtych żonkili, jakichś fioletowych kwiatów, których nie znała, oraz zielonych pnączy, rozpiętych na stelażach ponad donicami.

Szyby w oknach lśniły.

Całość, zdaniem Eve, prezentowała się bezpiecznie, przyjemnie i z klasą. Wrażenie bezpieczeństwa wzmacniała doskonała ochrona z monitoringiem. Była nawet kamera przy drzwiach.

Odwrociła się, chcąc raz jeszcze spojrzeć na okolicę, gdzie Abner mógł się stykać z innymi ludźmi podczas wypełniania codziennych obowiązków. Po przeciwnej stronie ulicy zauważyła wychodzącą zza rogu Peabody.

Miała na sobie swój ulubiony różowy płaszcz – zapewne już bez ciepłej zimowej podpinki, ukochane kowbojki, granatowe spodnie, które mogłyby być nieco luźniejsze tu i tam, choć niekoniecznie, oraz jedwabny szal – bo chyba nie z włóczki – z wzorem w kwiaty nieco podobne do tych, które rosły w donicach.

W jej ciemnych okularach odbijało się słońce. Na ich widok Eve pożałowała, że zapomniała o swoich.

Jej partnerka przeszła przez jezdnię i ruszyła wprost ku Eve.

– Co za magiczny poranek! – zachwyciła się. – Wiosna powinna być przez okrągły rok.

– Masz na sobie szal w kwiatki.

– Wiosenne kwiatki. Uszyłam go wczoraj wieczorem. – Poglaskała szal.

– Jak to „uszyłaś”? – zdziwiła się Eve.

– Normalnie. W domu. Używając maszyny do szycia. – Rozejrzała się. – Nie widzę samochodu.

– Zaparkowałam nieopodal miejsca zbrodni, żeby przejść się trasą, którą codziennie pokonywał Kent.

– Och! A niech to! Powinnam była zjeść tego rożka z duszonym jabłkiem. Mogę się założyć, że McNab pożarł jednego w drodze do komendy. Jemu to w ogóle nie idzie w ten jego chudy tyłek. Jest cały czas na telefonie, gdybyś go potrzebowała i kiedy tylko będziesz go potrzebowała, żeby zerknąć na komputery i inne urządzenia. Och! Popatrz tylko, jak ślicznie wyglądają te miniaturowe irysy w towarzystwie żonkili i tej słodkiej psianki.

– Słodkiej psianki? – Eve zdumiona zajrzała za donice. – Gdzie ty tu widzisz psa?

– Nie psinka, tylko psianka. Dokładnie psianka jaśminowa. Tak się nazywa to pnącze – wyjaśniła Peabody.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – jeszcze bardziej zdziwiła się Eve i zaczęła wchodzić po schodach. – Zaczekaj chwilę! – Odwróciła się do Peabody. – Ech, dobra, zresztą nieważne. – Machnęła ręką i naciśnęła guzik dzwonka przy drzwiach.

Kobieta, która im otworzyła – o ciemnozłotej karnacji i kruczoczarnych włosach zwiniętych na karku w ścisły kok – miała piwne oczy o gęstych rzęsach, teraz podpuchnięte i zaczerwienione. Niedawno widać płakała.

Ubrana była w prostą czarną sukienkę i wygodne czarne buty na niskim obcasie.

– Jesteście, panie, z policji? – spytała bardzo ładnym, dokładnym angielskim z odrobiną obcego akcentu.

– Porucznik Dallas – przedstawiła się Eve, prezentując swoją odznakę. – A to detektyw Peabody.

– O! To ja rozmawiałam z detektyw Peabody. Nazywam się Seldine Abbakar. Jestem menedżerką biura doktora Abnera. Wejdźcie, proszę!

Ściany recepcji oraz mieszczącej się obok poczekalni pomalowane były w kolorze ciepłej zieleni. Wisiały tu artystyczne fotografie o tematyce budzącej równie ciepłe odczucia: widniały na nich niemowlęta oraz nieco starsze maluchy. W holu głównym stały wygodne niebieskie fotele, a w bardziej zacisznych jego zakamarkach – czerwone baseniki wypełnione zabawkami.

W aneksie holu usytuowano kącik z szatnią dla dorosłych oraz rzędem niżej umiejscowionych wieszaczek, które – jak się domyśliła Eve – były przeznaczone do wieszania płaszczyków najmłodszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

Nikt w tym momencie nie obsługiwał recepcji: długiego kontuaru w kształcie litery L z kilkoma komputerami oraz dużymi monitorami.

– Poprosiłam wszystkich, tak dla pewności, aby przybyli przed siódmą piętnaście – poinformowała je Seldine. – Wszyscy są już obecni. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli te rozmowy zostaną przeprowadzone w naszej sali konferencyjnej. Proszę o wybaczenie, ale... – zamilkła na chwilę i zacisnęła nerwowo perfekcyjnie umalowane usta. – My wszyscy jesteśmy tym zszokowani i zasmuceni. Doktora Abnera każdy uwielbiał.

– Nam również jest bardzo przykro.

– To dla nas wielka strata.

– Dziękujemy za zorganizowanie tego spotkania i poświęcenie nam swego cennego czasu.

– On na pewno nie miałby nic przeciwko temu. Wykrycie sprawcy tego strasznego czynu należy do waszych obowiązków, więc róbcie to, co trzeba, a ja postaram się pomóc ze wszystkich sił. Proszę za mną.

– Zanim tam pójdziemy, chciałabym zadać kilka pytań – rzekła Eve. – Jak długo pracowała pani dla doktora Abnera? – Wiedziała, że i tak się tego dowie, sprawdzając bazy danych, lecz wolała usłyszeć u źródła.

– Zaczęłam tu pracować w roku czterdziestym drugim, zaraz po studiach. Przyjechałam do Nowego Jorku z Iranu już jako studentka, tu ukończyłam naukę i potem ubiegałam się o prawo zamieszkania w Stanach na stałe. W przyszłym miesiącu minie dokładnie dwadzieścia lat. Doktor Kent... Proszę o wybaczenie, lecz poprosił mnie kiedyś, żebym mówiła mu po imieniu, i dla mnie na zawsze pozostanie doktorem Kentem...

– Rozumiem – wtrąciła Eve.

– ...więc doktor Kent pozwolił mi się doksztalcać i wciąż motywował do osiągnięcia wyższych stanowisk. Mój ojciec zmarł dawno temu w Iranie. Kiedy wychodziłam za mąż, poprosiłam doktora Kenta, by poprowadził mnie do ołtarza. Gdy urodziłam dzieci, wysłał mnie na urlop macierzyński z bardzo szczerą odprawą. Kiedy chciałam wrócić do pracy i mieć dzieci blisko przy sobie, on... Mamy tu żłobek. Tutaj, w firmie. Widzi pani, doktor Kent kocha... kochał dzieci. – Po jej policzku spłynęła łza. Otarła ją szybko. – Proszę mi wybaczyć zdenerwowanie. Był dla mnie jak ojciec. Martin, jego mąż, to dla mnie również członek rodziny. Obaj mimo braku więzów krwi dla moich dzieci byli dziadkami.

– Muszę o coś spytać, żeby mieć to z głowy. Czy może mi pani powiedzieć, gdzie była przedwczoraj około godziny dwudziestej drugiej?

– Spełnia pani jedynie swoje obowiązki. Oczywiście, że mogę. Szwagierka, siostra mojego męża, rodziła tego wieczoru dziecko. Przyszło na świat o dwudziestej drugiej trzydziści. Chłopczyk o wadze trzy sześćdziesiąt szesć. Chcą mu dać na imię Dżamar. Byłam tam, ponieważ poprosiła mnie, abym jej towarzyszyła podczas porodu. Zostaliśmy w szpitalu, to znaczy ja i mój mąż oraz jej najbliżsi, aż do północy – westchnęła głęboko. – Doktor Kent miał być pediatrą prowadzącym Dżamara. Prowadził również moje dzieci. Mogę podać dane wszystkich wraz z adresem szpitala, gdzie odbył się poród.

Eve czuła, że prawdziwe jest każde wypowiedziane przez nią słowo, skinęła więc tylko głową i podziękowała.

– Porozmawiajmy teraz z pozostałymi członkami personelu – poprosiła.

Przez boczne drzwi wyszły na korytarz kliniki. Minęły kilka gabinetów lekarskich oraz sal z przyrządami do badania stanu zdrowia, gabinet z nazwiskiem Abnera na tabliczce, a zaraz obok drugi z nazwiskiem jego współpracownika.

Weszły na piętro po schodach, minęły kolejne drzwi zamykające korytarz i znalazły się w czymś w rodzaju pokoju dziennego czy wypoczynkowego. Teraz pusty, zapewne mieścił przedszkole. Stamtąd trafiły do sali konferencyjnej z długim stołem obstawionym wokół krzesłami. Przy ścianach znajdowało się kilka stanowisk z ekspresami do kawy oraz wszystkim, co jest potrzebne do przyrządzenia gorących napojów.

Zgromadzeni przy stole obrócili spojrzenia na wchodzące obie śledcze. Eve spostrzegła wiele zapłakanych, zaczerwienionych oczu. Niektóre kobiety obejmowały się, znajdując w tym wyraźnie pocieszenie.

Atmosfera była przygnębiająca.

– Oto porucznik Dallas oraz detektyw Peabody – przedstawiła je Abbakar. – Mają do nas pytania. Uhonorujmy doktora Kenta, odpowiadając na nie wyczerpująco i szczerze. Zechciejcie, panie, spocząć. Pani porucznik? Pani detektyw? Czy mogę zaproponować kawę?

– Dziękuję – rzekła Eve. – Ja poproszę małą czarną.

– A ja ze śmietanką i dwiema łyżeczkami cukru – dodała Peabody, a następnie przejęła dowodzenie i od razu zwróciła się do zgromadzonych. – Rozumiemy, że wszyscy państwo przeżyliście straszny szok i bardzo wam współczujemy z tego powodu. Wiemy, że odpowiadanie na pytania zawsze sprawia pewną trudność, lecz kiedy już ustalimy, co robiliście o danej porze, po wyeliminowaniu pewnych zdażeń będziemy mogły przejść do kolejnych pytań.

– Może wobec tego ja zacznę – odezwała się trzydziestokilkuletnia kobieta rasy mieszanej, siedząca z chusteczką do nosa w zaciśniętej dłoni. – Nazywam się Melissa Rendi. Doktor Rendi, współpracowniczką doktora Abnera. – Zaczęłam tu praktykę lekarską trzy lata temu. Wszyscy pozostali są zatrudnieni dłużej ode mnie.

– Gdzie pani była przedwczoraj wieczorem o godzinie dwudziestej drugiej?

– Tak, ale... Zdawało mi się, że Kent został zamordowany wczoraj rano? – zdziwiła się Melissa.

– To prawda – przyznała Eve. – Ale ta informacja również będzie nam potrzebna.

– Byłam w domu z moją narzeczoną. Czy potrzebne wam jej dane osobowe?

– Tak. Poproszę.

– Alicia Gorden. Jadłyśmy kolację w domu po ciężkim dniu. W przyszłym miesiącu bierzemy ślub, adresowałyśmy zaproszenia i ogarniałyśmy inne sprawy związane ze ślubem i weselem. Zajęło nam to cały wieczór.

– A wczoraj około dziewiątej trzydziści z rana?

– Byłam tutaj. Kent miał akurat dzień wolny. Zaczęłam przyjmować pacjentów o ósmej.

– Zgadza się – wtrąciła się Seldine. – Doktor Lissa spędziła całe przedpołudnie w klinice. Potwierdzam. O pierwszej zjadła lunch w naszym pokoju wypoczynkowym. Popołudniową zmianę rozpoczęła o czternastej piętnaście. Czy te informacje w czymś pomogły?

– Nawet bardzo. – Peabody przesłała jej spokojny uśmiech.

Przepływały po kolei wszystkich siedzących przy stole. Receptjonistki, pielęgniarki i pielęgniarzy, także asystentkę lekarza, dwie pracownice żłobka, personel sprzątający.

Rendi miała rację. Wszyscy pracowali u Abnera od siedmiu do dwudziestu lat.

Przepływały pozostałych o miejsca ich pobytu w danym czasie, o ich alibi, przeczcękały łyzy.

Sprawdzimy wszystkie uzyskane informacje – pomyślała Eve. Mimo to nie spodziewała się jakiegos przełomu w śledztwie.

Widziała tu zgrany zespół doskonale współdziałających ze sobą ludzi skupionych wokół Kenta Abnera, zafascynowanych jego osobowością i profesjonalizmem.

– Czy doktor Abner miał jakikolwiek problemy czy zatargi z kimkolwiek? Z pacjentami, a raczej ich rodzicami czy opiekunami? Może z kimś, kto kiedyś tutaj pracował? Z innym lekarzem może?

– To jakieś szaleństwo! Jak ktokolwiek mógł celowo wyrządzić mu krzywdę?! – nie wytrzymała i wybuchła najmłodsza ze zgromadzonych, dwudziestosześcioletnia Olivia Tressle. – Musiała zająć jakaś kosczmarna pomyłka albo zrobił to jakiś szaleniec. Jakis walnięty na umyśle typ.

– Olwio! – usadziła ją łagodnie Seldine. – Nie o to pytała porucznik Dallas.

– Wiem, ale... To był taki cudowny mężczyzna! Taki dobry lekarz! A klinika? Wspaniale jest pracować w takim miejscu. Wszystko to... To po prostu nie jest w porządku.

– Ona ma rację! – poparł ją jeden z pielęgniarzy, mężczyzna na oko po czterdziestce. – To nie w porządku! To był naprawdę szlachetny człowiek, ktoś, kto rozciągał wokół aurę dobroci. Dzieciaki go wprost uwielbiały. Miał do nich dobre podejście. Kiedy przychodził do niego chory, wystraszony brzdąk, zawsze potrafił go przekonać do siebie i uspokoić, więc rodzice go ubóstwiali. Przyjmował nawet pacjentów charytatywnie w przychodni przyszpitalnej, poświęcając na to kilka godzin w miesiącu. A podczas wakacji i ferii? Każde dziecko, które do niego trafiło, dostawało niewielki upominek. Niewielki, lecz płacił za wszystkie z własnej kieszeni, nie obciążając funduszy kliniki. Każdy mały pacjent otrzymywał kolorową kartkę na swoje urodziny. Zależało mu na ich dobru. Dla niego nie był to tylko zawód, nie chodziło w tym tylko o leczenie. To była prawdziwa troska o pacjentów. Kiedy się dowiedzie, kto to zrobił... Więzienie nie będzie im wystarczającą karą.

Następnie wszyscy wypowiedzieli się na ten sam temat i głos znów zabrała Rendi.

– Nie wiem, czy wspominał o tym komuś oprócz mnie, lecz posprzczał się kiedyś z lekarzem o nazwisku Ponti czy też Ponto. Wydarzyło się to w oddziale ratunkowym szpitala Unger Memorial.

– O co poszło?

– Kent zareagował, ponieważ jeden z jego małych pacjentów spadł skądś i doznał złamania kości nadgarstka. Było to lekkie nadłamanie kości typu zielonej gałązki. Rodzice skontaktowali się z Kentem, ponieważ dzieciak zaczął trochę histeryzować i dopraszać się o swojego doktora. Kent, jak to Kent, szybko pojawił się na miejscu. Gdy się tam znalazł, inny lekarz, jak mi opowiadał sam Kent, zaczął wymyślać matce i upokarzać ją przed innymi, bo dzieciak był brudny. Tak przynajmniej twierdził. Urządził jej awanturę, że nie umyła synka przed przyprawieniem go na izbę przyjęć, a przecież to cholerna oddział ratunkowy! – sarknęła Rendi z rozdrażnieniem. – Kent mi powiedział, że kobieta wyglądała na bezdomną lub o krok od bezdomności i robiła wszystko, co powinna. Tak na marginesie: nie wolno traktować ludzi w ten sposób.

– I co było dalej?

– Kent powiedział, że wykorzystał swoje stanowisko, a ma tam spore przywileje. Kazał głupiemu lekarzowi z SOR-u przejść się na spacer i ochłonać. Zajął się dzieckiem, i matką, i opowiedział jej o klinice Louise Dimatto, gdzie czasami przyjmuje charytatywnie. Później zajął się młodym lekarzem, tym, który narozrabiał, a ten rzucił mu w twarz, że to nie jego sprawa, jak on się odzywa do pacjentów i w ogóle, i że zanim zacznie wygłaszać te swoje mądrości, powinien wziąć kilka dżurów na SOR-ze, a nie się wymądrzać, pracując w tej swojej ślicznej, eleganckiej prywatnej przychodni.

– Kiedy to było?

– Dobrych kilka miesięcy temu. W październiku? Nie, raczej w listopadzie. Zdecydowanie w listopadzie, tuż przed Świętym Dziękczynienia. Tak! Jestem tego pewna. Mniej więcej tydzień przed Świętym Dziękczynienia. Było już po Halloween, a dopiero zabieraliśmy się do kupowania indyków – przypomniała sobie Rendi. – Muszę przyznać, że dyżury na szpitalnych oddziałach ratunkowych mogą człowieka wykończyć. Wiem, bo jako rezydentka spędziłam tam jakiś czas. Nie chcę pakować tego młodego leka-

rza w kłopoty, lecz był to jeden z rzadkich momentów, kiedy widziałam Kenta naprawdę rozsierzonego.

– Pomocna może się okazać każda najdrobniejsza wiadomość. Czy zaistniały inne podobne zdarzenia? Czy doktor Abner pokłócił się z kimś publicznie? Czy się na kogoś złościł?

– Kilka lat temu zgłosił na policję ojca, który znęcał się nad dzieckiem – wtrąciła Sarah Eisner, jedna z zespołu pielęgniarek, patrząc na Seldine. – Był wściekły, bo kto by nie był. Matka przeprowadziła na kontrolne rutynowe badania dziecko całe w sińcach. Najpierw twierdziła, że dzieciak jest bardzo niesforny, ale prędko się załamała i przyznała Kentowi, a było to w gabinecie lekarskim, że jej mąż się zezłościł i uderzył kilka razy chłopca.

– Tak, pamiętam! – odezwała się Seldine. – To był Thomas Thane. Jego syn miał wtedy chyba nie więcej niż trzy latka?

– Coś koło tego – przytaknęła Sarah. – A kiedy Kentowi udało się wreszcie uspokoić małego, opowiedział nam, że jego tata bardzo się rozłościł, kiedy on coś niechęć zepsuł, i że nie był to pierwszy raz.

– Czy policja sporządziła raport ze zdarzenia? – spytała Eve.

– Tak – odparła Seldine. – Doktor Kent rozmawiał z policją. Wiem też, że przeprowadził rozmowę z matką, zachęcając do udania się z dzieckiem do schroniska lub przynajmniej do skorzystania z porady psychologa. Więcej się u nas nie pojawili. Nie wiem, co się z nimi stało.

– Sprawdzimy to. Czy był to jedyny przypadek zgłoszenia przemocy domowej na policję przez doktora Abnera?

– Były jeszcze dwa, przynajmniej odkąd ja rozpoczęłam pracę tutaj. Więc razem trzy, o których wiem, w ciągu dwudziestu lat.

– Potrzebuję nazwisk, dat, szczegółów tych zdarzeń. Musimy zabrać sprzęt komputerowy doktora Abnera do przejrzenia oraz...

– Ach! Przecież dane medyczne pacjentów są zastrzeżone?...

– Tu chodzi o doktora Kenta! – Seldine obróciła oczy na Rendi. – To w jego sprawie...

– Rozumiem, ale obowiązują zasady prywatności. Są uregulowania prawne. My... – zaczęła Rendi.

– Mamy nakaz – przerwała jej Eve. – Może pani przegrać poufne dane pacjentów, a my zabierzemy resztę.

– Mogę to zrobić – zapewniła ją Seldine. – Skończę do południa, jeśli zechce mi pani dać tyle czasu.

– Dobrze, zgadzam się. Teraz musimy przeszukać gabinet doktora Abnera. Jeśli znajduję się tam jakieś poufne dane pacjentów, proszę je natychmiast odseparować!

– Zrobię to. Pomożesz mi? – To pytanie Seldine skierowała do Rendi.

– Jasne. – Kobieta wstała. – Chcę, by panie wiedziały, że bardzo chciałabym się dowiedzieć, kto to zrobił, i mam nadzieję, że go odnajdziecie, mam jednakże obowiązki wobec naszych pacjentów. Kent zawsze stawał ich na pierwszym miejscu.

– To zrozumiałe – oznajmiła Eve. – Peabody, zadzwoń do wydziału techniki operacyjnej EDD i poinformuj ich, że muszą się tu stawić... powiedzmy, punkt trzynasta. – Rozejrzała się po siedzących wciąż przy stole. – Możecie się ze mną skontaktować w każdej chwili poprzez centralę komendy głównej policji. W razie gdyby coś jeszcze się wam przypomniało: ktoś inny, z kim doktor Abner się pokłócił lub kto wpadł przez niego w kłopoty, może jakieś niezwykłe zdarzenia.

– Pani porucznik! Niech pani dorwie tego skurwysyna! – odezwał się któryś z pielęgniarzy. – Musi go pani dostać! Cholera! Przysięgam, że kiedy postawią go przed sądem, będę tam każdego dnia rozprawy, póki nie zostanie skazany. Kent i Martin to dwóch najwspanialszych facetów pod słońcem. Coś takiego nigdy nie powinno ich spotkać. Nie powinno przydarzyć się nikomu – dokończył z patosem.

Eve zostawiła zgromadzonych w sali konferencyjnej i zesłała na dół do biura Abnera.

Zastała Seldine całą we łzach. Rendi starała się ją uspokoić.

– Przepraszam! – Płacząca przetarła twarz dłonią. – My właśnie... Właściwie to ja znalazłam w jego notatniku... Planował urządzić dla mnie przyjęcie w przyszłym miesiącu. Widzi pani... Dwadzieścia lat. On już... już zamówił tort na tę okoliczność. Uwielbiałam go. Był dla mnie jak ojciec.

– Czy mogę ją stąd zabrać? – wtrąciła Rendi. – Bardzo proszę. Zamknęłam już karty zdrowia pacjentów. Mogę ją zabrać na górę?

– Okej.

– Proszę! – Seldine ze wszystkich sił starała się całkiem nie rozspać. – Gdybym tylko mogła pomóc w jakikolwiek sposób, proszę dać mi znać. Proszę jeszcze... Bardzo proszę poinformować Martina, kiedy tylko będzie na to gotowy, że wszyscy go tutaj wspieramy, przesyłamy mu wyrazy najszczęśliwszego współczucia. Zrobiłaby to pani dla nas?

– Tak, przekażę wszystko.

– Jest pani bardzo uczynna. Niech pani nie traci czujności podczas pełnienia swych obowiązków służbowych.

Kiedy obie kobiety opuściły gabinet, Eve, patrząc na Peabody, stwierdziła:

– Moim zdaniem mamy marne szanse, jeśli w ogóle, na znalezienie czegokolwiek tutaj. Bądźmy jednak czujne w pełnieniu naszych obowiązków.

Wyległy z kliniki wprost w hałas, w chaos, w szaleńczy wir barw Nowego Jorku. Zgiełk był dla tego miasta tym, czym dla człowieka oddech. Eve odsapnęła z ulgą. Ucieszyła się nawet, że zaparkowała taki kawał stąd.

– Teraz kostnica, potem laboratorium – poinformowała krótko. – Po drodze możemy przycisnąć tego doktora Ponti, albo Ponto, że szpitala Unger. Wyciągniesz też wszystko, co się da, z tych trzech raportów policji dotyczących przemyco domowej.

– Tak jest! Już się do tego zabieram. – Peabody wyjęła przenośny minikomputer. – Pamiętasz, jak kilka tygodni temu szukaliśmy tego, kto zamordował seryjnego gwałciacza?

– Mhm. Przypominam sobie.

– Mam wrażenie, że przypadek doktora Kenta Abnera jest dokładnym jego przeciwieństwem. Trudno nam było przebrnąć przez tamto śledztwo, choć chodziło o rozprawienie się z pieprzonym gwałciaczem, lecz teraz będzie chyba jeszcze trudniej.

– Wszystkie sprawy, które prowadzimy, są trudne – westchnęła Eve. – Takie mają być w założeniu. Zatrzymamy się na chwilę w tamtej cukierni. – Wskazała kierunek.

– Och, daj spokój! Te rożki z duszonym jabłkiem! – rozmarzyła się Peabody. – A co z luzem w gatakach? – zaniepokoiła się nieco.

– Louise mi mówiła, że doktor Abner czasami przynosił całe pudełka ciastek albo bukiety kwiatów do kliniki. – Eve nie dała się zbić z tropu. – Sprawdzimy, czy nie zauważyli czegoś dziwnego w jego zachowaniu. Będziemy musiały zajrzeć też i do jej kliniki, porozmawiać z personelem, sprawdzić używany tam przez niego komputer stacjonarny.

– Taaa... – mruknęła pod nosem Peabody. – Mam tu dane naszego doktoraka: Milo Ponti, rezydent w szpitalu Unger, zatrudniony w SOR-ze. Po czterdziestce, od dwóch lat żonaty, bezdzietny. Żoną jest pielęgniarką na chirurgii w tym samym szpitalu. Ukończył studia na Columbia Medical, mieszka w dzielnicy Lower West. Żadnych zatargów z prawem.

– Skończymy z nim za chwilę. Teraz przystanek w cukierni.

– Mogłybyśmy zjeść choć jeden rożek na półkę – jęknęła Peabody. – Jeśli podzielisz jedno ciastko, to praktycznie rzecz biorąc, nie zjadasz ciastka. Połówka to nie całość. Jeśli podzielisz kalorie na pół, to też będzie dobre dla zdrowia. Właściwie... – nakręcała się coraz bardziej – ...to coś godnego pożądania.

– A co, jeśli ja nie mam ochoty na rożek z jabłkiem? – zgasiła ją Eve.

– Przecież połówka to nie rożek. To bardziej piętka, ogryzek nieomal. Poza tym kto by nie chciał pochłonąć tej psychotki czy też półpsychotki?

– Jak jesteś taka mądra, to mi powiedz, dlaczego na to ciastko mówi się rożek z jabłkiem, a nie na przykład minisarlotka?

– Rety! Szarlotkę robi się na kruchym lub półkruchym cieście, a rożki są z ciasta francuskiego. – Oburzona niewiedzą koleżanki Peabody pierwsza wkroczyła do cukierni. – A poza tym jabłko szczególnie owinięte francuskim ciastem zachowuje całą swą jabłkową maestrię. Och! Czujesz ten boski zapach?

Eve czuła i podjęła decyzję, że jednak przełknie tę połówkę minisarlotki.

Pierwsze, co zauważyła, gdy opadła euforia zapachów, była to czarna opaska na rękawie białego fartucha dziewczyny stojącej za kontuarem.

Złe wiadomości szybko się rozchodzą.

Przepytały dziewczynę z cukierni, pracowników klubu fitness, ludzi napotkanych w lokalnym markecie. Peabody wykazała się niezwykłą powściągliwością: swoją połówkę ciastka odwinęła z papieru i zjadła dopiero, kiedy doszły do samochodu.

– Wiesz co... – wymamrotała, po odgryzieniu pierwszego małego kęsa (niech to trwa jak najdłużej!) – ... mam nadzieję, że kiedy umrę, powiedzmy za sto lat od tej chwili, we śnie, po dzikim, wyczerpującym do cna seksie z McNabem... więc kiedy już umrę, ludzie, którzy ze mną pracowali czy też mnie znali, poświęcą na wspomnienie mnie choć połowę tego czasu, który poświęcają teraz na wspomnienie Abnera jego współpracownicy czy też ci, którzy go znali.

– Istnieje przynajmniej jedna osoba na świecie, która nie podziela tych odczuć. – Eve połknęła swoją połówkę ciastka w trzech niedbalejszych kęsach, prowadząc samochód w stronę kostnicy. – Nikt z tych, z którymi rozmawialiśmy po drodze, ani też nikt z tych, których przepytali mundurowi tuż po zabój-

stwie, nie zauważył w najbliższym sąsiedztwie zamordowanego nikogo podejrzanego, a przynajmniej nikogo obcego, kto kręciłby się tu lub pojawiał się kilkakrotnie w najbliższej okolicy.

– Nikt też nie rozpoznał ani twarzy doktora Pontiego, ani wizerunków trzech mężczyzn, których Abner oddał w ręce policji – dodała Peabody.

– Niczego poza nimi nie mamy w tej chwili – westchnęła Eve.

– Jest w tej zbieraninie lekarz. Stawiałabym na niego. Zna się najlepiej na wszelkich truciznach, a poza tym ma do nich dostęp i byłby w stanie zdobyć potrzebne składniki do wyprodukowania czegoś podobnego.

– Cokolwiek to jest – mruknęła Eve pod nosem – owszem, jest to jakiś punkt zaczepienia.

– Mamy też dozorcę i konserwatora budynku, który przyznał, że tłukł swoją żonę, a czasem i dziecko, kiedy się w pobliżu znalazło i akurat zaswędziało go ręka. – Peabody odgryzła kolejny mały kęs. – Ktoś w kombinezonie ochronnym, a na takich ludzie na ogół nie zwracają uwagi.

– Kolejny punkt zaczepienia. Mamy też menedżera niższego stopnia, który, sądząc po zdjęciu, idealnie wtopiłby się w tło. Ten nie spędził ani dnia w więzieniu. Ma dobrych prawników. Musiał odbyć jedynie sześciomiesięczną obowiązkową terapię. Matka dziecka wniosła do sądu rodzinnego o prawo do wyłącznej nad nim opieki oraz o ograniczone wizyty ojca, i to jedynie w jej obecności, i taki też wyrok został zasądzony. Mógł się wściec.

Peabody odgryzła następny, mikroskopijny kęs rożka.

– Zdarzyło się to pięć lat temu. – Prędko sprawdziła. – To chyba zbyt długo jak na ciągle chowanie urazy? Ostatni z trzech ojców narozrabiał najdawniej: piętnaście lat temu, z czego dwa lata spędził w więzieniu.

– Mimo to porozmawiamy z nimi wszystkimi – oznajmiła zdecydowanie Eve. Na razie chciała jak najszybciej usłyszeć, co ma do powiedzenia Morris oraz co ciało martwego Abnera powiedziało Morrisowi.

Peabody udało się skosztować ciastko, nim zaczęły schodzić w dół, zagłębiając się w czeluście długiego, białego korytarza kostnicy. Eve wyczuła zapach czegoś mocniejszego, o woni bardziej intensywnej niż zwykle panujący tu zaduch, a w tym przemysłowy środek czyszczący, środki dezynfekujące oraz odór śmierci.

Drzwi do królestwa Morrisa okazały się zamknięte na klucz, a na klamce wisiała wywieszka z napisem:

ZAKAZ WSTĘPU

Mimo to Eve nacisnęła guzik dzwonka i doznała ulgi na widok zbliżającej się postaci Morrisa w okrągłym okienku w stalowych drzwiach, a następnie usłyszała szcęk otwieranego zamka.

– Macie idealne wyczuć czasu – oświadczył. – Właśnie skończyłem czyścić salę i obmyłem ciało.

Jego głos brzmiał głucho spoza aparatu oddechowego, wbudowanego w strój ochronny, lecz pokazał im gestem, żeby weszły za nim do środka.

– Dajcie mi minutkę na pozbycie się tego rynsztunku.

– Jak długo w tym tkwisz?

– Musieliśmy zamknąć szczerze ciało, zgodnie z protokołem, nim mogłem je rozpruć. Podczas autopsji musiało się znajdować w strefie zamkniętej. Dopiero wczoraj wieczorem mogłem się nim zająć.

Morris zdjął hełm ochronny i odłożył go do pojemnika.

– Musiałem najpierw przeprowadzić kilka testów, znów zgodnie z protokołem, nim zdołałem zajrzeć do środka.

Gdy ściągnął z siebie pozostałe elementy stroju, Eve spostrzegła, że zamiast jednego ze swoich wytwornych garniturów, tym razem miał na sobie zwykły T-shirt i spodnie od dresu. Długie, ciemne włosy spisał nisko gumką z tyłu głowy w koński ogon.

– Spędziłeś tu całą noc! – zdziwiła się Eve.

– W strefie zamkniętej – powtórzył. – Mam tu pod ręką strój odpowiedni na takie okazje. W protokole jest zapis o konieczności zrobienia sobie dwugodzinnej przerwy na sen. Stół w kostnicy z rozłożonym na nim żelowym materacem jest całkiem wygodnym miejscem do spania.

Uśmiechnął się do nich, lecz jego oczy pozostawały smutne i zmęczone.

– Z chęcią wskoczyłbym pod prysznic, wypił kawę, zjadł śniadanie.

– Peabody? – Eve zerknęła na partnerkę.

– Już się robi.

– Och, nie zwracajcie sobie tym głowy... – zaczął Morris, lecz policjantka już była za drzwiami. – No cóż, będę wam szalenie wdzięczny.

– Często i ja muszę pracować całą noc, nigdy jednak nie zdarzyło mi się uciąć drzemki na stole sekcyjnym – powiedziała Eve.

– Kostnica, bądź co bądź, to mój drugi dom.

Eve podeszła do ciała zamkniętego teraz długimi, precyzyjnymi szwami, wykonanymi przez Morrisa.

– Co możesz mi o nim powiedzieć? – spytała.

– Laboratorium zapewne powie ci więcej, lecz ten dobry lekarz zginął w męczarniach. Śmierć nadeszła szybko i była bardzo bolesna. Spowodowała ją toksyna, której, muszę to przyznać, nie umiem zidentyfikować. Nie ma żadnych śladów po tym, że ją połknął, że dostała się do jego krwiobiegu przez zastrzyk lub że wchłonął ją przez skórę, dotykając czegoś. Najprawdopodobniej dostała się do jego płuc wraz z oddechem. To coś pochodziło z powietrza, a to, oczywiście, wydłużyło czas działania zgodny z protokołem kontrolnym. – Morris wskazał na blat, gdzie znajdowały się zabezpieczone i opisane pojemniki z wycinkami różnych narzędzi wewnętrznych Kenta Abnera. – Uważam, że mamy tu do czynienia z gazem paralizującym układ nerwowy. U denata układ nerwowy został doszczętnie zniszczony, tak samo jego płuca, nerki, wątroba, ogólnie jego wnętrze. Doznał rozległego udaru, ma oparzenia wewnętrzne, jak również zewnętrzne: na obu kciukach. Jego przełyk został poparzony od środka. – Mężczyzna wziął głęboki oddech. – Może zachował świadomość przez jakieś dziesięć do piętnastu sekund, a ponieważ był lekarzem, zdał sobie sprawę z tego, że został wystawiony na działanie substancji toksycznej. Nie miał niestety czasu, by cokolwiek z tym zrobić. Zmarł nieomalże natychmiast. Wziąwszy pod uwagę jego wzrost i wagę, były to trzy, może cztery minuty agonii. No pięć, ponieważ doskonale umięśnienie jego ciała wskazuje na bardzo dobrą formę fizyczną. Jednakże jego organy wewnętrzne znajdowały się w tak strasznym stanie, że nie potrafię stwierdzić, czy były zdrowe przed wystawieniem na działanie toksyny.

– Na podstawie posiadanych przez nas danych mogę z całą pewnością stwierdzić, że były zdrowe. Chodź regularnie na siłownię, biegaj. Mówisz, że nie możesz zidentyfikować substancji toksycznej z całkowitą pewnością, ale chyba masz jakieś podejrzenia? Własne zdanie na ten temat?

– Słuchaj, Dallas, powinniśmy mieć tu jak najszybciej eksperta toksykologa, i to takiego specjalizującego się również w biocydach.

– Dysponujemy takimi fachowcami, chcę jednak najpierw usłyszeć twoją opinię.

Westchnął ciężko.

– Powiedziałbym, że to sarin, co i tak byłoby niezwykle niepokojące, jednak i wszystkie użyte przeze mnie detektory, i moje własne spostrzeżenia nie dają temu stu procent pewności. Denat był wystawiony na działanie zabójczego czynnika w pomieszczeniu mieszkalnym, przy zamkniętych drzwiach i oknach.

– Minęło kilka godzin, nim jego ciało zostało odnalezione – przypomniała Eve.

– A nawet i w takim przypadku powinien pozostać po nim choć najdrobniejszy ślad, wystarczający do wywołania alarmu w zespole toksykologów. Na litość boską! W jego ciele powinno pozostać cokolwiek. Tymczasem i ty dotykałeś zwłok, choć, co prawda, zabezpieczonymi dłońmi, dotykał i jego małżonek. Żadne z was nie wykazało niepokojących objawów zatrucia – ciągnął Morris. – Tak się zastanawiam... Być może była to jakaś pochodna sarinu? Może był tam tritlenek siarki, na co wskazywałby stan jego oczu i skóry oraz oparzenia chemiczne. – Pokręcił głową. – Najsensowniejszy wniosek, jaki mogę wyciągnąć po sekcji, to taki, że była to mieszanina substancji toksycznych i trucizn, która wydostała się skądś w formie gazowej, powodując śmierć w ciągu kilku minut, a następnie ulegając rozkładowi w ciągu następnych kilku godzin. Może krócej.

– Ktoś musiał doskonale wiedzieć, co robi, znać się na tym, orientować się, jak się obchodzić ze śmiertelnościami toksynami. – Eve przechadzała się miarowym krokiem wokół ciała. – Musiał wiedzieć, jak ją bezpiecznie dla siebie przechowywać, w jaki sposób uaktywnić, żeby zadziałała dokładnie wtedy, kiedy on chciał. Musiał to być ktoś, kto pracuje na co dzień z materiałami niebezpiecznymi, zajmuje się truciznami. Być może to ktoś po uczelni medycznej, kto zna sposób ich oddziaływania, może jakiś naukowiec? chemik? laborant? wojskowy? – myślała na głos. – Wątpię, żeby przeciętny człowiek wiedział, jak zdobyć lub powołać do życia w reakcji chemicznej coś podobnego, i jak się z tym później obchodzić, by nie zaszkodzić sobie samemu czy innym. Przecież, do cholery, paczka została wysłana zwykłą pocztą kurierską! Zwykłą! A gdyby nastąpił jakiś przeciek... Domyślam się, że musiała to być niewielka dawka, ale i tak, według mnie, mogła zabić wszystko, co żyje, w promieniu jakichś pięciu do dziesięciu metrów. Nie wiemy jeszcze, jak dużo czasu potrzeba na samooczyszczenie powietrza z toksyn. Tak czy siak, na ich działanie mogły być narażone setki ludzi! – Eve zamilkła na dłuższą chwilę. –

Tylko że on nie chciał narażać na śmierć setek ludzi – mruknęła pod nosem. – Pragnął wyłącznie śmierci Kenta Abnera.

Drzwi do sali sekcyjnej się otworzyły i weszła Peabody z tacą na narzędzia chirurgiczne. Stał na niej kubek parującej kawy, a obok – talerz jajek smażonych na bekonie oraz racuchy ziemniaczane.

– Jedzenie też? – zdumiał się Morris.

– Wzdychałeś do śniadania.

– O rety! To prawdziwy bekon! No nie... I prawdziwe jajka! – Nie mógł wyjść ze zdumienia. – Wyżerka godna bogów!

– Godna boga śmierci – poprawiła Peabody, uśmiechając się do niego promiennie, rada, że się do czegoś przydała. – Gdzie postawić tacę? – spytała.

– Och! Tutaj, na kontuarze.

To słysząc, Peabody zbladła, gdy jej wzrok padł na stojące tam zabezpieczone słoje. Morris prychnął krótkim śmiechem.

– Dobrze, ja ją wezmę – powiedział. – Nie wiem, jak wam dziękować. Będę się potem kontaktował z laboratorium. Bardzo bym chciał wiedzieć, z czym mamy konkretnie do czynienia.

– Właśnie się tam teraz udajemy. Przypilnuję, żeby przesłali ci raport – uspokoiła go Eve.

Skinął głową w podzięcie, przysunął sobie taboret i odstawił tacę na blat.

– Odnajdźcie szybko tego, kto to zrobił, moje skarby – rzekł. – Coś mi się zdaje, że się nie skończy na tym jednym truposzczaku.

Kiedy szły w stronę wyjścia, Eve spostrzegła jeszcze, jak Morris rozkłada na kolanach serwetkę, którą Peabody dołączyła do posiłku, i zaczyna jeść śniadanie w towarzystwie nieboszczyka.

To w końcu jego drugi dom – wytłumaczyła sobie.

Peabody, usłyszawszy z ust Eve opinię Morrisa, zamilkła na dłuższą chwilę.

– Byłam w szkole niezła z chemii – odezwała się w końcu. – Nie powiem, abym miała ją w jednym palcu, ale wiem, co to sarin. Jezu, Dallas! To może być katastrofa! – jęknęła. – Morris sądzi, że nie był to ten silnie trujący gaz bojowy w czystej postaci, co jak dla mnie nie ma sensu. Jeśli masz sarin, to dlaczego nie zastosować go w stanie czystym? Zwróć jednak uwagę na ten drugi związek chemiczny, który wymienił: tritlenek siarki. – Policjantka zastanawiała się przez moment. – Sarin jest zakazanym gazem bojowym, to wiem. Nie mógł być zastosowany jako dodatek do... No dobra, tritlenek siarki też jest mocną trucizną. Może być bezbarwny, mieć postać ciekłą lub stałą, w formie kryształków przypominających lód. Jego opary są silnie toksyczne, a Morris mówił, że Abnera zabiły opary jakiejś substancji. Opary lub jakiejś wyziewy... Coś, co rozprzestrzeniło się w powietrzu.

– To źle wróży. – Eve głęboko się zamyśliła. – Przykro mi, ja nie za bardzo się znam na związkach chemicznych i w ogóle na całej tej chemii, ale wiem, że bez błyskawicznej pomocy medycznej, a nawet jeśli się ma taką pomoc, to jeżeli jesteśmy wystawieni na bezpośrednie działanie oparów silnie trującej substancji, jesteśmy narażeni na szybką śmierć. Może na nieco powolniejszą niż w wypadku sarinu.

Znalazły się w końcu w laboratorium.

– Według mnie nie mamy tu do czynienia z atakiem terrorystycznym – kontynuowała swój wywód Eve. – Na pewno nie z tradycyjnym atakiem. Przynajmniej jeszcze nie na tym etapie. Jeśli chcieli przetestować działanie tej substancji na Abnerze... Nie! To nie ma sensu. Jeśli chcesz sprawdzić, jak działa dany środek, po co atakować pojedynczą osobę? Kogoś, kto jest sam w domu? Dlaczego nie zaatakować biura, marketu, uczęszczanego miejsca publicznego, by uzyskać jakiś znaczący efekt? Nie! Tu na pewno chodziło wyłącznie o Abnera.

Dostrzegła Berenskiego za jego blatem roboczym. Jego jajowata głowa podskakiwała w górę i w dół w rytm muzyki. Chudymi, długimi jak odnóża pająka palcami wpychał właśnie do ust pączka.

Sukinsyn!

Podkrađa się cichaczem do niego i ledwo oparła pokusie zwalenia go ze stołka.

– Przepraszam, że przeszkadzam w ciężkiej pracy – oznajmiła, stając za jego plecami.

Obrócił się natychmiast wraz z siedziskiem stołka.

– Całuj psa w nos! Spędziłem tutaj noc. Zszedłem tylko na dwie godziny do biura na dół. Nie jestem jedynym, który śleczął nad tą sprawą przez całą noc.

Zobaczyła to, dopiero kiedy spojrział jej w twarz: przekrwione białka, sińce pod oczami. Widoczne napięcie.

Może i był czasami jajogłowym, bezmyślnym typem, w tej jednak chwili całym sobą był pogrążony w swojej robocie.

– Peabody, może byś przyniosła Berenskiemu kawę? Będzie pasować do pączka.

– Tę wazę? – Nagle się rozbudził. – Tę prawdziwą? Poproszę o dwie duże. Sądzymy, że zidentyfikowaliśmy pewien związek chemiczny. Muszę wezwać tutaj z powrotem Silera. Poszedł uciąć sobie drzemkę, ale chcę to z nim skonsultować. Jest ekspertem od toksyn.

Eve zawaowała Peabody i uniosła dwa palce w jej stronę, a potem odwróciła się znów do Berenskiego.

– Zaczynaj! – poprosiła.

– Zaczniemy od jajka.

– Jakiego znów jajka? – zdziwiła się Eve.

Ponownie się okręcił na swoim stołku z obrotowym siedziskiem i otworzył jakiś plik. Na monitorze pojawił się obraz. Podzielił ekran na dwie części.

– Patrz! To jest pojemnik w kształcie jaja. Poskładaliśmy go z kawałków, które znaleźliśmy na podłodze w miejscu zbrodni. Drugi obraz przedstawia jego domniemany wygląd przed rozbiciem. Mamy tu pozłacane jajo. Wygląda jak tani plastik, prawda? Taki tam chłám.

– Niby tak.

– Tak właśnie jest, tyle że wnętrze tego badziewia zostało pokryte uszczelniaczem na bazie ółowiu.

– Żeby nie dało się przeskanować jego zawartości?

– Owszem. Cieniutka warstewka uszczelniacza znajduje się również na brzegach pojemnika, powodując jego hermetyczne zamknięcie. O! To tutaj utrzymywało zabójczy środek w całkowitym zamknięciu.

– Zabezpieczony w środku i hermetyczny...

– Nawet z pomocą komputerów poskładanie tych rozbitych kawałków w jedną całość zajęło nam dłuższą chwilę. Potem zajęliśmy się identyfikacją środków uszczelniających. Widzisz tutaj? Miało zapieć na haczyk, a po przeciwnej stronie mały zawias. Proste zamknięcie dwóch połówek. Posmarowano je na brzegach uszczelniaczem, więc kiedy odpięło się haczyk, trzeba było użyć nieco siły, żeby je otworzyć. Bez siłowania się, rozumiesz, ale należało się wysilić, żeby rozerwać uszczelnienie. A kiedy już to zrobisz... – zawiesił głos. – To koniec.

– Morris mówił, że toksyna natychmiast rozprzestrzeniła się w powietrzu.

– Taa... Kiedy uszczelniacz puścił, toksyna wydostała się do otaczającego powietrza, a tam związała się z cząsteczkami tlenu. W środku jaja, zabezpieczona przed działaniem czynników zewnętrznych, była nieaktywna, rozumiesz?

– Dlaczego więc ten, kto zamknął szczelnie ową toksynę wewnątrz jajka, nie leży na stole sekcyjnym u Morrisa?

– Zaczekaj z pytaniami na Silera. Kim był zamordowany?

– Pediatrą.

– Szlag! To nie ma najmniejszego sensu. Stracę dwie dychy. Obstawiałem, że to wojskowy. Siler obstawiał kogoś z CIA. Hej! Jednak nie stracę dwudziestaka. Nikt nie stawiał na medyka od maluchów. O! Jest Siler! – Wskazał długim, cienkim palcem na drobnego człowieczka o wroście nieprzekraczającym metra siedemdziesięciu. Szedł w ich stronę, omijając urządzenia laboratoryjne zagradzające mu drogę.

Po obu jego bokach powiewały poły białego laboratoryjnego fartucha, odsłaniając nogawki spodni w kratkę. Na T-shirtcie widniał napis SCIENCE RULES ALL, nauka rządzi światem. Miał jasnorude, kręcone, rozwichrzone włosy, haczykowaty nos i ciemne, rozspane oczy.

– Dallas. Abdul Siler – mruknął Berenski pod nosem, chcąc zapewne ich sobie przedstawić.

– Jo! Mamy tu CIA, zgadza się? – przywitał się Siler.

– Nie – odparła krótko Eve.

– Cholera! Mogłem postawić tego dwudziestaka.

– Zaraz dostaniesz kawę, a to jest zdecydowanie więcej warte – zwrócił się Berenski do przybyłego.

– A oto i nasza Peabody z czarnym złotem. To Siler – dodał, odbierając z rąk pani detektyw obie kawy.

Siler wciągnął do płuc zapach swojej, zamrugnął zaspanymi oczami i ostrożnie spróbował płynu. Zamknął powieki i z błogością wymalowaną na twarzy szepnął:

– Mmm... Pycha!

– Zacząłem od opisu pojemnika w kształcie jaja – streszczał swe dotychczasowe wywody Berenski.

– Omówiłem z grubsza, nie wnikając w szczegóły, techniki zastosowanych zabezpieczeń. One są tylko policjantkami. Nauka to dla nich, cholera, jak jakiś pokręcony język obcy.

– Jasne – przytaknął Siler. – A więc... Poskładaliśmy do kupy potłuczone elementy. Jest tu nawet stempel „Wyprodukowano w Meksyku”.

W całym Nowym Jorku pewnie znalazłoby się kilkadziesiąt sklepów, w których można kupić takie jajo w cenie nieprzekraczającej dwudziestaka. Tani, krzykliwy gadżet, dobry na prezent. Możesz wrzucić do środka cukierki lub cokolwiek innego, co ci przyjdzie do głowy. Jest większe niż kurze jajo, ale można go użyć do dekoracji na Wielkanoc lub w jakimkolwiek innym celu.

– Siler, do rzeczy! – upomniał go Berenski.

– Tak, tak. Już mówię. Wnętrze zostało pokryte środkiem uszczelniająco-zabezpieczającym, lecz nie takim, jaki macie w podręcznych zestawach do zabezpieczania rąk, tylko bardzo mocnym, na bazie łożu. Nieco inny środek uszczelniający, z dodatkiem lepiszcza, został użyty do pokrycia brzegów obu połówek pojemnika, a to po to, żeby zamknął całość w sposób absolutnie hermetyczny. Szkatułka z materiału imitującego drewno również została tak zabezpieczona. Przyпускаjemy, że to w niej było ukryte złote jajo. Suta, miękka wyściółka miała amortyzować ewentualne wstrząsy.

– Z tego wynika – wtrąciła Eve – że ten, kto to wszystko przygotował, zachował należytą ostrożność.

– Na pewno. Mmm... – Mężczyzna upił łyk kawy. – Miękka wyściółka w kartonowym pudełku firmy kurierskiej i kolejna w szkatułce, by ochronić jajo przed wstrząsami w razie, gdyby ktoś niechcący upuścił paczkę. Zabezpieczenie najprawdopodobniej działałoby, dopóki ktoś nie uderzyłby w paczkę tak mocno, że uległaby zgnieceniu lub kompletemu zmiążdżeniu. Tak się jednak nie stało.

– A co było w tym cholerym jaju? – zniecierpliwiła się Eve.

– To najbardziej interesujący kawałek.

– Nie kręć, Siler! – ostrzegł go Berenski. – Wal prosto z mostu.
– To wcale nie tak łatwo wyjaśnić. Bo to, cholera, majstersztyk! Coś takiego wymaga posiadania naprawdę niesamowitych umiejętności. To, co zawierał pojemnik, najprawdopodobniej w formie kryształków, które po zetknięciu z powietrzem wyparowały, to był tritlenek siarki.

– Dlaczego uważasz, że to majstersztyk?

– Ponieważ zmieszano go z sarinem. Z... zaraz, zaraz... jak by to ująć... z mikroskopijną dawką sarinu. I co dalej? Dodano do tego substancję, która całkowicie neutralizowała oba składniki, jednakże czyniła to z piętnastominutowym opóźnieniem w stosunku do momentu, kiedy cała ta mieszanina zetknęła się z powietrzem.

– A więc... ta substancja miała coś w rodzaju... – Eve zastanawiała się, jak to ująć – ...coś w rodzaju opóźnionego zapłonu już po uwolnieniu z pojemnika.

– Do-kład-nie! – Siler obdarzył ją dziecięcym wprost rozradowaniem oraz klepieniem w ramię, które postanowiła puścić płazem. – Rozumiecie: tlen zawarty w powietrzu jest dla tej mieszanki jak zapalka przyłożona do suchego drewna. Natychmiast uwalniają się toksyny, które po zmieszaniu ze sobą mogą cię zabić w ciągu pięciu minut, natomiast środek neutralizujący zaczyna oczyszczać powietrze z toksyn mniej więcej po piętnastu minutach. Inteligentna broń biologiczna! Totalna magia! Możesz obrać sobie kogoś za cel i nikt znajdujący się kilka metrów dalej, powiedzmy z pięć metrów, nic nie odczuje. Nikt, kto znajdzie się na miejscu kilka minut później, nie zorientuje się, co się właściwie stało.

– Czy to sprawka wojskowych? – Eve chciała konkretnie.

– Nawet jeśli tak, zaprzeczyliby, ponieważ to narusza wszelkie międzynarodowe konwencje i traktaty oraz prawa międzyplanetarne. Dlatego wyskoczyłem z tym CIA, no bo wiecie... tajne działania, jak to CIA. Jesteście pewne, że to nie ma z nimi nic wspólnego?

– Wątpię. Jak można zdobyć te substancje?

– Musicie wiedzieć, że broń biologiczna tego rodzaju jest przechowywana w sekretnych lokalizacjach. Czy można się dostać do takiej kryjówki? Pojęcia nie mam. Przede wszystkim zaś są to związki chemiczne niestabilne. Trzeba mieć jaja ze stali i trochę nie po kole w głowie, żeby się tym bawić.

– W jaki sposób się je wytwarza? Co jest do tego potrzebne?

– Trzeba dysponować doskonale wyposażonym laboratorium o kontrolowanej atmosferze, specjalnymi pojemnikami, zestawami szklanych probówek, dygestorium. Trzeba też oczywiście posiadać doskonale umiejętności oraz głowę na karku, bo jeśli popełnisz najmrobniejszy błąd, już po tobie... po tobie... po tobie... Mogę spisać wam wszystkie substancje chemiczne i środki, które wchodzi w skład tego paskudztwa. Miałem zamiar to zrobić zaraz po przerwie, ale kawa postawiła mnie na nogi na tyle, że w ciągu nie więcej niż dwóch godzin będziecie miały ten spis. Podsumowując: musiał zrobić to ktoś, kto umie się obchodzić z substancjami silnie toksycznymi. Szukajcie człowieka, który zna się doskonale na chemii lub mógł opłacić jakiegoś doskonałego chemika.

– W porządku. Proszę w raporcie uwzględnić opis obrażeń denata, sporządzony przez ekipę medyczną karetki pogotowia.

– Ciało nie wykazywało obecności żadnej substancji toksycznej, prawda? Wyżarło mu organy wewnętrzne, wypaliło oczy, lecz po owej substancji nie pozostał nawet ślad. Zniknęła, tak? – upewniła się jeszcze Peabody.

– Zgadza się – rzekł Siler i dopił resztkę kawy. – Prawdziwy majstersztyk.

Kiedy policjantki znalazły się przed budynkiem laboratorium, Peabody zatrzymała się na chodniku i wystawiła twarz w stronę nieba.

– Co robisz? – spytała Eve.

– Błękitne niebo, piękny dzień... – westchnęła pani detektyw. – Staram się przypomnieć sobie, że świat nie jest totalnie pokręconym miejscem. Byłam niezła z chemii, jak już mówiłam, i wiem o niej wystarczająco dużo, by zrozumieć, że ktoś spędził mnóstwo czasu, ryzykując własnym zdrowiem, by stworzyć substancję, która miała zabić dobrego człowieka. Zabić na miejscu, jak sądzę.

– Ech! Niestety. – Eve machnęła ręką. – A wracając do owego specyfiku... Miał zginąć tylko Abner, otwierając jajo z zamkniętą w nim zabójczą substancją. Morderca raczej nie zakładał, że na przykład Rufty wróci zniecka do domu po jakis zapomniany drobiazg czy coś w tym rodzaju i zostanie przypadkiem narażony na działanie trucizny. Nie chciał, żeby zginął ktokolwiek inny. Jedynie Kent Abner.

– Szpital Unger Memorial? – podsunęła Peabody.

– Masz rację. Może to doktor Ponti ma na tyle błyskotliwy umysł, by stworzyć podobny majstersztyk.

Już od samego rana w oddziale ratunkowym szpitala Unger kłębiło się mnóstwo potencjalnych pacjentów, lecz nie wyglądało to dramatycznie. Eve podejrzewała, że większość ich odkładała do ostatniej chwili wizytę u lekarza – cokolwiek im dolegało – dopóki nie poczuli się naprawdę źle.

Była w stanie to zrozumieć, gdyż sama zachowywała się podobnie.

Pozostali wyglądali na poszkodowanych podczas upadków, zderzeń, bójek czy też nieszczęśliwych wypadków w kuchni.

Podeszły do okienka rejestracji. Kobieta siedząca na obrotowym stołku, wpatrzona w ekran komputera, oderwała się od pracy i popatrzyła na nie pytająco.

– Musimy porozmawiać z doktorem Pontim – zaczęła Eve.

– Doktor przyjmuje właśnie pacjenta. Proszę się wpisać tutaj, a potem...

– Musimy porozmawiać z doktorem Pontim – powtórzyła Eve, tym razem prezentując policyjną odznakę. – Jesteśmy z policji.

– Ma teraz pacjenta – upierała się recepcjonistka.

– Gdzie?

Recepcjonistka sprawdziła na monitorze komputera.

– W gabinecie lekarskim numer trzy. Jeżeli wejdziecie tam podczas badania pacjenta, wezwę ochronę, niezależnie od tego, czy macie odznaki, czy nie.

– Zaczekamy przed gabinetem numer trzy.

Razem z Peabody odszukały rzeczony gabinet. Stały tuż przy drzwiach.

– Mamy jeszcze tych trzech tatusiów na liście – zaczęła Peabody, wpatrując się w wyświetlacz podręcznego komputera. – Nie mam tu żadnych informacji, które by wskazywały na posiadanie stosownej wiedzy i umiejętności do wyprodukowania substancji toksycznej. Nie mieli też dostępu do czegoś, z czym mamy tutaj do czynienia. Nie mieli nawet możliwości finansowych, by opłacić kogoś, kto by to dla nich zrobił.

– Szantaż, przemoc, podobne upodobania – wymieniła Eve jednym tchem.

– Jasne, wszystko to musi jednak sporo kosztować. Sprawdzę ich stan konta.

– Zrób to. Sprawdź szkolenia wojskowe lub z zakresu obrony cywilnej, ewentualnie coś z tym związanego. Sprawdź też osoby pozostające z nimi w związkach, członków rodziny. To samo odnośnie do nauki i medycyny.

Gdy to mówiła, drzwi gabinetu się otworzyły.

– Proszę zmienić opatrunek w dniu jutrzejszym i umówić się na wizytę kontrolną u swojego lekarza rodzinnego nie dalej jak za tydzień – usłyszały głos dochodzący z wnętrza.

– Okej. – Mężczyzna z obandażowanym przedramieniem i kwaśną miną wyszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

– Nie ma za co! – mruknął pod nosem medyk.

– Dzień dobry, doktorze Ponti! – przywitała się z nim Eve.

– Tak...?

– Porucznik Dallas oraz detektywy Peabody z nowojorskiej policji. Musimy zająć panu chwilę.

Choć wyglądał dość świeżo (pomijając trzydniowy zarost, który Eve oceniła na zgodny z obecnie panującą modą), obrzucił je zmęczonym spojrzeniem.

– Jeśli w sprawie ataku nożownika z przedwczoraj, przekazałem już funkcjonariuszom policji wszelkie posiadane przeze mnie informacje.

– My w innej sprawie. Chce pan rozmawiać z nami tutaj czy w bardziej odosobnionym miejscu?

Westchnął ciężko. Eve przyjrzała mu się uważnie. Był mężczyzną trochę przed czterdziestką, z włosami blond o rozjaśnionych pasmach pasujących do zarostu, w dobrej jakości wysokich trampkach, wyprasowanych na gładko dżinsach oraz bładoniebieskiej koszuli, na którą narzucił biały lekarski kitel.

Potańczał nerwowo palce i ruszył w głąb korytarza.

– Nie mogę chwili odpocząć między jednym pacjentem a drugim, bo ciągle coś się dzieje – zirytował się. – O kogo chodzi tym razem?

– O doktora Kenta Abnera.

– O kogo?! A, tak, tak! – Przewrócił oczami, po czym otworzył drzwi prowadzące do niewielkiej dyżurki lekarskiej. Podeszedł prosto do dzbanka z zaparzoną kawą. – Co z nim?

– Nie żyje.

Ponti na moment zamarł podczas nalewania kawy. Choć wcześniej nie wykazywał specjalnego zainteresowania rozmową, teraz zmrużył oczy.

– Policję nagle interesuje jego śmierć? A co się takiego stało?

– Dziwne, że nic pan o tym nie słyszał. Przecież doktor Abner prowadził tu konsultacje pediatryczne. Ktoś z personelu musiał chyba wspomnieć o tym?

– Zaczęłam dyżur o ósmej rano. Przez cały czas byłem bardzo zajęty. To moja pierwsza przerwa.

– Pańska żona ponoć pracuje tutaj jako pielęgniarka chirurgiczna?

– Zgadza się. – Zainteresowanie przeszło w obawę. – O co chodzi? Co się stało Abnerowi?

– Trucizna.

Dokończył nalewanie kawy, usiadł.

– Rozumiem, że nie stało się to przypadkiem – rzekł z wysiłkiem.

– Nie. Mieliście z doktorem Abnerem pewne nieporozumienie.

– Można to i tak określić, można też nazwać wypchaniem nosa w nie swoje sprawy i wyrażaniem opinii, których nie powinien wyrażać. Podważał mój autorytet przy pacjentce oraz w obecności szefa lekarzy rezydentów.

– Wyprowadziło to pana z równowagi.

– Oczywiście, że tak, do cholery! Gdybym chciał truć wszystkich, z którymi się kiedykolwiek pokłóciłem, SOR pękałby w szwach. Słuchajcie! Ledwo trzymałem się na nogach pod koniec dyżuru. Byłem przemęczony i może poniosły mnie emocje. Na oddział przyjechała kobieta z dzieckiem w zapaleniu oskrzeli. Z niedomytym dzieciakiem, który miał na ciele kilka strupów po jakichś zadrapaniach. Zaropiałych strupów. Rany nie były wyleczone ze względu na złe obchodzenie się z nimi, nieprzemywanie ich. Powiedziałem jej tylko, co powinna z tym wszystkim robić, i może nie byłem przy tym zbyt uprzejmy. Zaraz potem zjawił się Abner i zmył mi głowę. Poprzerzucaliśmy się epitetami. Wtrącił się mój szef. Dostałem po łapkach i musiałem wziąć dzień wolnego. Wszystko to działo się kilka miesięcy temu.

– Czy widywał pan doktora Abnera po tamtym incydencie?

– Widywałem go w szpitalu. Staralem się schodzić mu z drogi. On wpadał tutaj wprost ze swojego spokojnego, prywatnego gabinetu. Ja mam tu codziennie istny kocioł. Nie spodobało mi się to, co powiedział i zrobił, więc mu to wygarnąłem. Czy dlatego teraz odwiedza mnie w pracy policja?

– Zgadza się. Gdzie pan był przedwczoraj około godziny dwudziestej drugiej? – spytała Eve.

– Tutaj, na dyżurze. Ratowałem nastolatka z trzema dziurami po nożu. Moja zmiana kończyła się dokładnie o dwudziestej drugiej, ale za piętnaście dziesiąta przywieźli tego chłopaka. Pozszywałem go, zdałem raport policji. Wyszedłem stąd nie wcześniej niż o dwudziestej drugiej trzydziści.

– A potem?

– Potem pojechałem prosto do domu, gdzie czekała na mnie żona. Planowaliśmy razem wyjazd do Hamptons. Mamy tam przyjaciół, którzy są właścicielami domku letniskowego przy plaży. Udostępnili go nam na weekend. Oboje mieliśmy kolejny dzień i noc wolne, więc postanowiliśmy skorzystać z propozycji. Spaliśmy, uprawialiśmy seks, jedliśmy, piliśmy, znowu spaliśmy. Wróciliśmy do domu dzisiaj wczesnym rankiem. Jezus!

– Czy może spotkaliście kogoś, z kimś rozmawialiście podczas pobytu w Hamptons?

Widać było, że ta rozmowa coraz bardziej go drażni: w oczach pojawił się żar, szczęka zaciskała się raz po raz.

– Nie. Chcieliśmy pobyc sami w ciszy i całkiem się zrelaksować. Byliśmy kilka razy na krótkim spacerze po plaży, ale nie mieliśmy ochoty na towarzystwo. Słuchajcie, muszę już wracać do pracy. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Abnera.

– Jak się nazywają właściciele tego domku przy plaży?

Wypuścił z sykiem powietrze przez zaciśnięte usta.

– Charmaine i Olivier Ingrhamowie. Ollie studiował razem ze mną medycynę. On również prowadzi prywatną praktykę lekarską. Chirurgia kosmetyczna, stać go na domek przy plaży. Pożyczyciśmy samochód od szwagra, nie mamy swojego. Jest prawnikiem, więc jeśli będziecie mnie tutaj nachodzić, poproszę go o pomoc. – To powiedziawszy, wyszedł i trzasnął za sobą drzwiami.

Eve przekreśliła głowę na bok.

– Złe nastawienie, wybuchowy temperament – powiedziała. – Rozzałony z powodu braku oszczędności. Zostaje na naszej liście łącznie z żoną.

– Mogła wysłać wieczorem paczkę – dodała Peabody. – Potem wyjechali oboje do Hamptons w celu zapewnienia sobie alibi. Mogło tak być.

– Taa... Będziemy ich obserwować. Porozmawiajmy teraz z mężczyznami, którzy lubią rozdawać klapsy swoim dzieciom.

– W naszym Wydziale Zabójstw zawsze mamy fajowe rozrywki – westchnęła Peabody.

Wyśledziły pierwszego ze złych ojców, Bena Ringwolda. Miał obecnie foodtrucka w doskonałym miejscu, na tyłach Piątej Alei. Nie był jeszcze otwarty dla tłumów, które ustawiają się w kolejce w porze lunchu, lecz kiedy zapukały do drzwi, otworzył.

Z wnętrza wydostały się niesamowite zapachy.

Miał na sobie biały, poplamiony fartuch kucharza, ogoloną na tyso głowę. Jego twarz była tak gęsto obsypana piegami jak fartuch pochlapany sosami.

– Przepraszam, drogie panie, ale potrzebujemy jeszcze piętnastu minut.

Jego „my” obejmowało drugiego mężczyznę, równie czarnego jak Ringwold był biały, pracującego przy kuchence, skąd pochodziły wszystkie te pikantne wonie. Drugi mężczyzna – również były więzień, jak wynikało z małego śledztwa Peabody – miał głowę całą w dredach, przykrytą czapką kucharską.

Eve właśnie podniosła swoją odznakę i obserwowała, jak rysy twarzy Ringwolda ściągają się w stresie.

– Mamy wszystkie obowiązujące licencje oraz pozwolenia. – Wskazał na tyły furgonetki, gdzie były wywieszone na ścianach.

– Nie przyszłyśmy tu w sprawie pozwoleń, panie Ringwold. Przybyłyśmy tu porozmawiać o doktorze Kencie Abnerze.

– O Kencie Abnerze? – Nie udawał, że nie pamięta tego nazwiska. – A co z nim?

– Nie żyje. Został otruty wczoraj rano.

– Otruty?! Jezu! Wejście może lepiej do środka. Jest tu wprawdzie ciasno, ale jeśli zostawimy otwarte drzwi, natychmiast zacznie się formować kolejka.

– O której godzinie się to stało? – spytał partner Ringwolda, niejaki Jacques Lamont, głosem tak melodyjnym, że całkowicie tłumaczył nazwę ich firmy, uwidocznioną na boku samochodu: CAJUN BON TEMPS, co w amerykańsko-francuskim dialekcie wprost z Luizjany oznaczało mniej więcej „dobre czasy z kuchnią cajun”.

– Około dziewiątej trzydzięci – odrzekła Eve, gdy już obie z Peabody wcisnęły się do środka.

Wprawdzie barwne plamy i plamki zdobiły fartuchy obu kucharzy jak jakieś dzieła sztuki szalonego artysty abstrakcyjnego, lecz błaty robocze, na których przygotowywali jedzenie, lśniły czystością.

– Zwykle rano robimy zakupy, żeby mieć wszystko świeże na cały dzień jeszcze przed godziną dziewiątą – wyjaśnił Lamont. – Możecie to sprawdzić.

– A co robiliście przedwczoraj około dwudziestej drugiej?

– Ja byłem na spotkaniu anonimowych uzależnionych w kościele Blessed Redeemer. Korzystamy z sali w podziemiach budynku. Siedzieliśmy tam od godziny ósmej do dziewiątej, może dziewiątej trzydzięci. Potem zaprosiłem na kawę i szarlotkę chłopaka, którego jestem mentorem. Wyszliśmy około jedenastej, jak sądzę, pojechałem prosto do domu.

– Jak długo jesteś czysty? – spytała Peabody.

– Dziewięć lat, osiem miesięcy, dwa tygodnie i cztery dni. Nie zamierzam wam podawać nazwiska chłopaka, ale podam nazwę knajpki, gdzie zamówiliśmy kawę i szarlotkę. Podam dane kelnerki. Jestem tam częstym gościem i Susan dobrze mnie zna. Siedzieliśmy tam do jedenastej wieczorem. To kilka minut spacerem od mojego miejsca zamieszkania, więc wróciłem na piechotę i od razu położyłem się spać. Ta knajpka to Bottomless Cup przy ulicy Franklina. Kelnerka nazywa się Susan Franco.

– A co z panem, panie Lamont?

– Nikt nie mówi do mnie „pan”. – Przewrócił oczami, nie przerywając mieszania czegoś w ogromnym garnku. – Ja? Przedwczoraj wieczorem umówiłem się z moją dziewczyną Consuelą. O dwudziestej drugiej byliśmy już w łóżku. Nadzy i bardzo sobą zajęci. – Teraz szeroko się uśmiechnął, ale w jego ciemnych dużych oczach pojawiła się obawa. – Jestem kucharzem. Kto by jadł to, co przygotowuję, gdybym kogokolwiek zatrul?

– Ta sprawa dotyczy wyłącznie mnie, Jacques. Kent to ten lekarz, który zgłosił na policję, że skrzywdziłem Barry’ego.

– To było tak dawno temu, *cher*. Jesteś już po drugiej stronie.

– Niestety, nigdy do końca nie będę. Nie widziałem Kenta już od kilku lat. Przechodził kiedyś obok naszej furgonetki i wtedy widziałem go po raz ostatni. Minęło prawie dziewięć lat, od kiedy się z nim wewnętrznie pogodziłem. Byłem na niego wściekły, kiedy siedziałem w więzieniu i jeszcze potem, jak wyszedłem na wolność, ale w końcu to przepracowałem. Sporo ćpałem w tamtych czasach, kiedy krzywdziłem mojego małego synka i jego matkę. Zrobiłem wszystko, żeby się z nimi pogodzić i zadośćuczynić za wyrządzone krzywdy.

– Bardzo się starasz – zapewnił go Jacques.

– Wciąż jednak mam przed sobą mnóstwo pracy. Barry ciągle zachowuje dystans wobec mnie, za co nie mogę go winić, widujemy się jednak regularnie co kilka tygodni. Carly, jego matka, wybaczyła mi i jestem jej niezmiernie wdzięczny. Ja z kolei jestem wdzięczny Kentowi za to, co zrobił. Zajęło mi sporo czasu, żeby do tego dojść.

– Mój współnik biega na spotkania grupy wsparcia jak nakręcony – powiedział Lamont. – Mnie też namówił. Gdybym nie był czysty, nie miałbym Consueli.

– A ty jak długo jesteś czysty? – spytała Eve.

– Siedem lat. Zacząłem kiedyś ćpać, potem kradłem, żeby kupić narkotyki. Mój wspólnik pierwszy wszedł z nałogu i namawiał mnie, żebym poszedł w jego ślady. Chciałem kupić furgonetkę i zacząć zarabiać jakieś pieniądze. Jestem dobrym kucharzem. Zawsze byłem dobrym kucharzem. Nauczyła mnie gotować moja *grand-mère*. Przyniosłem jej wstyd. Teraz już się za mnie nie wstydzi.

– Nieźle nam tu idzie i ciężko pracujemy, żeby to wszystko się kręciło – włączył się do rozmowy Ringwold. – Nie mielibyśmy tego, gdyby nie udało się nam zerwać z nałogiem. Być może nie byłbym teraz czysty, gdyby wtedy Kent nie doniósł na mnie na policję. Ja zrobiłem mnóstwo złego Barry’emu i Carly i nie przespałem przez to wielu nocy. Bardzo mi przykro z powodu tego, co przytrafiło się Kentowi. Wiem, że był dobrym człowiekiem. Wiem, że mi wybaczył.

Eve uwierzyła obu mężczyznom. Ich alibi można było łatwo sprawdzić, mieli też o wiele za dużo do stracenia, by chcieć zabić doktora z powodu urazy sprzed piętnastu lat.

Dostała też od nich wszelkie potrzebne informacje kontaktowe.

– Musicie tego spróbować! – Lamont nałożył na talerz trochę ryżu i czerwonej fasoli, a następnie położył danie sosem. – Po co mielibyśmy kogokolwiek zabijać, jeśli serwujemy najlepsze dania kuchni cajun w całym Nowym Jorku?

– Ja nie... – słabo zaprotestowała Eve, lecz Lamont już podał im talerz i dwa widelce.

– Spróbujcie chociaż – zachęcił je Ringwold z uśmiechem. – Jest bardzo dumny ze swojej czerwonej fasoli z ryżem. Przepis jego babci.

Peabody zaczęła jeść pierwsza.

– Okej, okej. To jest naprawdę dobre! – pochwaliła. – Świetne!

Ponieważ należało okazać szacunek dwóm byłym więźniom, w dodatku wychodzącym z nałogów, którzy starali się prowadzić życie zgodne z prawem, Eve wzięła do ust pełny widelec dania Lamonta. Peabody miała rację.

– Robicie tutaj dobrą robotę! Nie zepsujcie tego!

– Nigdy w życiu! Opracowałem własny przepis na ostry sos. Daje niezłego kopa, prawda? Robimy go na tyle dużo, że zamierzamy go butelkować i sprzedawać oddzielnie. Staniemy się dzięki niemu milionerami. *N'est-ce pas, cher?*

– A żebyś wiedział! – potwierdził Ringwold.

Przed zamkniętym jeszcze okienkiem ustawiła się już kolejka, więc Eve doszła do wniosku, że mają sporą szansę na sukces.

– Naprawdę robią dobrą robotę – powiedziała, kiedy wracały do samochodu. – Nie wydaje mi się, aby to mogli być oni.

– Porozmawiamy jeszcze z jego byłą żoną i synem, żeby się upewnić, ale nie... Na pewno nie maczali w tym palców. Zajmijmy się teraz naszym panem kierownikiem. Zobaczmy, co porabia.

Thomas T. Thane miał skromnie urządzone biuro w agencji reklamowej o mało pomysłowej nazwie „Twoja Reklama Tutaj”. Mając czterdzieści dwa lata, wciąż tkwił na etacie młodszego kierownika. Zamiast majątku dorobił się kilkunastu kilogramów nadwagi i skwaszonejminy.

Z danych w internecie wynikało, że praca w tej agencji jest jego piątym miejscem pracy od ukończenia studiów. Jego oddział zajmował się znienawidzonymi przez Eve reklamami dźwiękowymi, puszczanymi ze sterowców – musiała wyprzeć ten fakt, żeby móc wypracować choć namiastkę obiektywizmu wobec Thane’a.

Jego sposób bycia, niestety, również nie pomagał: zachowywał się jak ostatni fiut.

– Ehm, słyszałem o Abnerze – rzekł. – A co to ma wspólnego ze mną? Nie lubię glin przyłączających do mnie do roboty. Jak widać, w przeciwieństwie do was ja mam co robić.

– W takiej sytuacji nie będziemy ci zabierać zbyt wiele cennego czasu, który spędzasz na obmyśleniu, jaki stek reklamowych bzdur powinien wystrzelić z kolejnego sterowca bujającego się nad miastem. Tylko niezbędne minimum.

No dobra, może nie wyparła z umysłu tego faktu.

Wyszczrzył zęby w krzywym uśmiešku.

– Pocałujcie mnie w cztery litery. Gadajcie se z moim prawnikiem. Wynocha mi stąd!

– Świetnie. W takiej sytuacji oczekujemy szanownego pana wraz z jego adwokatem w naszej sali przesłuchań komendy głównej powiedzmy o godzinie... – Eve popatrzyła na swój naręczny zegarek wielofunkcyjny. – ...o godzinie trzynastej w dniu dzisiejszym. Rezerwuj, Peabody!

– Akurat! – prychnął Thane.

– Rozmowa z nami tu czy tam, co za różnica? – Eve wzruszyła ramionami. – I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

– Nigdzie się nie wybieram – odburknął.

– A może wolisz, żebyśmy zdobyły nakaz prokuratorski i wyprowadziły cię z budynku w policyjnej eskorcie na oczach twoich współpracowników? To dla nas żaden problem.

– Czego chcecie, do cholery? – zirytował się.

– Udzielenia odpowiedzi na kilka prostych pytań, jak na przykład, gdzie byłeś przedwczoraj o godzinie dwudziestej drugiej?

– Gówniany świat! – zaklął, ale wyciągnął swój kieszonkowy kalendarzyk, demonstracyjnie okazując przy tym niechęć. – Gówniane pytania od parki siks z policji – mruknął pod nosem.

Eve usłyszała za plecami dystyngowane syknięcie Peabody, lecz jej samej nawet powieka nie drgnęła.

– Podejrzany okazuje brak szacunku i jawną niechęć w stosunku do kobiet, a w szczególności kobiet będących przedstawicielkami służb mundurowych.

– Pocałujcie mnie w cztery litery – powtórzył z pasją. – Przedwczoraj o dwudziestej drugiej piłem drinki w towarzystwie kumpli.

– Gdzie i z kim? Nazwiska kumpli – rzuciła Eve. – Nie dam się nabrać na takie teksty.

– Odwal się, suko!

– Pani porucznik Suko, jeżeli już – wymsknęło się Peabody, zanim Eve zdążyła zareagować. – Gdzie i z kim?

– W knajpie After Hours. To dokładnie po drugiej stronie tej cholerniej ulicy. – Wymienił szybko trzy nazwiska. Same męskie.

– To samo pytanie odnośnie do wczorajszego dnia między dziewiątą a dziewiątą trzydzieści rano.

– Tutaj, za biurkiem. Miałem spotkanie o dziewiątej piętnaście.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiałeś z doktorem Kentem Abnerem?

– Nigdy nie miałem nic do powiedzenia temu sukinsynowi. Chciał mi zrujnować życie, co kosztowało mnie posadę. Wetknął ten swój wielki nochal w moje sprawy.

– Czy to te twoje sprawy spowodowały fizyczne obrażenia u twojego trzyletniego syna i jego matki?

Kopnął w swoje krzesło i położył jedną nogę, obutą w elegancki trzewik, na blacie biurka, jawnie lekceważąc obie policjantki.

– Jezui! Jakie namolne babska! Musiałem nauczyć dzieciaka dyscypliny, skoro jego matka nie umiała i pod jej rządami wyrastał na niezdolnego bachora. W dodatku był strasznie niezdarny i wciąż się przewracał.

– Czy matka też była strasznie niezdarna? – spytała Peabody z przekąsem. – Oboje nosili ślady pobicia.

– Nie muszę o tym z wami rozmawiać. Zaliczyłem prace społeczne. Był też jakiś niedorzecznie mi zasądzony okres próby, dopełniony gównianym kursem opanowywania wybuchów złości.

– Wydaje się, że przyniósł pewne efekty – skomentowała Eve.

Rozłożył ręce na boki i wzruszył ramionami.

– Nawet nie wiem, gdzie się teraz podziewa ta suka ze swoim pomiotem i gówno mnie to obchodzi. Więcej miałem z nimi kłopotu, niżli byli warcy. A teraz muszę się zająć pracą.

– Brzmiało to tak, jakbyś wciąż żywił urazę do doktora Abnera.

– Wnoszę, że dostał to, na co zasłużył. No i co z tego? A poza tym dobrze mi się przysłużył: dzięki niemu nie mam już na głowie tej zdziwy i jej bachora. Oboje bez przerwy jęczyli, co doprowadzało mnie do szału. – Znow wyszczerzył zęby w przesadnie wesołym uśmiechu. – Może powinienem posłać mu kwiaty?

Eve przysunęła się bliżej. Bacznie obserwowała Thane'a. Opuścił nogę na podłogę, ale jego dłonie zacisnęły się w pięści. Wyprostował się, wciąż siedząc na krześle. Dostrzegła coś jeszcze: w jego oczach mignął przestraszenie.

– Ilu jeszcze zdiurów i ich bachorom dałeś klapsa, rąbnąłeś pięścią czy spuściłeś łomot w swoim nędznym życiu? No dalej, przyznaj się – syknęła.

– Lepiej się stąd wynoście, bo zgłoszę nękanie.

– Ach, więc według ciebie to jest nękanie? – Eve przysunęła się do niego jeszcze bliżej, wystarczająco blisko, by zauważyć kropelki potu, które wystąpiły nad jego górną wargą, jawnie dowodząc strachu. Jego pięści zacisnęły się jeszcze mocniej. – Z nękaniem to nie ma nic wspólnego, ale może mieć, i to zaraz. Uważaj na swoje reakcje, Thane, i pomyśl dwa razy, nim użyjesz tych pięści, by pobić kolejną kobietę lub małego, bo jeśli zrobisz to jeszcze raz, nie skończy się to pracami społecznymi, okresem próby ani kursem zarządzania gniewem. Już ja dopilnuję, żeby cię zamknęli! Będzie to moja misja.

– Nasza – poprawiła ją Peabody. – A obie jesteśmy naprawdę dobre w wypełnianiu wszelkich misji.

– Dzwonię do mojego prawnika.

– A dzwoń sobie. – Teraz Eve wyszczerzyła zęby w ironicznym uśmiechu, po czym obie opuściły jego gabinet.

– Oczekiwałam, że jednak skopiesz mu tyłek – mruknęła Peabody pod nosem, kiedy szły w stronę windy przez salę główną z wydzielonymi stanowiskami pracy. – Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że to zrobisz.

– Lepiej było go postraszyć. Mniej papierkowej roboty. Teraz jest roztrzęsiony, wściekły i wystraszony.

Kiedy weszły do windy i ruszyły w dół, Peabody na chwilę wstrzymała oddech, a potem wypuściła szybko powietrze z wkurzonym sapnięciem.

– Mając dobrych mężczyzn wokół nas na co dzień, na ogół zapominamy, że wokół kręcą się też takie obłeśne typy. Cholera by tu wzięła! Wiesz, myślę sobie teraz, że kiedy kazał nam całować się w tyłek, powinnam była mu powiedzieć, że żadna normalna kobieta nie zrobiłaby tego za żadne pieniądze.

Eve spostrzegła, jak bardzo Peabody się nakręca – nieomal widziała parę buchającą z uszu gotującej się wewnętrznie partnerki – więc poklepała ją przyjacielsko po ramieniu.

– Może jeszcze będziesz miała okazję – pocieszyła ją.

– On mógł to zrobić – podsumowała młodsza z policjantek, kiedy przeszły przez małe, puste lobby i znalazły się na zewnątrz budynku. Wtedy obejrzała się jeszcze raz za siebie. – Ma dość temperamentu, żeby chcieć się odegrać. Może i nie wie, gdzie podziewa się teraz jego była żona wraz z dzieckiem, ale idę o zakład, że gdyby tylko gdzieś ich spotkał, nie omieszkałby im przyłożyć. Wiedział, gdzie mieszkał i pracował Abner.

– Zgadzam się z tobą. Możemy wytłumaczyć jego zachowanie w stosunku do nas na dwa sposoby. Jeśli jesteś winny, po co dodatkowo zrażać do siebie policjantki i jeszcze bardziej zwracać na siebie uwagę? A może robił to specjalnie, abyśmy pomyślały, że ktoś tak beznadziejnie głupi nie mógł zrobić czegoś podobnego? Sprawdź, gdzie przebywało trzech pozostałych facetów, których nazwiska podał, w czasie, gdy wysyłano paczkę.

– No dobra... Thane i jego trzech kumpli. – Wsiadły do samochodu i Peabody od razu wyjęła swój podręczny komputer. – Pewnie odbywali cotygodniowe posiedzenie Klubu Zjednoczonych Mizoginów. Czy teraz jedziemy do pana dozorczy?

– Tak. Powinien być na miejscu. Potem chciałabym przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę z Ruftym oraz z jego dziećmi, jeśli będą razem z nim.

*

Curtis Feingold miał zapuszczone mieszkanie w równie zapuszczonym bloku przy Alei C. Elewacja budynku cała była pokryta od dołu bohomazami, głównie przesadzonymi wizerunkami niektórych anatomicznych detali człowieka oraz błędnie gramatycznie wypisanymi obelgami czy też epitetami związanymi z seksem. Kilka otworów okiennych zabito na głucho deskami. Nasuwał się tylko jeden wniosek: mężczyzna nie zarabiał zbyt wiele.

Widok klatki schodowej jedynie upewnił Eve w tym przekonaniu: zapuszczony wiatrołap, zepsuta winda (również cała wymazana farbą w spreju), zbita szyba w drzwiach prowadzących na klatkę schodową.

Całe szczęście nora Feingolda mieściła się na poziomym parteru. Eve nacisnęła guzik dzwonka, lecz nie usłyszała żadnego towarzyszącego temu dźwięku. Usłyszała za to zza drzwi podniesione głosy sprzeczkających się ludzi. Po przeciwnej stronie korytarza ktoś grał, okropnie fałszując, na waltorni, raczej zepsutej – jak oceniła.

Załomotała w drzwi pięścią.

– Czego tam, do kurwy nędzy? – usłyszała z wnętrza mieszkania.

– Policja! Otwieraj pan, panie Feingold.

– Szlag by was trafił!

– Możemy tu wrócić i na pewno wrócimy z nakazem oraz z przedstawicielami administracji budynku. Wydaje mi się, że w tej twojej nieruchomości łamiecie wszelkie regulaminy utrzymywania w porządku części wspólnych budynku.

Drzwi uchyliły się na tyle, na ile pozwalał łańcuch zabezpieczający. W szparze pojawiło się podpuchnięte, przekrwione oko. Wionęło kwaśną wonią alkoholu.

– Szlag by was trafił! – powtórzył. – Nie muszę gadać z babami po cywilnemu.

– Wolisz rozmowę w komisariacie lub kilka godzin aresztu tymczasowego, gdy w tym czasie inspektor z administracji oceni stan budynku?

– To, kurwa, nie moje – mruknął pod nosem, ale zdjął łańcuch.

Miał na sobie kiedyś zapewne biały T-shirt oraz brązowe spodnie ściśnięte paskiem, spomad którego wylewał się opasły brzuch. Choć sprawiał wrażenie brudasa i niechluj, dało się rozpoznać, że w przeszłości musiał być dużym, muskularnym facetem, i dopiero ostatnio mu się przytyło. Włosy – mocno przerzedzone i brudne – ledwie zakrywały mu czaszkę. Przekrwionymi oczami spoglądał ze złością to na Eve, to na Peabody.

Ciężko dyszał.

– Czego, kurwa, chcecie? – wychrypiął.

– Zamienić kilka słów na temat doktora Kenta Abnera.

– Lekarze to gówniani artyści. Nie mam do nich za grosz zaufania.

Feingold zajmował kawalerkę, lecz mało tu było kawalerskich wygód. Duży telewizor – źródłożywionej dyskusji grupy ludzi występujących w jakimś talk show – zajmował całą szerokość krótszej ściany. Pozostałe były przybrudzone i puste, tak samo jak i dwa okna wychodzące na ulicę.

Łóżko ze skotłowaną pościelą zajmowało środek pokoju. Całości dekoracji dopełniały walające się wszędzie kartonowe opakowania po żywności na wynos oraz puste butelki.

– Wczoraj został zamordowany doktor Abner.

– Aha, no i co z tego?

– Abner był lekarzem pediatrą twojej córki, tym, który złożył na ciebie skargę i zeznawał przeciwko tobie w sądzie, co skutkowało dwuletnią odsiadką za znęcanie się nad dzieckiem.

– Jeśli ten pierdolony konował nie żyje, to trzeba za to wypić.

To powiedziawszy, podszedł do stolika obok łóżka, na którym stała butelka i szklanka. Nalał sobie ciemnobrązowego płynu.

– Gdzie byłeś o dwudziestej drugiej przedwczoraj? – spytała Eve.

– Tutaj. Nie mam ochoty nigdzie wychodzić ani się z nikim spotykać.

– A więc nikt cię nie widział ani z tobą nie rozmawiał? – dopytywała się.

– No i co z tego, kurwa? Myślicie, że to ja zabiłem dupka? A po co, do cholery, miałbym to robić? Pieprzony system z góry kieruje podejrzenia na osoby takie jak ja, które nie mają kasy, żeby posmarować, komu trzeba. Stara związała z dzieciakiem, no i dobra. Komu one, kurwa, są potrzebne?!

– A wczoraj rano około dziewiątej trzydzieści? Gdzie byłeś?

– Kurwa, no tutaj! A gdzie? Ci z mieszkania trzy B przyleźli marudzi, że mają karaluchy. Ta z dwa A wrzeszczała, że zobaczyła pieprzoną mysz. W dodatku lokatorzy z dwa C zwinęli się bez zapłacenia czynszu najmu. Co chwila ktoś się dobija do moich drzwi, marudząc, że coś jest nie tak.

– W końcu odpowiadasz za utrzymanie i konserwację budynku – wytknęła mu Peabody.

Prychnął tylko z pogardą i wychylił duszkiem zawartość szklanki.

– To miejsce to szkurza nora i zawsze szkurzą norą pozostanie. No i, kurwa, co z tego? Komuś się nie podoba, niech spada spać na ulicy.

– Kiedy ostatni raz widziałeś doktora Abnera lub z nim rozmawiałeś?

– W sądzie, gdzie ten patafian próbował ze mnie zrobić jakiegoś maniaka tylko dlatego, bo parę razy mocniej klepnałem tę wiecznie kwękającą smarkulę. Dzieciak to moja krew z krwi, kość z kości, no nie? Mogę chyba robić, co chcę z moją krwią i kośćmi, co nie? Ale system wszystko zafałszowuje, więc wsadzili mnie do kicia. Chcecie mi powiedzieć, że ktoś porządnie przyłożył temu dupkowi i rozwalili go za to, że próbował być świętszy od papieża? No i dobrze. – Usatysfakcjonowany nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę i klapnął na sponiewierane łóżko, mając scenkę z dyskutującymi ludźmi tuż przed nosem. – Skończyliśmy?

– Jak na razie.

– Uważajcie, żeby drzwi nie klepnęły was po tyłkach, kiedy będziecie wychodzić. Pieprzona policja – mruknął i znów wypił do dna.

– Ja cię!... – Peabody wzniosła oczy ku niebu, kiedy wyszły na korytarz. – Ale milusiński!

Eve nie zdołała powstrzymać prychnięcia śmiechem.

– Filar ich społeczności – orzekła kwaśno. – Skontaktuj się z administracją.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Taki typ też mógł zabić – dodała stanowczo Eve. – Jego pięcioletnia córeczka miała wstrząs mózgu, trzy złamane palce u ręki oraz wybity bark, ponieważ on może robić, co chce „z krwią z własnej krwi oraz kośćmi z własnych kości”, jak to ujął.

Zdała sobie naraz sprawę, jak bardzo ją samą to wszystko zabolalo, ponieważ w Feingoldzie ujrzała odbicie Richarda Troya, swojego ojca, który również uważał, że może robić, co chce, z tymi, w których płynie jego krew.

– W stanie upojenia alkoholowego – kontynuowała Eve – może pobić kogoś na śmierć, złapać za nóż i wbić go komuś w serce, jest jednak o wiele za głupi na to, żeby opracować coś tak wyrefinowanego, jak przesłanie w paczce kurierskiej środka toksycznego paraliżującego organy wewnętrzne człowieka. Nie oznacza to rzecz jasna, że zasługują na vegetację w tej szkurzej norze za darmo jako dozorca za pensję otrzymywaną od właściciela budynków w tych slumsach, który pojęcia nie ma, w jakich warunkach ludzie tu żyją.

– Od razu poczułam się lepiej – wymamrotała Peabody, wyjmując telefon z kieszeni.

*

Można było odnieść wrażenie, że budynek mieszkalny w dzielnicy SoHo jest położony w innej galaktyce niż blok przy Alei C. Doskonale utrzymany, mieścił w parterze restaurację z ogródkiem zewnętrznym, gdzie klienci siedzieli przy stolikach na świeżym powietrzu, a kelnerzy, ubrani w dopasowane kamizelki i białe koszule, śmigali pomiędzy nimi z kieliszkami i talerzami. Drzwi wejściowe, pomalowane na spokojny beż, wyposażone zostały w solidny system ochrony i monitoringu. Eve zdecydowała, że nie będzie się wlamywać. Nacisnęła dzwonek wideofonu loftu Victorii Abner-Rufty oraz Gregory'ego Brickmana.

Odezwał się męski głos. Ludzki, niedigitalizowany.

– Witamy! Porucznik Dallas oraz detektyw Peabody – przedstawili się.

– Dzień dobry! Zapraszam prosto na górę.

Drzwi się odblokowały z cichym brzęczeniem.

Choć hol wejściowy wyglądał na doskonale utrzymany, Eve i tak wybrała schody.

W drzwiach segmentu z wejściem z poziomu pierwszego piętra stał mężczyzna. Wyglądał na wykończony. Dobrze zbudowany, rasy mieszanej, pod czterdziestkę, zmusił się do powitalnego, przyjaznego uśmiechu, jednak jego piwne oczy pozostały niewzruszone.

– Greg Brickman – przedstawił się, wyciągając do każdej z nich rękę. – Jestem mężem Tori, czyli zięciem Kenta. Wejdźcie, proszę. Dziękuję, że uprzedziłyście o swojej wizycie – dodał. – Dało to trochę czasu Marty’emu, żeby się ogarnąć. Jest teraz w kuchni z Tori. Ach! Marcus i Landa, czyli brat Tori i jego żona, też są na górze. Omawiają teraz... różne sprawy. Wystaliśmy dzieci na spacer do parku z nianią. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu. Wydawało się nam, że będzie lepiej, jeśli... jeśli nie będzie ich w domu podczas waszej rozmowy z Martym.

– W porządku, panie Brickman.

– Mówcie mi Greg. To okropny czas dla nas. Wszyscy jesteśmy załamani. Poczekajcie chwilę. Przyrowadzę Marty’ego.

Wygodnie, przyjemnie urządzony pokój dzienny miał szerokie okno wychodzące wprost na ulicę z jej artystycznym rozgardiaszem. Tak jak i w domu ojca, w mieszkaniu córki pełno było rodzinnych zdjęć, trochę dobrej sztuki, a wszystko w pastelowych kolorach i nienarzucającym się stylu, bez zbyteznego wydziwiania.

Greg przyprowadził teścia w towarzystwie kobiety o atletycznej budowie jej zmarłego ojca i kędzierzawych włosach zebranych w koński ogon. Pozbawiona makijażu twarz emanowała rozpaczą.

– To moja córka Victoria – przedstawił ją Rufty, nie wypuszczając jej dłoni z mocnego uścisku. – Nie wiem... Gdzie jest Marcus?

– Są z Landą na górze – odparł Greg. – Mam ich przyprowadzić?

– Sam nie wiem. Nie jestem w stanie ogarnąć rzeczywistości dalej niż na minutę do przodu.

– To może jednak ich przyprowadzę.

– Tato, chodź, usiądźmy. – Tori usadziła go łagodnie na kanapie i usiadła tuż przy nim. – Macie dla nas coś nowego? Przepraszam, że o to pytam... – przerwała. – Usiądźcie, proszę. Powinnam zaproponować coś do picia. Tato, zaparzyć ci herbaty?

– My dziękujemy – zaczęła Eve. – Przepraszamy, że przychodzimy w tak trudnym dla was czasie.

– Wczoraj byliście dla nas takie miłe! Pamiętam, byliście miłe. Wszyscy byli dla nas bardzo mili. Seldine powiedziała, że mówiłaś jej, że może zadzwonić... że może przyjść... – płątał się Rufty. – Ona jest dla nas jak ktoś z najbliższej rodziny. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni!

– Panie Rufty! – zwróciła się do niego Peabody. – Jestem przekonana, że pan to wie, ale chciałabym nadmienić, że wszyscy, z którymi rozmawialiśmy w przychodni doktora Abnera, mówili o nim ciepło i z wielkim poszanowaniem.

– Dziękuję wam za to.

Greg wrócił w towarzystwie dwóch osób: mężczyzny i kobiety. Rufty popatrzył na nich oczami zamglonymi ze zmęczenia. Syn, wysoki i szczupły, odziedziczył budowę ciała po drugim ojcu. Usiadł na kanapie po drugiej stronie Rufty’ego, a jego żona zajęła miejsce na krześle.

– To mój syn Marcus i jego żona Landa – przedstawił ich Rufty.

– Czy już udało się wam wykryć, kto to zrobił mojemu ojcu? – spytał Marcus.

– W chwili obecnej prowadzimy intensywne śledztwo i sprawdzamy kilka tropów – odrzekła Eve.

– Policja zawsze tak mówi – mruknął.

– Policja zawsze tak mówi – powtórzyła Eve – ponieważ taka jest prawda.

– To nie na nich powinienś wyładowywać swą złość – szepnęła Landa do męża.

Otworzył tylko usta i bez słowa je zamknął. Kilka razy głęboko odetchnął.

– Masz rację, kochanie – rzekł w końcu. – Przepraszam was.

– Nie ma za co. Mamy do pana jeszcze kilka pytań, panie Rufty. Czy mąż wspominał kiedykolwiek o Benie Ringwoldzie?

– N-nie przypominam sobie nikogo takiego.

– Piętnaście lat temu doktor Abner zgłosił na policję, że Ringwold znęcał się nad własnym dzieckiem.

– Chwileczkę. Tak! Oczywiście...

– Czy to on zabił mojego ojca? – wtrąciła się Tori.

– Nie, nie, nie! – wypalił nieoczekiwanie Rufty, głaszcząc dłoń córki. – Przypomniałem sobie ten epizod z Benem. Kilka lat temu przyszedł porozmawiać z Kentem. Przepracowywał swoje dwanaście kroków do trzeźwości. Przyszedł go przeprosić, a przy okazji podziękować mu za to, że go zastopował i pomógł zmienić swoje życie. – Mężczyzna pokiwał wolno głową, przypominając sobie tamten czas. – Ben pogodził się ze swoją byłą żoną, przekonywał stopniowo do siebie syna. Krok dziewiąty polegał na zrobieniu wszystkiego, co w jego mocy, by uzyskać przebaczenie za wyrządzone krzywdy, no i przyszedł do Kenta. Pamiętam, że rozmawialiśmy jakiś czas we trzech. – Uśmiechnął się bladeo. – Ben powiedział nam, że założył własną firmę. Foodtruck. Podjechaliśmy tam pewnego razu. Kent był

zachwycony. Zobaczył kogoś, komu udało się całkowicie odmienić swoje życie. Przyznał mi się potem, że umocniła się wtedy jego wiara w ludzi. Chyba go nie podejrzewacie o atak na Kenta?

– Nie, na pewno nie tym razem. Ma solidne alibi i wygląda na to, że pański mąż dobrze go ocenił. Wywrócił swoje życie do góry nogami. Być może się z panem skontaktuje, by złożyć kondolencje. Czy mąż wspominał może o kimś, kto nosi nazwisko Thane? Thomas Thane.

– Nie przypominam sobie – rzekł Rufty.

– A ja go kojarzę – odezwał się Marcus. – Kojarzę to nazwisko. Ojciec zgłosił policji, że typ pobił swoją żonę i dziecko. Dyskutowaliśmy nawet na jego temat, kiedy wykręcił się od więzienia. Zasadzono mu bodaj jakieś prace społeczne czy inne tego rodzaju bzdety.

– Czy ojciec sugerował podczas rozmowy, że Thane mógł mu grozić?

– Nie.

– A co z Curtisem Feingoldem?

– Tak, tak, tego typka poznałem nawet osobiście. – Rufty pokiwał głową. – Zapamiętałem go, ponieważ jego żona była nauczycielką, a ja akurat pomagałem jej w zdobyciu pracy w szkole w Yonkers. Pracuje tam kilku moich kolegów ze studiów. Feingold był alkoholikiem przejawiającym skłonność do przemocy domowej. Wiem, że poszedł do więzienia.

– Ostatni: doktor Milo Ponti?

– Tak, tak. Wszyscy mieliśmy okazję poznać to nazwisko. Umówieni byliśmy na rodzinny obiad, a Kent się spóźnił, bo został wezwany do swojego małego pacjenta, którego matka zawiozła na ostry dyżur do szpitala Unger. Zbeształ tego Pontiego za to, że zwymyślał przy wszystkich matkę dziecka. Kent nie znosił, kiedy kogoś obolałego i zestresowanego nie traktowano z należyтым współczuciem. Nie zabija się jednak za to, że ktoś cię zbeszta.

– Sprawdzamy wszystkie tropy – wyjaśniła ze spokojem Eve, a potem skinęła głową w stronę Peabody. Ta otworzyła podręczny komputer i zaprezentowała wszystkim obraz zrekonstruowanego jaja. – Widzieliście kiedyś coś takiego? – spytała.

Rufty wpatrywał się w monitor spod ściągniętych brwi.

– Złote jajo wielkości gęsiego? Na pewno widywałem podobne w sklepach z pamiątkami, może na obrazach czy coś w tym stylu. O co chodzi?

– Udało się nam poskładać w całość kawałki znalezione na podłodze waszej kuchni – oznajmiła Eve. – Podczas prac nad tym nasi specjaliści od technik kryminalistycznych ustalili również, że wnętrze tego... tego gadżetu zostało pokryte cienką warstwą środka zabezpieczającego, odpornego na działanie powietrza. Podobnym specyfikiem pokryto brzegi obu połówek tego pojemnika. Gdy doktor Abner go otworzył, substancja toksyczna, którą tam umieszczono, wydostała się i uaktywniła w zetknięciu z powietrzem. To spowodowało jego śmierć.

– Ale... ale... to jakieś diaboliczne pomysły, czyż nie? – Rufty zbladł jak ściana, a jego córka objęła go mocniej ramieniem. – Nie znamy nikogo, kto mógłby chcieć zrobić coś takiego. To musiało być przeznaczone dla kogoś innego.

– Drogi panie, paczka była zaadresowana konkretnie do pańskiego męża. Chciałabym teraz spytać, czy doktorowi Abnerowi zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich tygodni wspomnieć o kimś, z kim miał jakiś zatarg, a może się posprzeczał?

– Nikogo takiego nie było. Przysięgam! Powiedziałbym. Niby dlaczego miałbym nie powiedzieć? – mówił coraz wyższym, łamiącym się głosem. Jego oczy zaszklily się łzami.

Córka, też cała drżąca, musiała go mocno przytrzymać w objęciach.

– Tatusiu! Tylko się nie denerwuj, proszę. Chcemy się dowiedzieć, kto skrzywdził tatę. Musimy się tego dowiedzieć.

– Ale przecież ona mówiła przed chwilą, że wszyscy go kochali. – Wskazała na Peabody. – Ona to rozumie. I jak w takiej sytuacji ktoś... – Zacisnął powieki, a Landa wstała i wymknęła się z pokoju. – No dobrze, dobrze. Ktoś... to przecież wymagało planowania, dostępu do trucizn, stosownej wiedzy oraz... oraz niewyobrażalnego okrucieństwa. My nie znamy nikogo, kto byłby w stanie zrobić coś takiego. – Pochylił się teraz ku Eve z oczami pełnymi smutku i błagania. – Zrozumcie! Błagam, zrozumcie mnie! Wiedliśmy z Kentem dobre, poukładane życie, staraliśmy się dobrze żyć i pracować, być dobrymi ludźmi. Wychowaliśmy nasze dzieci tak, żeby były uczciwymi ludźmi, żeby przyczyniały się do dobra ogółu. Żeby troszczyły się o innych. Niechże pani mnie zrozumie!

– Rozumiem, panie Rufty. Ja naprawdę to rozumiem. Nie mogło tego spowodować żadne z działań pańskiego męża.

Landa wróciła z pełną szklanką.

– Weź od razu tę tabletkę na uspokojenie i popij – zwróciła się do teścia. – Bez marudzenia. Ja też jestem lekarzem, mój drogi, i albo to wypijesz, albo pójde po swoją torbę lekarską.

– Był taki dumny z ciebie! – chlipnął. – Kochał cię jak własną córkę.
– Wiem. – Kobieta wmusiła środek uspokajający w Rufty’ego i pocałowała go w policzek. – Teraz wypij wszystko do dna, a potem pójdiesz ze mną na górę i położysz się na chwilę. Posiedzę przy tobie.
– Ale one mają jeszcze pytania do nas.
– Już nie – wtrąciła się Eve, wstając. – To na razie wszystko. Proszę przyjąć jeszcze raz nasze kondolencje. Bardzo nam przykro z powodu waszej straty. To tylko słowa policjantki, ale są najprawdziwszą prawdą.

Nigdy nie chodzi tylko o tego, kto zostaje pozbawiony życia – myślała Eve, kiedy wracały do samochodu. – Śmierć, a szczególnie morderstwo darło na strzępy życie tak wielu ludzi. Niezależnie od tego, w jaki sposób zostaną poskładani w całość, już nigdy, przenigdy nie będą tacy sami.

Dla niektórych morderców – myślała – ta smutna prawda stanowiła swego rodzaju premię, doliczaną do aktu zabójstwa.

*

Zajechawszy pod klinikę Louise, stwierdziły na miejscu, że w poczekalni są tłumy ludzi. Kobieta z ogromnym ciężowym brzuchem siedziała obok innej z kwilącym niemowlęciem na rękę. Ciężarna wciąż świergotała do maleństwa i zdawała się zachwycona perspektywą robienia tego dwadzieścia cztery godziny na dobę, co bez wątpienia czekało ją w najbliższej przyszłości.

Trójka niewiele starszych maluchów tkwiła w kąciku dla dzieci z całą kolekcją zabawek i wydzierala je sobie, kłócąc się przy tym niemiłosiernie. Dorośli siedzieli na krzesłach w poczekalni z załzawionymi oczami, suchym kaszlem czy obandażowanymi kończynami. Niektórzy mieli pusty wzrok ludzi, którzy oczekiwali nazbyt długo na swą kolej.

Eve podeszła do rejestracji i już miała wyjąć swoją odznakę, gdy recepcjonistka ją ubiegła.

– Pani porucznik, pani detektyw – powiedziała. – Doktor Dimatto was oczekuje w gabinecie. Przejdźcie, proszę, bocznymi drzwiami na prawo. Sharleen zaprowadzi was do pani doktor od tyłu. Teraz ma pacjenta, lecz za chwilę do was wyjdzie.

– Świetnie. Dziękujemy! – odparła Eve.

Kiedy tylko znalazły się za wskazanymi drzwiami, przejęła je dziarska, drobna, rudowłosa dziewczyna w kwiecistym szerokim fartuchu i poprowadziła korytarzem obok gabinetów lekarskich i laboratorium aż do schludnego biura Louise.

– Powinna wkrótce przyjść... – Sharleen się zawahała.

– Możemy zacząć od ciebie – rzekła Eve, na co dziewczyna zrobiła zdziwioną minę.

– Och! Okej. Hmm... Doktor Dimatto prosiła nas, żebyśmy udzielali wam wszelkiej możliwej pomocy.

– Tak będzie zdecydowanie prościej. Znałaś doktora Abnera?

– Oczywiście. Jestem zatrudniona tutaj od ośmiu miesięcy. Doktor Abner był jednym z lekarzy regularnie pracujących u nas w ramach działalności non-profit. Świetnie się dogadywał z dziećmi. Uczę się teraz na pielęgniarkę pediatryczną, więc pozwalała mi sobie asystować, kiedy zachodziła taka potrzeba – zamilkła i nagle posmutniała. – Naprawdę bardzo go lubiłam. Trudno zrozumieć, dlaczego... Jak dla mnie to wprost niepojęte!

– Słyszałaś może o kimś, z kim miał na pieńku?

– Ależ skąd! Jak już wspominałam, naprawdę dobrze sobie radził z dziećmi. Jego mali pacjenci go uwielbiali. To działa tak, że jeśli twoje dziecko lubi lekarza, ty też zaczynasz go lubić. Nigdy nie zadzierała nosa, kiedy tu przychodził, ani nie robił z siebie nachalnego dobroczyńcy, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Był po prostu... był jednym z nas.

– Czy kiedykolwiek widywałaś go lub rozmawiałaś z nim po godzinach pracy?

– Nie. Chociaż chwila... To nie do końca jest prawdą, jak tak teraz myślę. – Uniosła w górę palec wskazujący z paznokciem pomalowanym na wściekły fioleto. – Kilka miesięcy temu Abner miał dyżur późnym wieczorem. Ja wtedy również byłam w pracy. Kiedy skończyliśmy, odprowadził mnie do domu. Nalegał. Mieszkał kilka kroków stąd, lecz nie chciał, bym wracała po nocy sama. Była zima, późna pora i ślisko na chodnikach. Odprowadził mnie, więc było to na pewno po godzinach pracy – westchnęła i cała jej zapalczliwość przeszła w zakłopotanie. – Zrobił tak ze zwykłej uczynności, nic poza tym.

– W porządku, Sharleen. Może byś sprawdziła, czy ktoś jest już wolny i mógłby z nami porozmawiać? Podeszłałabyś go tutaj.

– Jasne. Okej.

Nim zjawiała się Louise, dwie inne osoby z personelu przychodni wykazały się chęcią współpracy i podzieliły się z nimi wspomnieniami oraz smutkiem.

– Przepraszam, że musiałyście czekać. – Louise ubrana była jak zwykle w swój lekarski kitel. Jego poły malowniczo powiewały wokół jej czarnych spodni. Całości stroju dopełniała czarna koszulowa bluzka. Ruszyła wprost ku miniekspresowi do kawy, stojącemu na półce za biurkiem. – Wprawdzie to nie wasza ulubiona, ale na pewno o niebo lepsza od tej dostępnej w poczekalniach czy biurach. Życzycie sobie?

– Nie, dziękujemy.

– Przykro nam z powodu śmierci twojego współpracownika, Louise – dodała Peabody.

– Mnie również jest przykro. – Wypiła duszkiem kawę i głęboko odetchnęła. – Nie będę ukrywać, że bardzo się cieszę, iż to właśnie wy prowadzicie to śledztwo. Wprawdzie mamy dzisiaj sporo pracy, ale możecie przeprowadzać rozmowy w moim biurze. Poproszę wszystkich, aby tu do was po kolei przychodzili.

– Już nawet zaczęliśmy przesłuchania – przyznała się Eve.

– Naprawdę? – Louise uniosła w zdziwieniu jedną brew.

– Naprawdę. Mamy również nakaz dotyczący przeszukania wszystkiego, co wiąże się z ofiarą, a co nie jest sprawą prywatną, podlegającą ochronie danych.

– Tak myślałam, że bez nakazu się nie pojawicie. – Lekarka podeszła do biurka, otworzyła szufladę i wyjęła z niej zewnętrzny dysk pamięci. – Przyszliśmy tu jeszcze z Charlesem po naszej wizycie u was. To wszystko, co mamy. Nie ma tego wiele, Dallas. Był nieocenionym pomocnikiem dla kliniki, lecz bywał tutaj tylko kilka godzin tygodniowo.

Eve wzięła od niej dysk i przekazała go Peabody.

– Powiem wam jeszcze, że pierwsze, co zrobiłam, to porozmawiałam z personelem i skontaktowałam się z tymi, którzy mają dzisiaj wolne lub pracują w późniejszych godzinach. Zdaję sobie sprawę, że musicie porozmawiać i z nimi, zrobić to skrupulatnie. Oczywiście chcę, żebyście przeprowadziły to jak najdokładniej, ale chyba niczego więcej się nie dowiecie.

– Skoro już tutaj jesteśmy, może powinnam zbadać kilku twoich pacjentów? – zażartowała Eve. – Postawiłabym parę diagnoz, co?

– Ha, ha, ha! – roześmiała się krótko widocznie zmęczona Louise i przysiadła na skraju biurka. – Pewnie specjalnie was to nie ucieszy, ale powiem, że rozmawiałam również z kilkoma osobami, które znam, a które z kolei znają doktora Pontiego lub z nim pracowały.

– Jezu Chryste! Louise!

– Zanim zaczniesz zmywać mi głowę, zrozum jedno: lekarze są bardziej chętni do szczerych rozmów z innymi lekarzami.

– A jeśli się okaże, że Ponti jest poszukiwanym przez nas mordercą, i dojdą do niego słuchy, że się o niego dopytujesz? Mordercy są o wiele bardziej skłonni do rozprawiania się z wścibskimi cywilami niż z policjantami.

Louise wcale się tym nie przejęła i tylko wzruszyła ramionami.

– Dowiedziałam się jedynie, że jest aroganckim dupkiem o sporych umiejętnościach, które szczególnie się przydają w medycynie ratunkowej. Nie jest specjalnie lubiany, lecz zdaje się tym nie przejmować. Nie spodobało mu się, kiedy Kent na niego naskoczył, a jeszcze bardziej, kiedy napisał na niego skargę. Odszczeknął mu, że jest bogatym, utytułowanym przedstawicielem elit i nie przetrzymałby jednego pełnego dyżuru na szpitalnym oddziale ratunkowym. Zrzędził na ten temat przez kilka następných dni każdemu, kto mu się nawinął, a potem gładko przeszedł do omawiania kolejnego dramatu, który mu się przytrafił.

– Lubi dramatyzować?

– Powiadają, że robi scenki, sprzecza się, nie zgadza. Odstawia pewien rodzaj teatrzyku co tydzień, dwa. Muszę przyznać, że nie jest to jakieś szczególnie nadzwyczajne zachowanie w wewnętrznym światku oddziału ratunkowego.

Eve zamyśliła się i dopiero po chwili spytała:

– A co robi jego żona?

– Jest pielęgniarką na chirurgii. Cilla Roe. Podobno niewzruszona jak skała na sali operacyjnej, poza nią zresztą też. Najwidoczniej stanowi przeciwieństwo swego męża, wyglądając jego kanciasty charakterek.

– Dziękuję ci, ale teraz lepiej trzymaj się od tego z daleka. Wcale nie żartuję, Louise.

– Ona naprawdę nie żartuje – dodała Peabody. – Ja powiedziałabym dokładnie to samo.

– Czy naprawdę mogłybyście siedzieć z założonymi rękami, gdyby jeden z waszych przyjaciół został zamordowany? – spytała Louise.

Zanim Eve zdążyła się odezwać, znów wtrąciła się Peabody.

– Przecież nie siedzisz z założonymi rękami – wytknęła. – Wykazujesz się pełnym zaangażowaniem w stosunku do nas. Wierzysz, że zajmimy się sprawą twojego przyjaciela, tak by jego mordercę dosięgło ramię sprawiedliwości. Musisz nam zaufać.

– I ufam. Bez dwóch zadań. Nagrałam na pendrive’a plik z nazwiskami wszystkich, z którymi rozmawiałam o Pontim, wraz z notatkami o tym, co powiedzieli. Znajdziesz tam też numery telefonów, gdybyś chciała czegoś więcej się od nich dowiedzieć.

– Wspaniale, teraz jednak daj już sobie z tym spokój. Tę samą prośbę kieruję do Charlesa. Trzymajcie się, proszę, z daleka od Pontiego.

Lekarka odsunęła się z krzesłem od biurka.

– Czy sądzisz, że to on zabił Kenta? – skierowała pytanie do Eve.

– Na tym etapie śledztwa nie jestem w stanie stwierdzić, kto zabił Kenta, wiem jedynie, że Ponti jest aroganckim dupkiem, typkiem z cholerycznym temperamentem. Omijaj go z daleka.

– Dobrze już, dobrze. Rozumiem. Czekają na mnie pacjenci. Przekażę pozostałym członkom zespołu, żeby tu do was po kolei przychodzili. Och! Nazwiska pozostałych, w tym pracujących w ramach wolontariatu, również są na dysku przenośnym. Z telefonami kontaktowymi.

– Spróbuj znaleźć jakieś spokojne miejsce, Peabody – poleciła Eve, kiedy Louise wyszła. – Zacznij od personelu i wolontariuszy, których nazwiska są wyszczególnione, a ja zajmę się resztą tutaj. No, do roboty!

– Znam tu spokojne miejsce. A co z lekarzami, z którymi Louise rozmawiała na temat Pontiego?

– Poczekają.

Eve zerknęła na dzbanek z kawą i zdecydowała, że woli poczekać na swoją prawdziwą kawę, a potem zajęła miejsce za biurkiem.

Co do jednego Louise miała rację: nie wyciągną tu od nikogo nic nowego. Nie spodziewała się żadnych rewelacji, lecz musiały doprowadzić przesłuchania do końca.

Kiedy Eve udało się w końcu dotrzeć do sali głównej Wydziału Zabójstw w komendzie głównej policji, skierowała najpierw kroki ku swojemu gabinetowi i wreszcie napiła się porządnej kawy.

Peabody może porozmawiać z pozostałymi przez telefon i najwyżej sporządzi notatkę, z kim trzeba będzie się spotkać twarzą w twarz. Eve musiała się wreszcie zająć założeniem mapy oraz księgi zbrodni, musiała też napisać raport z dotychczasowego przebiegu śledztwa.

Jak zawsze rutyna pomagała w aranżacji tablicy: Eve dobierała zdjęcia portretowe i sytuacyjne, drukowała dane i po wstępnej weryfikacji ręcznie wpinała je w odpowiednie miejsca.

Następnie księga zbrodni i raport – wszystko zapisane składnie i spójnie.

Fakty, zebrane oświadczenia, dowody.

Osoby podejrzane.

Z tym ostatnim najwyraźniej miała największy kłopot. Na czele krótkiej listy zapisała Pontiego i Thane'a.

Wsparła nogi o blat biurka i przy następnej filiżance kawy przyglądała się uważnie mapie zbrodni. Twarze, charakterystyki, graficzne przedstawienie chronologii zdarzeń, alibi każdego z osobna.

Ponti, będąc lekarzem, miał zapewne lepszą znajomość chemii niż tylko jej podstaw, miał też bez wątpienia dostęp do laboratoriów medycznych. To mu dawało pierwsze miejsce przed Thane'em.

Czy jednak było możliwe, żeby Thane wdawał się w jakieś tajne konszachty z kimś, kto posiadał stosowną wiedzę i dysponował dostępem do trucizn oraz laboratorium?

Obaj, co prawda, ścięli się z ofiarą, a uraza, która pozostała, mogła tkwić w nich przez długi, długi czas.

Obaj mieli trudny, choleryczny charakter, a to przemawiało przeciwko nim. Do zabicia kogoś potrzebna jest jednakże chłodna głowa. Nie rozgorączkowane, nieprzemyślane działanie, lecz seria przemyślanych na zimno kroków. Tu w dodatku zabójca przedsiębrał je na odległość. Nie był to napad, dający natychmiastową satysfakcję, nie było tu ani fizycznej przemocy, ani spoglądania w oczy ofiary, z której uchodziło życie.

Obróciła się z fotelem w stronę biurka i znowu zagłębiła się w raporcie z laboratorium.

Nie dało się tego zrobić, jeżeli się dysponowało wiedzą elementarną czy nawet przeciętną. Konieczne były wysokiej klasy umiejętności, cierpliwość, precyzja. Każdy ruch i następny etap musiały być dokładnie zakończone. Żadnego działania pod wpływem impulsu czy pod wpływem chwili.

Usłyszała zbliżający się odgłos kroków – inny niż znane jej stukanie płaskich obcasów kowbojek Peabody. Ten był silny, autorytarny, marszowy.

Zdążyła zdjąć nogi z butami z biurka i wstać, kiedy w otwartych drzwiach stanął komendant Whitney.

– Melduje się porucznik Eve Dallas! – rzuciła służbiście.

– Witam, pani porucznik.

Jego marszowy krok idealnie pasował do autorytetu, który dźwigał na swych szerokich barach. Mężczyzna o imponującej posturze wypełnił sobą nieomal cały gabinet Eve, kiedy podszedł do mapy zbrodni i zaczął się jej przyglądać. Może i spędzał teraz większą część czasu pracy za biurkiem, ale w jego oczach widać było doświadczenie dawnego policjanta patrolującego ulice. W gładko przyczesanych włosach dawało się zauważyć nitki siwizny, która przydawała mu pewnego rodzaju dostojęństwa. Zmarszczki na szerokiej twarzy o ciemnej skórze świadczyły o ciężkich przeżyciach.

– Mam zamiar udać się na spotkanie z szefem Tibble'em oraz burmistrzem, skoro otrzymałem już twój raport.

– Przepraszam, komendancie, za pewne opóźnienie. Byliśmy razem z detektyw Peabody w terenie.

Whitney, stojąc przed tablicą, machnął tylko ręką.

– Zgodnie z procedurami – zaczął – powinniśmy przesłać raport o tym zabójstwie oraz jego okolicznościach do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, jednakże wyniki ekspertyzy laboratoryjnej nie wskazują na zamach terrorystyczny.

– Zgadza się, panie komendancie – odrzekła Eve. – Był to atak skierowany na jedną konkretną osobę, a poza tym zabójca przedsięwziął określone kroki, by mieć pewność, że toksyna zadziała tylko w ściśle ograniczonej przestrzeni i szybko się zdezaktywuje.

– Wciąż jednak zachodzą obawy, że na tej pojedynczej ofierze testowano substancję, która może zostać użyta jako broń masowej zagłady.

– Gdyby taki był tego powód, panie komendancie, po co zabójca miałby się trudzić i dobierać dodatki, dzięki którym zyskał pewność, że substancja się zdezaktywuje, zabijając przedtem konkretną osobę? Laboratorium twierdzi, że aby móc do tego stopnia kontrolować działanie substancji w czasie i przestrzeni, potrzeba wysokich umiejętności, dużo ciężkiej pracy oraz dostępu do zasobów.

– Zgadzam się. Toteż ci z DBW zrezygnowali z włączenia się do śledztwa. Przynajmniej na razie – dodał, jakby chciał ją ostrzec. – Ich agent prowadzący sprawę będzie otrzymywał kopie wszystkich dokumentów i raportów. – Odwrócił się twarzą do Eve. – Skłaniasz się ku innemu lekarzowi, ku Pontiemu?

– Zgadza mi się w kilku punktach z profilem zabójcy. Ma, co prawda, alibi na czas, kiedy wysłano paczkę, lecz...

– Alibi zapewnia mu żona.

– Tak, panie komendancie. Ma wprawdzie reputację kobiety znacznie mniej kłótlivej niż jej mąż, ale również ma wykształcenie medyczne, więc może się znać na substancjach chemicznych, i zapewne ma dostęp do laboratorium. Możliwe, że to ona chciała się zemścić na Abnerze za złozenie skargi na męża.

– Masz tu również dwóch byłych więźniów, których nasz zamordowany pomógł odstawić do sądu.

– Tak jest, komendancie! Ringwold ma niepodważalne alibi. Wygląda też na to, że całkowicie się zresocjalizował, zadośćuczynił byłej żonie i dziecku, otworzył stabilny biznes. Uważa, że to Abnerowi zawdzięcza zmierzenie się ze swoim uzależnieniem. Jak dla mnie historia ma ręce i nogi. Drugi z nich... Cóż... Jest głupi jak but, panie komendancie. Za głupi na to. Moczymorda, do tego leniwy. I na tyle złośliwy, że mógłby zabić. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości, jednakże na taki rodzaj morderstwa jest za głupi.

– Co z uzależnionym byłym więźniem? W jego wypadku również miałaś zgodność z profilem.

– To podły i agresywny typ, wciąż nosi w sobie żal. Według mnie nie zaatakowałby mężczyzny takiego jak Abner: silnego i wysportowanego. Na pewno nie jeden na jednego. Może szukałby sposobu, żeby mu odplacić z dala? Tak, panie komendancie. To w jego stylu. – Spojrzała przez ramię na tablicę. – Zabójca to tchórz. Jest błyskotliwy, precyzyjny, działa metodycznie, lecz jest tchórzem. Trucizna to broń słabych – powiedziała, rozmyślając na głos. – Broń zwykle stosowana przez kobiety, gdyż są zazwyczaj słabsze fizycznie od mężczyzn. W tym przypadku trucizna użyta była na odległość, czyli zabójca nie musiał patrzeć na rezultat swoich działań, nie chciał obserwować, jak obiekt jego ataku umiera. Nie ma w tym żadnej pasji.

– Użyłaś do tego interesującego określenia, Dallas. Pasja.

– Przypomina to... coś w rodzaju naciśnięcia guzika, żeby zakończyć czyjeś życie. Włożył tyle pracy, rozmyślał, tyle wysiłku w stworzenie tej broni. Zachował jednak wystarczający dystans emocjonalny i nie chce widzieć, w jaki sposób działa jego broń. Nie ma tu żadnego wybuchu, żadnych krzyków, krwi, paniki, żadnych błagań o darowanie życia. On, czy też ona, wysłał paczkę i zniknął, poszedł sobie w siną dal, a potem czekał na reakcję mediów.

– Jak w zamachu na czyjeś życie – zauważył Whitney.

– Zawsze jest przyjemnie, kiedy przełożony podąża za tokiem rozumowania, toteż Eve skinęła głową i kontynuowała wyjaśnienia.

– Zgadza się, panie komendancie. Brakuje w tym jakichkolwiek emocji. Tym razem ofiarą nie padł jednak znany polityk ani mężczyzna bogaty i wpływowy. Owszem, Abner był dobrym lekarzem, a wszystko wskazuje na to, że również dobrym mężem, ojcem i przyjacielem. – Ściągnęła brwi, zamyśliwszy się. – Powróćmy, komendancie, jeszcze na chwilę do koncepcji testowania broni chemicznej. Atakowi na naszego pana doktora raczej daleko do tego. Poniósł śmierć w czymś w rodzaju nędznej namiastki prawdziwego zamachu, po co więc od razu stawiać na nogi agentów z DBW? Kryje się za tym jakiś inteligentny twórca, który wie, że całą robotę wykonało uwolnienie substancji toksycznej. Dlaczego nie chciał przetestować jej działania na jakimś bezdomnym, za którym nikt nie zatęskni, a potem pozbyłby się ciała i już? Dlatego, że Abner budzi zainteresowanie mediów, bo był szanowanym lekarzem.

– Interesujące spojrzenie na sprawę. Przedstawię twoją koncepcję na spotkaniu z burmistrzem. Myślę, że mocno mu ulży, gdy wysłucha mojej relacji. Proszę mnie na bieżąco informować, pani porucznik.

– Tak jest, panie komendancie!

Kiedy wyszedł, Eve znowu usiadła i wsparła nogi w ciężkich butach o brzeg biurka. Ze ściągniętymi brwiami zaczęła się wpatrywać w tablicę.

Zabójstwo na zlecenie? Nawet jej to pasowało do wcześniejszych przemyśleń. Ten, kto zabija na zlecenie, czyni to bez emocji, na zimno, i bez żalu. Gdzie jednakże tkwiła przyczyna zabójstwa? Po wyeliminowaniu polityki, władzy, pieniędzy, religii, co pozostawało?

Zazdrość albo zemsta.

Każde z nich oddzielnie lub może zemsta z zazdrości – myślała. – Morderca zabija na zimno, wszystko jest wyrachowane i przeprowadzane z bezwzględnym okrucieństwem.

Zazdrość i zemsta. I jedno, i drugie może drażnić umysł przez długi czas. Jątrzyć. Nie dawać spokoju. Może jakieś wydarzenie z odległej przeszłości Abnera dało o sobie znać dopiero teraz?

Usiadła do komputera i przystąpiła do metodycznego przeczesywania wszystkich dostępnych danych pana doktora, poczynając od jego rodziców.

Co mówi pewne znane porzekadło? Grzechy rodziców coś tam, coś tam... No cóż, niektórzy w to wierzą.

Ojciec, matka, macocha, brat, przyrodnia siostra. Wszyscy żyją, choć żadne z nich nie mieszka w Nowym Jorku. Z przyrodnią siostrą mieli trochę problemów wychowawczych. Jako nastolatka popełniała drobne kradzieże w sklepach, wagarowała, piła alkohol, została przyłapana na posiadaniu narkotyków. Wyszła za mąż w wieku lat osiemnastu (Jezu! kto robi takie rzeczy?!). Rozwiodła się, mając lat dziewiętnaście (co za niespodzianka!). Żadnych poważnych wykroczeń czy brutalnych przestępstw. Wyglądało to na długą, wyboistą ścieżkę dorostania, która wyglądała się po ukończeniu lat dwudziestu.

Obecnie odniosła umiarkowany sukces jako autorka książek dla dzieci, zamężna, dwoje pociech, osiadła w Saint Louis.

Przeczeswała dokładnie całą jego rodzinę, przeszła do liceum, następnie do lat studiów na medycynie. W końcu usłyszała kroki Peabody zbliżającej się korytarzem.

Partnerka przyniosła napój gazowany oraz puszkę pepsi.

– Pomyślałam sobie, że może masz chwilowo dość kawy.

– Mhm. Może i tak. Dziękuję.

Peabody usiadła ostrożnie na niewygodnym, uwierającym w siedzenie krześle dla gości.

– Z rozmów z personelem Louise oraz wolontariuszami wyciągnęłam tyle, ile oczekiwałam – zaczęła.

– Są to ludzie bardzo podobni do Abnera. Jeden z pielęgniarzy z karetki pogotowia przyznał się nawet, że podkochiwał się w Abnerze. Obeszło się bez złamanego serca – dodała, kiedy Eve zmrużyła oczy, patrząc na nią podejrzliwie. – Jest w wieloletnim związku, a raczej był. W czasie, kiedy paczka została wysłana, bawił się na imprezie urodzinowej, którą zorganizował dla swojego partnera. Wyszło podobnie jak wtedy, kiedy ja podkochiwałam się lekko w Roarke'u. Wiesz zapewne...

– A wiem?

Peabody wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się od ucha do ucha, siorbnęła nieco napoju.

– Wracając do Abnera. Staraj się jeździć przynajmniej raz w miesiącu na wezwania do pacjentów. Żadna osoba z personelu karetki nie przypominała sobie, żeby stwarzał jakieś problemy.

– Komuś jednak załazł za skórę. – Eve otworzyła puszkę. – Według mnie to zabójstwo na zlecenie.

Tym razem to Peabody przymrużyła pytająco oczy.

– Myślisz, że to atak przeprowadzony przez profesjonalistę? – spytała.

– Nie. Profesjonalny morderca zlikwidowałby go tak, żeby nie wzbudzić żadnego rozgłosu. Dorwałby go podczas jednego ze swoich wypadów i poderżnąłby mu cichcem gardło, kiedy by wracał późnym wieczorem do domu. W tym przypadku wybór ofiary dokładnie przemyślano, wynikał z jakiejś konkretnej przyczyny. Sam atak był precyzyjny, dokonany z zimną krwią.

– Jaka mogła być przyczyna? Nie mamy nic, co mogło być motywem zbrodni.

– Zawsze jest motyw, nawet gdy jest absurdalny, małostkowy, głupi czy kompletnie szalony. Właśnie sprawdzam przeszłość Abnera: rodzina, wykształcenie, poprzednie związki, działalność biznesowa. Motyw musi się kryć gdzieś tam.

– Albo też... – tu Peabody wystawiła ku górze palec wskazujący – ...może być przypadkowo dobrany dla celu odległego w czasie.

– Co ty bredzisz, do cholery? – wkurzyła się Eve.

– No bo zobacz, jeśli prześledzimy przypadek szaleńca, mamy kogoś, kto posiada stosowne umiejętności i wiedzę. Ten ktoś otrzymuje przypadkiem lub specjalnie tę toksyczną substancję i potem decyduje, że chce ją na kimś wypróbować – zaczęła wyjaśniać, nie dając się zbić z tropu. – Opracowuje sposób jej dostarczenia, a potem musi wybrać obiekt, by móc doprowadzić swój eksperyment do końca. Może znał Abnera? Może tylko zobaczył go na ulicy i zdecydował, że to będzie on? Może zagadał do

niego w jakiejś knajpcie, a może wdał się w rozmowę z jego znajomymi, lecz ostatecznie postanowił, że to będzie właśnie Abner.

– Obmyślił to z zimną krwią – dodała Eve.

– Taa... Jak na szalonego naukowca przystało, a Abner stał się jego królikiem doświadczalnym, zgadza się? Musiał kontynuować rozpoznanie, zapisywać zwyczaje swego obiektu i terminarz jego zajęć, musiał się zapoznać z rytmem życia sąsiedztwa. Wszystko to należy do eksperymentu. Na koniec wysłała paczkę pocztą kurierską i czeka na rezultat.

– Czy nie chciałabyś, będąc tym szalonym naukowcem, zobaczyć efektu działania trucizny? Sprawdzić, jak długo obiekt konał? Jak zareagował jego organizm? – zastanawiała się Eve.

– No tak... Jest w tym rozumowaniu pewna usterka – przyznała Peabody. – Jednakże ów szalony naukowiec... szalony nie oznacza głupi. Poza tym... Skąd wiemy, że tego nie zrobił? Ciało nie zostało znalezione przez wiele godzin. W domu jest mnóstwo okien. Możesz wybrać odpowiednie miejsce i udać się tam po dostarczeniu paczki. Wystarczy się zaopatrzyć w lornetkę. Jeśli jesteś naukowcem, być może masz wykrywacz źródeł ciepła. Nie musisz widzieć dokładnie ofiary, wystarczy obraz jej widma ciepłego na ekranie. Widzisz, ile wszystko zajmuje czasu. I koniecie.

Eve rozsiadła się wygodnie na krześle, obróciła się razem z nim i znów zaczęła się przyglądać uważnie swej tablicy.

– Wiesz, Peabody? To mogło zagrać. To teoria o solidnych podstawach.

– Wydaje mi się, że motyw jest tu zarazem rezultatem. Pasuje to do teorii przypadkowego dobrania odległego celu. Z tą teorią jest wszakże pewien problem.

– To znaczy?

– No cóż, pamiętasz, kiedy miałaś lekcje chemii w laboratorium, jeszcze w szkole?

– Wolę tego nie pamiętać – burknęła Eve.

Peabody prychnęła śmiechem.

– Ja tam lubiłam zajęcia w laboratorium – przerwała swój wywód i łyknęła nieco gazowanego napoju. – Gotowanie i pieczenie ciast to coś w rodzaju zajęć z chemii w domowym zaciszu. Albo magii. Zależy, jak kto woli na to spojrzeć. Niektóre doświadczenia laboratoryjne należy powtarzać, używając dokładnie odmierzonych wagowo składników, ażeby potwierdzić postawioną hipotezę, czy jakoś tak.

– Jeśli pociągniemy dalej tę twoją teorię szalonego naukowca, Peabody, będzie on chciał powtarzać swój eksperyment raz za razem. To pasuje. Nie rzucaś roboty w połowie, kiedy doświadczenie się powiodło.

– Raczej powinienś zaprzestać, jeśli wszystko zagra.

– Dlaczego tak uważasz? – Eve miała odmienne zdanie. – Jeżeli rzucisz robotę po pierwszym sukcesie, nie sprawdzisz, czy dalej będzie dobra passa, a przecież ona jest w tym kluczowa. – Eve odepchnęła się z krzesłem od blatu biurka, wstała i dopiła duszkiem pepsa. Zerknęła jeszcze raz na tablicę, a potem podesała wolnym krokiem do wąskiego okna gabinetu i wyjrzała na ulicę. – Jak mógłby wyglądać? Jeśli podążymy za koncepcją szalonego naukowca, byłby to mężczyzna tej samej rasy co Abner, w podobnym wieku, o podobnym wzroście, wadze, stanie zdrowia i stopniu wytrenowania organizmu. Są to cechy fizyczne, które mogą być ważne. – Obserwowała z góry ludzi spieszących gdzieś przed siebie w swoich sprawach. – Chodziłby za nim, biegał po parku, śledził na trasach spacerów. Zajęłoby to trochę czasu, ale gdzie tu się spieszyć? – kombinowała, a w końcu odwróciła się do Peabody i zarządziła: –

Połączmy to wszystko: eksperyment szalonego naukowca i zabójstwo wybranej ofiary. Abner jest obiektem, obranym celem, ponieważ pasuje do parametrów eksperymentu z jakiejś jeszcze nieznaney nam przyczyny. Również dlatego, że zabójca go zna. Nie ma nic przeciwko niemu, a przynajmniej nic szczególnego. Mógł się jednak do niego zbliżyć, poznać jego zwyczaje. Może musiał bardziej się w nie zagłębić, a może i nie. Potrzebny mu jest ktokolwiek, a Abner akurat pasuje do wizji jego przyszłej ofiary. Jeśli faktycznie wybrał go losowo, dlaczego nie zdecydował się na kogoś anonimowego, kogo mógł zaciągnąć do laboratorium i tam przeprowadzić na nim swój eksperyment, nagrywając jego przebieg?

– Może nie dysponował odosobnionym miejscem lub nie miał nad nim wystarczającej kontroli?

– Racja. Mógł nie mieć dostępu do zamkniętej strefy, w której mógłby zabić. – To całkiem możliwe, myślała Eve. Całkiem możliwe. – Dopóki jednak nie nastąpi kolejne podobne zabójstwo... Będzie to trzeba sprawdzać najszybciej, jak się da... Hm... Abner jest jego pierwszą ofiarą. Zimna krew, naukowe podejście... Dlaczego by nie wybrać kogoś, kogo znasz? Dlaczego nie dodać elementu gry żalem, oburzeniem, frustracją? Przystojny, odnoszący sukcesy, szanowany, a nawet ponadprzeciętnie ceniony lekarz. Długi staż małżeński, dzieci, przytulny dom. Wszyscy lubili Kenta. Mogło to być wkurzające dla planującego mord, więc dlaczego go nie wykorzystać do swoich celów? – ciągnęła Eve. – Dodaj do tego nienaganne zdrowie i doskonałą formę fizyczną. Czy nie wolałabyś przeprowadzać eksperymentu na

zdrowym osobniku? Taa... No tak. Jeśli wybierzesz kogoś, kogo zbyt dobrze nie znasz, nie masz pewności, czy w tajemnicy nie popija lub może boryka się z problemem narkotyków, albo ma jakieś wrodzone wady genetyczne... – Wszystko to układało się w logiczną całość, Eve przeszła więc do następnej kwestii. – Zakładamy, że ten przypadek jest pierwszy z serii. Sprawdźmy jednak ostatnie zatrucia, niewyjaśnione przypadki śmierci, nieszczęśliwe wypadki. Bezdomnych, ulicznice, uciekinierów, ciała niezidentyfikowanych kobiet i mężczyzn... Do roku wstecz.

– Sporo tego będzie – westchnęła Peabody.

– Raczej tak. Skopiuj ich dane i prześlij mi połowę. Jest to jakiś punkt zaczepienia – zdecydowała Eve. – Biermy się do tego!

– Tutaj czy w domu?

– A dlaczego niby... – Pytanie partnerki skłoniło ją do sprawdzenia godziny. – Szlag! Jak to się mogło stać? Wyselekcjonuj ich tutaj, popracuj nad nimi w domu. Mam pieprzoną papierkową robotę, której nie tknęłam od dwóch dni. Możesz wyjść, jak tylko skończysz.

– Tak jest! – Peabody wzięła się do pracy, ale po chwili zerknęła przez ramię na Eve.

– Sądzę, że nie jest to jakiś punkt zaczepienia, ale być może nasz konkretny punkt zaczepienia – powiedziała.

Może i tak – pomyślała Eve. – Może jeśli się uda im to dobrze rozpracować, nikt inny nie będzie musiał umrzeć.

*

Zanim wyszła z pracy, była zmuszona jeszcze przez czterdzieści minut zamęczać mózg koszmarną papierkową robotą, przerwana dwukrotnie spotkaniami ze swoimi detektywami w celu omówienia innych bieżących śledztw. Potem czekał ją paskudny powrót do domu – kwiecień znów postanowił zlać Nowy Jork deszczem. Pomyślała, że chciałaby po powrocie spędzić dziesięć minut w całkowitej ciszy.

Chciała je spędzić w wodzie, która nie jest deszczem.

Kilka długości w basenie tam i z powrotem da jej ten komfort. Później dopiero zabierze się do przebrania kolejnych nieboszczyków z listy.

Kiedy zamknęła drzwi domu, natknęła się na Summerseta, chudego jak tyczka w tej swojej czerni. Również Galahad przytoczył bezgłośnie swe pulchne ciało, żeby się z nią przywitać.

– Odrobinę spóźniona – skomentował majordomus. – Żadnej krwi ani sińców w zasięgu wzroku. Czyżby śmierć wzięła sobie dzisiaj wolne?

– Ja na twoim miejscu nie ryzykowałabym sprawdzania. Lepiej nie wychodź – odrzekła Eve, ściągając kurtkę. – Leje deszcz i trzaskają pioruny, a ty z tym twoim stalowym prętem, sterzącym ci nad tyłkiem, byłbyś pierwszy do odstrzału.

Zadowolona ze swej ciętej riposty rzuciła tradycyjnie kurtkę na słupek przy poręczy schodów i ruszyła na górę. Kocur dał susa za nią, a potem ułożył się na łóżku i obserwował, kiedy zdejmowała szelki taktyczne z bronią i opróżniała kieszenie.

Podeszła do intercomu, żeby sprawdzić, czy Roarke'owi udało się wrócić wcześniej od niej do domu. Odpowiedział jej automat.

Roarke jest w dojo.

A więc sztuki walki – pomyślała Eve. Porzuciła myśl o basenie i przebrała się w spodnie do jogi oraz sportowy biustonosz.

Zjechała windą na dół, wśliznęła się do sali dojo i zobaczyła tam Roarke'a, ubranego w gi, czarny klasyczny strój do kendo, ćwiczącego pod okiem hologramu mistrza. Wykonywał skomplikowany układ ćwiczeń kata. Jego ruchy były równocześnie płynne i pełne mocy.

Taniec wojenny – pomyślała Eve. Precyzyjny, zdyscyplinowany. Słyszała trzask gi, kiedy wykonywał dźgnięcie łokciem, a potem boczny wykop. W przyćmionych światłach, które wybrał, dostrzegła lśniące kropelki potu na jego twarzy.

Mistrz stał bez ruchu, z założonymi na piersi rękoma, z nieprzeniknioną twarzą, a mimo to zmuszał cię do pracy, i to do ciężkiej pracy.

Eve wciąż uważała prezent w postaci sali dojo z lekcjami na żywo lub z hologramami za najlepszy z prezentów pod choinkę, jaki sobie kiedykolwiek zrobili.

Kiedy lekcja dobiegła końca, Roarke opuścił ręce z zacisniętymi pięściami wzdłuż tułowia i uklonił się w geście podziękowania, a mistrz skinął mu głową.

– Twoja forma i skupienie na ćwiczeniach są dobre – rzekł mistrz. – Widać poprawę. Jest jeszcze pole do dalszej poprawy. Potrzebujesz więcej czasu i praktyki, żeby wykorzystać cały swój potencjał.

– Masz rację, mistrzu. – Roarke odszedł na bok i wziął ręcznik, żeby osuszyć twarz. – Jestem ci wdzięczny za poświęcony mi czas, za ćwiczenia pod twoim okiem. Koniec programu.

Wyciągnął rękę po butelkę z wodą i wtedy dopiero zauważył Eve.

– Nieźle – powiedziała i przeszła w głąb sali. – Jak długo tu byłeś?

– Nastawiłem półgodzinną lekcję, ponieważ mojej pani porucznik nie było jeszcze w domu.

– Ale teraz już jest, a ty powinienesz być nieźle rozgrzany. – Przyjęła stosowną pozycję, zacisnęła dłonie w pięści i wykonała ukłon.

– Ty tak na poważnie?

Ukloniła się ponownie, tym razem z kąśliwym uśmiechem.

– Niech cię diabli! – Przełknął prędko kilka łyków wody, odstawił butelkę, stanął naprzeciw żony i również wykonał ukłon.

Oboje stanęli w rozkroku z nogami ugiętymi w kolanach, gotowi do rozpoczęcia walki.

Ruszyła do ataku pierwsza, wykonując cios nogą na klatkę piersiową z pełnego obrotu, dopełniony backfistem, czyli uderzeniem odwróconą pięścią. Roarke zablokował go i już chciał ją podciąć, lecz okazała się na to zbyt szybka i zwinna.

Ich przedramiona skrzyżowały się w kolejnym bloku, jej druga ręka się prześliznęła i palnęła go pięścią w twarz, aż na chwilę odebrało mu dech.

– Punkt dla mnie – powiedziała.

Rozeszli się i znów stanęli w pozycji do walki. Zaczęli krążyć wokół siebie.

Zamarkował atak; ona wykonała blok i o włos uniknęła ciosu. Wszedł pod rękę Eve, wykonał obrót, odbił jej wykop z wysoko, przechylił się i przeniósł ciężar ciała na jedną nogę. Wykonał wykop drugą nogą i zatrzymał stopę tuż przed jej przeponą.

– A to byłby punkt dla mnie – rzekł.

Okrążała go, wciąż nacierając, aż nagle przykucnęła w pozycji węża, czym skusiła go do ataku. Wtedy wykonała wyskok z obrotem do tyłu, a następnie odbiła się z ręką, wyrzucając równocześnie nogi do góry.

– Zawsze musisz tłuc mnie po twarzy? – jęknął.

Uśmiechnęła się.

– Jest taka śliczna, że nie mogę się oprzeć. Punkt dla mnie – dodała.

Po pięciu minutach, kiedy oboje byli już porządnie spoceni, i kiedy nieomal udało jej się trafić go podczas wyprowadzania kolejnego ciosu, on zapunktował backfistem.

Sama ledwo dyszała. Do jej uszu poprzez kojący plusk wodospadu dobiegał nieco cięższy oddech męża.

Ruszył w jej stronę i wtedy zauważyła, że opuścił nieco gardę. Wskoczyła w górę i błyskawicznie sformowała wykop. Punkt dla niej.

On również był zwinny i szybki. Ponownie zaatakował. Zablokowała go i okręciła się w półobrocie, jednak gdy chciała powrócić do pozycji wyjściowej, tuż przed swoją twarzą, dosłownie o włos, miała już jego pięść.

– Punkt dla mnie – wysapał i nim zdążyła się cofnąć, złapał ją w objęcia. – Ogłaszam remis.

– A może ja nie jestem jeszcze całkiem wykończona?

– Czy wspominałem coś o tym, że jestem wykończony, hę?

Znała to spojrzenie i odpowiedziała swoim.

– Ty tak na poważnie?

Posłał jej krzywy uśmiezek i wpił się w jej usta.

Cóż, niech cię diabli! – pomyślała i szarpnęła go za supeł na czarnym pasie. Nie zdążyła go jednak przyciągnąć do siebie, gdyż uniósł ją i zarzucił sobie na ramię jak worek kartofli.

– Co znowu?

Przeniósł ją kawałek dalej i zostawił na macie.

– Też wykonam miękkie lądowanie. – Opadł na nią, dociskając do podłoża.

– Nie oczekuję miękkości.

Wciąż nie mogąc złapać tchu, roześmiał się.

– A ja i owszem... – wymamrotał, zrywając z niej sportowy biustonosz.

Ujął jej piersi w dłonie i zaczął je całować, pochłonięty ich smakiem, dotykiem skóry wilgotnej po walce.

Idealne dopasowanie... – myślał, kiedy ściągała mu z głowy skórzaną przepaskę, przytrzymującą włosy podczas ćwiczeń. Złapała go obiema dłońmi za czuprynę i wygięła ciało w łuk.

Ich sparring był tylko grą wstępną – oboje dobrze to wiedzieli. Teraz szybko i zwinnie zaczęli się nawzajem rozbierać.

Wśliznął się w nią, wilgotną i rozgrzaną do czerwoności.

Wkrótce poruszali się w jednym rytmie, obserwując się nawzajem, gdy ich mokre ciała się stykały, gdy to, co twarde, wniknęło w miękkie i wilgotne. Teraz powoli i delikatnie – walka się dokonała. Tylko przyjemność, jedynie przyjemność z pluskiem wody uderzającej o wodę w tle, z odgłosem mieszających się oddechów, bijących serc.

Wyczuwał coraz większe jej pobudzenie, usłyszał głębokie westchnienie, gdy było tuż-tuż. Przycisnął usta do jej szyi, gdzie wyczuwał mocne tętno, jej puls bijący tylko dla niego. Doszedł razem z nią.

Miękka i ciepła, tak bardzo, bardzo teraz miękka, leżała pod nim, głaszcząc go po plecach.

– Zadziałało – wymruczała.

– Taką miałem nadzieję.

– Cóż... Hmm... To zawsze działo. Mam na myśli całość. Porządna walka, póki pot nie zaleje oczu, a potem dobry seks. Miałam głowę ciężką od nadmiaru papierkowej roboty, a teraz proszę: wszystko przeszedł jak ręką odjął.

– Ja poczułem się lepiej od razu po mojej sesji treningowej. – Otarł się lekko o policzek Eve. – Jednak część druga i trzecia spodobały mi się o wiele bardziej.

– Co myślisz o kilku długościach basenu w ramach części czwartej?

– Nie mam nic przeciwko. – Odchylił się do tyłu, żeby spojrzeć jej w twarz. – Nie zakończyłaś widzieć tej sprawy.

– Nie, ale pracujemy nad kierunkiem. Wydaje mi się dość solidny.

– No cóż, popływajmy zatem, później pójdziemy na górę, wypijemy drinka i coś przekąsimy, a przy posiłku przekażesz mi więcej szczegółów.

Taaa... – pomyślała. – Zrobię to. Zrobię, ponieważ to również zawsze działo.

Kiedy usiedli razem do późnego obiadu, opowiedziała mu o wydarzeniach dnia.

– Ciężko było, nieprawdaż? – podsumował. – Siedzieć z rodziną, która dopiero co pochowała kogoś bliskiego, i zadawać pytania o tego kogoś, kogo stracili...

– To nieodłączna część mojej pracy.

Spojrzała na nią bez słowa.

– To naprawdę ciężki kawałek w mojej pracy – przyznała. – Jaśniejsza strona w przypadku tej sprawy, o ile coś mi nie umknęło, to małżonek i rodzina. Oni są czysti jak łąza.

– Zwykle nie umyka ci wiele.

– To samo z personelem jego przychodni, a także personelem i wolontariuszami kliniki Louise. Nic tam nie znalazłyśmy.

– A to z kolei doprowadziło was do skonstruowania teorii zabójstwa losowo wybranej osoby, dokonanego przez szalonego naukowca.

– Mhm. – Eve dźgała widelcem kotlet wieprzowy na swoim talerzu. – Zabrzmiało to naprawdę dziwne, wypowiedziane teraz na głos przez ciebie, ale mimo wszystko odnoszę wrażenie podążania w dobrym kierunku.

– Nieźle podbudowałaś tę tezę – odparł. – Z tego, co usłyszałem, skłaniałbym się ku opcji, że zabójca znał swą ofiarę, choć może poznali się przypadkiem. Twoja koncepcja szalonego naukowca...

– ...to teza Peabody – wtrąciła.

– No cóż, tak czy siak, pasuje jak ulał, nie uważasz? Nie możesz tak po prostu skoczyć na dół do apteki – wyjaśnił – i kupić poręcznie zapakowany gaz bojowy. Istnieje oczywiście czarny rynek, można też spróbować dotrzeć do kogoś z wojska, kto może mieć dostęp do czegoś takiego. Wspomniałaś jednakże o dodatkach, substancjach zabezpieczających i tak dalej. Jak dla mnie to produkcja domorośłego chemika.

– Może tak być. Nie wygląda mi to też na czyn wojskowego czy profesjonalisty. Zbyt dużo komplikacji, zbyt wiele zmiennych. Wszystko zostało zaplanowane z zimną krwią, jednakże... wciąż mam przeczucie, że to porachunki osobiste. Ludzie zawsze znajdują jakieś parszywe sposoby, żeby się pozabijać, ale jak już dochodzi ci do czego, raczej dźgają nożem lub walą cegłą w głowę. Sposób dokonania zabójstwa ma znaczenie.

– Co zabójca chciał przez to osiągnąć?

Tu utknęła. Utknęła na amen.

– No właśnie. Ginie jeden ze współmałżonków, a nie ma nigdzie śladu, że mieli jakieś problemy małżeńskie. Żadnych skoków w bok po drugiej stronie, żadnych zawirowań, żadnych problemów finansowych. Nic mi tu nie pasuje. Nic też nie wskazuje na to, by Abner mógł wiedzieć o czymś, czego wiedzieć nie powinien. Nie widzę żadnego sensu w tym zabójstwie. Dodaj do tego, że facet umiera, będąc

zadowolony z życia, zostawiając rodzinę, przyjaciół i pracowników oraz wielu innych, którzy go uwielbiali. Wszystko, ale to wszystko wskazuje na to, że zabito człowieka, który wiódł naprawdę udane życie.

– Masz jednak wciąż na swojej liście innego lekarza, którego zjechał, oraz faceta, na którego złożył doniesienie za znęcanie się nad dzieckiem.

– Mhm. Mam i pozostaną na niej, dopóki się nie przekonam, że nie powinni się na niej znajdować.

Roarke napelniał ponownie swój kieliszek, ale kiedy chciał dolać wina Eve, ona zaprotestowała.

– Nie, dziękuję – powiedziała. – Mam całą zgraję nieboszczyków do sprawdzenia.

– Do tego akurat wino by pasowało. A co ja mam robić?

– Muszę jakoś sobie poradzić z tymi umarlakami. Może tak być, że nie będę wiedziała, czego szukam, dopóki tego nie zobaczę.

– A może pogrzebię trochę w finansach gburowatego doktora i tego typu, co bił dziecko? Zatrudnienie szalonego naukowca i zgromadzenie stosownych substancji chemicznych na pewno sporo kosztuje, prawda? Poza tym może znaleźć jakiś ślad po wykształceniu i uzyskanych umiejętnościach, które by tu zagrały, a które nie są im potrzebne w obecnie wykonywanej pracy.

Eve usiadła wygodnie i popatrzyła spod oka na męża.

– Nie masz przypadkiem na oku jakiegoś kraju, a może dwóch, do kupienia? – spytała.

– Mogę robić i jedno, i drugie równocześnie. Och! Tak na marginesie: kupiłem Czarną Dziurę.

– Jaką znowu czarną dziurę? Tę czarną dziurę?! A chwila! – Rozjaśniło się jej w głowie. – Masz na myśli tę spelunę, do której trafiłam, prowadząc poprzednie śledztwo, to w sprawie Pettigrewa?

– Tak, choć przyznam, że narobiłaś mi apetytu na posiadanie jakiejś galaktyki w prawdziwej czarnej dziurze.

– To speluna. Ta knajpa to straszna speluna.

– Fakt, nieco podejrzane miejsce i równocześnie wyzwanie, ale ma potencjał. Wystarczy pomysł na wnetrze i nieco środków finansowych, ażeby przeistoczyć ją w mały pub, gdzie spotykać się będą mieszkańcy najbliższej okolicy.

– Mieszkańcy najbliższej okolicy są również... hmm... trochę podejrzani.

– Trochę. W podejrzanej okolicy też powinien być dobry pub – orzekł Roarke.

Przyszedł jej do głowy pub Penny Pig w Dublinie i młody uliczny złodziejasek, który lubił tam wpadać na kufelek piwa.

– Skoro tak twierdzisz... – Eve miała jednak pewne wątpliwości.

– Owszem, tak twierdzą. Zafunduję sobie na razie co nieco rozrywki, zajmując się tymi dwoma podejrzanymi z twojej listy, pogrzebię też tu i tam w internecie w poszukiwaniu elementów wykończenia wnętrza Czarnej Dziury.

– Zostawisz tę nazwę?

– Oczywiście. Kto by nie chciał wpaść do Czarnej Dziury na kufelek piwa?

Nie mogła się powstrzymać, aby nie pokręcić głową z uznaniem. Mimo swoich uprzedzeń była w stanie pojąć, że miała rację, i najprawdopodobniej zbiję na tym fortunę.

– Czy sprzedałaś już tę nieruchomości gdzieś w Nebrasce, którą odpicowałeś na błysk? Wygląda teraz jak z obrazka.

Roarke uśmiechnął się półgębkiem i upił łyk wina.

– Była kupiona na ciebie, pamiętasz? Odkąd zakończyły się prace remontowe, przyjmujemy oferty kupna. Zabawiam się nieco, pozwalając na drobną wojenkę pomiędzy oferentami przebijającymi cenę jeden przez drugiego. Później dostaniesz stertę dokumentów do przejrzania i podpisania.

– A więc odbyła się jakaś licytacja, którą przegapiłam? Dlaczego miałabym dostać tę kasę?

– Za karę – odrzekł.

Wzniosła oczy ku niebu, po czym wstała i zabrała się do zmywania naczyń, skoro poczekał na nią z posiłkiem.

– Muszę jeszcze popracować – westchnęła.

– A na mnie czeka część, by tak rzec, rozrywkowa. – Wziął kieliszek z winem i zniknął w przyległym do jadalni gabinecie.

Następne trzy godziny Eve spędziła, sprawdzając przyczyny śmierci ludzi zdesperowanych, pozbawionych praw obywatelskich. Najmłodszy z nich miał lat siedemnaście, najstarszy – dziewięćdziesiąt cztery. Uliczne dziwki, pracownicy i pracownicy seksualni bez licencji na wykonywanie tego najstarszego zawodu świata, narkomani i narkomanki, zbiegowie i uciekinierki, ludzie bezdomni, bezimienni.

Zadna śmierć nie przejawiała jednak jakichkolwiek podobieństw do śmierci jej ofiary.

Przeczytała mejl z wynikami od Peabody, kiedy tylko nadszedł. To samo.

Z przyzwyczajenia sięgnęła po kawę, ale zdała sobie sprawę, że ma już dość. Wstała i podeszła do przeszklonych drzwi prowadzących na balkon.

Deszcz dawno przestał padać. Na niebie dostrzegła kilka gwiazd oraz wąski sierp księżycy. W oddali migotały światła miasta, które nigdy nie kładło się spać.

Kent Abner był więc pierwszą ofiarą. Zestawienie prawdopodobieństwa oraz otrzymanych wyników pasowało do jej własnych przeczuć.

Nie usłyszała, kiedy Roarke wszedł do gabinetu – facet poruszał się cicho jak kot (z wyłączeniem Galahada) – wyczuła jednak jego obecność, nim zdążył położyć dłonie na jej ramionach, by rozmasować napięte mięśnie karku.

– Nic tam nie ma – poinformowała go. – Peabody też niczego nie znalazła. Są tu zabójstwa ostrym narzędziem, narzędziem tępym, uduszenia, samobójstwa, wypadki, ale nic, co choćby odlegle przypominało śmierć Abnera.

– Czyli ten trop prowadził donikąd – podsumował.

– Mhm – westchnęła. Wcale nie poczuła się lepiej. – A tobie jak poszło?

– Ponti spłaca kredyt. Wykształcenie medyczne sporo kosztuje. Razem z żoną widać jednak koniec z końcem. Ująłbym to tak: bardzo rozsądnie wydają pieniądze. Nie upychają niczego pod dywan. Nie mieli żadnych większych przychodów ani ponadnormatywnych wydatków. Z tego, co znalazłem na temat wiedzy i umiejętności, wnioskuję, że był niezłym studentem. Może zbytnio nie błyszczał, ale się nie obijał. Ona wręcz przeciwnie: uczyła się celująco. Wszystkie jej prace z chemii, w tym organicznej i nieorganicznej, z farmacji czy biologii, czy prace wykonywane w laboratoriach, wszystkie oceniane były celująco. W ostatniej klasie liceum napisała doskonale przyjętą pracę o zatruciach chemicznych.

– Coś takiego! – wyrwało się zaintrygowanej Eve. Odwróciła się twarzą do Roarke'a.

– Na podstawie dostępnych materiałów można wysnuć wniosek, że od dawna marzyła o zostaniu pielęgniarką, a już w liceum postawiła sobie za cel pracę na oddziale chirurgicznym w szpitalu. Jak widać celu dopięła.

– Wynika z tego, że jest bystra i inteligentna, umie wyznaczać sobie cele i je osiągać. Trzeba by było skontrolować jej pracę na chirurgii. Ma sporą wiedzę, a Abner napisał donos na jej nowego męża – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Rozumiem, że zamierzasz porozmawiać z ową Cillą Roe?

– Jasne, że tak. Zgodnie z tym, co rzekł mi Ponti, czekała na niego w domu w tym czasie, kiedy wysłano paczkę. Trucizna to specjalność głównie kobiet.

– Co za seksistowskie stwierdzenie! – oburzył się Roarke.

– Statystyki, mój drogi – odparowała Eve. – Taa... Muszę z nią porozmawiać.

– Zrobisz to jutro. Dziś nic więcej nie dasz rady zrobić. Ja też już skończyłem. Położmy naszego kota do łóżka.

Eve zerknęła przez ramię na szezlong, na którym wyciągnął się Galahad. Odemknął swoje dwukolorowe oczy, jakby wyczuwając nadejście końca dnia pracy. Ziwnął szeroko, a potem rozciągnął porządnie każdy centymetr swego tustego ciała.

Zeskoczył na podłogę i wybiegł truchtem z pokoju.

– Znajdzie się na naszym łóżku, nim my zdążymy tam dotrzeć. Co za życie! – westchnęła Eve.

– Idźmy więc za jego przykładem – powiedział Roarke i objął żonę ramieniem.

Obudziła się, kiedy kota już nie było. Opuścił posłanie, wybierając kolana Roarke'a, siedzącego w aneksie wypoczynkowym sypialni. Mąż jak zwykle pracował na tablecie z wyciszonym głosem, nie chcąc jej przeszkadzać.

Odczrząknęła, żeby ją usłyszał – zgodnie z porannym rytuałem. Zaraz potem kawa. Koniecznie kawa. Przynic. Mózg przełączony na działanie.

Ubiór na dziś. Niekiedy tęskniła za czasami, gdy codziennie wbiwała się w ten sam cholerny mundur.

Aczkolwiek nie za bardzo.

W obawie, że czarny może wciąż być niestosowny, wybrała brązowe spodnie i granatową bluzkę koszulową, złapała w rękę marynarkę i ciężkie buty.

Kiedy wyszła z garderoby, przepędzony z kolan, urażony Galahad podążył gdzieś przed siebie. Roarke już nakrył do stołu i teraz pracował na tablecie, siedząc przy stole. Zerknęła kątem oka na ekran. Zobaczyła bar z ceglana ścianą i półkami z tyłu, z hokerami bez oparc na froncie, dalej boksy ze stołami z miękkimi siedzeniami wokół, kilka stołków z wysokimi oparciami, telewizor ze sporym ekranem, lampy z zielonymi abażurami.

Wnętrze było proste, uporządkowane, jednak mimo wszystko ciepłe.

– Czy to pub Czarna Dziura? – spytała.

– Jego wnętrze mogłoby tak wyglądać.

Usiadła obok i zaczęła się przyglądać uważniej wizualizacji. Kiedy wpatrywała się w ekran, Roarke kliknął w coś i dodał pas halogenowego oświetlenia wzdłuż dolnego cokołu baru, a potem zmienił kolor podłogi, żeby bardziej pasował do odcienia abażurów.

– Jak to zrobiłeś? – zainteresowała się.

– Co konkretnie?

– Cały ten obrazek.

– Istnieją specjalne programy komputerowe, kochanie. Sam niewiele tu zaprojektowałem. – Pochylił się i pocałował ją. – Co o tym myślisz?

– Wygląda jak pub. Jak przeciętny pub – dodała, po czym zdjęła pokrywę ze swojego talerza, odsłaniając gofry. – Ale trafiłeś!

Natychmiast wysmarowała je suto masłem i polala syropem klonowym.

– Hm, to powinno dodać ci sił – powiedział, nie zdołał jednak powstrzymać grymasu obrzydzenia.

– No i dobrze – wybełkotała z pierwszym kęsem w ustach. – Muszę przeprowadzić tę rozmowę z Cilla Roe. Mogli to zaplanować razem. Zemsta zawsze dobrze smakuje. Chcę też wrócić na miejsce zbrodni i jeszcze raz się przyrzeć temu, co widać z okien. Być może któreś z nich... o ile to któreś z nich... będzie chciało sprawdzić, czy ich plan zadziałał. – Zadowolona pochłonęła kolejnego gofra, a następnie nabiła na widelec krągłą malinę. – Jeśli nie jedno z nich ani też oboje, może anonimowy szalony naukowiec zechce udokumentować rezultaty swojego eksperymentu? Warto chociaż rzucić okiem. Chcę również sprawdzić notatki w kalendarzu Abnera. Czy częścią owego eksperymentu mogło być zaplanowanie strat i zniszczeń również wśród ludności cywilnej? Morderca może się kręcić gdzieś po okolicy. Rozmowa z kimś, kto go zna, też by nie zaszkodziła.

Roarke postukał się palcem wskazującym w skroń.

– Twój mózdek pracuje nawet podczas snu – powiedział, zafascynowany przemową małżonki.

– Mam taką nadzieję. – Popatrzyła na tablet, który stał przed nimi na stole. – Twój również – dodała.

– Mój jednakże ma z tego o wiele więcej zabawy.

– Policjanci z Wydziału Zabójstw odznaczają się swoistym poczuciem humoru – rzekła, pakując do ust kolejnego gofra.

Skończywszy śniadanie, wstała, przypięła szelki taktyczne, wsunęła pasek do szlufek spodni, a na koniec metodycznie poupychała po kieszeniach całą resztę niezbędnych rzeczy.

Roarke uniósł w milczeniu jedną brew, widząc, jak Eve sięga po kilka kart kredytowych i garść drobnych.

– Czy to cała twoja gotówka? – zdumiał się.

– Więcej mi nie trzeba. – Wzruszyła ramionami.

– Ledwie wystarczy tego na hot doga i torebkę frytek z ulicznego kramu. – Wstał, wyjął portfel z kieszeni i odliczył kilka banknotów.

– Nie chcę twoich pieniędzy – fuknęła.

Popatrzył na żonę. Zobaczył błyski gniewu w jej oczach, lecz postanowił je zignorować.

– Za każdym razem mówisz to samo. To zwykłe niedbalstwo. Nie możesz wychodzić z domu, mając w kieszeni mniej, niż miałyby beztroška nastolatka.

– To moja kieszeń.

Nieco już poirytowany po prostu wetknął jej plik banknotów do owej nieszczęsnej kieszeni.

– To powinno wystarczyć, żeby zachować profesjonalizm przez cały dzień pracy. I nie zachowuj się jak byle pętaś, bo po co.

Mogła wyciągnąć tę forszę i rzucić mu ją w twarz, ale poczułaby się wtedy dokładnie jak ten „bylepętaś”.

Ach! Szlag by to trafił!

Zmieniła zdanie i pomaszerowała w stronę komody. Wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej bloczek z kartkami. Zaczęła zapisywać, mówiąc na głos:

– Porucznik Dallas Eve winna jest panu Roarke’owi *alias* Wór-z-kasą... Ile tu jest?

Sam nie będąc pewny, czy bardziej go to bawi, czy wkurza, przekrzywił głowę na bok i powiedział:

– Pięćset. Dolarów amerykańskich, gdybyś zechciała zapisać.

– Pięćset dolarów. Amerykańskich. – Rzuciła bloczek na stół i naciągnęła marynarkę na plecy. – Spadam.

– Mam nadzieję, że zaopiekujesz się moją poirytowaną panią porucznik.

– Yhm. Yhm. – Ruszyła w stronę drzwi. – Gdyby cię to interesowało, to kot cały jest upaprany w syropie – rzuciła, nie zatrzymując się. Kiedy schodziła na dół, usłyszała zza pleców krzyk Roarke’a: „Ty cholero!”. Jedynie się skrzywiła w półśmiechu. Wsunęła na ramiona skórzaną kurtkę, która czekała na nią na słupku przy poręczy schodów, i wyszła z domu.

Na grządkach rosły kwiaty z tymi dziwnymi żółtymi trąbkami. Zdziwiło ją, że przez noc pootwieraly się i teraz kołysały na lekkim wietrze, tak żółte jak masło na jej porannych gofrach.

Jak one to zrobiły? – myślała. – Popękały tak zniecka, kiedy nikt nie patrzył?

Wskoczyła za kierownicę i spostrzegła, że pąki innych roślin też już się pootwierały. Zakwitły na biało, różowo, fioletowo. Skąd wiedziały, że to bezpieczne? Skąd wiedziały, że temperatura nie spadnie już tak nisko, żeby je zabić na miejscu?

Może było im wszystko jedno?

Rozdrażnienie nagłe jej przeszło, postanowiła więc pojechać najpierw na miejsce zbrodni. Wciąż bębniła bezwiednie palcami o kierownicę.

Miała wczoraj podjechać do bankomatu i wybrać trochę gotówki. Zapomniała o tym na śmierć. Ale żeby tak od razu porównywać ją do beztrokiej nastolatki! Była zajęta i tyle.

Poza tym sposób, w jaki wcisnął te cholerne pieniądze do jej cholernej kieszeni, był tak bardzo... w stylu Roarke’a. Teraz miała przy sobie stanowczo za dużo gotówki, a i tak musiała się gdzieś zatrzymać i podjąć jeszcze więcej, w razie gdyby część wydała, żeby mieć okrągłe pięćset do oddania. Będzie wówczas miała przy sobie zdecydowanie za dużo szmału.

Zmeczyły ją te rozważania, toteż przestała o tym po prostu myśleć i zadzwoniła do szpitala z prośbą o podanie jej grafika dyżurów Cilli Roe. Kiedy się dowiedziała, że pielęgniarka chirurgiczna ma dziś wolne przedpołudnie, przesała w wiadomości do Peabody jej adres ze służbowym poleceniem, aby się tam niedługo stawiła.

Zaparkowała w pobliżu domu miejskiego, należącego do małżeństwa Abner-Rufty.

Jeszcze nie zamówiła ekipy techników, którzy mieli sprzątnąć wszystkie ślady po morderstwie, więc drzwi wejściowe wciąż były zabezpieczone taśmą policyjną. Ekipa zdążyła już sporządzić protokół z oględzin miejsca zbrodni; dzisiaj się tym zajmie.

Na razie jednak Eve przyglądała się nieruchomości z różnych perspektyw. Przeszła chodnikiem w jedną stronę, po chwili przemierzyła tę trasę z powrotem.

Doszła do wniosku, że nic jej tu nie gra.

Znalazła się znowu przy wejściu, przecięła taśmę i w okamgnieniu rozprawiła się z zamkiem.

Zapachy śmierci i proszku daktyloskopijnego jeszcze się nie ulotniły. Zignorowała oba i znowu sprawdziła okna, rozważała coś w myślach, przeszła na tyły domu do części kuchennej.

Utkwiła wzrok w zakrzepłej krwi, w zaschniętych wymiocinach i innych wydalinach z ciała zamordowanego, zanieczyszczających podłogę w kuchni. Pomyślała o Ruftym, który wrócił do domu i zastał ten widok.

Unikając najgorszych zabrudzeń, krążyła wokół, sprawdzała okna, widoki z różnych kątów we wnętrzu, widoki za oknami.

Nic jej tu nie grało. Naprawdę nic.

Nie zabezpieczała powtórnie drzwi, gdy wyszła. Uznała, że i tak powinna się zaraz zjawić ekipa z plynami neutralizującymi. Rodzina Abnera ze swej strony i tak musiała wynająć firmę sprzątającą, zanim ktokolwiek z nich się tutaj stawi.

Jadąc w stronę budynku, w którym mieszkała Roe, manewrowała sprytnie między samochodami. Dystans do szpitala to piętnastominutowy spacer szybkim krokiem – oceniła, polując na miejsce parkingowe.

Sama musiała odbyć solidny pięciominutowy marsz od punktu, gdzie w końcu znalazła przerwę w szeregu stojących aut. Od razu zauważyła Peabody, wyłaniającą się z przejścia podziemnego stacji metra.

Eve popatrzyła na swoją partnerkę spod zmrużonych powiek. Peabody miała rozpuszczone włosy z lśniącymi, rudozłotymi pasmami, jakby nieco falujące, z powpinanymi w nie ciemnymi, równie lśniącymi koralikami.

– Coś ty zrobiła z włosami?!

– Podałam je trinadyzacji. – Twarz Peabody dosłownie tryskała szczęściem. – Wczoraj wieczorem Trina cesała Mavis. Wpadłam na nią zupełnie przypadkiem, no i postanowiłam zaryzykować. Fajnie, co?

– Jesteś policjantką! Policjantką z Wydziału Zabójstw! – ofuknęła ją Eve.

– Według mnie jest super! – odrzekła ani trochę niespieszona reprimendą. – A McNab, kiedy mnie zobaczył! Ach! Mmm... No i potem... – Uniosła brew.

– Nie chcę tego słuchać! – Eve musiała przykryć dłonią drgającą powiekę. – Jezu Chryste! Nie chcę i już! Weź się pobieraj do kupy i przestań tak tym ekscytować. Idziemy przesłuchać potencjalną podejrzaną o dokonanie morderstwa.

– Och! Ja tam mogę przesłuchiwać potencjalną podejrzaną nawet z magiczną fryzurą.

Kiedy majstrowały przy zamku drzwi wejściowych, Peabody lekko roztrzepała palcami tę swoją magiczną fryzurę.

– Nie rób tego! Nie syp mi tu kłakami dookoła! – syknęła Eve.

– Są takie miękkie i gładkie! – Nawet kiedy Eve przeszła obok windy i ruszyła w górę po schodach, nie zmaciła tym szczęścia partnerki. – Trina ukręciła mi genialną maseczkę na włosy i dała próbkę do domu. Mam bardzo gęste włosy, ale strasznie się puszą, a teraz...

Eve zatrzymała się i spiorunowała ją wzrokiem.

– Jeszcze jedno słowo o tym, a przysięgam na boga wszystkich policjantów, że rzucę tobą o głebę i zgołę ci łeb na łyso moim szczyrzykiem.

– Grubo pojechałaś.

– Nie drażnij mnie więcej.

Peabody dzielnie ruszyła pokonywać kolejny ciąg schodów. – Ktoś tutaj wstał z łózka lewą nogą – pomyślała, odchrząknęła i zagaiała:

– A więc nowo poślubiona żona Pontiego...

– ...napisała pracę semestralną na temat trucizn – weszła jej w słowo Eve. – Jest asem w dziedzinie chemii.

– Hmm. Brzmi interesująco.

– Kiedy już przeprowadzimy z nią rozmowę, dodam te informacje do mapy zbrodni. Alibi Pontiego sprawdziłam: istotnie był w szpitalu. Jej nie było. Miała czekać na męża w domu.

Zaczęły się wspinać na następną kondygnację, więc Peabody powtórzyła w myślach kilka razy swoją mantrę: „Luźne gatki, luźne gatki!”, i zastanowiła się nad sytuacją.

– To mi nijak nie gra z teorią szalonego naukowca – oświadczyła. – Może częściowo. Ale hmm... Mogło ją wkurzyć, że Abner tak potraktował jej męża. Mogli obmyśleć to wspólnie.

– Byłam jeszcze raz na miejscu zbrodni. Nie ma takiej możliwości, by morderca lub jego wspólnik gdzieś tam się zaczaili, by obserwować umierającego Abnera. Po pierwsze, musiałby wiedzieć, kiedy doktor otworzy jajko i się zatruje, a nie jest to możliwe. A po wtóre, nawet gdyby, z zewnątrz nie widać nikogo w środku, o ile nie stanie się przy oknie od frontu.

– Taa... Nikłe szanse powodzenia.

– Można już uprzątnąć miejsce zbrodni, żeby rodzina mogła tam wrócić. Mogłabyś się skontaktować z synem Abnera i podać mu namiary na kilka agencji świadczących takie usługi.

– Jasne. Zajmę się tym.

Weszły w końcu na trzecie piętro, mijając otwierające się i zamykające drzwi mieszkań i ignorując szemrzące windy, zwożące na dół ludzi spieszących do pracy. Eve przeszła przez korytarz i stanęła przed drzwiami mieszkania państwa Ponti-Roe.

Przyzwolita ochrona – stwierdziła. Cały budynek prezentował się przyzwoicie. Przypomniały się jej komentarze Pontiego na temat Abnera: że bogaty, że prywatna praktyka, że goguś. A sam wprosił się do domku przy plaży, należącego do kolegi ze studiów.

Agresję zwykle rodzi zazdrość.

Nacisnęła guzik dzwonka. Po trzydziestu sekundach ponownie go nacisnęła i tym razem przytrzymała dłużej.

– Idę już, idę! – ktoś krzyknął zza drzwi. – Kto tam?

– Policja.

– Co takiego? Niech no zobaczą waszą odznakę. Proszę ją podstawić do judasza.

Eve spełniła prośbę i po chwili usłyszała trzask otwieranych zasuw.

Cilla Roe miała krótkie, rudobrazowe włosy, obecnie sterzące we wszystkich możliwych kierunkach. Na prawym policzku widniała czerwona pręga po spaniu w zmiętej pościeli. Pod półprzytomnymi piwnymi oczami zaznaczały się szare cienie od zmęczenia.

Ubrana była w spodnie od pizamy w prążki oraz spłowiwały podkoszulek. Stała na bosaka, Eve zauważyła bladoniebieski lakier na paznokciach jej stóp.

– O co chodzi? – spytała kobieta.

– My w sprawie doktora Kenta Abnera.

– Mój mąż już wyszedł do pracy. Zaczynał dyżur z samego rana. Wydaje mi się, że policja już z nim rozmawiała.

– Jesteśmy tutaj, żeby porozmawiać z tobą.

– Ze mną? – Przetarła zmęczone oczy. – Ja nawet nie znam doktora Abnera.

– Wiedziałas jednak o jego konflikcie z mężem.

– O tamtej sprawie?... – Teraz przewróciła oczami. – Czy to naprawdę przerodziło się w aż tak poważny konflikt?

– Czy mamy prowadzić dalej tę rozmowę w progu drzwi, pani Roe? – spytała Eve.

Kobieta odsunęła się na bok z cichym prychnięciem i gestem zaprosiła policjantki do środka.

– Jeśli mam prowadzić jakąś głupią konwersację po czterech godzinach snu, muszę się napić kawy. Panie?

– My dziękujemy.

To rzekłszy, przeszła przez niewielki pokój dzienny do minimalistycznego aneksu kuchennego. Nacisnęła guzik ekspresu, odczekała chwilę, a potem wzięła do ręki ogromny kubek z kawą.

– Usiądźmy i miejmy to już za sobą. Naprawdę bardzo bym chciała wrócić do łóżka.

Usiadła na fotelu, pozostawiając wąską kanapę przybyłym, i zaczęła mówić:

– Tak, owszem, słyszałam o incydencie z udziałem Mila i doktora Abnera. Ujmę to tak: Milo ma tyle taktu, co ja snu w ciągu ostatniej doby. To znaczy niewiele. Jest dobrym lekarzem ratunkowym, zawsze ma głowę na karku i robi wszystko, co w jego mocy, aby ratować pacjenta. Nie ma, niestety, hamulców i plecie, co mu ślina na język przyniesie. Ja na przykład lubię, że mówi to, co myśli, lecz nie jestem jego pacjentką. – Upiła kilka łyków kawy i westchnęła ciężko, co było dla Eve dość zrozumiałe. – Powiedział mi, że sprawdzaliśmy, gdzie był w nocy poprzedzającej zabójstwo Abnera. Mówił mi coś o paczce, o wysyłce pocztą kurierską, coś na temat czasu. Jestem przekonana, że udało się wam potwierdzić, iż miał wtedy dyżur. Wrócił bardzo późno. Czekałam na niego w domu, gdyż wybieraliśmy się nad morze na kilka dni do domku naszych przyjaciół.

– Czy był tu z tobą ktoś jeszcze, gdy na niego czekałaś?

– Tutaj? Ze mną? Nie. Nikogo. Wyjechaliśmy z miasta, jak tylko wrócił do domu.

– Czy rozmawiałaś z kimś, a może kogoś widziałaś pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią tamtego wieczoru?

– Dlaczego miałabym... – Bardzo powoli Roe odstawiła kubek. – O mój Boże! Czy wy uważacie, że ja... Dlaczego miałabym zabić kogoś, kogo nawet nie znałam? Dlaczego miałabym kogokolwiek zabijać? Milo nie ma za grosz taktu i powiedziałam mu to, kiedy zreferował mi, co się stało. Dostał za to manto od Abnera, ale przecież za to się nie zabija.

– Sporo wiesz na temat trucizn... – kontynuowała Eve.

– Jestem pielęgniarką.

– Jeszcze zanim zaczęłaś pracować jako pielęgniarka, bardzo się interesowałaś truciznami. Napisałaś nawet pracę o truciznach oraz substancjach toksycznych w liceum.

Kobieta odchyliła się na oparcie fotela.

– Skąd to wiecie? Czyżbyście przetrzepały moje życie wstecz aż po liceum?! To był dobry temat na pracę semestralną. Interesowałam się tym rzeczywiście. Właściwie od zawsze pasjonowała mnie chemia. Zaczęłam nawet od badań naukowych z dziedziny biochemii, zanim zakochałam się w pielęgniarstwie oraz chirurgii. Teraz zajmuję się ratowaniem ludziom życia. Nigdy bym go nikomu nie odebrała.

– A więc nie rozmawiałaś z nikim ani nikogo nie widziałaś między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią tego wieczoru?

– Nie. Ja tylko... Kiedy Milo napisał, że się spóźni, położyłam się tutaj na kanapie i uciłam sobie drzemkę. Czy potrzebuję adwokata?

– To już zależy od ciebie. Pracujesz w szpitalu, w którym doktor Abner był kimś uprzywilejowanym, o szerszych uprawnieniach. Nigdy go nie poznałaś?

– Nie. W naszym szpitalu pracuje wielu lekarzy z uprawnieniami. Cholera! To fizycznie niemożliwe, żeby poznać wszystkich osobiście. Nie był nawet chirurgiem. Ja pracuję w skrzydle z oddziałem chirurgicznym. Nie twierdzę, że nigdy go nie widziałam. Tego nie wiem. Mógł przyjść do naszego oddziału, żeby zbadać małego pacjenta. Być może asystowałam przy operacji przeprowadzanej przez chirurga dziecięcego, który współpracował z Abnerem, lecz osobiście go nie poznałam.

– Napisał skargę na twojego męża – przypomniała jej Peabody.

– Nie był to pierwszy raz, kiedy Milo otrzymał reprimendę i proszę mi wierzyć, na pewno nie ostatni. Słuchajcie! Pracuję z lekarzami codziennie. Większość z nich jest diabelnie nieprzyjemna. To aroganci bez krzty taktu. Większość z nich nauczyła się opanowywać przy pacjentach. Nie wszyscy, lecz większość. Milo albo się tego nauczy, albo nie. Jest mi to obojętne. A wy co sobie wyobrażacie? Że oboje obmyśliliśmy spisek przeciwko Abnerowi za to, że zrugął Mila? To jakaś bzdura. Oboje zajmujemy się leczeniem ludzi.

– Medycy również zabijają, moja droga. – Eve wstała. – Dziękujemy za poświęcony nam czas.

– I po wszystkim? Wyprułyście ze mnie flaki i teraz ot tak wychodzicie?

– Jeśli nie masz nam nic więcej do powiedzenia, to na razie wszystko.

Cilla nie ruszyła się z miejsca. Jak zahipnotyzowana patrzyła tylko za nimi, kiedy wychodzili.

– Brzmiała wiarygodnie – mruknęła Peabody.

– Taa... A przy tym niewzruszona jak skała. Taa... Nieźle jej przygadałyśmy, a jej dłonie nawet nie drgnęły. Być może jest cholernie dobrą pielęgniarką i pozostaje nią w każdej sytuacji. Albo też nigdy nie traci zimnej krwi.

– Wydaje mi się, że raczej to pierwsze.

– Też tak mi się wydaje – zgodziła się Eve. – Co jeszcze? Nie sądzę, by dała radę zmajstrować tę substancję w tym mieszkanku. Cienkie ściany, małe, ciasne pomieszczenia, brak porządnej wentylacji. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że jeśli ona w tym siedzi, to skorzystali z jakiegoś laboratorium. Musisz wśliznąć się do sekcji laboratoryjnej szpitala. Sprawdźmy, czy któreś z nich tam bywało. Zadzwoń może do syna zamordowanego teraz, w drodze do szpitala. Dowiedz się, czy mają już termin pogrzebu.

Spędziły pełną godzinę w szpitalu, walcząc z tamtejszą biurokracją, a potem identyfikując te osoby, które, posługując się kartą dostępu, bywały w laboratoriach na terenie szpitala lub w laboratoriach analitycznych, znajdujących się w sąsiednich budynkach.

Okazało się, że po Pontim i Roe nie ma w nich ani śladu.

– A może ktoś inny wpuszczał ich na swoją kartę? – podsunęła Peabody, lecz Eve od razu pokręciła głową.

– Dodałoby kolejnego współwinnego? Nie. To ślepa uliczka. Czas porzucić ten trop i ruszyć dalej.

*

Podczas gdy Eve i Peabody wracały do komendy głównej, Elise Duran pokwitowała odbiór paczki z firmy kurierskiej Allied Shipping. Miała bardzo pracowity poranek i mało brakowało, a odłożyłaby przesyłkę na półkę z myślą późniejszego jej otworzenia, żadnej bowiem się nie spodziewała.

Ciekawość wzięła jednak górę. Kobieta zabrała paczuszkę do swojego dobrze zorganizowanego biura w domu i tu postanowiła ją otworzyć.

Ponieważ rzadko oglądała telewizję, w tle zawsze leciała jakaś muzyka, której wtórowała, nucąc pod nosem. Czasami nawet kołysała biodrami w takt muzyki, przypominając sobie, co ma do zrobienia.

Będąc kobietą doskonale zorganizowaną, miała spisaną w tablicie pełną listę spraw do załatwienia. Większość z nich już wykreśliła. Tego poranka wzięła się również do zmywania talerzy po śniadaniu – a zawsze wysyłała swojego mężczyznę do pracy z dobrym śniadaniem – następnie zaś wszystko szorowała i polerowała na błysk, od razu nakrywając stół w jadalni do obiadu. Sprawdziła, jak się mają wiosenne kwiaty, z których aranżację ułożyła poprzedniego wieczoru, po czym rozłożyła ładną zastawę i serwetki.

Musiąca jeszcze poustawić talerzyki z przekąskami dla uczestniczek spotkania klubu książki. Uwielbiała je u siebie gościć. Siadywały razem i dyskutowały o literaturze. Do owego kółka należała też jej matka, Catherine Fitzwalter. Zdaniem Elise nikt więcej nie wiedział o książkach niż ona.

W końcu to do niej należała księgarnia First Page Books od pięćdziesięciu trzech lat i tyleż czasu sama ją prowadziła. Elise dorastała w otoczeniu książek, co uważała za atut. Pracowała u matki trzy

razy w tygodniu i – co oczywiste – prowadziła klub książki przy księgarńi.

Zwykle jednak nie mogła się doczekać comiesięcznych spotkań klubowiczek w jej własnym domu. Było coś wyjątkowego w goszczeniu grupy u siebie, kiedy zasiadały, omawiając którąś z książek.

W tych dyskusjach z rzadka raczej zdarzały się spory, chodziło bardziej o miłe, a przy tym interesujące spędzanie czasu.

Był to też cudowny pretekst do wypicia lampki wina do lekkiego lunchu i przekąsek, które serwowała.

Dom prowadzony był perfekcyjnie pomimo rozgardiaszu, który czynili jej mąż oraz dwóch nastoletnich synów. Już po nich posprzątała. Rzecz jasna musiała jeszcze sama się przygotować, ale miała na to mnóstwo czasu.

Nigdy się jeszcze nie spóźniła.

Postawiła tekturowe pudełko – przesyłkę z firmy o nazwie „Złota Gąska” – na swoim schludnie utrzymanym biurku. Rozcięła taśmę pakową i wyjęła ze środka – hmm... – niezbyt gustowną szkatułkę. Któż do diaska mógł jej przesłać coś tak szpetnego?

Kiedy otworzyła pokrywę, ogarnęło ją jeszcze większe zdumienie. Tandetne złote jajo?... Zupełnie nie w jej stylu. Czyżby to jakiś psikus?

W porządku. Umiała docenić dobry żart.

Ostrożnie odpięła malutki haczyk. Ha! zacięło się. Pociągnęła trochę mocniej, dopiero wtedy jajo się otwarło.

Istoty żartu nigdy nie zdążyła pojąć, nie dotarło do niej, że ktoś zadzwili z niej samej.

*

Eve wkroczyła na salę główną Wydziału Zabójstw w komendzie głównej policji. Pierwsze, co zobaczyła, to krawat Jenkinsona. Przeszło jej przez głowę, że gdyby ktoś wypatrzył go przez lunetę z kosmosu, pewnie wyżałoby mu źrenice. Wzór tym razem kojarzył się z jakąś diabelską tęczą, która eksplodowała podczas faszerowania jej kwasem. Każdy centymetr kwadratowy materiału pokrywały spirale i poskręcane strumienie zmieszanych ze sobą zjadliwych barw.

Mogłaby przysiąc, że falowały jak żywe.

Zaczęła się zastanawiać, czy gdyby Jenkinson podczas zjadania przekąski, którą właśnie przeżuwał, upuścił kilka kruszyn na swój krawat, czy te zawijasy by je wchłonęły, a potem zaczęły rosnąć.

Mimo wszystko, ryzykując czasową ślepotę, podeszła do jego biurka.

– Twierdzisz, że kupujesz te krawaty gdzieś u ulicznego sprzedawcy? – zagaiła. – Gdzie konkretnie?

Jenkinson zgarnął okruszki z krawata.

A gdyby tak te spirale przelały się na jego dłoń, pokryły ją, a potem wciągnęły z mozołem do swego wnętrza centymetr po centymetrze.

– W stoisku przy kanale – odrzekł. – Gość rozstawia tam kram co niedziela na wysokości Szóstej Ulicy. A co? Zamierzasz kupić taki dla Roarke’a?

– Jasne. Gdybym chciała, żeby mnie wysłał z nim do psychiatry. Pewnego dnia, pewnego pięknego dnia podjadę do tego stoiska, wykupię wszystkie krawaty i zniszczę je. Utopię je może w kadzi z kwasem. Tak czy owak, ocalę społeczeństwo.

– Auć! Pani porucznik! Ale ma pani jaja!

– Nie sądzę, żeby to słowo znaczyło to, co myślisz, że znaczy. I niech ci nie przyjdzie do głowy pokazywać mi swoje skarpetki! – Dźgnęła palcem w stronę Reineke’a, partnera Jenkinsona. – Nawet o tym nie myśl! – Pogroziła mu i zwiła do swojego gabinetu.

Najpierw nałapała sobie kawy, a następnie zasiadła do uaktualnienia księgi zbrodni i spisania najnowszych informacji. Potem raport. Uaktualniła tablicę, dodając zdjęcie portretowe Roe. Wpatrując się w nią, zaczęła walcować na wszystkie strony teorii, że to ona mogła zabić lub wziąć czynny udział w morderstwie – złożonym i sprytnie obmyślonym – gdyż jej mąż dostał klapsa w pracy.

Nic, absolutnie nic z jej przeszłości na to nie wskazywało.

Ponti, mężczyzna porywczy, mógł chcieć się zemścić, lecz zapewne uczyniłby to pod wpływem impulsu, i prawdopodobnie z dużą dozą agresji.

Jakoś nie podobała jej się koncepcja, że tych dwoje, knuło jakoby przeciwko Abnerowi.

– Ona doskonale wie, jaki jesteś... – mamrotała Eve pod nosem. – Wie, że czasem zachowujesz się jak ostatni fiut, ale najwidoczniej wcale jej to nie przeszkadza.

Thomas T. Thane. Następny fiut – pomyślała. – A może i więcej nawet niż fiut. Łatwiej jej było wyobrazić sobie jego planującego to morderstwo, zastanawiającego się, jak odplacić mężczyźnie, który skomplikował mu życie – tak on przynajmniej to widział.

Co do koncepcji szalonego naukowca: czy Thane mógł się spiknąć z kimś takim? Nie jest to niemożliwe i być może – w tej chwili – stanowi najwyraźniejszy trop, którym należałoby podążyć.

Idąc więc tym tropem, zaczęła drążyć w przeszłości Thane'a. Kumpel ze studiów, klient, kochanek. Ktoś ze stosownymi umiejętnościami, kto współpracowałby z nim, żeby doprowadzić do morderstwa. Albo na odwrót. Ktoś, kto chciał zabić, a Thane podstawił mu tylko cel.

Kiedy zatoneła w przeszłości Thane'a, jej komunikator policyjny zasignalizował nadejście połączenia.

– Melduje się Dallas! – odebrała.

Raport dla porucznik Dallas Eve: ulica Wooster numer dwieście pięćdziesiąt pięć. Z uwagi na możliwość występowania trujących oparów na miejsce została już wysłana ekipa neutralizująca substancje toksyczne. Ofiara nie żyje. Załoga karetki pogotowia – pierwsi na miejscu zbrodni – oraz osoba, która zadzwoniła na numer alarmowy dziewięćset jedenaście, przebywają na kwarantannie w domu denatki, dopóki toksyny nie zostaną unieszkodliwione. Obowiązują procedury zachowania się podczas skażenia substancjami toksycznymi do czasu wydania orzeczenia, że jest czysto.

– Proszę mi to skopiować! – Eve już była na nogach i sięgała po kurtkę. – Przyjęłam. Odmeldowuję się.

Wkroczyła energicznie na salę wydziału.

– Peabody! Ze mną! Natychmiast! Mamy kolejną ofiarę!

Zanim Eve i Peabody dojechały na miejsce, ekipa specjalistów zneutralizowała już toksyny i zwolniła z kwarantanny załogę karetki pogotowia.

Dowodząca ekipą techników toksykologów agentka specjalna kontrwywiadu, Michaela Junta, spotkała się z Eve w drzwiach mieszkania. Z wnętrza dochodziły stłumione dźwięki muzyki – coś w rodzaju rytmicznego rocka.

– W powietrzu nic nie wykryliśmy, ciało ofiary też jest czyste. Będziesz na pewno ustalać godzinę śmierci, więc od razu mogę ci powiedzieć, że matka ofiary, czyli osoba, która zadzwoniła na numer alarmowy dziewięćset jedenastcie, zeznała, że mąż zmarłej oraz ich dwóch synów wyszli do pracy i do szkoły około godziny ósmej zero zero. Nie wykryliśmy u niej skażenia. U dwójki towarzyszących jej funkcjonariuszy policji również. – Junta głęboko odetchnęła. – Matka walczy, żeby się całkiem nie rozsypać. Zabójstwo w ogólnym zarysie miało ten sam przebieg, co w przypadku Abnera, skorzystali tylko z automatu innej firmy wysyłkowej. Tym razem firma kurierska Allied. Jajko spadło na miękki dywan, dlatego się nie rozbiło. Trujące opary całkowicie się ulotniły. Musiały się ulotnić, nim w mieszkaniu pojawiła się matka ofiary.

– Czy wiadomo, o której godzinie to się stało? – spytała Eve.

– Zeznała, że przyszła około jedenastej. Połączenie z numerem dziewięćset jedenastcie nastąpiło o jedenastej szesnastcie. Prawdopodobnie zauważyłaś, że przy drzwiach jest zamontowana kamera monitoringu, więc można to sprawdzić na nagraniach. Nie będziemy przeszkadzać, o ile nie będziesz nas potrzebować.

– Dziękuję. Peabody, znajdź centralę monitoringu i sprawdź nagrania. Ja zajmę się ciałem. Och, jeszcze jedno, Peabody. Wyłącz tę muzykę.

– Proszę tędy. – Junta poprowadziła Eve przez urządzone ze smakiem pokój dzienny, gdzie na wysokich regałach z półkami piętrzyła się masa książek (co za zbiór!), zdjęć i ozdobnych drobiazgów, do pokoju wypoczynkowego z aneksem biurowym, urządzonego mniej więcej w ten sam sposób co poprzednie pomieszczenie. Stał tu głęboki tapicerowany fotel z obiciem w drobne fioletowe kwiatki na beżowym tle wraz z identycznie wykończonym podnóżkiem. Obok było biurko z minikomputerem i oddzielnym płaskim ekranem na blacie. Znajdowało się tu też kartonowe pudełko firmy kurierskiej do pakowania przesyłek, a obok niego leżał nożyk do otwierania listów z ząbkowanym ostrzem i gładką białą rączką. Na biurku stała też otwarta szkatułka z imitacji drewna, identyczna jak ta, którą przesłano do Abnera.

Ciało denatki leżało na podłodze na kremowym dywanie, całe upstrzone zaschniętymi plamami tego, co zwrócił jej zatruty organizm.

Złote jajo znajdowało się w pewnym oddaleniu. Najpewniej potoczyło się tam, podskakując prawdopodobnie po drodze, gdy wypadło kobiecie z rąk.

– Ty też dobrze wiesz, jak to jest. Pomału się przyzwyczajasz – zaczęła Junta. – Musiałś stwardnieć, w innym wypadku nie dałabyś rady. Codziennie robisz to, co zrobić musisz. Ja też jestem matką i nie wyobrażam sobie, że wracam do domu i znajduję córkę w takim stanie. – Odetchnęła głęboko. – Cóż więc nam pozostaje? Działamy jak nieczułe automaty.

Eve, zabezpieczywszy ręce gumą w sprayu, stała chwilę w miejscu, obejmując wzrokiem całą scenę zbrodni. Na oknach zainstalowano rolety z materiału. Były teraz podniesione, lecz same skrzydła okienne – szczególnie zamknięte.

Oczami wyobraźni ujrzała ofiarę morderstwa odbierającą przesyłkę w drzwiach, a następnie idącą z nią do aneksu biurowego. Tam kobieta najpewniej odłożyła paczkę na blat, rozcięła opakowanie i przegrzebała bibułki w poszukiwaniu zawartości. Wyjawszy szkatułkę, postawiła ją na blacie, by wydobyc z niej pojemnik w kształcie jajka.

Otworzyła go, uwalniając substancję toksyczną, i upadła na podłogę. Po usytuowaniu ciała Eve wynioskowała, że kobieta nie próbowała się dostać do okna, jak to było w wypadku Abnera. On jednakże był lekarzem i miał te kilka sekund życia, kiedy zdążył pojąć, co się dzieje.

Do nieszczęśnicy, której ciało miała przed sobą, nigdy to nie dotarło.

Zbliżywszy się do niej, unikając przy tym na tyle, na ile się dało, wydzielin jej ciała, Eve dokonała oficjalnej identyfikacji. Na opuszkach jej kciuków zauważyła identyczne jak u Abnera oparzenia chemiczne.

– Ofiara to Elise Duran zamieszkała pod tym adresem – mówiła Eve do dyktafonu. – Wiek czterdzięci cztery lata, rasy białej kaukaskiej. Zameżna z Jayem Duranem, lat czterdzieści sześć. Dwoch synów: Eli, lat szesnaście, oraz Simon, lat czternaście. – Eve wyjęła mierniki. – Czas zgonu ustalony na godzinę dziesiątą zero dwie. Matka weszła do mieszkania około godziny jedenastej. Wymaga to jeszcze sprawdzenia na nagraniach z monitoringu. Wynika z tego, że środek toksyczny uległ całkowitemu rozkładowi w tym przedziale czasowym, jako że ekipa specjalna zdążyła już przebadać matkę; uzyskano wynik negatywny. Żadnych widocznych obrażeń zewnętrznych, żadnych śladów wskazujących na próbę obrony. Otworzyła pojemnik w kształcie jaja, który tym razem pozostał nienaruszony, i uwolniła substancję toksyczną. Jej organizm wchłonął opary. Skutki do zweryfikowania przez patologa sądowego.

Czy znałaś Kenta Abnera? – zastanawiała się Eve. – Miałś dwóch synów. Może był ich lekarzem rodzinnym?

Jaki jest związek pomiędzy tymi dwoma morderstwami?

Eve zadzwoniła po ambulans do przewozu zwłok, po czym oznakowała ciało, by trafiło na stół sekcyjny do Morrisa, i dodała notatkę o przyczynie zgonu.

– Dallas! – W drzwiach pojawiła się Peabody. – Przejrzałam już nagrania z kamer monitoringu. Przesyłkę dostarczono dokładnie o godzinie dziewiętej pięćdziesiąt cztery. Doręczył ją kurier w kombinezonie firmowym Allied. Nikt więcej nie wchodził ani nie wychodził. Przynajmniej dopóki starsza kobieta, w wieku około siedemdziesięciu lat, może trochę więcej, nie zadzwoniła do drzwi. Odczekała chwilę, a potem wyjęła kartę dostępu z torebki i otworzyła ją drzwi. Miała ze sobą dwie torby reklamowe. Jedną z cukierni Village Bakery & Sweets, drugą z księgarni First Page Books. Wniosła je do środka. Na kolejnym nagraniu jest już ekipa karetki pogotowia. Do środka wpuściła ich ta sama kobieta o jedenastej osiemnastce.

– Okej. No to mamy ustalony schemat. Na pewno ten sam. Jeszcze jeden fałszywy nadawca z nieistniejącej firmy na naklejce adresowej na pudełku. Taka sama tandetna szkatułka w środku, a w niej identyczny tani gadżet, czyli pozłacany pojemnik w kształcie jaja – podsumowała Eve. – Skontaktuj się czym prędzej z firmą kurierską Allied i dowiedz się, kto doręczył tę przesyłkę. Spróbuj się dowiedzieć, skąd została wysłana. Pewnie znowu będzie to wrzutnia nocna w budce paczkomatu. Po co miałyby zmieniać sposób postępowania?

– Zamordowana kobieta miała nastoletnich synów. Może Abner był ich lekarzem rodzinnym? – podsunęła Peabody.

– Mhm. To samo przyszło mi do głowy. Sprawdźmy to. Porozmawiajmy z matką ofiary. Nazywa się Catherine Fitzwalter. Przesłuchamy również męża, ale lepiej zacząć od matki. – Odsunęła się od ciała, by zrobić miejsce Juncie. – Kostnicę już zawiadomiono – zwróciła się do agentki specjalnej. – Wpuść ich, jeżeli wciąż będziemy zajęte rozmową ze świadkiem.

– To naprawdę przyjemnie urządzony dom – szepnęła Peabody do Eve, kiedy wyszły z pokoju. – Wysprzążony i uporządkowany aż do przesady, bez żadnych fikuśnych dupereł, ale wcale nie chłodny ani sztywniacki. Musiała spodziewać się gości, bo ustawiła na stole w jadalni eleganckie talerzyki i serwetki.

Eve zobaczyła to na własne oczy, kiedy przeszły do aneksu kuchennego wychodzącego na salon. Tu również panował idealny porządek. Lśniło czystością. Na kuchennej wyspie stały dwa pudełka z cukierni, a obok filiżanka z niedopitą kawą.

Eve dała znak dwóm mundurowym. Kiedy do niej podeszli, przeszedłszy cały pokój, wydała im polecenie służbowe:

– Proszę zrelacjonować przebieg zdarzenia.

– Odpowiedzieliśmy na wezwanie z dziewięćset jedenastce. Na numer alarmowy zadzwonił ktoś z ekipy medycznej, znajdującej się na miejscu. My przybyliśmy tutaj punkt jedenasta dwadzieścia jeden. Wpuściła nas pani Fitzwalter. Ekipa karetki już przebadała zwłoki. Otrzymaliśmy wcześniej, tak samo jak i pogotowie ratunkowe, alert dotyczący przesyłek zawierających złote jajka wraz z informacją o możliwości wystąpienia skażenia chemicznego, więc natychmiast zabraliśmy z tamtego pokoju świadka oraz medyków z pogotowia i skontaktowaliśmy się z centralą, żeby przystali tu speców od skażeń.

– Pani Fitzwalter jest bardzo roztrzęsiona, pani porucznik – powiedział drugi policjant. – Znam ją, bo mieszkałam w młodości nieopodal jej księgarni. W dzielnicy West Village jest jak instytucja. Znam również ofiarę, pani porucznik. Pracowała w księgarni.

– Przyjaźniliście się z zamordowaną?

– Odnosiliśmy się do siebie z przyjacielską sympatią. Nie dorastaliśmy razem, ona była jakieś dziewięć, dwanaście lat starsza ode mnie. Widywałem ją w księgarni. Od czasu do czasu zamienialiśmy kilka słów, to wszystko. Księgarnia jest w tym samym miejscu pewnie z pół wieku, wciąż ją prowadzi ta sama rodzina.

– Okej. Zaczynjcie pukać do drzwi sąsiadów i rozpytywać, czy ktoś coś widział, a gdy skończycie już tutaj, zróbcie to samo w pobliżu księgarni, skoro tak znacie tę okolicę.

– Tak jest, pani porucznik! Czy mógłbym, skoro już znam panią Fitzwalter, złożyć jej moje kondolencje, zanim zaczniemy?

– No pewnie.

Eve obserwowała kobietę o twarzy bladej jak ściana, o oczach szklących się łzami, jak rozplata złączone dłonie i wyciąga rękę w stronę jednego z policjantów. Ten pochyła się ku niej i mówi coś szepcąc. Ona ścisła kurczowo jego przedramię i potakuje głową.

Podeszła do niej dopiero, kiedy policjanci wyszli.

– Witam, pani Fitzwalter! – przywitała się. – Porucznik Dallas, a to detektyw Peabody. Bardzo nam przykro z powodu pani straty.

– Dziękuję. Nie mogę... – umilkła. – Była moją najdroższą dzieciną. Moją ukochaną córeczką.

– Pani Fitzwalter, czy mogłabym coś dla pani zrobić? – spytała Peabody. – Może przynieść coś do picia?

Kobieta podniosła na nią znękane oczy.

– Nie, dziękuję. Nie sądzę, żebym była w stanie cokolwiek przełknąć.

– Wiem, że to dla pani trudne – podjęła Eve – ale musimy, niestety, zadać kilka pytań.

– Rozumiem. Zdaję sobie sprawę, jak to wszystko działa. Swego czasu musiałam zapoznawać się z zatrudnieniem policyjnych procedur. Nigdy bym nie pomyślała... – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Kto jest w stanie zrobić coś takiego? Przecież Elise nigdy nikogo nie skrzywdziła. To na pewno mocno wstrząsnie i jej ojcem, i Jayem, i chłopcami. Nie mam pojęcia, jak ja im to wszystko powiem.

– Pomożemy pani – wtrąciła Peabody.

– Wiem, kim jesteście. Czytałam książkę napisaną przez Nadine Furst. Nie zliczę, ile razy ją polecałam moim klientom i klientkom. – Pochyliła się do przodu. Była ładną kobietą ze ślicznymi kasztanowatymi lokami. – Czy to prawda, pani porucznik, co tam o pani napisała? Że pani zależy, że nie spocznie pani, póki nie znajdzie odpowiedzi? Że czyni pani wszystko, aby to naprawdę wszystko, co w pani mocy, aby wykryć sprawcę morderstwa?

Eve zdecydowała, że krótka odpowiedź będzie tu najlepsza.

– Tak – odrzekła.

– Muszę to wiedzieć. – Catherine głęboko odetchnęła i opuściła głowę. – Wszyscy musimy się tego dowiedzieć. Nic mi nie zwróci dziecka, musimy jednakże to wiedzieć. Zapewne chce pani usłyszeć, czy znam kogokolwiek, kto chciałby ją skrzywdzić. – Ponownie uniosła głowę. – Przysięgam, że nikogo takiego nie znam. Nikt nigdy jej nie szantażował ani nie straszył. Powiedziała mi o tym. Rozmawiałymy o wszystkim, nawet o mało istotnych rzeczach. Stanowili z Jayem idealne małżeństwo, dobre, radosne, kochające. Wychowywali razem dwóch udanych chłopców. Czy mieliwali scysje? Jak każdy, ale przecież byli małżeństwem od dwudziestu lat – urwała na moment. – Chciałabym powiedzieć o niej kilka słów, jeśli wolno.

– W porządku.

– Była dobrą córką, co nie znaczy, że nie zdarzało jej się czasem przyprawić mnie i Jaya o ból głowy. Poznała swego męża na studiach i żadne z nich nigdy nie oglądało się ani za siebie, ani na innych. Łączyło ich uwielbienie dla książek. Elise wyrosła wśród książek. Gdybyśmy kiedykolwiek z mężem zdecydowali się przejść na emeryturę, zamierzała przejąć naszą księgarnię. Kochała rodzinę, kochała dom. Uwielbiała go dopieszczać, formować z niego dobre, szczęśliwe gniazdko do życia. Tak jak jej ojciec, była świetnie zorganizowana. Aż do przesady. – Na jej ustach zaigrał leciutki uśmieszek i zaraz zgasł. – Wciąż sporządzała jakieś listy sprawunków, wciąż robiła zapiski w kalendarzu książkowym. Zawsze można było na nią liczyć. We wszystkim. Jeśli powiedziała, że gdzieś będzie, to była. Uwielbiała przyjmować w domu przyjaciół i bardzo się starała o doskonały rezultat, więc oni... – zamilkła, z jej piersi wydobyło się głębokie westchnienie. – O mój Boże! Zebranie klubu książki! Na śmierć zapomniałam. Mają się tu zjawić o pierwszej. Raz w miesiącu gościłyśmy u niej w domu członków naszego klubu książki i właśnie dlatego tu przyszedłam. To ja przyniosłam te desery.

– Peabody! – zawołała Eve.

– W porządku. – Wywołana bezgłośnie wysliznęła się z pokoju. – Zajmę się tym.

Kiedy policjantka wyszła, Eve ponownie skupiła uwagę na Catherine.

– Bardzo wcześniej pani przyszła – zauważyła.

– Tak, tak. Przyniosłam desery i miałam zamiar pomóc jej nakrywać do stołu. Chciałam po prostu spędzić z nią trochę więcej czasu. Nie otworzyła, kiedy zadzwoniłam do drzwi. Pomyślałam, że może brać prysznic. Chciała doprowadzić się do porządku przed przybyciem klubowiczek. Znam moją córkę. Najpierw wszystko wysprzątała na błysk i przygotowała na przyjście gości, użyłam więc własnej karty dostępu i weszłam.

– Może mi pani opowiedzieć dokładniej, co działo się potem?

– Zwołałam ją, a potem przyszłam tutaj. Wyjęłam pudełka z zakupami z cukierni, przyniosłam też trochę ślicznych zakładek do książek. Zrobiłam sobie filiżankę kawy, a potem wzięłam jeden z jej małych wazoników, żeby ułożyć w nim te zakładki. Postawiłam go na stole. Zdecydowałam, że pójdę na górę i sprawdzę, jak idą przygotowania, ale tam jej nie było. Nie zmartwiło mnie to, raczej zdziwiło. Pomyślałam, że może wyskoczyła po coś w ostatniej chwili, więc... Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do niej. Dźwięk dzwonka telefonu dochodził z jej biura, wobec tego tam poszłam. I ją zobaczyłam. Moją córeczkę...

– Proszę chwilę odpocząć.

– Jednak napiłabym się tej wody teraz.

Eve wstała, znalazła szklankę i napełniła ją wodą.

– Nie wiem, czy zemdlałam i się osunęłam, czy może... Kiedy się ocknęłam, siedziałam na podłodze w drzwiach jej biura. Słyszałam jakiś potworny dźwięk, jakby ryk rannego zwierzęcia. Uprzytomniłam sobie, że to byłam ja. To ja wyłam. – Catherine zakryła twarz dłońmi i zaczęła się miarowo kołysać. – Chciałam do niej podbiec, zbliżyć się do mojej córeczki, ale wiedziałam, że nie powinnam tego robić. Nie wolno zacierać śladów na miejscu zbrodni... O to zawsze prosicie, prawda?

– Tak. Dobrze pani zrobiła.

– Pojawili się tu bardzo szybko. Wydawało mi się, że minęły całe lata, wiem jednak, że pojawili się błyskawicznie. Mówię i o ekipie karetki pogotowia, i o policji. Funkcjonariusz Krasinsky, to znaczy Mike... Znam go od dziecka. Bywał wielokrotnie w mojej księgarni. Dobrze jest znać tego, kto nam pomaga.

– Czy znała pani doktora Kenta Abnera albo może znała go pani córka?

– Nie sądzę. – Catherine upiła jeszcze kilka łyków wody, przeczesła nerwowo włosy palcami, zasłoniła oczy dłońmi. – Słyszałam, że dziś rano w telewizji na kanale siedemdziesiątym pięćmi puścili dokument o jego śmierci. Czy on... czy on zginął tak samo?

– Na to wygląda. Czy mieliście jakieś problemy z waszą księgarnią? Jakich pracowników, którzy sprawiali kłopoty? Może musieliście z córką udzielać im nagan lub nawet zwolnić?

– Jesteśmy jak rodzina.

– Może jacyś klienci, którzy się naprzykrzali?

– Nieźle sobie dajemy radę z reklamacjami czy skargami. Mamy klientów, którzy są nam wierni od pięćdziesięciu lat i przyprowadzają następne pokolenia. Nie jesteśmy jakąś wielką firmą, rozumiecie to, prawda? Jesteśmy księgarnią, od lat działającą stabilnie na rynku lokalnym. Elise pracowała u nas trzy razy w tygodniu, choć aż taka pomoc z jej strony nie była nam potrzebna. Skupiała się na wychowywaniu dzieci i prowadzeniu domu, lecz nie mogła wytrzymać bez naszej księgarni, była dla niej jak drugi dom. Dla nas zresztą również. Nikt z osób, które znały Elise, na pewno by jej źle nie życzył. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Cienia wątpliwości. Przysięgam, że gdybym o kimś takim usłyszała, powiedziałabym wam. Elise była moim jedynym dzieckiem. – Upiła łyk wody. – Tam na zewnątrz wciąż toczy się normalne życie, dla mnie jednak czas się zatrzymał. Rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć?

– Rozumiem.

– Jest mi potrzebny Rob. Mój mąż. Muszę mu o tym powiedzieć.

– Gdzie może teraz być?

– W księgarni.

– Może wyślemy funkcjonariusza Krasinsky'ego wraz z partnerem do księgarni, żeby odprowadzili pani męża do waszego domu? Któryś z funkcjonariuszy odwiezie tam panią... – przerwała na chwilę, zastanawiając się, czy jednak nie zmodyfikować planu działania. – Najpierw może jednak porozmawiamy z pani zięciem, a potem zaprowadzimy go razem z wnukami do waszego domu.

– Tak, tak. Będziemy wówczas wszyscy razem. Musimy teraz trzymać się razem. – Otarła oczy i uściśliła wciąż mokrą od łez ręką dłoń Eve. – Nadine Furst napisała samą prawdę. Liczy się pani z ludźmi, z ich uczuciami. To widać. To bardzo istotne.

Eve pozostawiła panią Fitzwalter i ruszyła ku drzwiom. Czekala tam już na nią Peabody, która wróciła równie bezszelestnie, jak wyszła, i od pewnego czasu przysłuchiwała się rozmowie.

– To ja się zajmę poinformowaniem Krasinsky’ego i jego partnera – zaproponowała. – Powiem, że mają się udać do księgarni i zabrać stamtąd męża pani Fitzwalter, a potem ściągnę kilku mundurowych do przepytywania sąsiadów.

– Dobrze. – Eve potarła w zamyśleniu napięty kark. – Potrzebujemy eskorty, żeby odwieźć panią Fitzwalter do domu. Trzeba ją wyprowadzić tylnym wyjściem. Niech nie ogląda tego, co się tu dzieje.

– Zaraz wezwę patrol, który ją odwiezie. Słuchaj, a może ja się nią zajmę, dopóki nie przyjadą? Po co ma mieć do czynienia z następną obcą osobą, skoro mnie już poznała?

– Okej. Tak zróbmy. Idź do niej i... bo ja wiem?... posiedz z nią, aż przyjadą. Ja zacznę przeszukiwać piętro.

– Czy powinnam wezwać ekipę technicznych z EDD, żeby sprawdzili komputery i inne nośniki pamięci?

– Jasne. A co z tą firmą kurierską?

– Prześledzili drogę paczki. Miała rację. To kolejna wysyłka z wrzutni nocnej, z godziny dwudziestej trzeciej. Opłata wniesiona z konta dziewięćdziesięcioletniej kobiety, która niecałą godzinę wcześniej zgłosiła kradzież telefonu.

– Przesłuchamy ją i dopytamy, czy jest w stanie określić miejsce, w którym została okradzona. Idź już do pani Fitzwalter.

Na górnej kondygnacji Eve odnalazła jeszcze jedno biuro domowe. Należy bez wątpienia do męża – pomyślała, gdy weszła do środka. Pokój był większy niż ten na dole, lecz jakby mniej uporządkowany. Równie wysprzątany, jak zauważyła, lecz zabałaganiony. Na biurku znajdowało mnóstwo najróżniejszych rzeczy, tak jakby zajmował je ktoś bardzo zajęty, kto ogarniał kilka spraw równocześnie. Tak jak i na dole półki ugiwały się od książek. Nie poukładano ich jednak tak perfekcyjnie jak niżej. Gdzieniedzie piętrzyły się stosy jedna na drugiej, tu przechylając się mniej, ówdzie bardziej, mniejsze pomieszane z większymi bez ładu i składu. Doszła do wniosku, że zamordowana nie dotykała książek w gabinecie męża.

W kącie pokoju Eve spostrzegła gitarę na stojaku. Na kanapie leżała samotna poduszka. Słuszyła zapewne do podkładania pod głowę, kiedy pan domu wyciągał się tu podczas przerw w pracy.

Podeszła bliżej do biurka. Przejrzała książki, dyski, kilka papierowych notesów, w których robił odręczne zapiski.

Wzięła do ręki pierwszy z brzegu i skrzywiła się odruchowo, widząc okropne bazgroły – jeszcze gorsze niż jej własne – lecz po krótkiej chwili odszyfrowywania nieczytelnego pisma doszła do wniosku, że to jakieś próbki wierszy lub może teksty piosenek.

Po przejrzeniu kilku zeszytów zdała sobie sprawę, że zawierają tematy i przemyślenia dotyczące zajęć ze studentami.

Omów, w jaki sposób Szekspir używał muzyki, ażeby udratyzować lub uwypuklić lekkość swoich sztuk. Dobierz znaną ci współczesną melodię tak, by uwspółcześnić konkretne sceny lub cały utwór. Podaj przykłady.

Określić temat pracy w semestrze wiosennym dla Klubu Miłośników Szekspira.

W następnych były notatki związane z książkami i ich autorami. O niektórych słyszała, o innych nie, wszystko jednak zaczęło jej się układać w pewną całość.

Zajęła krzesło pana domu, po czym uruchomiła komputer – okazało się, że miała szczęście, nie był chroniony hasłem.

Wyświetlił się jej wpierv kalendarz z rozkładem zajęć całej rodziny: żony, synów, różnych wspólnych zajęć i imprez. Starszy syn grał w koszykówkę, młodszy chodził na kółko dramatyczne. Były tu rozpisane gry, praktyki, próby sceniczne, przedstawienia.

Już chciała przystąpić do dalszych poszukiwań, gdy weszła Peabody.

– Pani Fitzwalter jest już w drodze do domu – poinformowała. – Funkcjonariusz Krasinsky powiadomił jej męża i też tam jadą. W jaki sposób chcesz zapoznać ze sprawą męża ofiary?

– Jeszcze nie wiem. Coś wymyślę. Jest profesorem literatury na Uniwersytecie Columbia. – Usiadła wygodnie. – Może to i nazbyt odległe, by powiązać go w jakiś sposób z dyrektorem prywatnej szkoły, lecz w tej chwili to jedyne podobieństwo, jakie mamy. Resztę domu przejrzymy potem – dodała, wstając. – Teraz prowadzi zajęcia. Jedziemy tam – zarządziła.

– To faktycznie dość odległe powiązanie – zgodziła się Peabody, przyspieszając kroku, gdy Eve już zbiegała po schodach na parter. – Poza tym obaj nauczyciele nie stali się przecież celem ataku mordercy. Może istnieje tu jakiś związek z Thomasem Thane’em? Mogło tak być, że ofiara morderstwa znała jego żonę. Może pomagała jej wyjść z nałogu?

– Warto zgłębić ten wątek. Wstrzymaj się z tym na razie.

Eve odnalazła Juntę i poinformowała ją, że udają się teraz do męża ofiary zawiadomić go o śmierci żony, ona więc musi się zająć zabezpieczeniem miejsca zbrodni.

– Wrócimy do tego wątku – ciągnęła, kiedy wyszły przed dom, gdzie zgromadził się już tłumek gapiów. Z ciekawością oglądali wozy policyjne oraz furgonetkę specjalistycznej firmy sprzątającej. – Sprawdź mi po drodze profesora Jaya Durana. Zobacz też, w którym gmachu na uczelni go znajdziemy.

– Idę o zakład, że w tym samym, w którym prowadzi zajęcia pan Mira.

– Hm. O tym nie pomyślałam. – Eve zadzwoniła z telefonu wbudowanego w kokpit auta do biura Charlotte Miry. Odebrała sekretarka, jej cerber. – Słuchaj, nie doprowadzaj mnie do szału. Muszę jej zadać jedno cholerne pytanie, więc połącz mnie z nią natychmiast.

– Przygotowuje się do sesji – odrzekła nieugięta asystentka.

– Na litość boską! Mam buty całe w płynach ustrojowych zamordowanej kobiety i przysięgam na wszystkich bogów, że skopię ci nimi tyłek, jeśli mnie natychmiast z nią nie połączysz. Jedno pytanie, do diabła!

– Proszę pozostać na linii.

Eve dałaby sobie rękę uciąć, że babsko trzymało ją na linii dłużej, aniżeli trzeba było.

– Dallas... – zaczęła Peabody.

– Chwila moment! – powstrzymała ją Eve, słysząc Mirę.

– Tak? W czym mogę ci pomóc, Eve?

– Znasz może profesora Jaya Durana? Wykłada na Columbii.

– Nazwisko jest mi znane. – Mira ściągnęła brwi i poprawiła dłonią opadający kosmyk jasnobrązowych włosów połyskujących na fioletowo. – A dlaczego pytasz?

– Ktoś właśnie przysłał jego żonie złote jajo nafaszerowane trucizną. Nie żyje.

– Drugie takie samo morderstwo. – Teraz Mira opadła na siedzenie krzesła, a jej spokojne spojrzenie niebieskich oczu wyostrzyło się jak brzytwa. – Powinnyśmy porozmawiać, ale teraz mogę ci tylko rzec, że nazwisko obito mi się o uszy. Spytam Dennisa.

– Może to być pomocne w śledztwie. W tej chwili jedziemy na Columbię. Duran wykłada tam literaturę.

– W takim razie Dennis musi go znać. Oddzwonię.

– Dallas! – odezwała się znów Peabody, tym razem z większym naciskiem, tak że Eve w końcu się do niej odwróciła.

– Co takiego?

– Duran pracuje w Columbii od siedmiu lat. Na jesieni stuknie osiem. Ale przedtem przez prawie dziesięć lat uczył języka angielskiego, literatury i kreatywnego pisania w szkole imienia Theresy A. Gold.

– Ach! Psia go mać! – Eve walnęła z całej siły pięścią w kierownicę. – Co za sukinyń! Ten morderca to na sto procent jakiś pokręcony typ. Skontaktuj się natychmiast z Ruftym! Jeśli on nie będzie mógł przyjechać do nas, my pojedziemy do niego. Musimy z nim porozmawiać i się dowiedzieć, kto go tam gnębił, kto gnębił Durana, a może ktoś miał coś przeciwko całej tej szkole?

– Żadna z ofiar nie pracowała w tej placówce. Zabójca dobiera się do ich współmałżonków. Jezu! Ale potwór! – jęknęła Peabody.

– Jeśli kogoś zabijasz, on ginie. Nie żyje. Proste. Zabijasz komuś kogoś, kogo kocha, on musi żyć dalej. Żyć dalej, codziennie mierząc się z bólem.

– To jakoś pasuje, prawda? – spytała Peabody, starając się ignorować szaloną jazdę Eve pomiędzy samochodami. – Zabójstwo dokonane z zimną krwią, okrutne, bez emocji. I jeśli naprawdę łączy się z tą szkołą, Duran nie miał z nią nic wspólnego prawie od ośmiu lat.

– Czy nie powiadają – zastanowiła się Eve – że zemsta smakuje lepiej, gdy się ją wymierza na zimno?

– Całkiem jak talerz zimnych przekąsek na imprezie.

– Och, tobie się zawsze wszystko z jedzeniem kojarzy.

Zadzwonił telefon Eve.

– Tu Dallas.

– Właśnie rozmawiałam z Dennisem. Bardzo dobrze zna tego Jaya Durana. Poznałam kiedyś i jego, i jego żonę. Poznałam już tylu kolegów z pracy Dennisa przez te lata, że w pierwszej chwili nie skojarzyłam osoby z nazwiskiem.

– Dzięki za sprawdzenie. Jesteśmy już prawie na miejscu.

– Słuchaj, Eve, dostosuję mój grafik spotkań, ażeby to z tobą omówić, jak będziesz gotowa. Daj znać mojej asystentce, a gdzie cię wciśnie.

– Okej. Dzięki ci.

Wjechała na przestronny, czcigodny kampus uniwersytetu Columbia i znalazła parking dla gości.

– Rany! Jaki dzisiaj piękny dzień! – Peabody uniosła twarz ku słońcu. – Zapomina się, jak baśniowo wygląda ten kampus w środku miasta. Popatrz tylko na te żonkile, na te tulipany!

Z szalem powiewającym za nią radośnie jak flaga na maszcie i rudozłotymi pasmami Peabody ruszyła przed siebie szeroką aleją college'u. Eve szła za nią, również ciesząc się pięknym dniem i rozmajając o tym, że ten wesoło powiewający szal mógłby posłużyć jako narzędzie zbrodni do uduszenia jej gołymi rękami.

Tu i ówdzie kręcili się studenci, rozłożeni grupkami na trawie albo na ławkach, najwyraźniej tak samo optymistycznie nastawieni do życia jak Peabody.

Eve wybiegła myślami ku mężczyźnie wewnątrz dystyngowanego, doskonale zachowanego gmachu, ku mężczyźnie, którego życie miała za chwilę bezpowrotnie zniszczyć.

Wszedłszy do środka, natknęła się na tłumy studentów i zwykły o tej porze gwar, ożywiany od czasu do czasu tupotem szybkich kroków. Wylegitymowała się, wpisała do księgi wejść, i jak to miała w zwyczaju, zaczęła się wspinać po schodach.

– Ma gabinet na pierwszym piętrze – zaczęła Eve. – Spróbuj wygasić te wiosenne iskierki radości w oczach, zanim... – Zobaczyła go w tej samej chwili, kiedy się znalazły na piętrze. – Dzień dobry, panie Mira – przywitała się, a jej serce roztopiło się w zachwycie. Tak działo się za każdym razem, kiedy go widziała.

Dennis miał na sobie tweedową marynarkę i przekrzywiony nieco krawat. W jego zielonych oczach o miłym spojrzeniu czaił się smutek.

– Witaj, Eve. – Ujął jej dłoń i poklepał ją z przyjaźnią, a potem przywitał się z Peabody. – Coś okropnego! Doprawdy! Co za straszna tragedia! Nie jestem w stanie zacząć... – Rzucił okiem na drzwi za plecami. – Była taką cudowną kobietą! Spotykałem się z nią na różnych imprezach organizowanych przez nasz wydział. Uwielbiałem szperać w książkach i robić zakupy w księgarni prowadzonej przez jej rodzinę. A Jay... Zastanawiam się, czy pozwolicie mi tam wejść i podtrzymać go na duchu. Pomyślałem, że lepiej by się czuł, gdyby miał wsparcie kolegi z pracy, przyjaciela, kiedy mu o tym powiecie. Zaprowadzę was do jego gabinetu, poczekacie tam, przyprowadzę go później do was, tak żeby nie musiały... Byłoby bardziej prywatnie.

– W porządku. Dobrze go pan zna?

– Jesteśmy, jak to mówią, dobrymi przyjaciółmi z pracy. Naprawdę dobrymi. Wielokrotnie dyskutowaliśmy o literaturze, odkąd dołączył do naszego zespołu. – Poprowadził je w głąb korytarza. – Czy jest możliwe, żebym był przy tym, kiedy go poinformujecie? Z tego, co zaobserwowałem, był bardzo oddany swojej żonie, w ogóle całej swej rodzinie. Mają dwóch synów.

– To bardzo miło z pana strony, panie Mira – zauważyła Peabody.

– To zwyczajny ludzki odruch – odparł, kiwając głową.

Kiedy otworzył drzwi niewielkiego gabinetu, skojarzył się on Eve z jej garderobą. Jej własny pokój w komendzie głównej policji w porównaniu z tym wydał się przestronny, a nawet luksusowy.

Dwie boczne ściany zajmowały półki zapchane książkami oraz folderami reklamowymi. Stało tam też kilka przezroczystych pudeł zawierających nośniki pamięci zewnętrznej.

Na blacie biurka – podobnie jak w domu – znajdowało się mnóstwo szpargałów.

W kącie za biurkiem znalazła schronienie kolejna gitara.

– Jay grał w szkole średniej w zespole muzycznym. Tu, w college'u, kontynuuje tę pasję – wyjaśnił Dennis. – Był wpatrzony w swoją żonę jak w obrazek. Biedny facet. – Rozejrzył się po gabinecie. – Wydaje mi się, że mam za mało krzeseł. Mógłbym przynieść jeszcze jedno, ale chyba się tu nie zmieści.

– Nie trzeba – odrzekła Eve.

– Jakoś sobie poradzimy. No to idę po niego. Nie ma co tego dłużej odkładać. Powiem mu... Powiem po prostu, że musi się pilnie zjawić w swoim gabinecie. Jego asystent przejmie prowadzenie zajęć.

Potoczył jeszcze raz wokół nieobecny wzrokiem, a w końcu wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Najśladzszy z żyjących mężczyzn – mruknęła pod nosem Peabody i jednym susem znalazła się przy biurku Jaya. – Dużo pracy, dużo bałaganu, ale zdołał upchnąć zdjęcie rodziny na blacie. – Odwróciła się. – A co z ich synami, Dallas?

Eve przyglądała włosy.

– Sprawdź, który z naszych jest w tej chwili wolny. Niech sprawdzą, z kim chłopcy mają lekcje. Najlepiej by było, gdyby wyszli z klasy w towarzystwie znanego sobie nauczyciela. Niech nasi znajdą

jakieś ustronne miejsce i tam ich poinformują o wszystkim. Gorzej by było, gdyby wkroczyli do klas i na oczach reszty zabrali ich stamtąd do dziadków. Tak. Tak byłoby o wiele gorzej.

– Sądzę, że masz rację. Wyjdę i to załatwię. Czy powinnam poczekać, aż zawiadomimy Durana?

– Nie. Zajmij się tym. Coś mogłoby wyciec, ktoś mógłby komuś coś szepnąć.

Kiedy Eve została sama, zaczęła się zastanawiać, jak można pracować w pokoju bez okien. Potem przyszło jej na myśl, że może te wszystkie książki... Może one stanowiły jego okno na świat?

Usłyszała, że drzwi się otwierają, przybrała więc profesjonalnie nieprzenikniony wyraz twarzy.

Jay Duran okazał się przystojnym mężczyzną o płowozłoty włosach i jasnoniebieskich oczach. Był wyższy aniżeli Mira, młodszy od niego, ubrany bardziej swobodnie, z koszulą wypuszczoną na spodnie, bez krawata, w trampkach.

Miał jednakże w sobie coś w zagadkowy sposób podobnego do Dennisa – Eve wyczuła to natychmiast: był uprzejmy, inteligentny i przy tym odrobinę roztargniony.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się do niej przepraszająco. – Obawiam się, że zupełnie zapomniałem o spotkaniu.

– Nie byliśmy umówieni, panie Duran. Porucznik Dallas. Jestem z nowojorskiej policji.

– Och! Ta Eve Dallas? Oczywiście, że widziałem film. Oglądaliśmy go całą rodziną. Czytałem też książkę. Jest niesamowita! Cała przyjemność po... – Nagle coś widać w jego głowie zaskoczyło, bo w jednej chwili spowaźniał. – Co się stało? – dokończył przestraszony.

– Z przykrością muszę pana poinformować, że pańska żona została zamordowana. Moje kondolencje.

– Co takiego...?!

Na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie pomieszone ze złością. Eve ją rozpoznała, gdyż zwykle pojawiała się pierwsza po poinformowaniu o śmierci bliskiej osoby.

– To niedorzeczne. Czy to jakiś kawał? To wcale nie jest śmieszne. Ani trochę. Elise jest w domu. Ma teraz spotkanie członkiń klubu książki. Myli się pani.

– Przykro mi, panie Duran. To ani głupi żart, ani pomyłka. Przyjechałam tu prosto z waszego domu.

– Ale to niemożliwe. Ja przecież... Dennis!

Kiedy ugięły się kolana Jaya, Eve skoczyła ku niemu, lecz Dennis ją ubiegł. Natychmiast schwytał młodszego kolegę i usadził go na jednym z rozkładanych krzesetek.

– Elise... – jęknął mężczyzna.

– Chodź no tu do mnie... – zaproponował zwyczajnie Dennis, kiedy Jay cały zadrżał. – Chodź no tu – powtórzył miękko i objął ramionami kolegę, gdy ten zaczął szlochać.

Eve czekała, aż Dennis się uspokoi. Widziała, jak wyciągał chustkę do nosa z kieszeni. Oczywiście miał przy sobie chustkę do nosa.

Jak mógłby jej nie mieć?

Peabody wróciła z kubkiem herbaty z automatu, a Eve pomyślała: – Oczywiście pamiętała o tym.

Jak mogłaby o tym nie pamiętać?

A kiedy Duran otarł twarz i wziął trzęsącymi się dłońmi kubek, który mu zaoferowała Peabody, wciąż czekała w milczeniu.

– Czy... Czy jesteście tego całkowicie pewni? – spytał drżącym głosem. – Może zaszła jakaś pomyłka?

– Mamy całkowitą pewność, panie Duran – odrzekła Peabody.

– Ale jak to możliwe? Jak?! Czy było jakieś włamanie? To spokojna okolica. Elise jest bardzo ostrożna.

– Nie, nie było żadnego włamania, proszę pana. Czy znał pan doktora Kenta Abnera?

– Eee... Nie wiem. Nie sądzę. – Uniósł dłoń do głowy i zaczął pocierać palcami skroń. Tarł i tarł... – Kto to jest? Czy to on skrzywdził Elise?

– Nie. Doktor Abner został zamordowany dwa dni temu. I jemu, i pańskiej żonie ktoś wysłał paczkę, która zawierała pojemnik z toksyczną substancją.

– Co takiego?! Substancja toksyczna w przesyłce? Nie rozumiem. Kto mógłby nam wysłać paczkę, która zawierała... Nie rozumiem. – Herbata przelała się przez brzeg kubka, kiedy skoczył na równe nogi. – Boże! Nasi chłopcy! Muszę pojechać po chłopców do szkoły!

– Pańscy synowie są bezpieczni – włączyła się do rozmowy Eve. – Odbierzemy ich ze szkoły i odwieziemy do dziadków.

– Detektywi Baxter i Trueheart są już w drodze – wtrąciła Peabody.

– Znam ich, Jay. – Dennis wyjął chustkę i ostrożnie osuszył dłoń Durana. – Są bardzo dobrymi ludźmi i na pewno dobrze się zaopiekują twoimi synami.

– Nie wiem... Boże! Co ja im powiem? Stracili matkę. Oni stracili matkę, Dennis!

– Musisz być silny dla nich. – Mężczyzna delikatnie, acz stanowczo posadził Durana z powrotem na krześle.

– Przykro mi, że w tak trudnym dla pana czasie musimy zadać kilka pytań – zaczęła Eve. – Pracował pan kiedyś w szkole imienia Theresy A. Gold.

– Ja? W Złotej Akademii? – spytał półprzymtomnie Duran. – A, tak. Odszedłem stamtąd kilka lat temu. Uczylem tam, zanim otworzyłem przewód doktorski.

– Znał pan pana Rufty'ego, dyrektora szkoły?

– T-tak. Przyszedł na to stanowisko jakoś wtedy, kiedy ja zamierałem odejść. Razem pracowaliśmy przez jeden semestr. Nie rozumiem?

– Kent Abner był jego mężem.

– Ale ja... Och, oczywiście! Poznałem go kiedyś. Tak mi się przynajmniej wydaje. Kilka lat temu. Jednakże Elise tam nie pracowała. Nawet go nie znała. Sądzę, że mogła spotkać doktora Rufty'ego najwyższej raz, ale ja... Sam nie wiem. O co w tym wszystkim chodzi? Chyba nie sądzicie, że zrobił to doktor Rufty? To nie miałoby sensu.

– Nie, proszę pana. Rufty nie jest podejrzanym w sprawie. Tak jak i pan stracił współmałżonka, i tak jak i pan był związany ze Złotą Akademią, toteż musimy się przyjrzeć bliżej tym powiązaniom. Czy zna pan może kogoś, kto uczył tam w tym samym czasie, a z kim miewał pan jakieś scysje? Kogoś, z kim miał pan problemy albo kto miał problemy z panem?

– Nie, nie! Dobry Boże! To było siedem... nie, osiem lat temu, kiedy przestałem tam pracować, a kiedy doktor Rufty... Martin? Tak, Martin... kiedy przejął stanowisko dyrektora, faktycznie szkoła miała pewne problemy. Owszem, lecz...

– Jakiego rodzaju problemy? – przerwała mu Eve.

– Ja... Boże! Z niechęcią do tego wracam. Powiedzmy, że zdarzały się różnego rodzaju niesnaski wśród personelu oraz nękanie pośród uczniów; w swoim czasie stały się prawdziwą zmurą szkoły. Do tego dochodziły oszustwa i ściąganie, lecz nie takie zwykłe, podczas klasówek, lecz zorganizowane nękanie i wymuszanie odrabiania lekcji za innych uczniów. Utraciliśmy poczucie koleżeństwa, no i... cóż... resztki dobrego wychowania. Przynajmniej moim zdaniem – westchnął. – Nie rozumiem jednak, w jaki sposób...

– Profesorze Duran, czy zechciałby pan zaspokoić moją ciekawość? – Eve próbowała znaleźć coś pośredniego pomiędzy delikatnym a twardym postawieniem sprawy. – Proszę mi opowiedzieć o konkretnych przypadkach nękania i oszustw. Przecież musiało się to łączyć z jakimiś działaniami dyscyplinującymi?

– No właśnie nie. Poprzednia pani dyrektor... hm... ustanowiła coś w rodzaju rywalizacji oraz hierarchii. Zawsze stała po stronie rodziców, którzy mieli coś przeciwko karaniu ich pociech za jakiegokolwiek przewinienia czy za złe zachowanie. My nauczyciele nie zgadzaliśmy się z tym... Wielu z nas czuło się odartych przez nią z autorytetu. Widzieliśmy, że najważniejsi są dla niej ci uczniowie, którzy byli dziećmi najbogatszych rodziców, bo dofinansowywali szkołę hojnymi datkami.

– Czy kiedykolwiek się pan z nią posprzeczał?

– Nie wiem, czy nazwałbym to sprzeczką, ale tak, składałem zażalenia, opisywałem swój przypadek. Wielu z nas tak robiło. Pretensje zgłaszało też wielu rodziców, w których odczuciu dzieci nie były równo traktowane, czy też były gnębione przez inne dzieciaki. Kilku nauczycieli skrzyknęło się w grupę. Złożyliśmy zbiorowe zażalenie bezpośrednio do rady szkoły, bo... powstał pewien krąg rozrabiających. Niestety, nie byliśmy w stanie dostarczyć jednoznacznych dowodów. Niektórzy uczniowie byli naciskani lub wręcz zastraszani, wciągani w proceder odrabiania prac domowych dla swoich dręczycieli. Zdarzały się nawet pobicia z mocniejszymi obrażeniami, lecz pani dyrektor... No cóż, udawała, że nic się nie dzieje.

Peabody błyskawicznie przeszukała bazy danych na swoim komputerze.

– Chodzi zapewne o panią Lotte Grange?

– Tak. Ona jednakże zrezygnowała z posady i objęła stanowisko w szkole... Zapomniałem nazwy. – Przetarł twarz dłońmi. Wyglądał jak człowiek tkwiący w koszmarnym śnie. – Przeniosła się gdzieś indziej – dokończył.

– Do prywatnej szkoły, przygotowującej do podjęcia dalszych studiów, imienia Lestera Hensena w Waszyngtonie Wschodnim – podpowiedziała Peabody.

– Chyba tak – odrzekł Duran. – Kilka razy się z nią ściąłem, przynajmniej, ale było to lata temu. Nie miała żadnego powodu, żeby skrzywdzić Elise. A Martin przyszedł na jej miejsce. On wszystko zmienił. On... Mimo że wiedział o tym, że odchodzi po zakończeniu semestru, spotkał się z mną i porozmawiał na temat uczniów, poinformował mnie o zmianach, które zamierzał wprowadzić. A ja... Ja z największą przyjemnością zostałem z nim jako szefem, tylko że marzyłem o pracy na uczelni.

– Pamięta pan może, czy ktoś okazywał niezadowolenie z tego, że to Rufty objął stanowisko dyrektora? Był nierad z wprowadzanych przez niego zmian?

– Na pewno, ale...

– Rozmawiał pan zapewne z nauczycielami. – Eve nie dawała za wygraną. – W pokoju nauczycielskim czy na szkolnych korytarzach.

– Tak, oczywiście, odnosiłem jednak wrażenie, że większość cieszyła się ze zmiany, a nawet odcznęła z ulgą, dowiedziawszy się, iż Grange odchodzi. Owszem, straciliśmy kilku uczniów, kiedy Martin wprowadził kary dyscyplinarne za nękanie i za ściąganie, ale równocześnie zyskaliśmy innych, a co jeszcze ważniejsze: nasza szkoła stała się lepszym miejscem i do pracy, i do nauki – wyjaśnił, a po chwili zmienił temat. – Muszę się zobaczyć z moimi dziećmi. Muszę zobaczyć Elise.

– Peabody, czy mogłabyś zorganizować odwiezienie pana Durana do teściów? – spytała Eve.

– Już się robi.

– Skontaktuję się z panem lub być może zrobi to nasz patolog, gdy tylko będzie mógł pan zobaczyć żonę – zwróciła się do Durana.

– Czy Elise trafiła do doktora Morrisa? – spytał Dennis.

– Tak właśnie.

– Jego również znam – rzekł Dennis do Jaya – i mogę cię zapewnić, że nikt nie odnosiłby się do Elise z większą troską i szacunkiem. Zapewniam, że nikt nie będzie pracował ciężiej, żeby odnaleźć tego, kto to zrobił, niż pani porucznik Dallas i detektyw Peabody. Możesz spokojnie jechać do swoich synów, a ja zajmę się wszystkim tu, na miejscu.

– Boże! – jęknął Duran. – Moi studenci! Zostawiłem...

– Niczym się nie martw. Wszystkim się zajmę. Weź tyle wolnego, ile ci trzeba, i kontaktuj się ze mną, jeśli będziesz czegoś ode mnie potrzebował. Uczynię wszystko, co w mej mocy.

– Posłuchaj, Dennis. – Jay zacisnął mocno powieki. – Ona była spoiwem naszej rodziny. Nasi chłopcy... – otworzył oczy i spojrzał na Eve – ...to mądrzy chłopcy, którzy wyrosną na mądrych młodych mężczyzn. Stworzyliśmy dobry dom, wiedliśmy razem dobre życie, lecz to ona nas spała, a ja... Czy pocałowałem ją dziś rano na pożegnanie? Tak sędzę. Myślę, że to zrobiłem. Nie sędzę jednak, bym jej powiedział, że ją kocham. Nie wydaje mi się, żebym to zrobił. Dlaczego tego nie zrobiłem?

– Panie Duran, z tego, co pan mówił, wynika tylko jedno: nie wątpiłam ani przez chwilę, że żona wiedziała o pańskiej miłości do niej. Jeśli pan sobie cokolwiek przypomni, choćby wydawało się najmniej istotne, proszę do mnie dzwonić o każdej porze.

Peabody wróciła bezgłośnie do gabinetu.

– Za chwilę przyjedzie po pana samochód – zwróciła się do Durana. – Może pójdziemy razem?

– Dziękuję, chętnie skorzystam. – Wstał i zamarł na moment, starając się pozbierać.

Dennis również wstał i go objął. Nie poklepał po plecach jak twarzą jedną ręką, lecz wziął w niedźwiedzi uścisk.

– Pamiętaj, Jay: jeśli czegokolwiek będziesz potrzebował, wal do mnie jak w dym – powtórzył.

Duran kiwnął głową i wyszedł wraz z Peabody.

Tymczasem Dennis ponownie usiadł.

– Wiem, jak często to robisz – rzekł do Eve – jak często musisz informować innych, że życie, które jeszcze pięć minut temu trwało, zgasło. Jesteś silną i odważną kobietą.

– To moja praca.

– Silną, dzielną kobietą – powtórzył. – Mam nadzieję, że nie przesadziłem.

– Nie. Zrobiłeś wszystko jak należy.

– Będziesz rozmawiać o tym z Charlie? – spytał.

Zawsze zajmowało jej chwilę skojarzenie, że Charlie to znana jej elegancka psycholożka Mira.

– Tak, kiedy tylko wrócę do centrali.

– Jeśli weźmiecie się do tego obie, na pewno rozwikłacie sprawę. Ona też jest silną, dzielną kobietą – dodał Jay, po czym wstał i objął Eve tak samo serdecznie, jak przed chwilą obejmował Durana. Poczują w jego uścisku, jak schodzi z niej napięcie. – Pójdę już zająć się sprawami tego biedaka.

– Dziękuję za pomoc tutaj.

Kiedy na pożegnanie dotknął jej policzka, ogarnęła ją euforia.

– Wszyscy robimy, co możemy – powiedział już w drzwiach.

A są tacy – pomyślała, kiedy została sama – którzy innym odbierają życie, by zniszczyć je kolejnym.

*

Peabody czekała na nią przy samochodzie.

– Pan Mira bardzo nam pomógł – oznajmiła. – Duran wspomniął mi po drodze, że kiedy się przeniósł na tutejszy uniwersytet, Mira był pierwszym wykładowcą, który zaprosił go na kawę.

– Taki on już jest. Musiał to wyssać z mlekiem matki – rzekła Eve, kiedy wsiadły do samochodu. – Czuję, że te informacje doprowadzą nas do sukcesu. Musimy sprawdzić tę Lotte Grange.

– Zaraz to zrobię. Kiedy dzwoniłam do Rufty'ego, powiedział, że może przyjść w każdej chwili, jeśli tylko go będziesz potrzebować. Finiszuje z ustaleniami co do pogrzebu zmarłego małżonka. Ceremonia odbędzie się z samego rana w parku, gdzie Abner lubił biegać.

– Umawiaj go – zarządziła Eve, a kiedy Peabody się tym zajęła, zadzwoniła do biura Charlotte Miry. Tym razem dla odmiany sekretarka była uprzedzającą miłą i od razu poinformowała, że szefowa przyjmie ją, jak tylko wróci do centrali.

– Duran nie da rady przyjechać wcześniej niż za godzinę – natychmiast przekazała Peabody.

– Idealnie. Umawiaj! – Eve wydała polecenie partnerce i zaczęła na głos analizować sytuację. – Morderca bierze na cel współmałżonków lub ukochanych, bo na pewno nie wszyscy z jego listy brali ślub. Czy nauczyciel chemii ze szkoły prywatnej może być wystarczająco biegły, by opracować formułę czegoś podobnego?

– Według mnie sporządzenie takiej toksyny wymaga o niebo wyższych umiejętności i wiedzy – zauważyła Peabody. – Na pewno wyższych niż posiadane przez nauczyciela ze szkoły, nawet prywatnej, ale kto go tam wie? Wygląda też na to, że zajęło mu to osiem lat prób i błędów, nim udało się sporządzić odpowiednią mieszankę. Poza tym z tego, co mówił Duran, nie wynika, żeby zdążył jakoś specjalnie namieszać za czasów swojej pracy w Złotej Akademii

– Niektórzy ludzie, zwłaszcza ci o morderczych skłonnościach, mają odmienne zdanie co do pewnych spraw. Mógł coś zrobić, coś powiedzieć, być z kimś – z kimkolwiek, przez co znalazł się na liście tego szaleńca. Może tego w ogóle nie pamiętać, a przynajmniej nie teraz, kiedy jest w szoku. Może później coś sobie przypomni – zamilkła na chwilę. – Rufty wciągnięty w to wszystko niewątpliwie będzie miał szerszą perspektywę, bo z tego, co słyszę, uprzątnął tam niezły bałagan, a przynajmniej tak to przedstawia Duran. Jeżeli zaprosił na indywidualną rozmowę nauczyciela, który miał wkrótce opuścić szkołę, na pewno zrobił to samo z pozostałymi. Być może któregoś z nich wyrzucił, a może ktoś inny doszedł do wniosku, że Grange musiała odejść, bo on się wepchnął na jej stanowisko? Jednakże... hmm... Grange objęła w końcu posadę dyrektorki w innej dużej prywatnej szkole z bogatymi dziećmi-kami wpływowych rodziców – rozważała głośno Eve. – Gdzie więc jest pies pogrzebany? Tego musimy się dowiedzieć.

Dokładnie w chwili, kiedy chciała skrócić do garażu podziemnego w budynku komendy głównej policji, wcisnęła mocno hamulec, by uniknąć przejechania nagiego młodzieńca. Biegł przed siebie jak szalony, z rozwianymi włosami i radośnie dyndającym fiutkiem, a za nim pędziła ile sił gromadka mundurowych.

Pies odskakiwali na boki, a on lawirował pomiędzy nimi zwinnie jak gazela.

– No cóż... – Eve patrzyła za nim dłuższą chwilę. – Nawet w Nowym Jorku zdarza się czasem coś, czego nie widuje się codziennie.

– Jest naprawdę szybki – rzekła z podziwem Peabody. – Prawdopodobnie dałybyśmy radę go złapać, zajeżdżając mu drogę samochodem.

– Prawdopodobnie – powtórzyła Eve, lecz zamiast ruszyć w pościg, zjechała do garażu. – To mundurowi powinni ruszyć z kopyta. Dlaczego właściwie z kopyta? – zaczęła się zastanawiać na głos, parkując na swoim miejscu. – Z kopyta może ruszyć najwyżej koń. Określenia potoczne bywają zabawne.

– Tak samo jak z tymi porównaniami odnoszącymi się do tyłka. Niczego nie można traktować dosłownie – dodała Peabody, kiedy ruszyły przed siebie. – Na przykład: wleczesz się tak, jakbyś miała ołów w tyłku.

– Jaki tyłek musiałabyś mieć, gdybyś poruszała się szybko? – Eve pociągnęła dalej rozważania partnerki. Zbliżały się do wind. – Co jest przeciwieństwem ołowiu? Mówi się: lekki jak piórko. Pióra? Jak by to brzmiało? Hej, mkniiesz, jakbyś miała pióra w tyłku? Brzmi idiotycznie. – Wsiadły do kabiny. – Jednakże można by tak mówić, bo czemu nie? Jedni wymyślają jakieś głupoty, drudzy je powtarzają i w ten sposób powstają jakieś kretyńskie powiedzonka. Ja idę prosto do Miry – zmieniła temat, podczas gdy Peabody wciąż przetwarzała to, co usłyszała – a ty zacznij grzebać w przeszłości Grange, tak żebyśmy miały sprawdzone dane na jej temat, zanim zaczniemy rozmowę z Ruftym.

Eve nie wytrzymała długo w kabinie zatłoczonej windy. Po przejechaniu kilku pięter wyskoczyła z niej i dalszą drogę przebyła po schodach. Zobaczyła w oddali swoją partnerkę.

– Hel! – krzyknęła Peabody. – Jest bardzo lekki, mógłby stanowić przeciwieństwo ołowiu. Hmm... Tamci policjanci na pewno nie mieli helu w tyłkach, sądząc po tym, w jakim tempie biegli.

Eve nawet się nie odwróciła i w odróżnieniu od swojej partnerki, natychmiast zapomniała o całej rozmowie.

Asystentka Miry popatrzyła na nią spod oka, lecz wpuściła do gabinetu szefowej bez słowa.

Mira siedziała za biurkiem w garsonce koloru rozbielonej lawendy z dziwną krótką falbaną w pasie. Dała znać gestem, żeby Eve zaczęła, aż skończy rozmawiać przez telefon.

– Nie, oczywiście, że nie. O to się nie martw... Wiem, kochanie, dobrze to wiem... Zjemy, jak wrócisz do domu, i wtedy o tym porozmawiamy. Tak... Zrobiłeś, co zrobiłeś. Pewnie... To miłe z twojej strony. Też cię kocham. Do zobaczenia w domu. Na razie! – Rozłączyła się. – Ach, ten Dennis! – westchnęła.

– Zdążyłam się zorientować – mruknęła Eve.

– Wziął zastępstwo za Jaya Durana. Poprowadzi za niego zajęcia klubu miłośników Szekspira o siedemnastej – wyjaśniła, po czym wstała i podeszła do AutoChefa, prezentując Eve nowe fioletowe szpilki. Ich odkryty czubek odsłaniał palce stóp z paznokciami pomalowanymi lakierem o tym samym odcieniu co garsonka.

Jak to możliwe, że ktokolwiek zwraca na to uwagę? – zdziwiła się w myślach Eve.

– To był dla niego olbrzymi cios – oznajmiła Mira.

– Twój mąż zachował się wspaniale w stosunku do Durana. Okazał się niezwykle pomocny.

– Słabo pamiętam Elise. – Gdy Mira niosła do stolika dwie filiżanki z herbatą, powietrze wypełniła kwiatowa woń. – Nie potrafiłam przywołać w pamięci jej twarzy, dopóki nie sprawdziłam danych w komputerze.

– Specjalnie nie udzielasz się towarzysko.

– No nie. – Podała Eve filiżankę i zasiadła w niebieskim kubelkowym foteliku, jednym z kompletu. – Nie biorę udziału w zbyt wielu spotkaniach wydziałowych Dennisa. Przeszkadza w tym moja praca, ale kilka razy się na nią natknęłam. Mają dwóch nastoletnich synów.

– Wiem. Kazałam Baxterowi i Trueheartowi zabrać ich ze szkoły i odwiedzić do dziadków. Ciało znalazła matka zamordowanej.

– Jakż to okropny dla nich dzień. Przejrzałam już dane dotyczące morderstwa, raport kryminalistyczny, zapoznałam się z chronologią wydarzeń. Mów, czego się dowiedziałaś.

– Coś, co łączy oba te zabójstwa, musi mieć związek ze szkołą, ze Złotą Akademią. Duran zgodził się przyjąć stanowisko wykładowcy na Columbii dokładnie wtedy, kiedy Rufty został tam dyrektorem. Pracowali razem tylko semestr. Zgodnie z tym, co mówił Duran, poprzednia pani dyrektor przymykała oczy na wiele spraw. Bardziej była zainteresowana nadszkarpianiem rodzicom niż rozwiązywaniem niesnasek w obrębie grona pedagogicznego, problemów z nekaniem uczniów przez uczniów, ze ściąganiem, czy z utrzymaniem dyscypliny. Grupa nauczycieli włącznie z Duranem wystosowała skargę na piśmie do rady szkoły.

– Czy przyniosło to jakiś efekt?

– Tego jeszcze nie wiem, ale poprzednia dyrektorka szkoły, Lotte Grange, przeniosła się do prywatnej, ekskluzywnej szkoły w Waszyngtonie Wschodnim. Placówka ta przygotowywała uczniów do podjęcia studiów. Jej miejsce w Złotej Akademii zajął Rufty. Z kolei Duran utrzymuje, że nowy dyrektor zaprowadził nowe porządki w szkole, podjął konkretne działania, dokonał zmian. Według Durana były to zmiany na lepsze, sądzę jednak, że ktoś nie podzielał tej opinii.

– Wyszłaś więc teorii, że ktoś zabija współmałżonków tych, do których powziął urazę, będąc w Złotej?

– Jak dla mnie wszystko pasuje. Duran wprawdzie utrzymuje, że nie miał żadnych poważnych kłopotów ani wrogów, lecz...

– ...co jednego człowieka może irytować tylko przez chwilę i szybko o tym zapomni, dla innego będzie głęboka, wciąż na nowo przeżywaną zniewagą – dokończyła Mira. – A jak się ma do tego Rufty?

– Wkrótce mam się z nim spotkać. Poproszę, by wrócił wspomnieniami do tamtego pierwszego semestru w szkole. Skoro Durana również to dotknęło, sprawa musi dotyczyć tamtego okresu. Wcześniej nie było Rufty'ego, później nie było Durana. Hipotetycznie istnieje możliwość, że ktoś mógł zasadać się na Durana, jeszcze zanim stanowisko objął Rufty, a potem, kiedy Duran odszedł, przeniósł pretensje na Rufty'ego, zacznie jednak od wspólnego semestru.

– Dobrze, zgadzam się z tym. Co wiesz na temat Grange?

– Peabody właśnie się tym zajmuje.

Mira skinęła głową ze zrozumieniem, piła łyk herbaty i przystąpiła do omówienia swoich wstępnych spostrzeżeń.

– Moim zdaniem ta osoba postanowiła zabijać niewinnych ludzi po to, aby mocniej uderzyć w tych, których obarczała winą. Chciała, żeby cierpieli, żeby do końca życia tkwili w smutku i żalobie, żeby wciąż na nowo przeżywali tę straszną stratę. Mogła to postrzegać w ten sposób, że to właśnie przez nich ona cierpiała i żyła w żalobie, odczuwając wielką stratę. Mogły tu występować zarówno osobiste, jak i profesjonalne powiązania z Grange lub z kimkolwiek innym, kto został wtedy wyrzucony ze szkoły. Mógł to być i uczeń, i któryś z nauczycieli.

– Jeśli mam rację co do wyznaczonego, interesującego nas przedziału czasu, morderca miał około ośmiu lat na przygotowanie, zaplanowanie ze szczegółami, opracowanie samodzielnie tej substancji lub uzyskanie do niej dostępu w inny sposób.

– Tak. Nie działa na zasadzie impulsu – zgodziła się z nią Mira. – Wszystko dokładnie oblicza. Jest to osoba świetnie zorganizowana i inteligentna, a równocześnie zimna, pozbawiona wszelkich emocji. Zabójstwo zostało dokonane na zimno, bez emocji – poprawiła się Mira. – Owszem, śmierć bardzo bolesna, ale szybka i tak obmyślona, by nikt inny nie ucierpiał. Ten element musiał kosztować ogrom czasu i pracy, by w efekcie zginęła wyłącznie osoba, do której zaadresowano przesyłkę.

– Morderca dokładnie też wiedział, kiedy przesłać paczkę – dodała Eve. – Za każdym razem przychodziła, kiedy ofiara przebywała w domu sama albo też miała takie plany.

– Tu również mamy wkalkulowane ryzyko. – Rozmyślając o tym, Mira postukiwała palcem w ściankę swojej ślicznej filiżanki. – W firmach kurierskich zdarzają się wypadki, błędy, zmiany planów, lecz jest to ściśle wkalkulowane ryzyko, bo co by stracił, gdyby coś się wydarzyło i kto inny otworzyłby paczkę lub uszkodzono by ją podczas transportu? Właściwie nic takiego. – Znowu się zamyśliła. – Ten ktoś miał stosowną wiedzę i umiejętności. Na pewno wcześniej pracował z toksycznymi chemikaliami.

– Może też współpracować z kimś, kto miał z nimi do czynienia – wtrąciła Eve.

Mira przekrzywiła głowę na bok.

– Tak. To bardzo możliwe – powiedziała po chwili zastanowienia. – On czy też oni musieli mieć dostęp do laboratorium, gdzie opracowali formułę substancji. Ten ktoś musiał kochać i być kochany lub tak mu się wydawało. Czy doświadczył osobiście tego uczucia, czy też nie, rozumiał ból straty i to tutaj wykorzystał.

– Czy mógł utracić współmałżonka?

– Jest to możliwe. Mógł też stracić dziecko lub kogoś z rodziców, kogoś, kogo kochał lub wydawało mu się, że kocha. Osoba, którą kochał, mogła też od niego odejść: być może było to zerwanie albo przeprowadzka ukochanej osoby w odległą stronę. Ja w nim widzę dobrego obserwatora. Kogoś, kto patrzy uważnie, bardziej dokumentuje pod kątem naukowym, niż tylko bierze w tym udział. Jeśli jednak wyznaczona przez ciebie chronologia zdarzeń jest prawdziwa, oznacza to, że jest niezwykle cierpliwy. Zdaje sobie sprawę, że dobrze wykonana praca i pozytywne jej efekty wymagają czasu. Może to być zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Trucizny to broń stosowana przez kobiety. Większości z nas, pomijając oczywiście tu obecne, brakuje siły fizycznej i umiejętności walki wręcz, żeby stanąć oko w oko z przeciwnikiem.

– On lub ona jest przy tym wszystkim tchórzem – wtrąciła Eve.

– Owszem. – Mira uśmiechnęła się kąciakiem ust. – I nie tylko dlatego, że tak uważasz. Również dlatego, że w żadnym ze złożonych zeznań nie było ani słowa o jakichkolwiek rękoczynach czy klótniach. Żadnych gróbów, rywali czy wrogów. Ta wściekłość, choć zimna i beznamiętna, została głęboko ukryta, i to ukryta nadzwyczaj skutecznie. Kiedy w końcu znajdziemy osobę, która morduje, ci, którzy ją znają, będą w szoku.

– Taa... To typowe. Najwięksi szaleńcy nawet swoim najbliższym wydają się miłymi, normalnymi ludźmi – zauważyła Eve.

– Bywają też pedantami, co na pewno trzeba wziąć pod uwagę. O dobrym kierunku naszych rozważań świadczy chociażby skrupulatność, z jaką sprawca spakował przesyłkę. Taśma, którą okleił paczkę, była idealnie równo owinięta. Jego miejsce zamieszkania czy pracy okazały się zapewne nieskazitelnie utrzymane. – Psycholożka usiadła wygodnie na krześle i zdjęła nogę z nogi. – Wiesz, zastanawiałam się nad symboliką tego złotego jajka, ale widzę, że tobie udało się odnaleźć to, co łączy oba te morderstwa.

– Złote jajko. Złota Akademia. To na pewno nie jest przypadek – rzekła Eve. – W tym zawiera się przesłanie.

– Zgadzam się w zupełności. Ja osobiście szukałabym w owym przesłaniu odbicia sytuacji, która od wielu lat drażniła ego mordercy. Nie zabija się kury znoszącej złote jajka. Nie da się zrobić omletu, nie rozbijając skorupki. Nie wszystko złoto, co się świeci. Wykorzystałabym tego rodzaju skojarzenia. To tylko tani gadżet, tak samo jak i szkatułka, lecz wewnątrz jaja zostało pokryte do bólu dokładnie. Dodaj do tego środek uszczelniający.

– I szkatułka, i pojemnik w kształcie jajka były tanie jak barszcz, można je kupić w dziesiątkach sklepów internetowych. Nigdy nie uda się nam odnaleźć miejsca, w którym zostały zakupione, gdybyśmy jednak natrafili na ślad osoby podejrzaną, to one zdradzą w niej mordercę – skonstatowała Eve. – Dziwne ma podejście do wydatków. Na opakowania nie chciał tracić pieniędzy, a same chemikalia i wyposażenie laboratorium pochłonęły zapewne małą fortunę, o ile nie miał do nich dostępu w swoim miejscu pracy. Na razie niczego nie udało się odszukać, w Nowym Jorku i całym New Jersey są tysiące laboratoriów chemicznych: analitycznych, badawczych czy edukacyjnych. Jakich chcesz.

Mira, popijając herbatę, zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

– Jego podejście do wydatków mówi mi, że zna wartość pieniędzy i je szanuje – powiedziała w końcu. – Wydaje je tylko wtedy, kiedy jest to niezbędne.

– Czyli wysłała swoim ofiarom tanioczę, bo po co tracić pieniądze, skoro można przeznaczyć je na coś innego – rozwinęła myśl Eve.

– Doskonale mnie zrozumiałas – pochwaliła ją Mira. – Morderca mieszka według mnie sam. Jeśli pracuje nad tą substancją w miejscu pracy, ma tam sporą samodzielność. Jeśli pracuje w domu, chce mieć spokój absolutny. Ma obsesję na tym punkcie, Eve. Z pewnością nie wdaje się w poważne związki. Nie należy do osób, które potrafią stanąć do bezpośredniej konfrontacji ze swoim antagonistą lub podjąć z nim dyskusję, zamiast tego wycofują się i obmyślają zemstę w domowym zaciszu. Mógł to robić wielokrotnie wcześniej, lecz nie ze śmiertelnym skutkiem, na przykład podważając autorytet czy umiejętności kolegów z pracy bądź swoich rywali, uważając przy tym, żeby przypadkiem nie znaleźć się z nimi oko w oko.

– Obserwuje i dokumentuje. Rejestruje wszystko.

– Tak. Taki typ będzie miał wszystko udokumentowane. Jest naukowcem z zawodu, a może ma tylko naturę naukowca. Wszystko, co zrobił i co zrobi w przyszłości, wszelkie dane, które udało mu się zgro-

madzić na temat osób, które obrał za cel swojej zemsty oraz swoich ofiar, będą uporządkowane i gdzieś zapisane. Oczywiście i cel, i ofiara to dla niego odrębne kwestie.

– Jak do tej pory osoby będące celem jego zemsty, które stały się ofiarami, miały rodziny. Dorosłe dzieci, plus własne małe dzieci w pierwszym przypadku, i nastoletni synowie w drugim – zauważyła Eve.

– Może sprawia mu satysfakcję rozbijanie rodzin? Jeśli kiedykolwiek miał swoją, już jej nie ma, więc dlaczego inni mieliby się cieszyć trwałym rodzinnym szczęściem? Gdzieś, kiedyś, w pewien sposób wywołali u niego smutek i rozgoryczenie, dlatego teraz on zgotował im to samo.

– Wróćmy jeszcze do szkoły. Zaczniemy od Rufty'ego. Zajmował tam kierownicze stanowisko i dokonał wielu zmian. – Eve sprawdziła godzinę na zegarku. – Zbliża się czas mojego spotkania z nim. – Wstała i zastanawiała się nad czymś przez chwilę. – Czy w tamtym czasie nasz morderca mógł być kimś należącym do tych młodszych? W sensie kimś, kto był uczniem, kiedy stanowisko dyrektora przejął Rufty? Może został wyrzucony ze szkoły, może poddano go jakiejś karze dyscyplinarnej lub nie zaliczył jakichś przedmiotów po zmianach?

– Już miałam ci odpowiedzieć, że to wątpliwe, ponieważ zaplanowanie morderstwa oraz długa przerwa czasowa świadczą o dojrzałości i cierpliwości. Pomyśl jednak o jajku i nazwie firmy użytej w roli nadawcy. Są czymś w rodzaju obrzydliwego żartu, nie uważasz? Powiedziałabym, że wysoki stopień inteligencji i brak jakichkolwiek emocji czy empatii bardziej go naznaczają niż wiek.

– Przychodzi mi do głowy Rayleen Straffo, mała, podstępna morderczyni, która nie była nawet nastolatką. Porozmawiam z Ruftym również o jego uczniach. Dziękuję, że poświęciłaś mi tyle czasu.

– Nawet kiedy odnajdziesz mordercę, będzie miał mocne alibi. Być może sprawi wrażenie chętnego do współpracy, ale od razu zacznie planować, jak ci podstępnie wbić nóż w plecy – przestrzegła ją Mira.

– Będę to miała na uwadze.

W drodze powrotnej do swojego gabinetu Eve wybrała schody, żeby mieć więcej czasu na przemyślenia. Po drodze natknęła się na grupkę policjantów zdążających w tym samym kierunku, którzy dyskutowali na temat zwiariowanego golasa, co z miejsca ją rozbawiło.

– Skurkowiec przeleciał ze dwadzieścia skrzyżowań z powiewającym na wietrze fiutem – mówił któryś z nich – lawirując między ludźmi z lekkością fregaty. Patrinki mówił, że nawet nie dostał zadyski, kiedy go wreszcie dopadli. Utrzymywał, że sprawdza swoje zagwarantowane konstytucyjną prawa. Zasadę wolności religii i jej praktykowania. Twierdził, że oddawał cześć bogini wiosny. A ubrania są... ten tego... konstruktem społecznym i w ogóle opresyjnym wymysłem.

– Wszelkie rodzaje ubrań – dodał jego towarzysz.

Eve opuściła klatkę schodową na wysokości piętra, gdzie mieścił się Wydział Zabójstw, i weszła do sali głównej. Idąc, starała się omijać wzrokiem krawat Jenkinsona. Zauważyła, że Carmichael i Santiago pograżeni są w zaciętej debacie na jakiś pasjonujący temat, a Peabody nie odrywa wzroku od komputera, łopiąc przy tym ten swój obrzydliwie słodki napój gazowany.

Taa... Wszelkie rodzaje ubrań... Konstrukty społeczny... – powtórzyła w myślach, wchodząc do gabinetu. Przygotuje się tu na spokojnie do przesłuchania.

Zarezerwowała salę konferencyjną. Nie chciała rozmawiać z Ruftym w ciasnej salce przesłuchań, a pokój wypoczynkowy dla całego wydziału wydał się jej niestosowny. Woląла bardziej odosobnione miejsce.

Zaczęła od uaktualnienia mapy oraz księgi zbrodni, a potem, nim wezwała Peabody, zastygła na chwilę w bezruchu, rozmyślając nad wprowadzonymi danymi.

– Mów, co masz o Grange – rzuciła, kiedy partnerka weszła.

– Kobieta o ciemniejszej skórze, siedemdziesiąt dwa lata, dwa małżeństwa, dwa rozwody, brak potomstwa. Obecnie na stanowisku dyrektorskim w szkole średniej imienia Lestera Hensena w Waszyngtonie Wschodnim, przygotowującej do nauki na studiach dziennych.

Peabody posłała błagalne spojrzenie w stronę AutoChefa i otrzymała od Eve przyzwalające skinienie głowy.

– Dziękuję. A ty?

– Poproszę. Kontynuuj.

– Okej. Przejrzałam dokładnie jej życiorys. Od zawsze uczyła w prywatnych szkołach, odkąd zaczęła czterdzieści dziewięć lat temu. Najpierw w Baltimore, w stanie Maryland, dochrapała się stanowiska asystentki dziekana wydziału. Następnie przeniosła się do szkoły w Columbus, rozwiodła się, awansowała na stanowisko asystentki dyrektora, przeniosła się do Złotej Akademii i tu też została zatrudniona jako asystentka dyrektora, ponownie wyszła za mąż, awansowała na dyrektorkę, znów się rozwiodła, po czym przeniosła się na stanowisko dyrektorki szkoły do Waszyngtonu Wschodniego. W Złotej Akademii utrzymała się na tej funkcji około dziesięć lat. – Podała kawę Eve. – Nie okazywała żadnych

szczególnych zainteresowań pracą naukową ani żadnych w tym kierunku zdolności. Jak dla mnie wygląda na to, że nauczanie wykorzystwała jako trampolinę do awansu w administracji i hierarchii.

– A ten drugi rozwód? Kiedy i kto wystąpił z pozwem?

– Ach! – Peabody sięgnęła po swój podręczny komputer. – Jej mąż, Reginald P. Greenwald. To również był jego drugi rozwód. Wystąpił z pozwem w... w styczniu roku dwa tysiące pięćdziesiątego trzeciego.

– W tym samym roku przeniosła się do Waszyngtonu Wschodniego. Reginald P. Greenwald. To chyba jakiś bogacz?

– Masz rację. To drugi syn Horacego W. Greenwalda i prezes firmy All Fresh, czyli „wszystko czyste i świeże”, którą założył w ubiegłym wieku Philip A. Greenwald, jego dziadek. Firma zajmuje się produkcją akcesoriów i środków do sprzątania dla domu i firm.

– Środki chemiczne do sprzątania? – Eve przeszedł dreszcz. – A zatem mamy chemika na pokładzie.

– Żebyś wiedziała. Należą do niego laboratoria naukowo-badawcze oraz ściśle produkcyjne, do testowania nowych produktów. A jak masz firmę przynoszącą miliony dolarów zysków, to spokojnie cię stać na opłacenie szalonego chemika. Po co jednak miałby zabijać małżonka dyrektora szkoły, który objął to stanowisko po jego byłej żonie? Albo żonę nauczyciela, który zaraz miał się przenieść gdzie indziej?

– To pytanie zadamy Greenwaldowi.

– Mam sprawdzić, czy Greenwald da się zaprosić do nas?

– Nie. Przywlecze ze sobą zgraję błyskotliwych prawników. Złożymy mu wizytę w miejscu zamieszkania. Wpadniemy do niego tuż po rozmowie z Ruftym. – Zerknęła na zegarek. – Powinien tu być lada moment. Zarezerwowałam salę konferencyjną.

– Taa... – westchnęła Peabody. – To będzie dla niego o wiele łatwiejsze niż rozmowa w pokoju przesłuchań. Może sprawdzę, czy AutoChef w konferencyjnym jest załadowany. On zdaje się pija herbatę?

– Tak. Leć sprawdzić i daj znać, kiedy przyjdzie.

Eve zaczęła przeglądać dane firmy All Fresh. Potwierdziło się, że mają laboratoria naukowo-badawcze w Nowym Jorku. Wśród zatrudnionych byli tam „naukowcy, chemicy, zielarze oraz innowatorzy”.

Żonę Greenwalda w swoim czasie oskarżyło grono nauczycieli, w tym Duran, niedługo potem jej miejsce zajął Rufty. Wkrótce porzucił ją mąż. Musiało ją to niezłe wkurzyć.

Eve zaczęła się zastanawiać nad swoją nową teorią, gdy zadzwoniła Peabody.

Kiedy wkroczyła do sali konferencyjnej, siedział tam już Rufty ze swoim zięciem. Peabody poczęstowała obu herbatą w filiżankach.

– Dziękuję za przybycie – zaczęła pani porucznik.

– Mieliśmy nadzieję, że udało się wam zdobyć jakieś konkretne informacje – rzekł Rufty.

– A my mamy nadzieję, że będzie pan w stanie nam pomóc w uzyskaniu odpowiedzi na kilka pytań na temat Złotej Akademii oraz zatrudnionych tam nauczycieli, odkąd zaczął pan tam pracować jako dyrektor.

– T-tak, oczywiście. Jeśli tylko to w czymś pomoże, choć nie wiem, co miałyby pomóc.

– Panie Rufty, czy pamięta pan Jaya Durana? Uczył jeszcze w Złotej, kiedy pan podjął tam pracę.

– Ja... Nie ma u nas nikogo o nazwisku Duran.

Eve wyjęła z teczki zdjęcie portretowe Durana.

– Pamięta pan tego mężczyznę? – spytała.

– Ach tak, tak, oczywiście. Przepaszam. W pierwszej chwili nie skojarzyłem nazwiska. Minęło od tego czasu dobrych kilka lat i Duran uczył tylko do końca semestru. Nie rozumiem... – Jego twarz poszarzała. – Czy on... Czy to on zamordował Kenta?

– Nie. – Nie ogląda wiadomości w telewizji, pomyślała Eve. – Elise Duran, żona profesora Durana, dostała dzisiaj rano przesyłkę. Nie żyje.

– Och! Dobry Boże! – Odwrócił się w stronę zięcia i ścisnął go za rękę.

– Czyżby to ten sam rodzaj morderstwa? – spytał Greg, przysunął swoje krzesło bliżej siedzenia teścia i objął go ramieniem. – Zginął tak samo jak Kent?

– Tak. Profesor Duran wspominał, że w szkole było mnóstwo incydentów i problemów za czasów poprzedniej dyrektorki, zanim pan objął to stanowisko.

– Nie rozumiem. Co to miałyby mieć wspólnego z Kentem? Z Jayem owszem, tak. Przypominam go sobie teraz. Ale z jego żoną? Chwileczkę... – Uniósł drżącą dłoń, a jego twarz zbladła. – Tylko nie oni. Ja tak. To z mojego powodu?... To ja jestem za to odpowiedzialny?...

– Panie Rufty! Osoba odpowiedzialna za ten czyn to ktoś, kto wysłał paczkę. Pan na pewno nie, ani też nie Jay Duran.

– Jednakże gdybym...

- Czy ośmieliłby się pan winić profesora Durana za śmierć jego żony?
- J-ja? Nie, skąd. – Otarł napływające łzy i zmusił się do zachowania spokoju. – Nie, nigdy w życiu! Nie pojmuję tylko, jak to się mogło ciągnąć przez tyle lat? A Jay? On uczył w tamtej szkole zaledwie krótki czas po moim przyjściu. Miał już zaklepane nowe miejsce pracy, tylko nie pamiętam gdzie.
- Na uniwersytecie Columbia.
- Tak, tak! Na Columbii. Był dobrym nauczycielem, pamiętam to. Prawdziwy pedagog z powołania. Czy ma dzieci? Wydaje mi się, że tak.
- Ma dwóch kilkunastoletnich synów.
- Och! Biedacy! Strasznie im współczuję! Będą musieli przejść przez to samo co my – zwrócił się do Grega. – Czują to samo co my.
- Musimy więc im pomóc – rzekł Greg, pocierając dłonią ramię Rufty’ego, by dodać mu otuchy.

Rufty zebrał się w sobie.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – oznajmił.

– Rozpoczął pan pracę jako dyrektor Złotej Akademii po zimowej przerwie świątecznej roku dwutyśczonego pięćdziesiątego trzeciego. Kiedy zdecydował się pan przyjąć tę posadę?

– Gdzieś w okolicy Święta Dziękczynienia. To był koniec listopada. Doktor Grange miała już podpisaną umowę na objęcie nowej posady. Odniosłem wrażenie, że podjęła tę decyzję bardzo szybko. Zrezygnowała z końcem roku.

– Orientuje się pan może, dlaczego zrezygnowała tak nagle?

– Podejrzewam, że chodziło o miejsce, w którym zaproponowano jej pracę: prestiżowa szkoła imienia Lestera Hensena.

– Panie Rufty! – przywołała go do porządku Eve.

Słyszając ton jej głosu, przymknął oczy.

– Przepraszam, ale mamy to we krwi, żeby nie mówić źle ani nie roznosić plotek o kolegach z pracy. Było na nią wiele skarg i ze strony rodziców, i ze strony grona pedagogicznego. Zdaje się też, że miała się rozwodzić. – Posłał Gregowi spojrzenie pełne bólu.

– Mów wszystko, co wiesz, Marty! – doradził mu zięć.

– Krążyły plotki... – westchnął. – Oskarżano ją, że miała romans z pewnym nauczycielem z naszego grona i że utrzymywała niestosowne relacje z ojcami wychowanków. Niektórzy twierdzili, że nie reagowała na oskarżenia o nękanie uczniów przez uczniów, o zastraszanie, ściąganie, zażywanie przez nich narkotyków i picie alkoholu.

– A nie reagowała?

– Tak uważam. Kiedy rozmawiałem z innymi nauczycielami, wielu z nich opowiadało mi te same lub bardzo podobne historie. Mimo to sądzę, że większość z nich to były plotki lub pomówienia. Tak się dzieje, gdy ktoś urazi czyjeś uczucia. Na podstawie tego mogłem formułować jedynie ogólne wrażenia. Spotkałem się również osobiście z doktor Grange podczas wymiany na stanowisku. Mieliśmy oboje kompletnie różne podejście do pracy. Szczerze mówiąc, wyglądało, że ma dość tej szkoły i chętnie stamtąd odchodzi. Pozostawiła mi listę nazwisk nauczycieli oraz pracowników administracji, którzy według niej sprawiali problemy.

– Czy Duran znalazł się na tej liście?

– Tak. Był na niej. Jednakże kiedy przyjrzałem mu się bliżej, kiedy spotkałem się z nim osobiście, doszedłem do wniosku, jak już wspominałem, że to pedagog nadzwyczaj oddany swej pracy. Przez te kilka miesięcy, które przepracowaliśmy wspólnie, widziałem w nim tylko człowieka, który ciężko pracuje, by przekazać wiedzę swoim uczniom. Pozostali na liście okazali się tymi, którzy składali na nią skargi do rady szkoły.

– Czy w pierwszych miesiącach pracy na nowym stanowisku zwracał pan komuś uwagę? A może ktoś czepiał się pana?

– Oczywiście. Przecież nastąpiła zmiana na stanowisku dowodzenia, a za tym poszły zmiany w filozofii funkcjonowania szkoły oraz w podejściu do wszystkiego. Grange nastawiała się przede wszystkim na zdobywanie wysokich darowizn pieniężnych dla Złotej, sprzedaż praw do używania nazwy naszej szkoły, budowanie jej prestiżu. – Rufty machnął ręką. – Zabrzmiało to pewnie krytycznie w stosunku do niej, ale tak było w rzeczywistości. Niestety, są to ważne aspekty kierowania szkołą prywatną. Zostałem poważnie uchybienia w utrzymywaniu dyscypliny oraz uprzedzenia grona nauczycielskiego wobec kilku uczniów, których rodzice owych darowizn dokonywali...

– ...a na których Duran i pozostali nauczyciele z tamtej grupy złożyli formalne doniesienie – weszła mu w słowo Eve.

– Tak. Istniało niepisane prawo, że jeśli uczeń czy uczennica byli nękanymi przez innych, musieli sami dawać sobie z tym radę i nie oglądać się na szkołę. Jeśli uczeń nie zaliczył testu, z automatu dostawał poprawkę, albo jeśli rodzice zaczynali narzekać, że dziecko ma za słabe oceny, stopień był automatycznie podwyższany. Ściąganie było, niestety, nagminne. Paru uczniów uczyniło z tego swego rodzaju biz-

nes. Notorycznie zastrasza kilku nauczycieli. Słyszałem też o przypadkach spożywania alkoholu i zażywania narkotyków nie tylko poza szkołą, ale i na jej terenie.

– Jak się pan z tym rozprawił?

– Zacząłem od spotkań ze wszystkimi zatrudnionymi w szkole po kolei. Niektórzy wykazywali duży opór przeciwko prowadzeniu otwartej rozmowy. To ci zaszufladkowani jako sprawiający kłopoty lub – jak już wspominałem – notorycznie zastraszani. Niektórzy, tacy jak Jay, byli już na wylocie lub planowali odejść, i dla nich wyznaczenie prawdy okazywało się łatwiejsze.

– Czy mogę wtrącić coś z perspektywy obserwatora? – spytał Greg.

– Pewnie – odpowiedziała Eve. – Słucham.

– Dla nas, to znaczy dla całej naszej rodziny, było jasne, że Marty dostał stanowisko dyrektora w Złotej Akademii nie tylko z powodu swej doskonałej reputacji i wysokich kwalifikacji, lecz również z powodu... hmm... filozofii życia. Zarząd szkoły potrzebował kogoś, kto posprząta cały ten bałagan. – Odwrócił się do teścia. – Miałeś wiele problemów do rozwiązania przez te kilka pierwszych tygodni, Marty. Pamiętam jeden z naszych rodzinnych obiadów, kiedy wyglądałeś na potwornie przemęczonego i zestresowanego. Powiedziałeś wtedy, że jeśli się chce, by statek wrócił po sztormie na właściwy kurs, nie można zdejmować rąk ze steru.

– Pamiętasz jeszcze takie rzeczy? – zdziwił się.

– Czy udało się panu utrzymać ręce na kole sterowym, panie Rufty? – spytała Eve.

– Greg nie mylił się co do tego, dlaczego zaferowano mi to stanowisko, a szczerze mówiąc, dlaczego je przyjąłem. Wiedziałem, że będzie to dla mnie wyzwanie, i sam tego chciałem. Tak naprawdę to, co zamierzałem zrobić i co w sumie zrobiłem, niektórych wcale by nie ucieszyło, gdyby o tym wiedzieli.

– A co takiego pan zrobił?

– Wprowadziłem sztywne zasady, połączone z konkretnymi działaniami dyscyplinującymi, odnoszące się do nękania, ściągania, picia alkoholu i tym podobnych przewinień – zamilkł na chwilę, splótł palce i wsparł ręce o blat stołu konferencyjnego. – Kilku uczniów zostało wówczas zawieszonych za nagminne nieprzestrzeganie nowego regulaminu. W rezultacie odbyłem kilka bardzo nieprzyjemnych spotkań z wkurzonymi rodzicami. Parę osób wypisało swoje dzieci ze szkoły.

– Czyli rzeczywiście, jak powiedział Greg, były trudne początki – podsumowała Eve.

– Tak, tak, dokładnie. Nie wiem, co bym zrobił bez wsparcia Kenta przez tych pierwszych kilka tygodni. Przyznaję: już myślałem, że mnie wyleją. Kilka obiecanych darowizn zostało cofniętych, kilku uczniów opuściło szkołę, paru nauczycieli, którzy przywykli do nieco... hmm... luźniejszych zasad, było wyraźnie rozczarowanych.

– Nigdy nam tego nie mówiłeś! – Greg obrzucił teścia zdumionym spojrzeniem. – Znaczący się tego, że obawiałeś się zwolnienia.

Rufty uśmiechnął się blado i poklepał zięcia po ramieniu.

– Dzieci nie muszą wszystkiego wiedzieć. Byli tam też i inni spośród personelu czy uczniów, a nawet w zarządzie szkoły, którzy odetchnęli wreszcie z ulgą, zadowoleni z wprowadzenia nowych zasad i nowego podejścia do kierowania szkołą. To zrównoważyło moje szanse. Jeszcze przed nadejściem wiosny wszystko się uspokoiło.

– Sprostaj pan zadaniu! – powiedziała z podziwem Peabody. – Statek obrał dobry kurs.

– Lubię tak o tym myśleć. Tak. – Znów się uśmiechnął.

– Czy ktoś kierował wobec pana jakieś groźby? – spytała Eve.

– Och! Znalezli się rodzice, którzy straszili, kim to oni są. Garstka sprawiających problemy uczniów próbowała zrobić to samo.

– Czy wyrzucił pan kogoś z nich ze szkoły?

– Do tego nie doszło, lecz zasugerowałem najbardziej oburzonym rodzicom, że być może ich dzieci nie pasują do tej szkoły.

– Zwolnił pan kogoś z personelu?

– Podeszedłem do nich w ten sam sposób: zasugerowałem, że jeśli mają psioczyć na moją wizję szkoły oraz wprowadzone przeze mnie metody wychowania i nauczania, to lepiej niech wpaśują się gdzie indziej. Czuję, że muszą dać czas na dostosowanie się. Nic na siłę. Żadnych zwolnień czy wydażeń dyscyplinarnych w tych pierwszych tygodniach. Ostrzeżenia formowałem ustnie podczas spotkań oko w oko z każdym po kolei – zamilkł na moment. – To było osiem lat temu! – mruknął, a z jego twarzy znikły resztki uśmiechu. – Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto mógłby przez tyle lat żywić w stosunku do mnie aż taką złość czy czuć się aż tak urażony i rozżalony, by się do tego posunąć. Weźmy teraz Jaya. Przecież on nic nie zrobił. Nie kierował szkołą, był tylko wychowawcą klasy.

– No to może byśmy ponownie zweryfikowali wszystkich po kolei? Sprawdźmy, co robią teraz jego byli uczniowie, którzy z nich sprawiali problemy, którzy zostali zabrani ze szkoły przez niezadowolono-

nych rodziców – zaproponowała Eve.

Kiedy Rufty podniósł na nią wzrok, w jego spojrzeniu dostrzegła wyraźną ulgę. Wreszcie coś do zrobienia – pomyślała. – Coś konkretnego, odwracającego uwagę od żałoby.

– Mogę przejrzeć wszystkie moje stare zapiski. Tak, da się to zrobić! Zajmę się tym z radością, jeśli tylko to w czymś pomoże.

– Na pewno pomoże. Macie tam laboratoria chemiczne, nauczycieli chemii.

– Oczywiście, że mamy. Laboratorium dla klas starszych, inne dla nieco młodszych, a jeszcze inne dla uczniów zaawansowanych w chemii. O mój Boże! Chyba pani porucznik nie myśli...

– Chcemy sprawdzić wszystko – zapewniła go Eve. – Gdyby zechciał mi pan podać nazwiska tych zaawansowanych studentów oraz nauczycieli chemii. Plus wszystkie nazwiska z pańskich notatek od momentu przyjęcia funkcji dyrektora.

– Tak, tak! Teraz muszę się zająć ostatnimi uzgodnieniami do ceremonii pogrzebowej Kenta, a gdy tylko z tym skończę, podjadę do szkoły i zajrzę do danych archiwalnych.

– Moglibyśmy zrobić to za pana, ale musimy mieć pisemne zezwolenie. Oczywiście załatwię nakaz, żeby mieć przykrywkę. Przejrzyj to nasza sekcja speców z EDD. Kiedy już wszystkich sprawdzimy, chciałabym jeszcze raz z panem porozmawiać.

– Daj jej to zezwolenie, Marty.

– W porządku. Zrobię, co będzie trzeba. Nie pamiętam tylko wszystkiego tak dobrze, jak powinienem.

– Ma pan w tej chwili za dużo na głowie – wtrąciła Peabody. – Gdyby się jeszcze coś panu przypomniało, proszę się skontaktować z którąś z nas. Może robił pan jakieś notatki dla siebie? Coś, czego nie ma w oficjalnych plikach w komputerze?

– Robiłem wówczas, oczywiście, lecz... – Rufty potarł skroń dłonią, jakby chciał usunąć blokadę w mózgu. – Miałem to w moim starym tablecie. Kiedy wymieniałem go na nowy, wyczyściłem dysk. Zamierzałem go komuś oddać, ale powiedziałaś mi, Greg... prawda, że tak powiedziałaś?... że nic nie zostaje całkowicie usunięte, jeśli wiesz, jak to odzyskać.

– Dał tablet Avie, mojej córce – przypomniał sobie Greg.

– Czy wciąż go ma?

– Jestem pewien, że tak. Gdzieś musi być.

– Gdybyście mogli go odszukać, fachowcy z EDD spróbują odzyskać usunięte dane. Mogą się przydać.

– Przypilnuję ją, żeby go odnalazła. Czy powinienem go dostarczyć pani do rąk własnych? – spytał Greg.

– Dajcie nam znać, gdy tylko znajdziecie tablet – powiedziała Eve. – Wyślemy kogoś po niego.

– Jeśli faktycznie potraficie odzyskać usunięte dane – włączył się Rufty – i będziecie potrzebować pomocy przy interpretacji moich notatek, z chęcią podjadę.

– Pańska pomoc jest dla nas bezcenna.

– Prowadzicie śledztwo w sprawie śmierci miłości mojego życia. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Chcę jeszcze powiedzieć, że wasz doktor Morris był bardzo uprzejmy. – Jego oczy znów wypełniły się łzami. – Wszyscy są dla nas bardzo mili i uprzejmi. Zastanawiam się, czy to będzie stosowne z mojej strony, gdybym skontaktował się z Jayem, żeby mu złożyć kondolencje? Moglibyśmy obaj wspomóc się wspomnieniami z tamtego okresu. Może w dniu jutrzejszym, po...

– Mówił o panu w samych superlatywach. Myślę, że byłby wdzięczny.

– W takim razie zrobię to. Jutro, po ostatnim pożegnaniu – podjął ostateczną decyzję.

Kiedy Peabody poszła odprowadzić obu mężczyzn do wyjścia, Eve zajęła się załatwieniem nakazu, a następnie wyjęła notes.

Chciała odnaleźć nazwiska absolwentów Złotej Akademii z roku pięćdziesiątego trzeciego. Nazwiska uczniów i ich rodziców, tych, którzy zabrali swoje dzieci ze szkoły podczas pierwszego semestru rządów Rufty'ego. Nazwiska nauczycieli i personelu administracyjnego z tamtego okresu, tych, którzy zostali oraz tych, którzy odeszli. Uczniów zawieszonych lub ukaranych naganą w tym samym przedziale czasowym.

To musiały być te widełki czasowe – myślała Eve – bo w innym razie po co uderzać w Durana? To musiało powstać w związku ze zmianą dyrektora szkoły.

Rada szkoły... – zastanawiała się. – Czyżby naciskali na Grange, żeby się przeniósła?

Wciąż robiła notatki, kiedy wróciła Peabody.

– Potrzebne nam są nazwiska nauczycieli chemii – Eve natychmiast zwróciła się do niej – a co do uczniów, skoncentrujmy się na razie na tych z ostatniej klasy.

– Będziemy trzepać takich młodziaków? Powinni teraz być po studiach, a może już kończą podyplomówkę? Ile mogą mieć lat? Dwadzieścia pięć? – Jej partnerka pełna była wątpliwości.

– Są mniej więcej w twoim wieku, Peabody. Uważasz, że jesteś zbyt młoda, aby być policjantką?

– No coś ty!

– No właśnie. – Eve odchyliła się wygodnie na swoim fotelu biurowym i się zamyśliła. – Dawno temu, kiedy pracowałam jeszcze jako zwykła policjantka patrolująca ulice, ścigałam pewnego kieszonkowca, a kiedy go dopadłam, wyciągnął z kieszeni nóż i próbował mnie dźgnąć. Miał dziesięć lat. Poza tym mamy na naszej liście i starszych facetów. Na przykład Greenwald, były mąż Grange.

– Ten akurat powinien wrócić do domu mniej więcej za godzinę – poinformowała ją Peabody. – Jego apartament mieści się w budynku przy Riverside Drive. Zajmuje całą górną kondygnację.

– Samo sprzątnięcie musi go nieźle kosztować. Sprawdź, czy Feeney może nam dać McNaba, a może i Callendar. Wracamy do Żłotej Akademii.

Po drodze Eve wpadła do swojego gabinetu w centrali. Miały najpierw pojechać do szkoły, potem bez zapowiedzi odwiedzić Greenwalda i może jeszcze zajeżdżać po tablet, złapała więc torbę z dokumentami i pobierała wszystko, co mogło jej się przydać do pracy w domu.

– Spotkają się z nami przy samochodzie – rzuciła w jej stronę Peabody, kiedy Eve pojawiła się ponownie w sali głównej wydziału. – Okazuje się, że Callendar zna kogoś, kto chodził do Żłotej. Ukończył ją już wtedy, kiedy dyrektorem był Rufty, więc może być jeszcze jednym naszym źródłem informacji.

– Całkiem poręcznym źródłem.

– Och! Zasięgnęli też języka na temat tego uciekającego golasa.

– Cały dzień ledwo mogłam usiedzieć w miejscu, czekając na te wieści – fuknęła Eve.

– Okazuje się – kontynuowała niezrażona brakiem zainteresowania partnerki, kiedy już wsiadły do windy – że to zawodowy biegacz. Maratończyk. Jego organizm zareagował w ten porąbany sposób na lekarstwa, które miał przepisane po jakimś urazie, w połączeniu z homeopatycznymi medykamentami, połączonymi dla wzmocnienia. W efekcie zrzucił lachy i ruszył biegiem przez miasto.

– Załóżysz się, że do końca dnia będzie miał podpisany kontrakt reklamowy z jakąś firmą produkującą odzież sportową albo jakąś od butów do biegania, a może z obiema?

– Uuuu! – Peabody zawyla z zachwytu. – Ty to masz łeb! Powinnaś napomknąć o tym Roarke'owi.

– Jeśli mnie coś podobnego przyszło do głowy teraz, to znaczy, że on zdążył o tym pomyśleć, jeszcze zanim tamtego złapał. A może przy okazji wypromować nową markę? Na przykład firmę o nazwie: Whatever Sportswear, czyli cokolwiek do wrzucenia na grzbiet. Następnym krokiem po bieganiu na golasa.

Zaskoczona takim skojarzeniem Peabody prychnęła śmiechem:

– Hihi! Nieźle to wymyśliłaś.

– Przynajmniej mówi samo za siebie.

W garażu podziemnym przeszły na drugą stronę hali, do miejsca parkingowego, gdzie czekali już na nie McNab i Callendar.

Ci z kolei mieli na sobie zestawy ubrań w sam raz dla maniaków komputerowych. Callendar w fioletowej bluzce koszulowej (kolorem miała współgrać z pasemkami na jej włosach?) oraz białych, szerokich, workowatych spodniach w czarne grochy, podtrzymywanych przez tęczowe szelki. Do tego fioletowe trampki wysokie za kostkę.

McNab do koszuli w żrąco seledynowym kolorze dobrał równie szerokie, workowate spodnie w kolorze pomarańczowym w seledynowe prążki, pomarańczowe aerobuty oraz zielony, miękki płaszcz do kolan, który lśnił w świetle lamp.

Odniosła wrażenie, że w świątku maniaków komputerowych jakby pasowali do siebie.

Każde z nich dźwigało na ramieniu torbę. Upchnęli w nich zapewne jakieś elektroniczne narzędzia, potrzebne im do pracy. Widać nie zmieściły się w dziesiątkach kieszeni i kieszonek workowatych spodni.

– Jo! Hej, dziewczyno! Ale ci super z tym rudym! – zawołała na powitanie Callendar.

– Prawda? – Uśmiechnięta od ucha do ucha Peabody lekko potrząsnęła głową.

Eve wzniosła oczy ku niebu. McNab i Peabody przywitali się przelotnym muśnięciem palców obu rąk, a potem wszyscy razem wladowali się do samochodu.

– Czy możemy się poczęstować napojami gazowanymi w puszkach? – spytała Callendar z tylnego siedzenia.

– A róbcie, co chcecie. – Eve ruszyła z miejsca. – Nakaz powinien być gotowy, nim dotrzemy na miejsce. Potrzebne nam są dane z roku pięćdziesiątego trzeciego i pięćdziesiątego czwartego: uczniowie, nauczyciele, pracownicy administracyjni. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że ktoś z pracowników lub uczęszczających do szkoły w tym przedziale czasu okaże się naszym głównym podejrzanym.

Może to być któryś z rodziców lub uczniów, w jakiś sposób powiązany z któryś z pracowników szkoły.

Gdy wewnątrz auta wypełniło się wonią słodkich napojów z bąbelkami, Eve przekazała przybyłym w skrócie informacje na temat śledztwa.

– Zgodnie z zeznaniami świadków, których przesłuchaliśmy do tej pory, poprzednia pani dyrektor pozwoleń, żeby pewne sprawy wymknęły się jej spod kontroli. Skupiała się wyłącznie na załatwianiu szmalu dla szkoły.

– Mogę mieć informacje z pierwszej ręki – oświadczyła Callendar pomiędzy jednym siorbnięciem a drugim. – Koleguję się z gostkiem, który chodził do Złotej. Opowiadał mi, że czasem musiał związać biegiem, żeby nie skopali mu tyłka. Raz nie udało mu się uciec i pobili go. Ukończył szkołę w pięćdziesiątym trzecim albo czwartym. Jego rodzice wciąż mu suszyli głowę, żeby się stamtąd przeniósł, ale uparł się, że chce skończyć, gdzie zaczął. Pracuje teraz w jednej z firm Roarke’a.

– Coś takiego! – Eve zerknęła przelotnie we wsteczne lustro.

– Yhm. Jest programistą gier komputerowych. Pracuje dla Roarke World od dwóch lat. Mogę go w skrócie opisać, jeśli chcesz chwilę poplotkować.

– Chcę chwilę poplotkować.

– No dobra. Ogarzę to. W przeszłości spędzaliśmy ze sobą wiele czasu, ponieważ, no wiecie, wspólna pasja: gry komputerowe. Jest nieprzyzwoicie wręcz inteligentny i całkiem zakręcony na punkcie komputerów. Mógł równie dobrze pokazać tym wszystkim dupkom, no wiecie, środkowy palec. Chcieli, żeby hakował komputery nauczycieli i ściągał wyniki testów, żeby odrabiał za nich prace domowe itede, itepe. Ja chodziłam na sztuki walki, więc pokazałam mu kilka chwytów. Trochę mu to pomogło.

– A co na to szkoła? Dyrekcja? Nie zainteresowali się? – spytała Eve.

– Z tego, co wiem, tak właśnie było. Taa... Uczył się tam i zdał celująco na studia. Taa... nieprzyzwoicie wręcz inteligentny.

– Grange, poprzednia dyrektorka, albo nagle w środku roku szkolnego zdecydowała się zmienić pracę, albo została do tego zmuszona – zaczęła dalej wyjaśniać sytuację Eve. – Rufty, mąż pierwszej ofiary, przyszedł po niej i opanował chaos. Niektórzy nie byli z tego zadowoleni. Druga ofiara była żoną nauczyciela, który złożył skargę na Grange, a potem przeniósł się do pracy jako wykładowca na Columbię. On i Rufty bardzo dobrze się dogadywali podczas tego wspólnego semestru pracy w Złotej. Rufty twierdził, że chodziły wówczas plotki, jakoby Grange romansowała. Podobno sypiała z którymś z nauczycieli, a zdarzało się, że i z ojcami uczniów. Jej mąż złożył pozew o rozwód jakiś w tym samym czasie. Z nim również będziemy musiały pogadać.

– Czy ta cała Grange nie wydaje ci się podejrzana? – wtrącił McNab, gdy opróżnił do dna swoją puszkę.

– Mieszka teraz na stałe w Waszyngtonie Wschodnim. Sprawdzimy jej podróże pomiędzy miastami, ale taki przejazd w tę i z powrotem byłby wykonalny. Nic jednakże w jej wykształceniu nie wskazuje na zainteresowanie chemią. Jej były mąż... oczywiście mówię o drugim mężu... jest prezesem i właścicielem firmy All Fresh, a tam to już się dzieje prawie sama chemia.

Ich oczom ukazała się ceglany pięciokondygnacyjny gmach szkoły imienia Theresy A. Gold. Złota Akademia. Czujniki kamer ochrony nad podwójnymi drzwiami prowadzącymi do środka mrugnęły i obiektywy zwróciły się w ich stronę.

Eve zaparkowała na miejscu dla aut dostawczych i włączyła policyjnego koguta na dachu.

– Już po lekcjach – powiedział McNab, stając na chodniku i uważnie przyjrzał się budynkowi. – Będzie łatwiej.

– Czy kiedykolwiek znalazłeś się w szkole po zakończeniu lekcji? – spytała Callendar.

– Pewnie tak – mruknął.

– Jak dla mnie panuje wówczas upiorna atmosfera. Normalnie dostajesz gęśiej skórki. – Callendar wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Ja spoko mogę pracować w takich warunkach.

– Jest tu też internat – dodała Eve. – Na ostatnich piętrach są pokoje mieszkalne. Część personelu z działu administracji przebywa tu całą dobę na okrągło.

Podeszła do drzwi wejściowych i nacisnęła klamkę, stwierdziła, że są zamknięte na klucz. Przeszła jej przez myśl, żeby sforsować zamek, lecz ostatecznie nacisnęła grzecznie guzik dzwonka.

Witamy w akademii imienia Theresy A. Gold. Lektje odbywają się od poniedziałku do piątku w godzinach od ósmej do piętnastej. Kółka zainteresowań mają zajęcia w soboty od godziny dziewiętej do czternastej. Godziny wykładów i przedstawień wyszczególnione są na naszej stronie internetowej. Jeśli przybyli Państwo na wizytę umówioną w godzinach późniejszych, proszę podać swoje nazwisko oraz nazwisko osoby, z którą mają się Państwo spotkać.

Eve pomyślała: – bla, bla, bla... – i wygłosiła formułkę:

– Tu porucznik Dallas, nowojorska policja NYPSD. Przybywamy w sprawie prowadzonego śledztwa. Proszę poinformować osobę dyżurną. – Zerknęła na swój komputer i zobaczyła, że właśnie otrzymała nakaz sądowy. – Mamy prawomocny nakaz wejścia i przeszukania szkoły.

Proszę chwileczkę poczekać. Informacja zostanie przekazana asystentce dyrektora szkoły, pani Myata.

Długo nie czekali. Drzwi się otworzyły. Stała w nich niska, drobna Azjatka o kruczoczarnych włosach. Na powitanie wyciągnęła do Eve dłoń delikatną jak skrzydło ptaka.

– Witam, pani porucznik. Jestem Kim Myata, asystentka dyrektora. Pan dyrektor Rufty dzwonił do mnie i poprosił o wypuszczenie waszej ekipy. Wejdźcie, proszę.

W białą marmurową podłogę pośrodku imponującego westybulu wkomponowano ogromne złote godło szkoły. Po obu jego stronach znajdowały się stanowiska ochrony. Sufit wznosił się pięć kondygnacji powyżej. Centralnie usytuowano doświetlającą wnętrze kopułę z witrażowego szkła.

Na jednej ze ścian wisiała ogromna szklana gablota z mnóstwem nagród otrzymanych przez szkołę. Na innej widniał obraz przedstawiający naturalnej wielkości kobiecą postać.

Eve doszła do wniosku, że musi to być nieżyjąca od ponad pół wieku Theresa A. Gold, fundatorka szkoły. Prezentowała się groźnie jak cholera.

Pomimo majestatyczności, białych marmurów, złożonych ram, lśniących złotem nagród za szkłem – wciąż zalatywało tu zwykłą szkołą.

Pot, strach, hormony, ukryte słodycze.

Eve nigdy tego nie lubiła.

– Wszyscy tutaj jesteśmy pogrążeni w żalobie wraz z dyrektorem – mówiła dalej Myata. – Jesteśmy gotowi do współpracy przy śledztwie. Mam nadzieję, że nie przekroczę swoich uprawnień, udostępniając wam pliki, których potrzebujecie, a o których powiedział mi dyrektor Rufty.

– My możemy się tym zająć. Czy są w komputerze w jego gabinecie?

– Tak. Zamknęłam jego pokój na klucz, nikt nie wchodził. Dopiero teraz skontaktował się ze mną w tej sprawie. Ja mam jego kody dostępu, a on moje. Dyrektor przekazał mi również, że jego córka znalazła tablet, o którym rozmawialiście. Przywiezie go tutaj.

– Możemy odebrać tablet po drodze.

– Ona już tu jedzie.

– Okej. W takim razie urządzenie przejmą specje z EDD.

– Dopilnuję tego. Czy mogłabym otrzymać kopię nakazu tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś zechciał przeprowadzić kontrolę zgodności z prawem?

– Peabody!

– Zaraz wydrukuję i dostarczę go pani.

– Dziękuję! Proszę za mną. Przez większą część dnia uczniów tu nie ma – ciągnęła, prowadząc ich korytarzem w lewo, gdzie za przeszkloną ścianą mieścił się dział administracyjny. – Obecnie na pierwszym piętrze znajduje się tylko kilku uczniów odrabiających zadane prace pod nadzorem nauczyciela. Ci, którzy mieszkają w naszym internacie, mogą przebywać tylko na trzecim i czwartym piętrze, jeśli nie dostaną pozwolenia na opuszczenie tego miejsca lub pracują nad zadaniami klasowymi.

Przeciągnęła kartą dostępu przez czytnik.

Wesził wprost do poczekalni z kilkoma krzesłami. Naprzeciw drzwi wejściowych ciągnęła się długa lada z dwoma stanowiskami komputerowymi. Teraz nikogo tam nie było.

– Do gabinetu dyrektora zapraszam tędy. – Myata wskazała kierunek.

Tędy uczniowie wędrują do dyrektora na dywanik – pomyślała Eve. – Muszą przejść cichym, pustym korytarzem, mijając zamknięte drzwi, zagłębiając się w jego otchłań. Br!

Myata ponownie otworzyła kartą drzwi. Wisiał na nich sztyl z napisem:

Dyrektor Martin B. Rufty

W obszernym pokoju okna były zasłonięte roletami. Nieopodal drzwi stało biurko z komputerem, multiliniową centralką telefoniczną oraz wewnętrznym centrum komunikacji z terenem szkoły. Było tu kilka fotografii oprawionych w ramki, przedstawiających członków rodziny. Papiery utrzymywał w miejscu interesujący szklany przycisk. Na ścianach piętrzyły się półki pełne książek. Uwagę zwracała ogromna tablica korkowa z poprzipinanymi ogłoszeniami i afiszami z teatrów, koncertów, wykładów, targów nauki, dni kariery i tym podobnych wydarzeń.

Miał tu też żywe kwiaty doniczkowe, ich liście zdawały się leciutko drżeć, jak również niewielką łazienkę i malutki aneks z miejscem do siedzenia, sprawiający wrażenie raczej przytulne niż onieśmielające.

– Jeśli mogłabym coś jeszcze dla państwa zrobić... – głos jej się załamał, a w oczach znów załśniły łzy. – Wybaczcie! Bardzo lubiłam doktora Abnera.

– Czy pracowała pani już tutaj, kiedy stanowisko dyrektora objął doktor Rufty?

– Nie. Miałam zaszczyt dołączyć do grona pracowników administracyjnych dwa lata temu. Pan Rufty jest wspaniałym dyrektorem i doskonałym pedagogiem. W dniu jutrzejszym lekcje zostały odwołane, tak abyśmy mogli uhonorować doktora Abnera, biorąc udział w jego pogrzebie. Nie zabraknie też uczniów.

– Jestem przekonana, że dyrektor doceni wasze wsparcie – powiedziała Peabody.

– Mam taką nadzieję. Wszystkie dane, których potrzebujecie, zgrałam na ten komputer. Rozumiem, że wasi specje będą chcieli zerknąć na resztę albo nawet zabrać komputery do siebie. Macie na to zgodę dyrektora. Czy przydam się do czegoś jeszcze, pani porucznik?

– W zasadzie tak. Komputerami zajmą się nasi specje z EDD. Może oprowadziłyby nas pani po szkole?

– Zrobię to z największą przyjemnością. Jesteśmy z niej bardzo dumni.

– To świetnie. – Eve ruchem ręki przywołała do siebie Peabody. – Moja partnerka zerknęłaby na sale do nauki, a ja chciałabym zobaczyć laboratoria.

– Oczywiście. Które laboratoria panią interesują? – spytała asystentka.

– Przede wszystkim chemiczne. Zacznijmy od tego.

– Są na drugim piętrze. Mamy windy...

– Wejdźmy po schodach – przerwała jej Eve. – Lepiej poczuję atmosferę miejsca.

– Oprócz biur administracji – zaczęła wyjaśniać Myata – mamy jeszcze na parterze audytorium oraz salę gimnastyczną z szatniami i prysznicami. Jest tu też wydzielona część dla zerówki, uczą się w niej sześciolatkowie, oraz stołówka. – Zdały do góry po stopniach wytartych stopami wielu pokoleń uczniów. – Na pierwszym piętrze – kontynuowała – mamy klasy dla uczniów w wieku od lat siedmiu do dwunastu, laboratorium informatyczne, drugą stołówkę, pokój nauczycielski, salę do nauki oraz bibliotekę i z tradycyjnymi książkami papierowymi, i z audiobookami. Jest tu też aula muzyczna.

Szły przez puste korytarze, a ich kroki odbijały się echem w pustych przestrzeniach budynku. Ściany wszędzie zdobiły prace uczniów. Gdzienigdzie wisiały ogłoszenia szkolne: plakaty o wiosennym musicalu, o wiosennym kursie tańca, o wiosennym koncercie. Ciągające się szeregiem wąskie szafki uczniów zamykane były elektronicznymi zamkami na karty dostępu i pomalowane naprzemiennie na złoty i granatowy. Eve domyśliła się, że to zapewne kolory szkoły.

– Słyszałam o szkole, którą chcecie otworzyć wraz z mężem. Już wkrótce, jak sądzę – zmieniła temat Myata.

– Wygląda na to, że uda się w przyszłym miesiącu – odpowiedziała Eve. – Tak naprawdę sprawami organizacyjnymi zajmuję się wyłącznie Roarke.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Zapewnienie młodzieży bezpiecznego miejsca do nauki, socjalizowania się, zamieszkania na miejscu to fantastyczna sprawa. Uczę matematyki na pierwszym piętrze, w klasach drugiej i trzeciej. To praca dająca ogromną satysfakcję.

– Sądziałam, że pracuje pani w administracji.

– Tak. – Zaczęły wchodzić na drugie piętro. – Takie są zasady działania, które wprowadził nasz dyrektor: pracownicy administracji również zajmują się nauczaniem przynajmniej w jednej klasie w ciągu roku szkolnego. Pan Rufty osobiście uczy historii Stanów Zjednoczonych oraz współprowadzi klub dyskusyjny. Jak moglibyśmy administrować szkołą, gdybyśmy nie byli również pedagogami?

Wyprowadzanie statku na właściwy kurs – pomyślała Eve. – Obie ręce na kole sterowym.

– Jest pani pełna uznania dla niego – zauważyła.

– Naprawdę bardzo go podziwiam. Na tym piętrze mamy jeszcze kilka sal lekcyjnych, laboratoria naukowe, laboratoria informatyczne, aulę sztuk wizualnych oraz niewielką bibliotekę, która służy też jako czytelnia, zarezerwowana jest dla uczniów klas wyższych – zamilkła, żeby wziąć oddech. – Zapoznaliśmy z chemią nawet niższe klasy, prowadząc doświadczenia bezpośrednio w ich salach lekcyjnych. Najbardziej podstawowe obozowanie z reakcjami chemicznymi, jak na przykład reakcja sody oczyszczonej z sokiem z cytryny. Nadzwyczaj bezpieczna, a przy tym nadzwyczaj prosta do wykonania nawet dla małych rączek.

– Bardziej interesują mnie laboratoria chemiczne dla zaawansowanych – przerwała jej Eve.

– To zrozumiałe ze względu na sposób, w jaki zginął doktor Abner. – Myta widocznie zmagala się z niepokojem. – Musicie szukać odpowiedzi na mnożące się pytania. Mogę tylko powiedzieć, że nikt w tej szkole nigdy by nie chciał skrzywdzić doktora Rufty’ego, a przez to, że skrzywdzono jego męża, skrzywdzono i jego samego.

– Nie było żadnych incydentów, żadnych problemów, braku zgody z zarządzeniami dyrektora?

Na jej ustach znowu pojawił się przelotny uśmiech.

– To tylko szkoła, pani porucznik. Tu zawsze są dramaty i łzy. Mamy do czynienia z dziećmi, toteż dramatów i łez jest u nich więcej. O tym, jak się zachowujemy, decyduje nasza głowa. Taką głową jest u nas dyrektor. To on zachęca nas do rozmawiania ze sobą, słuchania siebie nawzajem, do wyjaśniania nieporozumień. Zawsze musimy pamiętać, że najważniejsi są nasi uczniowie. To przyjazne miejsce. Chciała pani jednak zobaczyć laboratorium chemiczne, a widzę, że drzwi pracowni pana Rosalinda są otwarte.

Przeszły korytarzem aż pod samo wejście i nim przestąpiły próg, na chwilę się zatrzymały. Eve zobaczyła wysokiego, ciemnoskórego mężczyznę w koszuli, pod krawatem, w okularach ochronnych i rękawiczkach. Stał przy blacie roboczym obok chłopaka w wieku około szesnastu lat z burzą rudych, rozwichrzonych włosów i twarzą całą w piegach.

Tak jak i Myta, Rosalind miał na rękawie czarną żałobną opaskę.

– Następnym krokiem, Mac.

– Eee...

– Przeprowadzaj doświadczenie zgodnie z opisem – odpowiedział nauczyciel i skinął głową, kiedy chłopak wziął do ręki buteleczkę. – A co w niej jest?

– To... eee... nadtlenek wodoru. Eee... Trzydziestoprocentowy roztwór, więc to... eee... perhydrol?

– Zgadza się. Co będziesz z nim teraz robił?

– Ja... eee... no chyba... wleję do innej buteleczki.

– Ile go wlejesz?

Nieszczęśnik przygryzł wargę i wpatrzył się w ekran komputera.

– Pięćdziesiąt mililitrów – wymamrotał, a potem tak ostrożnie, jakby miał do czynienia z substancją wybuchową, wlał płyn do opalizującej buteleczki i głęboko odetchnął.

– A teraz?

– Pisz, żeby ją zatkać. Tym?

– Zgadza się.

– Jest taki cierpliwy – szepnęła Myta, gdy Rosalind podsunął uczniowi coś, co wyglądało jak torebka do zaparzania herbaty.

– Omawiaj, co robisz, Mac – poprosił nauczyciel.

– Okej! Eee... Rozcinam torebkę i wysypuję z niej... ten teges...

– Jaki znowu ten teges?

– No wie pan, tę herbatę.

– Rozdrobnione liście herbaty.

– No właśnie. Wysypuję rozdrobnione liście herbaty. Teraz muszę wsypać na jej miejsce... eee... jo... jo...

– Przeczytaj uważnie, co tam jest napisane.

– Ehe. Eee... jodek potasu.

– Ile?

– Hm... Jedną czwartą łyżki stołowej.

– Odmierz.

Eve doszła do wniosku, że na miejscu nauczyciela dłużej by nie wytrzymała, on jednak stał spokojnie i czekał, aż chłopak odmierzy potrzebną ilość z taką miną, jakby go bolał ząb, i wsypie do torebki.

– Teraz powinienem... eee... zawiązać ją mocno i zostawić taki długi sznurek, żeby wystawał z szyjki butelki. Tak?

– Zgadza się. Zrób to.

Mac motał się z tym sznurkiem, jakby miał związać ze sobą dwie jadowite żmije, ale w końcu mu się udało.

– Teraz chyba powinienem otworzyć tę buteleczkę?

– Powinienes. Tylko pamiętaj, żeby trzymać ją jak najdalej od siebie. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Rozumiesz, Mac?

Chłopak znowu zagryzł dolną wargę, przechylił w napięciu butelkę w wyciągniętej ręce i odkorkował. Rosalind zauważył stojące w drzwiach kobiety i puścił do nich oko.

– Ostatni krok, Mac.

– Teraz włożę torebkę z jodkiem potasu do butelki z perhydrolem.

– Tylko rób to powoli.

Lodowce suną szybciej – przyszło do głowy Eve.

Kiedy torebka zanurzyła się w końcu w nadtlenku wodoru, z szyjki butelki buchnął obłok pary. Chłopak wyszczerzył zęby, jakby udało mu się właśnie rozszczepić atom lub zrobić coś równie skomplikowanego, a jego nauczyciel uśmiechnął się szeroko razem z nim.

– Ale mega, panie Rosalind! – jęknął z zachwytem młodzieniec.

– Mhm. Znakomicie! W porządku. Teraz opisz, proszę, całe doświadczenie, czego używałeś, jakie kolejne kroki przedsięwziąłeś. Potem wyjaśnij, jaka reakcja chemiczna zaszła. Weź tabletki, zmykaj do czystelni i bierz się do roboty. Aha! I zdejmij rękawice ochronne i gogle! – dodał, gdy chłopak już miał wychodzić.

– Ach! No tak. – Ściągnął je i wrzucił do odpowiednio oznakowanych koszy na odpady. – Dziękuję, panie Rosalind! Dzień dobry pani! – zwrócił się do asystentki dyrektora.

Dopiero kiedy wyszedł, Myata weszła do środka.

– Czy Mac wciąż ma problemy z doświadczeniami laboratoryjnymi? – spytała.

– Strasznie się nakręca i stresuje. Lepiej mu idzie, kiedy prowadzę z nim ćwiczenia indywidualnie. Nie ma według mnie potencjału na naukowca, ale przedmiot zaliczy. – Podszedł do Eve i podał jej rękę na powitanie. – Dzień dobry! Jestem Tye Rosalind.

– Porucznik Dallas.

– Ach! – Jego powitalny uśmiech zgasł. – Kent... Wszyscy jesteśmy tym głęboko poruszeni.

– Znaliście się z doktorem Abnerem?

– Tak. Poznałem go dość dobrze. Namówiłem go, żeby porozmawiał z kilkoma moimi uczniami wybierającymi się na medycynę. Zawsze udawało mu się znaleźć czas.

– Jak długo już pan tutaj uczy, panie Rosalind?

– Trzydzieści siedem lat i jeszcze jeden rok, jeśli zaliczyć do tego okres rocznej praktyki zaraz po studiach.

– A więc należał pan do grona pedagogicznego, gdy Lotte Grange była tu dyrektorką?

– Tak. Martin jest czwartym dyrektorem, z którym pracuję.

Mówi o nim Martin – pomyślała – a nie oficjalnie: dyrektor Rufty.

– Pan Rufty wprowadził wiele zmian, kiedy przejął stanowisko – zauważyła Eve.

– Tak, to prawda. Och, przepraszam! Zechce pani usiąść. – Podstawił jej krzesło i zwrócił się do asystentki: – Kim, może się napijecie herbaty? Mam jeszcze kilka nierozprutych torebek.

– Och, dzięki, ale nie. Może jednak zostawię was, żebyście mogli spokojnie porozmawiać. Poczekam w pokoju nauczycielskim, aż będzie pani gotowa wrócić na dół, panie porucznik.

– Znajdę drogę powrotną, dziękuję. Bardzo mi pani pomogła.

– Jeśli będę jeszcze do czegoś potrzebna, pozostaję do dyspozycji – rzekła do Eve. – Do zobaczenia jutro rano! – pożegnała się z Rosalindem.

– Jest pani zainteresowana zawartością torebek z herbatą? – nauczyciel chemii zwrócił się do Eve.

– Ani trochę.

Weszła jednak do środka, żeby się porządnie rozejrzeć.

Laboratorium okazało się dobrze zorganizowanym pomieszczeniem z biurkiem w dalszym jego krańcu i staroświecką czarną tablicą, wiszącą za nim na ścianie. Przed nim stały równolegle ułożone blaty robocze z wysokimi stołkami zamiast krzeseł oraz komputery i monitory.

Każdą dostępną przestrzeń zajmowały zlewki, probówki, najrozmaitsze buteleczki oraz przenośne zestawy do podgrzewania probówek podczas doświadczeń chemicznych.

– Macie tu całkiem niezłe wyposażenie, panie Rosalind – zauważyła Eve.

– Zgadza się. To jedno z naszych trzech laboratoriów chemicznych. Na tej samej kondygnacji znajduje się też mniejsze laboratorium do przeprowadzania bardziej skomplikowanych doświadczeń dla zaawansowanych. Jeśli ktoś chce podjąć studia, gdzie potrzebna jest dobra znajomość chemii, może tam podwyższać swoje kwalifikacje.

– Prowadzi pan zajęcia również dla zaawansowanych?

– Tak.

– Kto zamawia chemikalia oraz wyposażenie laboratoriów?

– Ja, jako starszy w dziale, zajmuję się sprawami zaopatrzenia w administracji szkoły. Sądzi pani, że zrobił to Kentowi ktoś z naszej szkoły? Doniesienia prasowe nie były zbyt szczegółowe, ale wynikało z nich jasno, że użyta została jakaś substancja chemiczna. Usiadę, jeśli nie ma pani nic przeciwko. Większą część dnia spędziłem na nogach. – Przysiadł na stołku i westchnął. – Jeśli się nie dowiem, czego konkretnie użyto, nie będę w stanie powiedzieć, czy coś takiego mogło powstać w naszym laboratorium.

– Macie tu na stanie toksyczne chemikalia?

– Na pewno potrafilibyśmy je tutaj wytworzyć. Widziała pani, że nawet podczas tak fajnego doświadczenia, jak generowanie efektu chmury, kiedy to następuje oddzielenie się tlenu, a które przeprowadzał Mac, zachowujemy wszelkie środki ostrożności. Wszystkie chemikalia, nawet coś tak podstawowego jak nadtlenek wodoru, przed wyjściem zawsze zamykam w magazynku na klucz. Drzwi laboratorium również są zamykane na klucz, kiedy nie ma tu zajęć.

– Może mi pan powie, tak dla porządku, żeby zamknąć temat, gdzie pan spędził wieczór poprzedzający zabójstwo doktora Abnera.

– Wieczór poprzedzający zabójstwo? – Pan Rosalind długo się nie zastanawiał. – To proste. Byliśmy z żoną na uroczystej kolacji u mojego syna na urodzinach najstarszej wnuczki. Skończyła piętnaście lat. Prawdę mówiąc, Meris chodzi do naszej szkoły. – Uśmiechnął się. – Ledwo udało się jej zaliczyć podstawy chemii. Bardziej interesuje ją teatr. Będzie gwiazdą musicalu wystawianego przez szkołę na wiosnę. Po lekcjach mają próby, tak jak i dzisiaj. Wtedy poczekałam na nią i wróciliśmy razem do jej domu, gdzie czekała już na nas moja żona. Na pewno wyszliśmy stamtąd po dwudziestej drugiej trzydzieści.

– A potem?

– No cóż! Poszliśmy spacerkiem do domu, to znaczy Lilliana i ja. Był bardzo przyjemny wieczór, a mieszkamy dosłownie kilka kwartałów od nich. A poza tym... – Tu poklepał się po brzuchu. – Tort urodzinowy. Przeglądałem jeszcze jakieś papiery w łóżku, gdy Lilliana czytała. Zgasiliśmy światło mniej więcej pół godziny przed północą.

– Okej.

– Uwazamy Kenta i Martina za naszych przyjaciół. Uważaliśmy Kenta za przyjaciela. – Zwrócił wzrok w stronę okna, za którym rozciągało się błękitne wiosenne niebo. – Pracowaliśmy często razem z Kentem w weekendy, jeśli tylko udawało się zgrać nasze grafiki zajęć.

Teraz Eve usiadła.

– Niech mi pan opowie o Lotte Grange – poprosiła.

Znowu ciężko westchnął.

– Trzydzieści siedem lat, czterech dyrektorów, masa uczniów – zaczął. – Mogłem ich obserwować, jak zaczynali jako małe dzieciaczki, a potem opuszczali mury szkoły jako młodzi ludzie. Po tylu latach wciąż sprawia mi frajdę pomaganie komuś takiemu jak Mac, kto bardzo łatwo się rozprasza, jest tak niepewny siebie, a potem przeżywa chwilę triumfu i fascynacji nauką.

– To widziałam na własne oczy, ale jak na razie ani słowem nie wspomniał pan o Grange.

– W pewien sposób jest to opowieść o niej. Każdy dyrektor ustala ogólny sposób działania szkoły, ma jakąś wizję, pozostawia po sobie ślad. Grange była ambitna, ale czemu miałaby nie być? Początkowo myślałam, że jej umiejętność obskakiwania ludzi z kasą przyniesie szkole same korzyści. Nie była pedagogiem, a może tylko przestało ją to w pewnej chwili bawić, i to właśnie nadawało ton jej zarządzaniu szkołą. Czyż nie?

– Niech pan odpowie na moje pytanie – poprosiła Eve.

– No tak. Była solidnym pracownikiem, kiedy pełniła funkcję asystentki poprzedniego dyrektora. Nie jak nasza Kim, która jest prawdziwym skarbem, ale solidnie wykonywała swoje obowiązki. Na samym początku, gdy tylko przejęła stery dyrektorskie, wydawała się wystarczająco stabilną osobą. Nie trwało to jednak długo. Po jakimś czasie wszystko się według mnie zmieniło.

– To znaczy? – drążyła Eve.

– Skoncentrowała się całkowicie na wyciąganiu pieniędzy od bogatych ludzi. Jeśli uczeń czy uczennica mieli nadzianych rodziców, mogli być pewni, że nie zostaną ukarani, ewentualnie dostaną niewielką burę za złe zachowanie, za nieodrobioną pracę domową, za złe stopnie. Taki sposób zarządzania pani dyrektor pociągał dalsze konsekwencje: zawiązywały się walczące ze sobą ugrupowania. Każda akcja, a w tym wypadku jej brak, rodzi reakcję. Niektórzy uczniowie, zwykle tacy jak Mac, byli oszczani, ponizani, bezkarnie atakowani. No, może czasem następowała namiastka akcji dyscyplinującej. – Przechylił głowę na bok. – Nie wygląda pani na zaskoczoną moimi słowami. Już to pani wiedziała.

– Czy znał pan Jaya Durana w czasach, kiedy tutaj uczył?

– Oczywiście. Wprawdzie prowadziliśmy lekcje z odmiennych dziedzin, ale nauczyciele zawsze się znają. Rozmawiała pani z Jayem? Teraz wykłada na Columbi, a raczej wykładał, kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem.

– To znaczy kiedy?

– W grudniu. Niektórzy z nas wciąż się spotykają przed świętami, chcąc miło spędzić czas w swoim towarzystwie.

Jeszcze nic nie wie – skojrzyła Eve.

– Żona pana Durana została zamordowana dziś rano – poinformowała go sucho.

– Co takiego?! – Skoczył na równe nogi, odsuwając z impetem stołek. – Ale... jak to możliwe? Chwileczkę... No nie! Tak samo?! Zginęła tak samo?!

– Tak.

Już stojąc, złapał się za głowę.

– To j-jakiś k-kosz-mar! – wyjąkał.

– Kogo z uczniów i pracowników szkoły, kto był tutaj podczas ostatniego semestru pracy Grange, a potem w początkowej fazie pracy Ruffy'ego oburzały wprowadzone zmiany, a kto równocześnie przejawiał szczególne zainteresowanie przedmiotem, którego pan uczył?

– O mój Boże! Nie wiem. Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto... Żona Jaya... Nie pamiętam w tej chwili, jak miała na imię... Przecież ona nie miała nic wspólnego ze szkołą!

– Za to pan Duran narzekał na działania Grange, na ściąganie, nękanie i tak dalej – przypomniała mu Eve.

– Ja też to robiłem. Robiło to wielu z nas. Co to ma wspólnego... – zamilkł nagle.

Przenikliwy umysł – oceniła Eve, kiedy najwyraźniej do niego dotarło.

– Boże! Moja żona! Moja rodzina! – rzekł z przestraszeniem.

– Radzę, żeby przekazał pan żonie i całej waszej rodzinie, by nie otwierali żadnych paczek, zwłaszcza przyniesionych przez kuriera. Może pan zgłaszać mi każdą przesyłkę. – Wyciągnęła z kieszeni wizytówkę i położyła ją na blacie. – Przeskanujemy zawartość.

– Nie rozumiem, jak ktokolwiek mógł... Wiedziałbym, gdyby ktoś korzystał z moich laboratoriów. Wiedziałbym, że dostał się do magazynku z chemikaliami, że używał sprzętu. Zdarzyło się kilka incydentów w ciągu ostatniego roku jej dyrektorowania, albo nawet nieco dawniej, oraz w kilku pierwszych tygodniach pracy Martina.

– Jakiego rodzaju były to incydenty?

– Podkradanie kart dostępu i kopiowanie ich, używanie laboratorium i jego zasobów do konstruowania śmiertecznych bomb, bomb dymnych czy bomb błyskowych.

– Ma pan nazwiska?

– Nie udało mi się nikogo zidentyfikować. Nie miałem dowodów, żeby wskazać kogoś palcem. Miałem pewne podejrzenia i chciałem porozmawiać o nich z uczniami, którzy mogli brać w tym udział, lub też mogli wiedzieć, kto to robił. Grange mi wówczas nie pozwoliła. A ponieważ nie miałem stuprocentowej pewności, nie mogła sprawić kłopotów ani uczniom, ani ich rodzicom.

– Dbała o wyniki finansowe? – podsunęła Eve.

– Właśnie! Jestem co do tego święcie przekonany – wypalił Rosalind bez zastanowienia. – Martin obrał inną drogę. Kiedy te praktyki trwały w najlepsze po objęciu przez niego stanowiska, zwołał zebranie całego zespołu i ostrzegł o wprowadzeniu ścisłych zasad: ktokolwiek z uczniów nie będzie się do nich stosował, zostanie automatycznie zawieszony. Ktokolwiek z uczniów będzie krył innych, straci wszelkie przywileje: żadnego uprawiania sportu, żadnych dodatkowych atrakcji poza lekcjami.

– Czy to pomogło?

– Nie od razu, o nie, lecz rzekłbym, trafiło do rozumu. Zanim Grange odeszła, jeden z uczniów, który odmówił udostępniania swoich prac do ściągania, został mocno poturbowany. Jego rodzice przyszli na skargę, ale Grange machnęła na to ręką, gdyż chłopak bał się podać nazwiska tych, którzy go pobili. Wrócili, kiedy stanowisko dyrektora objął Martin. Spotkał się z nimi osobiście, jak również z innymi rodzicami i uczniami, mającymi jakieś uwagi do funkcjonowania szkoły. Zanim dzień dobiegł końca, zawieszonych w prawach zostało jedenastu uczniów. Ich rodzice rozpętali kosmiczną awanturę. Martin miał wszystko pod kontrolą, ale my wiedzieliśmy, że piekili się strasznie. Kilku z tych uczniów już do nas nie wróciło.

– Nazwiska?

– O Boże! Nie pamiętam tak dokładnie wszystkiego z marszu. Mam mętlik w głowie. Na pewno można to znaleźć w archiwum szkoły.

– Zaraz to stamtąd wydobędziemy. Czy pamięta pan może, czy któryś z tych uczniów przejawiał szczególnie zainteresowanie chemią?

– Owszem. Chłopak, który został zaatakowany... Miguel... Nazwiska nie pamiętam. Skończył w mojej klasie o profilu chemicznym. Miał u nas stypendium, ale potem poszedł... cholera... myślę, że na politechnikę, gdzie również zdobył kilka stypendiów. Pamiętam też Kendel Hayward, zepsuta do szpiku kości dziewczuchę, która uwielbiała poniżać innych. Po zawieszeniu wróciła do nas i zdawało mi się, że się uspokoiła.

– Czy ona również brała udział w pobiciu Miguela?

– Nie sądzę. Chodziły słuchy, że zrobiło to dwóch chłopaków... może trzech? Chcieli, żeby odrabiał za nich lekcje i dawał ściągac na klasówkach. Wydaje mi się, że trzymała się z nimi w grupie. – Rosalind się zamyślił. – Prowadzała się z najgorszymi typkami. Kojarzę, że rodzice postawili tej Kendel ultimatum, wzięła się więc do roboty. Była niezła z chemii i dobrze się uczyła i przedtem, i potem. Po incydencie z zawieszeniem przestała nawet pyskować. A pozostali? Cholera jasna! Mam zaćmienie. Kendel chodziła z jednym z tych chuliganów. Byli mocno ze sobą związani. Może też chodziła i z innym? Naprawdę nie pamiętam.

– Bardzo mi pan pomógł. Resztę wyciągnę z danych archiwalnych, lecz jeśli przypomni się panu jakieś nazwisko lub coś szczególnego, proszę się ze mną skontaktować.

– Tak zrobię. Muszę się jak najszybciej dzwonić z moją żoną. Jeśli się cokolwiek stało... Jay i ja nie byliśmy jedynymi, którzy zgłaszali nieprawidłowości.

– Rozumiem. – Wstała i ruszyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się w połowie drogi. – Proszę jeszcze pomyśleć o personelu szkoły: nauczycielach, pracownikach administracyjnych, personelu pomocniczym. Czy ktoś z nich mógł dostać ostrzeżenie lub naganę od dyrektora Rufty'ego? Może ktoś, kto odszedł w pierwszym semestrze jego pracy albo nie wrócił do szkoły jesienią, wraz z początkiem nowego roku szkolnego?

– Dobrze. Będę się starał coś sobie przypomnieć.

Eve skierowała się na dół. Po drodze rozglądała się na boki.

Odnalazła na niższym piętrze Peabody, która lustrowała otoczenie dokładnie tak samo.

– Byłam na dwóch najwyższych piętrach, tam gdzie mieści się internat, i nieco się tam rozejrzałam – powiedziała Peabody. – Usłyszałam, że rozmawiasz z nauczycielem z laboratorium, więc od razu poszłam porozglądać się na ostatnim piętrze, a potem zeszałam tutaj, na parter. Wstąpiłam do audytorium. Uczniowie ćwiczą tam do musicalu. Są naprawdę niezli.

– Jakie wrażenia odniosłaś? – spytała Eve.

– Wszystko tu działa jak dobrze naoliwiona maszyna.

– Ja podobnie. Co u naszych speców z EDD?

– Powinni już skończyć albo właśnie kończą. Skoro mamy nakaz, chcieli zgrać wszystko z komputerów sekretariatu szkoły oraz dotrzeć do danych archiwalnych poprzedniego asystenta dyrektora. Przeszedł na emeryturę w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat, kiedy Rufty już od czterech lat był dyrektorem. Przeprowadził się gdzieś do Luizjany, pedagogiem jest tam jego wnuczka.

Gdy Peabody przekazywała Eve uzyskane informacje, z sekretariatu szkoły wyszli Callendar z McNabem w towarzystwie Myaty.

– Czy macie już wszystko, co jest niezbędne do śledztwa? – Asystentka skierowała to pytanie do pani porucznik.

Eve popatrzyła pytająco na dwojkę swoich policjantów.

– Mamy kopie dostępnych plików oraz tablet – odrzekła Callendar. – Stary tablet pana Rufty’ego.

– Jeśli coś jeszcze się pani przypomni, proszę się ze mną skontaktować – powiedziała Eve do asystentki.

Kiedy wyszli poza mury szkoły, Dallas przedłożyła im swój plan.

– Na tym etapie śledztwa nie możemy mieć pewności, kto z personelu szkoły był w grupie składającej zażalenie na działania Grange, kiedy nastąpił tu Rufty. Jego następnym celem może się stać ktokolwiek z nich. Zrobimy więc tak: zawiadomimy wszystkich i rozesłemy mejlami ostrzeżenia, żeby nie otwierali otrzymanych pocztą kurierską paczek. Nazwiska i adresy mejlowe mamy tutaj. Peabody, ty zajmiesz się pierwszą połową, ja wezmę resztę.

– Pójdzie szybciej – wtrącił McNab – jeśli podzielimy ich na cztery grupy. – Zerknęła na Callendar, która skinęła przyzwalająco głową.

– W porządku – zgodziła się Eve. – Peabody, zajmij się tym. Ja chcę dostać całą listę z rozpiską, kto ma się zająć jaką grupą. Podrzucę cię do komendy, a sama pojedę do centrum przesłuchać tego bogacza, byłego męża Grange.

– Mogę pojechać tam z tobą, a potem wrócę metrem.

– Wolalabym, żebyś zajęła się jak najszybciej tą listą. Słuchaj, prześlij mi ją na wszystkie moje urządzenia, łącznie z tym w desce rozdzielczej. Zacznę dzwonić do pierwszych dziesięciu jeszcze po drodze. Nie sądzę, żeby ktokolwiek dostał dziś przesyłkę z cholernym złotym jajem, ale postaramy się zawiadomić wszystkich.

– Masz tutaj kopie danych, które zgraliśmy w szkole. – McNab podał jej małą torebeczkę z kilkoma zewnętrznymi dyskami pamięci. – Posegregowaliśmy od razu i nagraliśmy na każdy oddzielnie dane dotyczące kadry nauczycielskiej, uczniów, pracowników administracji oraz personelu pomocniczego.

– Dobra robota. Zwijajmy się.

*

Eve podrzuciła całą trójkę wraz z ich napojami w puszkach (swoją drogą, gdzie oni mieścili te wszystkie płyny?) pod drzwi komendy głównej, a sama ruszyła w stronę centrum. Wziąwszy pod uwagę aktualną godzinę, zapchaną pojazdami ulicę oraz potencjalny czas rozmowy, wyliczyła, że wróci do domu dość późno.

Wysłała krótką wiadomość do Roarke’a, używając do tego zegarka wielofunkcyjnego.

Wciąż w pracy. Wracam późno.

Zdążyła przepchnąć się do środkowej części miasta, gdy nadeszła odpowiedź:

Ja również.

Okej – pomyślała. – To uprości sprawę.

Być może – biorąc pod uwagę minioną część dnia i tę, którą miała wciąż przed sobą – być może czas przestać snuć nostalgiczne rozważania o domu, a raczej zwrócić się myślami ku Riverside Drive.

W szarości zapadającego zmierzchu zobaczyła budynek Greenwalda. Okazał się połyskującą złościście wieżą z wirem zewnętrznych schodów ruchomych, okrążających kilka pierwszych pięter. Podświetlane przezroczyste tuby wzdłuż północnej i południowej elewacji wieży mieściły mknące w górę i w dół windy.

Podjechała pod samo wejście, znajdujące się w masywnej, wysokiej na trzy piętra szklanej ścianie, i przygotowała się na słowne przepychanki z portierem w liberii, który wyrósł jak spod ziemi obok jej samochodu.

On jednak, nim zdążyła cokolwiek zrobić, usłużnie otworzył drzwi od jej strony i uśmiechnął się na powitanie.

– Dobry wieczór, pani porucznik! – powiedział. – W czym mogę pomóc?

Okej, a więc właścicielem budynku jest Roarke – pomyślała Eve.

– Muszę się pilnie widzieć z Reginaldem Greenwaldem.

– Ależ oczywiście! Pan Greenwald powinien być u siebie. Carl w recepcji wyjaśni, jak się tam dostać. Życzę przyjemnej wizyty w Hudson Tower.

– Dzięki.

Podskoczył błyskawicznie do drzwi budynku i dotknąwszy sensora, otworzył ogromne, przesuwane szklane drzwi. Musiała przyznać, że zrobiło to na niej wrażenie. Równie imponująco prezentowało się wysokie na dwa piętra lobby z eleganckimi butikami, knajpkami, kawiarniami i delikatesami. Przeszła przez hol po podłodze z mozaiką imitującą płynący strumień błękitnej wody, minęła centralnie usytuowaną wysepkę z małą sadzawką wypełnioną lazurową wodą, w której pływała złota rybka, otoczona kręgiem białych jak śnieg kwiatów.

Zauważyła szeroki łuk schodów prowadzących na następną kondygnację oraz zewnętrzne windy w przezroczystej obudowie. Wszędzie pełno dyskretnych elementów ochrony i w postaci ludzi, i w postaci droidów.

Podeszła do lady recepcji, za którą stał Carl, dystyngowany pięćdziesięciolatek w stylowym czarnym uniformie, rozdający wszystkim wokół promienne uśmiechy.

– Pani porucznik, witamy w Hudson Tower – rzekł. – Przybywa pani z wizytą do pana Greenwalda.

A więc portier uprzedził recepcjonistę o jej przybyciu. Efektywnie i wydajnie – pomyślała, ale tak właśnie Roarke prowadził interesy.

– Zgadza się. – Kiwnęła głową.

– Pan Greenwald znajduje się obecnie w swoim apartamencie. Czy mam panią zaanonsować?

– Nie. Proszę mi tylko wyjaśnić, jak się tam dostać.

– Oczywiście! – Recepcjonista nie tracił czasu. – Apartament pana Greenwalda zajmuje pięćdziesiąte szóste piętro. Pani pozwoli, że odprowadzę ją do dojeżdżającej tam windy.

Obszedł ladę i zaprowadził Eve do przyległego małego holu, gdzie lustrzaną ścianę zdobiły mocowane ukośnie szklane tuby z przedziwnie pięknymi kwiatami o delikatnych białych, bladorożowych i lawendowych płatkach.

Przeciągnął kartę dostępu przez czytnik, żeby otworzyć drzwi jednej z trzech wind.

– Greenwald! – rzucił władcym tonem. – Główne wejście. – Uśmiechnął się ponownie do Eve. – Owocnej wizyty! Proszę dać mi znać, gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała.

– Oczywiście. Dziękuję.

Drzwi windy zamknęły się bezszelestnie. Kabina na szczęście nie była przeszklona, a przynajmniej nie miała przezroczystych ścianek. Wprawdzie połyskiwały jak szyba, ale powlekała je nieprzezroczysta złota izolacja.

Eve ucieszyła się, że kabina wznosiła się równomiernie i bez zatrzymywania się, dopóki nie dojechała na ostatnie piętro. Drzwi się rozsunęły i automat ogłosił:

Apartament pana Greenwalda.

Podłogę holu okrywał gruby srebrzystoszary dywan. Dostrzegła, że kabina windy zatrzymała się w centralnej części apartamentu, dwa kroki od białych podwójnych drzwi z kolejną kamerą monitoringu, mającą bronić dostępu do zgromadzonych za nimi sztab złota.

Podeszła do drzwi i nacisnęła przycisk dzwonka.

Pan Greenwald nie przyjmuje nieumówionych gości. Proszę wrócić do głównego wejścia i się zaanonsować.

– Nie jestem gościem. – Uniosła odznakę, żeby kamera mogła ją zeskanować. – Jestem z policji w sprawie prowadzonego dochodzenia.

Jedną chwileczkę.

Trzymała odznakę cały czas uniesioną w górze, podczas gdy światło skanera z kamery czytywało ją kawałek po kawałku, zaś kamera przy drzwiach nagrywała jej zachowanie. Wyobraziła też sobie, że komputer przy drzwiach wejściowych dał znać Greenwaldowi, iż ma pod drzwiami nowojorską policję NYPSD.

Numer identyfikacyjny został zweryfikowany, porucznik Dallas. Proszę czekać.

Wreszcie drzwi się otworzyły.

Dziewczyna wyglądała na oko na dwadzieścia kilka lat. Miała mleczną, nieskazitelną cerę, długie, proste włosy w ciepłym miodowym kolorze, niebieskie oczy tchnące chłodem Arktyki i szerokie usta,

pociągnięte bladą różową szminką, której barwa przywiodła Eve na myśl płatki kwiatów, widzianych pięćdziesiąt pięć piętér poniżej.

– Proszę wejść. Dziękuję, że zechciała pani poczekać – rzuciła na powitanie.

W dokładnie wypowiedzianych angielskich słowach słychać było wschodnioeuropejski akcent. Diamentowe kolczyki w jej uszach rozsiewały wkoło błyski, kiedy cofnęła się w głąb korytarza, żeby przepuścić Eve. Policjantka przeszła między dwoma posągami stojących sztywno kariatyd, którymi ozdobiono wejście do apartamentu.

– Nazywam się Irina. Jestem osobistą asystentką pana Greenwalda – przedstawiła się, wskazując przy tym eleganckim, wystudiowanym ruchem ręki przestrzeń dzienną mieszkania.

Znajdowały się tu trzy aneksy wypoczynkowe z kanapami i fotelami w spokojnej, dystygnowanej kolorystyce, ze stołami pośrodku oraz przeszklonymi witrynami, niektórymi z lustrzanego szkła. Całą ścianę zewnętrzną zasłaniały grube story. Eve się domyśliła, że skrywają przeszklone drzwi balkonowe, wiodące na taras zewnętrzny. Ściany dekorowały obrazy oraz lustra w rzeźbionych ramach. Innymi elementami ozdobnymi były wazy, a raczej patery pełne owoców.

Salon sprawiał wrażenie rzadko używanego.

– Zechce pani usiąść. Pan Greenwald wkrótce dołączy. Może mogłabym zaproponować coś do picia?

– Nie, dziękuję. – Ale osobista asystentka! Niech mnie drzwi ścisną! Chyba bardzo osobista, zwłaszcza kiedy rozmawiają w odosobnieniu, pomyślała Eve. – Czy pani tu mieszka? Na tym samym piętrze? – spytała na głos.

– Tak. Muszę pozostawać na każde wezwanie pana Greenwalda dwadzieścia cztery godziny na dobę.

No ja myślę.

– Jak długo pani dla niego pracuje?

– Właśnie mijają trzy lata.

– Zapewne mniej więcej tyle samo przebywa pani w naszym kraju?

– Mniej więcej. Powinna...

– Czy znała pani byłą żonę pana Greenwalda, Lotte Grange?

– Przykro mi, ale nie. – Widać było, że odetchnęła, kiedy w drzwiach stanął Greenwald. – Pani porucznik Dallas. Pan Greenwald – przedstawiła ich.

– Dziękuję, Irino. W porządku – rzekł i klepnął ją lekko, co było dla Eve sygnałem, że jego asystentka już bardziej osobista być nie może. Czy mogło być inaczej?

Gospodarz miał w dłoni niską, pękatą szklaneczkę i z miejsca zaproponował Eve drinka.

– Dla policjantki Roarke’a – dodał.

Jego głos brzmiał basowo, z lekką jowialnie. Pasował do bujnej czupryny kręconych, przyproszonych siwizną ciemnych włosów oraz wesołego spojrzenia ciemnych oczu i perfekcyjnie przystrzyżonej koczkiej brodki.

Dobrze zbudowany mężczyzna około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, ubrany jak na wieczór, który ma spędzić w domu: spodnie, do tego popielaty sweter, o kilka tonów jaśniejszy od włosów.

Przysiadłszy na dużej szarej sofie, wskazał gestem, żeby Eve zrobiła to samo, a potem rozsiadł się wygodnie. Wyglądał na rozbawionego sytuacją. Żartobliwie poklepał siedzenie kanapy obok, zachęcając Irinę ruchem głowy do zajęcia miejsca przy nim.

Usiadła sztywno, najwidoczniej czując się skrupowana sytuacją.

– Co przywiodło policjantkę Roarke’a w moje progi? – zaczął.

– Jestem policjantką z nowojorskiej komendy głównej NYPSPD, panie Greenwald, a w pańskie progi przywiodło mnie śledztwo w sprawie morderstwa.

Irina pisnęła na to jak wystraszona myszka; Greenwald uniósł brwi.

– Kogo zamordowano?

– Kenta Abnera oraz Elise Duran.

– Obawiam się, że nie znam żadnego z tych nieszczęśników.

– Oboje zostali zamordowani za pomocą przygotowanej w warunkach domowych silnej substancji toksycznej. Pan działa w branży chemicznej.

Jego brwi wzniosły się jeszcze wyżej w niemym pytaniu. Po chwili opadły, kiedy upił łyk napoju ze szklanki.

– Działam w branży chemii dla domu – uściślił. – Środki czyszczące. Nie sądzę, że biega pani teraz po mieście i odwiedza wszystkich, którzy mają cokolwiek wspólnego z chemikaliami?

– Obie ofiary łączy osoba pańskiej byłej żony.

– Której? – Uśmiechnął się leciutko. – Miałem dwie.

– Lotte Grange.

– Lotte? Hm... To interesujące. Czy jest podejrzana?

– Byliście małżeństwem, kiedy pracowała jako dyrektorka w szkole imienia Theresy A. Gold.
– Przez kilka lat, owszem. Jesteśmy już dłużej rozwiedzeni, niż byliśmy małżeństwem.
– Kiedy ostatnio się pan z nią widział lub rozmawiał przez telefon?
– W dniu, w którym sfinalizowaliśmy nasz rozwód. W obecności prawników. Z tego, co wiem, mieszka teraz w Waszyngtonie Wschodnim. Faktem niezbitym jest to, że małżeństwo z Lotte było w moim życiu tylko przelotną przygodą. Kiedy tylko przestaliśmy odnosić się do siebie w przyjacielski sposób, dałem jej wyraźny sygnał, że przygoda dobiegła końca.
– To pan zakończył ten związek.
– Tak. Uczyniłem to. Irino, moja najśladza, zrób mi jeszcze raz to samo.
– Już robię! – Asystentka zerwała się, wzięła szklaneczkę i szybko wyszła, prezentując idealne nogi w szpilkach, podkreślających ich smukłość.
– Proszę mi powiedzieć, gdzie pan był zeszłego wieczoru oraz wieczorem w dniu dwudziestego siódmego kwietnia? Pomiędzy dwudziestą drugą a dwudziestą trzecią.
– Rety! Co tak oficjalnie? – Jego brwi powędrowały znów w górę, a spojrzenie tym razem nieco spoważniało. – Chyba będę musiał skontaktować się z moim prawnikiem, lecz w tej chwili jeszcze mnie to bawi. Zeszłego wieczoru również się bawiłem, przy okazji zabawiając gości. Wydawałem kolację dla sześciu osób. Zasiadliśmy do posiłku o ósmej wieczorem. Wydaje mi się, że ostatni gość wyszedł po dwudziestej trzeciej. A dwudziestego siódmego?... – Wyjął mały notatnik z kieszeni spodni. – Ach, tak! Byliście w Chicago. Był to drugi wieczór naszego biznesowego, dwudniowego wypadu.
– My?
– Byłem z Iriną. – Uśmiechnął się. – Jest dla mnie bezcenna.
– Wierzę. Czy zdarza się panu odwiedzać laboratoria chemiczne pańskiej firmy, panie Greenwald?
– Z rzadka. Staram się tylko od czasu do czasu odwiedzać każdy z oddziałów mojej firmy. To dobrze robi przy późniejszych kontaktach interpersonalnych. W końcu to mój dziadek założył tę firmę. I jeszcze uprzedzając pani pytanie: nie znam się za grosz na chemii ani pojęcia nie mam o związkach chemicznych. Skąd pani przyszło do głowy, że mógłbym mordować ludzi, których nawet nie znam?
– Kent Abner był małżonkiem Martina Rufty’ego. Rufty zmienił na stanowisku dyrektora pańską byłą żonę.
– Rufty... Ach, oczywiście! Rufty. – W jego twarzy Eve znów dostrzegła zainteresowanie tematem.
– Nie miałem okazji poznać go osobiście, ale polubiłem go już choćby dlatego, że Lotte go nie znosiła.
– Doprawdy?
– Wyczułem, że był wobec niej bardzo krytyczny. – Wziął szklaneczkę od Iriny i znów poklepał siedzenie obok siebie. – Lotte źle znosiła wszelką krytykę... Rozumiem, że nic się pod tym względem nie zmieniła. Oczywiście swego czasu i Lotte, i mnie przydarzały się różne... przygody.
– To znaczy?
– Może nie powinnam tego słuchać? – odezwała się Irina.
– Skądże! Nie bądź niemądra! – przerwał Greenwald i położył jej rękę na udzie zaborczym gestem. – Lotte i ja pobraliśmy się pod wpływem chwilowej fascynacji. Fascynacji seksem. Była, a jak sądzę, wciąż jest, kobietą pełną wigoru. Lubię takie zmysłowe istoty. Była też uderzająco piękna fizycznie, wściekle inteligentna i diabło ambitna. Pieniądze nie grały w tym roli, gdyż miała swoje. Ja miałem, co prawda, więcej. Znacznie więcej, i to do niej... cóż... przemawiało. – Uniósł swoją szklaneczkę i wzniosł niedbałym gestem toast, po czym upił łyk. – Zawarliśmy umowę. Jeśli któremuś z nas przyjdzie ochota na skok w bok, robimy to dyskretnie i zamykamy sprawę z tą drugą czy tym drugim, nim ruszymy dalej.
– A ona złamała tę umowę – domyśliła się Eve.
– Tak. Otrzymałem kopertę z... powiedzmy... kompromitującymi zdjęciami Lotte.
– W czym towarzystwie?
– Tego nie wiem. Mężczyzna akurat się odwrócił, a może coś przysłoniło jego twarz. Nie pamiętam. Kiedy pokazałem jej zdjęcie, zbagatelizowała ten fakt. „Jaka to różnica?”, spytała. Otóż jak dla mnie wielka. Złamała umowę. Zakończyliśmy nasz związek i uczyniliśmy to w miarę dyskretnie za obopólną zgodą. – Znów upił łyk drinka. – Zaczęła szukać innego miejsca pracy, rozpuszczając wici po znajomych. Mieszkała tutaj ze mną jeszcze przez kilka miesięcy, lecz każde z nas żyło osobno, rozumie to pani, prawda? Żądała ode mnie szczodrej odpłaty, lecz nie zamierzałem niczego jej dawać. Klóciliśmy się o to, czułem, że się zmieniła. Stała się wrzaskliwa, wiecznie poirytowana. W końcu wyszło na jaw, że jeden z nauczycieli nakrył ją *in flagranti* z drugim. Pełna kompromitacja! Co to musiała być za scena!
– Nazwiska? – rzuciła Eve.

– Pojęcia nie mam. – Uniósł rękę z uda dziewczyny i machnął nią, jakby chciał odpędzić natrętną muchę. Dłoń powędrowała z powrotem na udo, lecz nieco wyżej. – Nie obchodziło mnie to. Zależało jej na posadzie w Waszyngtonie Wschodnim oraz na miękkim lądowaniu. Wytykała mi, że ja też ją zdradzałem, nasza umowa nie była na piśmie. Zaciągnęła mnie do sądu, gdzie odegrała skrzywdzoną żonkę. Prestiż mojego nazwiska nieco wówczas ucierpiał. Wygrała, ale warto było stracić te parę milionów, byle się od niej uwolnić.

– A co z tymi dwoma nauczycielami?

– Jak już wspomniałem, chciała dostać tamtą posadę, a kiedy ona czegoś chciała, zdobywała to po trupach. Powiedziała im obu, że pójdzie z tym na policję oraz do rady szkoły i zgłosi molestowanie seksualne, więc niech trzymają gęby na kłódkę, bo i tak za kilka tygodni jej tu nie będzie. – Wzruszył ramionami i upił znowu lyk. – Z tego, co wiem, dostosowali się do jej poleceń. Przeprowadziła się do Waszyngtonu Wschodniego tuż przed pierwszym styczniem kolejnego roku. Złożyłem pozew o rozwód, uzgodniliśmy warunki, łącznie z rozliczeniem finansowym. Przyjechała jeszcze, żeby go sfinalizować, i od tamtej pory nie widziałem jej na oczy ani z nią nie rozmawiałem.

– Czy ma pan jeszcze te fotografie?

Wyglądał na zaskoczonego, choć również rozbawionego pytaniem.

– Dlaczego miałbym je przechowywać? Owszem, miałem je na wszelki wypadek, dopóki się oficjalnie nie rozwiedliśmy. Potem je zniszczyłem. Pod wpływem impulsu – dodał z kolejnym lekkim toastem. – Ponieważ od tamtej chwili prowadzę bardzo satysfakcjonujące życie osobiste, warto było ponieść te koszty. – Upił nieco. – Dodam jeszcze, że była to dla mnie bezcenna lekcja. Małżeństwo jest dla głupców. Po co legalizować i komplikować związek, z którego możesz zwyczajnie się cieszyć? – zadał pytanie raczej retoryczne i pocałował policzek Iriny. – Czyż nie mam racji, moja najśladza?

– Oczywiście, panie Greenwald – odrzekła, na co się roześmiał i ścisnął jej udo.

– Czyż nie jest urocza? – rzucił.

– Powiedziałabym raczej, że jest skarbem. Irino – zwróciła się do dziewczyny. – Gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

Zapytana przygryzła usta i popatrzyła niepewnie na Greenwalda.

– No mów! – zachęcił ją.

– Więc mamy... mieliśmy wieczorne przyjęcie. Koktajle i zakąski od dziewiętnastej do dwudziestej. Później kolacja i rozmowy przy stole. O dwudziestej drugiej kawa i brandy.

– Okej. – Eve wstała. – Dziękuję za poświęcony mi czas.

– Odprowadzę panią do drzwi.

Kiedy zbliżały się do wyjścia, Eve szepnęła do Iriny:

– Jeżeli jest ci tu źle, mogę pomóc.

Dziewczyna posłała jej autentycznie zdziwione spojrzenie.

– Nie, skąd. Jestem tu bardzo szczęśliwa. Pan Greenwald jest bardzo uprzejmy i bardzo szczodry. – Otworzyła drzwi przed Eve. – Nie robi mi żadnej krzywdy. Wiem, jak to jest, kiedy mężczyzna to robi. On tego nie robi i nie będzie. Nie należy do gwałtownych mężczyzn, więc jestem bardzo szczęśliwa.

– W porządku. Jeśli cokolwiek się zmieni, możesz zawsze do mnie zadzwonić.

Eve weszła do windy i zjeżdżając w dół, zastanawiała się, czego musiała doświadczyć w życiu Irina, że jest szczęśliwa z mężczyzną, który mógłby być jej dziadkiem, tylko dlatego, że nie bije swoich kobiet.

Przejechała przez bramę już po zmroku i zobaczyła to: wszystkie witające ją światła domu.

Musiała się zatrzymać i oprzeć czoło o kierownicę. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo wyczerpał ją dzisiejszy dzień. Ta śmierć, żałoba, wszystkie te obrzydliwości.

Musiała chwilę ochłonąć, odepchnąć od siebie przykre wspomnienia i dopiero wtedy pojechała dalej, pod samo wejście do domu.

Miała przy sobie teczkę z dokumentami – niestety, jej dzień jeszcze się nie skończył. Musi po kolei obdzwonić osoby ze swojej listy i przekazać im ostrzeżenia, wlać strach w więcej niż jedno ludzkie istnienie, w całe rodziny.

Mimo wszystko lepszy strach niż śmierć.

Weszła do holu, gdzie czekał już na nią Summerset. Przyjrzał się jej.

– Powiedziałbym, że nie wyglądasz najlepiej, trochę jak wyciągnięta psu z gardła.

Nie chciało jej się nawet mu dogryzać. Rzuciła tylko okrycie na słupek przy schodach i powiedziała:

– Nie otwieraj żadnych paczek, nawet jeśli oczekujesz ich nadejścia.

Postąpił kilka kroków w jej stronę, kiedy zaczęła wchodzić po schodach.

– Ale przecież wszystkie paczki są skanowane i prześwietlane – zdziwił się.

– Nie otwieraj żadnej, czy prześwietlanej, czy nie. Po prostu nie otwieraj.

– Dobrze. – Patrzył za nią ze ściągniętymi brwiami, gdy ruszyła dalej z kotem na rękach.

Poszła prosto do swojego gabinetu, zrobiła sobie kawę, obdzwoniła wszystkich z listy, a potem jeszcze raz sprawdziła, czy na pewno odhaczyła wszystkie nazwiska osób zatrudnionych w Złotej Akademii.

Nie oznaczało to oczywiście, że ktoś nie zignoruje ostrzeżenia lub zwyczajnie o nim zapomni, ale przynajmniej ich ostrzegła.

Uaktualniła jeszcze mapę zbrodni i wreszcie usiadła nad notatkami.

*

Roarke wrócił do domu nieco rozdrażniony opóźnieniem – już któryś z rządu – przy pracach wykończeniowych obiektu w Maine. Pięć kolejnych dni ulewnego deszczu mogło być dobre dla kwiatów, lecz dla niego oznaczało przerwę przy pracach na zewnątrz.

Nie mógł kontrolować cholernej pogody, ale gdy nadchodziło takie załamanie jak teraz, marzył o znalezieniu na to jakiegoś sposobu.

Kiedy wszedł do w domu, postanowił na razie nie zawracać sobie tym głowy i skupić się na innych sprawach, mimo że trochę mu to jednak dopieкло.

– Skoro kota nie ma z tobą – zwrócił się do kamerdynera – zapewne pani porucznik zawitała już do domu?

– Tak, już wróciła, ale coś ją wyraźnie gryzie. Wyglądała na przemęczoną i... smutną. Powinieneś ją pocieszyć. Powiedziała mi coś dziwnego: żebym nie otwierał żadnych zaadresowanych do mnie przesyłek.

– Dzisiaj rano zamordowano następną osobę – mówiąc to, Roarke popatrzył w górę schodów.

– Tak, słyszałem. Nie widzę związku z przesyłkami, które mogłyby być dostarczane tutaj, do nas.

– Jeśli ją to martwi, zapewne ma ku temu powód. Pójdę się dowiedzieć, o co chodzi.

– Sam wyglądasz na przemęczonego – mruknął Summerset za Roarkiem, kiedy ten ruszył po schodach na piętro.

– Cholerny deszcz!

– Dzisiaj nie padało.

– W Main łało jak z cebra.

Powlókł się w górę po schodach, lecz ponieważ nie mógł otrząsnąć się z rozdrażnienia, skręcił wprawdzie do sypialni zdjąć garnitur – a wraz z nim zrzucić z barków cały dzień pracy. Przebrał się

w cienki sweter i dżinsy.

Kiedy wszedł do gabinetu Eve, ta siedziała przed komputerem. Kot, zamiast zająć jak zwykle miejsce na szezlongu, usadowił się tym razem na blacie biurka, wpatrzony w swoją panią.

– Zaczynasz mnie przerażać, kolego – mruknął do kota. – Idź uciąć sobie drzemkę albo co.

Żona nie oderwała się od pracy. Galahad ani drgnął.

Roarke natychmiast zauważył po jej spojrzeniu, jak bardzo boli ją głowa. Dla niego sygnał był wyraźny jak migająca lampka kontrolna. Pewnie wynikał z przemęczenia, pominąwszy brak czasu na zjedzenie czegokolwiek przez cały dzień.

Rozdrażnienie znów wróciło. Wyjął z kieszeni pudełko z tabletkami przeciwbólowymi i podszedł wprost do niej. Oboje – ona i kot – jak na komendę odwrócili ku niemu głowy i spojrzeli mu w oczy.

Kocur miał smutny wygląd. Jego spojrzenie mówiło to samo co Sunset: zrób coś z tym!

– Weź tabletkę! – zwrócił się do Eve. – Z tym bólem głowy się nie napracujesz.

Zrobiła taką minę, jakby chciała odmówić – dobrze to widział – ale od razu zmieniła zdanie, co też zauważył. Kiedy wzięła proszki bez słowa protestu, bez wykręcania się jak zawsze, uznał, że faktycznie musi coś z tym zrobić.

Przynajmniej jego myśli oderwą się od inwestycji, która utknęła w miejscu.

Popatrzył na mapę zbrodni i zobaczył na niej zdjęcia drugiej ofiary oraz miejsca, gdzie popełniono morderstwo.

– Czytałem w raporcie, że miała dwóch kilkunastoletnich synów.

– Mhm.

– Nie podejrzewasz chyba męża?

Pokręciła głową, a potem udzieliła szerszych wyjaśnień.

– Wykłada na Uniwersytecie Columbia. Dennis Mira go zna. Pomagał mi, kiedy pojechałam poinformować go o śmierci żony. Faceta to całkiem rozłożyło na łopatki. Rozsypał się na moich oczach. Pan Mira bardzo mi pomógł.

– Dennis to chodząca życzliwość i współczucie.

Eve często myślała, że gdyby wszyscy w Nowym Jorku byli choć trochę jak Dennis Mira, zostałyby bez pracy.

– Zanim Duran, mąż ofiary, zaczął wykładać na Columbii, uczył w Złotej Akademii.

– Ach! Znalazłaś więc coś wspólnego.

– Tak. Musiała zginąć kolejna osoba, żebym to wykryła, ale mam.

– Eve?

Znów potrząsnęła głową, tym razem bardziej energicznie.

– To nie przeze mnie. Wiem, że to nie przeze mnie, mimo to ona nie żyje. Jezu! Roarke! Znalazła ją matka!

Bez słowa stanął za krzesłem i położył ręce na ramionach żony, musnął ustami czubek jej głowy.

– Co mogę zrobić? – spytał.

Obróciła się z krzesłem, objęła go ramionami w pasie i wtuliła twarz w jego sweter.

– Och! No już, już! – Serce mu się ścisnęło. – Oderwij się od tego choć na chwilę.

– Muszę jeszcze... – zamilkła, by się pozbierać. – Muszę jeszcze coś powiedzieć o dzisiejszym poranku.

Nastawiony na pocieszenie, natychmiast przygasł.

– Dzisiejszym poranku? – powtórzył jak echo.

– Już widzę puścić wszystko w niepamięć. Byłeś wkurzony, ale przeszedłeś nad tym do porządku dziennego. Ja również byłam wkurzona.

Pamiętała, ale cóż... Wzruszył tylko ramionami.

– I ty, i ja wkurzyliśmy się nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni.

– No niby tak, ale... – Wypuściła go z objęć, wstała i stanęła naprzeciw niego. – Wiem, że ludzie wściekają się o pieniądze. Do diabła! Przez kasę przewraca się im w głowach!

– Raczej nie sądzę, żeby któreś z nas doszło do tego etapu.

– Wiem, że w naszej sytuacji głupio jest robić z tego powodu afery. Raczej wywołuje je brak pieniędzy, wydawanie ich zbyt lekką ręką, chciwość, cokolwiek, nigdy zaś fakt, że jest ich tak cholernie dużo.

Przeciągnął delikatnie kciukiem przez wgłębienie w jej brodzie.

– Jeśli o to chodzi, nie mam w planach żadnych zmian – powiedział.

– Och! To akurat wiem. Chodzi mi o to, że nie chcę, abyś za każdym razem, kiedy zabraknie mi gotówki, wyciągał z kieszeni plik banknotów i mi go wciskał. Miałabym ją, gdybym nie zapomniiała podjechać do bankomatu. No i, cholera jasna, właśnie zapomniiałam to zrobić i to wywołało ten twój głupi gest.

– Wciąż mam twoje pisemne zobowiązanie do zwrotu pożyczonej gotówki.
– Nie chcę, żeby to się stało regułą – ciągnęła. – Nie chcę się od tego uzależnić. I tak już się za bardo do tego wszystkiego przyzwyczaiłam i częściowo uzależniłam. Przyzwyczaiłam się do ciebie, do tego miejsca, do życia, które prowadzimy, do ubrań w mojej garderobie. Cholera! Nawet do kawy, którą codziennie pijam.

– Dlaczego cię to martwi?

– Nie martwi... No może czasem odrobinę, ale to moja sprawa. To głupie, żeby się tak wściekać dlatego, że pożyczyłeś mi trochę kasy, ale nie będę sobie wyobrażać nie wiadomo czego. Że nie ma problemu i Roarke raz-dwa pokryje moje wydatki. Nie chcę, by którekolwiek z nas zaczęło myśleć w ten sposób. To dla mnie ważne.

– Rozumiem, że jeśli przyjmiesz do wiadomości, że to dla mnie ważne, nie będziesz wychodziła z domu z pustymi kieszeniami.

– Tak całkiem puste nie były. Tak czy siak, to tylko część tego, co chcę powiedzieć. Duran doznał straszliwego wstrząsu. Wiesz, że próbował sobie przypomnieć, czy pocałował rano żonę na pożegnanie? Zastanawiał się, czy jej powiedział, że ją kocha, i czy pocałował ją na pożegnanie, bo odeszła na zawsze. Pomyślałam sobie wtedy, że ja byłam rano wkurzona i po prostu wyszłam. Nie pocałowałam cię na pożegnanie. Nie powiedziałam, że cię kocham. Cholera! Przecież nikt nie wie lepiej ode mnie, jak nagle w ułamku sekundy wszystko może się zmienić, przerwać, i wtedy już nigdy więcej nie będziesz mieć ku temu okazji.

– Moja najdroższa Eve! – szepnęła, a potem pokrył pocałunkami jej czoło, policzki, jej usta.

– To zdarzy się znowu kiedyś. Może następnym razem to ty się wściekniesz i wyjdiesz z domu. Więc chcę powiedzieć tu i teraz, że jeśli to ma się kiedykolwiek znowu wydarzyć, pamiętajmy. – Ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała go. – Po prostu pamiętajmy.

– A ty?... – Oddał pocałunek i przytrzymał ją w objęciach. – Co powiesz na spaghetti z pulpecikami mięsnymi?

Zastygła na chwilę, a potem krew znów zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Pochyliła głowę tak, że ich czoła się zetknęły.

– Ach! Ty to zawsze wiesz, w którą strunę uderzyć! – westchnęła.

– Owszem, wiem. A więc usiądźmy przy stole, zjemy spaghetti, napijemy się wina i opowiesz mi o tym wspólnym elemencie i o tym, co to oznacza. Ja się zajmę przygotowaniem posiłku, a ty się zajmij winem.

Usiedli przy kolacji i opowiedziała mu o swoim dniu.

– Jest jakieś wykalkulowane okrucieństwo w tym, żeby zamordować współmałżonka kogoś, do kogo chowasz urazę. – Odkroił kawałek chleba i podał kromkę żonie. – Jak to się ma do polecenia Summer-setowi, żeby nie otwierał żadnych przesyłek?

– Nie tylko spędziłam czas w szkole, zadając pytania i załatwiając dostęp informatykom do danych archiwalnych. Wyjaśniłam również tym, którzy tam byli dzisiaj, że mamy element łączący oba zabójstwa. Zrozumiał, kto mądry. Jaki jest lepszy sposób na ukaranie osoby odpowiedzialnej za niepowodzenia tego kogoś, niż krzywda wyrządzona jego współmałżonkowi? – Nawinęła sobie trochę makaronu na widelec. – Miał nikłe szanse powodzenia, ale dlaczego chciał podjąć to ryzyko?

– Rozumiem. Więc teraz chcesz sprawdzić Grange i okres przejściowy. Wymianę na stanowisku dyrektora.

– Jeśli to szkoła łączy oba morderstwa, a tak właśnie jest, Grange jest tu najsilniejszym ogniwem wspólnym. Z którejkolwiek strony spojrzeć, wychodzi na to, że nie interesowali ją za grosz ani uczniowie, ani nauczyciele. Dbała jedynie o prestiż szkoły, o jak największe darowizny. – Eve nabiła pulpet na widelec i trzymając go, gestykulowała. – Więc teraz dwa pytania do ciebie. Pierwsze. Co wiesz o byłym mężu Grange, Reginaldzie Greenwaldzie, prezieście firmy All Fresh?

– Ach! Wydaje mi się, że spotkałem go raz czy dwa razy, a jeśli tak, musiałem poznać i Grange. Jego firma jest bardziej niż solidna, a cała rodzina ma dobrą reputację: prowadzą ją bez zarzutu. Nie przypominam sobie, żebym słyszał o nich cokolwiek szczególnego. Myślisz, że Greenwald jest w to zamieszany?

– Mają tam mnóstwo laboratoriów, mnóstwo chemików i mnóstwo różnorodnych substancji chemicznych. On jest nie tylko prezesem firmy, ale również wnukiem założyciela, nikt by się nie dziwił temu, że spędza czas w laboratoriach. – Wzruszyła ramionami i zajęła się jedzeniem. – Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe, a przynajmniej nie z tym, co mam. Z Grange nie łączyło go żadne uczucie. To była zwykła umowa.

– Jesteś tego pewna? – spytał.

– On tak twierdzi. Pobrali się głównie ze względu na fascynację seksem, a poza tym pasowali do siebie ambicjami i charakterem. Jeśli któreś z nich miało ochotę na skok w bok, w porządku, o ile nie wyszło na jaw. Ona nie dotrzymała umowy. Nie tylko ktoś przysłał mu zdjęcie żony w niewduznicznej sytuacji z facetem, którego twarz nie była na zdjęciu widoczna, lecz również przyłapano ją w szkole *in flagranti* z jednym z nauczycieli.

– Nie była zbyt ostrożna.

– Krążą plotki, że uwiodła też ucznia.

– To już świadczy o jej całkowitej bezmyślności. Jednakże... I ona, i Greenwald, są, jeśli dobrze pamiętam, równolatkami. Czy to przypadkiem nie czyni jej z pół wieku starszą od uczniów jej szkoły?

– Greenwald mieszka z dwudziestoczteroletnią śliczną Ukrainką, która jest niby jego osobistą asystentką. Uważaj, asie, co mówisz, bo tu różnica wieku również sięga dwóch pokoleń.

– Dziewczyna jest jednak dorosła, a nie uczy się w szkole. To czyni ogromną różnicę.

– Z tym nie będę się sprzeczać.

– Sprawdziłaś ją?

– Tak. Jest jej sponsorem. Sprowadził ją do siebie ponad trzy lata temu, czyli długo po rozwodzie. Odprowadziła mnie do drzwi i wtedy zwróciłam się do niej z propozycją pomocy. Ona na to, zdziwiona, mówi, że jest bardzo zadowolona, i na taką zresztą wyglądała. Powiedziała, że jest dla niej miły i nie krzywdzi jej, a ona wie, jak to jest być krzywdzoną przez kogoś, kto ma władzę. A więc... ich sprawa. – Zdecydowanie podejrzana szara strefa, lecz nie jest ani małoletnia, ani nie chodzi już do szkoły. Jeśli Grange faktycznie zabrnęła w takie rejony, powinna nie tylko stracić stanowisko i jakąkolwiek szansę na objęcie innego, ale i mieć postawione zarzuty.

– Ehe, powinna. Myślę właśnie, żeby jej o tym napomknąć, kiedy się wybiorę do niej w odwiedziny do Waszyngtonu Wschodniego.

– Naprawdę się do niej wybierasz?

– Mogłabym zacząć od wezwania jej na przesłuchanie tutaj, do Nowego Jorku, lecz co, gdyby zaczęła grać na zwłokę? Poprzednie dwa morderstwa wydarzyły się w ciągu dwóch dni, jedno po drugim. Wolę nie ryzykować.

– Zorganizuję samolot. Przecież już latałaś kilka razy – dodał szybko, nim zdążyła zaprotestować. – Tylko dla zaoszczędzenia czasu i zaoszczędzenia ci frustracji w pracy, a być może uratowania komuś życia. Wszystko dla dobra sprawy.

– Przelot samolotem rejsowym nie byłby nawet takim złym pomysłem – zaczęła, ignorując jego marsową minę. – Tak, to zaoszczędziłoby nam sporo czasu. Chcę udać się tam zaraz po ostatnim pożegnaniu Kenta Abnera, odbędzie się ono jutro rano. A teraz drugie pytanie. Co wiesz o Migueleu Rodriguesie?

– Wydaje mi się, że raczej nic. Kto to taki?

– Ułatwię ci, ponieważ zatrudniasz wielu emigrantów z Urugwaju. Tak się składa, że jest starym znajomym Callendar, i to właśnie ona pierwsza mi o nim wspomniała. Drugi raz usłyszałam o nim od nauczycielki ze Złotej, pomyślałam więc, że trzeba się mu przyjrzeć. Chodził do tej szkoły, przygotowując się do egzaminów na studia – kontynuowała, nawijając spaghetti na widelec. – Zdał celująco na jedną z najlepszych uczelni technicznych w kraju, skończył informatykę, a teraz pracuje jako programista w jednym z oddziałów naukowo-badawczych twojej firmy.

– Jaka jest liczba ludności Urugwaju? – spytał Roarke.

– Nie wiem, ale najprawdopodobniej zatrudniasz mnóstwo ludzi stamtąd, więc nie możesz znać wszystkich, którym wypłacasz regularnie pensję.

– Z głowy na pewno nic ci nie powiem, ale każdy zatrudniony u mnie człowiek jest wprawdzie dokładnie prześwietlany. Czy ten Rodrigues jest podejrzany w sprawie?

– Nie. Callendar opowiedziała mi, że kilku uczniów się nad nim znęcało, a nawet go dość dotkliwie pobili, kiedy był w Złotej. Porozmawiałam już szczerze z nauczycielem chemii, który uczy w tej szkole od kilkudziesięciu lat, miał więc okazję pracować pod sterami Grange. Powiedział mi oprócz kilku interesujących rzeczy, że ten Rodrigues był celem dzieciaków z bogatych rodzin. Regularnie sprawiali kłopoty. Źukli go, kiedy zawczasu nie zdołał im umknąć lub kiedy nie dawał im ściągać. Jego rodzice przyszli ze skargą do Grange, ale olała ich. – Przełknęła i popiła wodą. – Kiedy Rufty przejął stanowisko dyrektora, wrócili, a on nie dość, że ich wysłuchał, to jeszcze zawiesił tych, którzy to robili.

– Wywrócił szkołę do góry nogami.

– No może nie do końca, ale się postawił. Nauczyciel chemii podał mi nazwisko tego ucznia, a obszerniejszą wiedzę uzyskałam z notatek Rufty'ego. Muszę to teraz zweryfikować. Chcę też porozmawiać z Rodriguesem, żeby mieć cały obraz sytuacji.

– To łatwe do zorganizowania. Muszę tylko odświeżyć pamięć co do jego osoby.

– Nauczyciel chemii, który wydał mi się wyjątkowo solidną osobą, lubił go. Z wzajemnością. Najwyraźniej to niezwykle uzdolniony chłopak, a skoro wolał obrywać niż dawać ściągać, powiedziała-bym, że wymagało to od niego nieskazitelnej moralności oraz odwagi. Zgarnął go do siebie, zaraz gdy ukończył studia.

– A zatrudniam tylko najlepszych – dodał z satysfakcją Roarke i sięgnął przez stół, by ująć dłoń Eve.
– Sprawdzę jego papiery, pomówię z jego kierownikiem. Dam mu wolne, kiedy tylko zechcesz z nim porozmawiać.

– Zaoszczędzi mi to trochę czasu. Ostatnie pożegnanie Abnera rozpoczyna się o ósmej rano. Rodzina chciała, aby odbyło się w miejscu, gdzie najbardziej lubił biegać. Myślę, że o dziewiątej będę mogła wsiąść do samolotu. Lepiej będzie, jeśli napiszę potem wiadomość, o której będziemy gotowe do powrotu. Zmuszenie Grange do rozmowy może okazać się niełatwe.

– Moim zdaniem, jeśli poprosisz Whitneya, aby skontaktował się z radą szkoły lub jej przewodniczącym... w sumie nie wiem, jak to tam działa... będziesz miała to załatwione.

– Uff! Mogłabym się założyć, że podziała. Trochę to pokrećna droga, ale jeśli ma przynieść efekt...

– Graj swoimi mocnymi kartami, kochanie.

– Potraktuję to jak komplement. – Posłała tęskne spojrzenie ostatniemu kęsowi ostatniego mięsnego pulpecika. – Zastanawiam się, co za geniusz opracował koncepcję ukręcenia kulki z mięsa. Powinno się uchronować go przynajmniej jakimś pomocznikiem.

– Sądzę, że jest tam zdecydowanie więcej składników niż tylko samo mięso.

– Lepiej nie mów. – Zjadła ostatni kawałek. – Nie chcę tego wiedzieć, a poza tym ty sam wiesz niewiele więcej niż ja na temat składników dań. Pozostańmy więc przy kulce z mięsa i zakończmy temat. A skoro ty przygotowałeś jedzenie, ja zajmę się posprzątaniem po obiedzie.

Wracając z kawą do swojego gabinetu, pomyślała, czy ktoś z tych, którzy znają Roarke'a – tego Roarke'a, który wypisuje czeki ludziom pochodzącym z Urugwaju – kiedykolwiek wyobraził go sobie taszczącemu brudne naczynia do kuchennego zlewu.

Nic nie wiesz o ludziach, póki nie zjesz z nimi beczki soli – pomyślała, co nasunęło jej na myśl Lotte Grange. Odniosła wrażenie, że to kobieta zimna, lubiąca seks, ambitna, być może chciwa, ale za tym wszystkim musiał się kryć błyskotliwy umysł i pewne szczególne umiejętności. Nikt nie awansuje wyłącznie przez łóżko do funkcji dyrektora w elitarnej prywatnej szkole. A przynajmniej nie na długo.

Ponieważ Roarke wpadł na świetny pomysł (a miewał zazwyczaj niezłe pomysły), by wykorzystać się przeciwnicy Whitneya do tego, żeby rozmowa z Grange miała sens, wysłała mu stosowną prośbę.

Potem sprawdziła Kendel Hayward: krętaczkę, nękającą inne dzieciaki, niegrzeczną dziewczuchę ze szkoły średniej. Eve dobrze знаła ten typ. Trafiły się takie nie tylko w ekskluzywnych szkołach prywatnych. W zwykłych publicznych czy stanowych również bywały.

Wyglądało na to, że Hayward ukończyła szkołę średnią, później odbyła dwuletnie studia licencjackie w zakresie wiedzy ogólnej na uniwersytecie w Maryland, po czym rozpoczęła pracę w firmie eventowej swej matki, organizującej najrozmaitsze imprezy.

Obecnie mieszkała i pracowała – co za szczęśliwy zbieg okoliczności! – w Waszyngtonie Wschodnim. Weszłym roku latem ogłoszono jej zaręczyny z doradcą w Kongresie Stanów Zjednoczonych. Gość najwyraźniej miał pieniądze, nazwisko znanego rodu oraz równie wysokie aspiracje.

Eve zaplanowała więc dwa przesłuchania podczas jednego wyjazdu, mając nadzieję, że cała wyprawa stanie się przez to bardziej opłacalna.

Zajęła się też intensywnym przekopywaniem przez notatki Rufty'ego z początków jego pracy w Złej Akademii, zatrzymując się przy tych uczniach sprawiających kłopoty, którzy albo zostali zawieszeni, albo których starali się wyciągać z owych kłopotów rodzice.

Szczególnie zainteresował ją jeden wpis, w którym Rufty wspominał o przyjaźni z Hayward. Niejaki Marshall Cosner. Przeniesiono go ze Złej do Akademii Bridgeport w Vermont i tam dokończył ostatni semestr nauki, mieszkając w tym samym mieście, co jego dziadkowie ze strony matki. Następnie skończył prawo, kontynuując rodzinną tradycję już w czwartym pokoleniu, lecz nie na Harvardzie, jak to czynili jego przodkowie.

Obecnie praktykował w rodzinnej kancelarii prawnej w Nowym Jorku. Do tej pory nie obronił pracy magisterskiej. Wyglądało na to, że przed nim jeszcze daleka droga do dyplomu. Przyczyniła się do tego w znaczącym stopniu przerwa – rozważała – którą musiał zrobić na czas odwyku w bardzo kosztownym, ekskluzywnym ośrodku. Dwa razy nabrał po zażyciu narkotyków i ani razu nie poniósł za to konsekwencji w postaci odsiadki.

Kolejną przerwę zaliczył na pobyt w szpitalu i rehabilitację, kiedy – znów pod wpływem narkotyków – siedząc za kierownicą, rozbił samochód i siebie.

Niektórzy uzależnieni lubili zażywać substancje wyprodukowane przez samych siebie – rozmyślała dalej. Może Cosner zaliczył więcej lekcji chemii na ulicy niż w szkole?

Wreszcie przejrzała kilka notatek odnoszących się do następnych uczniów i zatrzymała się przy osobistych spostrzeżeniach Rufty'ego.

Zainteresował ją zwłaszcza Stephen Whitt, chłopak Hayward z czasów szkolnych, dobry kumpel Cosnera, a zgodnie z notatkami Rufty'ego – przywódca bandy wichrzyeli.

Tak jak i Cosner został przeniesiony do innej szkoły podczas kilku pierwszych tygodni pracy Rufty'ego w Złotej, lecz w jego przypadku – co interesujące – okazała się nią szkoła średnia imienia Lestera Hensena w Waszyngtonie Wschodnim. Eve rozsiadła się wygodnie i znowu wpadła w zadumę. A zatem przeniósł się do tej samej szkoły, w której Grange objęła posadę dyrektorki!

Ukończył szkołę z wynikami plasującymi go w dziesiątce najlepszych w klasie. Poszedł na studia do Northwestern na finanse międzynarodowe – kolejna rodzinna tradycja. Pracował obecnie w małej, ekskluzywnej rodzinnej firmie na Wall Street, równocześnie pisząc – z przerwami – pracę magisterską.

Nie miał żadnych zatargów z prawem, co Eve uznała za podejrzane, biorąc pod uwagę jego przeszłość.

Zacząła się zastanawiać, czy trio, trzęsące swego czasu Złotą Akademią, utrzymywało ze sobą jakieś kontakty. W tym momencie wrócił Roarke, więc oderwała wzrok od komputera.

– Mam wszystko o Miguelu Rodrigesie – zaczął. – Otóż jest zatrudniony u mnie od prawie dwóch lat. Skorzystał z opcji dalszego kształcenia kadr. Obecnie pracuje nad doktoratem, kontaktując się z uczelnią techniczną online. Powinien go obronić przed końcem tego roku. Jego bezpośredni kierownik uważa go za mocną podporę firmy, młodego mężczyznę o interesujących pomysłach, nieskazitelnej etyce pracy oraz dużych umiejętnościach. Zaoferowaliśmy mu stanowisko tuż po ukończeniu przez niego studiów. Poprosił o zatrudnienie w naszym oddziale zlokalizowanym w Nowym Jorku, choć zaoferowaliśmy mu Madryt, gdzie mieszka cała jego rodzina. – Roarke przysiadł na brzegu biurka żony. – Przy tym, zgodnie z opinią kierownika, na pewno zostanie awansowany. Jest dwujęzyczny, stabilny emocjonalnie, a obecnie również zakochany do szaleństwa w młodej pani inżynier, wstydzi się jednak zaprosić ją na randkę.

– Nawet w wyciągnęłaś?! – zdziwiła się Eve.

– Chcieliśmy być drobiazgowo dokładni. Tak czy siak, jeśli tylko będziesz chciała z nim porozmawiać, daj mi znać, a wyślemy go do ciebie, do komendy głównej.

– Właśnie rozpracowuję ten wątek. Jedna z wrednych dziewczuch, która nabijała się z twojego obecnego pracownika, mieszka teraz w Waszyngtonie Wschodnim, toteż sobie z nią porozmawiamy, gdy już tam będziemy. Mam jeszcze dwa inne nazwiska osób, które mnie szczególnie zainteresowały. To młodzi mężczyźni, obaj z Nowego Jorku. Jeden z nich przeniósł się do tej samej szkoły, w której Grange została dyrektorką po odejściu ze Złotej Akademii.

– O! To ciekawa sprawa! – wtrącił Roarke.

– Mhm, też tak sędzę. Dlaczego poszedł za Grange? Czy miało to coś wspólnego z drenażem kieszki jego bogatych rodziców przez Grange? Czy chłopak był zadowolony z tej zmiany? Innego ucznia odesłano do Vermont, do szkoły średniej z internatem, do której uczęszczał pod okiem swoich dziadków. Tam już nie mógł tak rozrabiać. Chłopak z Vermont i wredne dziewczę jako się ogarnęli i mieli całkiem przyzwoite wyniki w nauce. Drugi chłopak poszedł do Northwestern i obecnie pracuje w rodzinnej firmie zajmującej się finansami. Finansami międzynarodowymi.

– Jak się nazywa ta firma?

– Whitt Group.

– Znam ich. Znam przede wszystkim Brenta Whitta, który zdaje się jest ojcem twojego podejrzanego.

– Jeszcze nie podejrzanego. Jak na razie to raczej osoba z kręgu podejrzanych, ale owszem, to jego ojciec.

– Dziadek, wuj oraz ojciec wraz z synem, a wydaje mi się, że i z kuzynem, są trzonem firmy. Bardzo ekskluzywnej firmy. Z tego, co się orientuję, nie biorą klientów chcących zainwestować mniej niż pięćdziesiąt milionów dolarów.

Eve odchyliła się do tyłu na krześle.

– Współpracujesz z nimi? – spytała.

– Nie, nie współpracuję. – Uniósł do ust jej kawę, spróbował i odstawił z powrotem, gdyż była zimna jak lód. – Wiesz, na końcu kiedyś były takie czasy, że ledwo udawało mi się zebrać kilka tysięcy na jakiegokolwiek inwestycje.

– A temu, co teraz masz, początek dała kasa od pasera.

Tylko się na to uśmiechnął.

– Masz rację. Tak czy owak, ja osobiście wolę bardziej wszechstronne podejście, jeśli chodzi o moje firmy inwestycyjne. Poza tym, bo dlaczego miałbym o tym nie wspomnieć, jakoś nie polubiliśmy się z Brentem Whittem, kiedy on i jego zespół przedstawili mi propozycję objęcia posady.

– A co takiego cię od nich odręczyło?

– No cóż... Powiem ci. Napiję się najpierw whisky, a jeśli ty masz zamiar pić kawę, to przynajmniej ją podgrzej. – Podeszedł do szafki wbudowanej w ścianę i otworzył segment, w którym przechowywał alkohole. Wybrał butelkę i niską szklankę. – Brent Whitt należy do pewnych siebie, próżnych ludzi ze świecznika, takich, co to zawsze byli bogaci i uprzywilejowani. Lubi z tym wyjeżdżać i obnosić się ze swoim bogactwem. – Roarke nalał sobie bursztynowego płynu na trzy palce i wrócił do Eve. – To jego pradziadek zarobił pierwsze większe pieniądze i wraz z synem pomnożył je do znacznej fortuny, więc kiedy na świat przyszedł Brent, można powiedzieć, że był w czepku urodzony.

Znała ten ton wypowiedzi, subtelnie skrywający animozje.

– Musisz naprawdę bardzo go nie lubić – zauważyła.

– Nie lubię – potwierdził. – Nie cierpię typów tego rodzaju. Wiecznie się popisuje, wypowiada się autorytatywnie, ubliża wszystkim pracownikom swego zespołu, a przecież to oni wykonują lwią część pracy, działając na niezwykle rozbudowanych projektach. Wrażenie, jakie odniosłem... nie, nawet nie to... – poprawił się i upił łyk whisky. – Whitt bez ogródek oświadczył mi, że jego firma pragnie pozyskać moje portfolio, choć źródło dalekie jest od ideału.

– Ty, mały ulicznik z Dublina, który jakoś sobie w życiu poradził, miałeś być tym źródłem?

– Tak.

– Kiedy to było?

– Dokładnie ci nie powiem. Kilka lat temu. Może pięć, może sześć.

– A więc zanim najmłodszy członek rodziny dołączył do zespołu. Zastanawiałam się, czy był już wtedy z nimi i czy mogłeś się z nim spotkać.

– Wątpię. Z tego, co pamiętam, najmłodszym pracownikiem u nich w firmie była wówczas kobieta, zdaje się dwudziestokilkuletnia. Kuzynka twojej osoby z kręgu podejrzanych, którą Whitt senior traktował jak podwładną.

– A co z jego żoną, a raczej byłą żoną? – zainteresowała się.

– Żony sobie nie przypominam, ale wtedy nie mieliśmy po co się spotykać. Słyszałem tyle co wszyscy: że było między nimi wiele goryczy i zjadłości, ale widziałaś kiedyś rozwód bez tego? Poza tym wywalczyła sporą sumkę i przeprowadziła się do Paryża. – Ściągnął brwi, wpatrzony w swoją whisky. – Albo może do Florencji.

– Kawał drogi od swojego jedyne go syna.

– O tym nie pomyślałem. W każdym razie muszę przyznać, że Whitt Group, a pośród nich i Brent, wiedzą, co robią. Mają doskonałą opinię i klientów najwyższej próby.

– Ale ciebie nie ściągnęli.

– Mnie w pełni satysfakcjonuje współpraca z obecną firmą.

– Okej, znasz jedną z rodzin, przejdźmy więc do następnej. – Musiała zajrzeć do swoich notatek. – Lowell Cosner i Marilyn Dupont. Oboje prawnicy. Współpracują w kancelarii Cosner, Dupont & Smithers.

– Znam ich. Ty również miałaś okazję ich poznać – powiedział Roarke.

– Doprawdy?

– Musiałaś ją widzieć na kilku imprezach charytatywnych. Działa bardzo aktywnie, zbierając pieniądze na szczytne cele. Wydaje mi się, że założyła własną fundację. To kolejna bogata rodzina. Drugie, może już trzecie pokolenie. Specjalizują się w prawie spółek, prawie podatkowym, w sprawach prawnych dotyczących nieruchomości i tym podobnych, choć biorą również sprawy karne oraz z zakresu prawa rodzinnego. Znam ją... Mówię o Marilyn. Więc znam ją odrobinę lepiej, ponieważ zwracała się bezpośrednio do mnie w sprawie darowizn oraz sponsorowania różnych imprez. To jej rodzice zapewne mieszkają w Vermont – mówiąc to, uniół w górę palec wskazujący, a potem upił następny łyk. W wyobraźni widziała, jak jego mózg usilnie sortuje pliki pamięci. – Przypominam sobie, że słyszałem jakieś plotki o synu oraz problemach, które stwarzał. Narkotyki, nielegalne substancje i coś jeszcze... Wypadek samochodowy, po którym wyładował w szpitalu.

– Dobrze pamiętasz – powiedziała Eve. – Był na odwyku, ale jak widać nie powstrzymało go to przed braniem i rozbiciem auta pod wpływem narkotyków. W wypadku brał udział tylko jeden samochód i poszkodowanym był tylko on sam. Nie zdobył jeszcze stopnia magistra prawa i obecnie wykonuje dla firmy jakieś mało ważne prace. Przejdźmy może do ostatnich. Benson Hayward i Louisa Raines.

– Ach! Louisa Raines, organizatorka imprez najwyższej klasy i zarazem celebrytka. Kolejna zamożna rodzina. Są właścicielami sieci hipermarketów. Zapewne Hayward był typem wilka z Wall Street – dodał w zadumie Roarke. – Rozwiedli się mniej więcej sześć lat temu. Porzucił Wall Street i wyjechał na południe. Prowadzi teraz sklep dla nurków na Jamajce. Na wyspie Jamajka, nie w dzielnicy hrabstwa Queens pod Nowym Jorkiem.

– Domyślam się. W Queens raczej nie ma popytu na sprzęt do nurkowania – prychnęła Eve. – A słyzałeś może coś na temat ich córki?

– Wydaje mi się, że czytałem, a może słyszałem coś o zaręczynach z wnukiem byłego senatora Bilby’ego. Rodzina Bilbych to jeszcze jedni prominenci tkwiący po uszy w polityce. Patience Bilby-Scott, córka senatora i matka narzeczonego, jest obecnie ministrem edukacji. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że będzie kandydować w następnych wyborach prezydenckich.

– Ty to dopiero potrafisz wypełniać moje luki informacyjne! – rzekła Eve z niekłamany podziwem.

– Robiłem wszystko, co w mojej mocy. Jaki obraz całości otrzymałaś po wypełnieniu owych luk?

– Wygląda na to, że żadna z tych rodzin nie chciałyby, żeby jej potomek wplątał się w śledztwo w sprawie morderstwa. Pewnie będą miały do czynienia z całymi zgrajami prawników. – Wzięła do ręki kubek ze świeżo zaparzoną kawą, oparła nogi o blat biurka i zaczęła się przyglądać mapie zbrodni. – Widzę również, że uważasz Whitta za fiuta. Podejrzewam, że jego syn był w liceum terroryzującym wszystkich łobuzem, co starannie zatuszowano. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wciąż tkwił w nim ten zimny szubrawiec ze szkoły, gdy rozpoczął studia. Fakt posiadania przez niego nieskazatelnie czystej kartoteki budzi we mnie podejrzenia, że o wiele więcej zostało zamiecione pod dywan.

– Kocham cię za ten twój cynizm.

– U każdego pojawiłyby się wątpliwości. Czytam pomiędzy wierszami, że chłopaka Cosnera rajcowało nie tylko zajmowanie się nauką, lecz prawdopodobnie nie miał odwagi nękać innych studentów i spisywać od nich prac, nie mając przy sobie obstawy w postaci starych kumpli. Stał się nieudacznikiem. – Zajrzała do notatek. – A co do Hayward, mam przecucie, że przynajmniej jedno z jej rodziców zadbało o to, aby się ogarnęła i chociaż zaczęła udawać, że zarabia na życie. To zapewne zawracanie głowy, kiedy ma się tyle odziedziczonych pieniędzy i jest się zaręczoną z chłopakiem z bogatej rodziny, którego matka może pewnego dnia zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Możesz sobie na podstawie tego urobić pełny obraz sytuacji. – Upiła kilka łyków kawy. – Każde z nich jest dla mnie podejrzone.

– Według mnie nie ma tu motywu do popełnienia zbrodni – orzekł Roarke.

Popatrzyła na męża drwiąco.

– Chyba nie spędziłeś zbyt wiele czasu w amerykańskiej szkole średniej, hę?

– Co tu dużo mówić: w Irlandii szkolnictwo zorganizowane jest nieco inaczej – odrzekł oględnie.

– Na pewno jednak jakieś szkoły średnie są.

– Chodziłbym do szkoły, gdyby mnie w niej zamknęli. – Uśmiechnięty od ucha do ucha upił łyk whisky. – Jest wiele możliwości zdobycia wiedzy poza szkołą.

– W szkole stanowią nauka to koszmarny. Mogę ci powiedzieć, że wszelkie żale i urazy, powstałe w szkole średniej, tkwią głęboko zakorzenione w psychice byłych uczniów tej instytucji. Wielu ludzi, z których na pewno kilku znasz, nie może się otrząsnąć do końca życia z tamtych przeżyć. Jedni dlatego, że brylowali tam na szczycie, inni dlatego, że byli tam mniej niż zerem – wyjaśniła.

Przyjrzał się jeszcze raz uważnie mapie zbrodni, skompilowanej przez Eve.

– Co do tego masz rację. A więc zakwalifikujemy ich jako osoby należące do kręgu podejrzanych, czy wprost, jako podejrzanych o popełnienie morderstwa?

– Na razie pozostaną w kręgu podejrzanych, chętnie jednakże powrócę do rozmowy z Rodriguesem. Będzie bardzo interesująca, skoro już tyle wiem. Chciałabym ją odbyć jutro po południu. Prześlę ci wiadomość, kiedy sytuacja na tyle mi się wyklaruje, że będę mogła podać konkretną godzinę.

– Może być – zgodził się Roarke. – Teraz muszę dokończyć swoją pracę, a ty w tym czasie ustaw sobie zadania na jutro. Potem, skoro najwyraźniej poprzykaliśmy się z rana, będziemy musieli się pogodzić.

– Sądziłam, że już to zrobiliśmy.

– To ty optujesz za trzymaniem się opracowanego przez siebie kodeksu małżeńskiego. – Wzniósł toast za to, nim wypił do dna. – Musi tam być jakiś zapis dotyczący uprawiania seksu na zgodę.

– Może i jest – mruknęła Eve bez przekonania.

– Jeśli nie, dopisz – doradził żonie i udał się do swojego gabinetu.

Wydostawała się powoli z przyjemnych objęć snu, i stwierdziła, że seks na zgodę zdecydowanie przyczyniał się do poprawy jakości nocnego wypoczynku.

Roarke wraz z Galahadem w przeciwnym kącie pokoju sprawdzali raporty finansowe. W oknie dachowym nad jej głową widać było idealnie błękitne niebo.

Całkiem niezły początek dnia.

Przetoczyła się na brzeg łóżka, wstała i ruszyła prosto po kawę. Seks na zgodę tak ją wykończył, że nie miała siły wstać z łóżka po piżamę, toteż pierwsze łyki wypijała nago.

– Co za przyjemny widok z samego rana! – skomentował Roarke.

– Wydaje mi się, że nagość byłaby dla ciebie przyjemnym widokiem o każdej porze dnia.

– Nie mylisz się.

Przyglądała się przez chwilę jego sylwetce w idealnie skrojonym garniturze, z idealnie zawiązanym krawatem.

– Ponieważ nie wypada jednak chodzić cały dzień na golasa, ty wybierz, w co powinnam się ubrać.

Teraz on z kolei przyjrzał się żonie, wciąż leniwie głaszcząc kota.

– Dobrze się pani czuje, pani porucznik? – spytał.

– Dzień rozpoczynam od udziału w ostatnim pożegnaniu, następnie lecę do Waszyngtonu Wschodniego przepytac wredną dyrektorkę, potem gdzieś kawałek dalej stawiam czoło rozpieszczonej, równie wrednej dziewczynie, a na koniec wracam popracować nad parką dręczycieli, i całkiem prawdopodobne, że będę musiała się zmierzyć ze zgrają pracowników najwyższej klasy. – Wstała i już idąc do łazienki, dodała: – Ty na pewno zrobisz to szybciej.

Podczas gdy przysnąć splukiwał z niej resztki snu, raz jeszcze przerobiła w myślach plan dnia, godzina po godzinie. Z Peabody spotkają się na ostatnim pożegnaniu doktora Abnera. Ciekawe, czy pojawi się tam zabójca, czy też uda mu się powstrzymać przed tą chwilą ekstra satysfakcji?

Później była uczennica Złotej Akademii i jedno z jej rodziców, nauczycielka, kolejna pracownica administracji.

On czy też ona musi się kryć pośród osób, które zwróciły na siebie jej uwagę. Nic poza tym nie miało sensu.

Zarzucała na siebie szlafrok i wróciła do sypialni, gdzie czekał już na nią Roarke – tak jak przypuszczała, poradził sobie z tym szybciej.

Jednakowoż...

Popatrzyła z marsową miną na żakiet i wąskie spodnie leżące na łóżku.

– A co to znowu za kolor? – jęknęła.

– Wydaje mi się, że mówią na to srebrzystoszary. Jak mgła – dodał.

– Ale ten materiał... błyszczący. Tak jakby.

– Ma połysk – poprawił ją. – Delikatny połysk. To oznaka siły. Na dziś lepszy będzie cały komplet, nie dwa oddzielne elementy. Garnitur dodaje powagi i jest kolejną oznaką siły w tym zestawieniu. Monochromatyczna bluzka koszulowa i buty dodadzą całości eleganckiego wyglądu osoby nieujarzmionej. Pewnie się skrzywisz na widok tych małych kolczyków z szafirami, subtelnymi i nierzucających się w oczy, ale i tak je założysz. Kończmy już z tym.

– Nie no... – A jednak się skrzywiła. – Nie będzie za wytwornie?

– Ten strój w ogóle nie jest wytworny, lecz, jak już mówiłem, będą cię w nim odbierać jako osobę władczą i silną. Ma prosty, elegancki krój; posłuży za doskonały kontrast, kiedy zaczniesz im łoic tyłki.

– Hmm... – O tym nie pomyślała, a to zdecydowanie przemawiało za tym wyborem.

– Najpierw zjedz śniadanie. Przygotowałem pełne irlandzkie, bo masz przed sobą męczący dzień.

Bardzo lubiła pełne irlandzkie śniadanka, szczególnie z drugą filiżanką kawy.

– Wiesz... Tkwię teraz po uszy w tych szkolnych sprawach i próbuję się zorientować, jak je prowadzi Grange, a jak robi to Ruffy. Zainteresował mnie ten temat także ze względu na twój ośrodek An Didean i to, co tam robisz.

– Co robimy tam razem.

– Nie kiwnęłam nawet palcem...

– O nie! Nie jest to prawda – przerwał jej. – To ty zainspirowałaś mnie do założenia tego ośrodka i to ty przekazałaś mi niezmiernie ważne pomysły, oparte na twoim doświadczeniu, czego mam nie robić, a co powinno się tam znaleźć.

– No dobra, niech ci będzie. Wróćmy do Złotej Akademii. To szkoła wyłącznie dla uprzywilejowanych. Są w niej oczywiście i biedne, zdolne dzieciaki na stypendiach, i dzieci rodziców oszczędzających jak nawiedzeni, żeby mieć na prywatną szkołę. Może od czasu, gdy dyrektorem został Rufty, nastąpiło większe zróżnicowanie ekonomiczne wśród rodziców uczniów, ale i tak do szkoły prywatnej uczęszczają głównie dzieci bogaczy. Ludzi, którzy marzą o wyższym statusie społecznym swoich dzieci. A drogą do tego statusu jest ukończenie przez nich elitarnych uczelni należących do Ivy League, Ligi Bluszczonej, zrzeszającej najlepsze akademie na świecie. Nie ma w tym nic złego, aczkolwiek... – Zastanawiała się, jak to najlepiej ująć, nie przerywając jedzenia. – Szkoła przy ośrodku An Didean jest dla dzieciaków, które prawdopodobnie zdążyły już nieźle oberwać od życia, dzieciaków, które nie miały szansy na edukację w szerokim zakresie tego słowa ani na zdobywanie nowych doświadczeń. Nie chodzi mi, no wiesz... o matematykę, przyrodę czy języki, ale o muzykę, sztukę, ładne klasy, możliwości konsultacji czy terapii u szkolnego psychologa. „Szeroki zakres” jest tu określeniem kluczowym. Nie będzie uprzywilejowanych. I nie kieruje mną cynizm – dodała. – Takie są realia.

– Wiem.

– Wszystko będzie dostępne dla wszystkich i tak wielu dzieciakom pozwoli zmienić życie na lepsze. Będę to miała w pamięci podczas dzisiejszej rozmowy z przedstawicielką tych zepsutych i bogatych – ciągnęła. – Miałam okazję spotkać w swoim życiu wiele dzieci uprzywilejowanych rodziców. Niektóre z nich żyły z ich majątku. Nie wszystkie były dupkami ani chciwymi draniami. Niektóre wykonują dobrą robotę i nawet jeśli niektóre z tych niektórych robią to tylko dla ocieplenia wizerunku lub w celu zyskania ulg podatkowych, rezultat jest taki sam. – Myślała o tym, opychając się bekonem. – Bella będzie dorastać w luksusach i wyrosnie na bogatego dzieciaka, lecz przy takich rodzicach jak Mavis i Leonardo nigdy nie stanie się wredną małpą.

– Ano nie – przyznał jej rację Roarke. – To samo się tyczy tego dziecka, które ma dopiero przyjść na świat.

Eve spałaszowała całe irlandzkie śniadanie do ostatniego okruszka.

– Dłatego właśnie mam zamiar zwrócić uwagę również na bogatych rodziców uczniów Złotej Akademii.

– Jak jabłko i jabłoni?

– To znaczy? – spytała, wstając, żeby się ubrać.

– Mówi się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni – wyjaśnił Roarke.

– Jeśli chcesz zjeść zdrowe jabłko, zrywasz je z drzewa, zanim spadnie – oznajmiła, wciągnąwszy na siebie bieliznę. – W innym wypadku będzie leżało na ziemi i w końcu zgnije.

– Nie zdąży, jeśli je na czas podniesiesz. Takie jabłka nazywa się spadami.

Zerknęła na niego spod oka, zapinając guziki koszulowej bluzki.

– Naprawdę mówi się na jabłka „spady”? – zdumiała się.

– Tak, ponieważ spadają z drzewa prosto pod twoje stopy, zwykle nieoczekiwanie.

– Ktoś zepchnięty z dachu też mógłby spaść nieoczekiwanie prosto pod twoje stopy. Też można by było w takiej sytuacji nazwać go „spadem”? – zaczęła drążyć.

Roarke obserwował żonę wciągającą spodnie.

– Spadem nazywamy jabłko, które ma jeszcze jakąś wartość. Przynajmniej przez pewien czas – tłumaczył spokojnie, nie dając się wciągnąć w jej pokręcone rozważania.

– Gdyby denat miał zegarek z bransoletą z prawdziwego złota i kieszenie pełne gotówki – mruknęła – też byłby jeszcze coś wart. Przynajmniej przez pewien czas.

– Tylko ty mówisz takie skojarzenia – westchnął – a ja najwyraźniej wypilem jeszcze za mało kawy, żeby za tobą nadążyć.

– Nieważne. – Skończyła dopinać szelki taktyczne, które według przyglądającego się jej z zachwytem męża stanowiły wspaniały kontrast z prostym, acz eleganckim krojem bluzki i spodni. – Jedna z przyjętych przeze mnie wersji wydarzeń to działanie wkurzonego rodzica, którego bezcenne malenstwo dostało parę solidnych klapsów od Rufty’ego, kiedy zaprowadził rządy twardej ręki. Inna wersja: jeśli rodzice bronią swoich świniętych pociech, mimo wykrecanych przez nich drańskich numerów, z tych pociech wyrastają potem świnięci dorośli.

– Tak, musisz koniecznie rozpatrzeć to i od tej strony – poparł jej koncepcję Roarke.

– Spotykałam się już z oboma przypadkami. W porządnej, solidnej, troskliwej rodzinie wyrasta okrutny morderca. Z kolei okrutni, brutalni rodzice tworzą... – Zerknęła na męża, poprawiając rękawy

żakietu. – Tworzą gliniarzy oraz... hmm... miliarderów. Więc ja powiedziałabym, że jabłko, które spadnie z drzewa, może równie dobrze być pełne robali, a też przyczynić się do powstania przepysznej szarlotki.

– Co za wybitne zakończenie tego przydługiego wywodu! Ale masz całkowitą rację – dodał szybko Roarke.

Eve wzruszyła ramionami.

– Potrafiłabym spisać całą księgę powiedzeń i powiedzonek, które mogłyby się stać prawdziwymi przysłowiami, gdyby ludzie wciąż nie mordowali innych ludzi – oświadczyła, usiadła na brzegu łóżka i wciągnęła buty.

– Jeszcze kolczyki – przypomniał jej Roarke, nim rzuciła się do wyjścia, by móc potem udawać, że o nich zapomniała.

– Dobra, już dobra. – Podchodząc do lustra, żeby je włożyć, zastanawiała się, jak zawsze w tej sytuacji, jakim cudem Mavis udało się ją namówić na przekłucie sobie uszu.

Popatrzyła spod ściągniętych brwi na swoje odbicie i – niech to cholera! – zobaczyła dokładnie to, o czym mówił Roarke. Wyglądała na osobę kompetentną i władczą, choć pewnie nie dla kogoś, kto chciałby ją zaczepić. Więc jeśli ktoś ją zaczepi – a podejrzewała, że może się tak zdarzyć – dozna zaskoczenia.

Oczywiście, jeśli będzie musiała z kimś powalczyć wręcz, co się zdarzało, na pewno nieco przybrudzi ten naprawdę ładny strój.

– Okej, to faktycznie działa – przyznała.

– Ano działa, bez dwóch zdań. Potrzebujesz jeszcze jednego drobiazgu – orzekł, po czym wstał i zniknął w swojej garderobie.

– Nie włożę na siebie ani jednej więcej błyskotki! – krzyknęła za nim.

Miała już pod bluzką ukryty wisior z okazałym diamentem, który dostała od niego – ale tylko ze względów sentymentalnych. No i obrączkę ślubną, ale tu też do głosu dochodziły sentymenty, a poza tym ustanowione przez nią samą paragrafy kodeksu małżeńskiego.

Kolczyki stanowiły w zupełności wystarczający dodatek.

Nie wrócił jednakże z połyskującą bransoletą, tylko z cienkim płaszczem. Jak on wyglądał? Był jeszcze dłuższy niż te, które zazwyczaj nosiła wiosną i jesienią, w najciemniejszym odcieniu szarości, idealnie pasującym do koloru żakietu.

Wyczuła zapach skóry, zanim zdążył do niej podejść.

– Przecież już mam... – zaczęła, lecz jej słaby protest szybko zgasł. Cholera! Co za zapach!

Wiedział, że ma słabość do wyrobów z prawdziwej skóry.

– Nie miałaś, ale już masz: magiczne okrycie zewnętrzne – powiedział Roarke. – Topper. Najlepszy z najlepszych. Ma podszewkę i jest stosownie zabezpieczony od spodu, tak jak i twoja kurtka oraz płaszcz zimowy.

Topper? To idealna nazwa dla niego – pomyślała.

Płaszcz nie był wytworny ani nie miał fikuśnych ozdób – wiedział, że tego nie znosiła. Prosty krój, popielatoniebieskawy, dymny kolor, kieszenie wpuszczane w boczne szwy, tak długie, że sięgały chyba do połowy uda. Matowe (pamiętał, że nie lubi błyszczących) guziki z ciemnego srebra miały wygrawerowany ten sam celtycki wzór, jaki widniał na ich ślubnych obrączkach.

Miał ją w garści na wszystkich polach: skóra naturalna, prostota, sentymenty.

– Chodź tutaj i przymierz, czy pasuje. – Przytrzymał płaszcz przed sobą, żeby było jej wygodniej się ubrać. – Kieszenie są przyjemne i głębokie. Nie zapomniałem o odpowiednim ich wzmocnieniu. Jest nieco dłuższy, żeby ci zapewnić dodatkową ochronę. – Położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją w stronę wysokiego lustra. Stojąc za nią, uważnie przyglądał się jej odbiciu. – Tak, całość wygląda całkiem niezłe – stwierdził.

Czuła się w nim niesamowicie. Skórka była miękka, lekka jak puch, ale mocna.

– Jest świetny! Doskonały! – Odwróciła się, ujęła jego twarz w obie dłonie i pocałowała. – Dziękuję ci!

– Nie ma za co.

Wyjęła wszystko, co było jej potrzebne, z szuflady komody i powkładała do odpowiednich, przeznaczonych do tego kieszeni.

– Skąd Summerset będzie wiedział, które okrycie wierzchnie powiesić rano na słupku przy schodach? – zaniepokoiła się.

– Zostaw to magii.

– Chyba tak zrobię. – Podeszła ponownie do męża i jeszcze raz go pocałowała. – Tym razem na pożegnanie – dodała.

– Tak też to odebrałem. Uważaj na moją panią porucznik!

– Wyposażona została w magiczny płaszcz ochronny.

Opuściła sypialnię, zaszła jeszcze do gabinetu po teczkę z dokumentami i zbiegła ze schodów, gdzie na słupku z ozdobną kulą przy poręczy tym razem nie wisiał żaden płaszcz.

Magia – pomyślała. – Zapewne w formie telefonu Roarke'a do Summerseta.

Taka tam codzienna, domowa magia.

Kiedy dotarła do parku, na miejscu, gdzie miało się odbyć ostatnie pożegnanie, został już ustawiony podest. Wokół stały zwyczajne białe sztalugi z powiększonymi zdjęciami ze zmarłym.

Abner w swoim lekarskim kitlu, w sportowym ubraniu do biegania, z mężem, w otoczeniu całej rodziny. Nic oficjalnego, jak zauważyła Eve, wyłącznie ciepłe, zwyczajne chwile z jego życia.

Kwiaty w białych koszach wprowadzały szaleństwo kolorów. Tu też nie odnotowała żadnych sztywnych ram, nic przypominającego ponury pogrzeb. Wszystko wyglądało... hm... powiedziałyby nawet, że radośnie.

Obok stały dwa stoły przykryte białymi obrusami. Gromadka ludzi w pośpiechu ustawiała jedzenie na jednym, na drugim zaś napoje. Wielu biegaczy, zawsze o tej porze mijających to miejsce, zwalniało. Niektórzy się nawet zatrzymywali.

Eve nie spuszczała z nich oczu – z tych, którzy zaczęli powoli się schodzić na ceremonię pożegnania. Niektórzy mieli na sobie dresy do biegania, niektórzy pogrzebową czerń. Widziała też biznesmenów w garniturach.

Rozpoznała Seldine, towarzyszył jej jakiś mężczyzna – zapewne mąż – oraz dzieci i kilka osób z rodziny. Dostrzegła też inne znajome twarze z kliniki Abnera.

Obok po ulicy bezgłośnie przemykały autobusy. Zatrzymywały się na przystanku przy parku i co chwila wypływały kolejnych uczestników ceremonii. Eve rozpoznawała wśród nich Myatę oraz nauczyciela chemii. Dorośli ustawiali uczniów ze szkoły w dwuszeregi, gdy tylko wszyscy znaleźli się na chodniku.

Zanim dojechała Peabody, Eve naliczyła około dwustu osób. Żałobnicy zebrali się w parku, żeby pożegnać Abnera po raz ostatni.

– Coś takiego! Nie sądziłam, że przybędzie aż tylu... – Peabody nagle przytknęło z wrażenia. Wciągnęła powietrze, potem wypuściła i szepnęła z nabożną czcią: – Ale wdzianko, kurka wodna!

– Przymknijże się! – syknęła Eve. – Tylko go przypadkiem nie głaszcz. Wcale nie żartuję!

– Poglaskać? Mam chęć je polizać.

– Spróbuj tylko to zrobić, a od razu machną dzisiaj dwa pogrzeby.

– Jest takie... takie... tak bardzo takie, że ach! Oooch! A ten damski garniak pod spodem! Te buty! Kurka siwa! Wszystko jest... – urwała, kiedy Eve odwróciła się i spiorunowała ją wzrokiem. – He... No bo... Sam widok kogoś z takim wyglądem powinien zwać z nóg. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – O to mi chodziło.

– Zamknijże się wreszcie, bo zaraz faktycznie zwalę cię z nóg. Jezu! Nadchodzą wciąż nowi!

Eve trzymała się z tyłu, mając nadzieję, że zdoła przyjrzeć się twarzom ludzi, zdoła ocenić mowę ich ciała, ale w końcu wmieszała się w tłum. Ale dużo dzieci! – myślała. – Od niemowlaków w tych pudłach z kółkami do popychania przed sobą albo w nosidełkach przez małe dzieci aż po nastolatków.

Zobaczyła z daleka Louise i Charlesa, więc przepchnęły się do nich.

– Cieszę się, że przyszyście. – Louise uściśnęła na powitanie najpierw dłoń Eve, potem Peabody. – To trudny do przejścia dzień, ale sposób, w jaki to przygotowali...

– ...pokazuje nie tylko to, że był kochany – wszedł jej w słowo Charles – ale i że on też kochał, że mu zależało. Witaj, Delia! – Charles pochylił się i cmoknął panią detektyw w policzek, po czym z bezceremonialnością przyjaciela przytknął palcem wskazującym w jej włosy. – Super te rude pasma.

– Mnie też się podobają. Jak samopoczucie, Louise?

– Jakoś się trzymam. Poprosili mnie o wygłoszenie mowy pogrzebowej – mówiąc to, kobieta wtuliła się w Charlesa. – Obawiali się, że nikt z rodziny nie będzie w stanie przez to przebrnąć, nie załamując się w połowie, a ja...

– A ty dasz radę – przerwała jej Eve. – Nie rozplaczesz się, bo wiesz, czego od ciebie oczekują.

– To samo mówił Charles. Chce, abyś wiedziała, że Martin wierzy w was bezgranicznie.

– O kurde! – jęknęła Eve.

– O nie! To ważne, żebyś o tym wiedziała. Martin wie, że jesteśmy jego przyjaciółmi i nie musiał nam o tym mówić, a jednak to zrobił. Ufa, że razem z Peabody zrobicie wszystko, co w waszej mocy. Powiedział nam, że pracując tyle lat z dydaktykami, umie rozpoznać, czy ktoś pracuje z pasją, czy rozumie wagę swojej pracy, czy tylko odważa robotę. Co do ciebie i Peabody wyczuł, że to, co robicie, nie jest dla was tylko zwykłą pracą zawodową. – Louise objęła Eve ramieniem i szybko uściśnęła, nim pani

porucznik zdołała się wywinąć, a potem tak samo uściskała Peabody. – To wiele dla niego znaczy. Daje mu komfort psychiczny i spokój. A w chwili obecnej, kiedy mam wygłosić mowę o moim bardzo dobrym przyjacielu, uspokaja i mnie.

– Wygląda na to, że ona was nie zapyta – oznajmił Charles – więc ja muszę to zrobić. Macie może coś więcej? Dowiedziałyście się czegoś jeszcze, o czym mogłybyście nam powiedzieć?

– Mamy dziś cały dzień wypełniony pracą... nie... to właściwie nie jest praca. Mamy nic przewodnią i wokół niej budujemy historię. Znasz wielu ludzi, którzy tu przyszlizli, więc jeśli zauważysz kogoś, kto nie pasuje do pozostałych lub kto budzi w tobie złe przeczucia, daj nam znać. – Eve ponownie bacznie przyjrzała się zebranym. – Na razie musimy się nieco porozglądać, zorientować w sytuacji, złożyć kondolencje.

– Wracamy po uroczystości do domu z całą rodziną, personelem kliniki Kenta oraz kilkoma bliskimi przyjaciółmi. Będziemy zwracać uwagę na podejrzenie zachowujące się typy – zapewnił ją Charles.

– Za kilka minut zacznę przemawiać. Myślę, że będę miała dobry widok na wszystkich wokół tam z góry. – Louise wskazała na wąski podest, ustawiony pomiędzy koszami kwiatów. – Postaram się.

Eve zaczęła się przebijając przez tłum razem z Peabody, mając oczy i uszy otwarte, dopóki nie przystały na moment przy Ruftym.

– Witam, pani porucznik! – rzekł. – Witam, pani detektyw! Jak to miło, że przyszlizście. – Miał zaczerwienione, podkrążone oczy, lecz nie było w nich łez. – Zauważyłem, że rozmawialiście z Louise i Charlesem. Służyli nam bardzo mocnym wsparciem przez te kilka ostatnich dni.

– Chciałyśmy złożyć kondolencje w imieniu naszym i całego oddziału komendy głównej nowojorskiej policji NYPSD.

– Dziękuję wam. Dziękuję wam najserdeczniej. Już... Już czas na mowę pożegnalną Louise. Nasz syn zabrał się nawet do jej napisania, lecz... cóż... nie był w stanie. Żadne z nas nie czuło się na siłach to zrobić.

– Już czas, tato. Powinniśmy zająć przeznaczone nam miejsca. – Jego córka ujęła go pod rękę. – Wybaczenie.

– Wracajmy na tyły, Peabody – powiedziała Eve do partnerki. – Ty idź w lewo, ja pójdę w prawo. Znajdź jakiś dogodny punkt obserwacyjny.

Eve wypatrzyła dobre miejsce dla siebie i objęła stamtąd wzrokiem tłum, podczas gdy Louise wygłaszała mowę pożegnalną. Wszyscy zebrani zamilkli i stanawszy w jednym miejscu, zaczęli jej słuchać.

Ponieważ do kłapy czarnego zakietu miała przypięty minimikrofon, jej głos był dobrze słyszalny. Eve nie zwracała uwagi na słowa, lecz na tonację jej głosu, przyglądając się uważnie twarzom ludzi.

Głos silny i kojący, a to trafiało w sedno.

Trzymała się do samego końca. Choć Eve została na swoim miejscu jeszcze dobre dziesięć minut, nikt nie wzbudził w niej żadnych podejrzeń.

Zadzzwoniła do Peabody z prośbą o spotkanie przy samochodzie.

– Louise świetnie sobie poradziła – oznajmiła Peabody, kiedy usiadła na miejscu dla pasażera. – Była taka urocza. Wtrącała słodkie, zabawne historyjki dokładnie wtedy, kiedy ich brakowało – westchnęła ciężko. – Staowało się tak wielu ludzi, przy okazji tak odmiennych. Morderca mógł spokojnie słyszeć się w tłumie i pozostać niezauważony – zamilkła. – Trzeba było robić zdjęcia – dodała po chwili.

– Gdyby zrobić je jeszcze na pogrzebie żony Durana, można by było je porównać i sprawdzić, czy powtarzają się jakieś twarze. – Eve się zamyśliła.

– Taa... Może i udałoby się nam znaleźć parę tych samych osób, ale cóż. Przepadło. Czy mogę zrobić to teraz? – spytała Peabody, zmieniając temat, kiedy Eve ruszyła w stronę lotniska. – Teraz nikt nie zobaczy.

– Możesz go dotknąć, ale tylko jeden raz.

– Po jednym razie nic się nie poczuje. Trzeba pogłaskać minimum trzy razy, żeby bodziec przyjemności dotarł tam, gdzie powinien.

– Coś zmyślasz. Nie ma takiej zależności. Definitywnie nie ma takiej zależności.

Peabody jednak już wyciągnęła rękę i pogłaskała jej nowy płaszcz.

– Ależ głodziutki! – jęknęła. – Teraz posiadasz grafitowy płaszcz, który daje do zrozumienia: skopię tyłek tobie i twoim trzem kumpłom, zakiet zaś dokłada: mogę przetrzymać wszystko, co będzie trzeba, i nawet się nie spoczę. A całość? Całość przemawia: tak, mam klasę, ale lepiej ze mną nie zadzieraj.

– Naprawdę moje ciuchy coś do ciebie gadają? – spytała z przekąsem Eve.

– Głośno i wyraźnie. Na innej kobiecie mówiłyby, że ma klasę, ale na tobie, na policjantce, są jak uderzenie pięści.

– No nieźle, Peabody, nieźle. To już trzeci raz.

– Nie sądziłam, że będziesz liczyć. Uwielbiam mój różowy płaszcz, a w tym kolorze byłoby mi nie do twarzy, niemniej jest to wciąż okrycie godne pożądaniami.

– Lepiej trzymaj na wodzy te swoje pożądaniami. Nie zamierzam bagatelizować Grange.

– Przypuszczam, że dzięki temu będę dobrą policjantką.

– Mam dla ciebie zadanie: oceniaj z boku jej reakcje i potem mi wszystko przekażesz. Od zawsze przyzwyczajona jest do wydawania poleceń i zarządzania ludźmi. Mogę się założyć, że nie zaczynała od samego dołu jak my obie.

– Przyjęłam do wiadomości. W porządku. Może i lepiej, bo na podstawie tego, co o niej wiemy, już jej nie lubię, a jeszcze nie zaczęłyśmy. Jak tak o tym myślę, to mogłabym zacząć od udawania, że jestem nieco onieśmielona, a równocześnie pełna podziwu dla jej osoby.

– Dzięki naszym specom z Wydziału Technik Operacyjnych oraz raportom i notatkom Rufty’ego dysponujemy wieloma nazwiskami, którymi ją zarzucimy. Mam zamiar wykorzystać również informację o uwiedzeniu jednego z nauczycieli i odbywaniu z nim stosunku na terenie szkoły.

– Myślisz, że ona naprawdę ten-teges z uczniem?

– Trudno powiedzieć. Miejmy nadzieję, że pójdzie nam łatwiej, kiedy już z nią porozmawiamy. Rozmowa odbędzie się u niej, więc będzie się jej wydawało, że ma nad nami przewagę, a to nie jest prawdą. Prosto od niej pojedziemy do Kendel Hayward. Bez uprzedzenia. Nie chcę zapraszać dziewczyny do nas na przesłuchanie.

– Weźmiemy ją z zaskoczenia! – Peabody zatarła ręce i rozpromieniła się w uśmiechu.

– Mniej więcej. Ma wiele do stracenia, jeśli jest w to w jakikolwiek sposób uwikłana. Ma wiele do stracenia, jeżeli cokolwiek wie lub podejrzewa i po rozmowie nie okaże się czysta jak łąza. To musimy sobie wyjaśnić.

– Tu nie będę musiała udawać ani olśnionej, ani onieśmielonej – odetchnęła pani detektyw.

– Będziemy na nią naciskać z obu stron, aż otrzymamy jasny przekaz – zarządziła Eve.

– Coś może się jej niechcący wyrwać – dodała Peabody. – Szkoda, że lecimy do Waszyngtonu Wschodniego po szczycie kwitnienia wiśniowych sadów. Założę się, że wyglądają z góry bajkowo.

Obie spędziły krótki lot, popijając kawę i przeglądając notatki, z tym że Peabody od czasu do czasu rzucała rozradowane spojrzenia przez okno, a Eve przeciwnie: cały czas starała się odwracać od niego wzrok.

Na lotnisku oczekiwał na nie pracownik z samochodem i kodowanym kluczykiem.

– Trasa przejazdu została już zaprogramowana, pani porucznik – oznajmił. – Kiedy skończycie objazd, proszę zostawić kluczyki w recepcji, a samochód na naszym parkingu w tym samym miejscu. Wszystkim się zajmujemy.

– Okej, dziękuję!

Od razu rozpoznała, że to zaprojektowany przez Roarke’a dla niej model samochodu DLE. Ten akurat był czarny jak noc z odrobiną błyszczących chromów. Miał tymczasowe tablice rejestracyjne.

– Nawet nieźle się prezentuje w czarnym kolorze – orzekła Peabody i obesła samochód, żeby wsiąść od strony pasażera. – W dalszym ciągu niepozorny i do bólu przeciętny od zewnątrz. Założę się, że w środku nafaszerowany jest cudami techniki, wszystkim, co tylko można wymyślić. Nie sądziłam, że DLE jeszcze jeżdżą po naszych drogach.

Eve wsiadła do auta i poczuła, jak fotel automatycznie dopasowuje się do kształtów jej ciała. Kiedy Peabody usiadła na swoim i z jej ust wyrwało się westchnienie zachwytu, wiedziała, że tamten został zaprogramowany tak samo.

– Cały Roarke! – mruknięła zadowolona i odpaliła silnik, po czym usłyszała głos z komputera:

Dzień dobry, pani porucznik!

Pokładowy AutoChef został w pełni załadowany, a spersonalizowane ustawienia zaprogramowane.

Proszę swobodnie je zmieniać, jeśli cokolwiek nie pasuje. Jeżeli chcecie jechać wprost do szkoły średniej imienia Lestera Hensena, taka opcja została również zaprogramowana, aby było wam wygodnie. Trzeba ją tylko wybrać głosowo.

Oczywiście, że tak zrobię – pomyślała – bo Roarke to Roarke.

– A co z naszą organizatorką eleganckich przyjęć? – spytała.

– Ten cel podróży również został zaprogramowany, tak jak i dojazd do rezydencji Kendel Hayward. Proszę wybrać głosowo pożądaną lokalizację, a GPS się uruchomi.

– Nic mu widzę nie umknęło – wymamrotała Eve pod nosem, a na głos powiedziała: – Szkoła średnia imienia Lestera Hensena.

Lokalizacja potwierdzona. GPS uruchomiony. Trasa dojazdu wyświetlona. Życzę spokojnej i bezpiecznej jazdy do obranego celu!

Po trzech minutach Eve doszła do wniosku, że nie poradziłyby sobie w Waszyngtonie Wschodnim bez podpowiedzi nawigacji. Tu są chyba same kręte ulice. Komu przeszkadzało, żeby zaprojektować je od razu jako proste aleje? Cholera! Czy oni tu nie słyszeli o czymś takim jak siatka ulic krzyżujących się pod kątem prostym?

– Ależ tu ślicznie! – zachwycała się Peabody, która otworzyła okno i wystawiła twarz do wiatru. – Ile drzew! I te pomniki, te kwiatowe rabaty! Tutaj już jest prawdziwa wiosna. Wystarczy przejechać kawałek na południe od Nowego Jorku, żeby odetchnąć wiosną w pełni. Trawa jest tu taka zielona!

– Jezu! Przestańże! – jęknęła Eve. – Po tych krętych ulicach jeździ się zdecydowanie gorzej niż po Nowym Jorku.

Nie do końca była to prawda, ale zwyczajnie nie umiała się poruszać po obcym mieście. Poczowała ulgę, kiedy zaczęły wreszcie jechać wzdłuż wysokiego parkanu z kutego żelaza, który oddzielał od ulicy teren szkoły imienia Lestera Hensena.

Skręciła we wjazd, teraz zamknięty bramą. Obok mieściła się budka ochrony ze strażnikiem. Droid – zdała sobie sprawę, kiedy wyszedł im na spotkanie.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

Eve zaprezentowała mu policyjną odznakę.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody. Jesteśmy umówione z dyrektorką, panią Grange, w sprawie prowadzonej przez policję.

Strażnik przeskanował odznakę, sprawdził też rejestr.

– Na pierwszym rozwidleniu proszę skrócić w lewo i stanąć na parkingu dla gości przy tabliczce „Administracja szkoły”. Ktoś po was przyjdzie i zaprowadzi do biura dyrektor Grange.

– Świetnie.

Brama się otworzyła i wjechały na teren kompleksu.

Eve musiała przyznać, że kampus kipiał zielenią. Koberce trawników, młode, świeżutkie, jasnozielone listki na drzewach. W oddali widziała gromadki dzieciaków w połyskliwych czerwono-białych koszulkach bez rękawów i w szortach, biegających po owalnej bieżni stadionu.

Wygląda to na trening biegowy – pomyślała. Sama trenowała trochę biegi w szkole stanowej. Bardzo to lubiła. Były niezłą odskocznią od rzeczywistości. Mogła biec i biec, wyobrażając sobie, że będzie tak biegła, dopóki nie poczuje się całkiem wolna.

Wokół wznosiły się budynki z elewacjami z czerwonej cegły, z monumentalnymi kolumnowymi portykami. Wybudowano je tak, by wyglądały na stare, jakby przetrwały już kilka stuleci. Z przeprowadzonego rozeznania dowiedziała się jednak, że postawiono je już po wojnach miejskich.

Pamiętała z lekcji historii w szkole, że podczas wojen miejskich tam, gdzie niegdyś był Waszyngton, doszło do poważnych zniszczeń. W końcu znajdowało się tam kiedyś, i jest zresztą nadal, centrum władzy politycznej kraju. Na szczęście nic się pod tym względem nie zmieniło od czasu, gdy przyszła na świat.

Eve sunęła powoli w kierunku strefy parkingowej i po drodze zdążyła się dokładnie przyjrzeć głównemu budynkowi z wyciętym w drewnie napisem: SZKOŁA im. LESTERA HENSENA, umieszczonym nad masywnymi, podwójnymi drzwiami wejściowymi.

Między parkingiem a uliczką okrążającą budynek tryskała fontanna. Wyrzucane w górę strumienie wody przybierały formę łuków. Rosnące na okrągłym klombie pośrodku trawnika białe i czerwone kwiaty układały się w litery SLH.

– Jestem pod wrażeniem – stwierdziła Peabody.

– Mhm, niezłe pomyślane – przyznała Eve.

– Maturę zdało tu wielu znanych prawników, sędziów czy polityków.

– Z mojego punktu widzenia to wcale nie jest plus.

Peabody się roześmiała. Obie wysiadły z samochodu równocześnie. Owiał je wiosenny wietrzyk o wiele cieplejszy niż ten, który zostawiły w Nowym Jorku.

– Naukowcy i pedagodzy, pisarze i wielcy ludzie biznesu – kontynuowała Peabody. – Żeby się tutaj dostać, trzeba mieć pieniądze i naprawdę tęgą głowę, a pewnie i nie zaszkodzą jakieś koneksje. – Odechnęła głęboko. – Wiem, że to tylko zapach świeżo skoszonej trawy i jakieś wiosenne nasadzenia, ale jak dla mnie pachnie na bogato.

– Pierwsze słyszę, żeby bogactwo pachniało głębą i tym, co z niej wyrasta. O proszę! A oto i nasza eskorta.

Eve obrzuciła uważnym okiem kobietę po czterdziestce, stojącą w masywnych drzwiach wejściowych. Na ich widok zeszała po białych stopniach schodów w czarnych, ostrych szpilkach. Jej garsonka przypominała wojskowy mundur: dokładnie dopasowana, ze spódnicą równo z kolanem i żakietem ze stojką.

Kobieta szła ku nim sztywnym, defiladowym krokiem – oceniła Eve – z plecami tak wyprostowanymi, jakby połknęła kij od szczotki. Czarne włosy ściągnęła do tyłu na gładko i związała w tak ścisły kok, że jej twarz z migdałowymi oczami, o ciemnej skórze właściwie nie miała żadnego obramowania.

Okrążywszy fontannę, zmierzała w ich stronę po wyłożonej klinkierem ścieżce, postukując szpilkami.

– Pani porucznik Dallas? – spytała.

– Tak.

– Nazywam się Mulray i jestem asygentką dyrektorki. Zaprowadzę panią wraz z detektyw Peabody. – Wskazała ścieżkę. – Pani Grange jest akurat na spotkaniu, ale została już poinformowana o waszym przybyciu. Ma nadzieję, że nie będziecie musiały długo czekać. Jak udało się podróż z Nowego Jorku?

Był to raczej zwrot grzecznościowy niż szczerze zainteresowanie, więc Eve odrzekła równie uprzejmie:

– Bez żadnych komplikacji.

Mulray otworzyła boczne drzwi i stanęła w progu. Wewnątrz znajdowało się pomieszczenie ochrony z tylną ścianą z grubego szkła. Eve zajrzała do środka i zobaczyła zestaw sześciu monitorów, pokazujących bieżącą sytuację na kampusie, oraz dwóch umundurowanych pracowników ochrony.

– Ponieważ na terenie szkoły obowiązuje zakaz noszenia broni, proszę zostawić swoją służbową tutaj.

– Mowy nie ma! – odrzekła stanowczo Eve.

– Rozumiem wasz opór, pani porucznik, ale taki mamy regulamin.

– Ja trzymam się regulaminu nowojorskiej policji. Jesteśmy funkcjonariuszkami policji. Wasza dyrektorka została poinformowana z wyprzedzeniem o naszym przyjeździe i jego powodach. Policja Waszyngtonu Wschodniego również. Widzę, że pracownicy ochrony szkoły są uzbrojeni, co jest zgodne z waszym regulaminem. Nie pozostawimy tu naszej broni. Jeżeli jest to jakiś problem – kontynuowała Eve – możemy przesłuchać dyrektora Grange poza terenem szkoły, powiedzmy w komendzie głównej policji w Nowym Jorku. Detektyw Peabody! Proszę się natychmiast skontaktować z kancelarią prokuratora sądowego i zażądać sporządzenia nakazu.

– Chwileczkę! – rzuciła w ich stronę Mulray z kamienną twarzą i podeszła do szklanej ściany. Ukryte w niej drzwi rozsunęły się bezszelestnie albo na sygnał wysłany przez posiadane przez nią urządzenie elektroniczne, bądź też zrobił to któryś z pracowników ochrony.

– Z jej twarzy niczego się nie da odczytać – szepnęła Peabody.

– Mogę się założyć, że to Grange zarządziła tę drobną przepychankę i demonstrację siły.

– Czy naprawdę mam się skontaktować z Reo?

– Wstrzymaj się, dopóki się nie dowiemy, jaki będzie jej następny krok. Jeśli będzie się chciała z nami bawić w kotka i myszkę, pojedziemy najpierw porozmawiać z Hayward i wrócimy tutaj z nakazem.

Niebawem szklane drzwi ponownie się rozsunęły i stanęła w nich Mulray, tyle że tym razem pozostawiła je otwarte.

– Przepraszam, pani porucznik, pani detektyw! Źle zrozumiałam wytyczne pani dyrektor. Oczywiście macie prawo wejść z bronią służbową. – Słowa, wypowiedziane w tempie marszowego rytmu jej kroków, nie zdołały pokryć niezadowolonia.

Grange zrzuciła na barki swojej asystentki całą odpowiedzialność i zażenowanie z powodu zaistniałego incydentu – doszła do wniosku Eve.

Mogła się założyć, że nie po raz pierwszy.

– Nie ma problemu – odrzekła, wkraczając do przestronnego holu szkoły.

Ich oczom ukazał się wielki obraz w złotych ramach, przedstawiający Lestera Hensena w todze sędziowskiej. Prezentował się... no cóż... poważnie i roztropnie.

Nie pachniało tu jak w szkole, nie czuło się jak w szkole – dotarło do Eve. I faktycznie: nie widziała ani jednego ucznia, ani jednego wejścia do klasy. A więc są tu wyłącznie pomieszczenia administracji – pomyślała.

Oba sektory nie miały wspólnego wejścia.

Przeszły przez rozsuwane drzwi w kolejnej szklanej ścianie. Otworzyła się przed nimi sala, w której pracowało wiele osób, każda przy swoim stanowisku z komputerem. Tutaj ściany zdobiły dwa portrety: fundatora szkoły oraz jego obecnej dyrektorki.

Eve zdała sobie sprawę, że pracownicy musieli się czuć, jakby byli wciąż obserwowani przez szefostwo.

Zmierzały dalej korytarzem, mijając zamknięte drzwi gabinetów, aż wreszcie weszły szerokimi schodami na piętro. Tu podłoga z niebieskawego marmuru oświetlona była jedynie od góry przez eleganckie świetliki.

Eve miała na końcu języka pytanie, jak Mulray wytrzymuje takie całodzienne spacerunki na szpilkach po idealnie gładkich powierzchniach, niewybaczających źle postawionego kroku.

Dominium Grange również miało podwójne drzwi. Kiedy Mulray otworzyła je przed nimi, ukazała się podłoga wyłożona płowozłotą wykładziną. Dwie sekretarki, które najwyraźniej w najlepsze plotkowały, natychmiast powróciły do pilnej pracy każda przy swoim stanowisku.

Tu ściany zdobiły zdjęcia szkoły i jej terenów zewnętrznych oraz jeszcze jeden portret pani dyrektor. W poczekalni przed jej gabinetem stały dwie kanapy i cztery fotele. Nie zatrzymały się tu jednak, a Eve zdążyła zauważyć, że za plecami Mulray sekretarki wymieniły się szybkimi uśmieškami.

Za kolejnymi drzwiami mieścił się gabinet asystentki. Znajdowało się tu jedno biurko z uporządkowanymi rzeczami na blacie, niewielki ekran na ścianie, kilka krzeseł dla gości oraz dostępna z gabinetu mała łazienka.

Mulray sforsowała następne drzwi za pomocą karty dostępu.

– Pani dyrektor prosiła, żebyście panie poczekały na nią w jej gabinecie – zaczęła. – Jak już mówię, ma nadzieję, że wkrótce tu wróci. Zanim jednak to nastąpi, czy mogłabym zaoferować coś do picia? Może kawę?

Eve pozostawiła pytanie bez odpowiedzi, zaczęła się natomiast rozglądać po wnętrzu.

Przestrzeń była przynajmniej trzy razy większa niż gabinet asystentki. Ściany pomalowano tu na szarozielono. W obszernym aneksie wypoczynkowym stała sofa z obiciem w podobnej zielonej tonacji w brudnożółte prążki, podobne z kolei w kolorze do wykładziny. Stojące naprzeciw fotele miały identyczną tapicerkę.

Na ścianie obok prac uczniów wisiało kilka fotografii dyrektorki w towarzystwie różnych ludzi. Eve domyśliła się, że muszą to być darczyńcy szkoły, osoby znane i ważne.

Biuirko, wykończony na wysoki połysk, ustawiono pod takim kątem, że ktokolwiek siedział na fotelu biurowym, znajdującym się za nim – fotelu z ciemnozielonej skóry, o wysokim zagłówku – miał doskonały widok i na drzwi wejściowe, i na trzy wysmukłe okna.

Na kilku podwieszanych półkach stały jakieś pamiątkowe drobiazgi, a nie książki czy organizatory biurowe, czego można się na ogół spodziewać w pokoju dyrektorki placówki edukacyjnej.

Do osobistej łazienki wchodziło się przez boczne drzwi, obecnie półotwarte. Cała w marmurach, miała przysznic i długi blat przy umywalce. Postawiono na nim lilie wielkokwiatowe w kryształowym wazonie. Ich zapach rozniósł się po całym pomieszczeniu.

– Czy zajmuje się pani również grafikami podróży pani Grange?

– Doktor Grange – poprawiła ją Mulray. – Podróży służbowych owszem.

– Była może ostatnio w Nowym Jorku?

– N-nie przypominam sobie.

– Proszę to w takim razie sprawdzić. Jak długo jest już pani asystentką doktor Grange?

– Nikt mnie nie uprzedzał, że ja też będę przepytwana.

Popatrzyła na Eve tak, jakby była przezroczysta.

– Czyżby potrzebowała pani czasu na odpowiedź?

– Pięć lat – odszczeknęła, jakby odpalała salwę z karabinu.

– A więc nie była pani asystentką dyrektorki, kiedy ta objęła tę funkcję w tutejszej szkole?

– Zaczęłam od sierpnia roku dwa tysiące pięćdziesiątego szóstego. Po przejściu na emeryturę poprzedniej asystentki.

– Czy należała już pani do personelu szkoły?

– Byłam asystentką do spraw administracyjnych zastępcy dyrektorki. Należę do zespołu szkoły Lestera Hensena od dziewięciu lat.

– Zatem była już pani w zespole, kiedy zaczął tu naukę Stephen Whitt. Zrobił maturę w pięćdziesiątym trzecim.

– Co roku mamy tutaj od dziewięciuset do dziewięciuset dwudziestu uczniów. Niestety, nie jestem w stanie zapamiętać każdego z nich.

– Nawet syna waszego głównego darczyńcy? – Eve podeszła do jednego z oprawionych w ramki zdjęć ze ściany. – Ten tutaj to jego ojciec. – Wskazała palcem.

– Przykro mi, nie potrafię pani pomóc.

– Cóż... mnie również jest przykro – odpowiedziała Eve i ostentacyjnie popatrzyła na swój naręczny zegarek wielofunkcyjny. – Może by pani łaskawie sprawdziła, jak długo jeszcze doktor Grange zamierza tu trzymać śledcze z nowojorskiego oddziału policji NYPSD?

– Proszę spocząć – rzekła Mulray i wyprostowana jak struna wymaszerowała z gabinetu.

– Zastanawiam się, jak ona może biegać wte i wewte bez mrugnienia okiem, biorąc pod uwagę to, jak sztywno trzyma kark – mruknęła Peabody.

– Lata praktyki. – Eve się uśmiechnęła. – Ktoś tu chyba miał do czynienia z militariami, zanim znalazł się w administracji szkoły. I ktoś tu nie mówi nam prawdy, jak myślisz, Peabody?

– Tak jest, pani porucznik! Ona zna tego Whitta. I wiesz, co jeszcze zauważyłam?

– Co takiego?

– Myślę, że uznasz to za interesujące. Mianowicie materiał obiciowy tej kozetki i tych foteli kosztuje ponad sześćset doliczając metr.

Eve po raz kolejny rzuciła okiem na zestaw wypoczynkowy Grange.

– To chyba dużo, jak sądzić? Pojęcia nie mam, ile przeciętnie kosztują takie materiały.

– Na taką kanapę potrzeba mniej więcej ze trzydzieści, może czterdzieści metrów obiciówki, drugie tyle na fotele... Dodaj jeszcze trochę na lamówkę i dołączysz sobie przeliczyć.

– O nie! – zaprotestowała Eve. – Daj mi spokój z matematyką.

– Wyjdzie tego ponad siedemnaście tysięcy dolarów za sam materiał. A gdzie praca tapicera? A fantazyjne poduchy? A same szkielety mebli, które trzeba obić? Rozejrzyj się tylko wokół. To wnętrze musiał zaprojektować jakiś kosmicznie drogi architekt wnętrz, dolicz więc jeszcze wynagrodzenie dla niego. Założę się, że sam zestaw wypoczynkowy, projektowany na indywidualne zamówienie, kosztował ze czterdzieści tysięcy dolarów – przeliczyła w pamięci Peabody.

– Za zestaw wypoczynkowy w gabinecie dyrektorskim? – zdziwiła się Eve. – To chyba lekka przesada...

– Och! No pewnie! – Peabody, coraz bardziej się nakręcając, zaczęła gestykulować obiema rękami. – A dodaj jeszcze to biurko! Jest z drewna czereśniowego. Prawdziwy rarytas jak na dzisiejsze czasy! Te wiszące półki również. Poza tym wszystkie meble wyglądają na robotę na zamówienie. To będzie na pewno z dziesięć tysięcy więcej.

– Czasami bywasz bardzo pomocna, Peabody.

– Akurat znam się na drewnie i materiałach obiciowych. Dodaj sobie to wszystko, plus stoły, plus całe oświetlenie, plus projektowane na zamówienie zasłony z lambrakinami... A! No i jeszcze wykonane na zamówienie ramki do zdjęć, też z drewna czereśniowego. – Peabody zajrzała do łazienki. – O Jezu! Zobacz! Ręczniki z bawełny egipskiej, i to wszystko tutaj? Lecimy na kilka stówek więcej, Dallas.

– Widać mają spory budżet na elementy dekoracyjne. I wiesz co jeszcze, Peabody?

– Nie wiem, czy dam radę znieść więcej. Piękne drewno i tkaniny budzą we mnie nieprzyzwoitą wprost zazdrość.

– A zauważyłaś, że ani tu, ani w gabinecie asystentki, ani u sekretarek nie ma ani jednej książki? – rzuciła Eve. – Nawet jednego segregatora, teczki z aktami czy dysku pamięci ani na blatach biurka, ani na półkach. Cały wystrój wnętrz nawiązuje wyłącznie do pani dyrektora.

– Masz rację. I chociaż podoba mi się jej gust, to jej samej już nie lubię – oznajmiła Peabody.

– Zbierz to wszystko w całość i przekuj na wygląd onieśmiałej przepychem. Przynajmniej na początek – poprosiła Eve i odwróciła się, słysząc, że ktoś otwiera drzwi gabinetu.

Mimo że oglądała jej zdjęcia wiele razy, teraz musiała przyznać, że Grange robiła wrażenie. Ciemnoniebieskie włosy miała ścięte na krótko, ufryzowane w modne fale z po mistrzowsku wykonanymi rozświetleniami. Choć zbliżała się do siedemdziesiątki, jej skóra wciąż była gładka – Eve od razu pomyślała, że tu też musiała zadziałać mistrzowska ręka.

W butach na wysokich obcasach jej posągowa postać osiągała zapewne z metr osiemdziesiąt. Krągłe kształty opinała idealnie dopasowana garsonka w kolorze krwistoczerwonym.

Oczy Grange – zielone jak ściany jej gabinetu – przypatrywały się Eve z takim samym chłodem, z jakim obserwowana była ona sama.

– Witam, pani porucznik! – zawołała. – Witam, pani detektyw! Jestem doktor Grange. Przepraszam, że musiałyście na mnie czekać. Teesha powinna była zaproponować kawę. Pozwólcie, że poproszę o przygotowanie czegoś do picia.

– Dziękujemy, nie trzeba. Ponieważ minęła już godzina, o której byłyśmy umówione, chciałybyśmy zacząć.

– Oczywiście. Siadajcie, proszę.

Usiadła na sofie i zaczęła, aż Eve i Peabody zajmą miejsca na fotelach naprzeciwko. Peabody odchrząknęła.

– Doktor Grange, chciałabym zauważyć, że pani gabinet jest naprawdę śliczny.

– Dziękuję. – Dyrektorka posłała jej chłodny uśmiech i zerknęła z ukosa na różowe kowbojki. – Uważam, że wygląda atrakcyjnie. Zamówiłam projekt wnętrza sprzyjającego skupieniu i koncentracji. Obowiązki dyrektora szkoły o reputacji takiej, jaką ma Lester Hensen, są rozległe i różnorodne. – Skrzyżowała swoje długie nogi. – Wydaje mi się jednak, że znalazłyście się tutaj, by porozmawiać ze mną na temat mojej posady w szkole imienia Theresy A. Gold w Nowym Jorku. Bardzo mi było przykro, kiedy usłyszałam o śmierci partnera doktora Rufty'ego.

– Męża – poprawiła ją Eve.

– Tak, oczywiście. Męża. Wydaje mi się, że spotkałam go kiedyś przelotnie w okresie przejściowym, ale było to tak dawno temu... Że pamiętam go bardzo słabo.

– Doktor Rufty zastąpił panią na stanowisku dyrektora w Złotej Akademii.

Grange uniosła brwi w zdziwieniu, słysząc określenie „zastąpił”.

– Doktor Rufty przyjął to stanowisko już po mojej rezygnacji.

– Zgadza się. A dlaczego pani zrezygnowała?

– Zaoferowano mi stanowisko dyrektorki tutaj. Owszem, Złota Akademia to bardzo przyzwoita szkoła, lecz zarząd Lestera Hensena przedstawił mi doskonałą ofertę. Taka okazja rzadko się zdarza.

Jest tu tylko poważna szkoła średnia, od klasy dziewiątej do dwunastej, przygotowująca młodzież do egzaminu na studia, a nie szkołka od zerówki przez podstawową aż do liceum. Wolałam się skoncentrować na pracy z młodzieżą starszą.

– A więc przeprowadzka do Waszyngtonu Wschodniego nie miała nic wspólnego z pani rozwodem?

Jej wzrok stał się zimny jak stal.

– Nie mieszam decyzji zawodowych z życiem prywatnym – odparła wyniośle. – Doszliśmy do wniosku z Reginaldem, że nasze małżeństwo dobiegło końca i rozstaliśmy się bez zbędnych zgrzytów.

– Doprawdy? Wydawało mi się, że było jednak w nim trochę złości, kiedy się dowiedział, że go pani zdradza.

Teraz zacisnęła szczękę.

– Moje prywatne sprawy nie mogą być w żaden sposób powiązane z morderstwem partnera... męża – poprawiła się – człowieka, który jest obecnie dyrektorem szkoły, opuszczonej przez mnie osiem lat temu.

– Może się okazać, że jest pani w błędzie.

– Doprawdy! Cóż za nonszalanckie podejście do sprawy, pani porucznik.

– Udziela pani wymijających odpowiedzi, pani dyrektor. Rozwikłanie sprawy pani prywatnych romansów, z których uczyniła sobie pani dodatkowe zajęcie, kiedy mieszkała i pracowała w Nowym Jorku, jest kluczowym elementem tego śledztwa. Kiedy pełniła pani funkcję dyrektorki w Złotej, w zespole nauczycieli znajdował się niejaki Jay Duran. Jestem przekonana, że go pani pamięta, ponieważ profesor Duran składał skargi na panią wraz z kilkoma innymi członkami grona nauczycielskiego.

Na tę wiadomość Grange zaczęła nerwowo postukiwać o udo paznokciem równie czerwonym jak jej garsonka.

– Pamiętam pana Durana. Nie zgadzaliśmy się co do moich metod pracy, mojej polityki kierowania szkołą. Fakt podstawowy był jednak taki, że ja miałam władzę, a on nie.

– Jego żonę, Elise Duran, zamordowano dwa dni po doktorze Abnerze. W ten sam sposób. – Eve skinęła powoli głową. – To widzę nie jest dla pani żadna nowina.

– Kiedy zarząd szkoły naciskał, żebym się zgodziła na spotkanie z wami, przeprowadziłam oczywiście własne małe dochodzenie. Jest mi przykro z powodu śmierci żony pana Durana, żał mi i jego, i jego dzieci, lecz przypisał mi jedynie o niejaką irytację wiele lat temu. Wiem, że z jakiegoś powodu opuścił Złotą Akademię niedługo po mnie. Prawdopodobnie również nie zgadzał się z metodami Rufty'ego.

– Wszczęł przewód doktorski – powiedziała spokojnie Peabody. – Wykłada na Uniwersytecie Columbia.

– Jak miło, ale to wciąż nijak się ma do mnie.

– Jako prowadząca oba śledztwa nie zgadzam się z tym. Oba morderstwa łączy coś ze Złotą Akademią i z panią również. Obie ofiary miały za współmałżonków osoby, którym nie podobały się ani pani metody, ani wprowadzone przez panią zasady funkcjonowania szkoły. Występowali przeciwko pani i dążyli do ich zmiany. Powie nam pani, gdzie była w dniach i godzinach, których dotyczy śledztwo?

I tak już niechętnie udzielająca odpowiedzi Grange teraz cała zeszytniała, dosłownie emanując wściekłością.

– Obrażacie mnie – syknęła.

– Ależ skąd, pani dyrektor! – Peabody grała zadziwioną rozjemczynią. – Nie miałyśmy absolutnie takiego zamiaru. My...

– Zjawiacie się tutaj i oskarżacie mnie o morderstwo – prychnęła Grange. – I twierdzicie, że mnie tym nie obrażacie?!

– Nikt jeszcze pani o nic nie oskarżył jak do tej pory. – Eve położyła nacisk na „jak do tej pory”, żeby znów zwrócić na siebie uwagę Grange. – Prośba o podanie miejsca pobytu i tego, co się wówczas robiło, to rutynowe działanie. Teraz...

– Nie będziecie mi tutaj podawać w wątpliwość mojej nieskazitelnej reputacji swoimi niedorzecznymi rutynowymi procedurami! – Skoczyła na nogi, podeszła energicznie do drzwi i otworzyła je na oścież jednym mocnym szarpnięciem. – Teesha! Zajrzyj do mojego kalendarza i powiedz tym paniom, gdzie byłam w dniach...

Rozbawiona sytuacją Eve, której udało się ująć z życiem pod bazyliżkowym spojrzeniem Grange, gładko przytoczyła daty i godziny.

– Już podaję, pani dyrektor – odezwała się asystentka. – Wieczorem dwudziestego siódmego kwietnia uczestniczyła pani w przyjęciu w domu kongresmenki Delaney. Godzina rozpoczęcia: dziewiętnasta trzydzieści, planowane zakończenie: dwudziesta druga trzydzieści. Towarzyszył pani pan Lionel Kra-

mer. Wieczorem dwudziestego dziewiątego kwietnia była pani na balecie *Jeziro łabędzie* w Centrum Kennedy'ego w towarzystwie pana Gregora Finskiego. Rozpoczęcie o dwudziestej.

– No i proszę – sarknęła Grange. – Zadowolona?

– Będę zadowolona, kiedy zweryfikujemy te dane. Ponieważ nasze śledztwo cofa nas w czasie do okresu, kiedy doktor Rufty zmienił panią na stanowisku dyrektora, potrzebne jest nam nazwisko nauczyciela, z którym miała pani wówczas romans, piastując stanowisko dyrektorki.

– Teesha! Proszę mi tu natychmiast wezwać Kyle'a Jennera z działu prawnego. Niech przyjdzie najszybciej jak to możliwe. – Grange zamknęła drzwi z trzaskiem. – Jak pani śmie zachowywać się w ten sposób?!

– Przychodzi mi to z łatwością. Nazywa się to wykonywaniem swojej pracy – oświadczyła Eve.

– Chodzi o to – weszła im w słowo Peabody, po mistrzowsku pozbywając się onieśmienia – że weszliśmy w posiadanie pewnych informacji i musimy je sprawdzić.

– Plotki to nie informacje – wycedziła Grange.

– Zeznania otrzymane podczas przesłuchania na policji to nie plotki – zaproponowała Eve. – Czy ma pani zamiar zaprzeczyć, że utrzymywała pozamałżeńskie relacje seksualne podczas trwania małżeństwa z panem Greenwaldem? Proszę się porządnie nad tym zastanowić – przestrzegła ją. – Jesteśmy w posiadaniu zeznań dotyczących tej sprawy, a uzyskaliśmy je podczas spotkań z pani byłym mężem oraz kilkoma innymi osobami – kontynuowała Eve. – Zawierały one oświadczenie, iż zawarłście obustronne porozumienie o zgodzie na angażowanie się w pozamałżeńskie związki równocześnie lub osobno, o ile zachowacie dyskrecję i nikt się o nich nie dowie. Chce pani z tym podyskutować?

– Nie. Dlaczego miałabym chcieć? – odrzekła wyniośle, nawet się nie starając ukryć wzgardy, i zajęła ponownie miejsce na sofie.

– Kilka miesięcy przed opuszczeniem Złotej Akademii – mówiła dalej Eve – pani były mąż otrzymał kompromitujące zdjęcia pani z pewnym nieznanym... partnerem, i całą waszą umowę o dyskrecji szlag trafił. Co więcej, spotykała się pani wówczas na szybki seks z nauczycielem ze Złotej. Robiliście to na terenie szkoły i nakrył was na gorącym uczynku inny nauczyciel. Ups!

– Akurat odpierałam atak nauczyciela, który się na mnie rzucił, a cały incydent został niewłaściwie zinterpretowany – fuknęła Grange.

– Jak było, tak było. Nazwiska! – Eve przestała się bawić w uprzejmości.

Grange rozparła się wygodnie na sofie, rzuciwszy w stronę policjantki spojrenie przepelnione wciąż tą samą wzgardą, tym razem jednak pojawiło się w nim zadowolenie z siebie.

– Jeśli jakaś kobieta jest w stanie wymienić nazwiska wszystkich mężczyzn, z którymi uprawiała seks, to bardzo jej współczuję – oznajmiła usatysfakcjonowana.

– Jeśli mierzy pani swą wartość liczbą mężczyzn, którzy ją przelecieli, to z kolei ja bardzo współczuję. – Eve nie dała się wyprowadzić z równowagi. – Wszystkie nazwiska nie są mi do niczego potrzebne. Proszę zacząć od podania nazwiska nauczyciela, którego „atak” musiała pani odierać. Jestem przekonana, że je pani pamięta, podobnie jak i nazwisko tego drugiego, który was nakrył.

Westchnęła ciężko.

– Jak już wspominałam, cała ta afera powstała jedynie wskutek nieporozumienia z dwoma nauczycielami. Pierwszy z nich zinterpretował moje głębsze zainteresowanie jego pracą jako coś bardziej osobistego, a drugi wysnuł błędne wnioski z tego, co zobaczył.

– Nazwiska!

– Van Pierson, uczył historii w klasach od pięć do osiem. Wydaje mi się, że złożył rezygnację krótko po moim odejściu. Nie wiem ani dokąd poszedł pracować, ani na jakim stanowisku. Drugi to Wyatt Yin, był wówczas młodym, ekscytującym się wszystkim pedagogiem, miałam z nim ciągłe problemy. Doszły mnie słuchy, że nie odpowiadały mu jednak obostrzenia w szkołach prywatnych i przeszedł do publicznej.

– Podjął tę decyzję samodzielnie? – spytała Eve. – Bez żadnych nacisków?

– Powiedziałam, co wiem. A teraz, jeśli to już wszystko...

– A może pamięta pani jeszcze jakieś inne nazwiska? Porzuceni kochankowie często szukają okazji, żeby się odegrać.

– Jeśli to jakaś sugestia, że coś lub ktoś mi zagraża, to...

– Niczego nie sugeruję – przerwała jej Eve. – Mówię tylko bardzo wyraźnie, że dwie osoby nie żyją. Ci, którzy je kochali, mogą zacząć uważać, że to pani jest odpowiedzialna za ich śmierć. W końcu uciekła pani i z Nowego Jorku, i ze Złotej Akademii... no i od swojego kochanka. Doszliśmy do wniosku, że inicjatywa morderstw powstała w czyjejś głowie właśnie ze względu na to, co się ówczesnie działo w pani szkole.

– O, doprawdy? Doszłście do takiego wniosku? – Grange zdjęła nogę z nogi i uśmiechnęła się szyderczo. – Doszłście do wniosku, że jestem w jakiś sposób powiązana z dwoma morderstwami, bo optuję za swobodą seksualną i nie boję się jej doświadczać? Wasze konkluzje i hipotezy, na których fundamentie powstały, są jak dla mnie problematyczne. Opuściłam Złotą osiem lat temu i uciełam wszelkie kontakty i z tą szkołą, i z Nowym Jorkiem. A wy, nie wiadomo na jakiej podstawie, ubzduraliście sobie, że po ośmiu latach ktoś, z kim być może się przespałam, odgrywa się na tych, którym nie podobały się moje metody administrowania szkołą?!

Eve milczała dłużej, niż wymagało skomentowanie tego, co usłyszała.

– Cóż za treściwa wypowiedź! – prychnęła w końcu.

Grange przyglądała włosy z miną – specjalnie do tego celu przybraną – osoby zadowolonej z siebie, pełnej politowania dla swej rozmówczyni.

– Ukończyła pani szkołę stanową. Zgadza się, pani porucznik? – spytała.

– Zgadza się.

– W takim razie, przyznaję to ze smutkiem, ma pani jedynie ograniczone, ogólne wykształcenie. To godne pożałowania podstawy dla prawdziwego, krytycznego myślenia.

– Sądzi pani? – spytała kwaśno Eve.

– Rzadko się zdarza, ażeby osoba o tak marnym wykształceniu miała błyskotliwy umysł. A nasza pani detektyw? Ponoć została wychowana pani przez Free-Agersów, ludzi wolnych duchem, uznających tylko edukację domową?

– Zgadza się.

– Jaka szkoda, że pani rodziców nie było stać, żeby zapewnić pani porządne wykształcenie. Porucznik Dallas, wychowana w domu dziecka, raczej nie miała wpływu na bieg swojej edukacji, ale pani rodzice, detektyw Peabody? Jakież to głupie i samolubne z ich strony, żeby stawiać swój styl życia ponad dobro własnych dzieci. Jednakże, gdy weźmie się pod uwagę, jak bardzo zostałyście skrzywdzone przez życie, przypuszczam, że obie dokonaliście najlepszego wyboru w swojej sytuacji, zostając policjantkami.

Eve już otworzyła usta, żeby to skomentować, lecz Peabody zerwała się na nogi, jakby ją coś ugryzło.

– Ty arogancka, utytułowana, traktująca wszystkich z góry snobko! – wrzasnęła. – Myślisz, że twój tytuł doktora habilitowanego czyni cię lepszą od innych? Powiem ci, czego się nauczyłam podczas swej edukacji w duchu Free-Agersów! Oprócz tego, czego nauczaacie w tym swoim drogim jak cholera grobowcu, nauczyłam się sadzić rośliny i zbierać plony, gotować, tkąć i szyć. Nauczyłam się obróbki drewna i podstaw mechaniki. Nauczono mnie współodczuwania, tolerancji i uprzejmości!

– Proszę się liczyć ze słowami. Jest pani w moim gabinecie – wycedziła chłodno Grange.

– Nie mam najmniejszego zamiaru! Nie jestem ani jedną z twoich uczniów, ani twój pracownik. Jestem policjantką w stopniu detektywa nowojorskiej policji, a nowojorska policjantka wyczuwa na kilometr, kiedy ktoś kłamie, jeśli kogoś takiego spotka, więc nie myśl sobie, że możesz tak sobie spokojnie tu siedzieć i obrażać moją rodzinę, moją pracę z powołania czy moją panią porucznik. Nie jesteś godna butów jej czyścić, którymi zresztą mogłaby ci skopać tyłek.

Kiedy Grange zerwała się na nogi, zrobiła to również Eve. Stała się pomiędzy nimi.

– Peabody! – krzyknęła do swojej partnerki.

– Odbiorę ci odznakę! – wysyczała Grange.

– O-ho-ho! – Teraz to Peabody jawnie sztydziła z dyrektorki. – Spróbuj tylko, siostrzo!

– Detektyw Peabody! – Eve dodała szturchnięcie z łokcia. – Idź się przejść! Masz natychmiast stąd wyjść i udać się na spacer! To rozkaz!

Z widocznym wysiłkiem Peabody odpuściła.

– Tak jest, pani porucznik! – wystękała i wymknęła się chyłkiem z gabinetu.

Teraz to Grange zwróciła się do Eve:

– Jeśli nie potrafisz utrzymać w ryzach swoich podwładnych, to...

– Detektyw Peabody jest moją partnerką i proszę ostrożnie, ale to bardzo ostrożnie dobierać słowa, mówiąc o niej.

– Proszę się natychmiast wynosić z mojego gabinetu i w ogóle z terenu szkoły!

– Nie ma problemu. Z pewnością przekażę zarządowi szkoły informację o braku chęci do współpracy w trakcie śledztwa w sprawie o morderstwo. Jestem przekonana, że to ich zainteresuje – powiedziała Eve i ruszyła ku drzwiom. – Zapewne zainteresuje ich również fakt, który mogę potwierdzić, że... jak to pani ujęła?... że „optuję za swobodą seksualną i nie boi się jej doświadczać” na terenie szkoły, ze swoimi podwładnymi. Możliwe również, że z rodzicami swoich uczniów... jak na przykład... och!... Brent Whitt z tego tam zdjęcia. Może i z uczniami, których rajcowała tego typu elegancja, kiedy jeszcze

nie ignorowała pani uczniów, albo których nie rajcowała pani elegancja, ponieważ byli bez przerwy nękanani, zastraszeni i zahukani.

– Nie będzie mnie tu pani straszyć!

– Niedoczekanie! Ta policjantka, która odebrała edukację w publicznej szkole stanowej, ukończyła również Akademię Policijną NYPSD, i tak się złożyło, że pobierała nauki u najlepszego śledczego w departamencie policji. Dam pani dobrą radę, doktor Grange: niech pani lepiej rozważy przejście na emeryturę, bo nie ujdzie to pani płazem. – Otworzyła drzwi i stanęła w progu, żeby ją było dobrze słychać i na zewnątrz: – Och! I jeszcze jedno. Radzę nie otwierać żadnych paczek. Porzuceni kochankowie bywa, że chcą odwetu, a kiedy się do tego zabiorą, zrobi się paskudnie.

To rzekłszy, Eve wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Mulray siedziała jak przyszpilona do krzesła, z oczami w słup.

– Brent Whitt – wyjaśniła jej Eve, gdyż Grange tak samo zamurowało, kiedy poprzednio wspomniała jego nazwisko. – Niech pani o tym pomyśli. Niech pani pomyśli, że pracuję dla kłamczuchy, która ma wszystkich gdzieś. Panią również, jestem tego pewna jak diabli. Przynajmniej dopóki znajduje się u szczytu władzy.

Po czym przeszła do pierwszego gabinetu, gdzie obie sekretarki skamieniały z niedomkniętymi ustami, obserwując oczami szeroko otwartymi ze zdumienia panią porucznik, maszerującą ku drzwiom na korytarz.

Wypadła na zewnątrz, skręciła ku wyjściu ze szkoły, gdzie minęła się z idącym szybkim, sprężystym krokiem mężczyzną w ciemnym garniturze i błyszczących butach. Zmierzał w stronę gabinetu pani dyrektor.

Prawnik – pomyślała, nie zatrzymując się. Cóż, Grange na pewno będzie potrzebować jakiegoś adwokata, wątpiła jednak, czy odpowiednim dla niej będzie ten, który reprezentował szkołę.

Kiedy wyszła na zewnątrz, od razu zauważyła Peabody przemierzającą w tę i z powrotem parking dla gości. Jej obcasy nie stukały, lecz waliły o grunt. Policjantka co kilka sekund robiła wymachi obiema rękami i wygrażała pięścią niewidzialnym wrogom. Eve wyobraziła sobie, że partnerka odtwarza w myślach scenę z gabinetu Grange, dodając coraz to nowe, trafne epitety, których mogła była użyć podczas swojego wystąpienia.

Wygłąda na to, że wciąż ją trzyma – doszła do wniosku, schodząc po schodach prowadzących do wejścia. Obserwowała Delię, podążając w jej stronę chodnikiem.

– A więc... – Eve odchrząknęła. – Sądzę, że udawanie osoby onieśmielonej wymaga w twoim wydaniu pewnego dopracowania.

– Przepraszam, okej?

Ton jej głosu nie wskazywał wcale na to, że jest jej odrobinę przykro.

– Nie mogłam znieść, kiedy zaczęła pleść bzdury o mojej rodzinie. Zaczęła od ciebie, ale ty byłaś w stanie się opanować, ja jednakże nie odpuszczam nikomu, kto miesza z błotem moich rodziców, a zwłaszcza nasz zawód. Nie daruję nikomu!

Eve oparła się plecami o samochód i pozwoliła Peabody się wygadać przy akompaniamencie łomoczących o podłoże obcasów.

– To znaczy nic mnie nie rusza – ciągnęła – jeśli jakiś dupek na ulicy nazwie mnie tym, co mu ślina na język przyniesie, albo gdy jakiś łachudra w areszcie ulży sobie, wrzeszcząc za mną, co mu tam przyleznie do głowy. Jednakże nie zniosę, kiedy ktoś gnoi moich rodziców i wygłasza teksty, z których wynika, że źle mnie traktowali, czy coś w tym rodzaju. Kiedy insynuuje, że byli idiotami. Albo kiedy mówi, że ty jesteś kimś gorszym, bo nie chodziłaś do jakiejś ekskluzywnej szkółki jak ta. Szlag by to wszystko i jasna cholera! Szlag! – Tupnęła nogą.

Eve odczekała kilka sekund.

– Wygadałaś się? – spytała.

– Chyba tak.

– Okej, w takim razie jedziemy przesłuchać Hayward. Podczas gdy ja będę prowadzić, ty zajmij się pisaniem sprawozdania dla Whitneya z tego przesłuchania.

– O Boże! Dla komendanta? – Peabody mocno zacisnęła powieki, a kiedy je otworzyła, patrzyła prosto w niebo. – Oj, dostanę od niego wciury.

– Będziesz się tym martwić później. Tu już skończyliśmy, więc raport uzupełnimy, lecąc samolotem do domu, i od razu wyślemy go Whitneyowi, tak żeby mógł po zapoznaniu się z nim poinformować zarząd szkoły o tym, że pani dyrektor Grange jest podejrzana w śledztwie, że nie chciała współpracować oraz że mamy dowody na jej angażowanie się – podczas dyrektorowania w Złotej – w związku oparte na seksie, że robiła to na terenie szkoły, w dodatku ze swoim podwładnym. Napisz, że mamy dowody na ciągłe uprawianie seksu pozamałżeńskiego i tym podobne sprawy.

- Naprawdę to zrobimy? – zdumiała się Peabody.
- Och, no pewnie, że tak. Zarzucimy zarząd jej szkoły zeznaniami świadków na temat nękania, oszukiwania, uprawiania seksu, o wszystkim, co miała w zwyczaju czynić.
- Od razu poczułam się lepiej.
- No i dobrze. Wskakuj teraz do środka i bierz się do roboty. – Eve usiadła za kierownicą. – Ponieważ zamierzam skopać jej tyłek butami, których niegodna jest mi czyścić.
- Peabody prychnęła głupawym śmiechem.
- To akurat mi się udało – stwierdziła z zadowoleniem.
- A mnie się spodobało – spuentowała Eve, wyjeżdżając z parkingu.

Showroom Kendel Hayward, połączony z biurem, okazał się uroczym, radosnym miejscem z uroczymi, roześmianymi pracownikami. Eve poczuła się tutaj tak, jakby znalazła się w otoczeniu samych byłych cheerleaderek.

Na szczęście dla jej zdrowia psychicznego kierująca tą grupką rozradowanych dziewczyn oraz zastępująca nieobecną szefową poinformowała ją, że Kendel jest akurat w domu. Ma umówione spotkania z klientami i że potrwają one do godziny piętnastej. Potem przyjedzie do firmy w celu nadzorowania dostaw zamówionych towarów.

Dłuższą chwilę zajęło jej oderwanie Peabody od wystawy prezentującej różnorodne możliwości dekoracji stołu serwetkami o rozmaitych kolorach, rozmiarach i wzorach.

– Jakież to przyjemne miejsce! – westchnęła z zachwytem, kiedy wrócili do samochodu. – Takie radosne, pełne dobrej energii!

– Ten rodzaj radosnej energii przyprawia mnie o ból głowy – zgasiła ją Eve. – Co za idiotyczny pomysł, żeby zakładać firmę organizującą innym przyjęcia. Dlaczego do licha ludziom nie wystarczy pizza i piwo?

– Czasem człowiek chciałby liźnąć elegancji.

– Chyba nie człowiek o zdrowych zmysłach. Jezu! Nie wystarczą imprezy dla dzieci? Kup tort i trochę przekąsek dla dzieciaków, a dla dorosłych alkoholowe drinki, i z bańki.

Ponieważ Eve odnosiła się do doświadczeń swojej rodziny, Peabody nie mogła się z nią nie zgodzić. Pamiętała imprezy urodzinowe dla dzieci w jej własnej rodzinie. Nigdy nie kupowali tortu. Zawsze znalazł się ktoś, kto go własnoręcznie upiekł, tak samo przygotował przekąski dla dzieci. Były też oczywiście napoje alkoholowe dla dorosłych.

Dobre to były czasy.

A jednak...

– Sądzę, że jeśli ktoś lubi przyjęcia, co oczywiście wyklucza ciebie, planowanie ich może być fajną sprawą. Hayward najprawdopodobniej jest w tym dobra. Jak już wspominałam, to pełne radości, sympatyczne miejsce.

– Z tego, co wiemy, Hayward leni się w domu, chadza na eleganckie lunche, zapewne ma pięknie zrobione paznokcie, podczas gdy ta hałastra roześmianych panien odwala za nią całą robotę.

– Może tak być. A więc... Doszłam w raporcie do miejsca, o którym nie ja powinienem pisać.

– Ja to dokończę w samolocie. Jesteśmy już na ulicy, przy której mieszka Hayward.

Wielkie, stateczne domostwa stały w stosownych odległościach od ulicy, na zakończeniach długich podjazdów: podjazdów krętych, podjazdów o kolistych zakończeniach, podjazdów wyłożonych kostką brukową. Wielkie, stateczne drzewa, obsypane teraz wiosennym jasnozielonym listowiem, pięły się strzeliście ku górze lub rozłożyły rozkładały na boki swe grube konary.

Niektóre ozdobne krzewy dopiero zaczynały okrywać się mgiełką wielobarwnych kwiatów, inne stały już w pełnym rozkwicie. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się zielone przyszyrzyżone od linijki trawniki.

Eve skręciła w podjazd wiodący pod dom Hayward, pokryty sześciokątną kostką w kolorze szarobrazowym, a potem objechała dookoła klomb obrosnięty niskimi krzewami, z posadzonym na samym środku drzewkiem o zwieszających się ku ziemi gałązkach, obsypanych drobnymi, białymi jak śnieg kwiatkami.

Dwukondygnacyjny budynek o elewacji z brązowej cegły miał ogromne, lśniące okna i kamienne tarasy o ciemnobrązowych balustradach. Po jego lewej stronie wznosił się prawie całkiem przeszklony ogród zimowy wysokości jednego piętra, a po prawej – garaż z drzwiami o odbłaskowej powłoce.

Eve zaparkowała przed głębokim portykiem, który zdołał wejście do domu.

Kiedy wysiadła, zza ogrodu zimowego wybiegł biały, kudłaty piesek wielkości piłki do futbolu amerykańskiego i zaczął na nią szczekać jak nawiedzony.

Eve doszła do wniosku, że w razie ataku może go posłać w powietrze jak piłkę na bramkę, więc obrzuciła go tylko zimnym spojrzeniem.

Peabody, dokładnie na odwrót, włączył się tryb słodzenia.

– Och! Co to za śliczności? Jesteś najśliczniejszym na świecie maleństwem! Już dobrze, malutki! Jak masz na imię, puchatku?

– Jeśli ci odpowie, natychmiast zrzucam ciuchy i tu, gdzie stoję, nago zatańczę hawajski taniec hula.

– Jezu! Już żałuję, że nie odpowie. – Peabody ukucnęła i zaczęła cmokać do psiaczka, który nie przestawał szczeekać z bezpiecznej odległości, lecz już nie tak zajadle. Przechylił też łebek, jakby się zastanawiał, co powinien teraz zrobić.

– Wiesz... Nawet psy tej wielkości mają zęby – przestrzegła ją Eve. – Ostre, małe ząbki.

– Ona nie gryzie! – poinformowała dziewczyna, która wybiegła zza domu. Bardzo długie włosy ściągnęła z tyłu głowy w koński ogon, który podskakiwał w rytm jej kroków. – Cicho, Lulu! – krzyknęła na pieska.

Lulu szczeknęła piskliwie po raz ostatni i wreszcie się uspokoiła. Kendel Hayward, dziewczyna o wyglądzie perfekcyjnej pani domu klasy wyższej z przedmieść, w czarnych spodniach do jogi, różowych tenisówkach i różowym sportowym podkoszulku bez rękawów, na który narzuciła biały kardigan, wzięła pieska pod pachę.

– Byłyśmy w ogrodzie za domem. Musiała usłyszeć podejżdżający samochód. – Kendel przelotnie wtuliła twarz w futerko pieska. – Wydaje się jej, że jest psem stróżującym – dodała z uśmiechem. – W czym mogę pomóc? – skierowała pytanie do przybyłych.

– Porucznik Dallas oraz detektyw Peabody z nowojorskiej policji oraz departamentu bezpieczeństwa publicznego NYCPD. – Na dźwięk tych słów i na widok odznaki Eve uśmiech dziewczyny zgasł.

– Czy coś się stało? – spytała z niepokojem.

– Prowadzimy obecnie śledztwo w sprawie dwóch morderstw, powiązanych ze szkołą imienia Theresa A. Gold w Nowym Jorku. Chciałybyśmy zadać kilka pytań.

– Ze Złotą Akademią? Nie rozumiem.

– Zaraz wszystko wyjaśnimy. Czy mogłybyśmy wejść do środka?

– Ja właśnie... eee... – Kendel zerknęła na dom i przycisnęła Lulu nieco mocniej do siebie. – Tak, myślę, że tak. Robiłam tam maturę, ale to było osiem lat temu. W Waszyngtonie Wschodnim mieszkam od nieomal pięciu lat. Nie bardzo wiem, co mogłabym wam powiedzieć.

Skierowała się jednak w stronę wejścia do domu, weszła po dwóch schodkach na podest portyku i otworzyła drzwi za pomocą dotykowego skanera dłoni.

Dwupoziomowy hol wejściowy ozdabiał łuk schodów po prawej. Po lewej mieścił się niewielki pokój wypoczynkowy. Nad dwuosobową sofką wisiały trzy fotografie, na których Eve od razu rozpoznała ulicę Paryża.

Na centralnie usytuowanym stoliku pysznił się białozielony wazon ze świeżymi wiosennymi kwiatami.

Kendel poprowadziła je dalej na tyły domu do obszernego salonu z zaaranżowanymi miejscami do wypoczynku i prowadzenia rozmów. Tutaj kolorystyka ograniczała się do zestawień różnych odcieni niebieskiego, zieleni i szarości. Cała tylna ściana domu była ze szkła. Przeszklone drzwi pozostały rozsunięte, wpuszczając do środka powietrze pachnące wiosną.

– Czy nie miałybyście, panie, nic przeciwko temu, żebyśmy usiadły na tarasie? Lulu powinna przebywać dużo na świeżym powietrzu. Mamy wprawdzie niewidzialne dla oka ogrodzenie, ale wolałabym ją mieć w zasięgu wzroku.

– W porządku – zgodziła się Eve.

– Ona jest naprawdę śliczna – skomentowała Peabody.

– Jest taka słodka! Mój narzeczonny подарował mi ją na urodziny zeszłego lata.

Kiedy Kendel postawiła Lulu na gładkiej kamiennej posadzce tarasu, suczka od razu pognąła po małą czerwoną piłeczkę. Wróciwszy, wypuściła ją z pyszczka u stóp Peabody.

– Czy ona chce, żebym jej rzuciła tę piłkę? – upewniła się policjantka.

– Tak, ale uprzedzam, że będzie biegać za nią do upadłego.

– Nie szkodzi. – Peabody, zawsze skora do działania, rzuciła daleko piłeczkę.

– Właśnie siedziałam tu, pracując. – Gospodyni wskazała na laptop, wysoką szklankę i folder reklamowy. – Wyniosłam wszystko na taras. Przygotowałam dzbanek świeżej lemoniady, jeśli miałybyście ochotę.

Trzeba dać jej chwilę na oswojenie się z sytuacją – pomyślała Eve.

– Chętnie się napijemy – powiedziała.

Ogród na tyłach domu, gdzie Peabody rzucała piłeczkę dla Lulu, wypełniały kolejne stateczne, wiekowe drzewa i kolejne piękne okazy krzewów i kwiatów, mieścił też w strategicznych punktach widokowych kilka ławeczek.

Na tarasie, pod pergolą obrośniętą winoroślą, umiejscowiono kuchnię zewnętrzną oraz jeszcze jedną strefę wypoczynkową z kanapami, które większość ludzi z zachwytem wstawiłaby do pokoju dziennego. Były tu również wygodne, głębokie fotele i niskie stoliki.

Eve usiadła za stołem, przy którym Kendel pracowała. Mógł służyć za stolik kawowy z rana lub koktajlowy wieczorem.

Gospodyni wróciła z tacą. Stał na niej dzbanek z lemoniadą – pływały w niej plasterki świeżo pokrojonej cytryny – oraz trzy wysokie szklanki z lodem. Na szklanej paterze ułożono drobne ciasteczka.

Małe, cieniutkie, ze złocistą błyszczącą polewą.

Dziewczyna postawiła tacę na stole i rozpromieniła się na widok Lulu ganiającej za piłką.

– No cóż, ostrzegalam. Trochę się denerwuję – powiedziała i usiadła. – Myślę, że każdy by się zdenerwował, gdyby do jego drzwi zapukała policja, w dodatku w sprawie morderstwa.

– Zrobiłaś maturę w Złotej Akademii, a nie słyszałaś nic o morderstwach? – zdziwiła się Eve.

– Byłam całkowicie pochłonięta pracą przez kilka ostatnich tygodni. Szczercze mówiąc, powinnam zacząć od przyznania się, że pracowałam naprawdę ciężko nad tym, żeby zapamiętać o latach spędzonych w Złotej Akademii.

– Jakież złe doświadczenia?

– Można tak powiedzieć. – Kendel rozlała lemoniadę do szklanek. Lód trzaskał, polany ciepłym płynem. – Większość ściągnęłam na siebie ja sama. Czy może mi pani powiedzieć, kto został zamordowany? Raczej nie znalazłam bliżej zbyt wielu uczniów. Mogę pamiętać niektórych nauczycieli.

– Pamiętasz pana Rufty'ego? – spytała Eve.

Kendel aż zatkało z wrażenia.

– Och, nie! Tylko nie on! – Przycisnęła dłonie do piersi. – Nie żyje?

– Nie on. Jego mąż.

– Och! Nie przypuszczam, bym miała okazję poznać jego męża. Może, lecz... Tak mi przykro! To właśnie Rufty dał mi tę drugą szansę. Nie chciałam... nie doceniałam jego dobrych chęci, a przynajmniej nie wtedy, ale i tak mi ją dał.

– Szansę na co? – zainteresowała się Eve.

– Żebym nie spieprzyła sobie reszty życia – odrzekła. – Od tamtej pory wzięłam się do solidnej pracy.

Wróciła Peabody, wzięła Lulu na ręce i usiadła razem z nimi przy stole, głaszcząc białe futerko.

– Polubiła panią.

– Z wzajemnością.

– W jaki sposób mogłaś spieprzyć sobie życie? – spytała Eve.

– Złe wybory, złe zachowanie, narkotyki i inne niedozwolone substancje, do tego alkohol i robienie wyczynianiem wszelkich nikczemności czy złośliwości, zakłócaniem innym spokoju, zapodawaniem wszelkiego rodzaju demolki. Miałam bogatych rodziców i przyjaciół, którzy mieli bogatych rodziców, i pospółu uprzykrzaliśmy życie innym, znęcaliśmy się nad słabszymi. Byliśmy gotowi razem... Chciałam powiedzieć: zabić. Oczywiście nikogo nie zabililiśmy, lecz skrzywdziliśmy wielu. Kiedy Rufty przejął stanowisko dyrektora, przyszedł punkt krytyczny.

– Miałaś wszystko wszystkim za złe?

– W tamtym momencie? Oczywiście, że tak. Łącznie z moimi rodzicami. Pewnie byłabym w stanie dokonać tego metaforycznego morderstwa, a oni i tak niczego by się nie domyślili. Stopnie miałam całkiem niezłe, bo zmuszałam mądrzejsze dzieciaki do odrabiania za mnie prac domowych. Myśleli, że mój ówczesny chłopak był taki wspaniały, ponieważ wiedział, kiedy na jakiej strunie zagrać. Wszyscy umieliśmy świetnie grać.

– Dyrektorka Grange wiedziała, co wyprawiałaś?

– Pewnie, że tak. Po co miałam cokolwiek zmieniać, jeśli nie było żadnych konsekwencji? Potem nagle odeszła, a zmienił ją na stanowisku pan Rufty. No i... wierzcie mi, konsekwencje nadeszły.

– To znaczy?

– Zatrzymania po lekcjach, zawieszenia w prawach ucznia. Wystawianie stopni całkowicie niezależnych od tego, jak dużą darowiznę na szkołę przekazali rodzice. W każdym razie Rufty wezwał do szkoły moich rodziców i po rozmowie z nimi została postawiona pod ścianą. Mogłam się poprawić i odciąć od kłopotów, bo w innym razie groziło mi odesłanie do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Anglii. Zraniłam ich mocno... to znaczy moich rodziców... oni sami w tym czasie przechodzili kryzys małżeński. Może właśnie dlatego to robiłam?... Tak czy siak, maska opadła i zobaczyli, że byłam kłamczuchą i oszustką, łobuziarą i wstrętnym bachorem. Pozostała część roku szkolnego, praktycznie rzecz biorąc, spędziłam w areszcie domowym. – Kendel wbiła wzrok w swoją szklankę. – Boże! Tak

długo nie wracałam do tego myślam! Czuję się, jakby to było w innym życiu. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób tamto moje życie miałooby wywrzeć jakikolwiek wpływ na męża doktora Rufty'ego?

– Pamiętasz Jaya Durana?

– Nie przypominam go sobie.

– Uczyl języka angielskiego – włączyła się do rozmowy Peabody. – Uczyl i w niższych, i w wyższych klasach.

– Ach, faktycznie! Pan Duran. Wydaje mi się, że nigdy nie używał swojego imienia. Tak! Pamiętam go głównie dlatego, że były to jedyne lekcje, które lubiłam. – Uśmiechnęła się przelotnie, z pewną autoironią. – Oczywiście nie mogłam się do tego przyznać, nie mogłam nic z nich wynieść, bo straciłabym twarz. A co się z nim stało?

– Jego żona również została zamordowana.

W oczach Kendel, skierowanych wprost na Eve, pojawiły się przygnębienie i konsternacja.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Po prostu tego nie rozumiem. To okropne, to straszne, ale tego nie rozumiem.

– Rozpracowujemy ten wątek śledztwa. Kogo znasz z tego okresu przejściowego, kiedy Grange zmienił Rufty, a kto mógłby chować żale i urazy z powodu tych konsekwencji, o których mówiłaś?

– Boże! Pewnie z połowa szkoły. No dobra, nie aż tyle – poprawiła się – ale na pewno sporo ich było. I nie tylko uczniowie, ale również nauczyciele oraz wielu rodziców. Rufty zmienił istniejący, uświęcony stan rzeczy. Rozumiecie zapewne, o czym mówię.

– Tak.

– Byliśmy przyzwyczajeni do robienia tego, co nam się żywnie podoba, i nagle wszystko się zmieniło. Wielu uczniów klas maturalnych wybierało się na studia do najlepszych uczelni, a Zasady Rufty'ego, jak je wtedy nazywaliśmy, mogły to zaprzepaścić. Pewnie tak się stało w przypadku niektórych uczniów. Tego nie wiem. Moja paczka jednak się rozpadła. Rodzice albo zabrali dzieci ze szkoły i przenieśli gdzieś indziej, albo tak jak moi umieścili swe latorośle w areszcie domowym.

– Czy utrzymujesz, a może utrzymywałaś kontakty ze swoją starą paczką?

– Tak ze Złotej Akademii? – Kendel prychnęła urywanym śmiechem. – Nie. Przede wszystkim dlatego, że zwyczajnie nie mogłam. Rodzice zabrali mi telefon. Czy możecie sobie wyobrazić horror bycia nastoletnią dziewczyną, której odcięto dostęp do telefonu? To było istne piekło. Zablokowali mi możliwość komunikowania się z kimkolwiek i z komputera, i ze wszystkich moich urządzeń elektronicznych. Jedyne nauka, co kontrolowali bez przerwy. Nienawidziłam tego szczerze. Nienawidziłam ich. Słuchałam jednak, bo nie żartowali z tą szkołą z internatem. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam ojca tak wściekłego i tak przerażonej matki. Ani wcześniej, ani później.

– A kiedy odzyskałaś dostęp do telefonu i komunikatorów?

– Nim to nastąpiło, skończyłam z tym. Nie lubiłam szkoły i nigdy nie byłam doskonałą uczennicą, lecz lubiłam spokój. Spodobało mi się, że nie muszę obmyślać bez przerwy, co by tu zrobić, żeby wszcząć kolejny skandal. Spodobało mi się otrzymywanie przyzwoitych ocen za prace domowe odrobione samodzielnie – zamilkła. Przypatrywała się z uwagą swojej lemoniadzie. – Zawdzięczam to moim rodzicom, doktorowi Rufty'emu oraz takim nauczycielom jak pan Duran. Dostałam od nich drugą szansę – dodała i spojrzała najpierw w oczy Eve, a dopiero potem przeniosła wzrok na swój wypielęgnowany ogród. – Jestem teraz tutaj tylko dzięki nim. Rozumiecie, co mam na myśli? Ten czas czy sytuacja, kiedy czujesz się, jakby nadszedł właśnie kres twojego życia? A potem nagle wszystko zaczyna się układać? Rozumiecie to?

– Taa... – Eve pokiwała głową. – Ja to rozumiem. Co robiłaś po zdaniu matury?

– Poszłam na studia. Nie mogę powiedzieć, żeby tam specjalnie błyszczła, ale przynajmniej miałam czyste konto. Obiecałam rodzicom, że poświęcę na to dwa lata, i tak się też stało. Potem wróciłam do domu i zajęłam się tym, co naprawdę lubiłam i chciałam robić: podjęłam pracę w firmie mojej mamy. Jestem dobra w organizowaniu przyjęć, planowaniu ich, w odczytywaniu, czego chce i potrzebuje klient. Dodam może, że ani razu nie wracałam nawet wspomnieniami do tamtych lat.

Eve podjęła inny wątek.

– Twój narzeczony ma ambicje polityczne, a jego matka być może będzie kandydować na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Takie przynajmniej chodzą słuchy.

– Zgadza się – odrzekła Kendel, tym razem prezentując Eve iście pokerową twarz.

– Byłaś wówczas nastolatka, to prawda, lecz wszelkie złe postęпки są wyciągane w kampaniach politycznych i używane przeciwko kandydatom.

– Jakbym tego nie wiedziała – prychnęła. – Kiedy zaczęliśmy chodzić z Merrittem na poważnie, od razu mu o tym powiedziałam. Usiedliśmy z jego rodzicami i obgadaliśmy sprawę. Patience to wspaniała kobieta i na pewno będzie niesamowitą panią prezydent, jeśli tylko się zdecyduje wystartować w wybo-

rach. Wie o mnie wszystko, a przynajmniej to, co ja sama pamiętam z tamtych czasów. Stwierdziła, że według niej mój przypadek można określić jako zachowanie już odkupione we wczesnej fazie. Taka ona jest. Moje życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Wciąż jednak mnie boli, że to, co robiłam w wieku lat piętnastu, szesnastu czy siedemnastu, może jakoś ranić Merritta lub Patience. Teraz jestem inną dziewczyną. Nie mogę zmienić tego, co zrobiłam, mogę jedynie zachowywać się inaczej.

– Pamiętajsz Marshalla Cosnera?

– Marsha? – Kendel potrząsnęła głową, wykonując przy tym mocny wydech. – Teraz jest dla mnie tylko duchem z przeszłości. Był jednym z naszego gangu. Mówię „gang”, bo naprawdę na krótki czas przekształciliśmy się w prawdziwy gang. Odszedł ze szkoły, a może został wyrzucony. Nie pamiętam, a może i nawet nie wiedziałam. Jeśli o mnie można było powiedzieć, że miałam kiepskie wyniki w nauce, to Marsh był gorszy. – Powiedziawszy to, uśmiechnęła się. – Był rozrywkowym gościem, ale w sensie rozrywek, których poszukiwałam w tamtym czasie. Z nim zawsze była dobra zabawa. Zawsze potrafił zapunktować. A to skombinował jakieś narkotyki czy dopalacze, a to alkohol, a to wyskoczył z wolną chatą na imprezkę. Jak to my na niego walczyliśmy? – Przymknęła na chwilę oczy. – Ach! Kombinator. Boże! Wydawało się nam, że jesteśmy tacy inteligentni!

– Kiedy ostatni raz go widziałas? Może rozmawiałas z nim kiedyś?

– Lata temu. Ach! Pamiętam jedną z imprez u niego w domu. Jego rodzice wyjechali akurat z miasta. Działo się to jakoś niedługo po przyjściu Rufty’ego na stanowisko dyrektora. Wszyscyśmy się świetnie bawili, planując, jak to się rozprawimy z nim i z jego idiotycznymi zasadami. Wszyscyśmy byli albo pijani, albo naćpani – dodała. – Nie przypominam sobie, żebym go jeszcze kiedyś później spotkała. Może tak, ale wiem na pewno, że zniknął dosłownie kilka dni po tej imprezie. Dokładnie w tym samym czasie, kiedy ja zostałam zawieszona, a moi rodzice wezwani do szkoły na rozmowę z dyrektorem.

– A Stephen Whitt?

– Steve? Boże mój, seksowny Steve? Boziu! Kolejny duch z przeszłości! Mój ówczesny chłopak. Byłam w nim szaleńczo zakochana, tak jak można być zakochanym w szkole średniej. Jego również rodzice zabrali ze szkoły, być może nawet tego samego dnia co Marsha. Mogło tak być. Nim moi wymierzili mi karę, zdążyliśmy jeszcze ustalić, że w razie uciekinierstwa gdzieś razem. Po ukończeniu osiemnastu lat mógł zacząć korzystać z pieniędzy z funduszu powierniczego, a niewiele mu do pełnoletności brakowało. Uciekliśmy i tyle by nas widzieli. – Zamknęła oczy. – Co za beztroška z naszej strony! Beztroška i beznamiętność. I pomyśleć, że mogłam to zrobić. Uciec z nim z powodu pierwszej miłości! Poza tym to brzmiało tak ekscytująco! Na szczęście rodzice odeśleli go do innej szkoły, chyba gdzieś na południe. Tego nie jestem pewna. Wszystko się tak strasznie pogmatwało, gdyż... no wiecie... moje życie się skończyło. Nie mogłam się z nim skontaktować, no bo... rozumiecie... nie ma telefonu, nie ma komunikowania się. Przez następnych kilka tygodni miałam areszt domowy i to był koniec naszej znajomości.

– A więc nigdy nie próbowałaś się z nim kontaktować?

– Nie, odkąd zatrzasnęły się za mną drzwi. Ale... O Boże! Całkiem mi wyleciało z głowy! Jeden jedyny raz próbował się ze mną zetknąć. Już po tych wszystkich wydarzeniach. Zadzwoił do naszej wspólnej koleżanki i chciał z mną porozmawiać przez jej telefon, żebyśmy omówili planowaną ucieczkę.

– No i?

– Musiałam się zdecydować. Albo rybki, albo akwarium. Gdybym została złapana, groziło mi zesłanie do szkoły z internatem. Chciałam z nim nawet porozmawiać, ale... powiedziała koleżance... nie pamiętam jej imienia... Tak czy owak, żeby mu powtórzyła, że nie mogę. Mówił o mnie... jakżeż ona miała na imię?... Annie, a może Allie? Zresztą nieważne. – Machnęła ręką, upiła łyk lemoniady. Odechnęła. – Nazwał mnie głupią, tchórzliwą cipą. Steve’owi zawsze włączał się cham, kiedy ktoś mu się przeciwstawiał. Strasznie się potem poryczałam do poduszki.

– Czy kontaktował się z tobą kiedykolwiek później?

– Jeśli Steven spał cię na straty, to na wieki. Na amen. – Wzięła ciasteczko i uśmiechnąwszy się blade, odgryzła kawałek. – Te czasy dawno minęły. Rozumie pani? Dla wszystkich nas skończyły się bezpowrotnie. Chcę przez to powiedzieć, że wszyscy, z którymi się wtedy prowadziłam, mogli się z mną skontaktować przez te kilka ostatnich lat. Ale nikt z nich tego nie zrobił.

– A ty nie kontaktowałaś się ani nie podjęłaś próby kontaktu z kimkolwiek z nich?

– Nie. Można powiedzieć, że tamtą erę pozostawiłam za sobą. Absolutnie nie byłabym zainteresowana powtórnym nawiązaniem znajomości z kimkolwiek z nich. Zamierzam na jesieni wyjść za mąż za chłopaka, którego kocham, za naprawdę bardzo dobrego człowieka. Moi rodzice są ze mnie dumni. Ja jestem dumna z siebie. Po co miałabym wracać do tej niechlubnej przeszłości?

Eve rzuciła jeszcze kilka nazwisk, próbując obudzić pamięć Kendel. Niektórych uczniów pamiętała, niektórych nie albo tak słabo, że nie wносиło to niczego nowego do śledztwa.

– Bardzo dziękujemy za poświęcony nam czas, panno Hayward – zakończyła Eve. – Oraz za bezstronność – dodała.

– Raz skłamię, musisz kłamać cały czas. Jestem żywym dowodem na to, że zawsze cię w końcu przyłapią na kłamstwie, a następnie kłamstwa tylko pogorszą sytuację. Byliśmy złymi dziećmi, pani porucznik, ale tylko nastoletnimi dziećmi. Szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy nikt, kto mógłby zrobić coś tak strasznego nawet wtedy, kiedy sami szukaliśmy guza. Nie znam nikogo z uczniów naszej szkoły, kto mógłby popełnić morderstwo spowodowane czymś, co zaszło kiedyś w Złotej Akademii.

Sądzę, że znasz – rozmyślała Eve, kiedy Kendel odprowadzała je do samochodu – tylko jeszcze nie jesteś w stanie sobie tego uświadomić.

*

Eve z rozkoszą wciągnęła do płuc nowojorskie powietrze, kiedy samolot wylądował. Od razu poprawił się jej humor, kiedy usiadła za kółkiem swojego samochodu i ruszyła po dobrze znanych, logicznie rozplanowanych ulicach.

– Skoczmy teraz do wielkiego, ekskluzywnego gniazda prawników – zdecydowała – i porozmawiajmy z Marshallem Cosnerem.

– Z tego, co tu piszą, wynika, że jest z niego wciąż kawał fiuta – zauważyła Peabody, skończywszy wprowadzać adres kancelarii do nawigacji. – Hayward zrobiła na mnie wrażenie osoby, która się pozbięrała i ogarnęła całkiem fajnie swoje życie i pod względem profesjonalnym, i pod względem osobistym. Jednakże wszystkie doniesienia dotyczące Cosnera wskazują, że on stale jedzie na nazwisku i kasie rodziny.

– Jechanie na nazwisku nie może być motywem zbrodni. Bycie fiutem zresztą też – dodała Eve, z entuzjazmem włączając się w wojenki kierowców na ulicach Nowego Jorku. – Dodaj to jednakże do tego, że najprawdopodobniej wciąż ćpa, dodaj wciąż gotując się w nim, a może i przybierające na sile rozgoryczenie z powodu wyrwania go z gangu przyjaciół, porażkę w spełnieniu oczekiwań rodziny i może... – zamilkła, skupiając się na zręcznym wyprzedzeniu taksówki Rapid Cab i jadącego przed nią sedana, by zdążyć przejechać w ostatniej chwili przez skrzyżowanie – ...i może powinniśmy dodać jeszcze jedno. Obaj, i Rufty, i Duran, prowadzili szczęśliwe, udane życie rodzinne, cieszyli się wieloletnimi związkami małżeńskimi, mieli rodziny, które ich podziwiała. Coś takiego może stanąć ością w gardle komuś, kto wciąż jest bogatym, uzależnionym od narkotyków i alkoholu fiutem, w dodatku z nieukończonymi studiami.

– Hmm... Tego nie brałam pod uwagę w swoich rozważaniach – przyznała się Peabody – ale masz rację. Obie ofiary osiągnęły wiele i w życiu osobistym, i w pracy, jak słusznie zauważyłaś. Żadne dane na temat Cosnera nie wskazują na to, żeby choć na jotę się do nich zbliżył. Może to więc być zazdrość połączona z czymś w rodzaju: dlaczego oni mają tak wiele, skoro ja przez nich nie mam nic?

– Należałoby się temu przyjrzeć i sprawdzić, jak bardzo go to boli.

Eve upolowała miejsce postojowe i wysiadła, czekając, aż Peabody skończy stuknąć na komputerze. Miały jeszcze do przejścia dwa kwartały miasta.

– Mogę opracować prawdopodobieństwo napadu na kolejną osobę, wzięwszy pod uwagę te elementy. Bo bez wątplenia będzie następną ofiarą. – Eve pokiwała głową. – Może to być ktokolwiek z pracowników Złotej Akademii, wymieniony w notatkach i zachowanych plikach, kto złożył skargę na Grange. Ten niezidentyfikowany kochanek ze zdjęć, ten, z którym uprawiała seks, może być i mordercą, i celem ataku. Jeśli nie jest nim mężczyzna ze zdjęcia, być może jest nim ten, który ich przyłapał i pstryknął zdjęcie. Wszystko jest możliwe.

Skreśliły za rogiem. Minęło je kilka osób wyglądających na pracowników biurowych. Wszyscy rozmawiali przez telefon, wykorzystując do tego zestawu słuchawkowe.

Eve pchnęła drzwi wieżowca ze szkła i stali, gdzie miała siedzibę rodzinna firma Cosnerów, przemierzyła hol wyłożony w szachownicę białymi oraz zielonymi taflami marmuru i zatrzymała się przy stanowisku ochrony.

– Nowojorska policja do Marshalla Cosnera – oświadczyła krótko.

Ochroniarz przyjrzał się jej odnace z wyrazem twarzy kogoś, kto ma cały świat w głęboim poważaniu.

– Firma Cosnera zajmuje piętra od dwudziestego pierwszego do dwudziestego trzeciego – wyjaśnił beznamiętnie. – Biuro Marshalla Cosnera mieści się na dwudziestym pierwszym.

Łatwo poszło – pomyślała i ruszyła w stronę wind. Lobby sprawiało wrażenie zadziwiająco szacownego i dostojnego. Żadnych ozdóbek ani kwiatów, żadnych ruchomych obrazów czy bogato zdobionych posągów.

Z drzwi wind wylewały się potoki ludzi. Eve i Peabody przepychały się pomiędzy nimi, by wraz z tymi, którzy udawali się na górę, pojechać w podróż pełną przystanków.

Kiedy drzwi windy wreszcie otworzyły się na dwudziestym pierwszym piętrze, znalazły się w kolejnym tchnącym dostojnictwem wnętrzu. Ich oczom ukazało się naprawdę niewiele zdobieni. Za szerokim, czarnym jak smoła blatem recepcji kręciły się na krańcach dwie uśmiechnięte dwudziestokilkulatki, a w środku zasiadała matrona, która zapewne zajmowała to miejsce od kilku dziesięcioleci.

Na poczekalnię składały się fotele z wysokimi oparciami i miękkimi poduchami, równie czarne jak blat recepcji. Aktualnie nikogo w niej nie było.

Eve uznała, że woli rozmawiać z osobą doświadczoną, podeszła więc do kobiety o siwych włosach, krwistoczerwonych paznokciach, ubranej w ciemną garsonkę, której surowy wygląd przełamywała broszka w kształcie pawia, wpięta w kłapę żakietu.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody z nowojorskiej policji. Musimy porozmawiać z Marshallem Cosnerem.

Jeśli odznaka i skierowana do niej prośba zdziwiły ją, Pani Doświadczona nie dała tego po sobie poznać.

– Czy jesteście, panie, umówione z panem Cosnerem?

– Nie, ale jeśli nie jest w tej chwili dostępny, możemy go wezwać na przesłuchanie w komendzie głównej policji.

Popatrzyły sobie z Eve głęboko w oczy. O ile pani porucznik się nie przywidziało, wyłapała w spojrzeniu tamtej ślad rozbawienia pomieszanego z lekceważeniem.

– Jedną chwileczkę. Sprawdź, czy pan Cosner jest wolny.

Po czym, zamiast skorzystać z telefonów wewnętrznych czy też zestawu słuchawkowego umocowanego na głowie, kobieta podniosła się i zniknęła za bocznymi drzwiami.

Jedna chwileczka zamieniła się w dwie, następnie w trzy, aż w końcu wróciła w towarzystwie dziewczyny w krótkiej, obcisłej, czerwonej sukience, z której dekoltu wylewał się obfity biust. Raczej nie wyglądała na naturalny, a powiększały go jeszcze pogniecione w tej chwili falbanki w kolorze karmelowo-wosłotym.

Matrona wsunęła się na swoje miejsce za blatem recepcji z najłżejszym z kpiarskich uśmieszków, tymczasem blondyna w niebotycznie wysokich czerwonych szpilkach ruszyła wprost ku policjantom.

– Jestem asystentką pana Cosnera – oświadczyła. Jej głos brzmiał tak, jakby właśnie skończyła uprawiać wściekły seks i gotowa była zapaść w słodką drzemkę. – Przyjmie panie od razu. Proszę za mną.

Eve podążyła jej śladem cokolwiek zdumiona – jak byliby wszyscy – hmm... żeby tak drobić na tych potwornych szpilach i jeszcze tak kręcić przy tym biodrami! To wymagała doprawdy wrodzonych talentów.

Przeszły przez większą salę z wydzielonymi stanowiskami pracy.

– Pan Cosner ma dzisiaj bardzo pracowite popołudnie – rzuciła przez ramię asystentka, kiedy szły korytarzem, mijając kolejne drzwi pomniejszych gabinetów – lecz ma wiele szacunku dla... funkcjonariuszek po cywilnemu – dokończyła, najwyraźniej zastanawiając się, jak powinna zatytułować obie śledcze.

Rodzina wprawdzie mogła zepchnąć Cosnera na najniższą możliwą funkcję w firmie, jednakże narodziłoby się pytanie, czy mu nie odebrano.

Drzwi stały otworem, aby już z daleka było go widać siedzącego za eleganckim biurkiem, na tle bocznego okna. Udawał, że rozmawia przez telefon – w pewnym momencie przekręcił się z krzesłem na tyle, że Eve dojrzała pusty wyświetlacz smartfona, na którym powinna być widoczna twarz rozmówcy.

Cosner był jasnym blondynem o prostych włosach z tak perfekcyjnie wykonanymi pasmami, jakby słońce przeciągnęło palcami po jego głowie. Opalenizna na twarzy – w kolorze ciepłego brązu – wskazywała na kogoś, kto zimę spędził, żeglując na jachtach po południowych morzach.

Jego niebieskie oczy, ukryte pod gniewnie ściągniętymi brwiami, wyrażały daleko posuniętą koncentrację. Miąsa pełna dezaprobaty dopełniała wizerunku ważnego człowieka, wykonującego właśnie ważny telefon.

– Chcę to mieć na biurku przed końcem dnia pracy – rzucił. – Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Mam teraz kolejne spotkanie – dodał i odłożył z impetem telefon na blat biurka wyświetlaczem do dołu.

Grymas gniewu natychmiast przeszedł w uroczy uśmiech, kiedy podniósł się na ich widok.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt! – Obszedł biurko dookoła z ręką wyciągniętą w stronę przybyłych.

Okazał się mężczyzną szczupłym, w świetnie skrojonym czarnym jak noc garniturze, idealnie odprasowanej koszuli w tym samym niebieskim kolorze co jego oczy oraz niebieskim krawacie w delikatne bordowe prążki.

– Słynna Eve Dallas w moich progach! – rzekł z emfazą. – Muffy, przynieś nam trzy kawy cappuccino, a pani porucznik oraz jej lojalna partnerka opowiedzą mi, co je tutaj sprowadza. Zapraszam! Usiądźcie, proszę!

Eve postanowiła tym razem nie stawać okoniem i dać się zaprosić, siadając w granatowym skórzanym fotelu dla gości.

Rozejrzawszy się wokół, stwierdziła, że choć Cosner królowała w narożnym gabinecie, to jednak cała ta przestrzeń nie była zbyt przestronna. Na półkach zamiast prawniczych ksiąg stały nagrody i trofea wywalczone w meczach golfa i tenisa. Młody mężczyzna zajął z powrotem miejsce za biurkiem, które – choć ogromne, z lśniąca politurą, nie nosiło najmniejszych śladów pracy, którą musiałyby przerwać.

Nie zauważyła też na ścianie dyplomu ukończenia studiów z tytułem naukowym, gdyż takowego jak na razie nie posiadał.

– Prześledziłem dokładnie sprawę Icové’a, przeczytałem książkę i obejrzałem film. Fascynujące! Oczywiście przerażające, ale i fascynujące zarazem. Dla mnie może nawet bardziej, gdyż moja rodzina знаła osobiście rodzinę pani doktor i pana doktora Icové’ów. Albo może raczej powinienem powiedzieć: ponieważ znali Icové’ów. Maski, za którymi chowają się ludzie. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Muffy pojawiła się w drzwiach z tacą w ręku.

Eve zaczęła się mimowolnie zastanawiać, czy rodzicom dziewczyny, kiedy dali jej tak na imię, przyszło do głowy, że ich córka będzie chodzącym ucieleśnieniem męskich marzeń o kochance. Puszysta i miękka jak muffinka.

– Dziękuję ci, Muffy! Nie zapomnij przesunąć mojego następnego spotkania – rzucił za nią Cosner.

– Nie masz... Och! Ależ oczywiście, panie Cosner. Natychmiast to uczynię – poprawiła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Wróćmy do naszych spraw. – Cosner uśmiechnął się promiennie. – W czym mogę paniom pomóc?

– Możesz zacząć od odpowiedzi na pytanie, gdzie byłeś w dniach dwudziestego siódmego oraz dwudziestego dziewiątego kwietnia bieżącego roku pomiędzy godziną dwudziestą pierwszą trzydzieści a dwudziestą trzecią?

Uśmiech na jego twarzy zgasł nie powoli, lecz nagle, jakby go ktoś zdmuchnął.

– Przepraszam, ale... że co?!

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Kenta Abnera oraz Elise Duran – wyjaśniła Eve. – Twoje nazwisko wypłynęło w trakcie dochodzenia – zamilkła na dłuższą chwilę, po czym upiła cappuccino. – Niezła kawa – powiedziała i podniosła na niego wyczekująco oczy.

– To nie do wiary! Wypłynęło moje nazwisko? Nie znam ludzi, których pani wymieniła. W jaki sposób moje nazwisko mogło wypłynąć?

– Uczęszczał pan do szkoły imienia Theresy A. Gold?

– Tak, lata temu. Co to ma wspólnego z tym wszystkim?

– Wygląda na to, że nie śledzisz tej sprawy zbyt uważnie, jak to się działo w przypadku dochodzenia w sprawie Icove'ów. Ofiarami są tutaj współmałżonkowie osób, które zapewne bardzo dobrze pamiętasz. Pan Rufty, który wymienił na stanowisku dyrektora Złotej Akademii panią Grange, zanim twój rodzic odesłał cię do szkoły z internatem, oraz Jay Duran, nauczyciel języka angielskiego w twojej klasie maturalnej.

Cosner był tak zdenerwowany, że zaczął się pocić.

– Raczej nie pamiętam nazwisk nauczycieli, z którymi miałem do czynienia przez całe swoje życie. A Rufty był dyrektorem ze dwa tygodnie, kiedy opuściłem Złotą Akademię. Po prostu ich nie pamiętam, a ich współmałżonków tym bardziej. A dlaczego powinienem?

Kłamie – pomyślała Eve. – Kłamie jak najęty z jakiegoś bezsensownego powodu.

– Ponieważ to poniekąd przez nich zostałeś wysłany do Vermont, do szkoły z internatem, z dala od twojego kręgu... powiedzmy... przyjaciół, którzy stworzyłeś w celu nękania innych uczniów, oszukiwania, zakłócania spokoju w szkole. Organizowaliście imprezy z alkoholem i narkotykami, choć byliście jeszcze niepełnoletni.

– To jakiś nonsens i lekka przesada. Moi rodzice doszli do wniosku, że odniosę same korzyści z ukończenia ostatniego semestru w klasie maturalnej w bardzo prestiżowej szkole poza obrębem stanu. To jakaś prehistoria. Dla mnie to jawna zniewaga, że tak tu sobie przychodzicie i oskarżacie mnie o oszukiwanie, nękanie czy może jeszcze...

– Miguel Rodrigues – podsunęła mu Eve.

– Pojęcia nie mam kto to.

– Jeden z wielu, których wraz ze swoimi „przyjaciółmi” zastraszałeś i zmuszałeś do odrabiania za siebie prac domowych.

Błądził wzrokiem po całym gabinecie, byle tylko nie spojrzeć na Eve.

– To jakiś absurd! – prychnął. – I nieprawda.

– Mamy to wszystko udokumentowane, Cosner. Może wrócimy do naszego pytania o miejsce pobytu w wymienionych przeze mnie przedziałach czasowych?

– Nie muszę się wam z niczego spowiadać. – Wstał. – A teraz albo wyjdziecie stąd same, albo wezwę ochronę, żeby odprowadzili was do drzwi.

– Jeśli nie chcesz odpowiadać, masz do tego prawo – powiedziała spokojnie Eve. – Może powinieneś wziąć adwokata, zwłaszcza że nie udało ci się do tej pory uzyskać dyplomu prawnika. Przyda ci się, kiedy zostaniesz wezwany do komendy głównej policji na przesłuchanie.

– Nie możecie mnie zmusić do...

Teraz Eve podniosła się z fotela.

– Słuchaj mnie uważnie – syknęła. – Możesz mi wierzyć, że starzy przyjaciele twojej rodziny, niejacy państwo Icove, myśleli tak samo. Udowodniliśmy im, że byli w błędzie.

– Chwileczkę! Zaczekajcie jedną chwilę. – Usiadł i dał znak gestem, żeby też usiadła. – Po co od razu te anse. Wzięła mnie pani z zaskoczenia. Nie co dzień policja oskarża mnie o popełnienie przestępstwa.

– Zaliczyłeś parę wpadek, więc, prawdę mówiąc, powinieneś to odsiedzieć. Ćpałeś i rozprowadzałeś narkotyki oraz substancje uzależniające.

– Byłem młody i głupi – rzekł z niechęcią. – Mam to już za sobą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął niewielki notatnik.

– Sprawdzenie, gdzie wówczas byłem, to łatwizna. W pierwszym terminie... – Zaczął przerzucać kartki. – ...byłem na kolacji w liczonym gronie znajomych.

– Nazwiska! – zażądała Eve rzeczowo. – Kontakty!

– Och, ale... – zaczął defensywnie, lecz jednak je wymienił, Peabody zaś wszystkie zapisała. – W drugim zaś bawiłem się w klubie w towarzystwie przyjaciół.

Peabody pilnie spisała i te nazwiska, zauważywszy, że wiele z nich się powtarza.

– Jeśli to wszystko...

– To nie wszystko – przerwała mu Eve. – Zweryfikujemy twoje alibi.

Uniósł głowę wysoko i zadarł brodę, ale widać było, że go zjadają nerwy.

– Nie podoba mi się to określenie – burknął. – Nic nie zrobiłem, więc alibi do niczego mi nie jest potrzebne.

– Sprawdzimy to. – Eve nie straciła rezonu. – Przyjmij jeszcze do wiadomości, że jesteśmy w posiadaniu potwierdzonych informacji o tobie i kręgu twoich koleżków z klasy, jak również o waszych wybrykach podczas lat nauki w Złotej, gdy dyrektorką była pani Grange. Doktor Rufty wszystko to zmienił. Nagle się okazało, że są konsekwencje.

– Był pieprzonym tyranem! – wybuchł Cosner. – Wpadł tam jak tornado, wprowadzając nowe zasady, nowy grafik działania. Natychmiast zawiesił chyba z jedną trzecią uczniów starszych klas, wprowadził też pozostawianie za karę po lekcjach. Uwierzył tym cwaniaczkom, którzy uczyli się za stypendia ufundowane z pieniędzy naszych rodziców, a nie tym z nas, których rodziny hojnie łożyły na działalność edukacyjną szkoły.

Aha! Odpowiedni guzik został wciśnięty – pomyślała Eve.

– A więc jednak go pamiętasz – rzekła na głos.

– Pamiętam, że wparadował tam jak na swoje prywatne włości. Pamiętam, że gdyby rodzice mnie stamtąd nie zabrali, pewnie nie dostałbym się na prawo, zważywszy na jego tyranie i arogancję. Niech pani sobie wyobrazi, że oskarżył mnie o ściąganie i oszustwa! Poza tym stadko niedouczonego pedagogów, którzy zazdrościli mojej rodzinie majątku i wysokiej pozycji w społeczeństwie, bo sami byli zerami, wystąpiło z jakimiś bezpodstawnymi, acz poważnymi oskarżeniami.

– Do tego „stadka” należał Jay Duran. To on był autorem tych oskarżeń. Złożył też oficjalną skargę na dyrektorkę Grange za to, że pozwalała na wszystko tobie i twoim koleżkom.

– Grange przynajmniej rozumiała, że kilka... szczeniackich wygłupów nie powinno się odbić na przyszłości nastolatka.

– Szczeniackie wygłupy powiadasz? Tak nazywasz picie alkoholu i ćpanie na terenie szkoły, ściąganie, nękanie, wymuszanie posłuszeństwa na innych uczniach, żeby wykonywali za ciebie wszelkie zadane prace domowe?

Choć skwitował to machnięciem ręki, Eve zauważyła krople potu nad jego górną wargą.

– Chciałbym zobaczyć nastolatka, który nigdy nie wziął alkoholu do ust ani nie eksperymentował z narkotykami – powiedział.

– A więc twoim zdaniem łamanie prawa to tylko szczeniacki wygłup? Dobrze wiedzieć. Brzmi to tak, jakbyś wciąż żywił urazę do Rufty’ego i tych „niedouczonego pedagogów”.

– Oni mnie w ogóle nie obchodzą. Nie obchodzili mnie wtedy i nie obchodzą teraz. Jestem zamożnym młodym człowiekiem ze znanej i szanowanej rodziny. Jestem jednym z członków zarządu znanej i szanowanej firmy prawniczej, jednej z najlepszych kancelarii prawnych w mieście.

– Nie widzę pańskiego dyplomu ukończenia studiów na ścianie, panie Cosner.

Zaczerwienił się, próbując powściągnąć złość i zażenowanie.

– Wziąłem właśnie rok urlopu dziekańskiego, żeby odbyć praktyki – zaczął się tłumaczyć. – Zresztą to nie pani sprawa.

– Nauczyłeś się samodzielnie przygotowywać substancje niedozwolone we własnym małym laboratorium. Odnoszę wrażenie, że szło ci tam zdecydowanie lepiej niż w szkole. Niezły chemik był z ciebie.

– Te zarzuty zostały oddalone.

– Ktoś musiał cię tego nauczyć, musiałeś mieć dojścia do komponentów i skądś skombinować wyposażenie laboratorium. Mógłbyś sobie pomóc, podając nam nazwiska – kontynuowała niezrażona pani porucznik.

– Te zarzuty zostały oddalone – powtórzył z uporem. – Nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat.

– Może się zdarzyć, że jednak będziesz chciał to sobie ponownie przemyśleć. – Eve wstała. – Przekopujemy się w tej chwili przez tamten okres twojego życia i zapewniam cię, że znajdziemy odpowiedzi, których potrzebujemy, i to bez twojej pomocy. Dziękujemy za kawę. – Obie z Peabody ruszyły w stronę drzwi. – Aha! A jeśli następnym razem znów zechcesz udawać, że prowadzisz z kimś rozmowę, bądź ostrożniejszy. – Obejrzała się przez ramię. – I włącz przynajmniej jakiś komunikator.

Kiedy wsiadły do windy, żeby zjechać na dół, Peabody zwróciła się do Eve:

– Co do Cosnera, jednego jestem pewna.

– Czego jesteś pewna?
– Że jest kłamliwym worem gówna.
– Ach, no tak. Jest. A dla kogoś, kto jest kłamliwym worem gówna, większość życia, jeśli nie całe, wydaje się do bani.

– Racja. W ten sposób mamy już dwie rzeczy, które wiemy o nim na pewno – ucieszyła się Peabody. Eve przesunęła się, chcąc wpuścić do środka nowych chętnych do jazdy w dół.
– Wprawdzie mówienie kłamstw ma we krwi – rzekła – ale nie jest w tym zbyt biegły. Kłamie i w sprawach oczywistych, i w mało ważnych, więc nim faktycznie trafi mu się jakaś poważna sprawa, to na razie gładzenie półgłówek.

Kobieta w garsonce i ciemnych okularach o wyglądzie bizneswoman obróciła wzrok na Eve.
– Zupełnie jakby mówiła pani o moim byłym mężu. Niektórzy ludzie obmyślają kłamstwa, a pozostali to blagierzy. – Nie przerwała swej wypowiedzi, kiedy winda stanęła na kolejnym piętrze, żeby znowu wpuścić kilka osób. – Oni to robią bezwiednie, instynktownie. To u nich jak oddychanie.
– Coś o tym wiem – odezwał się cienki głosik jakiejś dziewczyny. – Spotykałam się przez jakiś czas z pewnym dupkiem, który kłamał nawet wtedy, gdy się go pytało, jak się nazywa. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

Jedna z kobiet, które weszły do kabiny podczas ostatniego postoju, prychnęła cicho i oświadczyła:
– Gorzej, że oni wierzą w te swoje kłamstwa. Są przekonani, że mówią prawdę, i wbijają ci te „prawdy” do głowy, aż w końcu zaczynasz się zastanawiać, czy na pewno jesteś przy zdrowych zmysłach, i które z was oszalało.

– Jakbym słyszała opowieści o moim byłym mężu – ponownie odezwała się pierwsza z kobiet. Winda stanęła na poziomie parteru i ludzie zaczęli z niej wysiadać.
– Lawiruje w ten sposób, unikając spraw mogących mu przynieść kłopoty – skomentowała Eve, co tamta kobieta skwitowała śmiechem.

Poszły z Peabody w stronę wyjścia z budynku.
– Ta wymiana zdań była całkiem interesująca – orzekła Peabody, kiedy ruszyły w stronę samochodu. – Kłamliwi kłamcy jednoczą obcych w windzie. Nowojorska miejscówka do obgadywania krętaczy. Każda kobieta zna przynajmniej jednego takiego kłamliwego szczura.

– To prawda – przyznała Eve. – Sprawdź na bank oba te jego alibi. Chcę się przekonać, czy to nie były nowe wymysły jego chorej wyobraźni. Z takiego notorycznego kłamcy nigdy nie będzie przyzwolonego prawnika. Dodaj jeszcze bezdenną głupotę. Pomyśl tylko! Facet zasiada za eleganckim biurkiem, wokół ma sztab ludzi z kancelarii prawnej, do tego sam nosi znane nazwisko rodziny prawników, a nie potrafi przerwać przesłuchania, ściągając adwokata w celu zakłócenia jego biegu i odwrócenia naszej uwagi.

– To już daje niezłą charakterystykę postaci: kłamliwy gówniarz, który nie potrafi wiarygodnie kłamać, a przy tym jest kompletnym przygłupem – podsumowała Peabody.
– Zgadza się – przytaknęła Eve. – Powinien od razu przystać na wizytę u nas w komendzie ze swoim reprezentantem prawnym. Miałyby czas, żeby się przygotować do przesłuchania – przerwała na chwilę, wsiadając do samochodu. – Miałyby ze sobą doświadczonego w bojach rzecznika swoich praw. Co za dureń, skończony arogant i kłamliwy wór gówna!

Peabody usadowiła się na fotelu pasażera.
– Mógłby być naszym mordercą? – spytała.
– Jest to w każdym razie do sprawdzenia. Wprowadź do nawigacji miejsce pracy Whitta. Skończmy z tym na dzisiaj. U Cosnera, jak widzę, uraza z dawnych lat kwitnie. – Eve wyczekała na większą lukę między samochodami i natychmiast włączyła się do ruchu. – Rufty wydaje się mu tyranem, bo wprowadził regulamin i kary za jego łamanie. A potem konsekwentnie się tego trzymał. Jakież dzieciaki na fundowanych przez szkołę stypendiach? Nie należały im się, więc trzeba je tępzić. Produkowanie substancji niedozwolonych i rozprowadzanie ich wśród młodzieży? Wybryki młodości. Zabicie odpowiedzialnych za jego nieszczęścia ludzi w jego chorym umyśle zapewne byłoby usankcjonowanym prawnie odpłaceniem pięknym za nadobne.

– Sądzisz, że te cechy czynią go mordercą? – zastanowiła się Peabody.
– Arogancja owszem, a również duże prawdopodobieństwo, że ma pewną wiedzę o chemikaliach i umie się z nimi obchodzić. Ma również kontakty w środowisku z kimś, kto wie o tym o wiele więcej. Wydaje mi się też, że nie został całkowicie wyleczony z uzależnienia od narkotyków.

– Myślisz, że wciąż ćpa?
– A dlaczego miałby porzucić ten nałóg? Przecież uważa, że wszystko mu wolno, czyż nie? Pierdolić prawo! Prawo jest dla oferm i biedaków. Sprawdź wszystkich, których nazwiska wymienił, kiedy podawał nam swoje alibi. Mogę iść o zakład, stawiając swoje miesięczne honorarium, że

większość ich miała stawiane zarzuty za posiadanie substancji nielegalnych lub jakieś doświadczenia z odwykiem.

– Nie ma co się zakładać, jednakże...

– Mów dalej.

– Nie sądzę, by był na tyle przebiegły... Tak! Przebiegły to właściwe słowo... – doszła do wniosku Peabody – ...więc nie sądzę, żeby był na tyle przebiegły, by to wszystko samodzielnie zaplanować. Zdobyć danych konta bankowego w celu uiszczenia zapłaty za dostarczenie paczki pocztą kurierską, samo jej wysłanie, a potem doręczenie o odpowiednim czasie, przeprowadzenie obserwacji osób, będących celami ataków. Albo cierpliwość. Zabójca latami czekał na odpowiedni moment, żeby im odpłacić. Im więcej myślę o Cosnerze, tym bardziej mi to do niego nie pasuje. Raczej jest typem, który widząc Rufty'ego przechodzącego przez ulicę na pasach, skosiłby go z nóg razem z przypadkowymi przechodniakami swoją lśniąca bryką.

– Zrozumiałam to od razu, ale jest jeszcze coś – powiedziała wolno Eve. – Owszem, Cosner nie jest wystarczająco przebiegły, żeby to wszystko w ten sposób zaplanować. Nie ma również tej ohydnej cechy charakteru, która sprawia, że niszczy się to, co wróg kocha, a nie samego wroga. Słusznie mówisz: skoszenie wroga lśniąca bryką to jego styl. A potem stworzy historyjkę: auto nagle przestało reagować, a on wszedł mi wprost przed maskę, albo: nagle zobaczyłem wysokiego, ciemnoskórego mężczyznę, który wpełznął go wprost pod moje koła, tak że nie zdołałem się zatrzymać.

– I dlatego uważasz, że nie on jest mordercą?

– Jeszcze nie mogę tego stwierdzić z całkowitą pewnością, jeśli jednak jest on częścią tego całego cyrku, kto inny kieruje przedstawieniem. On tylko wykonuje polecenia – doszła do wniosku Eve. – Cosner nie potrafiłby się samodzielnie wydstać z pomieszczenia, które zamiast ścian miałoby same drzwi.

Polowanie na miejsce parkingowe przy ulicy skończyło się fiaskiem, toteż Eve zdecydowała się stanąć na drogim jak cholera parkingu podziemnym – co jej przypomniało, że w dalszym ciągu nie dotarła do bankomatu po gotówkę. Znajdowały się w dzielnicy finansowej, więc przy wjeździe na drogi jak cholera parking nie mogło zabraknąć bankomatu.

Czym prędzej załatwiła sprawę, wpełnęła gotówkę do kieszeni i nagle uchwyciła spojrzenie obserwującego ją typa spod ciemnej gwiazdy. Kiedy postąpił krok w jej stronę, najpierw zaprezentowała mu uśmiech od ucha do ucha, a dopiero potem – rozsunąwszy poły płaszczka i żakietu – swoją broń.

– I co? Grasz dalej? – rzuciła do mężczyzny.

Odrzucił się na pięcie i zwał.

– Niektórzy kieszonkowcy lubią się kręcić przy bankomatach – skomentowała zdarzenie Peabody, gdy ruszyły dalej. – Widzi dwie bezradne kobietki w długich płaszczkach i myśli sobie: łatwy cel.

– Taa... Gdyby mi się tak nie spieszyło, pozwoliłabym mu spróbować mnie okraść. Potem mógłby sobie rozmyślać w więziennej celi o błędnie obranych drogach. Ech, może następnym razem.

Wspięły się po schodach do następnej wieży ze szkła i stali, tym razem bładoniebieskiej w promieniach południowego słońca. Hol wejściowy okazał się niezwykle przestronny. Mieściły się tu knajpki, butiki, modne sklepy oraz duży ekran wyświetlający najnowsze wieści finansowe w kilku językach.

Przeszły na ukos przez hol po wyłożonej ciemnoniebieskimi płytkami podłodze do stanowiska ochrony.

– Poszukuję Stephena Whitta z firmy Whitt Group. – Eve zaprezentowała swoją odznakę. – Porucznik Dallas, detektyw Peabody, nowojorska policja NYPSP.

– Co słyhać, pani porucznik? – rozpromienił się strażnik. – Pracowałem w komendzie głównej policji, kiedy pani tam zaczynała jako totalny żółtodziób.

Oceńla go na mniej więcej osiemdziesiąt lat. Wyglądał mimo to na mężczyznę wysportowanego. Miał siwe, krótko przyszyzione włosy i twarz o ciemnej skórze tak pomarszczonej, że przypominała pofałdowaną mapę. W spokojnym, opanowanym spojrzeniu piwnych oczu można było rozpoznać byłego policjanta.

– Detektywie Swanson, miło pana widzieć po latach!

Jego zmarszczki pogłębiły się jeszcze bardziej, kiedy wyszczerzył się w uśmiechu.

– Masz doskonałą pamięć, jeśli zdołałaś wyciągnąć moje nazwisko z mroków niepamięci – powiedział.

– Departament policji stracił dobrego glinę, kiedy detektyw Swanson przeszedł na emeryturę – wyjaśniła Eve Peabody. – Było to mniej więcej dziesięć lat temu, czy się nie mylę?

– Dziewięć. Miałem już dość chodzenia na ryby, a moja żona dość mnie snującego się bez sensu po domu, więc zszedłem jej z oczu, zatrudniając się tutaj. Musicie wjechać na pięćdziesiąte drugie piętro.

– Nie brakuje panu pracy w policji, detektywie? – spytała go Peabody.

– Każdego dnia – odrzekł. – W sprawie śledztwa, pani porucznik? – zwrócił się z pytaniem do Eve.
– Może i tak. – Pochyliła się ku niemu. – Znasz może Stephen Whitta?
– Nadęty snob. Przemądrzalec jakich mało. Cały rodzinie przychodzi to zresztą dość naturalnie, z tego, co zauważyłem. Tkwię tu za biurkiem od sześciu lat, a jego ojciec nie odezwał się do mnie ani słowem. Jeżeli śledzicie jego syna z jakiegoś powodu, mogę zwrócić na niego pilniejszą uwagę.
– Nie zaszukdzi, detektywie Swanson. Będę wdzięczna – powiedziała Eve.
– Żaden problem. Zaprogramuję windę tak, żeby zatrzymała się dopiero na pięćdziesiątym drugim. Przekaż Feeneyowi pozdrowienia ode mnie. Będziesz pamiętać?

– Oczywiście.
– Wsiądźcie do drugiej. Do dwudziestego polecicie w ekspresowym tempie.
– To, że go pamiętałaś, jest znaczące – zauważyła Peabody, gdy szły w stronę wind.
– Pamiętam go jako dobrego policjanta, który siedział za biurkiem, robiąc wciąż te... jakże to one się nazywają... no to, na co się łapie ryby.

– Przynęty? Albo woblery.
– No właśnie. Mówi, że pomagają mu myśleć. Z jego wsparciem rozwiązaliśmy wiele spraw. – Weszły do kabiny. – Jeśli robi się gorąco, nie zaszkodzi mieć go tam za biurkiem.

W przeciwieństwie do pełnego dostojęstwa spokoju, panującego w kancelarii adwokackiej, w firmie zajmującej się doradztwem finansowym już od wejścia czuło się napięcie.

Cały hol wejściowy wyłożony był jasną, złotawą wykładziną. Lada recepcji – półkolista, również w kolorze złota, lecz ciemniejsza niż wykładzina, w dodatku z połyskiem – rozpościerała się szeroko, dając miejsce sześciu osobom, które pracowały zawzięcie przy swoich pulpitych.

Po obu jej stronach zorganizowano aneksy dla oczekujących klientów. Tu dominował kolor czekoladowobrazowy, przelamany złotymi zdobieniami. Każde siedzisko było wyposażone w komputer oraz zestaw do przeprowadzania rozmów wideofonicznych. Jedna ściana była cała ze szkła. Roztaczał się przez nią widok na miasto. Po obu jej stronach w ogromnych połączonych donicach rosły dwa strzeliste drzewka ozdobne. Za ladą recepcji widniało na ścianie logo firmy: byka (znowu złoto!) trzymającego kopyto na gardle brązowego niedźwiedzia.

Nie – pomyślała Eve – tu nie ma żadnych oznak wyciszenia.

Pomijając różne kolory skóry oraz pleć osób pracujących w recepcji, wszyscy oni wywarli na Eve podobne wrażenie. Byli pomiędzy dwudziestką a trzydziestką, o atrakcyjnej powierzchowności i przynikliwych spojrzeniach. Ogólnie: zarabiste towarzystwo.

Może Roarke miał rację co do jej nowego płaszcza i w ogóle całego ubrania: wszyscy się na nią obejrzel, a następnie obdarzyli wytrenowanym uśmiechem. Nieomal widziała znaczki dolarów, tańczące w ich oczach.

Podeszła do środkowej części recepcji, do młodego Azjaty.

– Do Stephen Whitta.

– Dzień dobry! Czy jest pani umówiona, pani...?

– Porucznik – dokończyła. Kiedy pokazała mu swoją odznakę, jego uśmiech zgasł. – Dallas. A to detektyw Peabody. Nowojorska policja NYPSD. Musimy porozmawiać z panem Whitem w pewnej pilnej sprawie.

– Muszę się wpięrow skontaktować z jego asystentem i sprawdzić, czy jest wolny. Gdybyście panie zechciały spocząć...

– Tu jest nam dobrze. Kiedy już pan będzie sprawdzał... – podniosła głos, żeby było ją słychać w całej poczekalni – ...niech pan nie zapomni poinformować asystenta, że prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch morderstw i przygotowane jesteśmy na długie oczekiwanie, dopóki pan Whitt będzie w końcu dostępny.

– Tak, oczywiście, proszę pani.

– Pani porucznik – poprawiła go, postukała palcem w odznakę i dopiero wtedy ją schowała.

Recepcjonista nie skorzystał z telefonu, lecz obrócił się nieco do swojego komputera i napisał wiadomość.

Napisał do asystenta – pomyślała Eve i dała mu punkt za pomysł, żeby nie podsłuchiwała ich rozmowy. Po kilku minutach wymieniania korespondencji recepcjonista odchrząknął.

– Pan Lauder, asystent pana Whitta, już tu idzie.

– Doskonale.

Długo nie czekały. Eve doszła do wniosku, że nie chcieli, aby dwie śledcze z Wydziału Zabójstw psuły swą obecnością wewnątrz ich pięknego połączanego holu.

Mężczyzna, który pojawił się w podwójnych drzwiach z mrożonego szkła po prawej stronie od nich, był przynajmniej dwadzieścia lat starszy od recepcjonisty. Jego drobną postać opinał dobrze skrojony

garnitur. Jasnobrązowe włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając regularne, choć surowe oblicze. Nie zwracał sobie głowy wytrenowanymi uśmiechami.

– Zapraszam za mną – rzekł rzeczowo.

Za drzwiami z mrożonego szkła nie było sali z wydzielonymi stanowiskami dla pracowników. Szli korytarzem wyłożonym tą samą złotawą wykładziną dywanową. Na ścianach wisiały obrazy w złoczystych ramach. Za zamkniętymi czekoladowobrązowymi drzwiami mieściły się gabinety pracowników.

Lauder skierował się do jedynych otwartych.

Pracowały tu dwie kobiety, siedząc po przeciwnych stronach pokoju za szklanymi panelami. W swego rodzaju kubikach – pomyślała Eve. Biurko Laudera znajdowało się pośrodku.

Zamknął drzwi, podszedł do biurka, usiadł. Wskazał Eve i Peabody raczej wyniosłym gestem, żeby zajęły miejsce na fotelach.

Nie skorzystały.

– Nazywam się Ernest Lauder i jestem asystentem pana Whitta. Potrzebuję więcej informacji dotyczących celu waszej wizyty.

– Jak już poinformowałyśmy recepcjonistę, który bez wątplenia to panu przekazał, prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch morderstw.

– No i?

Eve obrzuciła go równie wyniosłym spojrzeniem i zapytała:

– Dwie zamordowane osoby to dla pana za mało?

– Nie, ale w dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego chcecie w tej sprawie rozmawiać z panem Whitem.

– Nie podamy panu ani tej informacji, ani innych szczegółów dotyczących śledztwa.

Rozłożył na to ręce i powiedział z udawanym smutkiem:

– W takiej sytuacji obawiam się, że pan Whitt nie będzie mógł poświęcić wam swojego cennego czasu.

– Ach tak? Pani detektyw, proszę się natychmiast skontaktować z panią prokurator Reo i zażądać nakazu doprowadzenia pana Stephena Whitta do komendy głównej w celu przesłuchania go na okoliczność dwóch morderstw.

– To jakiś absurd! – zdenerwował się Lauder.

– Panie... jak tam panu? A, Lauder. Dwoje ludzi nie żyje. Porozmawiamy z pańskim szefem albo tutaj, albo u nas. To zależy wyłącznie od niego. Im bardziej się pan stawia, tym mniej przyjemna będzie ta rozmowa.

– Proszę tu poczekać. – Wstał, podszedł do wewnętrznych drzwi i wśliznął się do środka.

– Iść za ciosem i dzwonić do Reo? – spytała Peabody.

– Nie, to nie będzie potrzebne. Whitt chciał tylko poprzężyć przed nami muskuły.

– Niekiedy asystenci...

– Na pewno nie ten. Ten trzyma się ściśle poleceń.

Po niedługiej chwili Lauder wrócił.

– Pan Whitt przyjmie was teraz – oświadczył. – Na szybko – dodał.

Tak jak i Cosner, Whitt siedział za biurkiem – półkolistym, w kolorze ciemnego złota, stanowiącym zmniejszoną wersję ludy recepcji. Nie udawał, że gdzieś dzwoni, a jego miejsce pracy wyglądało tak, jakby faktycznie czymś się właśnie zajmował.

Gęste włosy, równie złote jak jego biurko, zaczesał do tyłu. Wyglądał jak wystylizowany gwiazdor filmowy: idealny profil twarzy, piwne oczy, perfekcyjny dwudniowy zarost.

Wstał na widok wchodzących pań. Choć nie miał nawet metra osiemdziesięciu, wyglądał na wyższego, trzymał się bowiem prosto jak struna, z wysoko uniesioną brodą.

Czy to dla lepszego efektu, czy dla wygody, zdjął marynarkę od ciemnogrnatowego garnituru i przeżył się teraz przed nimi tylko w koszuli z długimi rękawami, za to pod krawatem.

– Przepraszam, że musiałyście tyle czasu czekać – zaczął. – Ernest bardzo mnie pilnuje.

Nie wyciągnął do nich ręki ani też nie wyszedł zza biurka, wskazał tylko dłonią w stronę dwóch foteli – też czekoladowobrązowych – zanim znów zajął miejsce.

W przeciwieństwie do swojego kolegi z klasy, Whitt mógł się pochwalić dyplomami zdobycymi jedną ze ścian gabinetu. Na drugiej wisiał duży płaski telewizor, wyświetlający wiadomości finansowe ze świata – w tej chwili wyciszony.

– Czy podać coś do picia?

– Nie, dziękujemy.

– Dziękuję ci, Ernest. To na razie wszystko.

– Tak, proszę pana. – Lauder wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

– Siedzę tutaj, nie wiedząc, o co chodzi – zaczął Whitt. – Podobno chcecie ze mną porozmawiać o kimś, kto został zamordowany?

– Kent Abner. Elise Duran – wymieniła Eve.

– Dalej jestem ciemny jak tabaka w rogu.

– Kent Abner był mężem doktora Martina Rufty’ego, a Elise Duran żoną profesora Jaya Durana. Może to trochę rozjaśni sytuację.

– Nie za bardzo.

– UCzęszczał pan do szkoły imienia Theresy A. Gold tutaj, w Nowym Jorku. Czy to się zgadza?

– Ach, to było wieki temu! Owszem, chodziłem, ale nie rozumiem, co... – Usiadł wygodnie, zmrużył oczy. – Ach! Rufty! Tak, oczywiście, że pamiętam! Przyszedł na stanowisko dyrektora chwilę przed tym, jak ja przeniosłem się do innej szkoły. Skończyłem klasę maturalną w szkole imienia Lestera Hensena w Waszyngtonie Wschodnim, więc drogi naszego życia zaledwie się skrzyżowały.

– Z uzyskanych przez nas informacji wynika, że właśnie przez owo „skrzyżowanie waszych dróg życia” nie skończył pan klasy maturalnej w Złotej Akademii.

– To prawda. Moim rodzicom nie spodobał się sposób kierowania szkołą przez Rufty’ego, a również zgłaszane co do mojej osoby poważne obiekcje. Przenieśli mnie do Hensena, gdzie stanowisko dyrektorki objęła pani Grange.

– Zgłaszano wobec ciebie jakieś obiekcje? – Eve zaczęła mu mówić na ty.

– Nie tylko sprzeciwiano się mojej dalszej obecności w szkole, ale również byłem obrażany, zachowywano się wobec mnie agresywnie. – Uśmiechnął się, kiedy to powiedział. – Miałem siedemnaście lat i doszedłem do wniosku, że moje życie się skończyło. Miałem tu przyjaciół, miałem dziewczynę, którą kochałem. W hierarchii grupy uczniowskiej w Złotej Akademii stałem bardzo wysoko, a teraz rodzice wysyłali mnie do innej szkoły, do innego miasta, gdzie w dodatku miałem mieszkać w internacie. Samo życie. – Machnął ręką. – To był dla mnie koniec.

– Musiałeś obwiniać za to doktora Rufty’ego.

– Absolutnie! Sukinsyn wlaź do szkoły z buciorami, przejął mój teren, zaczął się rządzić jak nie wiem co i tak zawrócił moim rodzicom w głowie, że musiałem za to zapłacić. Oczywiście, jak to zwykle bywa, przeniesienie okazało się dla mnie najlepszym wyjściem.

– To znaczy?

– Bez przyjaciół, dziewczyny i wszystkiego tego, co znałem, skupiłem się na nauce i zdałem maturę. W każdym razie moje życie się nie skończyło. Nie rozumiem, jak kryzys mojej tożsamości, tak jak ja go widziałem w wieku lat siedemnastu, może mieć cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami.

– Czy winisz również Jaya Durana za to, że cię przenieśli? – Tym razem pytanie zadała Peabody.

– Nie przypominam sobie nikogo o takim nazwisku.

– Uczyl cię przez kilka lat, kiedy uczęszczałeś do Złotej Akademii – odpowiedziała mu Peabody. – Język angielski, w tym gramatyka, kreatywne pisanie wypracowań, literatura.

– Przepraszam, ale nadal nie pamiętam. – Whitt, jakby na dowód tego niepamiętania, obojętnie wzruszył ramionami. – Nie pamiętam wielu nauczycieli z przeszłości.

– Ten akurat nauczyciel wielokrotnie pisywał na ciebie skargi. Na ciebie i twoich przyjaciół – dodała Eve. – Z danych archiwalnych wynika, że zgłaszał cię jako uczestnika grupki ściągającej na klasówkach, nękającego innych uczniów, stosującego przemoc fizyczną, jako niepełnoletniego pijącego alkohol. Sporo tego. Ten sam Duran zgłaszał oficjalne skargi na ciebie, ale również na dyrektorkę Grange oraz kilku innych. – Kiedy mówiła, Whitt wpatrywał się w nią pustym wzrokiem. – Można by pomyśleć, że jeśli którekolwiek z tych oskarżeń było prawdziwe, Grange z pewnością wyciągnęłaby jakieś konsekwencje dyscyplinarne.

– My niczego nie zakładamy, panie Whitt – wtrąciła Peabody – gdyż z danych archiwalnych wynika wprost, że dyrektorka pomijała milczeniem wszelkie oskarżenia i skargi w zamian za szczerze darowizny gotówkowe dla Akademii.

– Przecież mnie to nie dotyczy, nieprawdaż? Czy jednak będę sobie teraz spokojnie tutaj siedział, twierdząc, że nigdy nie zachowywałem się źle jako nastolatek? Oczywiście, że nie. Każdy, kto tak twierdzi, albo jest kłamcą, albo miał bardzo nudne dzieciństwo. W gruncie rzeczy każdy z grupy, z którą się prowadziłem w Złotej Akademii, mógł pójść złą drogą. – Tu również wzruszył ramionami. – Nikomu nie szkodził i robiliśmy to, co większość z nas robi w tym wieku. Naginaliśmy granice, rozciągaliśmy je, eksperymentowaliśmy.

– A narkotyki i inne substancje niedozwolone?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Tu muszę jednak się powołać na piątą poprawkę do Konstytucji: nikt nie może zeznawać na własną niekorzyść. Słuchajcie: urządzaliśmy imprezy. Wielu z naszych rodziców podróżowało, a my wtedy

organizowaliśmy spotkania towarzyskie. Nie przeczę, że zawsze znaleźliśmy jakiś sposób, żeby się dorwać do alkoholu. Mam nadzieję, że kiedy, jeśli w ogóle, będę miał własne dzieci, będę je lepiej pilnował, ale to naprawdę jest tylko kwestia rytuału przejścia do dorosłości. Zabawnie było odbyć tę krótką podróż do lat młodzińskich, ale teraz muszę już wracać do pracy.

– Przeskoczmy więc szybko do teraźniejszości. Czy możesz nam powiedzieć, gdzie byłeś wieczorami w dniach dwudziestego siódmego i dwudziestego kwietnia od godziny dwudziestej pierwszej trzydzieści do dwudziestej trzeciej? – spytała Eve.

– Mówi pani serio?

– Tak, panie Whitt. – Wróciła do formy oficjalnej. – Traktujemy bardzo poważnie śledztwa w sprawie morderstw.

– Zatem zostałem osobą podejrzaną z powodu jakiegoś nauczyciela i dyrektora mojej szkoły średniej? Ależ jesteście docieklive. – Mówiąc to, kręcił głową, jakby manifestował niedowierzenie, a jednocześnie przeszukiwał swój kalendarz spotkań. – Dwudziestego siódmego kwietnia zaprosiłem klientkę wraz z mężem na kolację do restauracji Le Jardin. Mieliśmy stolik zarezerwowany na dwudziestą. Wysłaliśmy stamtąd około północy. Odwoziłem ich naszą limuzyną do hotelu. Przyjechali do Nowego Jorku z Belgii. Potem poprosiłem szofera, żeby mnie odwiózł do domu. Ponownie nie mogę wam podać dokładnej godziny, sądzę, że znalazłem się w domu pół godziny po północy i nigdzie więcej już nie wychodziłem.

– Potrzebne nam nazwisko tych klientów w celu weryfikacji.

– Nie! – Zacisnął szczęki, a w oczach błysnął sprzeciw. – Nie życzę sobie, żebyście kontaktowali się z moimi kluczowymi klientami i ich przesłuchiwali. Jeśli chcecie cokolwiek sprawdzać, przepytajcie pracowników restauracji. Szef sali mnie zna, bo często tam zabieram klientów. Obsługa na pewno mnie pamięta.

– A więc zaczniemy tam – zgodziła się Eve. – A drugi wieczór?

– Poszedłem do klubu na spotkanie z przyjacielem. Znów nie mogę wam podać dokładnej godziny, ale raczej pojawiłem się tam między dwudziestą pierwszą a dwudziestą pierwszą trzydzieści. Marsh już tam był.

– Marshall Cosner zapewne?

– Dokładnie. Niewątpliwie chodziliśmy razem do szkoły średniej, oprócz ostatniego półrocza. Nasze rodziny się przyjaźnią, a Marsh i ja jesteśmy przyjaciółmi. Spotykamy się zawsze, ilekroć pozwala nam na to nasza praca.

– Ciekawe... – mruknęła Peabody i otworzyła swój podręczny komputer, chcąc sprawdzić dane. –

Wydaje mi się, że pan Cosner nie wspomniał pańskiego nazwiska, kiedy podawał nam dane osób, z którymi spędził tamten wieczór w klubie.

– Może chciał mnie w ten sposób trzymać z dala od tej nonsensownej sprawy? – Machnął ręką z lekceważeniem. – Nie ma takiej potrzeby. Wypiliśmy po kilka drinków, trochę się pośmialiśmy. Przykleiło się do nas parę dziewczyn, ale z żadną nie spędziliśmy reszty wieczoru. Wyszedłem z klubu około północy, jak sądzę. Złapałem taksówkę i pojechałem do domu.

– Sam? – spytała Eve.

– Niestety tak – odrzekł.

– Czy pozostajecie w kontakcie z Kendel Hayward?

– Ach! Wciąż mnie boli serce na jej wspomnienie! – wykrzyknął, łapiąc się za pierś i udając grymas bólu. – Nie. Nie kontaktujemy się. Szaleliśmy za sobą w wieku lat szesnastu, siedemnastu. Potem nagle... Wydaje mi się, że właśnie w tym okresie, o którym rozmawiamy... nagle zostaliśmy rozdzieleni. Jej rodzice zareagowali bardzo ostro: zabrali jej telefon, odcięli od internetu i komunikatorów. Wypadki potoczyły się tak szybko, że nie zdążyłem się z nią skontaktować. Cierpiałem jakieś dwa, może trzy tygodnie. – Ponownie się uśmiechnął. – Tak głęboka jest miłość siedemnastolatków.

– A jednak raz próbowałeś się z nią kontaktować. – Eve odnotowała w myślach lekkie napięcie się szczęki Whitta. – Nie chciała wtedy z tobą rozmawiać. Dobrze tego nie odebrałaś.

– Ach, ci siedemnastolatkowie! – westchnął. – No dobra, złamała mi serce, ale były przecież inne dziewczyny, dzięki którym ból minął. Były też studia i nowe kobiety. Kendel niknęła, aż stała się tylko odległym, słodkim wspomnieniem. Chyba już nie mieszka w Nowym Jorku, prawda? Gdzieś czytałem, że się zaręczyła, zdaje się, że z jakimś politykiem z Waszyngtonu Wschodniego. Przyznam, że lekko mnie to ukłuło. Pierwsza miłość to mocne, niezapomniane uczucie.

– Ale nie na tyle mocne, żebyś chciał się z nią skontaktować albo przynajmniej próbować to zrobić po zdaniu matury.

– Trzeba się pozbierać i ruszyć dalej. Właśnie to muszę zrobić teraz. Nic więcej wam nie pomogę. Jestem pewien, że to wielka tragedia dla pana Ruffy'ego i dla pana Durbina.

– Durana – poprawiła Eve.

– Ach, no tak. To wszystko nie ma ze mną nic a nic wspólnego i nie mogę poświęcić wam ani chwili więcej. Jeśli będziecie mieć do mnie jeszcze jakieś pytania, skontaktujcie się z moim prawnikiem. To Lowell Cosner, ojciec Marsha. – Wstał. – A teraz życzę paniom powodzenia.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas.

Kiedy wychodziły, Eve usłyszała ciche parsknięcie śmiechem. Może się jej tylko zdawało?

Peabody już chciała zacząć opisywać swoje wrażenia, gdy zamknęły się za nimi drzwi windy, ale Eve pokręciła bez słowa głową. Zjechały więc na dół w milczeniu, otoczone przez pracowników firm w garniturach oraz ich dobrze ubranych, bogatych klientów.

– Teraz możemy mówić – rzekła Eve, kiedy wyszły z budynku. – Whitt to typ, który mógł wysłać za nami swojego pracownika, żeby mu potem powtórzył, o czym rozmawialiśmy w windzie.

– O tym nie pomyślałam, a to prawda. Na takiego wygląda. Chciałam tylko powiedzieć, że mamy teraz dwa kłamliwe wory gówna.

– W pełni się z tobą zgadzam, Peabody.

– Jeśli jednak ich alibi będzie wiarygodne...

– Mam pewien pomysł. Sprawdź adresy klubu, restauracji i miejsca, w którym odbywała się wieczorna impreza z kolacją – zarządziła Eve, kiedy wróciły na parking. – Potem je porównaj z miejscami wysyłki obu paczek kurierskich. Zobaczmy, co tam się urodzi.

– Robi się! – Peabody uruchomiła swój podręczny komputer.

– Mogę się założyć, że Cosner zadzwonił do Whitta, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi jego gabinetu. Wiedział, że się do niego wybieramy, zlecił więc swojemu asystentowi, żeby nas trzymał jak najdłużej w poczekalni. Znał nazwiska, które przytoczyliśmy, lecz musiał się zachowywać jak ktoś, kto myśli na bieżąco, typu: eee... kto by to pamiętał. Głupie to, doprawdy, ale w takiej sytuacji z ludzi zawsze wyłazi głupota, choćby nie wiem jak sprytni byli. Albo wyobrażali sobie, że są sprytni.

– Widzę tu jeszcze większy bezmiar głupoty. Adres imprezy z kolacją jest ze dwadzieścia kwartałów od pierwszej wrzutni nocnej, ale restauracja, do której Whitt zabrał swoich klientów, niecałe dwa kwartały. A klub, w którym złapali się Cosner z Whitem? Trzy kwartały – sprawdziła Peabody.

– Każdy z nich wysłał jedną paczkę. Kryją się nawzajem. Nie sądzili, że tak szybko do tego dojdziemy, ale obaj uważają, że są kryci. To znaczy Whitt tak myśli. Cosner wszystko po nim papuguje. – Eve włączyła silnik. – Pojedźmy najpierw do tej restauracji. Mamy czas. Chcę zaprosić do nas na przesłuchanie Rodrigesa. Skłonię go do złożenia zeznań. Wpadniemy do restauracji, sprawdzimy klub, skontrolujemy, czy w tych dwóch kłamliwych worach nie świeci się więcej dziur.

– Jestem za.

Eve uiściła opłatę przy bramce parkingu i wyjechała na ulicę.

– Whitt nawet nas nie zapytał, dlaczego akurat jego przepytujemy w związku z zamordowanymi osobami. Trzyma się swoich racji jak psy dziada w ciasnej ulicy. Tutaj tkwi przyczyna – orzekła Eve. – Cały czas utrzymywał, że to Rufty i Duran są winni temu, że rodzice zabrali go ze szkoły. – Zastanowiła się chwilę. – Jest jeszcze coś. Mówił, że pierwsza miłość to mocne, niezapomniane uczucie, pamiętasz? Nie mówił o miłości jako takiej. Według mnie jest socjopatą i nie potrafi żywić szczerych uczuć. Stracił jednakże dziewczynę, swoje stanowisko w hierarchii grupy szkolnej, a nawet więcej. Bo jest coś jeszcze. Dziewczyna się zaręczyła. Trąbi się o tym we wszystkich mediach, w jego kręgach towarzyskich również. Możesz mi wierzyć. To go doprowadza do szału. A Grange? Ona się jakoś w to wszystko wpisuje. Jakoś. Rodzice Whitta są rozwiedzeni, tak? Sprawdź, kiedy to zrobili.

– Sekunda. Hmm... – Peabody odęła usta, wpatrując się w ekran swojego minikomputera. – Sfinalizowali go tego samego lata, kiedy Whitt zdawał maturę w szkole imienia Lestera Hensena.

– Pozew o rozwód złożyła żona, prawda? – spytała Eve.

– Mhm. Zaraz na początku roku.

– O ile się założysz, że na tym nieostrym zdjęciu jest ojciec Whitta?

Peabody myślała tylko chwilę.

– Raczej nie będę wyrzucać pieniędzy w błoto.

Hostessie w snobistycznej, przeznaczonej dla zamożnej klienteli francuskiej restauracji najwyraźniej spodobał się płaszcz Eve, gdyż powitała obie śledcze z ciepłym, serdecznym uśmiechem.

– Dzień dobry! Na jakie nazwisko mają panie rezerwację? – spytała.

– Nie mamy rezerwacji, ale ta oto odznaka należy do porucznik Eve Dallas.

Ciepłe powitanie z miejsca zamieniło się w niepokój.

– Och! Bardzo proszę o zachowanie dyskrecji. Czy mamy problem?

– To zależy. Chciałabym poprosić o sprawdzenie, czy w dniu dwudziestego siódmego kwietnia mieliście państwo rezerwację na nazwisko Stephen Whitt – powiedziała Eve. – Kolacja. Na godzinę dwudziestą – dodała.

– Pan Whitt? Oczywiście. Stolik na trzy osoby. Pan Whitt często jada u nas kolacje i lunchy.

– Byłaś wtedy w pracy?

– Tak.

– Mogłabyś na moment opuścić swoje stanowisko?

– Och, ale... Henry! Zastąp mnie na jedną chwilę. Czy możemy wyjść na zewnątrz? – skierowała szepem, dyskretnie, pytanie do Eve.

– Oczywiście.

Kiedy znalazły się nieco dalej, odetchnęła głęboko.

– Przepraszam, ale nie chcemy przeszkadzać naszym gościom ani ich niepotrzebnie denerwować.

– W porządku. O której godzinie przybył pan Whitt?

– Przeszedł razem ze swoimi gośćmi minutę albo dwie przed dwudziestą. Zawsze jest punktualny. Jordan, szef sali na wieczornej zmianie, osobiście odprowadził ich do stolika.

– Okej. – Eve zaufała swej intuicji i spytała: – O której pan Whitt wstał od stolika, być może, aby skorzystać z telefonu?

– Och! Sądzę, że mogła to być... Nie jestem pewna... Gdzieś tak około dwudziestej drugiej. Zawsze zachowuje się bardzo taktownie i wychodzi na zewnątrz, jeśli musi zadzwonić lub odebrać pilny telefon. Staramy się odwozić klientów od używania telefonów podczas spożywania posiłków.

– Dobry zwyczaj. Ile czasu spędził na zewnątrz?

– Kilka minut. Pięć, może sześć. Nie więcej niż dziesięć. Nie, na pewno mniej niż dziesięć. Nie zostawiłby swoich gości samych dłużej niż na kilka minut.

– Widziałaś go, kiedy wychodził, a potem wracał?

– Tak. Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Wiem, co robię. Potrzebuję jeszcze informacji, jak się nazywasz.

– Grace Levin.

– Czy pan Whitt zrobił rezerwację na jakiś bliski termin?

– Nie sądzę. Zwykle rezerwuje stolik na następny dzień.

– Jeśli to zrobi, jeśli tu znowu przyjdzie, proszę nie wspominać mu o tej rozmowie. To bardzo ważne.

– Ale...

Eve wyjęła ponownie swoją odznakę i wskazując na nią, spytała:

– Rozumiesz, co to znaczy „ważne”? I co to dyskrecja?

– Tak.

– To dobrze. Pamiętaj, którzy kelnerzy obsługiwali ich stolik tamtego wieczoru?

– Tak.

Kiedy podała nazwiska, Eve odesłała ją z powrotem do restauracji.

– Whitt sądzi, że jest kryty – stwierdziła Eve, kołyszając się na obcasach w tył i w przód. – Przede wszystkim raczej się nie spodziewał, że ktoś go połączy z tą sprawą, ale na wszelki wypadek zapewnił sobie alibi. Ma limuzynę, klientów, restaurację, gdzie go znają i szanują. Udał, że musi wykonać telefon. Myślę, że czekała na niego limuzyna. To tylko kwestia zgrania w czasie. Wziął więc przygotowaną paczkę z limuzyny, ponieważ najprawdopodobniej szybciej było pójść pieszo. Poza tym nie chciał, by go ktokolwiek widział podczas wysyłania paczki, kiedy używał urządzenia zakłócającego pracę kamer

monitoringu. Zajęło mu to tylko kilka minut. Wrócił, przeprosił za krótką nieobecność. Może zaproponował brandy albo coś w tym rodzaju.

– Zgrabnie to sobie obmyślił – przyznała Peabody, kiedy ruszyły w stronę samochodu. – A luki z nieświadomymi? Kelnerzy, hostessa, szef sali, kierowca. Klienci. I proszę, możemy dostać nazwiska wszystkich, jeśli tylko o nie poprosimy. Ktoś na pewno zauważył, że wyszedł i zniknął na kilka minut. Boy zajmujący się parkowaniem samochodów gości podejrzających do restauracji mógł zapamiętać, że Whitt zadzwonił po limuzynę i coś wyjął z jej wnętrza. Przyzwyczajony jest do robienia tego, na co mu przyjdzie ochota. – Zamyśliła się na chwilę. – A popatrz tylko, jak interpretuje wyrzucenie go ze szkoły. Absolutnie nie z powodu swojego zachowania, ale dlatego, że Rufy zmienił zasady. Jego rodzice z kolei nie mieli zamiaru przyjąć do wiadomości, że jakiś tam dyrektorek uważa ich ukochanego syneczka za złe nasienie.

– Sądzę, że może się zacząć pocić nieco ze strachu, mimo posiadanego alibi. Będzie zapewniał albo przynajmniej podejmie próbę zapewnienia Cosnera, że obaj mają doskonałe alibi. Sprawdźmy teraz klub – zdecydowała Eve.

W klubie nie udało się im dowiedzieć niczego nowego. Zobaczyły tylko, jak ów klub wygląda.

Po krótkiej rozmowie z dwiema sprzątaczkami, które myły akurat podłogę mopami, wróciły do samochodu.

– Przy drzwiach wejściowych nie ma kamer – zaczęła się zastanawiać na głos Eve. – Przy wejściu nie ma ochroniarza. Klub ma jeden poziom, jeden bar. Wnętrze dość ponure. Nie jest to speluna, lecz bliżej mu do niej niż do modnego miejsca, w którym powinni się spotykać dwaj bogaci młodzi mężczyźni.

– Jednakże lokalizacja oraz brak ochrony stanowią plus, jeśli jest się parą bogatych tytków planujących morderstwo. To tylko poszlaki – dodała Peabody – ale wszystko tworzy zgrabną budowlę.

– Cholera! Połóżmy lepiej na niej dach, zanim wyślą następną paczkę.

– Sądzisz, że to zrobią? – Peabody odwróciła się w stronę Eve, lawirującej pomiędzy samochodami. – Teraz, kiedy już wiedzą, bo muszą wiedzieć, że depczemy im po piętach?

– Cosner może by i tego nie zrobił, ale Whitt? – Eve dodała gaz, żeby zdążyć przejechać na zielonym świetle, po czym błyskawicznie zmieniła pas ruchu i skręciła na następnym skrzyżowaniu w prawo, tuż za falą pieszych przepływających przez ulicę po pasach. – To arogant pierwszej wody. Jeśli cokolwiek miałyby zrobić, dostosuje do tego swój rozkład dnia.

– To jasne jak słońce! Teraz to do mnie dotarło – mruknęła pod nosem Peabody. – Czy te skurczybyki myślą, że mnie wystraszą? Szlag by to trafił, Dallas!

– Wystosowałyśmy ostrzeżenia i nic więcej nie możemy zrobić, Peabody. Zbudowałyśmy od podstaw całą historię zdarzeń. Jeśli to sprawka tylko ich dwóch, jeden z nich... najprawdopodobniej Cosner... ma całe wyposażenie laboratorium wraz ze środkami chemicznymi tam, gdzie mieszka. Obaj mieszkają sami. Może mają oddzielne stanowiska pracy. Znajdziemy je i przyjrzymy się im bliżej.

– Możliwe też, że mają na swojej liście płac tego szalonego naukowca – podsunęła Peabody.

– Ten wątek też będziemy musiały zbadać. – Eve wjechała na parking podziemny komendy głównej.

– Znani wspólnicy, starzy przyjaciele... może ze Złotej Akademii? Jego pracownicy. Prawdopodobnie jest jakiś diler narkotyków, który kontaktuje się z Cosnerem. To też sprawdzimy.

– Może istnieje jakaś kochanka? Może inny uzależniony? – Kiedy wsiadły do windy, Peabody zaczęła rozwijać ten wątek. – Udostępniają jemu lub jej jakieś w miarę przyzwoite miejsce zamieszkania, dostarczają na bieżąco ulubione narkotyki, a ta osoba w zamian przygotowuje im ten toksyczny środek.

– Nieźle, Peabody. Nie znaleźliśmy żadnych miłosnych czy też wyłącznie związanych z seksem związków u żadnego z nich. Nic na dłużej. Może więc chodzi o jakieś pogrzebane wspomnienia dawnej miłości? Przyjrzyjmy się bliżej ich finansom. Może są tam jakieś regularne przelewy na czyjeś konto. Sprawdźmy, czy uda się nam odnaleźć jakąś nieruchomością poza tymi, w których oficjalnie zamieszkują, którą wynajmują lub posiadają obaj, a może tylko jeden z nich. Nieruchomości pod wynajem. Kto normalnie zagląda tam więcej niż raz? – Eve opuściła windę i ruszyły dalej po schodach. – Musimy wciągnąć w śledztwo więcej osób. Skontaktuj się z EDD i sprawdź, czy mogą nam podesłać McNaba albo Callendar. Jeżeli nie, dobierzemy kogoś od nas.

– Naprawdę myślisz, że uderzą w następnego cel?

– Na miejscu Whitta, z jego nastawieniem? To właśnie bym zrobiła. Skontaktuj się ze specami z EDD – powtórzyła, kiedy weszły do sali ogólnej Wydziału Zabójstw. – Chcę wszystko spisać, zanim przyjdzie tu Rodrigues. – Eve poszła prosto do swojego gabinetu, prosto po kawę. Po zaktualizowaniu mapy oraz księgi zbrodni napisała raport. Dołączyła do niego listę pytań dla Miry.

Ponieważ wkrótce miał się zjawić Rodrigues, na razie zrezygnowała ze sprawdzania finansów Cosnera i Whitta. Wsparała nogi na blacie biurka i obróciła się w stronę mapy, żeby jeszcze raz ułożyć sobie wszystko w głowie.

Zdjęcie ojca Whitta na ścianie gabinetu Grange. Czas rozwodu. Może trzeba spróbować porozmawiać z żoną? Może uda im się ją przekonać, żeby potwierdziła wersję ze zdradą i romansem.

Bo że romansowali ze sobą, tego Eve była pewna. Może nawet wciąż się spotykają.

Jeśli Whitt był świadom tego, że Grange przynajmniej częściowo odpowiadała za rozwód rodziców, dlaczego nie uderzył w nią? Było mu wszystko jedno – doszła do wniosku. Na jego życie nie miało to specjalnie dużego wpływu.

A co w takim razie miało? W tym względzie akurat mu wierzyła. Była to zmiana szkoły, przeprowadzka do innego miasta. Stracił fundament swojego życia, stabilizację, łatwe i przyjemne życie. Został zepchnięty na boczny tor i musiał się stać kimś innym.

Jednakże Grange mogła wciąż go kręcić, przynajmniej częściowo. Kolejny powód, dla którego nie uderzył w nią. Miał mimo wszystko głowę na karku, odpowiednie zdolności, a także stosowną sumę pieniędzy, żeby zacząć się w jednej z najlepszych prywatnych szkół i całkiem dobrze sobie w niej poradzić.

Możliwe, że w tej sytuacji skupił się na nauce. Odniesienie sukcesu mógł potraktować jako swego rodzaju odwet na reszcie świata.

Znów spiknął się z Cosnerem, a może nigdy nie stracił z nim kontaktu. A co z dziewczyną? Tę utracił definitywnie.

Nie mieli ze sobą żadnego kontaktu nawet po ukończeniu szkoły średniej i zdaniu matury.

Eve zmrugała oczy, wpatrując się w jego zdjęcie identyfikacyjne.

– Skąd wiedziałeś, że rodzice odebrali jej telefon, odciepli dostęp do internetu i wszelkich komunikatorów? Może powiedział ci o tym ktoś inny z twojego koła dupków? Może. Potem jednakże i ona sama odcieła się od ciebie. Wybrała własną ścieżkę życia, zamiast bujać się u twego boku. Hmm... – myślała na głos. Odstawiła kawę i podeszła wolnym krokiem do wąskiego okna gabinetu. – Nie będziesz się ponizła do kontaktowania się z tą dziwką po tym, jak porzuciła cię w ten sposób. Niech ją szlag trafi! Tak czy owak, nie znaczyła dla ciebie zbyt wiele. Taka tam łatwa laska, prawda? No jasne, jasne! Wokół pełno jest łatwych lasek, chętnych na przystojnego, bogatego młodzieńca. – Zaczęła krążyć wte i wewte po gabinecie. – Sprytnych dziewczyn również. Dziewczyn, które mają większe cycki niż mózg i które z wdzięcznością przyjmą najdrobniejsze choćby oznaki zainteresowania. Dziewczyn, które pomogą w zaliczeniach prac na studiach.

Usiadła z powrotem za biurkiem i sprawdziła datę ogłoszenia zaręczyn Hayward.

– No i proszę... – mruknęła. – Pewnie przeczytałeś o tym w gazecie. Pierwsza miłość zapada w pamięć na całe życie... Powiedziałaś coś w tym sensie i w tym się mieści cała prawda o tobie, zwłaszcza jeśli dodamy, że to pierwsza miłość, która kopnęła cię w tyłek.

No i co zrobiła potem? Co zrobiła potem? – rozmyślała Eve, wzięwszy ponownie do ręki kubek z kawą. – Poszła sobie i poderwała innego bogatego chłopaka. Bogatego i na ważnym stanowisku, początkującego polityka ze znanej rodziny, której członkowie zajmują ważne stanowiska w rządzie. Ja pierdołę! Jej przyszła teściowa ma szansę zostać panią prezydent! To dopiero kop prosto w jaja! Będzie należeć do elit kręcących się wokół Białego Domu. A kto jest za to wszystko odpowiedzialny? Kto zrujnował twoje życie i teraz przez niego jesteś tylko zwykłym młodszym kierownikiem w firmie ojca, a dziewczyna, która należała do ciebie... Tak! Która należała do ciebie... teraz wżeni się w polityczną elitę? To Rufty. To Duran. To cała reszta tej bandy skurczysynów, przez których rozleciał ci się tak fantastycznie się zapowiadający żywot.

Eve wstała i podeszła do mapy zbrodni. Wpatrzyła się w twarz Whitta.

– I właśnie to stało się impulsem wyzwalamącym – powiedziała do zdjęcia. – To jest tym cholernym impulsem wyzwalamącym. Dałabym sobie za to rękę uciąć.

Odwrociła się z zamiarem skontaktowania się z biurem Miry i wyproszenia krótkiej rozmowy konsultacyjnej. Kiedy sięgnęła po telefon, rozległ się sygnał połączenia przychodzącego. Równocześnie usłyszała dochodzące z korytarza charakterystyczne stukanie obcasów kowbojek Peabody.

Odczytała z wyświetlacza nazwisko osoby dzwoniącej i szybko odchrząknęła. Na to czekała.

– Dallas? – W progu drzwi stanęła Peabody. – Rodrigues już jest.

– Posadź go w naszym pokoju socjalnym. Zaraz tam będę – rzuciła szybko Eve.

Odczekała chwilę, aż kroki partnerki ucichną w głębi korytarza, i dopiero wówczas odebrała połączenie z biurem komendanta.

– Razem z detektyw Peabody będziemy za chwilę przesłuchiwać osobę powiązaną z obecnie prowadzonym śledztwem – oznajmiła. – Zameldujemy się w biurze komendanta Whitneya natychmiast po

zakończeniu tej rozmowy.

Na pewno chodzi o Grange – myślała, wychodząc z gabinetu. Nawet się nie spodziewała, że dyrektorka odpuści bez żadnych konsekwencji wszystkie te inwektywy, którymi obrzuciła ją Peabody. Teraz będą musiały się z tym zmierzyć.

W pokoju wypoczynkowym Rodrigues siedział już za stołem, postukując nerwowo o podłogę stopą w sfatygowanym trampku. Był wątlm, drobnym chłopczkiem o twarzy dzieciaka. Miał kruczoczarne, kręcone włosy, ściągnięte do tyłu w krótki kucyk. Patrzył właśnie z wdzięcznością na Peabody, która wręczała mu puszkę ze słodkim gazowanym napojem.

Miał na sobie T-shirt z nadrukowaną literą π wraz z jej częściowym cyfrowym rozwinięciem oraz maksymą:

zawsze możesz otrzymać kolejny kawałek liczby π !

Eve wyobraziła sobie osobnika typu Whitta, nękającego z upodobaniem tego drobnego młodzieńca.

– O! Jest już pani porucznik Dallas – odezwała się Peabody, wręczając jej równocześnie puszkę pepsu. – Pani porucznik. Miguel Rodrigues – przedstawiła ich sobie.

– Dziękujemy, że zgodził się pan przyjść, panie Rodrigues – zaczęła oficjalnie Eve.

– Nie ma sprawy – odrzekł, uśmiechając się blado. Uśmiech to się rozjaśniał, to gasł, ale ani razu nie dotarł do jego uduchowionych oczu. – Ach! Mój szef powiedział, że... że tak jakby muszę tu przyjść, że musicie ze mną porozmawiać o mężu pana Rufty'ego i o żonie pana Durana. To... to wszystko jest takie okropne.

– Pamiętasz pana Rufty'ego oraz profesora Durana? – spytała, przechodząc od razu na ty.

– Och tak! Oczywiście! Powinienem zatytułować go profesorem. Jeszcze nim nie był, kiedy uczył w Złotej Akademii, ale... Dzisiejszego poranka przed pracą poszedłem na jego ostatnie pożegnanie. Właściwie nie znałem doktora Abnera, ale chciałem pójść choćby na kilka minut. W pogrzebie pani Duran też chciałbym uczestniczyć. To ważne, żeby złożyć kondolencje. – Upił łyk napoju z puszki. – Trochę się denerwuję, bo nie bardzo wiem, dlaczego zostałem tutaj wezwany.

– Lubieś i Rufty'ego, i Durana.

– No pewnie. Znałem pana Durana o wiele lepiej, ponieważ uczył tam dłużej. To znaczy wtedy, kiedy ja się tam uczyłem. Angielski nie należał do moich ulubionych przedmiotów. Wolałem matematykę i przedmioty ścisłe, ale on bardzo mi pomógł. Pomógł mi poprawić stopnie z przedmiotów humanistycznych. W klasie maturalnej zapisałem się nawet do Klubu Szekspira, no bo wiecie... pomógł mi i w ogóle... Zupełnie nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

– Miguelu! – przerwała mu Eve, a potem zaczekała, aż na nią spojrzy. – Wyluzuj. Oczekujemy od ciebie jedynie rzucenia światła na tło wydarzeń.

– Okej. Tyle że kiedy szef nad szefami kazał mi iść, jak stałem, na policję, trochę mnie to wystraszyło.

– Nie ma się czego bać – zapewniła go Peabody. – Byleś dobry z chemii, prawda?

– Tak. No cóż... Bardzo lubiłem ten przedmiot. Lubiełem chemię, biologię, fizykę, rachunek różniczkowy, programowanie, informatykę. – Tym razem zaśmiały się i jego oczy. – Wszystkie przedmioty, które trzeba było zakuwać. Musiałem jednak dostosowywać się do reszty, trzymać poziom. Rozumiecie to, prawda? Byłem na stypendium. Pan Duran, pani Chelsic oraz pan Flint bardzo mi pomagali przy moich słabych punktach.

– Lubieś szkołę – podrzuciła mu Peabody.

– Nigdy nie dostałbym się na tak dobrą politechnikę, nigdy nie dostałbym pracy w Roarke Industries, gdybym nie dostał szansy, ucząc się w Złotej Akademii.

– Miałeś trochę problemów z niektórymi uczniami. – Eve w końcu wyłożyła kawę na ławę. On spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

– Trzymałem się głównie z innymi klasowymi kujonami.

– Miguelu! Zaatakowano cię fizycznie. Trafieś do szpitala na leczenie – przypomniała mu Eve.

– Pracujemy razem z detektyw Callendar – dodała Peabody. – Znasz ją.

– A pewnie, pewnie. W tamtym okresie często spędzaliśmy czas razem. Wciąż niekiedy się spotykamy, jednakże...

– Ona dobrze zapamiętała, kiedy i jak cię pobito.

Miguel uparcie wbił wzrok w puszkę z napojem.

– To było tak dawno temu... – wykrztusił w końcu.

– Nie ona jedyna to zapamiętała – dodała Eve. – Pan Rosalind, twój nauczyciel chemii ze Złotej, uważa, że byleś zastraszany i napastowany, ponieważ odmówiłeś dawania ściąg. Rufty zapisał w swoich

notatkach to, czego się dowiedział na temat tego incydentu.

Najwidoczniej zdziwiony tym, co usłyszał, Miguel wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę to zrobił? – spytał.

– Owszem. Zrobił to. Pomogłoby nam teraz, gdybyś opowiedział, co się wówczas wydarzyło.

– To było tak dawno temu – powtórzył.

– Pamiętasz przecież nazwiska nauczycieli, którzy ci pomagali – zauważyła Peabody. – Załóżę się, że doskonale pamiętasz Rufty'ego i poszedłeś na ostatnie pożegnanie jego męża tamtego poranka, ponieważ wszystko zmieniło się na lepsze, kiedy on objął funkcję dyrektora. Na pewno pamiętasz, co się wtedy stało.

– Zbieramy obecnie informacje, szczególnie te z okresu ostatniego roku twojej nauki w Złotej Akademii, które pomogą nam odnaleźć osobę odpowiedzialną za dwa morderstwa – dodała Eve.

Na twarzy Miguela pojawiło się przerażenie. Jego stopa zaczęła bębnić o podłogę jeszcze szybciej.

– N-nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to pomóc – wyjąkał.

– Nasza praca polega na rozwiązywaniu takich zagadek – wyjaśniła Eve. – Ty masz nam tylko opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Nie chciałbym, żeby po tak długim czasie ktoś miał przeze mnie kłopoty. Rozumiem, że nie będziecie wobec nich wyciągać żadnych konsekwencji, tak?

– Nie będziemy ich ściagać za tamte czyny – zapewniła go Eve – potrzebujemy faktów.

– Okej, no cóż... Niektórzy uczniowie lubili się wyżywać na tych, którzy byli w Złotej na stypendiach. Najlepsze, co można było wówczas robić, to schodzić im z drogi. Nie zawsze to działało. Ci, których dopadali, musieli robić to, co im kazali: pisać wypracowania, odrabiać różne prace domowe... hm... pozwalać spisywać swoje prace lub... No dobra, powiem. Więc zmuszali tego złapanego do hakowania konta nauczyciela w sieci i ściągania pytań na klasówki i egzaminy, do zmieniania stopni w dziennikach klasowych. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Z dyrektorką Grange łącznie?

– Tak. Wiedziała o tym. Nie mogę tego udowodnić ani nawet nie chcę, ale wszyscy wiedzieli, że wiedziała. Naciskali na mnie, stałem się trochę takim klasowym popychadłem. Byłem raczej drobnym chłopcem. Niektórzy nauczyciele, jak pan Duran czy pan Rosalind, próbowali mnie pilnować, żeby i innym, podobnym do mnie, nic nie groziło, ale przecież nie mogli być wszędzie. Rozumiecie, prawda?

– Czy napadali na ciebie z zasadki, Miguelu?

Popatrzył w oczy Eve i rzekł:

– Nie miałem zamiaru pozwalać im ściągać ode mnie. Sam nie ściągałem. Mówiłem, że chętnie im pomogę w nauce, w przygotowaniach do lekcji, lecz im to nie wystarczało. Jednego razu stłukli mnie za to na kwaśne jabłko. Jezu! Ale się wtedy bałem, w dalszym ciągu jednak nie dałem się zrobić w drobne szkolne oszustwa. Nigdy bym w ten sposób nie splamił swego honoru, honoru mojej rodziny. Kiedy skończyli ze mną, zagrozili, że jeśli powiem komukolwiek, kto mi to zrobił, i tak nikt nie uwierzy, a jeśli nie zrobię tego, czego żądają, wezmą się za mojego brata, a potem za siostrę. Ja byłem z nich najstarszy.

– Możesz teraz nam powiedzieć. Nikt nie ma zamiaru krzywdzić twojej rodziny.

– Stephen Whitt i Marshal Cosner. Naskoczyli na mnie. Byłem głupi, okej? Zwyczajnie głupi. Powiedzieli mi: okej, w takim razie pomóż nam przygotować się do nadchodzącej lekcji w laboratorium, i żebym przyszedł tego wieczoru do domu Stephena. Zrobiłem tak, jak kazali, bo byłem głupi. Napadli na mnie jeszcze przed domem, zanim wszedłem do środka. Sądzę, że jego rodziców nie było w domu, bo nikt nie wyjrzał, kiedy się darłem. Pobili mnie bardzo dotkliwie. Nie pamiętam z tego wiele, oprócz tych pierwszych kilku minut. Zaciągnęli mnie do samochodu i już myślałem, że mają zamiar gdzieś mnie wywieźć i zabić, ponieważ Marshall twierdził, że mogliby to zrobić albo może, że powinni to zrobić. Stephen powiedział, że gdybym wiedział, co jest dla mnie najlepsze, skopiowałbym swoją pracę i przesłał ją im mejlem, i że mój brat i siostra dostaną łomot, jeśli komukolwiek powiem, kto mi to zrobił. Potem wyrzucili mnie daleko za miastem, nieopodal nabrzeża portu. Chyba straciłem przytomność. Próbowałem iść w stronę domu, ale musiałem omdleć, bo ocknąłem się w karetce pogotowia.

– Zrobili to tylko ci dwaj? – spytała Eve.

– Za tamtym razem tak, tylko ci dwaj. W szkole było więcej takich uczniów, którzy popychali mnie, podstawiali nogi, zastraszała, czy co tam im przyszło do głowy. Jednakże tamtego wieczoru pobili mnie tylko oni.

– Powiedzieliś o tym swoim rodzicom? Może byleś z tym na policji? – dopytywała się Eve.

– Bałem się o mojego brata, o siostrę, o całą rodzinę, więc nic nikomu nie powiedziałem. Nie wtedy. Policja nie mogła więc nic zrobić. Moi rodzice poszli ze skargą do dyrektorki Grange. Przyczepili się

i walczyli mnie, dopóki się wreszcie nie przyznałem, że to sprawka paru uczniów ze szkoły. Grange jednakże nie zareagowała. Rodzice chcieli mnie zabrać ze Złotej, ale ublażałem ich, abym mógł zostać. To była moja szansa na dostanie się na studia na jedną z lepszych wyższych szkół technicznych w Stanach, moja szansa na robienie w życiu tego, o czym marzyłem: zdobycie bardzo dobrego wykształcenia, potem praca w wymarzonej zawodzie w jakiejś dobrej, znanej firmie. Moja życiowa szansa.

– To było bardzo odważne posunięcie z twojej strony – zapewniła go Peabody.

– Pierwszego dnia w szkole po tym wypadku myślałem, że ze strachu narobię w gacie. Byłem cały w sińcach. Dzieciaki gapily się na mnie, wytykały mnie palcami. Wiedziałem, że tamci znowu na mnie naskoczą, ponieważ nie miałem zamiaru zgadzać się na ich żądania. – Upił porządny łyk z puszki. – Rety! Ależ się wtedy bałem! Znalazł się jednak pewien chłopak, wielki gość, zdaje się z klasy o rok niżej. Nie był ani kujonem, ani też nie prowadził się z nimi. Prawdziwy twardziel. Quint Yanger. Postanowił wziąć mnie pod swoje skrzydła. Prawie się nie znaliśmy, lecz zwyczajnie postanowił, że nie pozwoli im mnie więcej dręczyć. Wieść rozeszła się wśród dzieciaków, a Marshall nie potrafił trzymać języka za zębami. Któregoś razu nacpał się i zaczął głądzić, że mnie rozwali. Quint poszedł prosto do Stephena, wiedział, że to on rzucił tę paczką, i oświadczył mu, że jeśli ktoś mnie tknie, oberwie dwa razy mocniej. Jeśli któryś z nich mnie jeszcze raz popchnie, zostanie wypchnięty przez najbliższe okno. Ot tak! – Po raz pierwszy Miguel szeroko się uśmiechnął. – Dlatego zostawili mnie w spokoju. Potem Grange zrezygnowała ze stanowiska, przyszedł Rufty i wszystko się zmieniło. Hm... No może oprócz tego, że my z Quintem pozostaliśmy przyjaciółmi. Do tej pory jest moim najlepszym przyjacielem. Najlepszym, jakiego kiedykolwiek miałem. Tak więc wszystko się zmieniło i potem udało mi się spokojnie ukończyć szkołę.

– Quint Yanger? Ten pierwszy obrońca drużyny Giantsów sprzed kilku lat?

– Tak. To ten sam Quint. Wielki gość o wielkim sercu. Lubię myśleć o nim w ten sposób. Jesliby się tak nie stało, jesliby się za mną nie ujął, prawdopodobnie nigdy byśmy się nie zaprzyjaźnili, a przynajmniej nie aż tak bardzo. Udało mi się dojść do siebie i mam się teraz całkiem dobrze.

– Jesteś interesującym młodym człowiekiem, Miguelu – zauważyła Eve.

– Ach, dzięki! No ja myślę. Chcę jeszcze powiedzieć, że kiedy Rufty objął stanowisko, wezwał mnie do siebie i przeprowadził ze mną rozmowę na temat tamtego wieczoru. Przypuszczam, że może dzięki Quintowi albo może z tego powodu, że... hmm... że tamtych już wtedy nie było w szkole... dałem radę powiedzieć nowemu panu dyrektorowi, kto to zrobił. Mam wrażenie, że od razu się wtedy lepiej poczułem.

– Czyli wszystko to pomogło? – chciała się upewnić Eve.

– Pomogło. – Pokiwał głową i odwrócił wzrok. – Nie może mi pani powiedzieć, jeśli nawet podejrzewacie, że Stephen albo Marshall są zamieszani w te morderstwa, prawda? – zamilkł, a kiedy ani Eve, ani Peabody się nie odezwały, odetchnął głęboko i zaczął mówić dalej: – Skoro już przez to przebrnąłem, dobrnę do końca. Chcę powiedzieć, że nie słyszałem o nich od tamtej pory, ale wiem, że ludzie się zmieniają. Nie spotkałem żadnego z nich od czasu, kiedy opuścili Złotą Akademię po tamtej zimowej przerwie świątecznej. Jednakże... Tamtego wieczoru byłem przekonany, że mnie zabiją. Nie tylko z tego powodu, że wszystko mnie bolało i umierałem ze strachu. Oni... oni chcieli to zrobić. Widziałem to, słyszałem, czułem. Chcieli i być może, gdyby byli w stu procentach przekonani, że ujdzie im to na sucho, jak i wszystkie pozostałe ich wybryki... może by to zrobili. – Odepchnął od siebie puszkę z resztką płynu. – Jednakże ludzie się zmieniają i nie mam pojęcia, jacy są obecnie.

– W porządku, Miguelu. Jesteśmy ci bardzo wdzięczne, że przyszedłeś. Zostaniesz przez nas odwieziony z powrotem do pracy.

– Och, nie ma sprawy. Pojadę metrem. Szef nad szefami wprawdzie mnie zapewnił, że nie muszę już wracać do firmy, ale akurat jestem w trakcie pracy nad czymś, co chcę dokończyć.

– Szef nad szefami miał szczęście, trafiając na takiego pracownika.

Kiedy Miguel wyszedł, Eve odchyliła się na oparcie fotela.

– Czasami ludzie się zmieniają, ale zazwyczaj pozostają tacy sami. – Zerknęła na swój wielofunkcyjny zegarek naręczny. – Zostałyśmy wezwane do biura Whitneya.

– Mamy im zdać raport? – spytała Peabody.

– To też – odrzekła krótko Eve.

– Cholera! Doopa! Goowno! Wiedziałam! To ja nagrabiłam, Dallas. Ty nie miałas z tym nic wspólnego.

– Pamiętam dokładnie, że jeszcze nie tak dawno temu zaszła podobna sytuacja i ktoś tu się upierał przy wspólnie grillowanych tyłkach.

– No tak, ale...

– Jak zwał, tak zwał, jestem na stanowisku wyższym stopniem, więc wydaję ci polecenie służbowe, abyś ruszyła swój tyłek. Miejmy to z głowy.

– Mogłabym wziąć to na klatę – mruknęła Peabody. Właśnie skręcały ku klatce schodowej, gdyż Eve dostrzegła sporą grupkę ludzi pakującą się do najbliższej windy. – Nie chciałabym, żeby przez to nasze dochodzenie utknęło w miejscu. Chyba czujesz, że zaczęło nabierać tempa. Rozgrzewa się jak, nie przywierając, te nasze tyłki na grillu.

– Bardzo śmieszne.

– Feeney przydzielił nam Callendar do pogrzebania w danych właścicieli nieruchomości. McNab jest akurat zajęty czymś innym, ale gdy tylko skończy, zacznie jej pomagać.

– Wszystko się dobrze składa – orzekła Eve. – Po dywaniku u Whitneya skoczę do kostnicy sprawdzić, co zdziałał Morris. Potem mam zamiar popracować w domu. Poproszę naszego eksperta, konsultanta cywilnego, żeby zerknął do finansów obu panów. Ja zacznę, ale on skończy, zanim ja się dogrzebię do połowy.

– Mhm, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Bez urazy.

– W życiu! – Eve zatrzymała się przed drzwiami gabinetu komendanta na znak dany jej przez asystenta.

– Porucznik Dallas oraz detektywy Peabody już tu są, panie komendancie – rzucił do szefa. Po czym zwrócił się do przybyłych: – Możecie wejść.

Whitney siedział za swoim biurkiem, tyłem do miasta, którego widok rozciągał się za jego potężnymi barami. Z twarzy o ciemnej skórze i szerokich kościach policzkowych nie dało się wyczytać żadnych emocji. Zaprosił obie policjantki gestem do środka.

Następnie rozparł się wygodnie w fotelu i splótł palce dłoni.

– A więc? – zaczął i zamilkł.

Eve rozpoznała w jego milczeniu jedną z technik przeprowadzania rozmów, toteż zdecydowała się na to samo. Widziała kątem oka, że Peabody już, już ma zamiar zalać go potokiem wyjaśnień, kopnęła więc noskiem prawego buta w kostkę jej lewej nogi.

Whitney uniósł pytająco brew i nieznacznie skinął głową.

– Zacznijmy od wyjaśnienia sytuacji – podjął. – Detektywy Peabody! Otrzymałem skargę od dyrektorki szkoły średniej imienia Lestera Hensena w Waszyngtonie Wschodnim, pani Lotte Grange. Podobno podczas przesłuchania, na które wyraziła dobrowolnie zgodę, zwracała się pani do niej obelżywymi słowami, równie obraźliwym tonem głosu oraz straszyla ją pani zastosowaniem wobec niej przemocy fizycznej, co skutkowało usunięciem pani z jej gabinetu. Czy to się zgadza z faktami?

Tylko nie walnij jakiejś głupoty! Tylko nie walnij jakiejś głupoty! Tylko nie walnij jakiejś głupoty! – myślała Eve najgłośniejszym, jak mogła.

Peabody najpierw głęboko odetchnęła, by się uspokoić.

– Nie, panie komendancie, to się nie zgadza z faktami – odpowiedziała krótko.

– Częściowo czy w całości? – zainteresował się.

– Wcale nie uważam, żebym posługiwała się obelżywym językiem czy używała obraźliwej tonacji wypowiedzi. Owszem, moja odpowiedź była mocna, lecz stanowiła odzew na obraźliwe insynuacje, które dyrektorka Grange raczyła rzucać na moją rodzinę, współpracowników, na zawód policjanta, a nawet na moją panią porucznik, kiedy ta starała się bronić swoich metod prowadzenia śledztwa. Nie straszyla jej przemocą fizyczną. Przypominam sobie za to dokładnie i nie będę się tego wypierać, że powiedziałam, że nie jest warta czyścić butów mojej pani porucznik, która mogłaby ich użyć do skopania jej tyłka, panie komendancie.

– A więc straszyla ją pani, że porucznik Dallas użyje przemocy fizycznej.

– To była przenośnia, panie komendancie.

– Rozumiem. A jak pani to komentuje, pani porucznik?

– Oświadczenie pani detektywy Peabody jest w całości zgodne z prawdą, panie komendancie. Grange robiła wszystko, żeby nas obrazić. Odebrałam to jako celową próbę zdekoncentrowania nas. Taką ma po prostu naturę. Peabody wykorzystwała sposobność na zrestartowanie prowadzonego przesłuchania.

– Zrestartowanie?! – zdumiał się komendant.

– Tak jest, panie komendancie. Zamiast grać dobrą i złą policjantkę, zagrałyśmy policjantkę cholewryczkę i policjantkę stoicko spokojną. Zasugerowałam, żeby Peabody wyszła ochłonąć i zostawiła mnie samą z Grange. Pozwoliłam jej uwierzyć, że jest górą. Chwilowo. Umiałam zachować równowagę i przejąć kontrolę nad rozmową. Rezultaty są opisane w raporcie. – Odetchnęła. – Grange bierze w tym wszystkim udział, panie komendancie. Nieświadomie lub z premedytacją, ale siedzi w tym po uszy. Nie uważam, byśmy zachowały się niestosownie, biorąc pod uwagę okoliczności oraz wrogie nastawienie tej osobniczki. Jeśli się pan nie zgadza z nami... No cóż, to pan jest szefem.

Whitney zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze zrozegrane – rzekł wreszcie. – Od początku do końca.

– Dziękujemy, panie komendancie. Właśnie zakończyliśmy przesłuchanie Miguela Rodriguesa. Uczęszczał do Złotej Akademii, kiedy Grange była tam dyrektorką, a maturę robił już za dyrektora Rufty’ego. Za czasów Grange był gnębiony i zastraszany, a raz pobity do tego stopnia, że wymagał hospitalizacji. Grange o wszystkim wiedziała i nic z tym nie zrobiła. Mam podstawy przypuszczać, że знаła tożsamość oprawców. To Stephen Whitt i Marshall Cosner.

Po czym wyłożyła komendantowi w skrócie całą swoją teorię, a ten ponownie rozsiadł się wygodnie w fotelu i słuchał z uwagą.

– Wierzysz w to, że Whitt od szkoły średniej krył w sobie żale i urazy, a teraz z ich powodu dwukrotnie zabił? – spytał w końcu.

– Wierzę i wiem, że zrobi to ponownie. Wywnioskowałam, że ojciec Whitta miał romans z Grange i to przynajmniej częściowo doprowadziło do rozwodu. Whitt junior został odcięty od przyjaciół i od dziewczyny, rozdzielono go z grupą, w której hierarchii zajmował najwyższe piętro. Teraz jego była dziewczyna zaręczyła się z bogatym chłopakiem, odnoszącym same sukcesy w życiu, którego matka ma kandydować na urząd prezydenta. Dziewczyna owa twierdzi, że nie ma z Whittem żadnego kontaktu, a ja jej wierzę. Cosner, jedyny przyjaciel z czasów szkolnych, z którym Whitt utrzymuje kontakt, jest słabym, uzależnionym od narkotyków człowiekiem. Kimś, kto podąża za przywódcą stada.

– Dlaczego nie wziął na cel Grange?

– To Rufty był tym, który wywołał tak dramatyczne zmiany w jego życiu. Podejrzewam, że ojciec Whitta kontynuował związek z Grange po jej wyprowadzce do Waszyngtonu Wschodniego. Wciąż mogą być parą. Wygląda na to, że zajęła się na serio ojcem Whitta, kiedy jego syn uczył się w szkole średniej. Rufty i inni nauczyciele zrujnowali życie Stephena, odebrali mu to, czego najbardziej pragnął. Teraz on robi to samo im, czyli tym, których uważa za odpowiedzialnych za swoje nieszczęścia.

– Terminowo i lokalizacyjnie nadanie przesyłek pasuje do miejsc, w których akurat Whitt przebywał – przypomniała Peabody.

– Potrzebujemy więcej danych – zakończyła Eve. – Zdobędziemy je. Cosner jest słabym ogniwem. Musimy go docisnąć. Chcę go wezwać do nas na przesłuchanie. W pierwszej rundzie nie zadzwonił do adwokata z prośbą o pomoc. Przypuszczam, że nie chciał, aby ktoś z rodziny się dowiedział, że ma kłopoty. Sądzę, że w drugiej rundzie zechce jednak wziąć kogoś do obrony. Mimo to go złamiemy.

– W takim razie działajcie – zarządził Whitney. – Nie chciałbym, aby kolejny współmałżonek wylądował w kostnicy.

– Tak jest, panie komendancie!

Kiedy ruszyły ku drzwiom, Whitney zawołał jeszcze do Peabody:

– Pani detektyw!

– Tak, panie komendancie?

– Nieźle jej pani zasunęła z tymi butami. Lepiej jednak oszczędnie stosować takie teksty.

– Tak jest, panie komendancie!

– I ciesz się, że nie użył swoich, żeby skopać twój tyłek – dodała Eve, kiedy znalazły się za drzwiami i poszły w stronę schodów.

– Cieszę się. Możesz mi wierzyć.

– Jeśli ci tak radośnie na duchu, to wykorzystaj to i zadzwon do firmy Cosnerów. Poczekaj, aż zgłosi się sekretarka, i spytaj o Lowellla Cosnera.

– O ojca, znaczy się.

– Mhm. Ups! Kiedy już będziesz miała ojca na linii, przedstaw się i zacznij od przypomnienia mu, że rozmawiałaś już z nim wcześniej na temat śledztwa w sprawie zabójstwa. Nagle uświadomisz sobie, że popełniłaś błąd i przeprosisz go. Powiesz, że coś pokręciłaś w notatkach, i musisz się skontaktować z Marshalllem, a nie Lowellem Cosnerem.

– Miejmy nadzieję, że złapie przynętę.

– Taa... Spróbuj umówić się z Cosnerem na jutro u nas. Pociągniemy dalej naszą rozmowę.

– A jeśli odmówi?

– Powiedz, że porozmawiamy sobie z jego adwokatem, bla, bla, bla... Wiesz, jak to się robi. Ściągnij jego osobistego asystenta. Skoncentrujmy ogień natarcia na słabym ogniwie. I jeszcze jedno. Daj znać Morrisowi, że już do niego jadę. Jeśli on będzie akurat zajęty, niech oddeleguje kogoś innego, żeby przekazał mi wyniki przeprowadzonej sekcji.

Morris oczywiście wygospodarował dla niej chwilę. Choć Eve zrobiłaby dla niego to samo, była mu za to jak zawsze bardzo wdzięczna.

Kiedy weszła do kostnicy, brzmiała w niej muzyka radosna niczym promyk słońca. Morris metodycznie zamykał klatkę piersiową denata ściegiem o kształcie litery Y.

– Zaraz z tym skończę – rzucił, odrywając na chwilę wzrok od ciała i spoglądając na Eve.

– Nie spiesz się. Doceniam, że robisz to dla mnie.

– Zawsze do usług. Ten młodzieniaszek wymyślił sobie, że obrabuje sklep w Diamond District, strasząc zmajstrowaną przez siebie bombą, ukrytą w kieszeni.

Eve akurat oglądała tablicę z tą sprawą w sali głównej wydziału – prowadzili ją Carmichael i Santiago – więc podeszła bliżej. Zaobserwowała spory ubytek ciała denata z prawego boku.

– Ekspłodowała mu w kieszeni – wynioskowała Eve.

– Tak było – potwierdził Morris. – Na szczęście dla znajdujących się w pobliżu nie miała zbyt dużej mocy. Na nieszczęście dla naszego gościa na stole sekcyjnym miała wystarczającą moc, żeby zrobić w nim sporą wyrwę. No i leży teraz tutaj. – Odsunął się nieco i aż jęknął z zachwytu. – Rety! Patrzcie no!

– Co się stało? – Eve odskoczyła od nieboszczyka i spojrzała pod swoje nogi.

– Wyglądasz wspaniale.

Byłaby w mniejszym szoku, gdyby dźgnął ją swoim skalpelem.

– J-ja? – wyjąkała. – Że co proszę?!

– Jak idealny wiosenny dzień – dodał i odszedł na bok, żeby umyć i odkazić ręce. – Mówię, co widzę.

– Uff! – Dziwne, pomyślała, ale co tam. – Dzięki!

– Podejrzewam, że chciałabyś ostatni raz rzucić okiem na Elise Duran. Ja ze swej strony nie umiem już nic cennego dodać do mojego raportu.

Podszedł do ściany z chłodnią i szufladami. Wyciągnął jedną z nich. Ze środka wypłynął obłoczek chłodnej mgły.

– Kobieta, która dbała o siebie aż do chwili śmierci. Ładnie zarysowane mięśnie, przyjemna w dotyku skóra. Czas śmierci taki sam jak poprzedniej ofiary naszego mordercy. W przeciwieństwie jednak do niej tutaj nie zauważam żadnych oznak zrozumienia tego, co się z nią działo. Nie próbowała podejść do okna ani do drzwi, żeby łyknąć trochę świeżego powietrza lub wołać o pomoc. Upadła, gdzie stała. Śmierć przyszła szybko, lecz musiała być bardzo bolesna.

– Czy rodzina już tu była?

– Mąż. Umówił się, że zostanie zabrana jutro do domu pogrzebowego. Rodzina chce odprawić zamkniętą ceremonię pogrzebową przed skremowaniem zwłok. Potem, za kilka dni, zostanie odprawiona ogólnodostępna dla przyjaciół i ich rozległej rodziny.

Morris dotknął przelotnie, delikatnie wierzchu dłoni Elise.

– Mąż siedział obok niej przez dłuższy czas. Spytał mnie, czy może zwyczajnie przy niej posiedzieć. Tak też zrobił. Mówił do niej i zapewniał, że zajmie się dobrze ich synami, zaopiekuje się jej rodzicami i tak dalej, i tak dalej – westchnął. – Są takie chwile, kiedy pęka ci serce niezależnie od tego, jak wiele już ciał pokroiłeś i zamknąłeś.

– Och, tak. Tego właśnie chce morderca: złamanych serc, złamanego życia... Już zdążył o niej zapomnieć, tak samo jak i o Duranie. Zrobił, co zaplanował, odhaczył na swojej liście jak kolejną sprawę do załatwienia. Teraz następna. Ale nie! Ten pokrecony typ nie dostanie następnej ofiary w swoje ręce!

Morris zmrzążył oczy i zamyślony wpatrywał się chwilę w twarz Eve.

– Ty już wiesz, kto to jest – orzekł.

– Taa... Rozmawiałam z nim dzisiaj i wiesz, Morris, co ujrzałam w jego oczach?

– Co takiego?

– Nic, cholera! Zupełnie nic. Tacy ludzie poza osłonką, którą wdziewają, by na oko nie odstawać od innych, tacy ludzie są martwi w środku. Ona ma w sobie więcej życia niż tamten dupek. To nawet nie

jest prawdziwa zemsta, taka, której byś oczekiwał. To bardziej jak... Jak pokazanie ci środkowego palca. – Eve nagle znalazła dobre określenie. – Ktoś zajeżdża ci drogę, ty wystawiasz mu środkowy palec i jedziesz dalej. Ten drań nie. Zajeździsz mu drogę, a będzie cię gonił, dopóki nie rozwali ci samochodu. To właśnie taki typ. – Eve odsunęła się od szuflady z ciałem pani Duran. – Tak. Myślę, że po prostu musiałam jeszcze raz ją zobaczyć. Dziękuję ci za to.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc ci go dotrzeć.

Ledwo Eve zdążyła wrócić do samochodu, zadzwoniła Peabody.

– Dallas przy telefonie. – Odebrała na głośnomówiącym, wbudowanym w deskę rozdzielczą, jadąc już w stronę domu.

– Chciałam przekazać ci jak najszybciej to, czego się dowiedziałam – zaczęła Peabody. – Świetnie to wymyśliłaś z tym „upsem” i zadzwonieniem do Cosnera seniora! Niech cię diabli! Pojęcia nie miał o naszej poprzedniej wizycie. Jestem tego pewna, bo strasznie był zaskoczony. Widziałam u niego całą gamę ojcowskich emocji: od rozczarowania do całkowitego wyczerpania, mimo że ze wszystkich sił starał się niczego po sobie nie pokazywać.

– Co mu powiedziałaś?

– W tym właśnie sęk. Kiedy do niego dotarło, że nowojorska policja już raz przesłuchiwała jego syna i chce to powtórzyć, od razu wszedł w buty prawnika. Jako opiekun prawny swego syna zażądał udzielenia mu informacji itede, itepe. Niczego więcej mu nie powiedziałam, ale nawet to, co wie, wystarczająco wyprowadziło go z równowagi. Ma się czym martwić. Dodał, że powinniśmy wszystko załatwić przez ich asystentów. Chce rozmawiać z prokuratorem. Dał mi do zrozumienia, że on będzie rozmawiał z nami w imieniu syna, a pytania mamy kierować do ich radcy prawnego. Rozumiesz, takie tam pierdoły. Spotkanie jutro o dziesiątej.

– Dobra robota, Peabody! – pochwaliła ją Eve.

– Znam tę ojcowską minę, wiesz? Jest wkurzony i trochę się boi.

– Wiadomość o morderstwie dopełni sprawę. Zadzwoni do Reo i powiedz jej...

– Już to zrobiłam – przerwała jej Peabody. – Prowadzi teraz rozmowę z prokuratorem generalnym policji. Oddzwoni do ciebie potem.

– Okej. W takiej sytuacji ja oddzwonię do ciebie po rozmowie z nią.

Prowadząc samochód, Eve przetwarzała raz jeszcze wszystkie te informacje w głowie. Potrzebowała więcej na Whitta. Musiała zbudować porządne podstawy oskarżenia. Cosner może tu być kluczowym elementem. Jeśli się go odpowiednio mocno przycisnie – rozważała – pęknie. Lojalność w pewnym momencie się kończy, a jeśli uda się im przekonać ojca, że mają wystarczająco dużo informacji, żeby wciągnąć jego syna w śledztwo dotyczące morderstwa, przekonać go, że mają dowody na to, że to Whitt pociągał za sznurki...

Ojciec powinien się cieszyć, jeśli uda się mu tak pokierować obroną, żeby synka nie zesłali do więzienia na inną planetę. Może uda się mu obniżyć wyrok do dwudziestu lat za każde morderstwo, do odsiedzenia jedno po drugim. Może na to przystać, jeśli tylko uda się wsadzić Whitta za całokształt jego działań na dożywocie.

Telefon Eve zadzwonił ponownie, kiedy wjeżdżała w bramę swojej posiadłości.

– Mówi Dallas.

– Tu Reo. Skończyłam właśnie spotkanie z szefem. Bardzo dużo mamy tutaj „gdybania”, Dallas.

– Whitt i Cosner zabili dwie osoby, współdziałając. Tutaj nie ma żadnych wątpliwości.

– Ty tak twierdzisz i ja ci wierzę. – Eve obserwowała Reo w modnie ufrizowanych blond loczkach i świeżej białej bluzce koszulowej, programującą kawę w jej biurowym AutoChefie. – Ale udowodnienie tego to zupełnie inna sprawa.

– On się da złamać, Reo. Cosner da się złamać. Jest słabym, leniwym człowieczkiem, uzależnionym od narkotyków. Rodzina bardzo go wspiera, ale to w końcu może się zmienić.

– Ich rodzinna firma to też nie byle co. To zdecydowanie górna półka. Na razie nie mamy wystarczających dowodów, żeby go oskarżyć.

– Mamy tyle, żeby poczuł nasz oddech na plecach.

– Może i tak, ale czy to coś da, nawet jeżeli porządnie się wystraszy? Na bank jego ojciec albo jakiś adwokat od spraw kryminalnych, którego mu przydzielił, nie pozwolą mu niczego powiedzieć bez uprzedniego zawarcia ugody.

Eve nie wspominała, że właśnie opracowała sobie w myślach ugody, którą byłaby w stanie zawrzeć.

– Ja pierdoło, Reo! – Zaparkowała, ostentacyjnie trzasnęła drzwiami samochodu. – Nawet nie wadziliśmy go do aresztu, a ty już gadasz o warunkach ugody.

– Ja jestem realistką – odgryzła się Reo. – Wygra ten, kto pierwszy wykona zwrot. Jest to klasyka nie bez powodu. Według ciebie to Whitt obmyśla wszystko, więc zacznij od zastanowienia się, jak bardzo

chcesz go dopaść.

– Chcę dopaść ich obu. – Eve otworzyła drzwi wejściowe do domu jednym mocnym pchnięciem.

– W takiej sytuacji spróbujmy dopaść ich obu – zgodziła się Reo. – Zaczniemy od propozycji osadzenia Cosnera w więzieniu na naszej planecie.

Brwi Summerseta unosiły się coraz wyżej i wyżej, kiedy Eve jak burza przeleciała przez hol wejściowy i wpadła na schody.

– Może jeszcze mamy mu zaoferować pakiet przyjemnych zabiegów w spa i tackę pieprzonych tartinek, skoro już przy tym jesteśmy.

Poszła na górę, tupiąc głośno i mrucząc coś pod nosem, a Somerset uśmiechnął się do jej pleców. Potem spojrzał w dół na kota i powiedział:

– Pani porucznik jest dzisiaj w zdecydowanie lepszym nastroju.

Galahad, jakby zgadzając się z nim, pobiegł truchtem po schodach za swoją panią.

Zadowolona, że potencjalna ugoda zaproponowana przez Reo w ogólnym zarysie zgadza się z jej pomysłami, Eve ruszyła do sypialni. Chciała się pozbyć obcisłego garnituru.

Ze swojego punktu widokowego na łóżku Galahad uważnie obserwował Eve przekopującą się przez bluzy – czarne, spodnie – czarne oraz wiekowe wysokie trampki – też czarne.

– To zdaje się jest... hmm... monochromatyczne, co? – Przysiadła na moment na skraju łóżka, żeby pogłaskać kota. – Karta się odwraca, przyjacielu. Czuję, że się odwraca. Musimy tylko zakończyć ten ich zabójczy proceder, zanim typ zabije kolejną osobę. Co za wiecznie zadowolony z siebie, arogancki skurwysyn!

Klepnęła po raz ostatni Galahada, wstała i poszła do swojego gabinetu. Kot był jednak szybszy. Jednym susem ją wyprzedził i wskoczył do środka przez szparę w drzwiach, a następnie błyskawicznie umościł się na szeszlou.

Roarke wychynął z przyległego gabinetu.

– Hej! Już jesteś? – zdziwiła się.

– Ano jestem. – Podeszedł do żony i pocałował ją. – Tak jak i ty. Tak właśnie sobie pomyślałem, kiedy usłyszałem tupot kocich łapek w holu.

– Niespecjalnie się starał być cicho, co? Pracujesz w domu?

– Właściwie już skończyłem. Wyrobiłem się idealnie. – Podeszedł do szafki wbudowanej w ścianę, otworzył ją, wybrał wino i wziął do ręki dwa kieliszki.

– A ja jeszcze nie skończyłam... – zaczęła, lecz on podał jej kieliszek i wziął za drugą, wolną dłoń.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, jednakże wiesz... To zgranie w czasie. Musimy to wykorzystać.

– Dokąd idziemy? – zainteresowała się, gdy wyprowadził ją z pokoju.

– Na mały spacerek, nim zajdzie słońce i zabierze ze sobą resztki ciepła dnia – powiedział. – Jak udał się dzień, pani porucznik?

Mogła poświęcić trochę czasu na spacer – zdecydowała, szczególnie że Roarke wydawał się bardzo z czegoś zadowolony. Był to jeden z paragrafów małżeńskich: Nie gaś małżonka swego, który jest niezwykłe z czegoś zadowolony, nim nie dowiesz się, jaki jest tak naprawdę powód jego radosnego nastroju.

– Bardzo produktywnie – odpowiedziała na pytanie. – Miałam zamiar napisać do ciebie. Gdybyś mógł mi poświęcić dłuższą chwilę, reszta mojego dnia byłaby jeszcze bardziej produktywna.

– Brzmi interesująco. – Wyległ na taras na pierwszym piętrze, ozdobiony przez kogoś donicami z żywymi, pięknymi kwiatami, przeciął go i zszedł po kamiennych schodkach.

Znajdował się tu drugi taras ze stołami, fotelami ogrodowymi i ławeczkami. Ten przyozdobiony był wysokimi pojemnikami, a egzotycznie wyglądające pnącza przelewały się przez ich brzegi.

Kto zdążył pomyśleć o tym wszystkim? – zastanawiała się. Te żywe kwitnące pnącza, wyglądające bardzo dekoracyjnie, obsypane wesołymi kwiatuskami o płatkach różowych, białych, żółtych i fioletowych, sięgające ziemi, jakby się zdecydowały, że wolą jednak kwitnąć tam?

Oczekiwała, że Roarke w końcu jej wszystko wyjaśni.

Jak dobrze było znaleźć się na świeżym powietrzu! Temu nie mogła zaprzeczyć. Definitywnie wokół czuć już było wiosnę. Wiaterek lekko gładził skórę, a nie ksał zimnem, jak jeszcze niedawno. Pachniało również wiosną: coś jakby zielenią, świeżością, obietnicą.

Drzewa i krzewy stały całe w pękających pąkach kwiatów i liści. Do uszu Eve docierały śpiewy ptaków, a nie odgłosy ruchu ulicznego. Nie potrzebowała wiele czasu na rozluźnienie. Chwilę potem już wiedziała, dokąd zmierzali.

– Czyżby skończyli naszą sadzawkę?

– Wkrótce zobaczysz. – Uśmiechnął się. – Sami dobierzemy brakujące elementy wykończenia.

Przeszli przez mały sad z drzewami owocowymi. Pamiętała smak i zapach brzoskwiń zbieranych tu zeszłego lata. Pamiętała rozmowy, że fajnie by było mieć tutaj sadzawkę i ławeczkę, na której mogliby razem przysiąść.

I oto miała ją przed oczami, spokojną i śliczną, widoczną już z daleka przez pokrywające się z wolna wiosenną zielenią gałęzie drzew. Naturalnie, skoro należała do Roarke'a, musiała w rzeczywistości znacznie przekroczyć oczekiwania Eve.

– Jeez! – jęknęła z zachwytem. – Zrobiłeś wodospad!

– Niewielki, ale według mnie dodaje uroku, nie uważasz? – Zaciągnął ją pod samą kaskadę, gdzie woda rozpryskiwała się na kamieniach, a potem wpadała do sadzawki z liliami wodnymi.

Jej brzegi obłożone były naturalnymi kamieniami. Dookoła rosły kepy niskich krzewów, obsypanych pąkami kwiatów. Były tu też niewielkie drzewka i gęste, bujne trawy. Czula zapach świeżej zieleni, wody, mokrej trawy, spośród której wylaniały się ścieżki, też wyłożone naturalnym szarym kamieniem. Płyty obrobiono w ten sam celtycki wzór, który znajdował się na ich ślubnych obrączkach.

– Jezu! Facet wiedział, jak do niej dotrzeć!

Ławeczka stała na kamiennych płytach, w idealnym miejscu, żeby podziwiać sadzawkę, magiczny niewielki wodospad i fasadę domu w oddali, podobną do zamku, widoczną poprzez kwitnące drzewa owocowe.

– Myślałam, że to będzie zwykła dziura w ziemi wypełniona wodą.

– Chcieliśmy zrobić coś wyglądającego nieco lepiej niż zwykła dziura.

– To jest... – Mogła tylko kręcić głową z podziwem. – Coś wspaniałego! – wydukała wreszcie. – Jakby tu była zawsze.

– Chcieliśmy zadbać również o jej naturalny wygląd.

– No cóż... Udało się. Raczej nie wyobrażałam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu zasiadła przy sadzawce z kieliszkiem wina, a tu proszę! – Ściągnęła brwi i pokazała przed siebie. – Co to właściwie jest?

– To jest właśnie ten ostatni szlif.

Poprowadził ją dookoła sadzawki, gdzie obok ławeczki stało w doniczce małe drzewko ze zwisającymi gałązkami, całymi w różowych pączkach. Obok w ziemi wykopany był dołek. O taczkę z kompostem opierały się dwie łopaty. W drugiej taczce znajdowała się czarna, żyzna ziemia ogrodnicza. W wiadrze leżały rękawice robocze i dwie małe łopatki.

– Czy nie powinni tego posadzić sami?

– Oni tego sadzić nie będą. My to zrobimy – oświadczył Roarke.

Rzuciła mu spojrzenie, w którym szok mieszał się z rozbawieniem.

– My sami to zrobimy?! – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Ano my. – Postawił swój kieliszek i butelkę wina na ławce, wziął od niej kieliszek i również odstawił go na ławkę. – Pomyśl tylko o satysfakcji, jaką będziemy odczuwać, patrząc na nie przez lata i podziwiając każdej wiosny, jak pięknie kwitnie.

– Pomyśl tylko o winie, która nas zadręczy, jeśli uschnie, bo to my je zabijemy.

– Nie będziemy go zabijać. – Wyjął rękawiczki z wiadra i podał Eve jedną parę. – Dostałem szczegółowe instrukcje, co i jak należy zrobić. Ogrodnik wykopał dół odpowiedniej głębokości. Ja wprawdzie popełniłem kilka dołków w życiu, i dosłownie, i w przenośni, ale szef ekipy zieleniarzy jakoś nie miał zaufania do moich umiejętności. Sam przygotował dołek.

Eve nie zdołała powstrzymać wybuchu śmiechu.

– Wyleciał? – spytała.

– Nie, ponieważ muszę szanować osobę, która umie postawić na swoim. A więc... – Roarke włożył rękawiczki ochronne. – Do dołka z nim, pani porucznik.

– Ale... Mamy tak po prostu je tam włożyć?

– To będzie pierwszy krok.

Spoglądała na męża, kiedy przenosili drzewko do ziemi.

– To dlatego zdjąłeś garnitur i się przebrałeś – dotarło do niej.

– A jak się przydało, że ty zrobiłaś to samo. Teraz trochę je wyprostuj i tak trzymaj, a ja nałożę kilka łopat ziemi na bryłę korzeniową.

– Okej. A skąd mam wiedzieć, że stoi prosto?

– Masz oczy, prawda? Ogrodnik przygotował nam ziemię zmieszaną z torfem. Ja też się trochę do tego przyłożyłem, oczywiście pod jego nadzorem.

Pachniało... cóż... chyba wilgotną glebą – tak to sobie przynajmniej wyobrażała – kiedy Roarke przerzucał mieszankę łopatą z taczki do dołka. Całkiem mu z tym szpadłem do twarzy – pomyślała.

– Będzie się trzymać – orzekł. – Teraz ty.

– Myślałam, że już się wykazałam.

– Bierz swoją łopatę.

Wykonała jego polecenie, całkiem już rozbawiona sytuacją. Może faktycznie odczuje jakąś satysfakcję z wrzucania ziemi do dołka? Kto to wie... Jednakże czuła, że wiosenne powietrze, zapachy, światło, praca fizyczna – wszystko razem miało na nią zbawienny wpływ. W końcu, no cóż... w końcu drzewko zostało posadzone.

– Teraz musimy rozgarnąć i uklepać ziemię mniejszymi łopatkami, żeby dostała się między korzenie. Delikatnie, żeby ich nie uszkodzić. Tak zostałem poinstruowany.

Ta czynność wymagała używania równocześnie i kolan, i rąk, co okazało się zaskakująco przyjemne. Wprawdzie nie zamierzała ani z tego żyć, ani też zajmować się ogrodnictwem regularnie, jednak to, co robili, miało stanowić „ostatni szlif”, więc czuła się naprawdę fajnie z łopatką w ręku.

– Skąd będziemy wiedzieli, że już wystarczy? – zaczęła się zastanawiać.

– Wydaje mi się, że jest dość, więc zostawmy to tak. – Podniósł się i wziął do jednej ręki duży srebrny pojemnik z wylewką.

– A co to takiego?

– Nie widziałaś nigdy konewki do podlewania roślin?

– Pewnie widziałam, ale nigdy takiej dużej.

– Trochę waży. – Stał mocno na nogach i polał ziemię dookoła drzewka. – Mamy tu zamontowaną instalację nawadniającą, lecz powiedziano mi, żebym od razu po posadzeniu porządnie je podlał.

Usiadła na chwilę w kucki, ale zaraz się podniosła.

– Ja podleję od tej strony – zaproponowała.

Fajnie to jest – myślała, lejąc wodę strumieniem z konewki. – Rety! Pewnie jeszcze trzeba będzie jakoś nazwać cholerne drzewko.

– Czy to wszystko? Czy naprawdę już je posadziliśmy?

– Jeszcze kompost – powiedział i wskazał kciukiem na taczkę.

Eve odstawiła konewkę i wzięła do ręki łopatę.

– Ile? – spytała.

– Powiedziano mi, żeby rozsypać dookoła warstwę na kilka centymetrów.

Toteż rozrzučili razem kompost, ubili, dosypali jeszcze trochę i wyrównali powierzchnię.

Odsunęli się nieco od drzewka i przyjrzeni swojej robocie.

– No i posadziliśmy drzewko – stwierdziła Eve.

– I przy okazji takie śliczne. Czeka! – Wyjął smartfon, przysunął się do żony i objął ją ramieniem. – Udokumentujmy to.

– Nigdy tego nie robisz. Nie robisz nam selfików.

– A jak często sadzimy drzewka w naszym ogrodzie?

– Noo... Robimy to po raz pierwszy.

– Masz odpowiedź. Uśmiechnij się.

Jak mogłaby się mu sprzeciwić?

Zrobił zdjęcie i schował telefon do kieszeni.

– Zasłużyliśmy na kieliszek wina. – Roarke wyjął swój wielofunkcyjny szczyryk i użył korkociągu do otwarcia butelki. Eve trzymała kieliszki, kiedy on nalewał trunku.

Potem usiedli na ławeczce ramię w ramię, z młodym drzewkiem obok, podziwiając sadzawkę.

– Cóż... – Pocałował ją w czubek głowy. – Powiedz mi teraz, co mogę dla ciebie zrobić, żeby twój wiecór stał się bardziej produktywny.

– Jeszcze nie teraz – zdecydowała. Rozważania na temat morderstw odsunęła na bok i oparła się na ramieniu męża. – Posiedzmy tutaj jeszcze trochę.

Siedzieli więc i pili wino, a strumień wodospadu szemrał i rozpryskiwał się na kamieniach, lilie się kołysały, a cienie wydłużały coraz bardziej, aż wreszcie zapadł zmrok.

Zanim wrócili do środka, jej wypoczęty mózg znów pracował na pełnych obrotach, w pełnej gotowości do rozwiązywania kolejnych zadań. Poza tym uświadomiła sobie, że jest głodna.

– Może zrobię coś do jedzenia... – zaczęła, lecz on przeciągnął palcem po wgłębieniu w jej brodzie.

– Lepiej uaktualnij mapę zbrodni, bo widzę, że wypoczęłaś i znów myślisz jasno. Ja przygotowuję posiłek.

Cóż, facet znał ją na wylot. Choć oznaczało to, że pizzy w menu nie będzie, jednak bardzo chciała zaktualizować dane, a myśli przekuć w słowo pisane, nim zasiądą do kolacji.

I choć nie była to pizza – cokolwiek tam przyrządził, gdy ona pracowała – pachniało obłędnie.

– Jak udało się spotkanie z Grange? – spytał.

– Opowiem ci, kiedy tylko zasiądę do kolacji. – Podeszła do stołu. Na talerzach było coś z kurczaka z brązowym ryżem, który wołała od białego, oraz stosik surowki z warzyw. Ujdzie. – A więc Grange... – zaczęła i opowiedziała wszystko po kolei.

Jeden raz Roarke nie wytrzymał i musiał jej przerwać.

– Peabody?! – zdumiał się. – Nasza Peabody aż tak na nią naskoczyła?!

– Jak dzika kocica z dżungli albo rozwścieczona żmija. Musiałam ją powstrzymać, bo miałam wrażenie, że dopiero się rozkręca. Najwyraźniej Grange nie jest przyzwyczajona do kontaktów z ludźmi, którzy się jej stawiają. A jeśli już to robią, zwykle rozgniatą ich jak pluskwy. – Zadowolona z odzewu, wzięła dokładkę ziołowego ryżu. – Najwyraźniej spodziewała się po mnie, że ją przeproszę i obiorę taktykę uprzejmego, unizonego tonu wypowiedzi – ciągnęła Eve – szczególnie po tym, kiedy kazałam Peabody się przejść i ochłonąć. Och! A ten mój strój i w ogóle cała prezencja! – Wzięła dokładkę kurczaka, rozkoszując się subtelnym smakiem tego, w czymkolwiek był obsmażony i podduszony. – Nie pomyliłeś się co do efektów.

– To dobrze.

– No więc Grange stanowczo nie była przygotowana na to, że ja również na nią naskoczę. Nie sądziła też, że zauważę zdjęcie Whitta seniora na ścianie jej gabinetu. Są ewidentnie parą.

– Jesteś pewna?

– Na bank. Miałam całkowicie odmienne odczucia co do Kendel Hayward...

Roarke słuchał i słuchał, dokroił chleba, dolewał wody do szklanek, Eve bowiem znów powróciła do pracy.

– A więc niegrzeczna dziewczynka ze szkoły średniej odnalazła swoją drogę – podsumował. – Większość dzieciaków tak ma.

– Jest wdzięczna swoim rodzicom za to, że wkroczyli twardo do akcji, że się nie złamali. Są obecnie rozwiedzeni. Ojciec prowadzi sklep dla nurków gdzieś w tropikach, lecz Kendel mówiła o nich tak, jakby wciąż byli razem.

– Dla niej są parą. Mamą i tatą. Rodzicami.

– Taa... Układ ten mimo wszystko sprawiał wrażenie... zdrowego – orzekła Eve. – Ze wszystkich osób, o których rozmawialiśmy dzisiaj, tylko dwie sprawiły na mnie wrażenie szczerych. Nie cofnęły się ani o krok w swoich postanowieniach. To właśnie Hayward i ten twój Rodrigues.

– Ciesz się twoją opinią o nim.

– Może przejdziemy do Marshalla Cosnera oraz Stephena Whitta? Dobrze, że stać ich na kupno kolejnych portek, ponieważ te, które mieli na sobie, zaczynały się na nich palić, nim te wstępne rozmowy z nami dobiegły końca.

Kiedy streszczała mu wszystkie dotychczasowe przesłuchania, Roarke myślał sobie, że robi to jak prawdziwy ekspert: ten, kto jej słuchał, wciągał się w akcję tak, że dosłownie słyszał tonację ich głosów, widział oczami wyobraźni ich ruchy.

Rozparł się wygodnie w fotelu z kieliszkiem wina i tylko od czasu do czasu kiwał głową.

– A więc dopadłaś już Whitta – rzekł.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. Słyszałem to w tonie twojej opowieści. Jak wielkim naiwniakiem jest według ciebie Cosner?

– Wywnioskowałam, że wpatrzony jest w Whitta jak w obrazek już od lat. To Whitt tu przewodzi. Ekscytuje go przemoc, co do tego nie mam wątpliwości, lecz to nie on pociąga za sznurki. Miguel powiedział, że myślał wtedy, że go zabiją, a ja uważam, że gdyby wówczas Whitt powiedział do Cosnera: „Hej, brachu, podnieś no tamten kamień i rozwal nim czachę temu dupkowi!”, Cosner na pewno by to zrobił. – Odsunęła talerz na bok. – Może czuł lekkie mdłości, myśląc o tym, kiedy narkotyki przestawały działać i kiedy był sam, ale zawsze to jakoś usprawiedliwiał. „Dupek zasługiwał na to, a poza tym Steve mi kazał”. Miguel stwierdził również, że według niego Grange o wszystkim wiedziała. Wiedziała, kto nakręcał Cosnera, ale go kryła. W taki właśnie sposób działa to babsko.

– Ją również powinnaś aresztować – doszedł do wniosku Roarke.

– Zrobię to z największą przyjemnością. – Uniosła szklanekę z wodą do góry, jakby spełniała nią toast. – Naprawdę z wielką przyjemnością – powtórzyła. – Być może nie uda mi się wsadzić jej do więzienia, lecz jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, nie będzie mogła znaleźć pracy w szkole nawet jako sprzątaczką przy czyszczeniu kibli.

– Chyba kara, do której uzyskania dążysz, odpowiada popełnionemu przestępstwu?

Słyszając to, Eve pokręciła głową.

– Chciałabym, żeby była większa, ponieważ i ona, i Whitt są tacy sami. Władza nad słabymi i bezbronnymi ich nakręca. Grange może i nie jest bezpośrednio wplątana w te morderstwa, na pewno jednak

w jakiś sposób przyczyniła się do powstania ich koncepcji.

– Co mogę zrobić, żeby ci pomóc w aresztowaniu tej trójki? – spytał Roarke.

– Jutro rano jestem umówiona na powtórne przesłuchanie Cosnera. Ma się pojawić w towarzystwie zespołu prawników, którymi najprawdopodobniej kieruje jego ojciec. Załatwiłyśmy to w ten sposób, by tatuś niby przypadkiem został poinformowany o tym, że policja ma oko na jego synalka.

– Ostrzegłyście go?

– Niezupełnie. Sądzę, że w tym przypadku obie z Peabody wyczułyśmy pismo nosem. Ojczulek wie, że jego syn to totalny nieudacznik. Załatwili mu odwyk, kryli go, ile mogli, dawali pracę, byle tylko się utrzymał na prostej i znów nie stoczył. A teraz co? Morderstwo! Tym razem miarka się przebrała. Co to właściwie znaczy? – zamilkła i zamyśliła się na moment, ściągając brwi. – Czy miarka może się przebrać? Przebrać się za coś? A może za kogoś? Dlaczego właściwie użyłam tego wyrażenia, skoro nie ma ono sensu?

– Pozwolisz, że nie będę tego komentował – zauważył całkiem rozsądnie Roarke.

– Tak czy owak, mam zamiar złamać Cosnera juniora i zaoferować mu ugodę. Na pewno wyda swojego kumpla, bo nie będzie chciał spędzić reszty swojego nędznego życia w betonowej klatce gdzieś na innej planecie. Zanim to jednak nastąpi...

– Załatwisz mi dobrą zabawę? – wszedł jej w słowo.

– Zajmiesz się tym, co tygrysy lubią najbardziej. – Uśmiechnęła się szeroko do męża. – Chcę, żebyś sięgnął bardzo głęboko i poszperał w finansach Marshalla Cosnera oraz Stephena Whitta. Tego ostatniego szczególnie.

– To moje ulubione zajęcie... No, prawie. Jesteś dla mnie taka dobra!

– Posądzałam początkowo Cosnera, że to on opracował recepturę tej toksycznej substancji, ale teraz, po rozmowie z nim, zwątpiłam. Nie wydaje mi się, żeby był w stanie zrobić coś takiego samodzielnie. Musieli kogoś mieć. Może jakiegoś szalonego naukowca, którego istnienie podejrzewa wciąż Peabody. Musieli kogoś opłacać, przynajmniej do chwili opracowania owej receptury, a to oznacza przelewy lub regularne wypłaty gotówki, zakup wyposażenia laboratorium oraz potrzebnych składników, środków zabezpieczających. Tania to wszystko nie wyszło. – Wstała, podeszła do mapy zbrodni, a potem zaczęła krążyć po pokoju. – Obaj są bogaci, ale Whitt ma głowę na karku, a poza tym zajmuje się zawodowo finansami. Na jego miejscu nie chciałbyś się afiszować z płatnościami, bo zaprowadziłyby śledczych wprost do ciebie. Oczywiście jest święcie przekonany, że nawet nie będziemy próbować powiązać go z tą sprawą. Uważa siebie za stojącego wyżej od innych, dokładnie jak Grange. Będzie jednakże ostrożny. Zapewne zdążył już poinstruować Cosnera, by ten również zachował ostrożność.

– Już mi się to podoba.

– No ja myślę. Powinieneś zacząć sprawdzać od chwili zaręczyn Hayward i potem. Sądzę, że zaręczyny stały się impulsem, który wyzwolił w nim chęć zemsty. Whitt nie kochał jej, bo nie był zdolny do miłości, lecz uważał ją w swoim pokręconym umyśle za coś, co posiada na własność, coś przypisanego wyłącznie jemu. Ona zaś odcięła się od niego lub może to jej rodzice odcięli go od niej.

– A za pierwotną przyczynę wszystkiego uważał działania Rufty'ego oraz Durana – wysnuł prawidłowy wniosek Roarke.

– Tak właśnie było – potwierdziła Eve. – Mogło tak być, że decyzję o zemście podjął już wtedy. Hmm... „Pieprzyć ją, tak naprawdę nigdy jej nie chciałem”, mógł pomyśleć. Może wyobrażał sobie, że ona jeszcze kiedyś do niego wróci? A tu masz: zaręczyny. Kubeł zimnej wody na głowę. W dodatku rodzina narzeczonego to prominięci, a to dla niego mocny policzek.

– Rozumiem. Masz rację. Bez niego u boku nie powinna była poradzić sobie w życiu. – Roarke przyglądał się uważnie zdjęciu portretowemu Hayward. – Ona zaś nie poświęciła mu nawet jednej myśli. Odniosła sukces na własnych zasadach i potem, co uraziło go zapewne jeszcze bardziej, nagle stała się ulubienicą mediów jako zaręczona z chłopakiem, który również odniósł sukces w życiu, chłopakiem pochodzącym z rodziny znanych polityków.

– Można iść o zakład, że skończy się wystawnym weseliskiem – dodała Eve – i jeszcze większym zainteresowaniem mediów.

– A to wszystko powinno się stać jego udziałem – podsumował Roarke, kiwając głową. – W takiej sytuacji to złote jajo pasuje jak ulał do Złotej Akademii – mówił dalej. – Whitt do tej pory dostawał wszystko, czego zapragnął, i wyobrażał sobie, że tak będzie zawsze, jednakże Rufty i jemu podobni zabili mu kurę znoszącą złote jaja.

– Ściągnęła brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Jaką znowu kurę? – palnęła wreszcie.

– Przysłowiową kurę, która nosi złote jaja, kochanie. Zabijasz kurę, koniec ze złotymi jajami.

– Aaa! Jasne, jasne. – Wreszcie pojęła zastosowaną tu przenośnię. – Okej, rozumiem. Użył symbolicznego przekazu. Coś w rodzaju: „Odciełście mnie od złotych jaj, to macie za swoje”.

– Przez to ten jego inteligentnie symboliczny pomysł na zemstę staje się jeszcze bardziej ohydny.

– Gwarantuję ci, Roarke, że nieźle sobie pochichotał nad tą swoją cholerną przebiegłością. Musiał jednak mieć kogoś, kto rozpracował formułę tej substancji, kto opracował sposób, jak to... przedestylować, czy jak to tam się nazywa. To musiało kosztować.

– Wezmę to pod uwagę. A czym ty się zajmiesz?

– Sprawdzę, czy uda mi się znaleźć jeszcze jakichś nauczycieli i byłych uczniów Złotej, którzy zechcą ze mną porozmawiać. Szczególnie interesuje mnie ten belfer, który wpadł na swojego kolegę po fachu uprawiającego z Grange seks na terenie szkoły. Ten, który ją bzykał, zginął w wypadku samochodowym.

– Coś podejrzanego?

– Nie. Wydarzyło się to pięć lat temu zimą. Michigan, oblodzone drogi, karambol kilku samochodów, dwie ofiary śmiertelne. – Pokręciła głową. – Pozostaje mieć nadzieję, że inni, z którymi będę rozmawiać, coś pamiętają. Później zamierzam pogrzebać w przeszłości Whitta, w jego czasach studenckich. Może tam znajdę jakieś powiązania, które poprowadzą mnie dalej.

– Zatem oboje powinniśmy mieć z tego niezłą zabawę na wieczór.

– Fajnie, że oboje nas to rajcuje, no nie? – Skoro Roarke przygotował posiłek, poszła w stronę stołu, żeby posprzątać. – Wiesz, co ci jeszcze powiem? Prawdę mówiąc, całkiem mi się podobało sadzenie tamtego drzewka.

– Mnie też.

– Nie myśl tylko, że przerzucę się na ogrodnictwo.

– Myślę... choć obojgu nam poszło całkiem dobrze z tym drzewkiem... że oboje dobrze wybraliśmy ścieżki naszych karier zawodowych.

Całkowicie zgadzała się z mężem, nie pozostało jej więc nic innego, jak zanieść talerze do kuchni.

Eve przejrzała notatki Rufty'ego ze spotkań z personelem szkoły z początkowego okresu pełnienia przez niego funkcji dyrektora w Złotej Akademii oraz notatki Peabody i na ich podstawie sporządziła listę, ustalając kolejność spotkań na następny dzień według tego, jak bardzo Grange mogła pracownikom zająć za skórę. Potem odrzuciła garstkę tych, którzy przeprowadzili się poza stan, i postanowiła skontaktować się z nimi dopiero po sprawdzeniu samego Whitta.

Stwierdziła, że te ponad czterdzieści minut spędziła bardzo produktywnie, uzupełniając równocześnie własne notatki. Przeczesła dokładnie wszystkie wykrętne odpowiedzi, sprawdziła cheerleaderki i miotaczy z czasów Grange, miała momenty zawahania, ale w końcu wybrała.

Darcie Finn-Powell, nauczycielka klas początkowych ze Złotej, która pracowała obecnie w państwowej szkole w północnej części stanu, została przez Grange zwolniona, długo nie mogła znaleźć pracy, a w końcu zaoferowano jej o wiele gorsze stanowisko. Dyrektorka zniszczyła jej karierę.

W ten sposób Darcie objęła prowadzenie w rankingu Eve.

Od razu się z nią skontaktowała.

– Uderzała do mojego męża! – powiedziała Darcie.

Eve wykonała w myślach szybki piruet radości, ale zareagowała w sposób przemyślany i wyważony.

– Rozumiem – odrzekła. – Czy mogłaby mi pani wytłumaczyć to nieco obszerniej?

– Thad jest strażakiem. Zaprosiłam go do mnie na lekcję, żeby opowiedział dzieciakom o swojej pracy. Trzecioklasistom znaczy się. Oni uwielbiają strażaków. Przyszedł ubrany w kombinezon strażacki i hełm, wziął kilka narzędzi pracy. Było świetnie. Dyrektorka Grange obserwowała część jego prezentacji, a potem go zaprosiła do swojego gabinetu. Twierdziła, że pragnie porozmawiać o kolejnych wizytach w szkole, może o wycieczce z dziećmi na teren na pokazy strażackie i takie tam.

– Okej.

– A potem zaczęła się do niego przystawiać. Zaczęła go... hmm... dotykać, zasugerowała, że powinni się spotkać po pracy na drinka i podyskutować o sposobach rozniecania ognia. Zdrętwiał z wrażeń.

– Rozumiem, że to on opowiedział pani o tym zająćcu?

– Zrobił to jeszcze tego samego wieczoru. Powiedział, że w pierwszej chwili wydawało mu się, że dyrektorka stroi sobie z niego żarty. Twierdziła między innymi, że dla niej wszyscy mężczyźni ryzykujący życie w pracy są bardzo atrakcyjni, a on w dodatku na pewno musi być bardzo wytrzymały na otaczający go żar wysokiej temperatury. No nie mogę! I wie pani, co jeszcze? Byłam wtedy w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem, a ona o tym wiedziała.

– Może mi pani powiedzieć, co z tym zrobiliście?

– Tak. Czemu nie? Do tamtego momentu starałam się siedzieć cicho i nie wtrącać. Uczylałam klasy trzecie i robiłam, co mogłam, żeby tylko nie wtrącać się do polityki szkoły i tego całego cyrku. Wiedziałam, że było paru nauczycieli, którzy ścięli się z dyrektorką, szczególnie ci uczący w klasach wyższych, jednakże zależałam mi jedynie na możliwości spokojnego prowadzenia lekcji. Znajdowałam się w niezłej sytuacji, a poza tym mieliśmy dziecko w drodze – zamilkła na chwilę i westchnęła głęboko. – Nie zamierzałam jednak udawać, że niczego nie widzę, kiedy zasadziła się na mojego własnego męża. Od razu następnego ranka wparowałam do sekretariatu szkoły i jej nawrzucałam. No i wie pani, jak ona na to zareagowała?

No niezłe, niezłe. Wciąż jest wściekła – ucieszyła się Eve i dodała w myślach kilka podskoków z wykopem do swojego wewnętrznego tańca radości. Na tyle ją to rusza, że może mi dać oświadczenie na piśmie.

– Jak? – spytała krótko.

– Wyśmiała mnie! Roześmiała mi się w twarz! Powiedziała, że skoro mój małżonek tak poprzekreślał znaczenie jej słów, zapewne ja nie potrafię go zadowolić. Utrzymywała, że to on zaczął z nią flirtować, co ona z kolei uznała za zabawę, która nikogo nie krzywdziła, a jeśli nie chcę wylecieć z pracy, mam nie rozpowiadać po szkole o swoich kłopotach z seksem w małżeństwie. Skłamała, twierdząc, że to Thad z nią flirtował. Musi mi pani uwierzyć...

– Wierzę w każde słowo.

– To dobrze. – Darcie tym razem wzięła oddech przez nos i spokojnie wypuściła powietrze ustami. – Okej. To dobrze. Na wszelki wypadek przestałam udawać, że niczego nie widzę. Po prostu nie mogłam. Podpisywałam wszystkie skargi, z którymi nauczyciele chodzili do rady szkoły. Wytrzymałam do samego końca, mimo że było to bardzo stresujące. Potem Rufty zmienił ją na stanowisku dyrektora. Byłam tam krótko za jego czasów, gdyż poszłam na urlop macierzyński po urodzeniu pierwszego dziecka. Zdecydowaliśmy się z Thadem na wyprowadzkę poza miasto i nigdy już nie wróciłam do Złotej Akademii.

– Pozwoli pani, że spytam jeszcze o pewną delikatną sprawę. Czy słyszała może pani o jakichś akcjach, kiedy to dyrektorka Grange zachowała się niestosownie w stosunku do męża innej nauczycielki, do innego nauczyciela lub może ojca któregoś z uczniów?

Darcie ponownie zrobiła zamyśloną minę. Zawahała się.

– Wolałabym rozmawiać jedynie o tym, co dotknęło mnie osobiście – odrzekła w końcu.

– Rozumiem. Jest pani pedagogiem. Po tych wszystkich doświadczeniach z Lotte Grange, biorąc pod uwagę to, co pani o niej wie... – Eve zawiesiła głos. – Czy jako pedagog uważa pani, że posiada ona stosowne kwalifikacje, by zajmować stanowisko dyrektorki w placówce dydaktycznej?

– Nie. Absolutnie nie.

Eve nie przerwała ciszy, która zapadła po tym stwierdzeniu.

– Cholera jasna by to wzięła! – Darcie zamknęła oczy na krótką chwilę. – Mogę powtórzyć tylko to, co osobiście słyszałam lub o czym mi opowiadano. Nie mogę przysiąc, że to prawda, choć wierzę, że tak było.

– Nie jesteśmy w sądzie. Nie musi pani przysięgać.

Darcie znowu głęboko odetchnęła i poprawiła krótkie orzechowobrzgowe włosy.

– Rety! Przez tę rozmowę cała przeszłość wraca. Należę sobie kieliszek wina, dobrze?

– Nie mam nic przeciwko.

Eve zobaczyła na wyświetlaczu kilka widoków jej kuchni: lodówkę całą obwieszoną rysunkami dzieci oraz coś w rodzaju korkowej tablicy informacyjnej z przypinanymi zdjęciami i notatkami.

Kobieta nalała sobie wina o słomkowej barwie i upiła jeden orzeźwiający łyk.

– Została przyłapaną na uprawianiu seksu z Vanem Piersonem w szkole. Uczył historii w klasach od szóstej do ósmej. Wyatt... Wyatt Yin, nauczyciel informatyki na tym samym poziomie, wszedł prosto na nich. Van był bodajże ostatnim, zanim odeszła. Nie był przy tym pierwszym, jak powiadano.

– Czy mogłabym prosić o nazwiska?

Eve zapisała wszystkie.

– Co z ojcami uczniów?

– Mój Boże! Boże mój! – jęknęła, zamilkła, znów zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem długo wypuszczając je z płuc. – Jedyny, o którym dowiedziałam się osobiście, to Grant Farlow. Dowiedziałam się o tym tylko dlatego, że uczyłam jego synka i znałam jego matkę. Nie uczył się w mojej klasie, kiedy się to stało. Był już w czwartej. – Po kolejnym łyku wina Darcie przestała chodzić w tę i z powrotem po swojej przyjaznej dla małych dzieci kuchni i wreszcie usiadła. – Zabrali go ze Złotej. Rozmawiałam z jego matką, bo Deke był takim dobrym uczniem, i wtedy powiedziała mi, że jej mąż przyznał się do tego, że miał przelotny romans z dyrektorką. Wtedy było już po wszystkim, chodzili oboje na terapię, ale ona i tak nie chciała, żeby ich syn został w tej szkole.

– Pozostawialiście w dobrych stosunkach z matką Deke'a?

– Tak. Skończyło się ich przeprowadzką do Filadelfii. Zaczęli wszystko od nowa. Straciliśmy kontakt, czasem tylko piszemy do siebie mejle, lecz wiem, że ich małżeństwo nie wytrzymało próby czasu. Grant nie jest tu bez winy, ale ta kobieta to potwór.

– Mówi pani, że byli też inni?

– Widziało się co nieco albo słyszało. Powtórzę jednak, że ja osobiście nic o tym nie wiem.

– Co mogłaby mi pani powiedzieć na temat Stephena Whitta?

– Pamiętam to nazwisko, ponieważ często je wymieniano podczas spotkań naszej grupy przeciwników Grange. Oszust, chuligan szkolny, szef paczki łobuzów i ulubieniec dyrektorki.

– Ulubieniec dyrektorki? – zdziwiła się Eve.

– Bez względu na to, ile nabroił, nie ponosił żadnych konsekwencji i dobrze o tym wiedział. Nie miałam z nim osobiście do czynienia, ale inni z naszej grupy owszem. Jego rodzice byli jednymi z największych darczyńców szkoły: pieniądze od nich płynęły nieprzerwanym strumieniem, no i...

– No i?

– Cóż, cholera! – Nalała sobie kolejny kieliszek. – Nie mogę tego potwierdzić. To krążyło wyłącznie w sferze domysłów... Podobno dyrektorka utrzymywała bliższe kontakty z ojcem Stephena Whitta. Nie

był jedynym o to podejrzewanym, ale to on był osobistością znaną wszystkim w szkole, zawsze na pierwszym miejscu wśród mecenasów Złotej, nim Grange przeniosła się gdzieś indziej. Gdy syn został również przeniesiony, wielu z nas uważało, że to tylko przykrywka, aby zaprzestano o tym gadać. Jednakże to tylko plotki.

Plotki dodane... – pomyślała Eve, uzupełniając swoje notatki po zakończeniu rozmowy – ...nazwisko Whitt zaś nie wypełniałoby wykopkowanych miejsc z niewiadomymi, gdyby nic nie znaczyło.

Na kolejną sprawę do załatwienia wybrała telefon do Wyata Yina, mieszkającego obecnie w Kolorado. Patrzył na nią z wyświetlacza ciemnymi, poważnymi oczami.

– Tak. Dotarły do mnie te okropne wieści – powiedział. – Wciąż pozostaję w kontakcie z kilkoma osobami, które poznałem w Złotej Akademii.

– Opuścił pan szkołę około roku po tym, jak dyrektorem został doktor Rufty.

– Tak, ale nie z jego powodu. Był dobrym zarządcą, oddanym pracy, sprawiedliwym. Chodziło o to, że... nigdy nie czułem się tam jak w domu. To znaczy w Nowym Jorku, w Złotej Akademii. Wszystko to jak dla mnie było zbyt rozsdę, a równocześnie w pewien sposób ograniczające. Spędziłem miesiące letnich wakacji tutaj, w Kolorado, ucząc dzieci z biednych rodzin, i tu znalazłem swoje miejsce na ziemi. Tu poznałem obecną żonę. – Zaczął się uśmiechać. – To było jak przeznaczenie. Tutaj jestem wreszcie u siebie.

– Proszę mi opowiedzieć o Lotte Grange.

Jego uśmiech natychmiast zgasł.

– Praca w Złotej Akademii była moim pierwszym zetknięciem się z nauczaniem w tak wysoko notowanej prywatnej placówce edukacyjnej. Nigdy przedtem nie miałem nad sobą takiej dyrektorki.

– Czy ją również nazwałby pan dobrą zarządczynią, panie Yin? Równie oddaną pracy i sprawiedliwą?

– Absolutnie nie. Powtórzę, że byłem dopiero po studiach, a poza tym była moją przełożoną jedynie przez osiemnaście miesięcy. No i znowu powtórzę, że nigdy tam nie pasowałem.

– Co pan wie o Vanie Piersonie?

Westchnął ciężko.

– To nie była jego wina – powiedział. – Na pewno pani słyszała, co się wydarzyło te kilka lat temu. Chciałbym, żeby to pani dobrze zrozumiała: on nie był temu winien.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Zaczęliśmy tam pracować w tym samym czasie. Obaj byliśmy młodzi, nowi w zawodzie. Van i ja uczyliśmy te same klasy i często wymienialiśmy się uwagami o naszych wspólnych uczniach. Był dobrym pedagogiem. Tamtego dnia pracowałem do późna. Prowadziłem lekcję indywidualną z którymś z moich uczniów. Nie było na coś takiego pozwolenia, więc... no można powiedzieć, że robiłem to w tajemnicy przed dyrektorką.

– Rozumiem.

– Kiedy już odprawiłem ucznia, popracowałem jeszcze chwilę. W momencie opuszczania szkoły zatrzymałem się przed pokojem nauczycielskim. Pomyślałem, że wypiję jeszcze kawę, zanim wrócę do siebie. I wparowałem prosto na dyrektorkę i Vana. Byłem w szoku oczywiście i zawstydzony natychmiast wyszedłem. Ze dwie godziny później przyszedł do mnie Van, roztrzęsiony, w rozpacz. Najpierw zaczął mnie błagać, żebym nic nikomu nie mówił. Sam nie wiem, co ja bym zrobił na jego miejscu, ale okazało się... i ja mu wierzę... że uwzięła się na niego. Naciskała i żądała. Szantażowała go, że jeśli chce utrzymać swoje miejsce pracy, musi się zgodzić na... na intymne spotkania. Był tu nowy, tak jak i ja. Młody, tak jak ja. Więc zrobił, jak mu kazała.

– Nic pan nikomu nie powiedział?

– Nie. Rozmawialiśmy przez pewien czas, Van i ja. Przekonałem go, że musimy poinformować o tym radę szkoły. Użyła swojej władzy i autorytetu, by go zmusić do upróżnienia z nią seksu, a to coś nie do zniesienia. – Znowu westchnął. – Widzi pani, byliśmy młodzi i dopiero rozpoczynaliśmy pracę, a to ona miała władzę. Odwróciła kota ogonem i utrzymywała, że to on ją zaatakował, a ja wziąłem jego stronę i go bronię. Vana zwolnili, ja dostałem upomnienie. Potrzebowałem tej pracy, więc zostałem. Dowiedziałem się akurat wtedy, że ona odchodzi z początkiem nowego roku, i zdecydowałem się zostać. – Zamyślił się. – Van wyjechał z Nowego Jorku, a z tym wpisem do papierów nie mógł nigdzie znaleźć pracy jako nauczyciel. Pięć lat temu zginął w wypadku samochodowym. Myślę teraz, że gdybym wtedy nic nikomu nie powiedział, dalej uczyłby w Złotej Akademii, bardzo mu się tam podobało. Nie byłoby go w Michigan, w tamtym samochodzie na oblodzonej drodze. Ile jest w tym mojej winy?

– Nie ma w ogóle – zapewniła go Eve. – Wszystko tu zaczyna się i kończy na Grange, panie Yin. A oprócz Vana słyszał pan może o innych, na których dyrektorka wywierała presję albo bez ogródek umawiała się na seks?

– Plotki były. Ja wiem jedynie o Vanie.

– A Brent Whitt, ojciec Stephena?

– W czasie, kiedy to wszystko się zdarzyło, najwięcej plotek dotyczyło właśnie jego. Nie rozumiem jednak, jak ta informacja miałaby pomóc pani w prowadzeniu dochodzenia dotyczącego tych tragedii.

– To już moja sprawa, co ja z tym zrobię – odrzekła Eve.

No i... – pomyślała – na pewno dobrze to wykorzystam, cholera!

Zaczęła przekopywać się przez dane związane z przeszłością Stephena Whitta.

Technicznie rzecz biorąc, jego przeniesienie do innej szkoły przebiegło bez zakłóceń. Prawdopodobieństwo, że coś poszło nie tak – rozważała – było żadne. Wierzyła mu, kiedy mówił, że był wówczas wściekły, przynębiony, skory do kłótni.

Co jeszcze? Whitt nękał innych uczniów i oszukiwał, jak chciał, najwyraźniej z błogosławieństwem Grange – ale tylko w Złotej. Jaki nasuwa się logiczny wniosek? Grange zaczęła się zachowywać przyzwoiciej.

Rodzinna tradycja poparta pieniędzmi pozwoliłaby i tak umieścić go w Northwestern, ale potrzebował też dobrych stopni. Musiał sam je wypracować, ponieważ Grange przestała go chronić.

Nie jest głupi. Przeciwnie: bardzo inteligentny. Miał wystarczająco dużo oleju w głowie, by wiedzieć, że musi trochę przystopować, jeśli chce zająć ten duży narożny gabinet.

Lubi pieniądze. Bawi się nimi, bo lubi. Dla niektórych to jak gra. Znam ten rodzaj ludzi – pomyślała Eve, zerkając w stronę gabinetu męża.

Pieniądze to władza, a władza jest dla niego celem nadrzędnym. Władza, prestiż, odpowiedni styl życia.

Prześlizgiwała się wzrokiem po artykułach z prasy. Rubryki towarzyskie, stronicze z finansami, rubryki plotkarskie. O tak! Młody wilk u progu wielkiej kariery, zawsze na topie. Znalazła wiele fotek z nim, z eleganckimi kobietami u boku. Z tą samą nie więcej niż dwukrotnie – jak zauważyła, a co ciekawe, większość z nich urodą przynajmniej w pewnym stopniu przypominała Hayward.

Wciąż czujesz do niej miętę, co Steve? Do tej, która odeszła.

Eve nie przerywała przekopywania się przez strony w internecie.

Tylko na moment oderwała wzrok od komputera, kiedy wszedł Roarke i przesunął się obok niej, żeby skorzystać z jej AutoChefa.

– Mam jeszcze coś na Grange – powiedziała. – Udupię ją jak nie za jedno, to za drugie. Jeśli do tego dojdzie, być może będę musiała wykorzystać ją przeciwko Whittowi. Albo wykorzystać oboje, ustawiając ich przeciwko sobie. Plusem jest to, że wciąż kręci go Hayward, więc...

Poczuła zapach, nim zdążył postawić mały talerzyk deserowy na blacie. Ciastko. Wielkie, puszyste, smakowite ciastko. Wzięła je do ręki – jeszcze ciepłe – i przesunęła się nieco, kiedy przysiadł obok.

– Albo masz coś, co zasługuje na nagrodę w formie ciacha, albo coś zbombardowałeś i chciałeś zjeść je na pocieszenie – oznajmiła.

– To pierwsze. – Odgryzł kawał swojego. – Zapewne kiedyś dotarłaś do Lucasa Sancheza, ksywka Loco, ale ja to już zrobiłem za ciebie. Nie żyje, zamordowany około miesiąca temu. Wyglądało na to, że coś poszło nie tak w trakcie próby sprzedaży prochów. Został dźgnięty wielokrotnie ostrym narzędziem w ciemnej alejce Alphabet City. Prowadzą tę sprawę Jenkinson i Reineke.

– Wciąż jest otwarta. – Eve przywołała w pamięci mapę zbrodni z sali ogólnej Wydziału Zabójstw. –

Otwarta, ale utknęła w martwym punkcie. Mordercy nie odnaleziono. – Wygrzebała z pamięci dane tamtego dochodzenia, raporty i przelotne rozmowy. Samodzielnie pichcił przeróżne nielegalne substancje odurzające, a przy tym sam był uzależniony.

– Zgadza się. Jeśli cofniemy się o dekadę, odnajdziemy młodego Lucasa na stypendium naukowym w Złotej Akademii. Stypendium zostało cofnięte po jednym semestrze, kiedy to został aresztowany za posiadanie nielegalnych substancji.

– Ale z ciebie skurczybyk! Oczywiście w pozytywnym znaczeniu – dodała szybko.

– No ja myślę, że mnie doceniasz. – Roześmiał się Roarke. – Część owych posiadanych nielegalnych substancji krążyła już w jego ciele, kiedy próbował okraść dwie turystki na Times Square. Jedna z nich dała mu porządnego kopa w jaja, a druga zadzwoniła po policję.

– Musiał znać Cosnera i Whitta.

– Zapewne. Jestem również przekonany, że pasuje do wizji szalonego naukowca Peabody. Dostał to stypendium za fantastyczne postępy w chemii.

Eve aż podskoczyła.

– Cosner i Whitt gnębili uczniów dostających stypendia. Wielu z nich. Ten mógł mieć u nich chody, jeśli umiał samodzielnie wytwarzać substancje odurzające i ich w nie zaopatrywał. Cosner, kolejny uzależniony. Kombinator, jak nazwała go Hayward. Loco mógł być jego dostawcą, a w efekcie wykorzy-

stali go do opracowania receptury naszej substancji toksycznej. – Odwróciła się do męża. – Jak, u licha, udało ci się to wyciągnąć, przeszukując ich finanse?

– W sposób nieco okrutny. Cosner nie jest tak inteligentny jak Whitt. Obaj grają w gry hazardowe i obstawiają wyniki meczów oraz wyścigów w internecie. Stosują prosty trik: wydatki na to jako przykrywka płatności.

Eve znów odtańczyła w myślach radosny taniec zwycięstwa.

– Jakich konkretnie płatności? – zainteresowała się.

– Właśnie ku temu zmierzam. Cosnerowi dwukrotnie udało się rąbnąć i przesłał po dziesięć tysięcy bezpośrednio na konto Lucasa Sancheza. Whitt specjalnie się nie krył i co miesiąc tego samego dnia wykazywał tę samą kwotę strat na grach hazardowych. Sądzę, że to ta sama kwota pieniędzy, którą dostawał bokiem Sanchez.

– Wiem, jak obraźliwe byłoby dla ciebie stwierdzenie, że przeprowadzasz rozumowanie jak rasowy policjant, więc tego nie powiem.

– Doceniam. Są też inne, podobnie wykazane straty lub sposoby działania. Na przykład Whitt wymienia w zeznaniu podatkowym jakiś obraz, który podobno nabył od artysty malującego na ulicach Paryża za kwotę dwudziestu tysięcy dolarów w gotówce, a który to obraz nie został ubezpieczony. Obaj stosują różne warianty prania pieniędzy, w tym klasyczne. Schemat działania był zawsze taki sam: dwadzieścia tysięcy przekręcane w dwóch ratach na miesiąc od września zeszłego roku do stycznia. Od stycznia do końca marca suma się podwaja do dwudziestu tysięcy na ratę, a potem nic. Pod koniec marca zginął również śmiercią nagłą i tragiczną nasz Loco.

– Dostali od niego to, co chcieli – wywnioskowała Eve. – Albo wyprodukował im wystarczającą ilość zabójczej substancji, albo opracował formułę. Podwojenie początkowych kwot sugeruje, że mógł od nich żądać wciąż więcej i więcej. Stał się zbyt zachłanny lub może zbyt gadatliwy, a może po prostu nie chcieli ryzykować informowania go na bieżąco.

– Zgadzam się.

Eve zaparzyła jeszcze dla każdego z nich po kawie pasującej idealnie do ciastek.

– Wstrzymaj się chwilę – powiedziała do męża. – Pozwól, że się skontaktuję z Jenkinsonem i sprawdzę, czy może coś do tego dodać.

– Dodałbym jeszcze coś od siebie – rzekł – ale na razie zjem ciastko, a ty dzwoń.

Skontaktowała się z Jenkinsonem, który odebrał telefon kompletnie rozkojarzony.

– Ja chyba pas... – powiedział. W tle słyszalna gwar rozmów. Ktoś jęknął: „To jakiś gówniany blef!”.

Czyżby Feeney?

– Ja twierdę, że to absolutnie gówniany blef i podbijam do dziesięćcu.

Zdecydowanie Feeney.

– Czy Reineke uczestniczy w grze? – spytała.

– Tak. On, Feeney, Callendar i Harvo.

– Harvo?! – zdziwiła się.

– Robi za dziadka – wyjaśnił Jenkinson. – Coś się dzieje?

– Zgadza się. Musisz mnie uważnie wysłuchać.

– Słucham cię. Właśnie spasowałem. – Usłyszała szurnięcie nóg krzesła, kiedy wstawał od stołu. – Dziewczyna z zielonymi włosami i kapitan odjechanych maniaków komputerowych zdarli ze mnie ostatnią koszulę. To upokarzające. Co jest?

– Lucas Sanchez. Loco.

– Taa. Narkoman i domorosły wytwórca substancji odurzających. Zadzgany ostrym narzędziem kilka przecnic od nory, w której rezydował. Kilka miesięcy przed śmiercią nikt w najbliższym sąsiedztwie go nie widywał, zgodnie z zeznaniami wszystkich, ale to, cholera, wszystkich! I ci wszyscy-cholera-wszyscy niczego nie zauważyli, niczego nie słyszeli, niczego nie widzieli i absolutnie nic nie wiedzą. – Wziął garść chipsów z miski i przeżuwał je, równocześnie mówiąc. – I ci wszyscy-cholera-wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że wprawdzie był dupkiem, ale potrafił upichcić całkiem niezły szajs. Ba! genialny szajs. Nie znaleziono przy nim ani towaru, ani pieniędzy. Zabrali mu nawet buty. Żył jak ćpun i zginął jak ćpun. Tak to przynajmniej wygląda.

– Już nie wygląda – oznajmiła Eve.

– A jak wygląda? – Jenkinson zrobił wielkie oczy.

– Jego nazwisko zostało powiązane z gazem paralizującym oraz moimi dwoma głównymi podejrzanymi w sprawie.

– Co za sukinyń! Okej. Cholera! Miał talent do... bo ja wiem, jak to nazwać... swego rodzaju innowacyjności. Nie był przeciętnym gostkiem pichącym dragi. Eksperymentował i wypuszczał na rynek pigułki sporządzane według nowych, opracowanych przez siebie receptur, mieszał chemikalia i ach!

potrafił sporządzić produkt dostosowany do indywidualnego zapotrzebowania kupca. Nie umiał jednak utrzymać zysków ze sprzedaży w kieszeni. Sporo wydawał na prostytutki, na środki chemiczne do użytku własnego oraz na zakłady w internecie. Z tego też powodu nie mógł dostać normalnej pracy na etacie. Miał prawdziwy talent i mnóstwo pomysłów, ale legalne laboratoria i instytuty badawcze nie chciały mieć z nim nic wspólnego. Ciągłe zaliczał wpadki. Był notowany. Zamykano go na krótko w więzieniu, po czym wychodził i robił to samo. Pamiętam, jak któryś z lekarzy medycyny sądowej orzekł, że nie daje mu więcej niż dziesięć lat życia, jeśli dalej będzie żył w ten sposób i tyle ćpał.

Roarke skończył jeść ciastko i pracował teraz na przystawce do jej komputera. Eve zignorowała go.

– Chcę, żebyście razem z Reinekiem ponownie zajęli się sprawą morderstwa Sancheza. Prześlę wam zdjęcia moich podejrzanych: Stephena Whitta i Marshalla Cosnera. Wszyscy trzej chodzili razem do jednej szkoły. Cosner jest uzależniony i zdaje się, że korzystał z usług Loca jako dostawcy prochów.

– Dwóch bogatych typków?

– Tak.

– Dotarliśmy do dwóch dziwek, z których usług szczególnie lubił korzystać. Obie twierdziły, że wciąż się przechwalała, ile to bogaci chłopcy płacą za jego pracę. Jednej mówił, że właśnie pracuje nad jakimś specyfikiem, który uczyni go bogatym człowiekiem. Powtórzyła to nam, a inne się z nią zgodziły, że zawsze plótł coś w ten deseń.

– Tym razem wygląda na to, że nie było to tylko czcze gadanie.

– Ach! – odezwał się Roarke sprzed komputera. – Tu go mam! – Obrócił się z fotelem do Eve. – Chcesz adres?

– Adres czego?

– No cóż... Nie mogę tego potwierdzić na sto procent, ale jest to nieruchomości, którą Marshall Cosner nabył na spółkę holdingową, którą założył zeszłej jesieni. Wygląda to na niewielki magazyn w granicach ścisłego centrum. Loco przecież musiał gdzieś mieszkać i pracować, nieprawdaż?

– Roarke zaraz prześle ci adres – poinformowała Jenkinsona. – Weź Reineke'a. Spotykamy się tam na miejscu.

Kiedy jej mąż to zrobił, ruszył za Eve, która natychmiast wyszła szybkim krokiem z gabinetu.

– Muszę się przebrać i zabrać broń. Jak oceniasz ten budynek?

– O mocnych ścianach, nadający się do wytwarzania trujących substancji. Musieli przecież urządzać gdzieś laboratorium, żeby z powodzeniem pichcić ten swój specyfik. Whitt przysłał Cosnerowi co miesiąc stosowną kwotę. Wyglądało to tak, jakby spłacał jakiś zaciągnięty kredyt albo swoją część wydatków na tę inwestycję. Nieruchomość jest tylko na nazwisko Cosnera. Whitt zachowuje ostrożność. W papierach spółki pozostały jedynie odciski palców Cosnera. Firmę nazwali Żółta Kurka.

– Dwóch próżnych popaprańców! – prychnęła Eve, wciągając buty. – Długo tak zabawiać się nie będą!

*

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Eve przekazywała najnowsze informacje Jenkinsonowi, Marshall Cosner spacerował w tę i z powrotem po wystawnie urządzonej przestrzeni dziennej przebudowanego magazynu.

Miał na sobie bluzę z kapturem, ciemne dżinsy i wysokie czarne trampki – wszystko znanych firm, ale i tak wydawało mu się, że dzięki temu strojowi wtopi się bardziej w tło.

Stephen Whitt zgola na odwrót, miał na sobie świeży garnitur, w który przebrał się po południu. Wkrótce czekało go przemówienie na wieczornym biznesowym spotkaniu w hotelu Middletown.

Wiedział, że wszystko idealnie rozplanował w czasie – w tym akurat był dobry. Przed opuszczeniem spotkania tu zagadał, tam się zakręcił, pokazał się temu i owemu, a potem zręcznie zakłócił działania kamer przy tylnym wyjściu dla personelu i wysliznął się cichcem z hotelu.

Przecznicę dalej, na parkingu innego hotelu, miał zaparkowany skuter, który „pożyczył” od swojego kuzyna. W dziesięć minut znalazł się przy granicy śródmieścia. Dziesięć minut albo chwilę dłużej spędzi tutaj, kolejne dziesięć na powrót – myślał – i wmiecha się niezauważenie w tłumek tańczących po skończeniu głównego posiłku, a może usiądzie gdzieś przy barze. Nikt nawet nie zwróci uwagi, że na jakiś czas zniknął.

Mimo napadu paniki, dobry stary Marsh wysłał drugą paczkę w taki sam sposób jak pierwszą. Niemniej nie zniesie presji, która dopiero miała nadejść. Whitt musiał przedsięwziąć pewne kroki.

Czas przeciąć więzy. Stare więzy, jeszcze ze szkolnej łąwy.

– Tata mi nie wierzy. – Cosner przechadzał się nerwowo po pokoju. – Prawie mnie zgrillował jak rybę na ruszcie.

- A ty zaprzeczyłeś wszystkiemu? – spytał Stephen.
- Oczywiście, że tak. Nie jestem idiotą, Steve, ale widzę, że i tak mi nie wierzysz.
- Stoisz za tobą pluton prawników, Marsh. Dasz radę.
- Łatwo ci mówić.

I owszem – pomyślał Whitt. – Łatwo.

- Pojęcia nie mam, dlaczego przypięła się z tym do mnie. Przecież robiliśmy wszystko jak trzeba, prawda? Obaj mamy alibi. Wszystko robiliśmy jak trzeba.

- Babka blefuje, żeby ci podejść. Jesteśmy idealni jak złoto. Słuchaj, muszę wracać, zanim ktoś zauważy, że zniknąłem. Musisz dać na luz.

- Jezus! Weź i się wyluzuj, kiedy policja depte ci po piętach. – Cosner nerwowo wyłamywał palce u rąk, krążąc bez przerwy po pokoju. – Może powinienem rzucić to wszystko w diabły i wyjechać do Europy.

- Nigdzie nie będziemy uciekać. Chodź no tu, Marsh. Weź działkę. Jesteś na głodzie.

- Ale dlaczego sprawdza akurat nas? Ruffy'ego prawie nie znaleźliśmy, w Złotej uczyliśmy się lata temu. Nie powinna nas o nic podejrzewać. Mówiłeś, że policja nigdy nie wpadnie na nasz trop.

Zupełnie spokojnie Whitt podszedł do tandetnego lustrzanego barku, który koniecznie chciał mieć Loco, wybrał ampułkę, wylał jej zawartość do niskiej szklanki i dodał nierozcieńczonej whisky na dwa palce.

- Ta porucznik nic na nas nie ma. Teraz tylko węszy. Loco nie żyje i nikt już tego nie zwali na nas, jasne? Mamy rozpracowaną formułę. Kiedy skończymy z tym tutaj, zrobimy to, o czym rozmawialiśmy.

- Wyślemy to za morza, sprzedamy za grubą kasę.

- No właśnie – podchwycił Whitt. Wszystko pójdzie dla mnie, pomyślał, podając szklankę swojemu przyjacielowi z dawnych lat. – Wypij!

Cosner wlał jej zawartość do gardła jednym ruchem i westchnął z ulgą.

Tyle wystarczy – pomyślał Whitt – żeby wrócił mu dobry humor, a przy tym pozostanie z lekka nieogarnięty.

- Przygotowałeś już ostatnie jajko? – spytał Marsha.

- Mhm. Cieszę się, Steve, że to będzie ostatnie. Że tak zdecydowaliśmy. Wydawało mi się, że będzie z tego więcej radochy. A tyle było przy tym roboty! Co powiesz, żeby... kiedy już z tym skończymy, ty i ja... żebyśmy zrobili sobie wakacje? Wyjazd w tropiki?

- Niezły pomysł. Ale pokaż mi to ostatnie jajko, Marsh. Tylko po to, żeby się upewnić. Potem pojedziemy gdzieś razem. Wpadniemy do knajpki i dobierzemy sobie jakieś fajne babeczki do towarzystwa.

- A więc mamy plan! – ucieszył się lekko się już chwiejący na nogach Marsh.

Whitt wzięł go pod ramię, wyprowadził z części mieszkalnej i razem z nim wszedł po stalowych schodach na górę, do laboratorium. Minęli białe blaty robocze z palnikami, chłodziarkami, mikroskopami, komputerami, różnorodnymi pojemnikami i zatrzymali się w dobrze zorganizowanej, uporządkowanej strefie pakowania.

Na półce spoczywały trzy puste złożone jaja oraz jedno napełnione trucizną, zamknięte już w przezroczystym, hermetycznym pojemniku. Whittowi zrobiło się trochę żal, że te pozostałe nie zostaną nigdy napełnione i nie zdąży wysłać wszystkich siedmiu. Kolejne jajo było już w paczce, przygotowane do wysyłki.

- Wygląda niezłe – rzekł z zadowoleniem. – Wiesz co? A może spakujemy jeszcze jedno i wyślemy od razu dwa? – zaproponował. – Będziemy mieć to z głowy.

- Z głowy – powtórzył, uśmiechając się głupawo Cosner. Miał szkliste spojrzenie. – Jak fajnie będzie mieć to z głowy! – Parsknął śmiechem.

- No to, cholera, na co czekać? Pojedziemy na te wakacje – dodał, co wywołało jeszcze bardziej nerwowo chichot Cosnera.

- Już się nie mogę doczekać – rozmarzył się Marsh.

- Spakuj je, Marsh, potem je wyślemy i lecimy w tropiki. Spakuj je, Marsh! – powtórzył Whitt z naciskiem.

- Spakuj je i z głowy – zanucił chłopak. – Nagie kobiety na plaży! Hurrra!

Whitt szybko odszedł w najdalszy kąt i natychmiast założył przygotowaną uprzednio maskę przeciwgazową.

Cosner powoli otworzył hermetyczny pojemnik, a wtedy ze złotego jaja, którego uszczelka została lekko uszkodzona, wydostała się chmurka zabójczego gazu.

Przerażony Cosner wypuścił pojemnik z ręką, a jajo roztrzaskało się na podłodze. Chłopak złapał się za gardło, potknął o własne nogi i runął jak długi. Spojrzał jeszcze w górę na Whitta i wyjąkał:

- C-co...?

– Sorki, brachu! – głos Whitta zadudnił spod maski. – Musiałem zrobić, co musiałem. Będzie mi cię brakowało jak diabli.

Organizm Cosnera coraz bardziej odmawiał posłuszeństwa. Próbował się jeszcze czoięgać, gdy Whitt zerknął na zegarek i stwierdził chłodno:

– Och! Muszę się zameldować z powrotem na imprezie.

– Zbiegł na dół po schodach i wrzucił maskę do pomieszczenia magazynowego.

Dziesięć minut i będę z powrotem – myślał, opuszczając budynek. Wyjął jeszcze z kieszeni rozpuszczalnik w spreju, żeby zmyć z dłoni warstwę zabezpieczającą.

Dmuchał skuterem do centrum, absolutnie się niczym nie przejmując.

*

Eve wiedziała, że żaden z jej dwóch podejrzanych nie będzie podejmował ryzyka w sytuacji, gdy jeden z nich miał umówione przesłuchanie w komendzie policji następnego dnia, więc spodziewała się zastać budynek pusty.

Miała przy sobie na wszelki wypadek prokuratorski nakaz przeszukania nieruchomości – dzięki Reo i totalnej bezmyślności, jaką wykazał się Cosner, nadając swej firmie holdingowej nazwę „Złota Kurka”. Planowała wejść do środka, przeszukać wewnątrz, a potem być może zlecić grupie swoich detektywów dokładniejsze przeszukanie obiektu.

Jednakże kiedy się zatrzymali na parkingu przed wejściem, zobaczyła światło przesączające się przez rolety wewnętrzne w oknach.

– Może mają włącznik czasowy? – zaczęła się zastanawiać na głos, kiedy oboje z Roarkiem wysiedli z samochodu. – A może są na tyle niedbali, że zapomnieli wyłączyć?

– Może.

– A może zarobimy ekstra bonusik, łapiąc na gorącym uczynku jednego z tych dupków albo i obu.

– Możliwe, że z zapasem tej śmiertelnie niebezpiecznej substancji.

– Tak, to możliwe. – O tym też pomyślała i dlatego skontaktowała się przedtem z Peabody, polecając jej przywieźć maski przeciwgazowe z Centrali.

Teraz się przechadzała wolnym krokiem po chodniku przed budynkiem i rozmyślała.

– Istnieje tylko jeden powód, dla którego ktoś tam jest – rzekła w końcu.

– Szykują następną wysyłkę – podsunął Roarke.

– I dzisiaj późnym wieczorem ją wyekspedują – kontynuowała jego myśl. – To właśnie mogą tam robić te zarozumiałe skurwysyny. Musimy się rozejść i obstarwić wszystkie możliwe wyjścia. Zamknijemy ich w pułapce.

Roarke przyglądał się z uwagą budynkowi, patrząc oczami potencjalnego złodzieja: rozważał sposoby ochrony budynku, ewentualne drogi dostania się do środka, oceniał, jak najlepiej stamtąd wyjść, jak wygląda ruch kołowy, a jak ruch pieszych wokół.

– Byliby idiotami, gdyby pracowali z tą substancją bez kombinezonów i masek ochronnych – stwierdził.

Trudno z tym polemizować – pomyślała.

– Bądźmy równie dokładni i przewidujący, tyle że będzie znacznie więcej ludzi z odznakami i bronią.

Rozpoznała podjeżdżający z wolna samochód Jenkinsona. Tuż za nim zajeżdżało na podjazd auto Feeneya.

Obserwowała w konsternacji, jak ze środka wysypuje się dwójka jej detektywów, kapitan Wydziału Techniki Operacyjnej, Callendar, a nawet – o Jezu! – Harvo, wreszcie Peabody i McNab.

– Co to ma być, u licha? – spytała.

– Im nas więcej, tym lepiej! – Jenkinson wygramolił się z auta, a zdumiona Eve nie zdołała nawet spostrzec, że tym razem nie miał krawata.

– Harvo nie jest policjantką – wyjąkała.

– Oj tam, daj spokój! – Najwyraźniej nakręcona królowa od włosów i włókien machnęła obiema rękami równocześnie. – Ja nigdy nie mam żadnej radochy przy pracy. Dostarczacie mi gotowce. Mogę się założyć, że jest tam mnóstwo włosów i włókien, a ja znajduję się od razu na miejscu.

– Mogą tam znajdować się również dwaj bardzo niebezpieczni mężczyźni z zapasem śmiertelnie niebezpiecznej substancji o działaniu paralityczno-drgawkowym.

Harvo potrząsnęła grzywą zielonych włosów i luźno rzuciła:

– W takim razie ty wchodzisz pierwsza.

Po chwili podszedł ociężałe Feeney w płaszczu taktycznym, narzuconym na zmiętą beżową koszulę z wiele mówiącą plamą po sosie salsa.

– Stwierdziłem, że spece z EDD powinni również od razu się znaleźć na miejscu. Powiedziałem McNabowi, żeby zabrał kilka zabawek, i zajechaliśmy po niego po drodze.

– Dobrze. Czekajcie. Myślę.

Odeszła od nich kawałek, żeby zrobić, co powiedziała. Wróciła.

– McNab! Czy w zabawkach, które ze sobą zabrałeś, masz urządzenie do wykrywania źródeł ciepła?

– A jakże.

– Sprawdź cały budynek. Peabody, rozdaj maski. Czy jest skażenie, czy nie, wchodźcie w maskach. Feeney! Ty z Roarkiem sprawdźcie drzwi: czy jest jakiś alarm, czy są jakieś skomplikowane zamki. Reineke! Przejdźcie się z Jenkinsonem dookoła budynku. Sprawdźcie, ile jest wyjść. Potem wyznaczę, kto gdzie stanie.

– A ja? – spytała Harvo.

– Ty czekasz – rozkazała.

– No nie! Roarke też nie jest policjantem, a oboje jesteśmy ekspertami w swoich dziedzinach oraz konsultantami cywilnymi. W dodatku współpracuję tylko z policją – zaczęła marudzić Harvo.

– Masz pozwolenie na broń? – spytała krótko Eve.

– Nie, ale...

– Więc czekasz.

Reineke podbiegł truchtem.

– Drzwi z tyłu i z przodu na parterze, z boku od strony południowej, z pierwszego piętra pożarowa drabina ewakuacyjna – zaraportował.

– Żadnych źródeł ciepła – poinformowała Callendar.

– Jeśli w środku nie ma naszych złych chłopców... – zaczęła Harvo.

– Ty masz czekać tak czy siak – przerwała jej Eve. – Obstawiamy front i tyły. Reineke, Jenkinson, Callendar, McNab na tyły. Peabody, Roarke, Feeney! My wchodzimy od frontu. Cholera! Mamy całą armię do zdobycia jednego pustego magazynu – mruknęła pod nosem, idąc w stronę męża. – Nikogo nie ma w środku – przekazała mu.

– Jest jednakże zabezpieczony: alarmy i dobre zamki.

– Więc będzie to łatwizna – orzekła.

Pusto czy nie, wyciągnęła broń i weszła do środka.

Paliły się tu wszystkie lampy. Ich jasne światło uwydatniało jarmarcznie tandetne urządzenie części dziennej wnętrza z trzema ogromnymi żelowymi sofami w fikuśne czerwono-czarne wzorki. Na dwóch przeciwległych ścianach znajdowały się ogromne ekrany telewizorów. Wszystkie stoły lśniły polerowanym złotem. Złoty był również bar o kształtach kobiety ubranej jedynie w szpilki. Znajdowało się przed nim kilka stołków barowych.

Pokazała na migi Feeneyowi i Roarke'owi, w którą stronę mają pójść, Peabody wskazała kierunek przeciwny, a sama ruszyła przed siebie.

Po drodze zauważyła zestaw do gier komputerowych, plakaty – wszystkie z obnażonymi kobietami, pełno butelek z alkoholem i na najwyższej półki, słoje jakiegoś narkotyku w proszku i miska z różnymi rodzajami tabletek.

Tak jak i reszta, powtórzyła: – U mnie czysto! – gdy spotkali się w punkcie wyjścia z zespołem, który wszedł od tyłu.

– U mnie kuchnia i spiżarnia z zapasami oraz droidami sprzątającymi – zdała krótką relację Peabody.

– U nas sypialnia i łazienka – dodał Roarke. – Zaprojektowane tak, by w pełni zobrazować mokre sny nastolatka. W komplecie z aktualnie zdezaktywowaną seksdroidką.

– I jeszcze WC oraz pokój specjalnie zaprojektowany do gier – uzupełnił Feeney. – Strefa przeznaczona do odpoczynku oraz odświeżenia ciała i umysłu.

– Sprawdźmy górę. Dół był wykończony zgodnie z potrzebami i upodobaniami Loca. Gust żadnego z bogatych chłopaków nie zniżyłby się do poziomu zięjącej seksm tandety. Na górze zapewne znajdziemy laboratorium – oznajmiła Eve i ruszyła po stalowym ciągu schodów. Przebyła mniej więcej jedną czwartą, kiedy coś ją zaniepokoiło.

– O kurwa! – zaklęła szpetnie i wyrzuciła rękę w górę, by zatrzymać pozostałych, a następnie sama wbiegła na piętro. Kiedy tylko zobaczyła, co tam się wydarzyło, krzyknęła: – Mamy zwłoki! Wycofać się! Wszyscy na dół, czy to w maskach, czy bez. Peabody! Wezwij natychmiast jednostkę neutralizacji substancji toksycznych!

Jeszcze raz weszła na górę rzucić okiem i nagrała widok sceny zbrodni kamerką ukrytą w klapie kurtki. Potem zeszła na dół i dołączyła do reszty swojej drużyny, czekającej już na zewnątrz.

Ściągnęła maskę.

– Jenkinson! Obejdź budynek i opieczętuń tylne wyjście. Reineke! Wezwij wsparcie oraz kilku mundurowych do przeprowadzenia rozpoznania w najbliższej okolicy. Callendar! Skontaktuj się z Morrissem i zapytaj, czy da radę przyjechać na miejsce zbrodni.

– Co za skurwysyn! – Eve przeczesowała nerwowo włosy palcami.

– Znasz denata? – spytał Feeney.

– Tak. To Cosner. Marshall Cosner. Wygląda na to, że zabrał się do pakowania następnego zatrutego jaja i spotkał go przy tym mały wypadek. – Zmrużyła oczy. – Tak to przynajmniej miało wyglądać – dodała.

– Jak to się dobrze składa, że miał ten wypadek akurat w wieczór poprzedzający wsadzenie go do paki – skomentował Roarke.

– Prawda? Zapewne poszedł do Whitta i zaczął jęczeć. Jestem przekonana, że tak zrobił. Whitt zaś po prostu znalazł najprostszy sposób odciążenia wlokących się za nim ogonów. Rzecz w tym, że nie spodziewał się po nas tak szybkiego odnalezienia Cosnera, o całym tym miejscu nie wspominając. Tam na górze jest jeszcze kilka jajaek, w pełni wyposażone laboratorium, strefa pakowania. Pudełka i wszystko, co potrzebne do przygotowania paczki do wysłania. Whitt nie jest na tyle głupi, aby tu wracać. – Myślała, myślała i myślała, spacerując po chodniku przed wejściem. – Tak, on skończył już z tym miejscem – doszła do wniosku. – Może zabrał coś ze sobą. Może faktycznie robi wszystko, żeby się od tego odciąć i chce wrobić Cosnera. Z martwego Cosnera nic nie wyciągniemy. Whitt postarał się, aby całą winę zrzucić na niego.

– Na pewno stwierdzi, że nagle ma mnóstwo wolnego czasu – dodał Feeney. – Planowałaś jutro zapuszkować denata.

– Tak. Mieliśmy już wszystko ustalone.

– Więc zapewne miało być tak: Cosner nie pokazuje się na umówionym spotkaniu, zaczynamy go szukać. Odnajdujemy coś, co naprowadza nas na to miejsce, odnajdujemy magazyn, odnajdujemy ciało. Twój podejrzany jest martwy, masz całe stopy dowodów. Zginął w ten sam sposób, w jaki sam zabijał innych, co przyjemnie spina całą historię. – Feeney pokiwał głową, a potem zaczął się wnikliwie przyglądać budynkowi. – Dupek wyobraża sobie, że na tym poprzestaniemy.

– Taa... Na pewno będzie miał alibi na wieczór, ale my bez wątplenia znajdziemy jakąś lukę. Cosner tylko wykonywał polecenia Whitta. Nie ma takiej możliwości, żeby przyszedł tutaj sam, roztrzęsiony z powodu przesłuchania, na które wezwałam go na następny dzień z rana, i zdecydował samodzielnie, że spakuje i wyśle nowe jajo.

– W dodatku nie ubierając się w laboratoryjny strój ochronny – dokończył Roarke. – Czy wiedząc, co zawiera jajko, dotknęlibyście się do niego bez stroju ochronnego? Absolutne minimum to maska przeciwgazowa i zabezpieczenie rąk.

– Dobra uwaga. – Eve kiwnęła głową.

Harvo, przysiadwszy na masce samochodu Jenkinsona, uniosła w górę palec wskazujący i również wyraziła swoje zdanie.

– Musicie wziąć pod uwagę opcję, że drugi niegrzeczny chłopczyk także tu był – oznajmiła. – Przez krótką chwilę lub nieco dłużej, tak?

Eve obejrzała się na nią.

– Masz rację – powiedziała. – Musiał tu być. To on reżyseruje całe to przedstawienie.

– Przeciwny człowiek gubi codziennie od pięćdziesięciu do stu włosów – kontynuowała Harvo. – Niektórzy eksperci twierdzą, że nawet do dwustu, ale ja się skłaniam ku pierwszej wersji. Oczywiście to liczba uśredniona. – Uśmiechnęła się. – Nam potrzebny jest tylko jeden.

– Ten magazyn jest ogromny, Harvo. Czyszczą go na bieżąco droidy i w sumie nie za bardzo wiadomo, kiedy właściwie nasz podejrzany tu był. Ale gdybyśmy znaleźli włos, faktycznie mielibyśmy potwierdzenie, że odwiedził to miejsce.

Jeszcze dzisiaj poszerzałam księgę zbrodni o opis tego miejsca – pomyślała Eve – ale nie przypuszczałam...

Harvo przekrzywiła głowę na bok, rozstawiła palce rąk i z uwagą przyglądała się niebieskiemu, połykliwemu lakierowi na swoich paznokciach.

– Wątpicie w zdolności królowej? – bąknęła.

Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy kiedykolwiek zwątpili – pomyślała Eve.

– Okej, Harvo – powiedziała. – Kiedy tylko ekipa sekcji specjalnej i technicy opuszczą budynek, będziesz mogła tam wejść i rzucić okiem.

– Superowo! – Zeskoczyła rozradowana z maski auta. – Mogłabyś jednak wstrzymać chwilę techników? Pozwól, że ja pierwsza się tam rozejrzę – poprosiła.

- Mogę się na to zgodzić.
- No to jeszcze bardziej superowo! Czy ktoś mógłby odbyć ze mną szybką rundkę do laboratorium i z powrotem? Potrzebuję kilku swoich gratów.
- McNab – wyznaczył Feeney. – Weź mój samochód.
- Kiedy przyjechała ekipa mundurowych, Eve poleciła im rozstawić ogrodzenie z taśm policyjnych, a następnie rozpocząć przepytывanie mieszkańców z sąsiedztwa.
- Druga na miejscu pojawiła się ekipa sekcji specjalnej w kombinezonach ochronnych.
- Kilka minut później w drzwiach stała dowodząca nimi Junta i podeszła prosto do Eve.
- Wprawdzie w powietrzu nic nie wykryliśmy, ale chciałabym, żebyście na razie pozostali na zewnątrz. W laboratorium znajduje się jeszcze jeden uzbrojony pojemnik w kształcie jaja, jest też wiele niebezpiecznych chemikaliów. Musimy je zabezpieczyć i wywieźć, zanim pozwolę komukolwiek wejść do środka.
- Jak długo to potrwa?
- Dam znać. Powiem ci coś jeszcze, Dallas. Ci, którzy tu mieszkają, żyją na co dzień w towarzystwie sarinu, chloru w stanie gazowym, tritlenku siarki oraz pieprzonego węgliku. Tyle na razie znaleźliśmy i zidentyfikowaliśmy. To jest jakaś banda popieprzonych oszołomów.
- Była – poprawiła ją Eve.
- Ech! Cóż, niech przynajmniej pozostali przeżyją – to rzekłszy, naciągnęła z powrotem kaptur na głowę i wróciła do budynku.

Zajął to nieomal godzinę, ale dzięki temu Morris zdążył w samą porę przyjechać na miejsce zbrodni. Ubrany był w marynarkę, którą narzucił na cienki sweter, oraz w dżinsy. Nie zdążył zapleść włosów w warkocz jak zazwyczaj, ściągnął je tylko nisko w koński ogon.

Eve od razu się domyśliła, że wyciągnęła go z domu, gdzie odpoczywał.

– Doceniam, że jednak przyjechałeś – powitała go.

– Praca to praca. – Rozejrzał się wokół. – Tworzycie zgraną drużynę – stwierdził.

– Tak wyszło. Budynek jest w trakcie oczyszczania z substancji niebezpiecznych. – Popatrzyła w stronę Harvo, która właśnie wtykała swoje zielone włosy pod czepek. Nie był, Boże broń, biały, lecz jak jej płaszcz i buty: niemożliwie cukierkoworóżowy.

Z Harvo człowiek nigdy się nie nudził.

– Harvo! Możesz już wejść na parter. Ciało jest na piętrze. Ja i Morris zajmujemy się denatem. Peabody, Jenkinson, Reineke: robicie standardowe przeszukanie. Ekipa EDD: ochrona, komputery, elektronika, łącznie z droidami.

Eve niosła swoją nieodłączną walizczkę oględzinową, Morris torbę lekarską. Ignorując gromadzących się przy taśmach gapiów, wkroczyli do środka.

– O rety! Co za bezguście tu mieszkało! – Skrzywił się Morris. – Wykonanie wymagało oczywiście dużo wysiłku, ale gorszej tandety chyba nie mogli odstawić.

– Mogli – wyprowadził go z błędu Roarke. – Nie widziałeś jeszcze sypialni.

Każdy z drużyny ruszył ku swoim zajęciom. Eve zostawiła ich na dole i wspięła się z Morrisem po stalowych stopniach na piętro. Przyjrzał się uważnie denatowi.

– Można by to określić zasłużoną karą – oznajmił.

– Ja, cholera, nazwę to niefortunnym zdarzeniem. Chciałam go złamać podczas przesłuchania. Wszystko miałam dopięte na ostatni guzik. Gdyby był żywy, spędziłby wiele dziesiątków lat w pudle.

Podeszła do ciała, przykucnęła przy nim i wyjęła urządzenie do oficjalnej identyfikacji, a Morris w tym samym czasie rozpoczął wstępne czynności oględzinowe zwłok.

– Denat oficjalnie zidentyfikowany jako Marshall Cosner. – Nagrała Eve na dyktafon.

– Czas śmierci: dwudziesta pierwsza dwadzieścia – obwieścił Morris.

– Ofiara to mężczyzna rasy białej kaukaskiej, wiek: dwadzieścia sześć lat, właściciel rzeczonoego budynku poprzez firmę holdingową.

– Dotkliwe obrażenia oczu, skóry właściwej oraz wnętrza jamy ustnej i nozdrzy – wyliczał dalej Morris, używający lekarskiej latarki w kształcie długopisu. – Wysięk krwi i innych płynów ustrojowych przez usta, oczy, nos. Stan odbytu do potwierdzenia podczas szczegółowego badania w zakładzie medycyny sądowej.

– Brak widocznych obrażeń, które mogłyby zostać zadane podczas ataku lub obrony – uzupełniła Eve. – Ofiara ma na nadgarstku złoty zegarek wielofunkcyjny... – Opróżniła jego kieszenie. – Telefon i portfel z gotówką i kartami kredytowymi. W budynku znajduje się wiele cennych rzeczy, nie doszło tu więc do żadnej kłótni ani włamania z kradzieżą.

– Do potwierdzenia podczas autopsji, lecz wydaje się, że pan Cosner zginął narażony na działanie tej samej substancji co dwie poprzednie ofiary: został wystawiony na działanie silnie drażniącego gazu bojowego. Wciągnął go wraz z powietrzem do płuc. Zatrzymanie czynności życiowych nastąpiło w ciągu kilku minut.

Eve zostawiła Morrisa przy denacie, wstała i nagrała widok całego pomieszczenia, przy okazji uważnie się wszystkiemu przyglądając.

– Na stole na dolnej kondygnacji stała pojedyncza szklanka, z czego wynika, że przed śmiercią zdążył się jeszcze czegoś napić. Przebadamy ją, żeby się dowiedzieć, czy pił alkohol, może tyknął jakieś prochy. Czy był sam? Nie sądzę. Nie należał do ludzi lubiących samotność. A poza tym jest tu jeszcze kilka jajek. – Podeszła do witryny, w której je przechowywali. – Trzy są tutaj, kolejne leży rozbite na podłodze. Z tego wynika, że planowali wysłanie jeszcze przynajmniej czterech: tego, które pakował, oraz tych trzech z półki. Może mieli gdzieś jeszcze jakieś dodatkowe, tak na wszelki wypadek. Są tu

szkatułki z imitacji drewna z uszczelnieniem i grubą wewnętrzną wyściółką. Kartonowe pudła do wysyłki też mieli tutaj: standardowe, owijali je zwykłą taśmą pakową. Wszystko bardzo dobrze zorganizowane. – Odwróciła się. – A tam mamy aneks z laboratorium.

– Również bardzo porządnym – skomentował Morris.

– W tych pojemnikach o kontrolowanej stałej temperaturze przechowywali chemikalia i różne związki chemiczne, cokolwiek im było potrzebne, więc mogli naprodukować więcej tego paskudztwa. Odważni byli, trzeba przyznać. Mieli maski przeciwgazowe, kombinezony jednorazowe, rękawice ochronne, on jednak żadnej z tych rzeczy na sobie nie ma – zauważyła Eve.

– Dlatego właśnie nie żyje. Patrz! – zwrócił uwagę Morris. – Tutaj na dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym, ma oparzenia chemiczne skóry.

Zaczęła sobie przypominać, jak wyglądały obrażenia poprzednich ofiar.

– Czy przypadkiem pozostałe ciała nie miały takich samych oparzeń na dłoniach?

– Na palcach. Miały poparzone opuszki palców.

– Bardziej poparzone mieli palce... – mamrotała pod nosem, idąc z powrotem do witryny. Wyjęła puste jajo. – ...ponieważ otwierali ten małytki haczyk tutaj paznokciem, a potem ciągnęli za górną część pojemnika, przytrzymując dolną. Otwierało się dopiero po rozerwaniu warstwy uszczelniającej.

– Również doszedłem do tego samego wniosku.

– Jeśli jednak wyjmiesz jajo z pojemnika, pojemnika szczelnego, bez dostępu do powietrza atmosferycznego, i trzymasz je o tak, ostrożnie na dłoni, o ile nie jesteś kompletnym idiotą, bo wiesz, że jest pełne czegoś... Sądziś, że jest szczelnie zamknięte, a nie jest. A może jest, ale nie do końca? Zaczyna cię piec skóra dłoni, w twarz uderzają opary wydostające się ze środka, więc wypuszczasz jajo z ręki... – Nałożyła na nos mikrogogle, żeby się przyjrzeć stłuczonym kawałkom. – Właściwie już jesteś trupem, kiedy uderzasz o podłogę, ale masz jeszcze ostatnią minutę życia. Substancja została opracowana tak, żeby razić tylko na bardzo małą odległość. Ten, kto cię zabija, musi zachować pewien dystans, lecz nie jest na nic narażony. Wystarczy podstawowe zabezpieczenie w postaci maski przeciwgazowej. – Zastanowiła się chwilę. – Dlaczego ty jej nie masz? – skierowała pytanie do denata, a potem podeszła do schodów. – Peabody! – zawołała.

– Tak?

– Spakuj tę szklankę ze stołu do torebki ewidencyjnej. Oznacz jako priorytetowy dowód do przebadania. Chcę wiedzieć, co pił Cosner przed śmiercią.

– Zmarł bardzo niedawno – stwierdził Morris. – Będę w stanie oznaczyć toksynę, jeśli szybko zabiorę go do siebie. Powinno wystarczyć mi czasu na zidentyfikowanie substancji, która znajdowała się w środku jaja.

– Dobrze. Powiedzmy, że do jego organizmu dostała się jakaś substancja, która upośledziła możliwość prawidłowej oceny sytuacji. A może był na tyle głupi, że robił wszystko, co mu się kazało zrobić? Wyobraź sobie: Whitt stoi w tym miejscu, co ja w tej chwili, czyli w bezpiecznej odległości od niego, i mówi mu: „Zapakuj je, Marsh. Przygotujmy kolejną wysyłkę!”. Cosner jest zwrócony do niego tyłem, bierze jajko z półki, a Whitt tylko stoi tu i czeka. Długo to nie trwało... – Zgadza się – przyznał Morris. – Długo to nie trwało.

– Zastanawiam się, co on właściwie czuł? Jego przyjaciel z dawnych lat... Przy okazji pierwszy, którego śmierć widział na własne oczy. Czy on w ogóle cokolwiek czuł? – Pokręciła głową. – Przypuszczam, że nic albo niewiele. – Odwróciła się z powrotem do Morrisa. – Łapiesz?

– Jasne – odrzekł. – Zabiorę ciało i wszystko sprawdzę.

Podeszła do walizki oględzinowej i znów kucnęła przy ciele. Napotkała wzrok Morrisa.

– Przysięgam na Boga, że to ostatnia ofiara – powiedziała. – Wsadzę za kratki tego drania.

Morris przykrył jej dłoń swoją. Nawet przez warstwy zabezpieczające czuła jej ciepło.

– Bóg jeden wie, ile wywołał bólu i smutku, a był gotów na jeszcze więcej. Teraz jest nasz. Oboje zrobimy, co do nas należy.

– Na bank! – rzuciła, wzięła walizeczkę i zeszła na dół.

Przecięła jej drogę Peabody.

– Kazałam mundurowemu zawieźć szklankę prosto do naszego laboratorium – zameldowała. – W ten sposób szybciej będziemy mieć odpowiedź. Harvo lata po całym budynku z dziwnymi małymi latareczkami i buczącymi urządzeniami. Poza tym rozmontowała na części oba droidy sprząające. Chyba nie masz nic przeciwko?

– Już ona dobrze wie, co robi. Niech ekipa techników jeszcze zaczeka – zarządziła Eve. – Pozwól jej dokończyć swoją robotę.

– Hej, szefowo! – Do części dziennej wrócił Reineke. – Kuchnia i pokój do gier są napakowane niezbędnymi narzędziami i uzależniającymi przegryzkami.

– To ma sens.

– W sypialni są jakieś wymyślne duperale, wyglądające na całkowicie nowe, nienoszone buty, przy najmniej niektóre. Całe mnóstwo pornosów wgrane do komputerów, gotowe do oglądania. Gry i pornosy, gry pornograficzne.

– Też gra.

– Wciąż w tym siedzimy, ale chciałem przekazać, że nie znaleźliśmy żadnych telefonów ani tableatów, żadnych urządzeń elektronicznych służących do komunikowania się. Żadnego połączenia z internetem. Roarke mówił, że w jakiś sposób aktualizowali dane, ale jednostka sterująca systemem mieści się gdzieś indziej. Jest jakiś komputer na górze, ale bez połączenia z siecią. Denat miał przy sobie telefon. Poproszę kogoś z technicznych, żeby się nim zajął – dodał i w tym momencie zobaczył McNaba, który wrócił z zaplecza domu.

– Budynek ma bardzo mocne systemy ochrony, Dallas – McNab zwrócił się do Eve – z jednym godnym uwagi wyjątkiem: nie ma tu kamer zewnętrznych. Ani jednej.

– Nie chcieli się znaleźć na żadnych nagraniach z monitoringu, kiedy tu wchodzili czy stąd wychodzili – doszła do wniosku Eve.

– Jasne. Jest jednak kilka kamer wewnętrznych.

– Gdzie?

– Znaleźliśmy kilka punktów.

– Okej. Idź teraz na górę i zajmij się tym, co tam jest – poleciała mu. – Znajdziesz tam komputer zabezpieczony hasłem i prywatny telefon zamordowanego. Nie ma na nim zapisanych żadnych połączeń wykonanych po zakończeniu dnia pracy. Sprawdź jeszcze, czy i tam są jakieś kamery wewnętrzne.

– On i Whitt zapewne mieli nieregistrowane telefony na kartę – orzekł.

– Na pewno. – Skinęła głową na Peabody. – Jesteś mi potrzebna tutaj. Dopilnuj wszystkiego, a kiedy skończą, zapieczętu drzwi. Ja zawiadomię rodzinę i przeszukam mieszkanie ofiary. Harvo dokończy swoją robotę na górze, kiedy zabiorą ciało.

– Tak jest! Robi się!

– Gdzie Roarke? – spytała McNaba.

– Na tyłach. – Haker machnął kciukiem do tyłu przez ramię. – Razem z Feeneyem szukają ukrytych kamer.

Eve poszła z powrotem do pokoju, który nazwała wcześniej pokojem gier, a którego wnętrze wykonane było w stylu równie tandetnie ozdobnym, jak cała reszta domu. Zobaczyła Roarke'a stojącego na rozkładanej drabinie w garderobie oraz Feeneya obserwującego go ze ściągniętymi brwiami z dołu.

– Zamontowano ją tutaj od środka. Elementy mocujące są wciąż na miejscu. Wygląda na to, że kamera została wyrwana w pośpiechu. Jest tu wywiercona dziurka na grubość palca na obiektyw kamery.

Eve zobaczyła czubek palca Roarke'a przeciśnięty przez otwór wywiercony tuż nad framugą drzwi do garderoby.

– Chcieli mieć na oku swojego szalonego naukowca – powiedziała Eve.

Feeney obejrzał się, kiedy usłyszał jej głos.

– Właśnie – mruknął. – Chcieli mieć pewność, że nie robi ich w konia, nie przyprawia tu nie wiadomo kogo, nie knuje przeciw nim. Zaufania za grosz.

– Teraz już żadnemu z nich nie będzie potrzebne. Z tego, co wiem, Whitt zabił ich obu. Muszę sporządzić raport i przeszukać mieszkanie ofiary. – Przyglądała się co najmniej minutę. – Cholera! Prawie mi wyleciało z głowy! Wpadłam dzisiaj na detektywa Swansona. Pracuje teraz jako ochroniarz w wieżowcu, w którym mieści się siedziba firmy Whittów.

– No nieźle! – Feeney pokiwał z uznaniem głową, trzymając ręce w kieszeniach. – Dobry był z niego glina.

– Prosił, żeby ci przekazać pozdrowienia.

– Zawsze to robi.

– Potrzebny ci jeszcze Roarke?

– Poradzę sobie sam.

– W takim razie zabieram go ze sobą.

– Dobrze, już idę. – Roarke zszedł z drabiny i otrząpał ręce.

– Masz je zabezpieczone? – zaniepokoiła się Eve.

– Znam zasady, do licha!

Skinęła tylko głową i wyszła pierwsza.

– Peabody! Przypilnuj, żeby technicy sprawdzili wszystkie miejsca, w których zamontowano kamery. – Odwróciła się do idącego za nią Roarke'a. – Na jego miejscu uważałbyś, czego dotykasz,

prawda? Pewnie przetańczyłbyś powierzchownie, co do których miałabyś wątpliwości, a może po prostu zabezpieczyłbyś ręce. Czy jednak myślałabyś o tym, wyciągając kamerkę z garderoby za ścianą?

– Ale że ja osobiście?

– Nie, skąd. Ty zawsze o wszystkim myślisz. Jednak faktem jest, że tych dwóch to amatorzy. Jasne, Whitt jest sprytny, ostrożny i cierpliwy, potrafi również planować działania. Ale tak hipotetycznie... Chciał sobie stworzyć solidne alibi na wieczór, więc się pilnował, lecz musiał w którymś momencie popełnić błąd. Być może zostawił gdzieś odcisk palca i ja mam zamiar go odnaleźć.

– Jesteś pewna, że tu był?

– W innym razie nic by mi się nie spinało. – Roarke usiadł za kierownicą, a Eve wprowadziła adres Lowella Cosnera do nawigacji wbudowanej w deskę rozdzielczą samochodu. – Cosner potrzebował Whitta i jego zapewnień, że jutro sobie poradzi. Potrzebował Whitta, żeby mu powiedział, co ma robić, jak się zachowywać, co mówić. Morris wykrył oparzenia na jego dłoni, ale inne niż u pozostałych ofiar. Sądzę, że Whitt majstrował przy uszczelnieniu jajka. Siebie zabezpieczył, jednak kiedy Cosner wyjął jajko z hermetycznego pojemnika, żeby je spakować, zginął.

– Od samego początku twierdziłaś, że było to zabójstwo z zimną krwią i zemsta osobista. Tu masz i jedno, i drugie.

– Whitt musiał tu być. Cosner miał swój prywatny telefon w kieszeni. Nie było w nim żadnych zapisanych połączeń mniej więcej od godziny szesnastej. I żadnych połączeń z Whitem. Musieliby zadzwonić do siebie, żeby omówić, co z tym wszystkim zrobić. Jeśli nie ma śladu po połączeniach, to znaczy, że rozmawiali ze sobą twarzą w twarz.

– Zgodnie z twoją oceną Cosner nie był w stanie samodzielnie podejmować żadnych decyzji.

– Przez większą część swojego życia słuchał poleceń Whitta. – Widziała to oczami wyobraźni, jakby tam była. – Denerwował się przed spotkaniem, które miało się odbyć następnego dnia rano. Denerwował się tym, że ojciec wie, będzie go wypytywał, stawiał żądania. Potrzebował wsparcia starego przyjaciela.

– Przez zainscenizowanie tego wszystkiego Whitt nie tylko go wyeliminował, ale i zwałił na niego wszystkie dowody zbrodni. Zresztą bardzo skutecznie.

Kiedy zajęchali przed luksusowy drapacz chmur, przed wejściem stało dwóch portierów.

– Zwłaszcza gdy się nie jest właścicielem nieruchomości. Sprawdziłam to – dodała Eve. – Zajmę się portierami.

Wysiadła i wtedy ten z prawej ruszył ku niej. Machnęła mu przed nosem odznaką.

– Nowojorska policja NYPSP – wygłosiła formułkę. – A to nasz nieoznakowany pojazd, który ma stać tu, gdzie go pozostawię.

Po jego minie zorientowała się, że jest niezadowolony, ale równocześnie zrezygnował z oporu.

– A może byście odjechali nim kilka metrów dalej, żebyśmy nie musieli nadstawiać za to głowy?

– To się da zrobić. – Roarke wykonał prośbę portiera, a Eve znów zwróciła się do mężczyzny pilnującego wejścia. – Lowell Cosner?

– Jest w domu. Wrócił kilka godzin temu. O co chodzi?

– A Marshall Cosner?

– Okej, no tak... Też tutaj mieszka, ale nie widziałem, żeby wrócił do siebie dzisiaj.

Eve wyjęła swój osobisty komputer i wyświetliła na ekranie zdjęcie Whitta.

– A tego mężczyznę rozpoznajesz?

– No pewnie. To pan Whitt. Przyjaciel Cosnera juniora.

– Kiedy ostatnio go tu widziałeś?

– Nie pamiętam. Kilka dni temu.

Druga osoba stojąca przy drzwiach, kobieta, podeszła do nich i zerknęła na wyświetlone na ekranie zdjęcie.

– To pan Whitt – potwierdziła. – Był tu dzisiaj wcześniej.

– Ja go nie widziałem – powiedział portier.

– Akurat pomagałaś pani Troski wnieść torby z zakupami. Wszedł chyłkiem około siedemnastej, jak sądzę. Wyszedł, również starając się nie zwracać na siebie uwagi, około pół godziny później.

– Czy niósł coś? – spytała Eve.

– Hmm... – Ściągnęła brwi w zamyśleniu. – Tak! Miał sporej wielkości neseser, no i... tę... hm... elegancką torbę listonoszkę.

– Dziękuję.

Weszła do obszernego holu, w którym panowała cisza jak w kościele. Zielonkawa marmurowa podłoga lśniła. Świeże wiosenne kwiaty w cylindrycznych wazonach nasyciły powietrze delikatną wonią.

Za kontuarem recepcji z kolejnymi wazami z kwieciami siedziała kobieta w bladuróżowej garsonce. Uśmiechnęła się uprzejmie do Eve.

– Dobry wieczór. W czym mogę pomóc? – spytała.

Miły, ciepły uśmiech zmienił się w profesjonalnie chłodny, kiedy Eve zaprezentowała swoją odznakę.

– Czy Lowell Cosner jest w domu?

– Tak sądzę.

– Proszę o wpuszczenie nas na górę do jego apartamentu. Potem będziemy musieli wejść do apartamentu Marshalla Cosnera.

– Wydaje mi się, że Marshalla Cosnera nie ma obecnie w domu.

– Nie ma i nie będzie. Został zamordowany – powiedziała Eve, postukując palcem w swoją odznakę.

– Jesteśmy tutaj, żeby poinformować pana Lowella Cosnera o śmierci syna.

– O mój... mój Boże!

– Proszę o wpuszczenie nas do niego na górę oraz umożliwienie wjazdu na piętro, na którym znajduje się apartament Cosnera juniora, jak również udostępnienie jego apartamentu w celu przeszukania.

– Tak, oczywiście. Poproszę jeszcze raz o odznakę. Zweryfikuję tylko tożsamość. – Wyjęła z szuflady skaner i przesunęła go nad odznaką Eve. – Pan Lowell Cosner mieszka na drugim poziomie penthouse'ów. Pan Marshall Cosner jest... był właścicielem apartamentu numer trzy tysiące sześćset dziesięć na trzydziestym szóstym piętrze. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– O której godzinie rozpoczęła pani dyżur w dniu dzisiejszym?

– O dwudziestej.

Za późno, żeby zobaczyć Whitta – pomyślała Eve.

– Potrzebuję nazwisko i kontakt do osoby, która była w recepcji o siedemnastej.

– Oczywiście.

Podala dane bez zastanowienia, a Eve skrupulatnie je zapisała.

– Dziękuję. Potrzebujemy również nagrań z kamer monitoringu nad wejściem do budynku, z lobby, z wind oraz z kondygnacji, na której znajduje się mieszkanie Marshalla Cosnera. Od... powiedzmy... szesnastej trzydzieści do osiemnastej w dniu dzisiejszym.

– Mogę to zorganizować.

– Poproszę. Zabierzemy stąd potem wszystko.

Eve podeszła ze swoim cywilnym konsultantem do windy, odczekała, aż znaleźli się w środku, i dopiero wówczas się odezwała:

– Whitt przyszedł tutaj wziąć wszystko, cokolwiek go mogło łączyć z tą sprawą. Być może podłożył coś, co potencjalnie skierowałoby nasze podejrzenia bezpośrednio na Cosnera. Od samego początku planował się go pozbyć.

– Od samego początku? – zdziwił się Roarke.

– Uzależniony, mięczak, nieudacznik. Whitt korzystał z usług Loca, dopóki nie dostali, czego chcieli, a potem się go pozbył. Potrzebował Cosnera do zakończenia sprawy, ale kiedy poczuł, że robi się gorąco, postanowił natychmiast zamknąć temat. Recepcjonistka powiedziała, że „wszedł chyłkiem”. Zależę się, że to określenie pasuje idealnie. Wszedł i wyszedł tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Krótkowzrocznie z jego strony. Żeby nie wziąć pod uwagę, że zapytasz o niego albo poprosisz o udostępnienie nagrań z kamer monitoringu!

Eve pokręciła głową.

– On wyobraża sobie, że ma przynajmniej kilka dni, jeśli nie więcej, zanim znajdziemy ich nieruchomości, a w niej ciało. Do tamtego czasu ten dzień zostałby już wykasowany i zastąpiony kolejnym, a portierzy niczego by już nie pamiętali. Dodaj do tego wszystkie mocne dowody przeciwko Cosnerowi. Whittowi wydaje się, że jest czysty.

– Faktycznie budynek został kupiony na nazwisko Cosnera. – Roarke pokiwał głową, kiedy wychodzili z windy. – Nieruchomość o dużej wartości, lecz wobec prawa Whitt nie był jej współwłaścicielem. Tak, masz rację. Od samego początku chciał to zrobić swojemu kumpłowi.

– Ludzie pokroju Whitta nie mówią kumpli, ktokolwiek się kryje pod tym określeniem.

Zatrzymała się przed idealnie białymi podwójnymi drzwiami penthouse'a Cosnera seniora. Nacisnęła guzik dzwonka.

Po kilku sekundach odpowiedział głos komputera ochrony:

Państwo Cosnerowie udali się na spoczynek.

– Nowojorska policja NYPSD. – Eve przyłożyła odznakę do oka skanera. – Porucznik Dallas Eve oraz konsultant cywilny. Musimy porozmawiać z panem Lowellem Cosnerem w oficjalnej sprawie prowadzonej przez policję.

Chwileczkę. Ta informacja właśnie została przekazana.

Kiedy drzwi się otworzyły, Eve spodziewała się zobaczyć za nimi pokojówkę lub kogoś w rodzaju kamerdynera, lecz otworzył im sam Lowell Cosner.

Pozbył się już garnitur, który zapewne nosił cały dzień w pracy, i zamienił go na wąskie spodnie i sweter. Czuć było od niego lekko alkoholem i tytoniem.

Przystojne oblicze mężczyzny o przyprószonej siwizną złotych włosach zastygło w wyrazie furii.

– Jak śmiecie! – wrzasnął. – Jak śmiecie przychodzić pod drzwi mojego mieszkania! Ten rodzaj naciągania nie ujdzie wam na sucho! Czy wyobrażacie sobie, że sterczenie tutaj i wymachiwanie odznaką, w towarzystwie tego tam... – machnął lekceważąco ręką w stronę Roarke'a – „...konsultanta” mnie zastraszy?

– Panie Cosner! Przepraszamy, że przeszkodził nam, lecz przynosimy smutne wieści. Czy możemy wejść na jedną chwilę?

– Nie, nie możecie. A jeśli znajdziecie jakiś podstępny sposób, żeby zaarrestować mojego syna lub będziecie próbować zastraszać i jego, już ja się z wami rozprawię. Jutro z rana, jak to było umówione.

– Panie Cosner! – Zanim zdążył zatrzęsnąć drzwiami przed jej nosem, Eve przytrzymała je mocno ręką.

Jego jasne oczy, kontrastujące z mocną, naturalną opalenizną twarzy bogatego człowieka, na nowo rozjarzyły się wściekłością.

– To będzie panią kosztowało odznakę! – syknął.

– Panie Cosner! Z przykrością informuję, że pański syn, Marshall Cosner, nie żyje. Nasze kondolencje.

Cofnął się. Niedowierzanie jeszcze mocniej uwydatniło furję.

– To kłamstwo! – krzyknął.

– Niestety nie, szanowny panie. Osobiście zidentyfikowałam i zbadałam jego ciało wraz z naczelnym lekarzem sądowym Nowego Jorku. Pański syn zmarł dzisiaj wieczorem około dwudziestej pierwszej dwadzieścia.

– Słuchaj, Lowell. – Roarke zagadał do niego po imieniu, kiedy zauważył, że coś pękło i rozsypało się na kawałki w tych jego jasnym oczach. – Lepiej będzie, jeśli nas wpuścisz do środka.

– Ale jak to się stało?! Powiedźcie mi jak?!

– Został wystawiony na działanie tego samego gazu paralizującego, który zabił już dwie osoby – wyjaśniła Eve. – Czy chce pan wysłuchać reszty, stojąc w drzwiach?

Lowell bez słowa się odwrócił, przeszedł przez hol wejściowy i wkroczył do salonu urządzonego w stonowanych kolorach. Usiadł ciężko w fotelu o szarozielonym obiciu w drobne kremowe romby.

– Został zamordowany w taki sam sposób jak pozostali, a pani starała się mi wmówić, że to on był współodpowiedzialny za te morderstwa. Pani...

– Panie Cosner! Jego już nie ma! – Eve postanowiła nie czekać na zaproszenie i usiadła w fotelu dokładnie naprzeciw mężczyźnie. – Czy wiedział pan, że pański syn był właścicielem budynku położonego przy Pitt Street na Dolnym Manhattanie? Nabył go na założoną przez siebie spółkę holdingową.

– Nie no, to jakiś absurd. Skąd niby Marshall miałby wiedzieć, jak założyć spółkę holdingową?

– Wyobrażam sobie, że miał jakąś pomoc – powiedziała zyczajnie Eve. – Nabył budynek i wykończył go wewnątrz na mieszkanie i przestrzeń do pracy dla Lucasa Sancheza. Zna pan to nazwisko – stwierdziła, kiedy zobaczyła to wypisane na twarzy Lowella.

– Tak. Mój syn był osobą... uzależnioną. Miał słabość do pewnych chemicznych wynalazków. Sanchez wykorzystywał tę jego słabość. Marshall zapewniał i mnie, i swoją matkę oraz całą rodzinę, że zerwał kontakty z tym typem. Po wypadku samochodowym, kiedy udało się mu już wyzdrowieć, zapewniał nas...

Nie wierzyłeś mu – zdała sobie sprawę Eve. – Nie wierzyłeś, ale miałeś nadzieję. Nic innego ci nie pozostało.

– Przykro mi, lecz tego nie zrobił – powiedziała. – A co więcej, mamy mocne dowody na to, że opłacał Sancheza, aby ten mógł opracować formułę owego silnie toksycznego gazu paralizującego.

– Pragnie pani, żebym uwierzył, że mój syn okazał się swego rodzaju terrorystą?

– Pański syn brał udział w tajnym spisku, który miał doprowadzić do zamordowania kilku osób. Dlaczego? Przez długo chowane urazy i żale. Sanchez i owa silnie toksyczna substancja stanowili narzędzia

zbrodni. Gdy Sanchez opracował formułę, został zlikwidowany. Panie Cosner, pański syn właśnie przygotowywał pojemnik do wysyłki kolejnej osobie, kiedy znalazł się w zasięgu zabójczych oparów.

– Przecież on by nie wiedział, jak to zrobić – mówił Lowell, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Nie wiedziałby, jak to zrobić... – powtarzał w kółko.

– Lowell! – przerwał mu Roarke. – Pozwól, że zrobię ci drinka.

Oczy starszego mężczyzny lśniły od łez, kiedy odwrócił się w jego stronę.

– Ja właśnie... – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Właśnie czytałem, popijając burbon i odпочyając, kiedy...

– Znajdę – odrzekł Roarke i wyszedł z salonu.

– Zabrał pan syna ze szkoły Theresy A. Gold – podjęła Eve – gdy panią Grange zmienił na stanowisku dyrektora doktor Rufty.

– To było wieki temu.

– Dlaczego pan to zrobił?

Lowell ukrył twarz w dłoniach i siedział tak przez dłuższy czas.

– Wreszcie dotarło do nas, że Marshall brał, że pił, że jego stopnie nagle bardzo się... obniżyły. Dotarło do nas, że miał... nieodpowiednich kolegów. Stwierdziliśmy, że najlepszym rozwiązaniem będzie wysłanie go do szkoły z internatem, aby rodzice mojej żony byli w stanie pomóc nam go nadzorować. Chcieliśmy odsunąć go od zbyt wielu możliwości, które miał tu, na miejscu. Zrobiliśmy to, co według nas było dla niego najlepsze. Wysłaliśmy go na odwyk. Był moim synem. Robiłem to, co uważałem za najlepsze dla niego.

– Jestem tego pewna.

Wrócił Roarke i wsunął szklaneczkę w dłoń Lowella.

– Jego matka była tak tym wszystkim zdenerwowana... tymi oskarżeniami, policją, przesłuchaniem, że wzięła tabletki nasenne i położyła się do łóżka. Jak ja jej teraz powiem, że nasz syn odszedł? Dlaczego nie udało się nam znaleźć sposobu, żeby go uratować?

– Czy coś wskazywało na to, że Marshall winił za swoje niepowodzenia pana Rufty'ego lub któregoś ze swoich nauczycieli?

– W tamtym czasie? Oczywiście, że tak. Był wściekły na cały świat: na nas, na szkołę... ale był przecież jeszcze taki młody. Wydawało się, że idzie ku lepszemu. Naprawdę czuł się już lepiej, lecz... Był zawsze niezły w ukrywaniu wszystkiego, w udawaniu. Zawsze łatwiej było uwierzyć jemu, niż mierzyć się z dramatami i rozczarowaniem. Mimo wszystko uwierzyć nie mogę i nie uwierzę, że zrobił to, o co go pani posądza – westchnął. – Jak już mówiłem, miał pomocnika. – Lowell upił wolno łyk burbona. – Stephen... – zaczął.

– Ma pan na myśli Stephena Whitta, panie Cosner? – przerwała mu Eve.

– Tak. Whitta. Gdy stało się jasne, w czym czynnie uczestniczył Marshall, będąc uczniem Złotej Akademii, zrobiliśmy wszystko, ażeby odseparować go od złych wpływów. Niestety, wbrew mojej woli Marshall i Stephen pozostali przyjaciółmi. Och, Stephen też był dobry w ukrywaniu swojego prawdziwego ja, w udawaniu kogoś innego. Wierzę w to, że Marshall nie kłamał, kiedy w końcu się zламаł i wyznał nam, że to Stephen opracowywał wszystkie plany ich działań, był przywódcą ich paczki, a Marshall tylko posłusznie wykonywał jego polecenia. Żona nigdy go nie lubiła. Od zawsze twierdziła, że jest jakiś taki... pusty w środku. Nie brałem tego na serio, lecz przyznałem jej rację w tym, że powinniśmy zrobić, co w naszej mocy, żeby ich od siebie odciąć. – Zajrzał do szklanki i odstawił ją na bok. – Nie zrobiliśmy tego. Wprawdzie chodzili do różnych szkół w różnych stanach, potem gdzieś indziej studiowali, lecz nie udało się nam zerwać łączącej ich więzi. Marshall był dorosłym mężczyzną. Nie mogliśmy zakazać mu przyjaźnić się, z kim chciał, nawet jeśli była to przyjaźń destrukcyjna. – Lowell otarł oczy z łez. – Jeśli syn brał w tym udział, można mieć pewność, że stał za tym Stephen. Marshall poszedłby za nim do piekła. – Znów wziął szklaneczkę z drinkiem. – I tak właśnie się stało.

– Macie państwo kontakty z rodziną Whittów? – Eve zasugerowała zmianę tematu.

– Utrzymywaliśmy przyjacielskie stosunki, kiedy nasi synowie chodzili razem do szkoły. Teraz odnosimy się do siebie z chłodną uprzejmością. Moja żona nie lubi Brenta, ojca Stephena. Przestała go lubić od pewnego czasu.

– Dlatego że... – odpowiedziała Eve.

– Przede wszystkim dlatego, że okłamywał i zdradzał swoją żonę, którą żona bardzo lubiła, a poza tym, jak sądzę, również dlatego, że dowiedziała się, iż miał romans z dyrektorką szkoły, do której chodził nasz syn.

– Z Lotte Grange?

– Zgadza się. Żona któregoś dnia umówiła się ze swoją koleżanką, która przyjechała z innego miasta i nocowała w hotelu. Czekająca na nią w hotelowym lobby i wtedy nieoczekiwanie spostrzegła dyrektorkę

w towarzystwie Brenta. Weszli, zameldowali się w recepcji, a po drodze do windy... ujmijmy to w ten sposób: obnosili się z okazywanymi sobie uczuciami. Było to dla mojej żony szczególnie przykre, gdyż bardzo się zaprzyjaźniła z żoną Brenta.

– Rozumiem.

– A teraz ani tutaj, ani tam – mruknął pod nosem Lowell. – Teraz nie ma już nic.

– Panie Cosner, czy jest pan adwokatem Stephena Whitta? – spytała Eve.

Zdumiony Cosner zrobił wielkie oczy.

– Nie, skądże znowu! Gdybym nawet go reprezentował, w tych okolicznościach raczej nikomu bym się tym nie chwalił.

A więc kolejne kłamstwo – pomyślała Eve. – Kolejne nikomu niepotrzebne kłamstwo.

– Będziemy chcieli zobaczyć naszego synka – dodał Cosner.

– Zorganizuję pożegnanie najszybciej, jak to będzie możliwe. – Eve wstała. – Teraz udamy się do apartamentu pańskiego syna i przeszukamy jego rzeczy.

– Sądziliśmy, że jeśli zamieszka w tym samym budynku, to mu pomoże. Niestety, nie pomogło. Będę musiał jakoś przekazać żonie, że nasze dziecko odeszło. Będę musiał jej powiedzieć, że nasz chłopiec pomagał w zabijaniu innych ludzi. Jak ja to zrobię?

Eve stała przed drzwiami apartamentu Marshalla Cosnera – również śnieżnobiałymi, lecz pojedynczymi. Ponieważ miały kilka różnych zabezpieczeń i alarmów, puściła przodem Roarke'a, aby mógł się wykazać.

– Ten rodzaj zamka z alarmem jest w takim budynku absolutną przesadą – rzekł.

– Nie, jeśli masz coś do ukrycia – odparła Eve. – Ojciec go kochał. Nie miał dla niego szacunku, nie ufał mu, lecz mimo to nadal go kochał.

– Nie robił niczego, żeby zasłużyć na ów szacunek czy zaufanie. Wydaje mi się, że miłość rodzicielską większość dzieci dostaje w pakiecie.

– Większość – zgodził się Roarke. – No i proszę: otwarte. Pani porucznik przodem. Zapraszam!

W apartamencie Cosnera nie było przedpokoju. Wchodziło się bezpośrednio w przestrzeń dzienną, mniej więcej o połowę mniejszą od salonu ojca, ale i tak pokój zdumiewał ogromem.

Nie miał tarasu ani balkonu, ale za olbrzymimi taflami szyb okiennych migotało morze światła miasta. Umieblowano go nowocześniej niż u rodziców: użyto odważniejszych wzorów i mocnych kolorów w połączeniu z lśniącochromami.

Eve najpierw obezła cały lokal.

– No tak... W głównej mierze otwarta przestrzeń łącząca pokój dzienny, aneks jadalny oraz kuchnię. To znaczy, że sypialnia będzie po przeciwnej stronie. Zacznijmy od niej.

Znalazła sypialnię główną i mniejszy pokój, służący za biuro domowe.

– Ty bierz biuro, ja się zajmę sypialnią – zarządziła. – Jeśli używali nieregistrowanych telefonów na kartę, Whitt mógł przegapić jakieś urządzenie. Może nie zauważył notebooka, jakiegos pliku w komputerze, jakichś połączeń w telefonie domowym. Ja zacznę od sprawdzenia, co u Peabody.

Kiedy ona wdała się w rozmowę, Roarke usiadł za biurkiem ze stali, z blatem z prawdziwej skóry. Złamanie hasła do komputera zajęło mu nie więcej niż dwie minuty. Nie dłużej siedział nad odszukaniem, co też tu zrobił Whitt.

– Kochanie, masz może chwilkę?

Weszła do pokoju z telefonem przyciśniętym wyświetlaczem do piersi.

– Nie mów do mnie „kochanie”, kiedy rozmawiam z innymi policjantami – syknęła.

– Sorki, pani porucznik kochanie.

Przewróciła oczami.

– Co masz? – spytała.

– O godzinie siedemnastej zero osiem wiele plików zostało usuniętych z tego komputera.

– Co za sukinyń! – Podeszła do męża i popatrzyła przez jego ramię na ekran. – Czy możesz cokolwiek z tego przywrócić?

Podniósł wzrok i ich spojrzenia na moment się skrzyżowały.

– Tak obelżywe słowa nie zasługują na „kochanie” – burknął.

– Ale... – zaczęła, machnęła ręką i odsunęła telefon. – Tak. Powiedz specom od informatyki, żeby skontaktowali się z tym odjechanym naukowcem z laboratorium. Eee... Z Silerem. Jeśli nie będą umieli zidentyfikować pozostałych substancji, on to na pewno zrobi i wreszcie się dowiemy, co to za diabelstwo.

– Dallas! – przerwała jej Peabody. – Jest już po północy.

– Co? Już? O cholera! W takim razie wszyscy jazda do domu się przespać. Zadzwoń do Silera o ósmej rano. Chcę też, żeby ktoś siedział na ogonie Whittowi, choć nie sądzę, by chciał się gdzieś ulotnić. Wprawdzie uważa, że jest kryty i czysty jak łąza, ale nie chcę ryzykować.

– Tak jest! – zameldowała Peabody. – Harvo znalazła jeden tysiąc i dwieście szesnaście ludzkich włosów – dodała.

– Żarty sobie ze mnie stroisz? – fuknęła Eve.

– Nic podobnego! Latała jak nakręcona po całym budynku. Zajęło jej to wieki i ekipa techników, praktycznie rzecz biorąc, dopiero weszła.

– Każ im zapieczętować nieruchomości. Ogłaszam przerwę dla wszystkich. – Wyłączyła się. – Rób z tym, co się da – zwróciła się do Roarke'a. – Ja przejrzę z grubsza całe mieszkanie. Komputer możemy zabrać ze sobą. Teraz się wyloguj. Zlecę rano informatykom, żeby to skończyły.

– Nigdy, kobieto małej wiary! – odrzekł, nie przerywając pracy.

W takiej sytuacji Eve wróciła do sypialni w celu jej przeszukania. Był to zdecydowanie pokój samotnego, dobrze sytuowanego mężczyzny: mocne kolory, proste linie, żadnych fikuśnych ozdóbek. Wnętrze absolutnie luksusowe.

Zawartość szuflady przy łóżku sugerowała, że przynajmniej od czasu do czasu uprawiał seks. Zawartość garderoby – że lubił wydawać pieniądze na ubrania. Wszystko od znanych projektantów, ze skarpetkami i bielizną włącznie.

Znalazła mały zapas narkotyków i substancji odurzających, zauważyła, że część fiolek miała ręcznie naklejane etykiety – takie same jak w magazynie na Dolnym Manhattanie.

Pewnie sporządzane w tamtejszym laboratorium – pomyślała. Spakowała je do torebek ewidencyjnych i zabezpieczyła.

W drugiej, nieco mniejszej garderobie znalazła sprzęt sportowy Cosnera: kije do golfa, rakiety do tenisa, buty do golfa i do tenisa. Garderoba sama w sobie była bardzo stylowa. Eve odnalazła tu też stare mundurki Marsha ze Złotej Akademii: zestawy letni i zimowy.

Zrobiło jej się na ten widok dziwnie smutno.

Mimo to podniosła wzrok. Zmrużyła oczy, nieco się cofnęła, stanęła na palcach i ledwo dotknęła brzegu ciemnoniebieskiego pudła stojącego na najwyższej półce.

Musiała pójść po krzesło, wciągnąć je do środka i stanąć nogami na siedzeniu, żeby je stamtąd zdjąć. Gładka warstewka kurzu na wierzchu świadczyła o tym, że ostatnio nie było otwierane.

Zeszła z nim na dół, otworzyła wieko.

Zdjęcia. Bardzo dużo zdjęć przedstawiających Cosnera, Whitta, Hayward oraz innych w młodszym wieku. Zdjęcia portretowe, zdjęcia najwyraźniej po spożyciu, zdjęcia z imprez sportowych. Wycinki z gazet z artykułami dotyczącymi spartakiad. Szkolne biuletyny i ogłoszenia o potańcówkach, różnych galach. Wiele pamiątek.

To smutne – pomyślała znów i zaczęła się przekopywać do samego dna, gdzie znalazła gruby notes. Nie elektroniczny, lecz zwykły papierowy, z odręcznymi zapiskami. Przejrzała zawartość i zdała sobie sprawę, że Cosner prowadził dość obszerne notatki swoim niezbyt czytelnym, kulfoniastym charakterem pisma.

– Eve!

– Posłuchaj tylko – rzekła, nie oglądając się za siebie. – „Spraliśmy tego pedzia Rodrigesa na kwaśne jabłko wczoraj wieczorem. Debil uwierzył, że chcemy, żeby nas pouczył, ale ze Steve'em to my daliśmy mu niezłą lekcję. Głędził coś, żebyśmy z nim skończyli. Nikt by raczej nie tęsknił za tym małym popaprańcem. Zdecydowaliśmy się wywalić tego zasmarkanego jełopa z auta gdzieś po drodze, a potem poszliśmy na piwo”. – Odwróciła kilka stron. – Jest tu tego więcej, o wiele więcej. Wystarczająco dużo, żeby ściągnąć Whitta do nas na poważną rozmowę.

– Eve! – powtórzył Roarke. – Udało mi się odzyskać kilka plików. W szczególności na jeden musisz koniecznie zerknąć.

– Okej. – Podniosła wzrok na męża i zobaczyła jego wyraz twarzy. – Co to takiego?

– Lista osób obranych przez nich za cele ataków. Z detalami.

Zabrała notes ze sobą do pokoju biurowego Marshalla, stanęła za Roarkiem i znów zaczęła patrzeć przez jego ramię na ekran komputera.

– Jestem w trakcie odzyskiwania plików. Powiem krótko: ten twój Whitt... twój, bo jednak jest twoim głównym podejrzanym... więc ten twój Whitt niewiele wie o zasadach działania komputerów. Usunął pliki standardowo, a ten proces łatwo odwrócić.

– Jezu! Cosner zatyłował go „Czas zemsty”! – jęknęła Eve. – Zupełnie jakby dalej tkwił mentalnie w szkole średniej.

– Jak widzisz, cele owej zemsty są spisane alfabetycznie, a obok umieszczono dane ofiar, w które mieli zamiar uderzyć. Poniżej jest jeszcze rozwinięcie. Tu mamy plany dnia potencjalnych ofiar, szczególnie optymalny czas dostarczenia każdemu z nich przesyłki, wybrane punkty firm kurierskich z wrzutniami nocnymi, a nawet listę fałszywych danych sklepów, które miały być podane na przesyłkach jako ich nadawcy.

Roarke przewijał otwarty plik na ekranie komputera.

– Spisał dosłownie wszystko – rzekła z przejęciem Eve. – Alibi do każdego z osobna, opis zdarzeń, które miały być przykrywką, i to, który z nich będzie wysyłał paczkę. Okoliczności mamy podane na

tacy, lecz Cosner tego nam nie potwierdzi, bo sam już nie żyje. Mamy jednak więcej, niż trzeba, żeby wsadzić Whitta za kratki. Wróc do spisu osób obranych za cel zemsty.

Kiedy to zrobił, przebiegła wzrokiem po nazwiskach.

– Mamy tu Durana, następnie Flinta. Rodrigues wspominał o nim. Jest teraz na emeryturze i mieszka w Karolinie Południowej. Potem Rosalind, nauczyciel chemii. Rufty i Stuben, nauczycielka plastyki, Woskinski i Zweck, pielęgniarka szkolna, obecnie pracująca na własny rachunek. To siedem wyszczególnionych alfabetycznie celów. Cosner jest trzecią ofiarą. Na miejscu zbrodni pozostały trzy nienaruszone jaja. Z tego wynika, że albo Whitt ma przy sobie siódme, albo już zostało wysłane.

– Jeśli Whitt od zawsze miał zamiar zlikwidować swojego kolegę... – zaczął Roarke.

– Ale nie w ten sposób – przerwała mu Eve. – Nawet taki osioł jak Cosner umiał dodawać. Siedem celów, siedem jaj. Cosnera można było wyeliminować w prostszy sposób: mógł zwyczajnie przedawkować. Tu wystąpiła nagle konieczność. Trzeba było działać szybko i zniknąć. Bez ryzyka, że coś pójdzie nie tak. – Wyszarpnęła telefon z kieszeni i wybrała numer Peabody. – Skontaktuj się natychmiast z Rosalindem i Zweck z listy pracowników Złotej Akademii – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Musimy się dowiedzieć, czy nie odebrali ostatnio żadnej przesyłki. Musimy wiedzieć na bieżąco, co się u nich dzieje. Czy McNab jest z tobą?

– Tak, ale...

– Niech on dzwoni do Stuben ze Złotej. Ja biorę na siebie Woskinkiego i Flint. Wszyscy są na liście osób, których planowali zamordować Whitt i Cosner. Znaleźliśmy ją w komputerze tego ostatniego.

– Rany boskie! Już się do tego bierzemy. Ale chwila... Suma jaj mi się nie zgadza.

– Dokładnie. Najprawdopodobniej jedno jest już gdzieś w drodze. Napelnione. Musimy je odnaleźć. Najpierw jednak dzwoni do potencjalnych ofiar. Ich bezpieczeństwo jest dla nas priorytetem. Zdj raport z wykonania zadania – zakończyła rozmowę Eve.

– Daj mi telefon do Woskinkiego – zwrócił się Roarke do żony. – Ty bierz ostatnią osobę z listy. Będzie szybciej.

Kiedy udało się potwierdzić, że pozostali z listy śmierci są cali i zdrowi, Eve zabrała się do następnego pilnego zadania.

– Musimy odnaleźć to cholerne jajo. Ile czasu potrzebujesz, żeby odzyskać wszystkie usunięte dane?

– Już kończę. Jak ci już wspominałem, Whitt nie za bardzo się zna na komputerach. Nie wgrał nawet żadnego wirusa.

– Dobra, dokończ to, a potem skopiuj wszystko do mojego komputera. Muszę obudzić Reo.

Roarke, pracując, jednym uchem łowił strzępy rozmów Eve – z podziwem, a przy tym z rozbawieniem.

Reo odebrała połączenie, blokując przekaz wideo.

– Nienawidzę cię, Dallas! – wychrypiąła.

– Marshall Cosner nie żyje, zatruty oparami gazu paralizującego. Mamy podstawy przypuszczać, że kolejna przesyłka jest już w drodze.

– Co takiego?! Chwila! O Boże! Dlaczego nikt nie zaparzył kawy? – W telefonie przez chwilę słychać było jakieś szelesty i postukiwania. Wreszcie wszystko ucichło. – Teraz poproszę o szczegóły.

– Zrobiliśmy nalot na przebudowany magazyn nabyty na firmę przez Marshalla Cosnera – zaczęła Eve, a potem zreferowała wszystko, czego się dowiedzieli, pani prokurator, która odblokowała w końcu wideo i ukazała się, stojąc na tle kuchni z gigantycznym kubkiem kawy w ręku.

– Ustaliliśmy również, że Whitt był dzisiaj późnym popołudniem w apartamentowcu Cosnerów podczas nieobecności Marshalla. Jeden z portierów go zapamiętał. Dostaniemy kopię nagrań z kamer monitoringu. Odbierzemy ją z recepcji, kiedy będziemy opuszczać budynek. Z mieszkania Cosnera juniora zniknęły wszelkie drobne urządzenia elektroniczne. Z komputera w biurze domowym usunięto wszystkie pliki, lecz Roarke'owi udało się je odzyskać. Zawierały między innymi listę osób, które planowali zamordować. Było na niej siedem nazwisk oraz szczegółowe informacje dotyczące przyszłych zbrodni. Trzy jaja zostały użyte, trzy zabraliśmy jako dowody. Jednego brakuje.

– Czy w odzyskanych plikach pojawia się nazwisko Whitta?

– Tak. Jest koordynatorem przykrywek zapewniających im alibi.

– To będzie pomocne. Niestety, Cosner nie żyje, więc nie bardzo ruszy to sprawę.

– Jak nie bardzo! – W głosie i oczach Eve zaiskrzył gniew. – Ja osobiście przepchnę wszystko do przodu! Na teraz potrzebuję nakazów. Musimy przede wszystkim odnaleźć tę cholerną przesyłkę. Mamy listę preferowanych firm kurierskich oraz punktów wysyłkowych z wrzutniami nocnymi. Potrzebuję prokuratorских nakazów przeszukania wszystkich.

– Prześlij mi tę listę. – Reo wciągnęła porządny łyk kawy. – Zajmę się tym.

– Chcę przeszukać mieszkanie oraz biuro Whitta i skonfiskować, co będzie trzeba. Potrzebny mi również nakaz jego aresztowania. Jak najszybciej – dodała. – Najpierw musimy odnaleźć przesyłkę.
– Chyba potrzebne mi będzie więcej kawy. Już się do tego biorę. Prześlij mi wszystko, co masz.
– Zaraz wysyłam – zapewnił je Roarke sprzed komputera.
– Dziękuję! – rzuciła Eve do męża, a potem wróciła do rozmowy z Reo. – Oddzwoni, jak skończysz – poprosiła.

Następnie obudziła szefową sekcji neutralizacji substancji toksycznych, Michaelę Juntę.

– Będziesz musiała połączyć swoje drużyny... – zaczęła Eve.

– Wszystkie pliki odzyskane, kopia sporządzona! – zameldował Roarke, kiedy zakończyła połączenie.

– Dobrze. Muszę powiadomić wydział EDD, żeby to od nas przejęli. Zbierajmy się. Popracujemy w domu. Chciałabym też zobaczyć nagrania z kamer monitoringu.

– Nigdy nie spotkałem owego Whitta, ale na podstawie tego, co o nim wiem, mogę się pokusić o określenie go jako osoby nie tak znowu przebiegłej i mądrej, za jaką się ma.

– Masz co do tego absolutną rację. – Eve wsunęła notatnik do torby ewidencyjnej, zabezpieczyła ją i podpisała. – Wiesz, kim on jest? Zadowolonym z siebie egocentrykiem i socjopatą, chronionym od urodzenia przez przywileje i pieniądze. Niedługo się to skończy. – Zamknęła i zaplombowała drzwi do mieszkania. – Zaoszczędzę trochę czasu, jeśli przejrzę zapis z kamer od razu w samochodzie, podczas jazdy do domu. Junta nie pozwoliła mi stawić się w punktach poszukiwań ani wziąć udziału w poszukiwaniu paczki z gazem paralizującym. Wkurza mnie to do łez, choć ją rozumiem, bo ja na jej miejscu postąpiłabym tak samo.

W windzie kołysała się nerwowo z palców na pięty, chcąc jak najszybciej ruszyć z miejsca. Kiedy tylko odebrała dysk pamięci od ochrony budynku, od razu podłączyła go do swojego komputera – mimo że jeszcze nie doszli do wozu.

Roarke prowadził, a ona w tym czasie przeglądała nagrania.

– Portier dobrze zapamiętał godzinę, kiedy przyszedł Whitt. Mam go. Przechodzi tuż obok recepcji. Siedzi tam chłopak, który wita go skinieniem głowy. Najwidoczniej często tam bywał, skoro nikt go nie zatrzymuje. – Przełączyła na kamerę w windzie. – Okej, mam go. Sprawdza czas na zegarku naręcznym. Wyjmuje z kieszeni dropfon. Taaa... Założę się, że oddzwania na telefon od Cosnera. Zawsze możemy podłączyć czytnik mowy na podstawie ruchu warg, gdyby okazało się to konieczne. Szybka rozmowa. Chowa telefon. Pewnie ten sam, który potem porzucił. Uśmiecha się z przekąsem. Och, ten jego pieprzony uśmiezek zadowolonego z siebie dupka!

Eve przełączyła na obraz z kamery w korytarzu na piętrze, gdzie zobaczyła Whitta zmierzającego prosto ku drzwiom apartamentu Cosnera. Używa własnej karty elektronicznej i dodatkowo identyfikuje się odciskiem palca, żeby otworzyć drzwi.

– Czy nie zdawał sobie sprawy, że obejrzy nagrania z kamer ochrony? – spytał Roarke.

– Cosner nie został przecież zamordowany tutaj. Tak zapewne myślał. Po co mielibyśmy zawracać sobie głowę sprawdzaniem tego? Powtórzę jeszcze raz: uważał, że zanim odnajdziemy ciało, zapis z tego dnia zostanie już wykasowany. Mam go, kiedy wychodzi. Spędził w środku trzydzieści dwie minuty. Cokolwiek stamtąd wyniósł... powiedzmy, że kilka dropfonów komórkowych, czyli nierozbieralnych urządzeń wyrzucanych po wygadaniu opłaconego czasu rozmów, jakąś drobną elektronikę... wszystko to zapakował do nesesera i torby listonoszki. Muszę się dopytać, gdzie spędził wczorajszy wieczór, jakie ma alibi.

– Musiał mieć czas, żeby wyjść ukradkiem, dojechać do magazynu, rozprawić się z Cosnerem i wrócić. – Roarke wjechał przez bramę na teren ich posiadłości. – Z tego wynika, że musiała to być jakaś większa impreza publiczna, a nie prywatne spotkanie w wąskim gronie. Potrzebował tłumu, żeby się weń wtopić, czyż nie?

– Może kolejny klub albo koncert, jakaś impreza sportowa lub bankiet... – zastanawiała się Eve. – Jakieś spotkanie biznesowe, lecz tym razem nie kolacja z klientem. Teraz zajęło mu to zdecydowanie więcej czasu niż przeciętna pilna rozmowa przez telefon, którą wykrył się ostatnio.

– Pozwól, że sprawdzę, czy uda mi się coś wykryć. – Roarke uśmiechnął się, otwierając przed Eve drzwi do domu. – Mam te swoje sposoby.

– Świetnie. Ty użyj swoich sposobów, a ja sprawdzę, co u Junty i u Reo. Dam Feeneyowi odpocząć kilka godzin, a potem zrobimy nalot na Whitta i przeszukamy jego miejsce zamieszkania. Z samego rana.

– Zapewne wyobraża sobie, że u niego w domu wszystko jest superbezpieczne i w tej chwili upaja się swą przebiegłością, zadowolony z siebie i ze swoich poczynań. Zapewne śpi jak niemowlę – podsunęła Roarke.

– Niemowlęta zwykle płaczą po nocach – zaoponowała Eve.

Zatrzymał się w połowie schodów.

– Hm. No dobra. Tu masz rację. Znajdę więc lepsze porównanie. Śpi jak porypany socjopata. Musiał wejść w posiadanie formuły tej toksycznej substancji paraliżującej układ nerwowy człowieka.

Odwrociła się do męża, kiedy weszli do jej gabinetu, i spytała:

– A co byś zrobił, gdybyś był socjopatycznym niegrzecznym chłopcem i dysponował formułą broni chemicznej, która może zabić człowieka na miejscu w kilka minut, a potem ulatnia się bez śladu?

– Sprzedałbym ją. Jeśli twój socjopatyczny niegreczny chłopiec nie byłby totalnym durniem, najpierw odczekałby kilka miesięcy. Może rok, może ze dwa lata.

– Moim zdaniem nie czekałby ani rok, ani dwa lata, ale trochę by odczekał. Założył się, że już teraz przeprowadza staranny wywiad, gdzie by to sprzedać za jak najlepszą cenę – oznajmiła i ruszyła po kawę.

– Tej możliwości mu nie dasz. Pozwól, że sprawdzę, co też uda mi się odgrzebać. – Zatrzymał się przy mapie zbrodni. – Będziesz ją jeszcze uaktualniać? – spytał.

– To rutynowe działanie, zresztą nie bez powodu.

– Wszystko mu się idealnie układało w życiu – westchnął Roarke, przyglądając się zdjęciu identyfikacyjnemu Cosnera juniora. – Bogactwo, przywileje, dobre wykształcenie, szerokie możliwości. Wszystko poszło na marne.

– Skończył w kostnicy – dopowiedziała Eve, usiadła przed komputerem w swoim domowym centrum dowodzenia i zabrała się do pracy.

Skontaktowała się z Juntą i z Reo, napisała raport, potem – i owszem – uaktualniła mapę zbrodni. Gdy skończyła, wrócił Roarke.

– Grupa Whitta miała wczoraj w godzinach popołudniowych zorganizowane seminarium ze swoim najważniejszym klientem, połączone z kolacją i częścią rozrywkową do późnego wieczora w nowojorskim Grand Hotelu. Whitt wygłaszał tam jakąś mowę.

– Gdzie jest ten hotel? O której godzinie Whitt miał to wystąpienie?

– O dwudziestej, podczas posiłku. A gdzie, to się zaraz sprawdzi. – Pochylił się nad nią, kliknął kilka razy w klawisze i na dużym telewizorze wiszącym na ścianie pokazał się plan Nowego Jorku. – Tu mamy Grand. – Podświetlił odpowiednie miejsce. – A tutaj magazyn Cosnera.

– Za daleko, żeby iść na piechotę. Nie miał na to wystarczająco dużo czasu. Na bieganie również, nawet gdyby był rączym nagim maratończykiem.

– Kim?!

– Później ci to wyjaśnię. Whitt musiał dysponować jakimś środkiem transportu.

– Zgadzam się. Nawet gdyby czymś jechał, zajęłoby mu to kilkanaście minut.

– Taksówki by nie wzięł... – Wstała i zaczęła chodzić po pokoju w tę i z powrotem. – Takiego ryzyka by nie podjął. Jazdy metrem też by raczej nie ryzykował. Musiał mieć własny, nie z kierowcą, bo wciągnąłby w to kolejną osobę. Czy Grand ma własny parking?

– Ma, ale musisz oddać kluczyki portierowi, a ten odprowadza samochód na wyznaczone miejsce.

– To nie pasuje. Musiał zaparkować gdzieś w pobliżu, skąd mógł szybko odjechać i równie szybko wrócić. Co mamy w granicach jednego kwartału?

Znów kilka kliknięć w klawisze.

– Masz tutaj hotel Hubble, który dysponuje parkingiem podziemnym, dostępnym dla każdego. Jest przecznicę dalej. Kolejny ogólnodostępny parking znajduje się trzy przecznice dalej – odczytał wyniki.

– Musimy uzyskać nagrania z kamer ochrony obu hoteli!

Odwrocił głowę i popatrzył uważnie na żonę. No tak, nakręcona straszliwie – pomyślał – niemniej goni resztkami sił.

– Myślę, że teraz, prawie o drugiej w nocy, są na służbie policjanci, którzy mogą to zrobić. Ty powinnaś przynajmniej chwilę się zdrzemnąć.

– Nie potrzebuję... – zaczęła, lecz zdała sobie sprawę, że ta pozorna rześkość spowodowana była jedynie tempem, w jakim potoczyło się śledztwo w ciągu kilku ostatnich godzin, i ona długo tak nie pociągnie. Musiała być wypoczęta, żeby zabrać się ostro do maglowania Whitta jutro z samego rana. – Masz rację. Whitt nigdzie mi nie ucieknie, pozostałe jego potencjalne ofiary są bezpieczne, a zespół Junty na pewno odnajdzie przesyłkę. Zaraz kogoś wyznaczę do ogarnięcia hoteli.

– No i popatrz... – Poglaskał ją po głowie. – Jakie to łatwe i proste!

– Bo to jednak czas odpoczynku, a poza tym muszę odzyskać siły, żeby rozłożyć sukinsyna na łopatki. Nie cierpię tego.

Eve wydała odpowiednie polecenia, a potem, kiedy szli do sypialni, ze wszystkich sił usiłowała wyłączyć myślenie. Z mizernym skutkiem.

– Zastanawiam się, kogo następnego obrał za cel? – powiedziała, już rozebrana.
– Ktokolwiek to jest, jest bezpieczny – uspokoił ją mąż.
– Ty również bardzo się do tego przyczyniłeś.
– Więc teraz oboje możemy spokojnie odpocząć kilka godzin ze świadomością, że zrobiliśmy wszystko, co zrobić mogliśmy.

Wśliznęła się pod kołdrę, na której już zdążył położyć się kot, i podjęła kolejną próbę odsunięcia od siebie myśli na temat minionego dnia. Roarkę przyciągnął ją do siebie, a ona ujęła jego dłoń.

– Obaj mieli wszystko, co nam nie było dane w młodości – powiedziała. – Teraz jeden leży w kostnicy, a drugi resztę życia spędzi za kratkami.

– My natomiast znaleźliśmy się w tym miejscu. – Ucałował tył jej głowy. – Śpij już! – szepnęła, a ponieważ wiedział, że głaskanie po plecach ją usypia, zaczął delikatnie pocierać jej kark. – Nim się obejrzyysz, wszędzie świt.

*

Poranek nadszedł o piątej dwanaście, kiedy policyjny komunikator Eve zasygnalizował nadejście połączenia.

– Blokada wideo! – wymamrotała polecenie, kiedy wreszcie wymacała po ciemku urządzenie.

Roarkę, już na nogach, ustawił jasność oświetlenia na dziesięć procent.

– Melduje się Dallas! – odebrała.

– Tu Junta. Mamy paczkę. Została zabezpieczona.

Eve przecesała włosy palcami i stoczyła się z łóżka.

– Gdzie była? – spytała.

– Wysłał ponownie przez Allied. Nadali ją o dziewiętnastej czterdzieści z punktu znajdującego się kilka przecznic od magazynu. Wyszliśmy jej trasę do punktu przeładunkowego i tam ją skonfiskowaliśmy. Wymyślili zabawną nazwę nadawcy: „Kurka, Kaczucha & Gąsiorek”. Była zaadresowana do Lilliany Rosalind.

– Do żony nauczyciela chemii. Dobra robota, Junta!

– Wszystko pod kontrolą. Skończ z nim, Dallas!

– Taki mam plan. Oddzwonię potem.

Kiedy się rozłączyła, Roarkę podał jej kawę.

– Dzięki! A ty już wstałeś? Jesteś już prawie ubrany.

– Wkrótce mam telekonferencję. – Stał przed nią w czarnych spodniach od garnituru i popielatej koszuli, wiążąc idealny węzeł krawata ożywiającego mocną czerwienią w drobny czarny rzucik jego monochromatyczny ubiór. – Co dalej, pani porucznik?

– Zrobię odprawę, zbiorę zespoły i wszystko ustalę. Chciałabym, żeby Mira obserwowała, jak przesłuchują Whitta. Większą część spraw bieżących mogę omówić stąd. Wskakuję pod prysznic i biorę się do pracy.

– Będę w moim gabinecie, gdybyś czegoś potrzebowała. To była dobra robota. Wszystko pod kontrolą! – dodał jeszcze, nim sięgnął po marynarkę od kompletu.

Przynajmniej jak do tej pory – pomyślała, kiedy wyszedł, i powędrowała pod prysznic.

Whitt po rozprawieniu się z Cosnerem i usunięciu dowodów zapewne uważał się za czystego jak łąza – kalkulowała, stojąc pod gorącymi biczami wody, przywracającymi ją do życia. Czy wyprowadzenie go z błędu nie byłoby satysfakcjonujące? Musiała jednak wciąż zwracać baczną uwagę na to, w jaki sposób zwiększać presję, na co kłaść nacisk.

Rozpatrując w myślach różne opcje, wskoczyła do okrągłej kabiny z suszarką do ciała.

Jeszcze jedna kawa – zdecydowała i szybko wlała w siebie kolejną, nim udała się do garderoby. Tam zaczęła ściągać z wieszaków przypadkowe rzeczy; o ile łatwiejsze było to zajęcie, kiedy w jej szafie wisiały trzy rzeczy na krzyż. Nie miała wtedy czasu na myślenie o głupich stylach czy gównianym wizerunku.

Nadchodziła wiosna, więc zamiast żakietu wybrała kamizelkę, chwyciła z półki ciężkie buty do kostki i wyszła do sypialni, aby tu nałożyć szelki taktyczne. Gdy wrzuciła do kieszeni telefon i policyjny komunikator, kątem oka uchwyciła swoje odbicie w lustrze. Zatrzymała się. Nieźle!

Wprawdzie Eve wydawało się, że nie poświęciła doborowi garderoby ani sekundy, a jednak podświadomie udało jej się zestawić czarne skórzane spodnie z taką kamizelką, tę zaś nałożyła na czarną koszulę o prostym kroju. Do kompletu – czarne buty na grubej podeszwie.

Dobry strój do ścigania niegrzecznych chłopców i przerabiania ich na sieczkę.

W sumie sprawiała wrażenie może nieco zbyt wrednej, ale jak na tę okazję – stwierdziła – było idealnie.

Pomaszerowała prosto do swojego gabinetu, usiadła przed komputerem domowego centrum zarządzania i wypija trzecią kawę.

Zaczęła od połączenia się z Peabody i przekazania jej najnowszych informacji oraz instrukcji, równocześnie sprawdzając, czy nie przysły raporty od Harvo, Morrisa czy techników.

Jeszcze nie, lecz musiała wziąć pod uwagę, że dopiero dochodziła szósta rano.

Następny telefon wykonała do Jenkinsona, potem do Feeneya, a skończyła na Reo. Nie odważyła się obudzić ani Miry, ani Whitneya, wysłała im tylko krótkie notki.

Czterdzieści minut po wyrwaniu jej ze snu przez dzwonek komunikatora miała już ustawione wszystkie zespoły swoich ludzi, opracowała plan działania i była gotowa ruszyć do boju.

Kiedy podeszła do drzwi gabinetu męża, ten uniósł palec wskazujący do ust i pokazał na migi, żeby poczekała. Zobaczyła na ekranie grupę biznesmenów zasiadających za stołem konferencyjnym i... ach! Za ścianą ze szkła rozpoznała Big Bena.

– Gdy tylko otrzymamy te zmiany, przejrzymy dokumentację. Powinniśmy się z tym uporać do końca pańskiego dnia pracy. Dziękujemy! – usłyszała.

Skończył i odwrócił się do Eve.

– Brakuje ci tylko szpicruty – orzekł. – Rozumiem, że chciałaś dzisiaj wyglądać na twardą sztukę. Świetna robota.

– Dostanie więcej niż wizerunek. Czekam właśnie na nakaz wejścia do lokalu typu *no-knock*, który pozwoli mi wejść do jego mieszkania bez uprzedzenia razem z całą bandą moich nielubiących żartów glin.

– Twardo grająca twarda sztuka. – Wstał, podszedł do niej, ujął za biodra i pocałował. – Zjedz coś. Kawa i adrenalina to nie jest zbyt dobre połączenie. Nie wystarczy na długo. Dzisiaj będziesz potrzebować porządnego paliwa – dodał, kiedy przewróciła oczami.

– Coś wciągnę w samochodzie – obiecała.

– Dobrze i to. Powinnaś wziąć jeszcze swój długi, czarny płaszcz. Stanowiłby doskonałe dopełnienie wizerunku. Ten typ jest naprawdę zły, pani porucznik. – Znów ją pocałował. – Więc uważaj na moją policjantkę.

– Ja jestem od niego o wiele gorsza.

W to akurat wierzył. Obserwował ją, jak wychodzi, a potem usiadł, by rozpocząć kolejną konferencję.

O szóstej trzydzieści Eve stała już przed śródmiejskim domem Whitta. Oceniała go na typ faceta, który ma elegancki penthouse w apartamentowcu naszpikowanym luksusowymi udogodnieniami dla mieszkańców. Zdała sobie jednak sprawę, że w jego wypadku wolnostojący dom jednorodzinny bardziej miał sens.

Żadnych wścibskich sąsiadów, mniej ludzi, którzy mogliby zauważyć, kiedy wychodzi z domu i kiedy wraca, żadnych podejrzliwych ochroniarzy. Chronił się najlepiej sam.

Zgodnie z jej rozkazami Peabody wzięła czterech mundurowych, Jenkinson zabrał Baxtera i Truehearta, a Feeney – McNaba i Callendar.

Może lekko z tym przesadziła, ale chciała dać efektowny pokaz siły.

– Jedno źródło ciepła – ogłosiła Callendar. – Pierwsze piętro. On wciąż chrapie w łóżeczku, Dallas.

– W takiej sytuacji uzupełni pulę osób, które udało mi się wyrwać ze snu dzisiaj z ranka. Feeney, dasz radę zamkom i alarmom?

– Już prawie to mamy – mruknął, nie przerywając dłubania przy drzwiach wejściowych razem z McNabem. – Chciałaś szybko, trzeba było zabrać Roarke'a.

– Gdybym zabrała taran obłężniczy, byłoby jeszcze szybciej.

– Dwie minutki... – wycedził przez zęby Feeney.

– Zaczynamy zwracać na siebie uwagę rannych ptaszków – zauważyła Eve. – Zróbcie coś z tym! – zwróciła się do mundurowych.

Policjanci natychmiast zajęli się rozprędem gromadzących się ludzi i pilnowali, żeby nikt się nie zatrzymywał, dopóki Feeney i McNab nie przybili sobie piątki.

– Gotowe! Można wchodzić!

– Uwaga! Ja prowadzę! – zakomunikowała Eve. – Po sforsowaniu drzwi anonsujemy wejście policji. Poruszamy się uzgodnioną trasą. Powtarzam policyjną formułę po wejściu do każdego kolejnego pomieszczenia.

Wyciągnęła broń – choć bardziej dla efektu. Nie miała zamiaru jej używać. Skinęła na Peabody i wpadła do środka.

– Policja!!! NYPSD! – krzyknęła. – Mamy prokuratorski nakaz wejścia do obiektu. Policja! – powtórzyła, kiedy zaczęła wchodzić na górę po schodach. – Mamy nakaz. Jesteśmy uzbrojeni. Stephenie Whicie! Wychodź! Ręce w górze!

Wyszedł z sypialni zupełnie nagi, z rękami w górze, prezentując w całej okazałości walory swego ciała.

– Co to, kurwa, ma być? – rzucił.

– Stephenie Whicie! Mamy nakaz wejścia i przeszukania tej nieruchomości. Mamy również kolejny nakaz aresztowania pana jako podejrzanego o knowania przy popełnieniu dwóch morderstw, nakaz aresztowania za posiadanie i dystrybucję broni chemicznej oraz jako podejrzanego o popełnienie jednego morderstwa.

– Chyba postradaliście zmysły, do cholery!

– Ma pan prawo milczeć. Ma pan również prawo włożyć spodnie, zanim zostanie zakuty w kajdanki i zabrany do komendy głównej policji.

– Wara z łapami ode mnie i od moich rzeczy! – wrzasnął. – Chcę się skontaktować z moim adwokatem!

– Do tego również masz prawo. Zaraz dojdziemy i do pozostałych praw i obowiązków. Naprawdę tego chcesz, Steve? Najpierw spodnie. Baxter! Chodź tu na górę i pomóż panu Whittowi się ubrać, a przy okazji przedstaw mu prawo Mirandy.

W pustych oczach Whitta Eve dostrzegła mroczne błyski wzbierającej wściekłości.

– Zapłacisz mi za to! – syknął.

– Wystarczającą karą jest dla mnie konieczność gapienia się na twoje gołe cielsko, z pozlepianymi włosami, prosto z wyra i w ogóle w totalnym rozgoleniu. Uważam, że już zapłaciłam.

Whitt skontaktował się ze swoim adwokatem. Eve wyobrażała sobie, że ma ich całą armię i zacznie do nich wydzwaniać od razu po znalezieniu się w areszcie komendy głównej. Na razie jednak wyprowadzało go z własnego domu dwóch nachmurzonych mundurowych. Udawali się wprost do oczekującego przed wejściem radiowozu.

– Jesteś skończona! – wysyczał przez zaciśnięte zęby, przechodząc obok. Jego spojrzenie pozostało puste i zimne, lecz skute kajdankami dłoń zaciśnęły się w pięści. – Nie masz pojęcia, z kim zadarłaś. Wykończę cię!

Uśmiechnęła się tylko, gdy mundurowi szarpnęli go i poprowadzili dalej, trzymając pod rękę.

– A gdzie złośliwy uśmieszek? – skomentowała. – Niezbyt z siebie zadowolony? Bardziej wkurzony niż wystraszony, lecz niezbyt z siebie zadowolony.

Rozejrzała się po idealnie rozplanowanym i umebLOWanym salonie, który bardziej się kojarzył z przestrzenią dzienną zaaranżowaną na pokaz niż z mieszkaniem. Granatowa żelowa sofa, białe fotele, stoły z polerowanej stali, jako dodatki: krzykliwa sztuka nowoczesna.

– Musimy coś tutaj znaleźć – mruknęła pod nosem. – Coś, co według jego wyobrażeń upchnął tak dobrze, że my za żadne skarby tego nie znajdziemy. Coś, czego nie musiał się pozbywać lub czego nie musiał przynosić w inne miejsce.

– Nawet nie zapytał, o co jest oskarżony – zauważyła słusznie Peabody. – Zwłaszcza o to ostatnie, trzecie morderstwo.

– Masz rację. Stara się wykombinować, jak też udało się nam tak szybko odnaleźć ciało Cosnera. Wydaje się mu, że jest kryty. Ma tu gdzieś sejf, przynajmniej jeden. Na pewno go odnajdziemy. Musi też mieć jakąś skrytkę w nieoczywistym miejscu. Odszukajmy ją.

Zaczęła od sypialni. Z jej obserwacji wynikało, że ludzie uważają to pomieszczenie za najbezpieczniejsze w całym domu. Znalazła tu sejf i poświęciła kilka intensywnych minut, skropionych potem z ciała, na sforsowanie zamków, po czym okazało się, że w środku nie ma nic szczególnie interesującego. Męska biżuteria, trochę gotówki, paszport.

Do garderoby wszedł Feeney.

– To zwykły sejf. Złamałaś zabezpieczenia?

– Mhm.

– Szybko się uczysz, dzieciaku. A skoro o twoim mężu mowa, mówiłaś, iż powiedział ci, że Whitt niewiele wie o działaniu komputerów? Skoro już tu jestem, to ci powiem, że wie tyle, co nic. Zabezpieczył swój komputer w biurze domowym tak słabym hasłem, że złamałaby je córeczka Mavis. Kilka podstawowych filtrów, które rozwalasz po jednym zmarszczeniu czoła.

– Rozumiem, że już w nim grzebiez.

– Och, grzebiemy w nim wszyscy po kolei. – Feeney wyjął z przepastnych kieszeni paczkę kandyzowanych migdałów i poczęstował Eve. – Ma tam głównie sprawy firmowe. Żargon finansistów. Roarke by pewnie zrozumiał, o czym mowa. Możemy to pokazać biegłemu księgowemu, ale mam wrażenie, że to legalne sprawy. Nie ma tam jednak jednego: nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby dotyczyć finansów osobistych.

– Roarke już je przejrzał. Podejrzewa niewielkie pranie pieniędzy. Znalazł jakieś bezsensowne transakcje w gotówce. – Przykucnęła, ściągnąwszy brwi. – Więc powiadasz, że nie ma tam żadnych prywatnych plików?

– Nic dotyczącego kwestii finansowych. Przypuszczam, że nie zna się na tym na tyle, by prowadzić równoległe dwie księgi rachunkowe.

– Dodaj do tego arogancję. Tajna skrytka... – mruknęła Eve, uważnie taksując wzrokiem wnętrze garderoby. – Musi tu być. Może podwójna ścianka? Sprawdźmy tutaj...

– Mam ją! Jupiiii! – Peabody wrzasnęła na cały dom.

Słyszając radosne piski partnerki, Eve zerwała się na nogi i wpadła do sypialni. Zastała ją na czworakach, przy nogach łóżka Whitta.

Najwyraźniej z siebie zadowolona, zakreśliła biodrami.

– Ten dywanik leżał na niej. Pomyślałam sobie, no cóż... nigdy nic nie wiadomo, uniosłam róg i zerknęłam pod spód, no i... ejże! Już wiedziałam. Tajna skrytka w podłodze! Deski są naprawdę doskonale spasowane. Wykonano ją na specjalne zamówienie, z zamkiem elektronicznym na odcisk palca.

Eve najpierw zastanowiła się, ile czasu zajęłaby jej zabawa z rozgryzaniem zamka, po czym podeszła do drzwi i krzyknęła:

– Potrzebny mi łom!

Wyraz zadowolenia na twarzy Peabody natychmiast zmienił się w przerażenie.

– Rany! Dallas! Tak pięknie ułożona podłoga! – jęknęła, przyciskając dłoń do serca.

– Dasz radę – pocieszyła ją Eve i rozluźniła ramiona, wyobrażając sobie, z jaką przyjemnością będzie wyłamywać kolejne deski.

*

Jeszcze nie minęła dziewiąta, a Eve była już w swoim gabinecie w centrali razem z Reo, zajmując się przeglądaniem zgromadzonych dowodów. Reo rozsiadła się na fotelu biurowym Eve, rozkoszując się pyszną kawą.

– Nie sądzę, aby prokuratura była skłonna zaoferować Whittowi jakąkolwiek ugodę – mówiła. – Według mnie będą naciskać, i to mocno, na maksymalny wymiar kary.

– Cholera! Też mam taką nadzieję!

Reo tylko się na to uśmiechnęła.

– Whitt ma trzech najlepszych adwokatów, specjalizujących się w prawie karnym, którzy tylko czekają na podarcie w strzępy naszego pisma o aresztowaniu podejrzanego. Już złożyli wniosek w sprawie wycofania oskarżeń oraz pismo w sprawie bezprawnego zatrzymania. Zajmą się pociąganiem za sznurki, kiedy my będziemy przesłuchiwać Whitta. Wiesz, kto go broni? Kobast! Ten Broward Kobast. Już jest w sali przesłuchań. Zamierzam dołączyć do ciebie i Peabody, no i dobrze się bawić... Nie! – poprawiła się. – Powiem raczej: rozkoszować się byciem nieodłączną częścią zespołu, który rozłoży ich na łopatki. Już my im damy nauczkę!

– Występowałaś kiedyś przeciwko nim? – spytała Eve.

– Miałam sprawę z dwoma z tych trzech. Czasem wygrywasz, czasem przegrywasz. – Reo wzruszyła ramionami. – Kobast akurat wygrał.

W drzwiach stanęła Peabody.

– Whitt wraz z adwokatem są już w sali przesłuchań A. Jego drugi prawnik udał się na górę do komendanta. Nie wiem, gdzie się podziewa numer trzy.

– Pewnie się wyklóca o zwolnienie klienta z aresztu. – Reo wstała i otrzępała niewidoczne pyłki z granatowego garnituru. – Ruszajmy więc i rozczarujmy ich wszystkich.

Eve wzięła pod pachę pudło z dowodami w sprawie i poszła przodem. Peabody otworzyła przed nią drzwi sali przesłuchań A.

– Włączam nagrywanie. Porucznik Dallas Eve, detektyw Peabody Delia oraz zastępca prokuratora generalnego Reo Cher wchodzą do sali przesłuchań, w której znajdują się już Stephen Whitt oraz reprezentujący go adwokat Broward Kobast. Przesłuchanie łączy się z oskarżeniami wniesionymi przeciwko panu Whittowi, wynikającymi ze spraw o numerach H-4945-1, H-4952-1 oraz H-4963-1.

– Mój klient korzysta z prawa do milczenia, więc proszę zwracać się do mnie – oznajmił prawnik. –

Pan Whitt oczywiście zaprzecza wszystkim tym krzywdzącym oskarżeniom. Złożyliśmy już wniosek o natychmiastowe zwolnienie z aresztu oraz pismo z oskarżeniami o najście, szkany i bezprawne zatrzymanie przeciw NYPSP, jak również przeciw pani osobicie, pani porucznik.

Kobast wyglądał jak emerytowany mąż stanu z siwą, rozwianą czupryną i przystrzyżoną krótko siwą brodą oraz kontrastującymi z nimi czarnymi brwiami, spod których spoglądały przejrzyste niebieskie oczy.

– Okej – powiedziała Eve i zajęła miejsce za stołem. – Może pański klient zechciałby nam powiedzieć, gdzie był w dniu wczorajszym między godziną dwudziestą a dwudziestą drugą?

– Nie musi, gdyż mogę zrobić to za niego. Uczestniczyłem wczoraj w tej samej imprezie: w kolacji Whitt Group w nowojorskim Grand Hotelu. Stephen wygłaszał mowę podczas posiłku.

Eve pokiwała głową, jak gdyby słyszała o tym po raz pierwszy.

– O której wygłaszał tę mowę? – spytała.

– Około godziny dwudziestej. – Kobast również pokiwał głową z uśmiechem samozadowolenia na ustach. – Udzielił wielu konkretnych informacji, zabawiając przy tym publikę.

– W to nie wątpię. Jak długo wygłaszał tę mowę?

– Może ze dwadzieścia minut.

– Czyli skończył około dwudziestej dwadzieścia. To nie wyczerpuje w całości czasu, o który pytam. Teraz Kobast westchnął.

– Pani porucznik! Kilkadziesiąt osób może potwierdzić, że Stephen był w Grandzie, w głównej sali balowej hotelu. Jeżeli jedno z waszych absurdalnych oskarżeń opiera się na tym...

– Tak, i owszem, opiera się, ponieważ zgon Marshalla Cosnera nastąpił o godzinie dwudziestej pierwszej dwadzieścia.

– Marsh? – Whitta nagle zatkało z wrazenia. Podskoczył, jakby go ktoś spoliczkował. Nawet nieźle mu to wyszło, ale nie umiał zrobić przerażonej miny. Zdradzały go oczy o lekko drwiącym spojrzeniu. – Marsh n-nie żyje? – wyjąkał. – J-jak... Co mu się stało?

– Nawdychał się tego samego gazu paralizującego, którego formułę opracował wynajęty przez was obu Lucas Sanchez. Kazaliście mu to zrobić, aby się zemścił na kilku waszych wrogach z dawnych lat – wyjaśniła ze spokojem Eve.

Whitt, starając się przybrać wygląd osoby wstrząśniętej, odwrócił się do swojego adwokata i ścisnął jego przedramię.

– Nie mam pojęcia, o czym ona mówi, Broward. Mój Boże! Marsh był jednym z moich przyjaciół z dawnych lat.

– Nie odzywaj się teraz, Stephen. Mój klient nie mógł być w dwóch miejscach równocześnie.

– No i nie był. Peabody!

Policjantka otworzyła pudło z dowodami rzeczowymi i wyjęła dysk pamięci.

– Oto kopia nagrań monitoringu Grand Hotelu, drzwi ewakuacyjne od strony ulicy Pięćdziesiątej Trzeciej, a zaraz potem mamy nagranie z parkingu podziemnego hotelu Hubble przy Pięćdziesiątej Pierwszej. Proszę zwrócić uwagę na datę i godzinę – dodała, demonstrując film.

– Przegapiłeś kamerę przy sklepie z upominkami, Steve – powiedziała pani porucznik, kiedy jego postać pojawiła się na ekranie wraz z godziną dwudziestą trzydzieści dwie. Przeszedł szybkim krokiem przed wejściem. – Zwróćcie uwagę na nagranie kamery przy wyjściu: przeskakuje osiemnaście sekund do przodu. Nasz Wydział Techniki Operacyjnej EDD potwierdził, że ten przeskok był spowodowany działaniem nadajnika zakłócającego.

– A więc przeszedłem obok sklepu z pamiątkami w holu hotelu. Czy bieganie w poszukiwaniu łazienki to teraz przestępstwo? – wybuchnął Whitt, na co Kobast gestem nakazał mu się uciszyć.

– Przełączam na nagranie z kamery w parkingu podziemnym hotelu Hubble – ogłosiła Peabody. – Mamy tu znacznik godziny: dwudziesta trzydzieści pięć. Zatrzymuje się o godzinie dwudziestej trzydzieści osiem.

Na zatrzymanym kadrze widać było mężczyznę w garniturze na czarnym skuterze. Hełm z szybko skrywał jego twarz.

– Żarty sobie robicie? Przecież to nie ja. Nawet twarzy nie widać, na litość boską. Poza tym nie mam skutera.

– Pani prokurator – zwrócił się Kobast do Reo głosem wyrażającym politowanie i pogardę. – Po takich dowodach trudno kogokolwiek zidentyfikować. Więcej się po pani spodziewałem.

– Coś takiego! Ja uważam, że są całkowicie wystarczające. Po pierwsze, o ile nie stracił pan nagle wzroku, panie Kobast, widzi pan chyba wyraźnie, że mężczyzna jadący na skuterze ma na sobie ten sam garnitur, ten sam krawat i te same buty, które pan Whitt ma na sobie na nagraniu z kamery Grand Hotelu. Dodam, że owszem, on sam nie posiada skutera, lecz jego kuzyn, James Cutter, tak. Prawdę mówiąc, ten właśnie skuter z tymi numerami jest zarejestrowany na pana Cuttera. Pan Cutter potwierdził, że pański klient jest w posiadaniu kodów do drzwi wejściowych garażu, gdzie rzeczony skuter jest przechowywany, a także kodu do jego uruchomienia.

– To nie ja. – Whitt skrzyżował buńczucznie ręce na piersi. – Ja nie opuszczałem ani na chwilę hotelu. Byłem tam od dziewiętnastej i wyszedłem po dwudziestej trzeciej.

– Nie jest to prawdą – odparowała Eve. – Zostawmy to na razie i cofnijmy się w czasie. Co robił pan wczoraj po południu o godzinie siedemnastej?

Whitt wzruszył tylko ramionami, a Kobast złożył ręce.

– Czy popełniono wówczas inne przestępstwo? Może kolejne morderstwo, które chce pani przypisać mojemu klientowi? – spytał adwokat.

– Nie morderstwo, lecz przestępstwo. Może nazwę to inaczej i spytam pańskiego klienta wprost: co robił w apartamencie Marshalla Cosnera podczas jego nieobecności o siedemnastej wczorajszego popołudnia? I zanim znowu zaprzeczysz, uprzedzam, że również jesteście w posiadaniu nagrań z monitoringu.

Peabody wyjęła kolejny dysk pamięci z pudełka z dowodami.

– To jakiś absurd! Marsh był moim przyjacielem. Pożyczył ode mnie zestaw słuchawkowy, aby go wypróbować, i po prostu chciałem go odebrać. Powiedział mi, żebym sam do niego poszedł i go wziął,

więc tak zrobiłem.

– Czy zabrał pan coś jeszcze z mieszkania pana Cosnera?

– Oczywiście, że nie. W porządku, Broward – zwrócił się do adwokata, nim ten zdążył mu przerwać.

– To po prostu jakaś pomyłka.

– Nie jest pomyłką, że z mieszkania pana Cosnera zniknęło kilka rzeczy.

– Skąd możecie to wiedzieć?

– Stephen...

– He, a skąd ona niby to wie? – Arogancja Whitta powróciła. – Sypie jak z rękawa jakimiś budżetami, zesperowana, żeby się tylko do czegoś przyczepić.

– Okej, porzućmy w takim razie ten temat. – Eve wstała, wyjęła tablet, minikomputer oraz dropfon komórkowy z pudła z dowodami zbrodni. – Te rzeczy należały do pana Cosnera, a zostały odnalezione przeze mnie i moją partnerkę w tajnej skrytce w podłodze przy pańskim łóżku, panie Whitt. Wiemy, że ta komórka, jeszcze nieaktywowana, należała do pana Cosnera, gdyż znaleźliśmy na niej jego odciski palców. Te dwa dropfony... – wyjęła dwa urządzenia z pudełka – ... należą do pana, panie Whitt. A teraz słucham, co przykładowy doradca finansowy miał zamiar zrobić z nierejestrowanymi telefonami oraz innymi rzeczami należącymi do nieżyjącego przyjaciela, które ukrył w schowku pod podłogą swojej sypialni?

– Ona kłamie! – Whitt odwrócił się do adwokata. – To oczywiste. Na pewno mi to podrzucili. Nie bez powodu wyskoczyła z tym teraz na mnie.

– Panie Kobast! – Teraz przemówiła Reo. – Jest pan zapewne świadom tego, że zgodnie z obowiązującym prawem porucznik Dallas oraz wszyscy policjanci, którzy weszli do domu pana Whitta, mając nakaz prokuratorski zezwalający na wejście i przeszukanie jego nieruchomości, mieli na sobie wideorejestratory. Całe przeszukanie jego domu jest na nagraniu, które możemy tu odtworzyć, jeśli tylko pan tego zażąda.

– Posiadanie bezpiecznej, zamaskowanej skrytki nie jest niezgodne z prawem – odciął się Kobast. – Nie jest również niezgodne z prawem przechowywanie w niej urządzeń elektronicznych należących do przyjaciela ani też dropfonów komórkowych.

– Tu mnie macie – przyznała Eve, z nieskrywaną przyjemnością patrząc na ironiczny uśmiešek Whitta. Znów sięgnęła do pudła. – Nie jest również niezgodne z prawem posiadanie pięciu tysięcy dolarów w gotówce... – Ułożyła na stole stosik spakowanych do plastikowych torebek obanderolowanych paczek banknotów. – ...aczkolwiek finansista powinien się orientować, że trzymanie pieniędzy pod przysłowiowym materacem nie przynosi żadnych zysków. Co jednakże jest nielegalne? – Rzuciła na stół nadajnik zakłócający, paszport, prawo jazdy oraz dowody tożsamości, popakowane w torebki ewidencyjne. – Posiadanie nadajnika zakłócającego sygnały urządzeń elektronicznych oraz fałszywych dowodów tożsamości.

– To jakaś paranoja! Próbujać mnie zrobić! Nie muszę tu sterczeć i tego słuchać! – Whitt zaczął wstać.

– Siadaj! – warknęła Eve. – Jesteś aresztowany. Siadaj albo od razu pójdiesz siedzieć do celi. – Przechyliła głowę, jakby się nad czymś zastanawiała. – Jestem przekonana, że jest to dla ciebie równie frustrujące, jak wyrzucenie ze Złotej Akademii, oddzielenie od bandy pochlebców oraz od dziewczyny.

– Dość tego, pani porucznik! – Kobast udawał, że jest spokojny, lecz Eve zauważyła, że był zaskoczony, widząc fałszywe dowody tożsamości. – Chcę porozmawiać na osobności z moim klientem.

– Jasne. – Spakowała wszystkie rzeczy z powrotem do pudełka. – Mamy jeszcze kilka niespodzianek. Na pewno wiesz, co jeszcze się tu skrywa. – Puściła oko do Whitta. – Dallas, Peabody i Reo opuszczają salę przesłuchań. Nagranie zakończone – powiedziała do mikrofonu.

– No cóż, Kobast się zorientował, że ma klienta kłamcę – podsumowała z satysfakcją Reo, kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły. – Zastanawia się teraz, czy może być gorzej. A więc, moje panie... coś zimnego do picia? Ja stawiam.

– Dla mnie puszka pepsi – rzuciła Eve.

– Ja też poproszę pepsi, ale niskokaloryczną – powiedziała Peabody. – Dzięki!

Reo poszła w stronę automatu i natknęła się po drodze na Mirę, która wyszła właśnie z pomieszczenia obserwacyjnego. Zamieniły szybko kilka słów i psychologka ruszyła ku Eve i Peabody w kanarkowożółtych szpilkach, które pasowały kolorem do obcisłej sukienki i żakietu.

– Jego kłamstwa nie trzymają się kupy. – Mira zerknęła w stronę drzwi pokoju przesłuchań. – Wszystko co chwila przeinacza. Podejrzewam, że spróbuje zwalić całą winę na Cosnera. W końcu on nie może już niczemu zaprzeczyć.

– Taa... – odparła Eve. – Też tak to widzę.

– Czuję się uprawniony do mówienia kłamstw, tak samo jak czułem się uprawniony do karania tych, którzy mu się przeciwstawiali lub go zdradzali, lub też po prostu stawali się niewygodni. – Tu Mira zwróciła się do Eve: – Nie umie w pełni rozpoznać, a dokładniej: nie respektuje twojej władzy nad nim. Doprowadza go to do szału. Nie ma poczucia winy ani wyrzutów sumienia, nawet cienia wątpliwości. Nie daje się zbić z tropu. Uważam, że pokona go jego własna złość. – Zastanowiła się chwilę. – Musisz go kurczyć. Wtedy w żadnej sytuacji nie będziemy przegrane, prawda, Peabody?

– Jakbyśmy wygrały na loterii i spędziły szaloną noc, uprawiając seks z Tigerem Bellowsem – orzekła pani detektyw.

– Kim, u diabła, jest Tiger Bellows? – spytała Eve.

– Gwiazdor filmowy – Mira z uśmiechem uzupełniła braki w wiedzy pani porucznik. – Jest jak marzenie.

– Och, a widziałyście go może w filmie *Kapitulacja*? – spytała z westchnieniem Reo, która właśnie wróciła z puszkami w rękach.

– Co za oczy! – Peabody aż przymknęła powieki. – Człowiek dosłownie się rozplynął!

– Mhm. Co za wspaniała wiadomość – mruknęła Eve i skwapliwie sięgnęła po puszkę pepsu. – Może mogłybyśmy... bo ja wiem... jakoś niepostrzeżenie podejść i przycisnąć do muru tego zafajdanego truciela?

– Mówię ci, że te fałszywki dowodów tożsamości zbiły Kobasta z tropu. Teraz zażądał wyjaśnień od Whitta. – Reo rozdała pozostałe puszki, łącznie z mrożoną herbatą dla Miry.

– Whitt za żadne skarby nie powie prawdy swojemu adwokatowi – orzekła Mira. – Och, my, prawnicy, jesteśmy przyzwyczajeni do wysłuchiwania kłamstw, a Kobast zjadł na tym zęby.

– Nasz podejrzany to kłamliwy zabójca i niebezpieczny socjopata – dodała Eve. – Jest przy tym zepsuty, rozpuszczonym jak dziadowski biczą bogatym synkiem ze znanej, poważanej rodziny. Według niego wszyscy wokół powinni po nim sprzątać. – Wyjęła z kieszeni telefon sygnalizujący nadchodzące wiadomości. – Przepraszam, muszę odebrać – powiedziała i odeszła nieco na bok. Odczytywała je, chodząc w tę i z powrotem. Włączyła się do rozmowy z tak promiennym uśmiechem, że zdołał przyćmić nawet kanarkowozółte szpilki Miry.

– Wygrałaś na loterii czy co? – spytała podejrzliwie Peabody.

– W kryminalistycznej loterii i owszem – przyznała Eve. – A teraz powiem wam, co my tu mamy i w jaki sposób tego użyjemy.

Kobast spędził na konferowaniu ze swoim klientem dwadzieścia minut, co w zupełności wystarczyło Eve do opracowania strategii działania. Wróciła do sali przesłuchań, włączyła ponownie nagrywanie i postawiła na stole pudło z dowodami w sprawie.

– Mój klient... – zaczął Kobast – pobłądził, co zrozumiałe, próbując chronić skórę swego starego przyjaciela, o którego zgonie właśnie się dowiedział. Starał się zatuzszować prawdę z pewnych powodów.

– To znaczy kłamał? – podsunęła Eve.

Kobast ją zignorował i mówił dalej.

– Mój klient wyda teraz oświadczenie wyjaśniające, w jaki sposób niektóre przedmioty, będące dowodami w sprawie, znalazły się w jego posiadaniu.

– Cóż, zamieniamy się w słuch.

– Zauważyłem któregoś dnia, że Marsh dziwnie się zachowuje – zaczął Whitt. – Był zdenerwowany, podekscytowany, zły na wszystko. Pomyślałem... No cóż, to nie tajemnica, że Marshowi zdarzyło się spowodować wypadek po zażyciu narkotyków. Podejrzewałem, że znów zaczął ćpać, a nawet próbowałem z nim na ten temat porozmawiać. Zbył mnie. Kiedy wykryłem, że prowadził jakieś podejrzane interesy z Sanchezem, ponownie podjąłem próbę przemówienia mu do rozsądku. Sanchez zaopatrywał Marsha w niedozwolone substancje odurzające od czasów szkoły średniej.

– Tylko Marsha? – wtrąciła Eve.

Whitt spuścił wzrok.

– Nie zamierzam zaprzeczać: trochę eksperymentowałem w szkole średniej, ale teraz już się w to nie bawię. Natomiast Marsh... – tu przerwał, jak gdyby było to dla niego zbyt wiele, i po chwili odetchnął głęboko, udając, że się pozbierał. – Kiedy spotkałem się z nim ostatnio w klubie, zachowywał się, jakby był solidnie nawalony. Cały czas opowiadał o Złotej Akademii, o tym, jak ciężko przeżył zsyłkę do szkoły z internatem, gdzie pilnowali go wciąż dziadkowie, o tym, jak pięknie się wszystko układało, dopóki paru nauczycieli nie uwzięło się na dyrektorkę, jak wszystko się zmieniło po objęciu stanowiska przez Rufy'ego. No i... – Spojrzał w dół i splótł dłonie. – No i o tym, jak znalazł sposób, żeby im odpłacić, żeby się na nich wszystkich zemścić. – W tym momencie podniósł wzrok.

Eve wyobrażała sobie, że chłopak wypracuje coś w rodzaju przerażenia w oczach, lecz nawet tego nie potrafił. Jego wzrok pozostał zimny jak lód.

– Nie wiedziałem... – kontynuował. – Nie przypuszczałem, że miał zamiar kogokolwiek skrzywdzić. Myślałem, że to takie tam smętne głędzenie. Wszedłem nawet nieco w temat, bardziej dla żartu. A kiedy potem obie panie przyszyły do mnie do biura i powiedziały mi... Nie połączyłem obu spraw. Do głowy mi nie przyszło, że chodzi o Marsha – zamilkł na chwilę. – Czy mógłbym poprosić o łyk wody?

Peabody wstała i wyszła bez słowa.

– Peabody opuszcza salę przesłuchań – powiedziała Eve do mikrofonu.

– Potem do mnie zadzwonił – zeznawał dalej Whitt. – Kontaktowaliśmy się ze sobą za pomocą dropfonów komórkowych. Robiliśmy tak dla zabawy od czasów szkoły średniej. Bardziej z przyzwyczajenia. Zadzwonił do mnie w panice, cały roztrzęsiony. Powiedział, że policja depcze mu po piętach. Nie wiedziałem, o czym mówi. Sądziłem, że znowu się naćpał i bredzi od rzeczy. Błagał, żebym poszedł do niego do domu i wziął tablet, minikomputer, dropfony, urządzenie zakłócające. Powiedział mi, że musi coś pilnie dokończyć, ale to tajemnica. Zgodziłem się, ale tylko dlatego, żeby go uspokoić. Więcej z nim nie rozmawiałem. Ostatnie słowa, które mi przekazał, brzmiały: „Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Steve! Robię to dla nas obu”.

Może i próbował uronić łzę, lecz bez powodzenia. Udało mu się za to wyartykułować końcówkę nieco załamującym się głosem.

Eve odczekała chwilę i pozwoliła ciszy wypełnić pomieszczenie.

– Zeznałeś, że bywałeś wielokrotnie w apartamencie pana Cosnera – podjęła bardziej koncyliacyjnie. – W praktyce oznaczało to, że byłeś w posiadaniu wszystkich kodów dostępu, a twój odcisk palca został wgrany do programu zapewniającego swobodny wstęp do środka.

– Zgadza się. Byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Przypuszczam, że wiedziałeś, gdzie znajdują się wszystkie urządzenia, o których usunięcie cię poprosił, lub też powiedział ci, gdzie je znajdziesz.

– Zgadza się – powtórzył Whitt.

– Zlokalizowanie wszystkich urządzeń nie zajęłoby więc wiele czasu. Nie więcej niż kilka minut potrzeba było na spakowanie ich do aktówki i do torby listonoszki. Dlaczego wobec tego spędziłeś w apartamencie pana Cosnera ponad pół godziny?

Tego sobie nie przemyślał – wydedukowała Eve, gdy mężczyzna się zawahał i zaczął zastanawiać, co powinien odpowiedzieć.

– Peabody wchodzi do sali przesłuchań.

Policjantka postawiła butelkę z wodą przed Whitem. Przypiął się do niej. Pił i pił.

– Proszę kontynuować! – ponagliła go Eve.

– Miałem wieczorem imprezę firmową, więc nie chciało mi się przedtem wracać do domu... A szczerze mówiąc... – zawiesił głos.

– Słucham.

– Szczerze mówiąc, martwiłem się o Marsha. Przeszukałem jeszcze całe jego mieszkanie w poszukiwaniu narkotyków i innych nielegalnych substancji odurzających. Zamierzałem interweniować i podjąć próbę umieszczenia go ponownie na odwyku.

– Jak bardzo troszczyłeś się o swojego przyjaciela! Swojego najlepszego przyjaciela, który najwyraźniej obdarzył cię najwyższym zaufaniem. Znalazłeś coś?

– Nie.

– Zabawne. My znaleźliśmy wszystkie jego zachomikowane zapasy w górnej szufladzie szafki po lewej stronie od wejścia do głównej łazienki. Zajęło to nam około trzech minut.

– Mój klient nie ma takiej wprawy jak policja – wtrącił się Kobast.

– W szufladzie szafki łazienkowej – powtórzyła wyraźnie Eve i odczekała moment, żeby wszyscy dobrze to przyswoili. – Nie wyjaśniłeś nam, Steve, skąd u ciebie fałszywe dowody tożsamości.

– Znalazłem je, kiedy szukałem prochów. Ja... nie wiedziałem, co o tym myśleć. Zebrałem je wszystkie i wrzuciłem do teczki. Wszystko razem ukryłem w schowku pod podłogą zaraz po powrocie do domu i planowałem porozmawiać na ten temat z Marshem w dniu dzisiejszym, no ale... ale już go nie ma.

– Ano nie ma. A więc powiadasz, że podczas półgodzinnych poszukiwań, kiedy to udało ci się nie zauważyć całej szuflady prochów w łazience, wpadłeś zupełnie przypadkiem na fałszywe dowody tożsamości, które twój przyjaciel przygotował dla ciebie?

– Zgadza się. Dosłownie mnie zamurowało. Byłem w szoku.

– A dla siebie Marsh nie zrobił ani jednego? Nie znalazłeś żadnych fałszywych dowodów tożsamości Marsha?

– Nie, nie znalazłem. – Przesłuchiwany błędził wzrokiem gdzieś za Eve. – A wy?

– My też nie, co oznacza, że oczekujesz od nas, żebyśmy uwierzyli, że twój nieżyjący przyjaciel finansował z własnej kieszeni... a wydatek był to znaczny... tak po prostu z dobrego serca, załatwił i opłacił kilka fałszywych dowodów tożsamości tylko dla ciebie, a dla siebie już nie? A ty nie miałaś zielonego pojęcia ani o tym, że to zrobił, ani dlaczego to zrobił?

– Dokładnie. Mówię wam wszystko, co wiem.

Eve pochyliła się do przodu i patrząc mu w oczy, powiedziała:

– Nie jesteś już takim świetnym kłamcą, kiedy nie masz czasu na przemyślenie odpowiedzi.

– Pani porucznik! – przestrzegł ją Kobast.

Rzuciła mu przelotne spojrzenie.

– Chyba pan tego nie kupuje, tak samo jak i ja? – zadała pytanie, nie oczekując odpowiedzi. – Przejdźmy wobec tego dalej. Czy miałaś świadomość, że pan Cosner był właścicielem budynku w centrum Nowego Jorku? Magazynu o przebudowanym wnętrzu?

– Nie, to niemożliwe. – Whitt parsknął krótkim śmiechem. – Doradzałem Marshowi w inwestowaniu pieniędzy. On nie posiadał żadnej nieruchomości.

– Ach! No jasne! – Do przesłuchania włączyła się Peabody. Ściągnęła brwi, odeła usta. – Doradzałeś mi w inwestycjach, dzwoniłeś do niego tylko z dropfonów, byłeś w posiadaniu wszystkich kodów do naprawdę dobrze strzeżonego mieszkania. Twój odcisk palca został zeskanowany i wprowadzony do systemu ochrony rzeczonoego lokalu. Tyle tego, a nie wiedziałeś, gdzie przechowywał towar?! Nie wiedziałeś, że wydał kupę szmalu na fałszywe dowody tożsamości dla ciebie?! Nie wiedziałeś, że był właścicielem budynku na Dolnym Manhattanie?! – Posłała Eve spojrzenie pełne niedowierzania. – Nie wygląda mi to na zrównoważoną przyjacielską relację.

– Masz rację. Być może Marsh nie ufał Steve'owi tak bardzo, jak to sobie Steve wyobraża. – Eve wyjęła z pudła z dowodami w sprawie papierową dokumentację budynku i położyła na stole.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Whitt. – Przecież by mi o tym powiedział...

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Peabody zmieniła się z osoby niedowierzającej w sympatyzującą z nim.

– Och, wiem, że trudno było o tym wszystkim wiedzieć – westchnęła Peabody Przesympatyczna. –

Uzależnienie od środków odurzających może doprowadzić do uczynków dziwnych, a nawet destrukcyjnych. Gdyby był w stanie myśleć jasno, na pewno powiedziałby o tym tobie: przyjacielowi i doradcy finansowemu. Chciałby, żebyś zobaczył tę nieruchomości, no i, co oczywiste, doradzał mi we wszystkim.

– Jasne, że tak.

– Ale tego nie zrobił? – Eve przesunęła teczkę z dokumentacją dotyczącą rzeczonoego obiektu w stronę Kobasta, aby mógł się z nią zapoznać. – A więc nic o tym nie wiedziałeś? I nigdy tam nie byłeś?

– Nie. Nigdy. – Whitt trzymał się twardo swojej wersji. – Po co, u licha, był mu potrzebny do szczęścia jakiś magazyn? W dodatku w takiej okropnej okolicy!

– Urządził Sanchezowi niezły kącik do zamieszkania, a przy okazji laboratorium do pracy. Oczywiście tylko do chwili, kiedy chłopakowi udało się opracować formułę toksycznego związku chemicznego. Wówczas został zamordowany.

– To Loco nie żyje?!

– Tego też nie wiedziałeś?

– Nie. A skąd niby miałbym to wiedzieć? Od lat się z nim nie spotykałem. Wiem, że dostarczał towar Marshowi, lecz nie utrzymywałem z nim żadnych stosunków towarzyskich. Wszystko to, dokładnie wszystko, musiało być pomysłem Loca. Marsh z własnej inicjatywy nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Na pewno wymusił to na odurzonym niedozwolonymi substancjami Marshu.

– Pani porucznik, pani prokurator! – zwrócił się do nich adwokat. – Posiadane przez was dowody oraz zeznania mojego klienta, z własnej nieprzymuszonej woli chętnie z wami współpracującego, ewidentnie wskazują na winę pana Cosnera. Żądamy wobec tego wycofania oskarżeń postawionych panu Whittowi.

– Mmm... Mamy z tym leciutką zagwozdkę. Cóż, naprawdę drobnutki problem. – Eve pozwoliła sobie nie zgodzić się z Kobastem. – Czy pan wie, że przeciętny człowiek gubi od pięćdziesięciu do stu włosów dziennie?

– Cóż to znowu za bzdury? – obruszył się.

– To tylko zabawny fakt. Zabawny fakt znany biegłym medycyny sądowej. Skoro jest pan obrońcą w sprawach karnych, myślę, że miał pan niejednokrotnie okazję przepytować jako świadka naszą ekspertkę do spraw włosów i włókien, panią Harvo.

– Do rzeczy, pani porucznik. – Z twarzy Kobasta nie dało się odczytać żadnych emocji.
– Jestem niezwykle rzeczowa. To Harvo jest tu kluczową osobą. Powinien pan się orientować, jaka jest w tym dobra. Tak dobra, że faktycznie odnalazła, zidentyfikowała i dopasowała DNA z dwustu dwudziestu trzech włosów, które wypadły panu Whittowi podczas wizyt w przebudowanym magazynie pana Cosnera. W tym samym, o którym, zgodnie z pańskimi zarejestrowanymi przed chwilą zeznaniami, nic pan nie wiedział, którego pan nigdy nie widział ani też nigdy pan w nim nie był. I dodatkowy punkt dla nas: jeden z tych włosów wkleił się w gumkę maski przeciwgazowej, której użył, by się zabezpieczyć przed trującymi oparami, kiedy zabijał swojego starego kumpla Marsha – wyrecytowała Eve jednym tchem. – Skąd twój włos się tam znalazł, Steve?

– To kolejne oszczerstwa! Broward! One wciąż starają się mnie zrobić! Ja mam tego dość!

– Uspokój się! – Kobast położył dłoń na ramieniu swego klienta. – Siedz cicho!

– Najprawdopodobniej znów pan poprosi o trochę czasu, by pokonferować ze swoim kłamliwym klientem, ale zalecałabym najpierw zapoznać się z wynikami ekspertyz zakładu kryminalistyki. Mamy tu na przykład odcisk kciuka. Został znaleziony pomiędzy półkami, a powstał podczas usuwania przez ciebie – zwróciła się do Whitta – szpiegującej kamerki, tej ukrytej w laboratorium, gdzie Sanchez upichcił substancję toksyczną, która zabiła trzy osoby.

– Nigdy tam nie byłem! To kłamstwo!

– Dwieście dwadzieścia trzy włosy i odcisk kciuka – powtórzyła Eve. – Och, poza tym nie wiedziałeś Loca od lat i nie wiedziałeś, że ostatnio został zamordowany? Zginął zadźgany nożem. Nasi technicy też są naprawdę niezli. – Eve wyjęła z pudła torebkę ewidencyjną z nożem do steków. – Wyobraź sobie, że ten nóż, znaleziony w szufladzie szafki w twojej kuchni, wciąż nosi ślady krwi. Każdy wyobraża sobie, że już wszystko zmył, ale zazwyczaj się to nie udaje. Nasz biegły medycyny sądowej Morris jest geniuszem, o czym niejednokrotnie się przekonał twój prawnik, i jestem przekonana, że dopasuje ten nóż do rany na ciele Lucasa Sancheza.

– Zapewne zrobił to Marsh. Zabrał go, użył jako narzędzia zbrodni i odłożył z powrotem.

– Oj, nie jest to równoważna przyjacielska relacja – powtórzyła Peabody, smętnie kręcąc głową. – Biedny stary Marsh.

– Taa... Biedny stary Marsh – zgodziła się z nią Eve. – Powinieneś być pójść kilka przecznic dalej po opuszczeniu mieszkania Cosnera, zanim złapałeś taksówkę, Steve, a ty minąłeś tylko jedno skrzyżowanie, a potem wsiadłeś do wspomnianej taksówki i kazałeś się zawieźć prosto do garażu swojego kuzyna. Zostawiłeś odciski palców na klawiaturze alarmu, na drzwiach, na skuterze. Wszystko sprawdziliśmy.

– Myślisz, że taki z ciebie spryciarz, co? – zwróciła się do niego Peabody.

– Myślę, że nie jesteś aż taki sprytny, jak to sobie wyobrażasz – wtrąciła Eve – za to o niebo sprytniejszy niż twój nieżyjący kumpel ze szkoły. – Palnęła otwartą dłońią w blat stołu głównie z powodu satysfakcji, którą odczuła, widząc, jak drgnął. – Byłeś mózgiem tego całego przedsięwzięcia. Przykłaśnął twemu pomysłowi, jak robił to zawsze, od lat. Jak wówczas, kiedy pobiliście Miguela Rodrigesa do tego stopnia, że wylądował w szpitalu.

– Niby kogo? – Zrobił okrągłe oczy.

– Wierzę, że możesz go nie pamiętać, za to on doskonale pamięta ciebie i twoją koleżkę, który to udokumentował. Wszystko, łącznie z waszymi rozważaniami, czy nie zabić chłopaka. To wszystko zawarte jest w tym oto notiesie – dodała, wyjmując go z pudła. – Przegapiłeś ten notatnik podczas przeszukiwania mieszkania Cosnera.

– To nie jest dowodem na nic.

– Zaczyna się to wszystko układać w jedną całość, o czym zapewne dobrze wie pański adwokat.

– Nie odzywaj się, Stephen. Niech pani rzuci karty na stół, pani porucznik – zwrócił się Kobast do Eve.

– Cała sprawa sięga czasów nauki w Złotej Akademii, czasów dyrektorki Grange. Twój ojciec utrzymywał z nią kontakty seksualne. Nie ruszało cię specjalnie, że uprawiała seks z niektórymi nauczycielami, a niekiedy z którymś z ojców uczniów. Ale z twoim? – Wyjęła z pudła zdjęcie przedstawiające ojca Whitta razem z Grange. – Nie przesłałeś go do Greenwalda po to, żeby rozpoznał na nim twojego ojca. Tego nie chciałeś, przynajmniej wówczas. Jedno wysłałeś, drugą odbitkę zachowałeś i trzymałeś w swojej skrytce pod podłogą. Zastanawiam się, czy nie zrobił go Cosner – powiedziała, wyjmując kolejną fotografię nagiej Lotte Grange, tym razem ze Stephenem Whitem.

– Mój klient był wówczas małoletni, a ta kobieta zupełnie dorosła, w dodatku piastowała stanowisko dyrektorki jego szkoły! – obruszył się Kobast.

– Zgadnam się i tak tego nie zostawię. Ma pan na to moje słowo – obiecała, po czym zwróciła się ponownie do Whitta. – Chciałeś ukarać ją za zaciągnięcie do łóżka twojego własnego ojca w tym samym czasie, gdy spotykała się z tobą, prawda, Steve? Chciałeś mieć takie zdjęcie, na którym ojciec

jest odwrócony i nie widać jego twarzy, żeby nikt nie był w stanie go rozpoznać – przerwała na chwilę i znalazła w pudle z dowodami zdjęcie, które właśnie opisała. – Wysłałaś je do męża Grange. Dwa rozwoły: twoich rodziców i Grange nie zrobili na tobie większego wrażenia, lecz nie spodziewałaś się, że Grange odejdzie ze szkoły. Stanowiła twoją tarczę ochronną, a poza tym miałaś w gratisie niezły seks. Prawdziwy pupilek pani nauczycielki, co?

– Jako małoletniemu...

Eve rzuciła Kobastowi tak wściekle spojrzenie, że natychmiast urwał i drgnął nerwowo nieomal tak samo jak Whitt po uderzeniu przez nią otwartą dłoń w stół.

– Tu się to wszystko zaczęło. – Dźgnęła palcem w zdjęcie Grange z Whitem jako nastolatkiem, uczniem szkoły średniej. – Dokładnie tutaj. Nie skończyło się jednak aż do dzisiaj. Grange odcięła się od niechlubnej przeszłości i przyjęła posadę w innym mieście. Następne, co spadło na ciebie, to Rufty, określający nowe zasady działania szkoły. Co za skurwysyn! Zostajesz zabrany ze szkoły, ale przynajmniej wciąż jesteś z Grange. Wciąż jesteś pod ochroną, być może wciąż uprawiasz z nią seks. Dziewczyne tracisz jednak bezpowrotnie.

Eve wstała, obeszła stół i stanęła za podejrzanym.

– Dziewczyny nie kochałaś – mówiła dalej. – Nie jesteś zdolny do miłości. Należała jednak do ciebie, robiła, co jej kazałaś, wykonywała wszystkie twoje polecenia. Była piękna i uczynna. Tak niewiele jej brakowało, żeby na ciebie zasługiwać, a tu ni z tego, ni z owego nagle rusza swoją drogą. Tak po prostu ci rzuca. Może i na początku winiłaś za to jej rodziców, lecz co za afront! Ona ani razu nie spróbowała się z tobą skontaktować! – Pochyliła się nad Whitem i szepnęła mu prosto do ucha: – Ta głupia cipa bez charakteru!

Zamilkła i obserwowała, jak jego dłonie zaciskają się w pięści, kiedy odsuwała się do tyłu.

– I co wtedy ona robi? – pytaniem przerwała ciszę. – Zacieśnia więź z matką, odstawia ciebie na bok, zapomina całkiem o tobie i zaczyna prowadzić własny biznes. I nagle przychodzi ostatni cios. – Tu Eve ponownie sięgnęła do pudła i wyjęła opakowany, zabezpieczony plik wycinaków z gazet. – Dziewczyna się zaręcza, i to nie z pierwszym lepszym, lecz z kimś ważnym, synem kogoś piastującego poważne stanowisko w rządzie. A przecież nie ma prawa! – Walnęła pięścią w stół i wyszczała: – Czy nie tak to widziałeś? Nikt nie może ot tak od ciebie odejść. A czyja to była wina?

Odszukała w pudle wydruk listy osób, które miały zostać zamordowane, i rzuciła go na stół.

– Ich! – Tknęła palcem listę. – To nie jest takie proste, Steve, jak stuknięcie palcem w klawisz „usuń”. Nie chciałaś ich zabić. Nie chciałaś zlikwidować osób za to odpowiedzialnych. Chciałaś, żeby cierpiali, by wciąż odczuwały stratę, by nigdy nie zapomnieli. Akademia była twoją kurą znoszącą złote jajka, a oni ją zabili. Ty więc zabiłaś męża Rufty’ego i żonę Durana. Zabiłaś Sancheza, kiedy przestał ci być potrzebny, i zabiłaś swojego partnera w zbrodni, swojego najlepszego przyjaciela, tylko po to, żeby móc na niego zrzuć winę i odejść. Jednakże... – Znow nachyliła się nad nim, stając za jego plecami, i przybierając szyderczy ton, ciągnęła: – Nie byłeś wystarczająco sprytny, żeby się od tego wszystkiego całkowicie odciąć. Za każdym razem, kiedy myślałaś, że zatarłaś ślady, zostawiałaś okruszki. Zachowałeś nóż, którym zabiłaś, ponieważ jesteś arogantem, zbyt głupim na to, żeby się go pozbyć.

– Zamknij się, do kurwy nędzy! – warknął Whitt.

– Pani porucznik! – zaczął Kobast, lecz nie dała mu dojść do słowa.

– Karty na stole. Przechowywałaś na tablecie w skrytce pod podłogą plik z listą swoich największych wrogów, z listą śmierci oraz rozkładami dnia każdego z nich, ponieważ pękałaś z dumy, kiedy o tym myślałaś. Czuleś się tak zadowolony z siebie!

Na poparcie tych słów Peabody wyjęła tablet z pudła i uniosła w górę wyjęty już wcześniej wydruk listy osób, które zamierzał zabić.

– Spędziłaś pół godziny w mieszkaniu swojego przyjaciela przed jego zamordowaniem, bo jesteś takim osłem, że ani razu ci nie przyszło do głowy, iż możemy sprawdzić cholerne nagrania z kamer monitoringu – kontynuowała Eve. – Nie zniszczyłaś tableta, choć nie sprawdziłaś jego zawartości, ponieważ nie umiałaś złamać hasła dostępu. A dlaczego? Bo jesteś głupi. Cosner miał zwyczaj spisywania codziennych wydarzeń, prowadząc rodzaj pamiętnika, i robił to do samego końca. Przerzucił się tylko z pisania odręcznego w notecie na tablet. Jest w nim wszystko. – Przesunęła się nieco w bok i nachyliła tak, że miała jego twarz tuż przed swoją. – Jesteś idiotą – zadrwiła – który ledwo przebrnął przez szkołę średnią, oszukując i ściągając. Zdradziłaś swoją dziewczynę z kobietą tak wiekową, że mogłaby być twoją babcią. Dręczyłaś słabych i bezbronnych, gdyż dawało ci to złudne poczucie siły. Wydawało ci się, że masz władzę i moc sprawczą. Otóż nie! Nie masz i już nigdy mieć nie będziesz. Wciąż jesteś małym, samolubnym, głupim gnojkiem.

– Pierdol się! – syknął.

Znów szybko się przesunęła w bok i łokieć, który chciał wbić jej w bok, musnął tylko biodro Eve. Mogła teraz dodać do oskarżeń czynną napaść na funkcjonariuszkę policji – gdyby tylko chciała.

Chciała.

– Stephen! Lepiej zamilcz! – przestrzegł go Kobast.

– Pierdołę twoje milczenie! – wrzasnęła na prawnika. – Ja głupi?!

Eve zobaczyła w nim wreszcie jakieś emocje. Złe emocje rozwścieczonego furiata.

– Jeśli według ciebie ja jestem taki głupi, to jak niby doszło do tego, że ten ciotowaty mąż Rufty’ego i ta zdzira starego durnia Durana nie żyją? Jak byle głupek mógłby zmusić zdegenerowanego ćpuna do skupienia się na robocie, aby mógł wyprodukować coś, za co każda armia gotowa jest zapłacić miliardy dolców? Jak jesteś, kurwa, taka bystra... – wrzeszczał, nie słuchając nakazów adwokata, żeby zachował milczenie – ...to czemu wcześniej na to nie wpadłaś? Zanim Marsh się naćpał i naćpany zabrał do przepakowywania jajka?

– To ty podałaś mu coś odurzającego razem ze szkocką! To ty grzebałaś przy uszczelnieniu jajka! – rzuciła mu w twarz Eve.

– No i co, kurwa, z tego?! Co?! Sam to wypił i sam się złał do pakowania. A jeśli jesteś o tyle sprytniejsza ode mnie, to dlaczego ta starsza od Ziemi żoneczka wiecznie się wymądrzającego pierdoły, udającego nauczyciela chemii, nie żyje?

– Masz na myśli Lillianę Rosalind? Jej akurat nic nie jest. Przejęliśmy tę przesyłkę, bo jesteś idiotą, Whitt!

– Dość już tego! Dość! – Kobast skoczył na nogi. – Przesłuchanie skończone!

Eve skinęła głową.

– Wie pan, że to już koniec, panie mecenasie – powiedziała spokojnie. – Pański klient przyznał się, co zostało nagrane, do czterech morderstw oraz próby dokonania kolejnego. Inne oskarżenia również znalazły potwierdzenie w jego wypowiedziach. Tego wszystkiego dokonał tylko dlatego, że ktoś kiedyś powiedział, że nie może mieć wszystkiego, kiedy on akurat chciał to mieć. – Skierowała wzrok na Whitta. – Teraz spędzisz resztę swojego życia za kratkami. Codziennie będą ci powtarzać, czego nie możesz mieć.

– Nie pójdę do żadnego więzienia! – Zacisnęła wargi. – Nie dotarło jeszcze, kim jestem? Z jakiej rodziny pochodzę?

– Ależ dotarło. Oczywiście.

– Stephen! Zamilcz wreszcie! – Kobast miał dość. – Nie chcę więcej słyszeć ani jednego słowa z twoich ust! Przesłuchanie skończone. Słuchaj, Stephen. Wrócisz teraz do aresztu i poczekaasz tam na mnie. Pani prokurator, musimy porozmawiać – zwrócił się do Reo.

– Lepiej się z nią dogadaj, Broward! Słyszysz mnie, kurwa?! – wykrzykiwał Whitt. – Lepiej się dogadaj i cofnij te oskarżenia, jeśli rozumiesz, co jest dla ciebie dobre. Jakby co, ty też masz żonkę, no nie?

Słyszając to, Kobast tylko się wzdrygnął, zszokowany rzucanymi w jego stronę groźbami, i nic nie odrzekł.

– Peabody! Proszę wezwać na salę jednego mundurowego! – zaordynowała Eve. – Niech ci pomoże przy odprowadzaniu pana Whitta do celi.

– Nie daruję ci tego! Zemszczę się! – mruknął pod nosem Whitt, wpatrzony w Eve. Jego spojrzenie znów stało się beznamiętne i puste.

– Stephen! Na litość boską! – jęknął Kobast.

– Zemszczę się na was wszystkich!

– I tego się trzymaj! – poparła go Eve. – Ta myśl pomoże ci przetrwać pierwsze dziesięciolecie, a może i kilka lat więcej. Koniec przesłuchania. Nagrywanie zakończone.

EPILOG

Zbliżał się koniec jej dyżuru. Eve przysnęła z głową na biurku w swoim gabinecie. Odesłała już Peabody do domu, skończyła pisać raporty, wypełniła wszystkie formularze i zamknęła drzwi na klucz.

Odbyła rozmowy podsumowujące z panią prokurator Reo oraz z biegłą psycholożką sądową Mirą. Dodała streszczenia i wnioski do notatek.

Zamknęła księgę zbrodni. Zdjęła wszystko z tablicy.

Kiedy zdała sobie sprawę, że jej organizm nie przyjmie już ani łyka kawy więcej, wsparła głowę na blacie i zamknęła oczy.

Roarke obudził ją głaskaniem po karku i pocałunkiem w czubek głowy.

– Ja tylko... odpoczywam.

– Chrapałaś jak zabita, moja najdroższa. Stwierdziłem jednak, że nie za bardzo by ci się spodobało, gdybym wyniósł cię stąd, śpiącą, na rękach.

– Mhm. Masz rację. – Przetarła oczy. – Doceniam, że ci się nie chciało.

– Z największą przyjemnością wziąłem udział w śledztwie. Musisz mi w drodze do domu opowiedzieć, jak udało ci się to wszystko rozpracować.

– Okej.

– Tablica jest pusta.

Wstała, obejrzała się za siebie.

– Chwilowo.

Zaczęła opowiadać już w drodze na parking podziemny i ciągnęła opowieść, gdy Roarke prowadził samochód.

– Jego adwokat dążył do zawarcia ugody. Reo się nie ugięła. Spróbują jeszcze wziąć swojego psychiatrę i coś ugrać od strony niepoczytalności, lecz nie sądzę, aby się udało. Facet odróżnia dobro od zła, ale ma głęboko gdzieś wszelkie zasady.

– Powiesz jego byłej dziewczynie?

– Już z nią rozmawiałam. Pomyślałam, że powinna się o tym dowiedzieć, zanim wybuchnie afera i media dokopią się do jej nazwiska oraz dawnych powiązań z aresztowanym. Rozmawiałam również z panem Rosalindem i dałam mu znać, że nie ma się już czego obawiać. Tak samo postąpiłam w przypadku pozostałych z listy śmierci. Mam wrażenie, że jestem winna Harvo wielką butelkę czegoś, choć i bez moich prezentów czuje się w pełni usatysfakcjonowana po zamknięciu sprawy.

– Ktoś taki jak ona zasługuje na szampana.

– Może i tak. Okej. Wiesz... Skurczybyk zamordował swojego jedynego przyjaciela, ponieważ to akurat wydało mu się najpraktyczniejszym rozwiązaniem w danym momencie. Nie miał ani krzty wyrzutów sumienia z tego powodu. Był taki czas, kiedy przyjaźniła się ze mną jedynie Mavis, choć ja sama wcale tego nie pragnęłam. No, i może Feeney, ale to coś zupełnie innego, bo to mój szef. Jednakże gdy w końcu przekonała mnie do siebie i odwzajemniłam tę przyjaźń, zawsze stanęłabym w jej obronie, choćby nie wiem co. Teraz mam na głowie wszystkich tych cholernych ludzi i mam to samo. Zawsze stanę w ich obronie.

– Whitt jest pusty w środku. Jest dla siebie jedyną osobą wartą zainteresowania na tym świecie – podsumował Roarke. – Co z Grange?

– Już po niej albo zaraz to nastąpi. Chciałabym jedynie, żeby dało się ją wsadzić za kratki. Przeprowadziłam rozmowę z władzami szkoły, w której w tej chwili pracuje, i przekazałam stosowną dokumentację zawierającą zdjęcie nagiej dyrektorki w towarzystwie ówczesnego ucznia. Małoletniego. Jest skończona.

– To od niej wszystko się zaczęło, prawda?

– Mam wrażenie, że ludzie tacy jak Whitt przychodzą na świat pozbawieni wszelkiej wrażliwości, ale to Grange zaszczepiła w nim tę uczuciową pustkę, a potem pielęgnowała ją i utrzymywała. Musi odejść w niebyt!

Zajechali akurat pod dom Rufty'ego.

Charles i Louise czekali na nich na podjeździe.

– Chcieliśmy się trochę przejść – powiedziała Louise, gdy Eve wysiadła z samochodu – więc postanowiliśmy tu na was poczekać. – Ujęła obie dłonie Eve. – Dziękujemy ci!

– To tylko moja praca, Louise.

– Wiem, lecz nasze podziękowania płyną prosto z serca.

– Tym razem to nie tylko działania, których wymaga twój zawód – zauważył Charles. – Zdajesz sobie sprawę, że Martin będzie potrzebował wsparcia osoby rozumiejącej jego ból, kiedy mu o tym powiesz. Nie przywróci to Kentowi życia, lecz jemu zapewni odrobinę spokoju ducha.

Miała nadzieję, że tak się stanie. Miała nadzieję, że przyniesie również odrobinę spokoju Jayowi Duranowi, kiedy mu to przekaże.

Podeszła do drzwi, ujęła dłoń męża i nacisnęła guzik dzwonka.

Później, kiedy wykonała wszystkie zadania zaplanowane na ten wyjątkowo długi dzień, mogła zasiąść spokojnie u boku męża nad sadzawką, nieopodal drzewka, które wspólnie zasadzili. Nad ich głowami zajaśniały gwiazdy, w oknach domu świeciły się światła, powietrze przepełniała woń wiosny.

Zakończyła śledztwo. Wreszcie mogła odpocząć, dopóki jej spokoju nie zburzą nowe wyzwania.